

W.E.B. GRIFFIN

Majorowie

Bohaterowie tom 3

Brotherhood of War: The Major's

Tłumaczenie: Piotr Kuś

Rebis Marzec 2008

*Dla wujka Harleya i Byka
zmarłych w październiku 1979 roku
I dla Donna.*

*Kto kiedyś uwierzyłby
w cztery gwiazdki!*

I

1

Waszyngton

10 marca 1954

Czarny czterodrzwiowy buick roadmaster miał tablice rejestracyjne z Wirginii. Do obu tablic przytwierdzony był lśniący pasek metalu ze stemplem ALEXANDRIA 1954, co miało dowodzić, że właściciel samochodu opłacił miejski podatek drogowy za rok 1954 właśnie w Alexandrii. Auto nie było jednak upstrzone żadną naklejką, wbrew powszechnej modzie panującej w stolicy, bo właśnie dzięki naklejkom samochody można było identyfikować, na przykład jako należące do personelu Okręgu Wojskowego Waszyngtonu albo do pracowników rządu federalnego, uprawnionych do parkowania w Sektorze B na Parkingu numer III Departamentu Pracy, albo w ogóle do kogoś o podobnej randze. Innymi słowy, w samochodzie nie było niczego, co mogłoby sugerować, że jest czymś więcej niż przeciętnym pojazdem, należącym do kogoś, kto mieszka na stałe w Alexandrii, w stanie Wirginia. Kiedy jednak pojazd ten zjechał z pasa drogowego Pennsylvania Avenue, zazwyczaj zamknięta brama przy Pennsylvania Avenue 1600 natychmiast się otworzyła, a dwaj wartownicy zasalutowali i przepuścili auto, nie zatrzymując go ani po to, żeby skontrolować dokumenty kierowcy, ani nawet po to, żeby zatelefonować i sprawdzić, czy jego pasażer jest tu oczekiwany, mimo że była już późna noc.

Kierowca podjechał pod wejście do Executive Office Building, starego, bogato zdobionego budynku Departamentu Stanu, którego współgospodarzem były wojska lądowe i marynarka. Zanim samochód zdołał się zatrzymać, podeszło do niego dwóch Marines w galowych mundurach.

- Zaparkuję pański samochód - powiedział jeden z nich do kierowcy.

- Proszę za mną - powiedział drugi.

Mężczyzna, który wysiadł z samochodu, był niski, przedwcześnie wyłysiały i dość chudy. Miał na sobie wyświechtaną marynarkę, białą koszulę, białe krawaty i czarne buty. Stanowił doskonały przykład człowieka, którego byłoby trudno zapamiętać na dłużej.

Kiedy bez zatrzymywania minęli drzwi windy łączącej z Pokojem Dowodzenia Operacyjnego, niski mężczyzna zapytał, dokąd zmierzają.

- Do części prywatnej, proszę pana.

Niski mężczyzna nic na to nie odpowiedział.

Kiedy wysiadłszy z windy, znalazł się w szerokim korytarzu wiodącym do pomieszczeń mieszkalnych, skinął mu na powitanie pełniący służbę agent Secret Service.

- Proszę od razu wejść - powiedział.

- Dziękuję - odparł grzecznie niski mężczyzna, przechodząc przez próg podwójnych drzwi, które otworzył przed nim agent.

W pokoju znajdowało się dwóch mężczyzn. Jeden z nich, generał brygadier, którego kurtkę mundurową zdobił ciężki złoty łańcuch identyfikujący go jako adiutanta prezydenta Stanów Zjednoczonych, pochylał się nad oparciem delikatnego połączanego krzesła. Na krześle siedział łysiejący mężczyzna w okularach, ubrany w wystrzępiony sweter.

Na swetrze wyhaftowana była duża litera A.

- Szybki jesteś - powiedział prezydent Stanów Zjednoczonych.

- O tej porze nie ma zbyt wielkiego ruchu, panie prezydencie.

- Trochę sobie popijamy - powiedział znowu prezydent, wskazując na srebrną tacę z butelkami whiskey. - Napijesz się z nami? A może chcesz kawy?

- Kawa doskonale mi robi, panie prezydencie. Czarna - odparł przybysz.

Adiutant wyszedł z pokoju.

- Przed godziną rozmawiałem z Johnem - odezwał się po chwili prezydent. - Przekazuje ci pozdrowienia.

- Dziękuję, panie prezydencie.

- Dopiero niedawno się dowiedziałem, że chodziliście do jednej klasy i byliście przyjaciółmi.

- Znajomymi - powiedział niski mężczyzna. - On jest z rocznika czterdziestego czwartego. Ja byłbym z czterdziestego szóstego.

Prezydent pokiwał głową, po czym się uśmiechnął.

- Coś mi się widzi, że w Korei wasze stosunki uległy pewnemu ochłodzeniu.

- Żołnierze nazywają taką sytuację „zamrożeni wybrańcy” - zauważył niski mężczyzna.

Do pokoju wszedł czarnoskóry steward z marynarki wojennej, ubrany w idealnie odprasowaną białą kurtkę. Wniósł srebrny dzbanek z kawą i dwie filiżanki na podstawkach. Po chwili wyszedł, starannie zamknąwszy za sobą drzwi. Adiutant nie wracał.

Prezydent nalał kawy do jednej z białych porcelanowych filiżanek, po czym odezwał się jakby do siebie:

- Chyba też się napiję. - Nalał kawę do drugiej filiżanki. - Oczywiście wzmocnionej - dodał i szybko dolał do swojej filiżanki sporą porcję burbona. Przytrzymał butelkę nad drugą filiżanką i pytająco popatrzył na niskiego człowieka.

- Bardzo proszę - przytaknął gość.

- Niech się pan obsłuży, majorze.

Wypowiedziawszy te słowa, prezydent podszedł do biurka i otworzył tekturowy skoroszyt. Wyjął z niego kilkustronicowy dokument, połączony zszywką. Na jego okładce, od góry do dołu, przybity był w poprzek stempel z napisem: ŚCIŚLE TAJNE. Czerwone litery miały wysokość mniej więcej jednego cala. Przez całą kartkę biegły ukośnie grube czerwone paski.

Prezydent odczekał, aż jego gość usiądzie na niskiej czerwonej kanapie, co ten w końcu uczynił dość niezdarnie.

Dopiero wtedy podał mu dokument. Mężczyzna odstawił filiżankę, przełożył stronę tytułową na tył dokumentu, po czym zaczął uważnie czytać materiał, który otrzymał od prezydenta.

Egzemplarz 1/3

Kopiowanie zabronione

ŚCIŚLE TAJNE

(QUINCY)

SZEFOWIE POŁĄCZONYCH SZTABÓW

PENTAGON

WASZYNGTON, 25

8 marca 1954 r.

TYLKO DO PRZECZYTANIA

ZA POŚREDNICTWEM KURIERA LINIOWEGO

DOt Głównodowodzącego Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej

Daleki Wschód

Dal Ichi, Tokio, Japonia

DO WIADOMOŚCI: Prezydent

Biały Dom

Waszyngton

Na podstawie polecenia przewodniczącego Szefów Połączonych Sztabów, za zgodą prezydenta, jest pan upoważniony i poleca się panu mianowanie generała broni E. Z. Blacka pańskim przedstawicielem na spotkanie z głównodowodzącym sił francuskich w Indochinach Francuskich, rezydującym w Hanoi. Spotkanie powinno się odbyć jak najszybciej. Jego celem jest ustalenie, czy wzmożenie sił francuskich siłami amerykańskimi, zbędnymi już w Korei, w najbliższej przyszłości pozwoli Francuzom kontynuować operacje w Dien Bieñ Phu i ostatecznie pokonać zbuntowane oddziały Yiet Minh/komunistów, zagrażające obecnie francuskiej kontroli nad Indochinami.

Podkreśla się z naciskiem, że misja generała Blacka ma polegać wyłącznie na dokonaniu oceny aktualnej sytuacji militarnej. Generał nie ma pełnomocnictw, by zobowiązywać się do angażowania sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych żadnego rodzaju do jakichkolwiek celów. Wyłącznie dla celów planowania wskazuje się, że - jeżeli interwencja Stanów Zjednoczonych zostanie określona jako realna i pożądana - następujące jednostki Us Army będą w stanie przystąpić do służby we francuskich Indochinach.

Jednostki 8. Armii Lądowej, jak następuje:

1. Dywizja Kawalerii (skadrowana)

40. Dywizja Piechoty

187. Pułkowa Grupa Bojowa (Spadochronowa)

8038. Ruchomy Szpital Wojskowy

555. Grupa Artylerii

Jednostki dowodzenia i wsparcia - do ustalenia

Jednostki 20. Armii Powietrznej, jak następuje.

453. Grupa Transportu Powietrznego

2055. Eskadra Kontroli Powietrznej

2057. Eskadra Meteorologiczna

271. Skrzydło Myśliwskie

107. Eskadra Myśliwsko-Bombowa

707. Eskadra Bombowa (Wzmocniona)

Jednostki dowodzenia i wsparcia - do ustalenia

Jednostki Ploty Pacyfiku, jak następuje,

Cztery jednostki transportowe

Tankowiec floty

Wydzielone siły ekspedycyjne. Wchodzące w ich skład jednostki zostaną ustalone, grupa jednak sędzię zawierać.

Lotniskowiec z trzema eskadrami myśliwców i jedną eskadrą bombowców

Okręty eskortujące

Okręty sojowe - do ustalenia

Jeśli, zgodnie z oczekiwaniami, nastąpi wzmocnienie sił francuskich, na czele sił amerykańskich stanie generał Black. W związku z tym jest pan upoważniony i poleca się panu wyznaczenie właściwych generałów lub oficerów flagowych, których generał Black zechce zażądać, reprezentujących wyżej wymienione jednostki, do podróży do Hanoi lub innego miejsca, którego wizytację generał uzna za konieczną.

Wobec delikatnego pod względem politycznym charakteru, misji generała Blacka nakazuje się, aby jego grupa odbyła podróż w cywilnych ubraniach, wycarterowanym samolotem cywilnym. Niniejszy list jest zarazem upoważnieniem do wykorzystania środków finansowych w takiej wysokości, w jakiej będą one niezbędne. Francuska Administracja Kolonialna przekazała nam informację o zwolnieniu członków grupy z normalnych procedur i wymogów wizowych i paszportowych.

Generał Black będzie sporządzać dzienne raporty, które będą szyfrowane w Indochinach Francuskich i przekazywane przez kuriera do Tokio, skąd sędzię następowała ich dalekopisowa transmisja do przewodniczącego Szefów Połączonych Sztabów. 20. Armia Powietrzna otrzymała polecenie utrzymywania w gotowości samolotu kurierskiego.

Po zakończeniu rozmów z władzami francuskimi generał Black przygotowuje raport, który zostanie zaszyfrowany i przekazany drogą jak wyżej. ŻADNA, powtarzam, ŻADNA kopia tego raportu nie może pozostać na Dalekim Wschodzie, a wszystkie notatki i inne materiały, które zostaną wykorzystane do jego sporządzenia, powinny zostać zniszczone.

Generał Black może wybrać współpracowników, którzy będą mu towarzyszyli w misji, według własnego uznania.

DLA PRZEWODNICZACEGO SZEFÓW POŁĄCZONYCH SZTABÓW

Edmund C. Williams

Generał major, USMC

Sekretarz Szefów Połączonych Sztabów

- Przeczytałem, panie prezydencie - odezwał się niski mężczyzna, zamknąwszy dokument.

- Widzę, że zrobił pan to bardzo uważnie - powiedział prezydent.

- Zgadza się.

- A mnie dano do zrozumienia, że to pan jest autorem tego dokumentu.

- Naszkicowałem go, panie prezydencie. Mieli możliwość dokonania zmian.

- Zmienili coś?

- Nic istotnego.

- Co z pańskim zdrowiem, Felter?

- Jest w doskonałym stanie.

- Proszę mówić prawdę. Nie interesują mnie oficjalne formułki. Czy już się pan wykurował?

- Tak, panie prezydencie.

- Rozumiem, że do Dien BienPhu można się dostać, jedynie skacząc ze spadochronem. Czy jest pan na to gotowy?

- Tak, panie prezydencie.

- Chcę, żeby poleciał pan do Indochin razem z generałem Blackiem - oznajmił prezydent. - Następnie skrycie odłączy pan od oficjalnej grupy i uda się do Dien BienPhu. Tam zorientuje się pan, w jakiej sytuacji są Francuzi. Chodzi mi o ich pozycje, zaopatrzenie, morale i tak dalej. Uzyskawszy te informacje, wróci pan tutaj i opowie mi, co pan zobaczył.

- Rozumiem.

- Chcę, żeby zabrał pan kogoś ze sobą jako wsparcie. Najlepiej żołnierza. Zna pan kogoś odpowiedniego?

Major Felter przez chwilę się zastanawiał.

- Tak, panie prezydencie, znam odpowiedniego człowieka. Służy w Fort Knox.

- Proszę mi o nim opowiedzieć.

- To major wojsk pancernych. Podczas drugiej wojny światowej pięciokrotnie skakał ze spadochronem w warunkach bojowych jako zwiadowca. Otrzymał za to Medal Honorowy Kongresu. W czasie tej wojny nie odniósł żadnej rany.

- MacMillan? - zapytał prezydent. - Zdaje się, że był z panem podczas tej nieszczęśliwej przygody w Korei, prawda?

- Tak, panie prezydencie.

Do pokoju powrócił adiutant prezydenta. Major Felter zdał sobie sprawę, że prezydent posłużył się jakimś ukrytym przyciskiem, dzięki któremu mógł go wezwać.

- Major Felter wyraził gotowość do wyjazdu, Charley - powiedział prezydent. - Zorganizuj mu pierwszą część podróży.

- Tak jest, panie prezydencie.

Prezydent usiadł za biurkiem, wyrwał kartkę z bloku do notowania i skreślił na niej kilka słów.

- To może się panu przydać, majorze - powiedział, wręczając po chwili kartkę majorowi.

Felter szybko przeczytał notatkę prezydenta.

- Tak, panie prezydencie. Jestem pewien, że się przyda.

- Największe marzenie każdego żołnierza, Felter. Prezydent zachichotał. - Pełnomocnictwo od najwyższego zwierzchnika. - Wyciągnął rękę. - Niech pana Bóg prowadzi, majorze - dodał.

2

Sztab XIX Korpusu

Kwandae-ri, Korea Północna

12 marca 1954

C-47 Sił Powietrznych, który codziennie lądował na pasie startowym XIX Korpusu, miał sześć foteli dla pasażerów. Znajdowały się w przedniej części kabiny, zaraz za przegrodą oddzielającą ją od kokpitu. Pozostała część kabiny przeznaczona była do transportu ładunków i - czasami - chorych na noszach. Chorych, a nie rannych. Droga tych ostatnich wiodła przez Ruchomy Szpital Wojskowy, a później ewakuowano ich tam, gdzie mogli liczyć na bardziej

kompleksową opiekę medyczną, za pomocą specjalnie opracowanego powietrznego systemu ewakuacji. Dakota przewoziła worki z pocztą, priorytetowe przesyłki i mleko. Specjalnie zakontraktowane świeże, doskonałe mleko od najlepszych krów mlecznych z Japonii, zbadanych przez Służbę Weterynaryjną Armii, dopuszczone do spożycia przez Służbę Kwatermistrzowską w porozumieniu ze Służbą Medyczną. Mleko to mogły pić kobiety ciężarne, dzieci poniżej piątego roku życia oraz ci żołnierze, których problemy żołądkowe łagodziła właśnie codzienna porcja świeżego mleka.

Istniały dwa sposoby podróży lotniczej pomiędzy XIX Korpusem w Korei Północnej a dowództwem 8. Armii w Seulu, w Korei Południowej. Można było latać lekkim samolotem wojskowym, Cessna L-19 - maszyną obserwacyjną i łącznikową, która zabierała jednego pasażera, lub DeHavillandem L-20 Beaver, należącym do Teeny-Weeny Airlines, który zabierał sześciu pasażerów. Dodatkowo XIX Korpus dysponował dwoma Navionami North American, jednak te samoloty zasadniczo zarezerwowane były dla dowódcy korpusu, generała porucznika E. Z. Blacka, lub dla któregoś z pięciu innych generałów z korpusu.

Drugim środkiem transportu powietrznego była Dakota z mlekiem, która zatrzymywała się w XIX Korpusie podczas ostatniego lądowania na okrężnej trasie od K16 (Kimpo) w Seulu do czterech korpusów (I, IX, X i XIX rozlokowanych na linii frontu.

C-47 Dakota była szybsza i wygodniejsza od lekkiego samolotu, a zatem popularna wśród starszych oficerów.

Jednak oficerowie z I, IX i X Korpusu, które znajdowały się bliżej Seulu, czasami, próbując dostać się tam na jego pokładzie, docierali jedynie do XIX Korpusu, gdzie wysadzali ich z foteli (szarża ma swoje przywileje) starsi oficerowie XIX Korpusu, i w dalszej podróży byli zdani sami na siebie. Wszystko dlatego, że XIX Korpus był pod każdym względem - z wyjątkiem nazwy - odrębną armią, z godną armii obsadą kadrową starszych oficerów. W konsekwencji oficer zajmujący miejsce w samolocie z mlekiem rzadko miał stopień wojskowy niższy niż podpułkownik.

W chwili gdy samolot wylądował na pasie XIX Korpusu, trzy miejsca pasażerskie zajmowali pełni pułkownicy, a trzy kolejne były puste. Młody porucznik, który sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się zdecydować, czy bardziej się cieszy, czy bardziej obawia gniewu oficerów wyższych od niego stopniem, wszedł do samolotu po szybko dostawionych schodkach i oznajmił:

- Panowie, bardzo mi przykro, ale wysiadacie.

Oficerowie przez chwilę coś pomrukiwali, po czym jeden z nich, postawny pułkownik, dobrze po pięćdziesiątce, zapytał z niedowierzaniem:

- Zapewne nie wszyscy, poruczniku?
- Niestety - odparł porucznik. - Wszyscy.

Trzej pułkownicy zebrali swoje rzeczy, wysiedli i stanęli pod skrzydłem. Wszyscy osobno doszli do wniosku, że jest nieprawdopodobne, iż za chwilę w samolocie zajmie miejsce aż sześciu innych pułkowników wyższych stopniem niż oni.

Tymczasem wąskim pasem startowym, nad którym unosił się ciężki kurz, do Dakoty podjechał jeep z opuszczonym dachem. W samochodzie było czterech pasażerów, sami podoficerowie, o jedną osobę więcej, niż pozwalały przepisy. Na dodatek w pojeździe znajdowało się mnóstwo najdziwniejszego bagażu: koszarowe worki szeregowych, kilka płóciennych toreb na odzież i trzy walizki cywilne.

Władze zasadniczo nie miały nic przeciwko płóciennym torbom, jednak jeśli chodzi o walizki cywilne, przepisy obowiązujące w Korei surowo zakazywały ich posiadania. Należało je deponować w Japonii, w jednostkach kwatermistrzowskich, gdzie były bezpiecznie przechowywane.

Podoficerowie - starszy sierżant w średnim wieku, sierżant o ponurym wyrazie twarzy, sierżant sztabowy o aparycji dziecka oraz kolejny sierżant, o budowie atlety - wysiedli z wozu i razem z kierowcą utworzyli łańcuch rąk, po czym zaczęli ładować bagaże do samolotu. Pod osobistymi bagażami znajdowało się kilka skrzyń z wyposażeniem szeregowych żołnierzy. Kiedy cały bagaż znalazł się na pokładzie, wszyscy sierżanci wsiedli do samolotu.

Kiedy po czasie, który powinien im wystarczyć do ułożenia i umocowania bagaży oraz skrzyń z wyposażeniem, sierżanci nie wynurzyli się z samolotu, jeden z pułkowników, wyraźnie zaniepokojony, podszedł do drzwi i zajrzał do środka. Sierżanci siedzieli w fotelach, które niedawno musieli opuścić wysocy rangą oficerowie.

Pułkownik wszedł do samolotu i stanął nad starszym sierżantem w średnim wieku.

- Do diabła, sierżancie, co tu się dzieje? - zapytał podniesionym głosem.

- Sierżant Greer tutaj dowodzi, sir - odparł starszy sierżant w średnim wieku, wskazując głową na sierżanta sztabowego o twarzy dziecka, który, zdjawszy z głowy usztywniony „kapeluszyk Ridgewaya” (nazwany tak od nazwiska generała Matthew Ridgewaya, który uznał standardową czapkę polową za niegodną żołnierza i wzmocnił ją tekturą), wyglądał jeszcze bardziej dziecinnie.

Pułkownik podszedł do sierżanta sztabowego Greera; przypomniał sobie, że niedawno spotkał go w biurze generała.

- Pan tutaj dowodzi? - zapytał.

- W tej chwili tak, sir - odparł sierżant sztabowy Greer.

- Zapewne wykonuje pan jakieś rozkazy?

- Tak, sir.

- Mogę je zobaczyć?

- Nie, sir.

- Co to znaczy „nie”? - zawołał pułkownik z wściekłością.

- Jesteśmy gotowi, Greer? - niespodziewanie rozległ się głos z płyty lotniska.

Pułkownik ujrzał w drzwiach kolejnego pełnego pułkownika, którego od razu rozpoznał. Był to Carson Newburgh, oficjalnie komendant kwater XIX Korpusu, człowiek odpowiedzialny za administrowanie koszarami. Pułkownik miał zarazem świadomość, że Carson Newburgh jest facetem znacznie bardziej wpływowym, niż zazwyczaj bywają administratorzy koszar. Był oficerem rezerwy, Teksaszczykiem, farmerem i milionerem, który dorobił się na ropie naftowej. Razem z E. Z. Blackiem przemierzył Afrykę i Europę. E. Z. Black rozpoczął walkę w Afryce Północnej jako major, w dywizji pancerniej Piekielny Cyrk. Kiedy Eisenhower zatrzymał ją na brzegach Łaby, w odległości dwudziestu czterech - nie więcej - godzin marszu do Berlina, E. Z. Black był już generałem majorem i dowodził całą jednostką. Carson Newburgh był tam z nim również, jako jego adiutant. Powrócił do służby, kiedy Black otrzymał dowództwo XIX Korpusu w Korei. Był jednym z niewielu ludzi, którzy ośmielali się zwracać do Ezakiaha Zachariaha Blacka per „E. Z.”

- Jeszcze tylko bagaże szefa i będziemy gotowi - odkrzyknął sierżant sztabowy Greer o dziecięcej twarzy.

Pułkownik zaczął się wycofywać wzdłuż burty samolotu. Pułkownik Carson Newburgh posłał mu słaby uśmiech i zdziwione spojrzenie. Pułkownik miał jeszcze nadzieję, że uniknie spotkania z generałem Blackiem. Nadzieja okazała się płonna.

Generał Black wsiadł do samolotu, po czym zaraz wychylił się na zewnątrz. Wyciągnął palec w kierunku kolejnego czarnoskórego, starszego sierżanta o potężnej budowie i smutnej twarzy.

- Cholera jasna - powiedział. - Już ci mówiłem, dlaczego nie możesz lecieć.

- Mówił pan, sir - odparł starszy sierżant.

- Masz, do cholery, trochę odpocząć. To jest rozkaz, Wesley, a nie sugestia.

- Tak jest, sir.

- Greer, do cholery, mówi po francusku, a ty nie - podsumował problem generał. - Byłbyś tylko zbędnym bagażem,

- Tak jest, sir - odparł starszy sierżant. - Rozumiem, że byłbym zbędnym bagażem, sir.

- Do ciężkiej cholery! - zawołał generał Black. - Wsiadaj do tego pieprzonego samolotu.

- Tak jest, sir - odparł starszy sierżant i z zaskakującą, jak na człowieka o jego gabarytach, zwinnością wspiał się na pokład samolotu.

Wzrok generała Blacka spoczął na pułkowniku. Jego spojrzenie było lodowato zimne.

- Właśnie wysiadam, sir - wykrztusił pułkownik.

Generał Black popatrzył w oczy pułkownika Newburgha.

- Wesley jest ze mną o wiele dłużej niż ty - powiedział generał, jakby się bronił przed oskarżeniem.

- Tak jest, sir - odparł pułkownik Newburgh z szerokim uśmiechem.

- To będzie dwadzieścia dolarów, uprzejmie dziękuję, pułkowniku Newburgh - odezwał się sierżant sztabowy Greer.

- Cholera jasna, Greer, naprawdę się założyłeś, że wezmę go ze sobą? - zapytał generał Black. - Naprawdę jestem tak cholernie przewidywalny?

- Przynajmniej dla tych, którzy pana znają i kochają, sir - odparł przymilnie sierżant sztabowy Greer.

- Idź do diabła, Greer. Na co jeszcze czekamy? Startujemy.

Potężnie zbudowany czarnoskóry starszy sierżant czekał niecierpliwie przy drzwiach, aż pułkownik wysiadzie z samolotu. Kiedy wreszcie to uczynił, starszy sierżant bez wysiłku zatrzaskał ciężkie drzwi i usiadł na podłodze, czekając na start.

3

Baza Lotnicza K16

Seul, Korea Południowa

12 marca 1954

Dakota lecąca z XIX Korpusu obniżyła lot nad mostem przecinającym rzekę Han, zburzonym na samym początku działań policyjnych. Obecnie saperzy stopniowo most naprawiali, dzięki czemu częściowo można go było wykorzystywać. Po chwili samolot dotknął pasa startowego w bazie K16 i pilot natychmiast połączył się z kontrolą naziemną.

Nie otrzymał jednak polecenia kołowania do terminalu, lecz rozkaz, aby okrążyć lotnisko, przeciąć pasy startowe i ostatecznie zatrzymać się przed nieoznakowanym hangarem po cywilnej stronie.

- Co oni, kurwa, kombinują? - zapytał drugiego pilota.

Drugi pilot nie odpowiedział, wskazał natomiast przez przednią szybę na mężczyznę w jasnoszarym kombinezonie lotniczym, który przekazywał rękami standardowe sygnały (wyciągnięty palec i dłoń wykonująca gest, który imitował podrzycanie gardła), nakazując pilotowi wyłączyć silnik po tej stronie, po której znajdowały się drzwi dla pasażerów.

Jeśli pilota nie zawodził wzrok, lotnik wykonujący czynności, które zazwyczaj leżą w zakresie obowiązków co najwyżej sierżantów, miał na pagonach gwiazdki generała brygadiera, a do jego munduru przypięte były skrzydełka pilota.

Pilot wyłączył silnik po lewej stronie, zgodnie z poleceniem.

Po chwili generał porucznik E. Z. Black i jego ludzie opuścili samolot i zniknęli w małych drzwiach znajdujących się w wielkich wrotach hangaru.

- Air Force 879 - usłyszał pilot w słuchawkach. - Kołuj drogą numer jedenaście na stanowisko operacyjne.

W hangarze stał DC-4 linii China Air Transport (CAT). Stojący przy nim piloci byli Amerykanami. Generała Blacka bynajmniej to nie zdziwiło. Samolot CAT stanowił materialny dowód na to, że Stany Zjednoczone były zaangażowane po stronie Chin Czang Kaj-szeka, jeszcze zanim oficjalnie włączyły się do drugiej wojny światowej. Od samego początku obsługiwali je piloci z grupy „Latających Tygrysów”.

Generał brygady lotnictwa wrócił z płyty lotniska, podszedł do generała Blacka i zasalutował. Black potrząsnął jego ręką.

- Jesteśmy gotowi do dalszej drogi? - zapytał Black.

- Jeszcze nie - odparł generał lotnictwa.

Podał Blackowi specjalny żółty papier, używany do dalekopisów.

Generał Black zaczął czytać.

PILNE

DOWÓDZTWO SIL POWIETRZNYCH, WASZYNGTON

DO: C&, BAZA LOTNICZA K1b

WSTRZYMAĆ WYLOT WYCZARTEROWANEGO CATA SEUL HANOI W CELU ZABRANIA DWÓCH DODATKOWYCH PASAŻERÓW. PRZYLECAĆ TRANSPORTEM WOJSKOWYM.

PODPISANO. WILLIAMS, GEN. MJR, USMC, POŁĄCZONE SZTABY

- Jezu Chryste! - Generał Black nie wytrzymał. - Powinienem być, do cholery, wiedzieć, że ci dranie przyślą kogoś z Pentagonu albo z cholernego Departamentu Stanu, żeby sobie powęszył.

- Nie mam nic więcej - powiedział generał w mundurze lotnika. - Żadnych nazwisk. Nie znam nawet przybliżonego czasu ich przylotu.

- Do diabła. Czy oni myślą, że nie mam nic lepszego do roboty, jak teraz siedzieć z palcem w dupie w tym cholernym hangarze?

- Może pan się czegoś napije?

- Bardzo chętnie bym się napił - odparł Black. - Ale uważam, że nie jest to ani odpowiednie miejsce, ani właściwa pora na picie.

Potęźnie zbudowany czarnoskóry starszy sierżant, którego Black w ostatniej chwili zabrał na pokład samolotu, podszedł teraz do niego i powiedział:

- Rozpakowałem pańskie cywilne ubranie, sir. Jest trochę w nieładzie.

- Tak jak wszystko, co się wiąże z naszą misją- odparł Black. - Gdzie są te rzeczy, Wes?

- W samolocie - odparł sierżant.

- Czy wszyscy inni już są? - Black spojrzał pytająco na lotnika.

- Są, i to po cywilnemu. - Zapytany rozpiął zamek błyskawiczny kombinezonu. Pod spodem miał koszulę, krawat i brązową tweedową sportową marynarkę.

- To i ja się przebiorę - postanowił generał Black. - A jeśli ci cholerni szpicle nie przylecają do chwili, kiedy będę gotowy, to owszem, wtedy wypiję sobie jednego.

Black wszedł na pokład DC-4, gdzie na fotelu w pierwszym rzędzie stał już podróżny kuferek, nadany przesyłką priorytetową ze Stanów Zjednoczonych. Obok ordynans generała wyłożył dwie marynarki - obie pogniecione po długim składowaniu w kufrze - i trzy koszule, także pogniecione.

Generał wziął do ręki mniej pogniecioną marynarkę, pomyślał chwilę i zaczął się przebierać. Rozumiał konieczność włożenia cywilnego ubrania - gdyby dziennikarze się dowiedzieli, że Amerykanie rozważają możliwość uratowania dup Francuzów w Indochinach,

dopiero by wybuchła afera - jednak wcale mu się to nie podobało. Tym bardziej że ubranie było cholernie pogniecione.

Kiedy skończył, wyszedł do hangaru.

- Panowie - powiedział. - Uprzejmie proszę o uwagę.

Stało przed nim czterech generałów i pułkownik, dowodzący Grupą Bojową 187. Pułku, czterech generałów lotnictwa, dwóch admirałów i jeszcze z dziesięciu innych: oficerów i podoficerów.

Starszy sierżant w średnim wieku, wchodzący w skład grupy generała Blacka, był kryptografem. Kolejny sierżant był kartografem, znającym francuskie mapy wojskowe. Następny był stenografem sądowym, którego Black zabrał ze sobą, aby robił precyzyjne notatki. Black często powtarzał pułkownikowi Carsonowi Newburghowi, że sierżant sztabowy Greer jest oficjalnym sądowym błaznem. Pełnił jednak rolę znacznie poważniejszą. Był jeszcze zwykłym sierżantem w 223. Pułku Piechoty, kiedy delegowano go do XIX Korpusu jako reportera sądowego. Carson Newburgh trzymał go przy sobie, korzystając z jego doskonałych predyspozycji do pracy w biurze, i Greer stał się jakoś członkiem wewnętrznego kręgu, stopniowo obejmując coraz szerszy zakres obowiązków i bezbłędnie się z nich wywiązując. A przy okazji ściągał na siebie zazdrość i gniew innych podoficerów, wyższych stopniem. W końcu stało się jasne, że Greera należy albo gdzieś przenieść, albo awansować, mimo jego młodego wieku i niewielkiego stażu. Zatrzymano go, otrzymał stopień sierżanta sztabowego i Black nigdy tej decyzji nie pożałował.

Przestrzeń przed samolotem wypełniła ściana twarzy.

Oczy generała Blacka spoczęły na sierżancie sztabowym Greerze.

- Sierżancie Greer - odezwał się generał. - Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego nadal jest pan w mundurze?

- Pomyślałem, że poczekam, aż dotrzemy tam, dokąd zmierzamy, i dopiero wtedy zacznę wygniatać moje ubranie cywilne, sir - odparł natychmiast Greer.

Generał Black nie był bynajmniej jedynym starszym oficerem w wygniecionym ubraniu. Pierwszą reakcją na uwagę Greera były najpierw stłumione chichoty, potem ktoś parsknął śmiechem, aż wreszcie wszyscy zaczęli się śmiać, już zupełnie otwarcie.

- Panowie - powiedział generał Black - właśnie poznaliście sierżanta Greera. Jeżeli nie będzie sprzeciwów, zajmie się sprawami i problemami podoficerów. Jak już zapewne zauważyliście, Greer jest mistrzem nad mistrzami w zajmowaniu się problemami dowódcy. Pułkownik Newburgh zajmie się oficerami; Nie spodziewam się żadnych problemów. Francuzi, kiedy czegoś potrzebują, potrafią być uroczy. Niechętnie o tym mówię, ale sytuacja

jest delikatna i chyba muszę o tym wspomnieć. Całe nasze przedsięwzięcie jest tajne, z oczywistych powodów. Muszę wam powiedzieć, i potraktujcie to jako rozkaz, że odtąd nie wolno wam wspominać nikomu, żonom, przełożonym, komukolwiek, gdzie jesteście, gdzie byliście i co robiliście podczas naszej misji. Jest to tak ważne, że moglibyście się znaleźć w sytuacji pewnego generała majora lotnictwa w Londynie, który po wieczorze, podczas którego za dużo paplał, nad ranem obudził się jako podpułkownik. Kwestia druga: nikomu, mnie nie wyłączając, nie wolno niczego obiecać, a nawet sugerować obietnicy Francuzom. Znajdziemy się u nich tylko po to, żeby ocenić sytuację, i to wszystko. Kwestia trzecia: dołączy do nas dwóch VIP-ów. Dlatego właśnie tkwimy tutaj i czekamy. Nie wiem, kim są ci ludzie ani czego chcą. Powiem wam, kiedy się dowiem.

- Panie generale? - przerwał mu oficer, który na płycie lotniska przywitał Dakotę.

- Słucham.

- Za chwilę będzie lądował bombowiec odrzutowy, który leci z Honolulu i którego nikt tu wcześniej nie oczekiwał. Piloci poprosili, żeby poinformowano mnie o tym lądowaniu. To zapewne nasze VIP-y.

- Dziękuję.

Dziesięć minut później drzwi hangaru zaczęły się szeroko otwierać. Do przedniego koła DC-4 podczepiono ciągnik i samolot został wyciągnięty na zewnątrz. Przez płytę lotniska ruszył w kierunku hangaru jeep, pomalowany w biało-czarną szachownicę. Nad samochodem unosiła się identyczna biało-czarna flaga. Po chwili zatrzymał się przed hangarem i wysiedli z niego dwaj mężczyźni w kombinezonach. Obaj nieśli płócienne torby. Generał Black dostrzegł ich przez iluminator DC-4.

- Ożeż ty! - westchnął z uczuciem.

Dwaj nowo przybyli weszli na pokład samolotu. Pilot DC-4 natychmiast uruchomił silniki i maszyna powoli ruszyła drogą kołowania. Zatrzymawszy się przed pasem startowym, załoga wykonała próbę silników, po czym samolot skrzył na pas, nabrał prędkości i wystartował.

Po osiągnięciu przez samolot wysokości przelotowej nowo przybyli wstali ze swoich miejsc i skierowali się ku przodowi kabiny, gdzie samotnie w pierwszym rzędzie siedział generał Black. Pułkownik Newburgh i generał brygadier lotnictwa ruszyli za nimi.

Obaj mężczyźni byli oficerami wojsk lądowych, obaj byli majorami. Pierwszy z nich był muskularnym, na swój sposób przystojnym Szkotem, drugi - drobnym Żydem w okularach.

- No i co, Felter? - odezwał się generał Black. - Widzę, że cię poskładali.

- Tak, sir - odparł drobny Żyd. - Jestem jak nowy. Nawet pan nie wie, jak się cieszę.

- A gdzie, do diabła, znalazłeś tego? - zapytał generał Black, wskazując na Szkota. - Myślałem, że się go pozbyłem raz na zawsze.

- Pułkownik Bellmon powiedział, że go nie obchodzi, co będę robił i dokąd pojedę, sir - odparł Szkot. - Przynajmniej dopóty, dopóki nie wpakuję się w jakieś kłopoty. Więc jestem.

- I co zamierzacie robić w tym towarzystwie? - zapytał generał Black niewinnym głosem.

- Mamy zamiar bardzo dyskretnie przyjrzeć się Dien Bień Phu - powiedział major Felter.

- Tego nie ma w programie - zauważył lotnik, potwierdzając tym samym podejrzenia Blacka, że jest jego odpowiednikiem, mimo że na pokładzie znajdował się generał major lotnictwa.

- Wiem - przytaknął Felter.

- Nie może pan zwiedzać Dien Bien Phu bez zgody generała Blacka - dodał lotnik. - A będę stanowczo sugerował, żeby jej panu nie udzielił.

Felter uważnie popatrzył na Blacka i na niego. Następnie sięgnął do kieszeni i wręczył Blackowi białą kwadratową kopertę. Black przeczytał list, który znajdował się w kopercie, po czym podał go lotnikowi. Była to krótka odręczna notatka, napisana na ozdobnym papierze listowym.

BIAŁY DOM

WASZYNGTON

10 marca 5"4

Major Felter podróżuje na moje polecenie. Należy mu udzielić wszelkiej pomocy, jakiej zażąda.

DDE

- A czy Mac ma przyjaciół na równie wysokich stanowiskach, Felter? - zapytał generał Black.

- Cóż, panie generale - odparł major Felter. - Zna pana i zna mnie.

- Cholera, Mac - westchnął generał Black. - Wiem, że nie powinienem, ale cieszę się, że cię widzę. - Mocno uściskał dłoń MacMillana.

II

1

Dien BienPhu

Indochiny Francuskie

17 marca 1954

Eskapada zawierała w sobie wiele elementów doskonale znanych majorowi Rudolphowi G. „Macowi” MacMillanowi, łącznie ze smrodem, od którego chciało mu się wymiotować.

Samolot był amerykański - dobry stary wierny Douglas C-47Dakota. Żabojady używały takich samolotów do ewakuowania swoich rannych. I z tego właśnie powodu w samolocie tak śmierdziało. Było tu pełno resztek krwi, moczu, gnijącego ludzkiego mięsa i gówień. Pierwszą reakcją ciała w momencie śmierci zawsze było wysranie się w spodnie, jako naturalny efekt rozluźnienia się zwieracza.

Spadochrony, główne i rezerwowe, były amerykańskie, jednak MacMillan nie miał pewności, czy można im ufać. Podejrzewał, że Francuzi, którzy je pakowali, nie przywiązywali do tej czynności odpowiedniej wagi, a w szczególności nie przestrzegali tak jak Amerykanie z oddziałów powietrznodesantowych pięciu podstawowych zasad składania spadochronów. Amerykańskie było także wyposażenie polowe noszone przez żabojadów: mundury szeregowych, środki łączności, broń - właściwie wszystko, z wyjątkiem butów. Buty były francuskie.

Dzieciak nie miał nawet odpowiednich butów. Nie był spadochroniarzem, a więc w tym, że nie ma butów spadochroniarza, nie było nic dziwnego. Miał skakać w standardowych butach od munduru wyjściowego, nazywanych w armii „niskimi ćwiartkami”. Dzieciak z pewnością był draniem z jajami, jednak teraz się bał i Mac o tym wiedział.

Z biegiem czasu Mac nabrał doświadczenia w postępowaniu z przestraszonymi ludźmi.

Dzieciak był swego rodzaju supersekretarzem generała Blacka. Kiedy generał dowiedział się, że zmierzają do Dien Bień Phu, uznał, że dzieciak też powinien lecieć.

- Jeśli uważasz, że możesz się czegoś nauczyć, Greer tak to ujął Black - to jeśli o mnie chodzi, możesz lecieć.

W uszach młodego sierżanta, pracującego dla generała Blacka, zabrzmiało to jak bezpośredni rozkaz. A zatem dzieciak wyruszył na małą wycieczkę, przypuszczając, że w tę i z powrotem zostanie przetransportowany samolotem.

Kiedy żabojady powiedzieli, że będzie trzeba skakać ze spadochronem, odparł, że w porządku, skoczy. Stwierdził, że już od dawna chciał tego spróbować. A przecież nie było w tym ani odrobiny prawdy. Był śmiertelnie przerażony.

Nikt jednak nie potrafił już nic na to poradzić. Cokolwiek by się teraz do niego powiedziało, jedynie pogorszyłoby to sytuację. Co miało się teraz stać, po prostu się stać musiało, i nikt nie mógł w tej sprawie nic zrobić.

Buty Maca były standardowymi amerykańskimi butami spadochroniarskimi, jednak nie był to najpowszechniejszy model dla szeregowych, lecz model trochę ulepszony, Corcoran. Wśród spadochroniarzy panowała powszechna wiara, że corcorany nie tylko błyszczą mocniej od zwykłych butów, lecz także lepiej chronią kostki nóg przed złamaniem przy lądowaniu. MacMillan zaczął nosić corcorany, kiedy przepisowe buty spadochroniarskie jeszcze nie istniały, a kiedy ktoś z Kwatermistrzostwa Korpusu chociaż raz wykombinował coś mądrego i zamówił u producenta w Massachusetts obuwie odpowiednie dla ludzi na tyle szalonych, że gotowi byli wyskakiwać z samolotów.

Pierwsze zamówienie wystosowano na użytek członków batalionu 82. Dywizji Piechoty, określonego jako Batalion Próbny (Spadochronowy). MacMillan, wcześniej mistrz Filipin w boksie, dołączył do niego, ponieważ za skakanie z samolotów płacono pięćdziesiąt dolarów miesięcznie więcej. Właśnie się ożenił i bardzo potrzebował dodatkowych pieniędzy. Korzystał z tych butów ledwie przez miesiąc, gdy jakiś sukinsyn dobrał się do jego torby i po prostu je ukraść.

Kiedy poszedł do magazynu po nowe i popatrzył na to cudactwo, które chcieli mu dać w zamian, wydusił jeszcze tylko z magazynierów informację, że „dobre” buty są sprzedawane w specjalnym sklepie dla żołnierzy. Od tego czasu każdą parę butów spadochroniarskich, których używał jako żołnierz, kupował w sklepie dla żołnierzy albo osobiście u producenta corcoranów w Massachusetts.

Pomyślał, że gdyby miesiąc temu, kiedy kupował kolejną parę, ktoś mu powiedział, że będzie w nich skakał nad jakąś francuską placówką na końcu świata, i to z Sandym Felterem, jakimś sierżantem o dziecięcej twarzy, wykonującym pierwszy skok, i z dziesiątką żabojadów, odpowiedziałby temu komuś, że ma nie po kolei w głowie.

- Myślisz o czymś ważnym, Mac? - zapytał go Felter, z powodu hałasu tak blisko przysunąwszy do niego twarz, że MacMillan poczuł zapach jego pasty do zębów.

- Geronimo! - odwrzasnął MacMillan. - Ty mały draniu!

„Geronimo!” było zawołaniem Johna Wayne'a, kiedy wyskakiwał z samolotu w filmie wojennym o spadochroniarzach. Wszyscy o tym wiedzieli. MacMillan był spadochroniarzem od 1940 roku i na jego odznace prawie nie było już miejsca na kolejne gwiazdki - miał ich już w sumie pięć, gdyż pięciokrotnie skakał bojowo - lecz nigdy nie słyszał, by ktokolwiek inny krzyczał tak w trakcie skoku.

Felter się uśmiechnął.

- Nie mówiłeś mi, że miałeś na myśli coś takiego powiedział MacMillan, szerokim gestem wskazując na kabinę samolotu. - Cholera, to miała być tylko „wizyta inspekcyjna”.

- Przecież ty to kochasz.

- A może ty to kochasz, mały kutasie? - odparł MacMillan. - Ja już tu kiedyś byłem.

- Właśnie dlatego zabrałem cię ze sobą - stwierdził Felter.

- Kiedyś się za to z tobą policzę, Sandy.

Major Sandy Felter był jednym z niewielu ludzi, wobec których MacMillan odczuwał szacunek i podziw. To Felter ubrał w słowa jedną z nielicznych obserwacji filozoficznych MacMillana: Nigdy nie wiadomo, jak wygląda wojownik. Felter był nawet kadetem w West Point, jednak rzadko nosił przynależny mu z tego tytułu pierścień. Miał być absolwentem rocznika 1946, jednak nie było go już na uczelni, kiedy absolwenci tego rocznika w dniu promocji podrzucali do góry kapelusze. Opuścił Korpus Kadetów, by wziąć udział w pewnej misji jako tłumacz. Jako oficer przesłuchujący jeńców wojennych w dowództwie Dywizji Pancernej Piekielny Cyrk generała dywizji Porcky'ego Waterforda, dowiedział się o miejscu przetrzymywania grupy amerykańskich oficerów, jeńców wojennych, których zmuszono do intensywnego marszu byle dalej od zbliżających się Rosjan.

Grupa Specjalna Parkera (pułkownika Philipa Sheridana Parkera III) została naprędce sformowana specjalnie po to, żeby odbić jeńców, i Felter ruszył razem z nią.

Kiedy jego koledzy z roku podziwiali siebie w nowiutkich mundurach podporuczników, Felter był już porucznikiem, odznaczonym Brązową Gwiazdą za udział w operacji Grupy Specjalnej Parkera, i cieszył się wielkim szacunkiem Porcky'ego Waterforda, którego zięć, podporucznik Bob Bellmon był wśród uwolnionych jeńców.

MacMillan wcześniej przez pewien czas przebywał w stalagu z Bellmonem. Był wówczas starszym sierżantem i najwyższym stopniem podoficerem spośród amerykańskich podoficerów uwięzionych z oficerami. Nie wiedział wtedy jeszcze, że jego zachowanie

podczas operacji Market-Garden, podczas której został schwytany, dało mu awans na stopień podporucznika oraz Medal Honoru.

Krótko po tym, jak Niemcy pognali oficerów na zachód, pozostawiając podoficerów niemal samym sobie, MacMillan poprowadził niesamowitą ucieczkę przez całą Polskę.

Po tym wyczynie do jego Medalu dołączył Distinguished Service Cross. O Felterze dowiedział się dopiero wtedy, kiedy razem z Bellmonem wrócił do Stanów.

O działalności Feltera w Grupie Doradczej Armii Stanów Zjednoczonych w Grecji dowiedział się od innego starego kumpla, podpułkownika Reda Hanrahana, który przebywał z MacMillanem w Benning, gdzie skakali ze spadochronami, zanim jeszcze została sformowana 82. Dywizja Powietrznodesantowa. Feltera wysłano do Grecji, gdyż biegle władał językiem rosyjskim. Skończył jako dowódca jednostki szybkiego reagowania, która powstrzymała groźną akcję przemytu broni i atak komunistów z terenu Albanii. Hanrahan odmówił później potwierdzenia plotki, że Felter musiał zastrzelić amerykańskiego oficera, wówczas dowodzącego jednostką, który stchórzył i chciał uciekać. Jeśli chodziło o MacMillana, wierzył, że historia była prawdziwa. Gdyby było inaczej, Hanrahan z pewnością by mu o tym wyraźnie powiedział.

No i MacMillan miał już za sobą osobiste doświadczenie z małym Żydem. W Korei MacMillan dowodził nieregularną jednostką, Zespołem Alfa, a Felter któregoś dnia wyskoczył ze spadochronem na jej stanowiska z rozkazem, z którego wynikało, że od tej chwili Zespół Alfa jest oddziałem szpiegowskim i podlega Felterowi. Po Felterze nie spodziewano się niczego ponad to, że będzie siedział za biurkiem i zgrywał ważniaka. On miał jednak naturę wojownika i spędzał tyle czasu na tyłach Koreańczyków z Północy co żaden inny agent. Pewnego dnia o mało nie zginął, kiedy pewien oddział Koreańczyków okazał się sprytniejszy, niż się po nim spodziewano.

Otrzymał okropny postrzał w kolano i cholernie mało brakowało, by stracił nogę. Pokazał, że ma jaja, kiedy z plaży, na której wylądował, zwałował się z powrotem do wody. Wolał się raczej utopić, niż trafić do niewoli. Nie mógł sobie na to pozwolić, ponieważ za dużo wiedział.

Sandy Felter był takim mężczyzną, jakich MacMillan lubił. Po prostu był wojownikiem.

Podoficer kierujący skokami zrobił kilka kroków w ich kierunku i ruchem ręki dał znak MacMillanowi, że chce z nim porozmawiać.

- Ty z nim porozmawiaj, kutasie - powiedział MacMillan. - Znasz przecież język żabojadów.

Felter odezwał się do podoficera po francusku, po czym przeszedł na niemiecki. W oczach jego rozmówcy pojawiły się wesołe ogniki.

- On chce wiedzieć, czy już kiedyś skakałeś - powiedział Felter z uśmiechem.

- Jezu, tego jeszcze mi trzeba, szwabskiego podoficera we francuskim samolocie.

- Na miłość boską, Mac, ktoś tutaj musi rozumieć po angielsku! - zawołał Felter, jednocześnie zdziwiony i autentycznie zaniepokojony.

- To znajdź kogoś takiego i powiedz mu, że chcę wracać do domu - powiedział MacMillan. Następnie podniósł wzrok, popatrzył podoficerowi w oczy i odezwał się w całkiem niezłym niemieckim: - Ja, ich war ein Fallschirmjager im zweiten Weltkrieg.

Kierownik skoków nie zdziwił się, usłyszawszy, że MacMillan był skoczkiem spadochronowym podczas drugiej wojny.

- Und der Bub? - zapytał.

MacMillan odparł, że „der Bub”, chłopiec, jest pod tym względem dziewicą, ale się nim zajmie.

Podoficer pokiwał głową.

- Ungefähr fünf Minuten - zakomunikował. Miał szewrony sierżanta majora, a na piersi insygnia 3. Pułku Spadochronowego Legii Cudzoziemskiej.

Kolejne komendy zaczął wydawać po francusku, jednak MacMillan doskonale rozumiał ich znaczenie.

- Powstań - rozkazał.

Spadochroniarze - legionieści, Felter, MacMillan i Greer wstali z aluminiowych ławek rozmieszczonych wzdłuż kadłuba. Zaczęli mocować pod brodą paski hełmów, sprawdzać uprzęż między nogami i w ogóle poprawiać sprzęt w tych miejscach, w których uznawali to za konieczne.

Padła kolejna komenda:

- Sprawdzić wyposażenie.

Zawsze odbywało się to w taki sposób, że spadochroniarze kontrolowali siebie nawzajem. Major Rudolph G. MacMillan skontrolował uprzęż i pozostałe elementy wyposażenia do skoku sierżantowi sztabowemu Greerowi, starając się nie okazywać, z jakim to czyni zakłopotaniem. Następnie sprawdził Feltera. Na samym końcu Felter sprawdził sprzęt MacMillana.

- Przypiąć się!

Spadochroniarze przymocowali karabińczyki do stalowej liny biegnącej pod sufitem kabiny. Sprawdzili, czy trzymają odpowiednio mocno i czy sprężynowe zatrzaski są zapięte, tak jak powinny.

- Do drzwi!

Podoficer ustawił Feltera i MacMillana jako drugiego i trzeciego w kolejności, a Greera jako czwartego. MacMillan to zmienił. Na moment wypiął hak z liny i stanął za sierżantem. Teraz stał za Felterem i Greerem. Zawsze to było bezpieczniej mieć dzieciaka pośrodku.

Jako pierwszy w kolejce do skoków stał kapral Legii Cudzoziemskiej. Był Francuzem, obcokrajowcem w swojej własnej armii (Francuzom nie było wolno służyć w Legii Cudzoziemskiej), ponieważ kiedyś wierzył, że narodowy socjalizm jest przyszłością świata, i razem z dziesięcioma tysiącami innych Francuzów wstąpił do 33. Dywizji Waffen SS Charlemagne, która walczyła przede wszystkim w Rosji i niemal w całości została wybita w obronie Berlina, jednak Unterfeldwebel Francois Ferrer był jednym ze szczęśliwców, którzy przeżyli. Przedostał się na zachód i dał się pojmać Francuzom, ale jako Niemiec, członek Waffen SS.

Członkostwo w SS było wielką skazą na życiorysie, ale nie aż tak wielką jak członkostwo we francuskiej dywizji Waffen SS. Kiedy wojna się skończyła, we Francji odżył płomienny patriotyzm.

Pewnego dnia przetransportowano go z obozu dla jeńców wojennych do Marsylii. Wtedy był niemal pewien, że został zdemaskowany i będzie sądzony jako zdrajca.

W tym pierwszym punkcie miał rację, jednak jeśli chodzi o drugi... Po prostu, bez żadnego słowa wyjaśnienia, został pozostawiony przed punktem rekrutacyjnym Legii Cudzoziemskiej.

I znów był kapralem. Do Legii zapisał się jako Franz Ferrer, ale w 1957 roku, po odświeżeniu dwunastu lat, miał otrzymać prawo do wystąpienia o francuskie obywatelstwo.

Legia nie interesowała się przeszłością swoich żołnierzy.

Jeśli ktoś zdołał w niej przeżyć dwanaście lat i pragnął resztę życia spędzić w cywilu, Legia wyposażała go w takie dokumenty, jakie mu były potrzebne.

Legionista nie narzekał na swój los. Wstąpił do Waffen SS po to, żeby walczyć z komunistami, i to samo czynił teraz.

Pilot zmniejszył moc silników i opuścił klapy na skrzydłach. Samolot znajdował się na wysokości mniej więcej sześciuset stóp nad gęsto zalesionymi górami i zbliżał się do doliny.

Niespodziewanie rozległ się obcy dźwięk, głuchy metaliczny brzdęk, jakby ktoś walnął w metalowy pojemnik ze śmieciami. Maszyna przechyliła się na lewe skrzydło i zaczęła skręcać w prawo. Z lewego skrzydła zaczęła się wydobywać wąska nitka dymu. Z każdą chwilą stawała się coraz większa i ciemniejsza.

- O cholera - zaklął MacMillan.

Chmura gęstego, ciemnego dymu rosła i po chwili pojawiły się w niej pomarańczowe płomienie. Wkrótce niemal całkowicie wyparły dym i rozszalałe płomienie ogarnęły całe skrzydło.

MacMillan wypiął się ze stalowej liny pod sufitem kabiny i obiema rękami wypchnął kaprala Franza Ferrera z samolotu. Feltera pchać nie musiał; ten od razu pojął, co się dzieje. Wyskoczył ułamek sekundy po legionście. MacMillan złapał sierżanta sztabowego Greera za ramiona i jednym zdecydowanym ruchem wyrzucił go z samolotu.

Maszyna niespodziewanie zaczęła się wznosić. Gdyby Mac w ostatniej chwili nie złapał się za krawędź drzwi, przeleciałby przez całąabinę. Po chwili C-47 zaczął nurkować przechylony w prawo. MacMillan mocniej podciągnął się do krawędzi drzwi. Żeby stanąć na progu, musiał użyć obu rąk. Wreszcie, używając wszystkich sił, zdołał wyskoczyć.

Linka jego spadochronu najpierw zahaczyła o próg, po czym poleciała do tyłu, i był pewien, że zaczepi o ogon. Tak się jednak nie stało, za to poczuł słabe szarpnięcie uwalnianego pilocika, a po paru sekundach silne, świadczące o tym, że otwiera się główny spadochron.

Zaczął się kręcić wokół własnej osi, ale kiedy czasza wypełniła się powietrzem i napięły się podtrzymujące go liny, zdołał się odwrócić w kierunku, gdzie powinien się znajdować C-47. Opadając łagodnym łukiem z pomarańczową kulą ognia w miejscu lewego silnika, samolot wpadł w gęstą puszcę. Na moment zniknął, po czym w gęstwinie drzew nastąpiła potężna eksplozja. Po MacMillanie nikt więcej już nie zdołał wyskoczyć.

Przekręcił głowę, żeby zobaczyć, co się stało z Felterem, Greerem i kapralem żabojadem. W powietrzu unosił się jeszcze tylko jeden spadochron - Feltera. Wyskoczył przed dzieciakiem, jednak drań nie ważył przecież stu trzydziestu funtów. Było jasne, że przy swojej drobnej posturze musi opadać wolniej niż inni.

MacMillan zobaczył, że czasze spadochronów kaprala i dzieciaka zahaczyły się o korony drzew. Po chwili dostrzegł, że także spadochron Feltera stracił wypukły kształt. Felter również znalazł się między drzewami. Popatrzył pomiędzy stopami, złączył nogi, po czym zgiał je w kolanach, żeby przy lądowaniu ochronić jądra. W tym samym momencie dotarł do pierwszych wysokich gałęzi.

Zamknął oczy i osłonił je ramieniem.

Po kilku nieznośnie długich sekundach, przy akompaniamencie trzasków łamanych gałęzi, które boleśnie uderzały go w głowę, nogi i inne części ciała, nagle się zatrzymał. Otworzył oczy. Wisiał między konarami drzewa, dwadzieścia, może trzydzieści stóp nad ziemią.

Było cicho, bardzo cicho.

Zaczął się kołysać, mając nadzieję, że spadochron się nie rozerwie, a on nie spadnie nagle na ziemię. Po dłuższej chwili zdołał rękami chwycić konar, który - wierzył - zdoła go utrzymać. Wspiął się na niego, szybko uwolnił się z upręży łączącej go ze spadochronem i przez chwilę stał bez ruchu, przywierając całym ciałem do pnia drzewa.

Usłyszał jakiś ruch, pięćdziesiąt, może sto jardów od siebie. Teraz musiał przede wszystkim znaleźć się na ziemi.

Powoli zaczął schodzić po konarach w dół, jednak kiedy znalazł się dwadzieścia stóp nad ziemią, gałęzie się skończyły. Zawisł na rękach na najniższej z nich i po chwili skoczył. Lądowanie okazało się zaskakująco łagodne, ponieważ ziemia pokryta była miękką wyściółką z butwiejących roślin. Śmierdziały jak długo niesprzątany basen kąpielowy.

Przez moment siedział na ziemi, zastanawiając się nad swoją sytuacją. To przecież nie była jego cholerna wojna.

Osobiście nie lubił Francuzów i gówno go obchodziło, czy Indochiny powinny do nich należeć czy nie. Był neutralny.

Sandy powiedział mu, że na czele Viet Minhu stoi facet, który nazywa się Ho Chi Minh. Przez całą drugą wojnę przy jego sztabie była misja łącznikowa OSS, czyli był sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Ho Chi mógł sobie nienawidzić zabójców, ale być może lubił Amerykanów.

Jeżeli ludzie Ho Chi Minha zobaczą go w kombinezonie francuskiego spadochroniarza, z pewnością uznają, że jest zabójcą, więc czym prędzej go zdjął. Pod spodem miał letni mundur wyjściowy (bez kurtki) ze wszystkimi baretkami przypiętymi do koszuli. Sandy Felter powiedział mu, że powinien je mieć przy sobie. Francuzi okazywali wielki szacunek dla odznaczeń i medali, a Mac miał największy z możliwych - Medal Honoru. Powód, dla którego wszyscy mieli tropikalne mundury wyjściowe, był taki, że choć powinni prześlizgnąć się do Dien BienPhu niezauważeni, gdyby jakiś ważniak od zabójców zorientował się, że Amerykanie sami chcą obejrzeć Dien BienPhu, mając za nic zapewnienia le generał, że wszystko tam jest w kapitalnym porządku, zapewne starałby się ich powstrzymać. Zjedli zatem śniadanie w Cercie Sportif, ubrani w tropikalne mundury

wyjściowe, aby zabojady mogli ich sobie policzyć, po czym niepostrzeżenie przedostali się na lotnisko, gdzie Felter jakimś sposobem wkręcił ich na Dakotę, która miała polecieć do Dien BienPhu.

Ruszył w kierunku hałasu, który - jak mu się zdawało - słyszał przed chwilą. Szedł, brodząc niemal po kolana w gnijących roślinach, i z rozpaczą rozmyślał, że właśnie rujnuje sobie nowiutkie buty spadochroniarskie.

Znowu usłyszał czyjeś głosy, jednak natychmiast się zorientował, że nie jest to mowa ani amerykańska, ani francuska. Były dziwaczne, jak gdyby ktoś komunikował się śpiewem. Zaczął poruszać się bardzo cicho, jakby podchodził jelenia albo niedźwiedzia w lasach wokół Mauch Chuck, w Pensylwanii. Tę umiejętność udoskonalił do perfekcji jako zwiadowca w Afryce Północnej, na Sycylii, we Francji i w Niemczech. Nagle opadł na czworaka i przylgnął do ziemi niczym owad. Po chwili położył się płasko na brzuchu i zaczął się czołgać. Pomyślał, że oprócz butów zniszczy sobie także prawie nowy mundur.

Zobaczył trzech Chińczyków, a w każdym razie żółtków, ubranych w czarne pidżamy. Mieli ze sobą zabojada, tego, którego MacMillan wypchnął z samolotu. Dranie uzbrojeni byli w chińskie pistolety maszynowe, a jeden miał amerykański karabin, oraz noże. Przywiązali Francuza do drzewa, szeroko rozłożywszy mu nogi i ręce, i obrzucali go nożami.

Zdążyli już ponacinać mu policzki i klatkę piersiową, tak że jeniec był zalany krwią. Nie krzyczał z bólu tylko dlatego, że w usta napchali mu mnóstwo gnijącego zielska, które zebrali z ziemi.

Ściągnęli z niego spodnie i spodenki. Kiedy zdał sobie sprawę, co chcą mu zrobić, spróbował krzyknąć i prawie mu się to udało.

MacMillan słyszał w Hanoi opowieści o tym, że ludzie Viet Minhu odcinają wrogom kutasy i wpychają im je do ust, lecz do tej pory uważał je za brednie. Teraz zmienił zdanie.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej pistolet, Colta ACP kaliber .32. Ostrożnie wyjął magazynek i sprawdził go, po czym cicho włożył magazynek do pistoletu i przeładował broń, wprowadzając nabój do lufy.

Miał marny pistolet kaliber .32 na trzech facetów uzbrojonych w pistolety maszynowe, nie licząc karabinu!

Skrył się za pnem wielkiego drzewa. Dwaj zabawiali się zabojadem i gnojki doskonale się bawili. Trzeci spoglądał bez większego zainteresowania akurat w tym kierunku, gdzie mógłby dostrzec MacMillana. Znajdował się od niego w odległości zaledwie piętnastu jardów, a może nawet mniej.

MacMillan oparł się lewym ramieniem o pień drzewa, oburącz ujął pistolet i wycelował prosto w nos żółtego drania. Strzał niemal nie spowodował żadnego dźwięku; zagłuszyła go gęsta, wilgotna roślinność. Żółtek przez chwilę wydawał się zdziwiony. Nagle z jego prawego oka trysnęła krew i padł na ziemię. MacMillan wycelował w pozostałych dwóch, kilkakrotnie pośpiesznie wystrzelił, po czym po ziemi przekulał się za drzewo, kryjąc się przed ich ogniem.

Ciszę rozdarły dwie serie wystrzałów. Tylko czy były to pojedyncze serie z dwóch pistoletów maszynowych czy dwie z jednego?

A potem huknęły dwa strzały, jeden po drugim.

Głośne strzały. Z pewnością nie z pistoletu. Nie z karabinu. Brzmiały tak, jakby ktoś strzelał ze strzelby. Do diabła, co jeszcze ci Chinole, czy ktokolwiek to był, mieli na uzbrojeniu? Może było ich więcej i po prostu ich nie zauważył? Może dodatkowi ludzie stali na straży, pilnując, żeby nikt nie zakłócał zabawy z jeńcem?

- Już w porządku, majorze - zawołał dzieciak. - Obaj nie żyją.

Ostrożnie wyjrzał zza drzewa. Dzieciak właśnie odwiązywał żabojada od drzewa.

MacMillan wstał, podszedł bliżej i, trzymając pistolet w pogotowiu, stanął przed martwymi żółtkami. Zrobiło mu się trochę głupio, kiedy dobrze im się przyjrzał. Jeden z nich miał odstrzelone pół głowy, a cały tułów drugiego był jedną krwawą miazgą.

Rzeczywiście, strzelano do nich ze strzelby; żadna inna broń nie mogła spowodować takich ran. Popatrzył na dzieciaka, który zdążył już uwolnić żabojada i właśnie podnosił coś z ziemi. Strzelbę z przyciętą lufą.

Żabojad, brocząc krwią, nachylił się i wziął do ręki jeden z pistoletów maszynowych należących do żółtków. Stanął nad zwłokami jednego z nich i zawartość całego magazynka wpakował mu w krocze.

MacMillan podszedł do Greera i wziął od niego strzelbę.

To nie był Winchester model 12 po użyciu piłki do metalu.

To była profesjonalna robota - skrócono nie tylko lufę, ale też magazynek pod nią, zawierający zwykle pięć nabojów i system przeładowania. Teraz w magazynku były nie więcej niż dwa naboje i trzeci w lufie. Odcięto też kolbę, zostawiając jedynie uchwyt pistoletowy, tak że to, co pozostało, było niewiele dłuższe od czterdziestki piątki.

- Ładne cacko - ocenił MacMillan

- Zanim trafiłem do sztabu, byłem w piechocie - wyjaśnił dzieciak. - Z czego pan zastrzelił tego pierwszego żółtka? - zapytał.

MacMillan podał mu Colta kaliber .32.

- Nie śmieć się, bo zadziałało - uprzedził dzieciaka. Tym bardziej że miałeś być nieuzbrojony.

- Ano - zgodził się dzieciak.

- Gdzie to miałeś? - zapytał MacMillan. - Nie zauważyłem jej.

Dzieciak nie odpowiedział.

W puszczy rozległ się jakiś hałas. Dzieciak przykleknął, trzymając broń w pogotowiu, a MacMillan zdał sobie sprawę, że dzieciakowi pozostał tylko jeden nabój.

- Nie strzelajcie - zawołał Felter, niewidoczny w głębi buszu. - To ja!

Po krótkiej chwili się pojawił. Chował właśnie Colta model 1911A1 za pasek na plecach, gdzie zasłaniała go kurtka mundurowa.

- Ty zasrany kurduplu! - zirytował się MacMillan, kiedy Felter wyszedł na niewielką pustą przestrzeń pomiędzy drzewami. - Żeby cię cholera wzięła!

Felter zignorował go i ukląkł przed Francuzem, który teraz siedział oparty o drzewo.

- Straci jeszcze trochę krwi - powiedział. - Co się z nim działo?

- Chinole zamierzali nakarmić go jego własnym kutasem - odparł zwięźle MacMillan.

- Viet Minh, Mac - poprawił go Felter. - Wszystko w porządku, sierzancie?

- Tak jest, sir - odparł Greer.

- Uratował nasze dupy, strzelając z tej zabawki - powiedział MacMillan. - Jesteś nam winien przeprosiny, Felter.

- Z powodu broni? - Uśmiechnął się Felter.

- Brawo! Pamiętam, jak pieprzył: Żadnej broni. Nie możesz zabrać nawet swojego małego Colta. Jesteśmy neutralnymi obserwatorami!

- Ani przez chwilę nie liczyłem, że mnie posłuchasz. To była oficjalna wersja.

- Pieprzysz?! - zawołał MacMillan.

- Nieoficjalnie panu powiem, sierzancie - kontynuował Felter - że bardzo się cieszę, iż źle mnie pan zrozumiał.

- Chyba włożył sobie tego gnata w gacie - zauważył MacMillan. - Spójrz tylko na to.

Sierzant Greer podał Felterowi swoją broń.

- Piękna, sierzancie - powiedział Felter. - Naprawdę ładna. Skąd pan ją ma?

- Sam zrobiłem.

- Kiedy się stąd wydostaniemy, będę chciał, żeby zrobił pan coś takiego również dla mnie.

- A wydostaniemy się? - zapytał sierżant Greer.

- W tej sprawie z pełnym zaufaniem oddajemy się w ręce majora MacMillana. W takich sytuacjach jest całkiem dobry.

- Pierdol się, Sandy - zaproponował MacMillan.

Podszedł do zabójcy i zlustrował go uważnym spojrzeniem, zastanawiając się, czy zdołają go utrzymać przy życiu.

2

Hanoi

Indochiny Francuskie

17 marca 1954

Le General Commandant des Forces Francaises de Indo-Chine oraz jego sztab zaserwowali koktajle generałowi broni E. Z. Blackowi i jego ludziom w salonie na piętrze w Cercie Sportif. Koktajle podawali żołnierze, potężni, czarni jak smoła Senegalczycy w służbie francuskiej, ubrani w białe marynarki, bawełniane spodnie i czerwone fezy.

Po koktajlu w głównej sali jadalnej miał zostać podany le diner.

Francuscy oficerowie byli w pełnym umundurowaniu, mimo że Amerykanie nosili ubrania cywilne w całkowicie absurdalnym przekonaniu, iż dzięki temu ukryją swoją obecność w Hanoi.

Generał Black nie miał najlepszego nastroju. Cholerni Francuzi mieli chęć prosić o żołnierzy, samoloty i okręty, ale przede wszystkim jednak o żołnierzy, dokładnie piechotę, żeby pod rozkazami francuskich oficerów walczyła w ich zaszrannej wojnie kolonialnej. Twierdzili, że mają doświadczenie w zmaganiach z komunistycznymi buntownikami, a Amerykanie takiego doświadczenia nie mają. No i przede wszystkim Indochiny są częścią Francji.

Black przesunął po stole konferencyjnym notatkę, przeznaczoną dla Newburgha. „Skompletuj listę ich nazwisk, żebyśmy następnym razem, kiedy będziemy chcieli przegrać wojnę, wiedzieli, gdzie szukać doświadczonych oficerów .

Oczywiście podczas konferencji zachowywał się poprawnie. Był żywym przykładem wojskowego uroku i taktu i próbował wyjaśniać trudności, jakie generał Eisenhower, prezydent Eisenhower, zapewne napotka, starając się namówić Kongres do wysłania

amerykańskich oddziałów do Indochin, a szczególnie oddania tych oddziałów pod dowództwo francuskich oficerów.

Lunch przebiegł bez żadnego incydentu, podobnie jak popołudniowa sesja obrad, jednak teraz, po kilku drinkach, pułkownik Newburg zaczynał się obawiać o generała Blacka.

- Właśnie odgadłem, za co żabojady mają te swoje wszystkie medale - powiedział Black. - Ten brązowy z nagą damą na koniu jest za „dziwną wojnę”. Ten z pogniecionymi flagami jest za przegranie walki o linię Maginota, a ten z potrójnym krzyżem za strzelanie do nas, kiedy wylądowaliśmy w Casablance...

- Spokojnie, E. Z. - odparł Newburgh stanowczo. Wkrótce będzie po wszystkim.

- Wiesz, kiedy byłem najszcześliwszy, Carson? - zapytał Black, zapinając rozporek. - Kiedy byłem pełnym pułkownikiem z nadziejami, że odejdę na emeryturę z pierwszą i jedyną gwiazdką generalską, i nie musiałem się martwić niczym innym jak tylko dowodzeniem pułkiem. Byłem po prostu żołnierzem i nie musiałem się do nikogo fałszywie, cholera, uśmiechać.

- Myślę, że George Washington czuł się tak samo podczas wojen z Francuzami i z Indianami, kiedy prosił Kongres o pieniądze i żołnierzy.

- Wojny z Francuzami i Indianami? Cholera, masz rację. On przynajmniej wiedział, kto jest wrogiem.

- Przygotuj się do rozdawania kolejnych miłych uśmiechów - powiedział Newburgh i zachichotał. - Uśmiech, generale!

- Zaczaruję tych sukinsynów moją uprzejmością, pułkowniku - odparł Black. - Dobry żołnierz idzie tam, dokąd go poślą, robi to, co mu każą, i uśmiecha się. - Wyszczrzył się i spytał: - Czy mój uśmiech jest już odpowiedni?

- Spróbuj tylko trochę mniej pokazywać kły.

To było najtrudniejsze.

Przed salonem stał generał major, śpiesząc donieść generałowi Blackowi, że chociaż jest pewien, iż le generał go nie pamięta, on sam doskonale pamięta le generał z tych chwalebnych dni, kiedy le generał dowodził pułkiem w Piekielnym Cyrku i „asystował” Generałowi LeClercowi, dowodzącemu 2. (francuską) Dywizją Pancerną, przy wyzwoleniu Paryża.

Generał porucznik E. Z. Black wyrobił sobie już dawno profesjonalną opinię, że, po pierwsze, tak zwane wyzwolenie Paryża nie wymagało żadnego wysiłku militarnego. Paryż można było z powodzeniem obejść, bo von Choltitz, niemiecki komendant miasta, był gotów ogłosić go miastem otwartym. Po drugie, gdyby zdobycie tego przekłętą miejsca leżało w

najlepiej pojętym interesie Stanów Zjednoczonych, Piekielny Cyrk uzyskałby na to pozwolenie. Jego pułk zajmował wówczas pozycje na przedmieściach Paryża, gotowy w każdej chwili do obejścia go lub przejścia przez miasto (zależnie od rozkazu). Otrzymał jednak inny rozkaz: żeby pozostać na miejscu i przepuścić oddziały LeClerca.

Uśmiech generała E. Z. Blacka stał się wyraźnie wymuszony, kiedy do francuskiego generała podszedł francuski pułkownik i powiedział mu kilka słów do ucha. Zdawało mu się, że szeptem.

A powiedział generałowi, że C-47, na którego pokładzie dwaj amerykańscy oficerowie i amerykański sierżant zamierzali się dostać do Dien BienPhu, został zestrzelony.

Nikt nie przeżył.

Francuski generał najwyraźniej mocno się wahał, czy powtórzyć generałowi Blackowi tę informację, czy pozostawić ten smutny obowiązek le generał commandant.

- Generale - odezwał się generał Black w płynnej francuszczyźnie. - Niech pan będzie takdobry i przekaże wyrazy mojego współczucia na ręce le generał commandant. Ludzie, których zabili wasi wrogowie, byli moimi osobistymi przyjaciółmi. Muszę dopilnować, aby o tragedii poinformowano ich rodziny.

Generał porucznik E. Z. Black i pułkownik Carson Newburgh wyjechali z Cercie Sportif rolls-royce'em, który Francuzi oddali do wyłącznego użytku generała. Wkrótce dotarli do konsulatu amerykańskiego przy rue General Marneaux, znaleźli szyfranta i przesłali PILNĄ depeszę do Szefów Połączonych Sztabów. Zawierała informację, że majorowie Stanford T. Felter i Rudolph G. MacMillan oraz starszy sierżant Edward C. Greer znajdowali się na pokładzie francuskiego C-47, zamierzając dostać się do Dien Bień Phu. Samolot został zestrzelony i najprawdopodobniej wszyscy trzej zginęli.

Następnie generał Black i pułkownik Newburgh udali się do willi, którą przydzielił im le generał commandant, gdzie opróżnili litrową butelkę whisky Haig and Haig w całości oraz drugą w połowie.

Dien BienPhu

Indochiny Francuskie

21 marca 1954

- Możemy się założyć, że to są żołnierze - powiedział MacMillan.

- Z doświadczeniem bojowym. O to ci chodzi? - uzupełnił Felter.

Była szósta nad ranem i znajdowali się w dżungli, mając przed sobą najbardziej wysunięty posterunek francuskiego garnizonu w Dien BienPhu. Przebywali w takim miejscu, jakie w czasie pierwszej wojny światowej nazywano „ziemią niczyją”. Francuskie stanowiska znajdowały się dwieście jardów od nich, za raczej odsłoniętym obszarem, poprzecinanym zasiekami z drutu kolczastego i najprawdopodobniej zaminowanym. No i dosłownie przeoranym przez setki tysięcy pocisków artyleryjskich i moździerzowych. Stanowiska Viet Minhu były za nimi, za nierówną linią wzgórz, niewidoczne dla Francuzów, a więc zabezpieczone przed ich ogniem z broni maszynowej.

Ostatnie cztery noce spędzili, czołgając się przez linie Viet Minhu dosłownie cal po calu. Dopięli swego, chociaż w głębi ducha żaden z nich nie wierzył w powodzenie, jednak to jeszcze nie rozwiązywało ich problemu. Znajdowali się w odległości dwustu jardów od zbawczych stanowisk Francuzów, jednak w ich sytuacji było to tyle samo co dwieście mil.

Dla Francuzów każdy, kto krył się w dżungli, był wrogiem. Dostrzegłszy jakikolwiek ruch w gęstwinie, od razu pokrywali podejrzone miejsce ogniem. Po przewróconych drzewach i niezliczonych dołach po wybuchach można było wnioskować, że nie szczędzą amunicji, żeby zdusić w zarodku każdy atak, i że jest to standardowa francuska taktyka.

Problem polegał więc na tym, że należało Francuzów poinformować, że to właśnie oni znajdują się przed ich pozycjami i że są przyjaciółmi, a nie wrogami. Należało to uczynić w taki sposób, żeby Francuzi nie zdążyli ich wcześniej zastrzelić.

Rozwiązanie problemu, które zaproponował MacMillan, było raczej niezwykle, jednak ani Felter, ani Greer, nie potrafili wymyślić lepszego.

Mieli mianowicie, używając suchych liści, gałęzi i konarów z połamanych drzew, rozpalić ogień. W miejsce, gdzie pojawią się płomienie, Francuzi, naturalnie, natychmiast zaczną strzelać. Ogień musieli więc wzniecać powoli, żeby zdążyć uciec, zanim rozpocznie się ostrzał. Płomienie powinny być potężne, żeby przez długi czas skupiały na sobie uwagę

Francuzów. Kiedy ostrzał się zakończy i, w mniemaniu żabojadów, nie pozostanie przy życiu ani jeden rzekomy wróg, podpełzną z powrotem na miejsce pożaru, wstaną, podniosą ręce nad głowy i w charakterze jeńców powoli pomaszerują w stronę stanowisk Francuzów.

Albo przejdą na ich stronę, albo na własne życzenie zostaną wystrzelani.

Ale jeśli pozostaną na miejscu beczynnie, najprawdopodobniej zastrzelą ich żółtki z Viet Minhu, wcześniej podziurawiwszy im policzki i nakarmiwszy ich własnymi kutasami.

- Pieprzyć to - powiedział starszy sierżant Greer. - Do dzieła. Zapalmy ten pieprzony ogień.

- Zapalmy ten pieprzony ogień, panie majorze. Proszę przestrzegać regulaminu, sierżancie - poprawił go major MacMillan.

- Z całym szacunkiem - odparł Greer, odczołgując się do tyłu - pierdol się pan, panie majorze, sir.

Wszystko poszło niemal dokładnie tak, jak zaplanowali. Ogień zapłonął. Francuzi ostrzelali go, aż huczało. Po chwili zaczęli walić z moździerzy. A oni najpierw oddalili się od miejsca, w którym wznieśli pożar, a potem wrócili, zebrali się na odwagę i wstali.

Unieśli ręce wysoko nad głowę i ruszyli przed siebie, machając rozpaczliwie w kierunku pozycji Francuzów.

Francuzi początkowo nie strzelali do nich. Otworzyli ogień dopiero wtedy, kiedy przeszli około pięćdziesięciu jardów.

Dali nura na ziemię i przez dziewięćdziesiąt sekund, które w pewnych okolicznościach mogą się wydawać wiecznością, próbowali być tak chudzi i płascy, jak to tylko było możliwe. Po tych dziewięćdziesięciu sekundach zdali sobie sprawę, że kule z automatów i karabinów maszynowych przelatują dobre dziesięć stóp nad ich głowami, a pociski z moździerzy przelatują nad nimi wysokim łukiem i lądują w ziemi pomiędzy nimi a stanowiskami Viet Minchu. Żabojady utworzyli dla nich zaporę ogniową!

Wstali i pobiegli w kierunku Francuzów. Dotarli do nich bez szwanku, z wyjątkiem Greera. W jego prawej nodze utkwiał szrapnel z pocisku moździerzowego. Mniej więcej dziesięć cali od krocza.

Szpital w Dien Bien Phu znajdował się oczywiście pod ziemią. Mimo że wszyscy uważali to za niemożliwe, żołnierze Vieth Minhu przenieśli amerykańskie haubice kaliber 105 mm, które zdobyli na samym początku wojny koreańskiej, na stanowiska, z których widoczne były pozycje Francuzów, i prowadzili z nich bezustanny ostrzał nękający. Czasami jeden pocisk eksplodował co dziesięć minut, a czasami aż pięćdziesiąt w ciągu minuty.

Francuzi funkcjonowali więc pod ziemią, podobnie jak ich szpital.

Szrapnel, który trafił Eda Greera, rozerwał mu skórę na nodze jak cięcie wyszczerbionego noża, jednak nie pozostał w ciele. Ranę zaszyto, po czym podano lekarstwa - w formie zastrzyków i doustnie -by uniknąć infekcji i uśmierzyć ból. Lekarz, który się nim zajmował, okazawszy najpierw zaskoczenie i radość, że Amerykanin mówi po francusku, powiedział mu, że największe ryzyko infekcji pochodzi nie od rany po szrapnelu, lecz wynika z ukąszeń pijawek oraz owadów, i że jak Greer już się stąd wydostanie, powinien brać „mnóstwo kąpieli i używać mydła przeciwbakteryjnego”.

Na noc położono go w jednoosobowym pomieszczeniu, małej kabinie wyposażonej w łóżko szpitalne armii amerykańskiej, amerykańską lampkę gazową, dwie menażki wody i szklankę oraz kilka egzemplarzy starych francuskich i indochińskich gazet.

Odwiedzili go Felter i MacMillan. MacMillan szybko, chociaż niezbyt taktownie, wyjaśnił mu bieżącą sytuację.

- Idziemy na imprezę z oficerami - powiedział. - Ciebie nie możemy zabrać. Możesz się bawić z żołnierzami, ale jeśli jesteś rozsądny, zostaniesz tutaj, w czystej pościeli. Żołnierze śpią tu zwykle na gołej ziemi. Francuzi postarają się wydostać nas stąd jutro rano albo pojutrze.

- Zostanę w łóżku - odparł Greer.

- Mamy dla ciebie coś do ubrania - powiedział Felter.

Na gwoździu wbitym w pomalowany na biało pień, który podtrzymywał sufit szpitalnego bunkra, powiesił maskujący mundur Legii Cudzoziemskiej, przeznaczony do walki w dżungli.

- Chciałbyś się czegoś napić? - zapytał MacMillan.

- Tak, proszę.

- Zobaczę, co się da zrobić.

Dziesięć minut później u Greera pojawił się legionista, którego żołtki z Viet Minhu przywiązali do drzewa. Towarzyszyło mu dwóch innych legionistów, mocno pijanych. Greer był pewien, że jeden z nich jest Amerykaninem, chociaż temu zaprzeczał i twierdził, że jest Belgiem. Ale był Amerykaninem, a przynajmniej mieszkał w Stanach wystarczająco długo, by mówić perfekcyjną angielszczyzną rodem z Chicago. Był sierżantem i został przyprowadzony jako tłumacz przez sierżanta majora dowodzącego kompanią, który nie wiedział, że Greer mówi po francusku.

- Franz powiedział nam, co dla niego zrobiłeś - odezwał się „belgijski” legionista. - A nasz dowódca kompanii mówi, że teraz, skoro omal nie zginąłeś w tym bałaganie, skoro wyskoczyłeś tu z samolotu, jesteś jednym z nas.

Legioniści posadzili Greera na łóżku, ubrali go w maskującą kurtkę mundurową, przypięli do niej skrzydełka spadochroniarza, po czym dowódca kompanii ucałował go w oba policzki, a pozostali dwaj zasalutowali. Oddawszy honory, ściągnęli z niego mundur, wręczyli mu dwie butelki czerwonego wina, bez nalepek, i wreszcie, chwiejąc się na nogach, wyszli.

Greer wypił mniej więcej pół butelki wina, czytając przy syczącej lampce gazowej „Paris Match” i „Le Figaro”. W końcu wyłączył ją i zasnął, nagi w wygniecionej pościeli.

Obudził się, kiedy wyczuł, że pielęgniarka omiata pomieszczenie światłem latarki, jednak nie ruszał się do momentu, kiedy usłyszał syczenie lampki gazowej, którą zapaliła. Wtedy odwrócił się i popatrzył na kobietę.

Była blondynką, miała przedziałek na środku głowy, włosy starannie uczesane. Ubrana była w mundur legionisty do walki w dżungli. Greer ocenił, że ma około trzydziestu lat. A może nawet mniej. Kobiety szybko się tutaj starzały.

- Obmyję rany po ukąszeniach pijawek - powiedziała po angielsku.

- Je parle francais, mademoiselle - odparł Greer.

Zapytała go, gdzie nauczył się francuskiego, a on odparł, że kiedyś często bywał w wesołym miasteczku, w którym występowali francuscy akrobaci. Wtedy go zapytała, co robił w wesołym miasteczku, a on skłamał, że jego ojciec był właścicielem tego przybytku.

W trakcie rozmowy kobieta przecierała rany bawełnianą szmatką zmoczoną w alkoholu. Kiedy dotarła poniżej pasa, bez wahania ściągnęła z niego nakrycie. Greer czuł oczywiście alkohol, jednak zauroczył go zapach jej perfum. Kiedy dotarła do jego łydek i kostek u nóg, miał nadzwyczajną erekcję.

- Proszę się odwrócić - powiedziała.

- Widzi pani, jeśli się odwrócę, oboje nas wprawię w zakłopotanie.

Kobieta roześmiała się i podała mu ręcznik.

Greer powiedział sobie, że owszem, jest zawstydzony, ale jego zachowanie jest zupełnie naturalne, mimo że kobieta jest tylko pielęgniarką - w całej sytuacji nie ma ani krzty romantyzmu.

Znalazła pod jego ramieniem ugryzienie, które oboje wcześniej przeoczyli, i zdezynfekowała je. Erekcja za nic nie chciała ustąpić. Pielęgniarka ominęła członek i zajęła się nogami Greera. Zmieniła opatrunek na zaszytej ranie po szrapnelu.

- Ciągłe jest sztywny - zauważyła jakby mimochodem.

Greer się zaczerwienił, a kobieta zachichotała.

- Nie musi się pan wstydić.

Położyła rękę na jego brzuchu, mniej więcej cal powyżej namiotu, w który układał się ręcznik na jego członku.

- Jest tutaj trzydzieści dziewięć kobiet - powiedziała. Francuskich kobiet. Pięć z nich jest zamężnych: trzy z oficerami, dwie z sierżantami. To oznacza, że pozostałym kilku tysiącom mężczyzn pozostają trzydzieści cztery kobiety.

- To chyba macie doskonale notowania.

- Nie walczymy pomiędzy sobą o mężczyzn. Viet Minh daje nam wystarczająco w kość. No i nie jesteśmy kurwami.

Nie miał pojęcia, do czego kobieta zmierza.

- Tylko od czasu do czasu mam ochotę na mężczyznę - powiedziała. - Gdybym chciała tu być z kimś na stałe, spowodowałoby to tylko kłopoty.

Greer pokiwał głową.

- Rozumiesz? - zapytała.

Napotkał wzrokiem jej spojrzenie.

Wsunęła dłoń pod ręcznik, przytrzymała go i zachichotała, jakby z uznaniem. Drugą ręką zerwała ręcznik z Greera i przewiesiła go przez poręcz w nogach łóżka.

- Nie ruszaj się - powiedziała.

Puściła go, szybko pozbyła się spodni mundurowych Legii Cudzoziemskiej, ukłękła nad Greerem i wsunęła w siebie jego penis.

Żadna kobieta wcześniej nie kochała się z nim w ten sposób. Zapamiętał to na całe życie.

Samolot, który nazajutrz przyleciał po Amerykanów, rozbił się przy lądowaniu. Następnego dnia była mgła i żadnego samolotu. Dopiero trzeciego dnia, wśród nekającego ostrzału artyleryjskiego, wybiegli w pośpiechu do Dakoty, wskoczyli do niej i jeszcze przez

dłuższy czas oblewał ich ohydny, lepki pot - dopóki nie oderwali się od pasa startowego i nie wydostali poza zasięg półcalowych karabinów maszynowych Viet Minhu.

5

Ambasada Stanów Zjednoczonych Ameryki

Tajpej, Tajwan

25 marca 1954

Generał porucznik E. Z. Black wyszedł z kolacji z ambasadorem tak szybko, jak tylko mógł, żeby go nie urazić. Nie zgodził się na zamieszkanie w domu gościnnym dla VIP-ów i w końcu przydzielono mu kwatere w głównym budynku ambasady.

Kiedy pełniący służbę wartowniczą Marinę zasalutował mu - mimo że był w cywilnym ubraniu - Black zapytał go, czy nie widział przypadkiem sierżanta Greera.

- Widziałem go, sir - odparł Marinę. - Jest obecnie w gabinecie attache.

- Co on tam robi? - zdziwił się głośno Black.

- Sierżant Greer powiedział oficerowi dyżurnemu, że wykonuje pańskie rozkazy, sir.

- A tak, oczywiście. To jest chyba na drugim piętrze, prawda?

- Tak, sir - odparł Marinę.

Zaczął się interesować miejscem pobytu Greera z powodu niejasnej (może ojcowskiej?) obawy, że Greer zacznie świętować szczęśliwy powrót, zalewając się w trupa, i to w towarzystwie panienek. Usłyszał to, co miał nadzieję usłyszeć, że Greer nie opuścił terenu ambasady, jednak nie miał pojęcia, dlaczego sierżant posłużył się jego nazwiskiem, a już tylko Bóg jeden wie, dlaczego polazł do gabinetu attache.

Bez trudu znalazł wejście do gabinetu. Jego drzwi były jedynymi na długim korytarzu, spod których prześwitywało na zewnątrz światło.

W sekretariacie siedział na krześle sierżant, mniej więcej w wieku czterdziestu lat. Greer zajął miejsce przy biurku sekretarki i z pewnym zacięciem pisał coś na elektrycznej maszynie do pisania marki IBM.

Ujrzawszy generała Blacka, sierżant z ambasady natychmiast stanął na baczność. Sierżant Greer tylko na niego zerknął i powrócił do pisania. Spokojnie dokończył linijkę, akapit czy cokolwiek, co miał do dokończenia, i dopiero wtedy wstał.

Ubrany był w nowy mundur khaki. Kiedy uznano go za zmarłego, armia spakowała wszystkie jego rzeczy osobiste i mundury, po czym odesłała je do domu. Kiedy MacMillan, Felter i Greer wrócili w końcu z Dien Bien Phu, wszyscy trzej mieli na sobie mundury polowe do walki w dżungli, należące do Legii Cudzoziemskiej. Obecny przydzwiek Greera pochodził najprawdopodobniej z jakichś zapasów attache wojskowego.

Szewrony na rękawach Greera miały teraz jeden pasek więcej. Black zauważył, że ma ich teraz tyle ile sierżant, który został tu oddelegowany, żeby miał na niego oko, mężczyzna dwa razy od niego starszy. Greer miał także na mundurze khaki francuskie skrzydełka spadochroniarza, a do jego naramienników przypięte były pułkowe insygnia: gamę Regiment Parachutiste de la Legion etrangere. Black pomyślał, że odznakę spadochronową może sobie od biedy nosić, ale odznaki Legii Cudzoziemskiej musi zerwać.

Uznał jednak, że teraz nie jest właściwy moment, żeby mu o tym powiedzieć.

- Kończysz, Greer? - zapytał Black, kiedy ten wreszcie skoncentrował na nim uwagę.

- Zostało mi pół strony, sir - odparł Greer.

Z koszyka na dokumenty wziął plik kartek i wręczył je generałowi. Następnie usiadł, kolejną kartkę wkręcił w maszynę i zaczął pisać w ekspresowym tempie. Skończył i energicznie wykręcił ją, zanim generał Black zdążył przeczytać to, co dał mu przed chwilą.

- To mogło poczekać do rana - powiedział generał Black, nie odrywając się od czytania.

Był to jego własny raport końcowy z konferencji w Hanoi. A właściwie nie, poprawił się Black, niezupełnie. Jego dziewiętnastoletni sierżant, który niedawno pokonał wroga na polu bitwy, uznał za wskazane, że osobiście „poprawi” szkic, który napisał pułkownik Carson Newburgh, a który Black miał w ciągu najbliższych godzin zatwierdzić i nadać przez radio.

Powinienem mu skopać dupsko, pomyślał Black. A jednak prawda była taka, że chłopak wprowadził do raportu istotne poprawki, nie tylko redakcyjne, i usunął z tekstu fragmenty, które można było rozumieć dwuznacznie.

- Rano planuję mieć potężnego kaca, sir - powiedział Greer. Stał właśnie przed lustrem i ponownie wkładał krawat, który zdjął do pracy przy maszynie.

W tym wypadku wielkie oddanie Greer a swej pracy polegało na poprawieniu nieporadnej angielszczyzny dowódcy przed wieczornym wyjściem do miasta w celu zalania się w trupa.

- Czy wiesz, co to znaczy „złapać się we własne sidła”, Greer?

- Aż się boję zapytać.

Generał Black popatrzył na sierżanta z ambasady.

- Mógłbyś połączyć mnie z pułkownikiem Newburghiem? - poprosił. - Carson - powiedział, kiedy uzyskał połączenie. - Greer wniósł do naszego dokumentu pewne poprawki. Czy masz ochotę jeszcze teraz je przejrzeć?

Do gabinetu wezwany został sierżant Wallace, protokolant, natomiast sierżant z ambasady został zwolniony.

Na dalszym poprawianiu tekstu minęła ponad godzina, aż wreszcie pułkownik Carson W. Newburgh oznajmił:

- Teraz powinno być dobrze. Wystarczy jeszcze popoprawiać przecinki. Co ty na to, E. Z?

- Zgadza się. Sierżancie - powiedział generał Black niech pan to przepisze, każe zaszyfrować i wysłać. Jako PILNE. PRIORYTET nie wystarczy.

- Tego nie trzeba przepisywać - stwierdził sierżant Greer. Black zmierzył go gniewnym spojrzeniem. - Przecież i tak spalimy oryginał - dodał sierżant.

- Sierżancie Wallace, proszę więc dać to do zaszyfrowania w takiej formie, w jakiej jest w tej chwili ~ zdecydował generał.

- Jeszcze nie mamy nagłówka, sir.

- Niech będzie „Raport generała porucznika E. Z. Blacka dla Szefów Połączonych Sztabów” - podpowiedział sierżant Greer. - Temat: „Ocena sytuacji militarnej Francuzów w Indochinach, ze szczególnym uwzględnieniem francuskiego garnizonu w Dien BienPhu”.

Black zastanawiał się przez minutę, po czym skinął głową na znak zgody.

Sierżant Wallace wziął raport i poszedł na poszukiwania szyfranta.

- Tak się puszysz, Greer, że niechętnie o tym mówię odezwał się generał Black. - Ale cóż, wykonałeś dobrą robotę i to doceniam.

- Czy sierżantowi wolno powiedzieć, panie generale, że sierżant jest zachwycony sposobem, jaki generał wybrał, aby okazać swoje zadowolenie? - Greer z czułością pogłaskał swoje nowe szewrony.

- To zamiast medalu. Zasłużyłeś.

- A więc kiedy dostanę medal, będę musiał zwrócić nowe dystynkcje?

- Jaki medal?

- Croix de Guerre - odparł Greer. - Za ocalenie tego, co Francuz miał najcenniejszego. Pewnie w uzasadnieniu napiszą, że za męstwo albo inną podobną bzdurę, jednak w gruncie rzeczy będzie chodziło o francuskiego fiuta. Myślałem, że pan o tym wie.

- Pentagon nie pozwoli ci przyjąć tego odznaczenia, Greer - wtrącił się Carson. - Byłoby to bardzo kłopotliwe politycznie.

- Jezu, a ja zawsze chciałem mieć na piśmie, że jestem bohaterem.

- A te symbole Legii Cudzoziemskiej musisz usunąć powiedział generał Black. - Schowaj je sobie w papierośnicy albo gdziekolwiek, ale zdejmij z munduru.

Greer zaczął odpinać emblematy Legii.

- A odznaka spadochronowa? - zapytał.

- Możesz ją zatrzymać. Prawda, Carson? Jako dowód posiadanych kwalifikacji. - Newburgh pokiwał głową. - Jeśli ktokolwiek będzie cię pytał, odpowiadaj, że odbyłeś kurs spadochronowy u Francuzów.

- Bo to prawda! - Roześmiał się Greer. - To był błyskawiczny kurs.

- Greer, chyba rozumiesz, co mamy na myśli? - skarcił go Carson.

- Przykro mi z powodu Croix de Guerre, Greer - powiedział Black. - Francuzi rozdają medale tysiącami, jeśli jednak chodzi o Croix de Guerre, są bardzo oszczędni i nie nadają go byle komu.

- Wspaniale wyglądają w tych swoich medalach na różnych pochodach i paradach - dorzucił Newburgh z sarkazmem.

- Nawet się nad tym zastanawiałem - powiedział Greer. Może zbyt łatwo się z tego śmiejemy? Może im właśnie potrzeba tego żelastwa, a my po prostu jesteśmy pod tym względem inni?

- Nie rozumiem, Greer - zdziwił się Newburgh.

- Do tej pory nie przegraliśmy przecież żadnej wojny - odparł Greer. - A oni parę.

Black popatrzył na niego z uwagą. Taka sama myśl przychodziła mu do głowy podczas czterodniowej konferencji. Była to myśl, której raczej nie należało się spodziewać po sierżancie. Tym bardziej dziewiętnastoletnim sierżancie.

- Co teraz, Greer?

- Słucham, sir?

- Co zamierzasz teraz robić?

- Cóż, wierny sierżant ma nadzieję, że generał bez wahania udzieli mu, powiedzmy, pięciu dni urlopu wypoczynkowego, tutaj, w Tajpeju. Żeby mógł się pozbierać po ciężkich przejściach. I spuścić z siebie trochę... hmm...

- Aha, to wyjaśnia, dlaczego przypiąłeś do munduru te wspaniałe skrzydełka - zauważył Newburgh.

- Zostałem uroczyście poinformowany, że działają na kobiety.

- Dobrze, udzielam ci urlopu - zdecydował generał Black. - Ale nie o to pytałem.

- O tym także chciałem porozmawiać - odparł Greer. Ale chyba to nie jest czas ani miejsce.

- Chcesz zostać w Azji? A może chcesz pojechać do West Point?

- Tak, sir, chcę zostać w Azji. Nie, sir, nie chcę jechać do West Point.

- Dlaczego nie? - zapytał generał Black cokolwiek ostrym tonem.

- Teraz, gdy zostałem bohaterem Legii Cudzoziemskiej, rola kadeta byłaby dla mnie degradacją- odparł Greer ze śmiechem.

Pułkownik Carson Newburgh także się roześmiał.

- Tak uważasz? Uważasz, że jesteś zbyt dobry na kadeta?

- Chyba nie przetrwałbym w tej roli zbyt długo, sir.

- A co powiedziałbyś o Norwich? - zapytał Black. - Sądzę, że mógłbym ci załatwić stypendium.

- Albo o A&M? - dorzucił Newburgh. - Mam tam trochę wpływów. - W gruncie rzeczy był członkiem zarządu i byłym przewodniczącym Stowarzyszenia Absolwentów.

- A co z bezpośrednim awansem oficerskim? - zapytał Greer. - Mogę go przecież uzyskać na wojnie.

Newburgh popatrzył na Blacka, który bardzo długo zbierał myśli, zanim przemówił.

- Gdybyś był u mnie porucznikiem, Greer, napisałbym taki raport o twoich dokonaniach bojowych, który - jeśli czegoś byś naprawdę poważnie nie spieprzył - ulokowałby twoją karierę na właściwych torach.

- Ale? - zapytał Greer.

- Ale to niemożliwe. Jesteś podoficerem.

- Rozumiem - mruknął Newburgh.

- Przepraszam, sir. - W głosie Greera słychać było wyraźne rozczarowanie. - Ale ja nie rozumiem.

- Widzisz, synu, nie odbiłeś swojej karty we właściwym momencie - powiedział Newburgh. - Musisz grać według obowiązujących zasad. W tej chwili nie powinieneś być nawet sierżantem sztabowym.

- Panie pułkowniku, zawsze odnosiłem wrażenie, że zasłużyłem na moje awanse.

- Przyjmuje się, że stopień sierżanta sztabowego przysługuje około trzydziestki - wtrącił się generał Black. - Porucznicy, przynajmniej ci, którzy później robią w wojsku duże kariery, powinni wychodzić z West Point, z A&M, z Norwich albo z Cytadeli. Mogę cię awansować na oficera i zapewne zostaniesz kapitanem wcześniej, niż ktoś zdoła ci wbić nóż

w plecy. Ale, widzisz, rozmawiamy tutaj o poważnej karierze wojskowej, a nie o tym, żebyś po jakichś dwudziestu latach odszedł na emeryturę.

- Nie nadaję się przecież do tego całego West Point.

- Nie nadajesz się - przytaknął Black. - Też tak uważam. Ale musisz jakoś uzyskać przynajmniej licencjat, Greer. Bo jeśli nie, to możesz zapomnieć o karierze.

- Powraca więc temat A&M - stwierdził porucznik Newburgh. - Mogę ci załatwić pełne stypendium, Greer, jeśli problem leży w pieniądzu.

- Dziękuję.

Z tonu głosu sierżanta Newburgh i Black wyczuli, że ten dziękuje za ofertę, ale jej nie przyjmuje.

- Powiedz więc sam, czego chcesz - zażądał generał Black. - I to dostaniesz. Nawet awans oficerski, chociaż podpiszę go wbrew sobie.

- Mogę podjąć kursy korespondencyjne - powiedział Greer. - Licencjat to teraz nie jest żaden problem.

- A&M prowadzi program przyspieszony - zauważył Newburgh. - W trzy lata można skończyć nawet pięcioletnie studia. A potem... normalny awans na oficera.

- Mógłbym też pójść do szkoły helikopterowej.

- Szkoły helikopterowej? - zdziwił się Black. Po raz pierwszy ktoś wspomniał o niej w jego obecności.

- To oznaczałoby, że w ciągu sześciu miesięcy awansuję na chorążego. Później zapiszę się na uniwersytet w Chicago, który już na wstępie daje punkty za służbę w wojsku, także za ukończenie szkoły lotniczej, i podejmę jakieś kursy korespondencyjne. Wtedy wystąpię o awans na oficera rezerwy, a później o mianowanie na oficera zawodowego.

- Będziesz musiał podjąć kursy Serii 10 - zauważył Newburgh.

Kursy Serii 10 były kursami korespondencyjnymi dla podoficerów. Ukończywszy je z pozytywnym wynikiem, podoficer mógł się ubiegać o awans na oficera rezerwy.

- Mam je już za sobą.

- I jaki efekt?

- Trzy przecinek dziewięć - odpowiedział Greer. Cztery przecinek zero było wynikiem idealnym.

- To po co ta cała historia z awansem na chorążego i szkołą pilotów helikopterowych?
- zapytał Black.

- Bo to jest przyszłość, sir - odparł Greer. - Niełatwo będzie się tam dostać. Gdybym był pilotem przed uzyskaniem stopnia oficerskiego, już bym był na tym kursie. A tak nie jestem pewien, czy mi się uda.

- To po co to całe pieprzenie, żeby cię awansował?

- Miałem nadzieję, że mi się uda i to, i to. Przyspieszony awans i zgoda na szkołę lotniczą.

Carson Newburgh wybuchnął śmiechem.

- Uaudace, l'audace, toujours l'audace- powiedział.

- Mais certainement, mon colonel - odpowiedział mu sierżant Greer.

- Myślę, że powinieneś trochę ograniczyć swoje wybujałe ambicje, Greer. I myślę też, że popełniasz poważny, może nawet tragiczny błąd, rezygnując z możliwości kształcenia się w Point, A&M albo Norwich. Ale jeśli życzysz sobie szkoły helikopterowej, dopilnuję, żebyś się do niej dostał.

Generał w średnim wieku i nastoletni sierżant popatrzyli sobie w oczy.

- Dziękuję - powiedział sierżant Greer.

W tym jednym słowie było więcej szacunku i oddania, niż generał Black czy pułkownik Newburgh usłyszeli od Greera kiedykolwiek wcześniej.

- A teraz spadaj, Greer - powiedział Black. - Masz dokładnie pięć dni. Nie sześć, nie siedem ani nawet nie pięć i pół.

- Sierżant zapewnia generała, że stawi się z powrotem do służby w wymaganym czasie i miejscu - odparł Greer.

Zasalutował przepisowo i wyszedł z sekretariatu.

- Jeżeli mały sukinsyn nie skończy tego urlopu w areszcie wojskowym albo w szpitalu z jakąś nieuleczalną odmianą syfa - zauważył generał Black. - Myślę, że da sobie radę w życiu.

III

1

Ozark, Alabama

26 marca 1954

Trzydzieści minut po wylocie z Atlanty samolot Super DC-3, obsługujący lot numer 117 linii Southern Airways, wylądował w Columbus w stanie Georgia. Sześcioro spośród dwudziestu jeden pasażerów wysiadło, natomiast nikt nie dosiadł. Howard Dutton skorzystał z okazji, by obie swoje ciężkie, pękate, wysłużone teczki wyciągnąć spod siedzeń i ułożyć na fotelu obok siebie.

Był krępy męczyzną o kwadratowej twarzy, w okularach bez oprawek. Jego wykrochmalona śnieżnobiała koszula była już mocno wygnieciona. Marynarka wydawała się na niego co najmniej o pół rozmiaru za mała. Zawsze źle się czuł, kiedy nie miał swoich teczek w zasięgu wzroku. Zawierały mnóstwo należących do niego prywatnych i poufnych dokumentów, znacznie więcej niż sejf z przełomu wieków, który stał w jego gabinecie. Jego żona, która była zarazem jego sekretarką, znała kombinację cyfr potrzebną do otwarcia sejfu w gabinecie. Miała też wydany raz na zawsze rozkaz, który - wierzył - dokładnie wypełniała, aby nigdy nie grzebać w teczkach.

Rzadko oddalał się od teczek, nawet w nocy; stały wtedy przy jego łóżku w drewnianym domu przy Broad Street.

Teczki zawierały jego sekrety. Obecnie w jednej z nich, zabezpieczonej dwoma skórzanymi paskami, znajdował się największy sekret jego życia.

Teczki były dwie. Pierwsza się pojawiła, kiedy ukończył Uniwersytet Stanowy w Alabamie. Zabezpieczona była jednym paskiem. Nosił w niej przede wszystkim książki prawnicze. Tę z dwoma paskami kupił po wojnie, kiedy podjął w Waszyngtonie pracę jako asystent administracyjny członka Izby Reprezentantów z Alabamy Bascomba J. Henry'ego, i ta z jednym paskiem nie była już wystarczająco duża, by pomieścić wszystko to, co musiał ze sobą nosić.

Oparł się pokusie, żeby otworzyć tę z dwoma paskami i wyciągnąć papiery, które uczyniły sekret oficjalną sprawą. Położył jednak na niej dłoń, jakby od niechcienia,

jednocześnie z uprzejmym uśmiechem odmawiając poczęstunku, który oferowała mu stewardesa: mógł dostać colę albo kawę oraz torebkę orzeszków ziemnych.

Po trzydziestu minutach od startu z Columbus Super DC-3 wylądował ponownie, tym razem w Dothan w Alabamie, i po krótkim kołowaniu zatrzymał się przed parterowym drewnianym budynkiem terminalu. Z Dothan samolot miał lecieć dalej do Panama City na Florydzie, a z Panama City do Fort Walton Beach, osiemdziesiąt mil dalej na południe wzdłuż wybrzeża, gdzie jego trasa się kończyła.

W Dothan oprócz niego wysiadły jeszcze dwie osoby, ale zostały przy samolocie, czekając, aż obsługa naziemna otworzy drzwi luku bagażowego i wyciągnie ich bagaże.

Howard Dutton nie miał żadnego innego bagażu oprócz swoich dwóch teczek. W tej z jednym paskiem znajdowały się dwie brudne białe koszule, identyczne jak ta, którą miał na sobie, przepocony podkoszulek, brudne bokserki i para brudnych nylonowych skarpet.

Howard Dutton wyleciał z Ozark w Alabamie do stolicy kraju, do siedziby Kongresu, do miejsca sprawowania władzy, na rozmowy z najpotężniejszymi ludźmi w tym kraju, z jedną zmianą bielizny i dwiema zapasowymi koszulami i właśnie stamtąd wracał - zwycięski.

Ciepłe uczucie radości w jednej chwili kazało mu zapomnieć o zdenerwowaniu, niepewności i rozdrażnieniu.

Zobaczył bowiem swoją córkę Melody. Stała tuż przy szklanych drzwiach terminalu. Howard Dutton bezgranicznie kochał Melody, która miała siedemnaście lat i chodziła do ostatniej klasy Ozark High School. Tym, że przejechała całą długą drogę z Ozark, żeby odebrać tatusia z lotniska, ujęła go za serce.

Zaraz jednak zwrócił uwagę na to, jak Melody jest ubrana. Miała na sobie białą koszulkę, przez którą wyraźnie prześwitywał stanik skrywający jej drobne piersi, oraz niebieskie spodenki, tak krótkie, że przypomniały Howardowi - momentalnie go zawstydzając - spodenki, które nosiła kurwa w burdelu w Birmingham, do którego poszedł podczas któregoś z pijackich weekendów, kiedy był studentem uniwersytetu.

Ojciec nie powinien kojarzyć siedemnastoletniej córki z prostytutką, ale fakty były jednoznaczne: Melody ubrała się niemal identycznie jak wówczas tamta kurwa. Jego córka oczywiście nie miała tej świadomości. O ile Howardowi było wiadomo, nigdy w życiu nie widziała kurwy i prawdopodobnie nie miała pojęcia, co to za rodzaj kobiety. Było gorąco i dziecko postępowało po prostu jak każde dziecko. Z powodu upału Melody ubrała się tak lekko, jak tylko było można.

Howard w duchu przeklął swoją żonę. To żony powinny dbać o coś takiego jak ubiór dziecka, pilnować, żeby ich córki w publicznych miejscach nosiły się przyzwoicie.

Melody wybiegła z budynku, uścisnęła go i pocałowała.

- Co słyhać u mojego ulubionego tatusia? - zapytała. Howard Dutton uznał, że nawet jeśli jego niewinna córka wygląda jak dziwka z burdelu w Birmingham, to na pewno nie jest to jej wina.

- Nie powinnaś była jeździć taki kawał w ten upał - powiedział. - Mogłaś przysłać Clema.

Clem był woźnym w banku, pogodnym czarnoskórym mężczyzną w starszym wieku, który czasami prowadził samochód Howarda.

- Ale ja już wariowałam z nudów, tatusiu - odparła Melody.

- I tylko dlatego tu przyjechałaś, że się nudziłaś.

- No i tęskniłam za moim ulubionym tatusiem.

Melody znów mocno przywarła do ojca. Jeden z pasażerów, którzy wysiedli z samolotu, przypadkiem był mężczyzną, przypadkiem popatrzył, jak dziewczyna przytula się do ojca, i przypadkiem z uznaniem spojrział na różowe pośladki Melody, których co najmniej połowa wystawała spod krótkich niebieskich spodenek.

Cholerny zboczeniec! - pomyślał Howard Dutton. Żeby tak patrzeć na niewinną dziewczynkę!

Przeszedł z Melody dookoła budynku terminalu, rezygnując z krótszej drogi przez hol budynku Dothan Municipal Airport. Po chwili dotarli do miejsca, gdzie dziewczyna zaparkowała samochód, przodem w kierunku łańcucha oddzielającego miejsca parkingowe od pociągniętego kreozotem chodnika z glinianych płytek o wymiarach sześć na sześć cali. Howard postawił na ziemi teczkę z dwoma paskami i otworzył drzwiczki fordka super deluxe z 1951 roku. Teczkę z jednym paskiem rzucił na tylne siedzenie, po czym tę drugą podniósł i postawił na podłodze przed nią.

- Melody, chcesz, żebym prowadził, kochanie? - zapytał.

- Nie, lepiej nie - odparła. - Przecież jesteś jednym z najgorszych kierowców na świecie.

Bał się, kiedy samochód prowadziło jego dziecko, i sam wolałby usiąść za kierownicą, jednak musiał zaakceptować fakt, że dzieci dorosleją. Prowadzenie samochodu było elementem procesu dorastania.

Zdjął marynarkę, której wewnętrzne kieszenie także obciążone były papierami, i ostrożnie położył ją na tylnym siedzeniu w taki sposób, żeby nie zsunęła się ze śliskiego plastikowego obicia.

Senator polecił jednemu ze swoich asystentów, żeby odwiózł go z Kapitolu do portu lotniczego Washington National czterodrzwiowym mercurym z 1953 roku. Z klimatyzacją.

Ta klimatyzacja była czymś bardzo przydatnym w parnym i gorącym Waszyngtonie, ale parny i gorący Waszyngton był niczym w porównaniu z potwornym upałem w Dothan.

W tej chwili Howard Dutton naprawdę bardzo żałował, że nie ma klimatyzacji w samochodzie, z którego korzysta. Ford super delu e należał do Farmers and Planters Bank w Ozark, którego Howard Dutton był prezydentem i prezesem zarządu. Chociaż bankowi doskonale się wiodło i mógłby sobie bez problemu pozwolić na kupno dla prezydenta i prezesa zarządu klimatyzowanego mercury'ego, Howard Dutton wciąż nie mógł sobie pozwolić na korzystanie z luksusowego samochodu, który sugerowałby, że bank się bogaci kosztem krwawicy swoich depozytariuszy. Takiej postawy nauczył Howarda jego ojciec. Depozytariusze tylko czekali na okazję, by wycierać sobie gęby swoimi bankierami.

Ale może już wkrótce? Nie tak od razu, lecz wkrótce, kiedy wszyscy będą mieli trochę więcej pieniędzy, chociażby w wyniku tego, co dla nich robi, będzie mógł sobie w końcu kupić samochód z cholerną klimatyzacją.

Postanowił, że pojedą do domu dłuższą drogą. Niech to będzie jego dodatkowy wolny czas. Po pierwsze dlatego, że Prissy (zdrobnienie od Priscilli, czyli pani Howardowej Duttonowej) powiedziała mu przez telefon, że nagle zmarł Tom Zoghby. W jednej chwili Tom z kimś rozmawiał (Prissy chyba powiedziała, że z Dudleyem Claxtonem), a w następnej leżał już martwy na ziemi. A dokładnie na chodniku przed wejściem do centrum handlowego, którego był właścicielem.

Kiedy tylko wróci do domu, będzie musiał się spotkać z wdową, z młodym Tomem i z dziewczynkami. Nie było od tego ucieczki, chociażby nie wiadomo jak chciał tego uniknąć, lecz przecież to zrozumiałe, że prawie nikt nie lubił takich sytuacji. Chociaż bywali ludzie, którzy znajdowali przyjemność w pocieszaniu wdów i pogrążonych w żałobie rodzin.

Tom prawdopodobnie zostawił swoją rodzinę w dobrej sytuacji materialnej, a to już było coś. Mimo to rodzina będzie zapewne szybko potrzebowała trochę gotówki i Howard przypuszczał, że będzie musiał porozmawiać z młodym Tomem (nie chciał tym zawracać głowy wdowie) o sprzedaży części ziemi wzdłuż drogi numer 53.

Niespodziewanie zawstydził się, że o tym myśli. Teraz, kiedy miał swój sekret, byłoby to nieuczciwe i nieetyczne.

Był zaskoczony sam sobą. W końcu, niezależnie od tego, co myśleli o nim ludzie, nie był typem bankiera, który stara się wykorzystywać wdowy i spadkobierców. Po chwili potrafił już przekonać siebie, że pomyślał o kupnie ziemi wzdłuż drogi numer 53, nie

pomyślawszy uprzednio o sekrecie. Sekret był tak nowy, że jeszcze go sobie nie utrwalił. Howard naprawdę nie próbował wykorzystać młodego Toma.

- Jedź drogą numer 84 w kierunku Enterprise - powiedział do Melody.

Do Ozark można było dojechać z Dothan dwiema drogami. Jeśli chciało się jechać tą krótszą, należało skręcić z portu lotniczego w lewo i potem jeszcze raz w lewo, na szosę stanową 231. Ale jeśli ktoś zamierzał jechać dłuższą trasą, musiał z lotniska skręcić w prawo, potem jeszcze raz w prawo, na stanową 84, w kierunku Enterprise, a potem, po przejechaniu piętnastu mil znowu w prawo i przejechać przez rezerwat Camp Rucker.

Nagrodą za waszyngtoński sukces, którą sam sobie przyznał, był zarówno wybór dłuższej drogi do domu i odłożenie w czasie spotkania z wdową po Zoghbym, jak i możliwość obejrzenia Camp Rucker. Był bankierem i prawnikiem i doskonale wiedział, że nie jest właścicielem Camp Rucker. Ale łączyło go z tym miejscem coś specjalnego, co nie łączyło go z nikim, nawet z kongresmanem Henrym (Panie, świeć nad jego duszą).

W 1934 roku, za panowania administracji Roosevelta, która ogłosiła program rekultywacji terenów wiejskich, rząd federalny kupił od kongresmana Henry'ego (i innych ludzi) 125 tysięcy akrów jałowej ziemi, na której do niedawna uprawiano bawełnę. Wcześniej rząd przysłał ekspertów, którzy orzekli, że ziemia jest tak słaba, iż nie urodzi już niczego, przynajmniej w ciągu kolejnego pokolenia.

Cholerni głupcy tak bezsensownie te ziemie wyeksploatowali, że urodzajną glebę po prostu wywiały wiatr, a deszcze utworzyły mnóstwo głębokich rowów. Obszar rzeczywiście nie nadawał się do żadnej uprawy. Wykształcony kongresman Henry był temu tak samo winien jak jego współnicy, nie można było więc mówić, że to tępe wsiaki z Południa po prostu zarżnęły kurę, która jeszcze przez długi czas mogła im znosić złote jajka.

Rząd więc ziemię kupił, płacąc dziesięć dolarów za każdy akr ziemi, wartej mniej więcej dolara lub półtora dolara za akr, po czym przysłał ludzi, którzy zrobili, co tylko było można, by powstrzymać degradację, zasadzili sosny i powiedzieli, że może za pięćdziesiąt lat będzie je można powycinać i pomyśleć o nowych uprawach. Może do tego czasu ktoś wymyśli sposób na przywrócenie urodzajnej warstwy gleby albo wynajdzie jakiś inny sposób, żeby znów można było tu coś zasiać. Tymczasem sosny będą przynajmniej źródłem drewna.

Jednak niespodziewanie, po sześciu latach, kiedy sosny osiągnęły już wysokość dorosłego człowieka, nad krajem zawisł cień drugiej wojny światowej (albo się dopiero pojawiał, jednak każdy wiedział, że udział Stanów w tej wojnie jest nieunikniony) i wojsko szukało w kraju takich miejsc, gdzie można by zakładać ośrodki szkoleniowe.

Pod koniec 1939 roku ziemia przeszła w ręce Departamentu Wojny, lecz dopiero pod koniec 1941, na krótko przed zbombardowaniem przez Japończyków Pearl Harbor, kiedy Howard Dutton studiował na ostatnim roku Wydziału Prawa w Alabamie, ogłoszono, że powstanie tam baza wojskowa. Ale dopiero po prawie roku, w listopadzie 1942, rozpoczęto tam prace.

Za to ruszyły od razu w ogromnym tempie. Kiedy Howard Dutton szedł na kurs oficerów lotnictwa do Miami, była tam tylko „ziemia w trakcie rekultywacji”. Obszar otoczono taśmami, w kilku miejscach ustawiono słupy graniczne. Ale kiedy trzy miesiące później przyjechał do domu na pierwszą przepustkę, znajdował się tam już Camp Rucker, nazwany tak od nazwiska generała Ruckera, konfederata.

W ciągu dziewięćdziesięciu dni zbudowano od podstaw siedzibę jednostki wojskowej i wszystko, co niezbędne do jej funkcjonowania, od baraków dla żołnierzy po pralnie i strzelnice. Podczas swojej przepustki na centralnym placu miasta Courthouse Square Howard Dutton widywał prawie wyłącznie żołnierzy i był pod wrażeniem, ile wydawali pieniędzy! On sam wkrótce wyleciał do Azji; w Chinach, Birmie i Indiach służył jako prawnik sił powietrznych.

W Camp Rucker szkoliły się dwie dywizje, każda po jedenaście, dwanaście tysięcy żołnierzy. Zanim wszyscy wyjechali na wojnę, przekształcili Camp Rucker w obóz dla jeńców wojennych i wkrótce zaludnił się on dwudziestoma tysiącami Włochów wziętych do niewoli w Afryce Północnej. Makaroniarze żyli tu sobie jak u pana Boga za piecem, szczęśliwi, że wojnę mają już za sobą, i nie sprawiali żadnych kłopotów. Pracowali na farmach. Do diabła, spotykali się nawet z miejscowymi kobietami, jednak nikt głośno o tym nie mówił. Było coś niepatriotycznego w zachowaniu kobiet umizgujących się do włoskich jeńców, kiedy ich mężczyźni walczyli na wojnie po przeciwnej stronie barykady.

Poza powszechnym udawaniem, że nic złego się nie dzieje, w żaden inny sposób nie można było temu zaradzić.

Zaraz po wojnie obóz jeniecki rozwiązano i tam, gdzie do niedawna przebywało dwadzieścia tysięcy jeńców, pozostało z dziesięciu podoficerów i kilku oficerów po prostu pilnujących tego miejsca. Gdyby nie straż, całkowicie by je rozkradziono.

Camp Rucker otwarto ponownie w trakcie wojny koreańskiej. Nie miał już tak wielkiego znaczenia jak wcześniej (nie szkoliły się już tutaj dywizje, lecz pułk Gwardii Narodowej z Wisconsin) i funkcjonował znacznie krócej.

Ponownie został zamknięty w 1953, czyli w poprzednim roku, jeszcze w trakcie wojny.

Kiedy wyjechali żołnierze, zabrakło rządowych pieniędzy. Gdy obóz był otwarty, chociażby dla więzionych makaroniarzy, żołnierze i jeńcy musieli sobie kupować różne niezbędne rzeczy w Ozark, Enterprise i nawet w Dothan, chociaż najwięcej korzyści miał z nich sektor usług.

Ludzie mieli pracę, potrzeba było strażaków i fryzjerów, sprzedawców, urzędników pocztowych, instalatorów sieci telefonicznej, jednym słowem, specjalistów od wszystkiego, czego armia potrzebowała, a nie mogła organizować we własnym zakresie. Były to najlepsze fuchy z punktu widzenia bankiera, pompowały bowiem w społeczność lokalną pieniądze w zasadzie żadnym kosztem. Jeśli otwiera się fabryka, oznacza to powstanie miejsc pracy, oczywiście, ale znaczy to także, że miasto musi więcej płacić strażakom, policjantom, śmieciarzom i przedstawicielom wielu innych zawodów. Natomiast jednostka wojskowa tego nie potrzebuje albo płaci sama za siebie.

Kiedy obóz ostatecznie zamknięto, w mieście rozgorzały dyskusje, czasami idiotyczne, co zrobić z tym obiektem.

Ktoś chciał otworzyć tam uniwersytet. Albo przenieść w to miejsce wszystkie obiekty przemysłowe. W desperacji proponowano nawet przekształcenie obozu w więzienie. W końcu przetrzymywano tam przez długi czas tych wszystkich makaroniarzy, obiekt więc pod tym względem się sprawdził.

Ale wszystkie te propozycje były złe i Howard Dutton o tym wiedział. Wiedział od samego początku, od dnia, kiedy wrócił z wojny do domu. Czy była wojna czy pokój, Camp Rucker to był Camp Rucker i musieli w nim stacjonować żołnierze.

To dlatego Howard podjął pracę u kongresmana i wyjechał do Waszyngtonu, zamiast przejąć po ojcu bank albo otworzyć praktykę prawniczą. W lotnictwie nauczył się, że jeśli istnieje jakiś system, należy dokładnie sprawdzić, jak działa, a potem przekształcić go tak, żeby pracował dla tego, kto go przekształci.

To był jego sekret. Sprawił, że system zaczął pracować dla niego tego samego dnia, w którym Howard zapragnął, żeby dla niego pracował.

Bynajmniej nie uważał się za hipokrytę. To, co zrobił, miało przynieść bogactwo wielu ludziom w mieście i wokół niego, miało być siłą sprawczą dobrobytu w całym hrabstwie. Oczywiście - doskonale sobie z tego zdawał sprawę i bynajmniej się tego nie wstydził - miało uczynić bogatym człowiekiem również jego. Bogatszym, niż gdyby pracował tylko w banku. Znacznie bogatszym.

Bóg pomaga tym, którzy potrafią pomagać sami sobie.

Howard nie miał powodów, żeby w to nie wierzyć.

Droga stanowa numer 84 była dwupasmową asfaltową szosą, prawie całkowicie prostą. Biegła po lekko pofalowanym terenie wśród farm i nieużytków. Piętnaście mil od Dothan Howard Dutton powiedział Melody, żeby na rozwidleniu skręciła w prawo. To była „nowa droga”, zbudowana razem z Camp Rucker w ciągu dziewięćdziesięciu dni od wbicia pierwszego gwoźdźca. Przecinała wielkie połacie tego, co ludzie od rekultywacji terenów wiejskich nazwali „skrajnie zniszczoną ziemią uprawną”, i ciągnęła się aż do Daleville, jednego z najstarszych skupisk ludzkich w hrabstwie.

Kiedy przejeżdżali przez Daleville, miasteczko wyglądało na wymarłe. Gdy istniał obóz, Daleville znajdowało się tuż za jego bramą i wzdłuż jego jedynej ulicy stały tanie drewniane budyneczki, które mieściły pralnie, magle, sklepy dla żołnierzy i budki z hamburgerami. Znajdowały się tu nawet ogrodzone parkingi, na których sprzedawano używane samochody.

Nie było barów ani pubów. Hrabstwo Dale (nazwane od nazwiska tego samego Dale'a, który na skrzyżowaniu dróg wybudował sklep i nazwał go Dalesville) było obszarem ultrakonserwatywnej, baptystycznej prohibicji. Znaczyło to, że nie tylko nie było tam barów, ale też nie można było kupować i pić alkoholu ani w restauracjach, ani w sklepach.

Kto chciał się napić, musiał kupować piwo lub whiskey w innych miastach. Tutaj jednak nie było także żadnego publicznego miejsca, gdzie ludzie mogliby pić i rujnować sobie życie diabelskimi trunkami.

Wciąż był otwarty mały sklep spożywczy i jednoizbowy urząd pocztowy obok niego, a na porośniętym chwastami placu, na którym handlowano używanymi samochodami, ciągle stało z pół tuzina wysłużonych pick-upów i tyle samo zdezelowanych fordów i chevroletów. Wszystko inne było jednak zamknięte, okna dawnych punktów usługowych pozabijano deskami, a byle jak postawione budynki popadały w ruinę. Nie było żołnierzy, nie było więc możliwości prowadzenia interesów.

Na samotnej bramie, przez którą kiedyś żołnierze żandarmerii w białych opinaczach i oporządzeniu przepuszczali ludzi, co jakiś czas salutując oficerom przejeżdżającym w samochodach, ciągle widniał wyraźny napis: TEREN WOJSKOWY. PORUSZAĆ SIĘ ŚCIŚLE WYZNACZONĄ DROGĄ.

Znaczyło to, że przechodząc przez obóz, należało korzystać z jedynej regularnej trasy, wytyczonej przez jego teren i prowadzącej przez teren wojskowy do szosy w kierunku Ozark. Wojsko wciąż nie chciało, aby ludzie kręcili się po pozostałościach obozu i rozkradali to, co po nim pozostało.

Howard Dutton wykonał szeroki ruch ręką.

- Przejeżdż dookoła tych kozłów do piłowania drewna powiedział do Melody. - Chcę się trochę rozejrzeć.

Po ich lewej stronie pojawiły się wielkie drewniane garaże, w których kiedyś naprawiano ciężarówki, czołgi i armaty. Howard wiedział, chociaż teraz nie widział tych zabudowań, że za garażami znajdował się dawniej szpital na dwa tysiące łóżek. Składało się na niego sto, a może i więcej piętrowych drewnianych budynków połączonych zadaszonymi chodnikami. Dachy chroniły pacjentów, których przewożono na wózkach pomiędzy budynkami, przed słońcem i deszczem.

Przed dawnym budynkiem dowództwa wciąż łopotała flaga na maszcie, ponieważ obecni strażnicy zaadaptowali ten właśnie budynek na swoją siedzibę i kwatery mieszkalne. Ostatni kontrakt, zawarty przez wojsko z Agencją Elektryfikacji w hrabstwie Dale, opiewał na ponad tysiąc dolarów, za które Agencja miała doprowadzić prąd właśnie do budynku dowództwa. Generatory na węgiel, które stanowiły źródło prądu, kiedy obóz funkcjonował w najlepsze, zachowały się w doskonałym stanie i nadal były gotowe do natychmiastowego uruchomienia, jednak w tej chwili prostszym i tańszym rozwiązaniem było kupowanie prądu dla ostatnich dziesięciu ludzi, którzy pełnili tu służbę, od agencji cywilnej.

Trawa przed budynkiem była starannie przycięta, plac apelowy porastało jednak wysokie zielsko, widoczne także pomiędzy niezliczonymi rzędami baraków.

Melody minęła budynek dowództwa, objechała halę sportową powoli, poruszając się wysfaltowanymi alejami, jechała przez obóz. Baraki były jeszcze w dobrym stanie, jeśli nie liczyć łuszczącej się farby na ścianach i gdzieś tam powybijanych szyb w oknach. Obok każdego z piętrowych budynków w małych betonowych składzikach wciąż znajdowały się zapasy węgla do palenia w piecach. Nad drzwiami do baraków nadal przymocowane były lampy.

Niespodziewanie Howard zobaczył z przodu wojskowego pick-upa blokującego przejazd.

Melody zatrzymała forda dosłownie kilkanaście centymetrów przed zderzakiem pick-upa i Howard Dutton wysiadł z samochodu. Na jego twarzy widniał szeroki uśmiech.

- To pan, panie burmistrzu? - zawołał major siedzący za kierownicą pick-upa. Pomachał ręką. - Cześć, Melody.

Melody wysiadła z samochodu, po czym podeszła do swojego ojca i żołnierza. Howard Dutton wolałby, żeby tego nie robiła, kiedy jest tak skąpo ubrana.

Howard Dutton już drugą kadencję był burmistrzem Ozark. Uznał kiedyś, że o wiele łatwiej jest samemu pełnić tę funkcję, niż przygotować do niej kogoś innego, a potem przez cały czas patrzeć mu na ręce.

- Gorąco, majorze, co? - odezwał się, podając rękę żołnierzowi.

Wobec dowódcy placówki, majora Feelera, był zawsze bardzo uprzejmy, mimo że uważał go za głupca. Czasami się zastanawiał, co Feeler przeszkrobał w wojsku, że otrzymał przydział na tak bezsensowne stanowisko.

- Było mi tak gorąco - odparł major Feeler - że poszedłem na basen w klubie oficerskim. Jest brudny, owszem, ale mimo to postanowiłem popływać.

- I pływał pan? - zapytała Melody.

- Nie uwierzysz, ale w basenie były trzy węże - powiedział major i wszyscy troje się roześmieli.

Melody jednak wykrzywiła twarz w grymasie obrzydzenia.

- Kiedy pan chce pływać, powinien pań przyjeżdżać do Ozark, majorze - stwierdził Howard Dutton.

Basen w Ozark znajdował się w domu poprawczym.

- Chyba kiedyś się skuszę - odpowiedział major. - Zobaczyłem wasz samochód, kiedy mijaliście naszą kwaterę. Gdybym wiedział, że to wy, nie jechałbym za wami.

- Chyba naruszyłem prawo - zauważył Howard Dutton. - Ale akurat mam trochę czasu i postanowiłem jeszcze raz obejrzeć ten obóz, zanim zaczną go równać z ziemią.

Major Feeler przez chwilę intensywnie o czymś myślał.

Dopiero po kilkunastu sekundach odezwał się ponownie:

- Być może nie powinienem o tym mówić, panie burmistrzu... I nie chciałbym, żeby pan mnie potem cytował, ale...

- Doceniam pańskie zaufanie, majorze.

- Właśnie dowiedziałem się od kogoś z 3. Armii, z Atlanty, że wstrzymano ogłoszenie wyników przetargu na rozbiórkę obozu.

- Chce pan powiedzieć, że przetarg odwołano?

- Nie, panie burmistrzu. Jedynie zawieszono.

- To chyba interesujące, co? Jak pan myśli, co to może oznaczać?

- Nie wiem - odparł major. - Może ktoś doszedł do wniosku, że wyjdzie taniej, jeśli to wszystko po prostu zniszczyje, i nie opłaca się płacić za rozbiórkę.

- Być może ma pan rację - powiedział Dutton poważnym tonem. - Jeśli będzie pan miał w tej sprawie świeższe wiadomości, proszę się nimi ze mną podzielić, dobrze?

- Powiem panu, co tylko będę mógł, panie burmistrzu. Zna mnie pan przecież. Farmers and Planters Bank w Ozark, na podstawie decyzji Duttona, nigdy nie naciskał na majora Feelera, kiedy ten spóźniał się ze spłatą raty kredytu za samochód.

- I bardzo sobie cenię to, co pan robi - stwierdził Dutton, po czym potrząsnął dłonią majora Feelera. - Naprawdę. A teraz, cóż, chyba widzieliśmy już dosyć. Kiedy następnym razem będzie pan w mieście, proszę wpaść do mnie na filiżankę kawy.

- Nie omieszkam - odparł major.

Wsiadł z powrotem do swojego pick-upa i odjechał, machając na pożegnanie ręką.

Tępy dupek, pomyślał Howard Dutton.

Ale się uśmiechał. Nawet ta sprawa potoczyła się dobrze. Kontrakt na rozwalenie obozu został „wstrzymany”.

Powody były nieważne.

Sekret, że Camp Rucker wcale nie zostanie zburzony, lecz reaktywowany, wciąż był sekretem. Musi jeszcze minąć kilka dni, może tydzień, i informacja o tym przedostanie się do publicznej wiadomości.

- Jedźmy do domu, kochanie - powiedział do Melody.

Zamierzał w najbliższym czasie zarobić tyle pieniędzy, żeby Melody, kiedy już pójdzie do college'u, nie musiała się martwić cenami i kosztami, tak jak on, kiedy studiował na uniwersytecie. Melody będzie tylko się uczyć i beztrudnie bawić. Może Howard kupi jej nawet samochód, najlepiej kabriolet! Takie śliczne dziewczyny jak Melody zasługują przecież na to, żeby jeździć kabrioletami.

2

Fort Knox, Kentucky

26 marca 1954

- I tak oto zostałem otoczony przez ryczących dzikusów, prawie bez wody i prawie bez amunicji. Lecz nagle usłyszałem odległy, słaby dźwięk trąbki dającej sygnał do szarży - mówił major Rudolph G. MacMillan do pułkownika Roberta F. Bellmona, asystenta oficera operacyjnego w Szkole Wojsk Pancernych Armii Stanów Zjednoczonych w Fort Knox w Kentucky.

Opuścił głowę i uderzył w piłeczkę, posyłając ją w kierunku jedenastego dołka pola golfowego dla oficerów w Fort Knox. Po chwili wyprostował się i obdarzył pułkownika Bellmona ciepłym uśmiechem.

- A ja - odrzekł Bellmon - stałem wtedy przed generałem, który właśnie wręczył mi pilną depezę z informacją, że zostałeś zestrzelony i prawdopodobnie nie żyjesz. Generał polecił mi wtedy: „Powiedz o tym Roxie”. Ich spojrzenia spotkały się.

- Ale postanowiłem poczekać z tym do rana - kontynuował Bellmon. - To nie byłby przecież pierwszy raz, kiedy przedwcześnie informowano o śmierci Dumy Mauch Chuck.

- Jestem ci za to wdzięczny - powiedział MacMillan. Za to jakiś tępy sukinsyn z CIA wyrwał Sharon Felter z łóżka już o trzeciej nad ranem, żeby ją poinformować o śmierci męża. Rutynowe działanie, przyjechał do niej nawet z rabinem i z lekarzem.

- Wiem - przytaknął Bellmon. - Rozmawiałem z Felterem.

- I co ci powiedział?

- Powiedział, że wie, jak bliscy sobie jesteśmy, ty i ja.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Bellmon podszedł do swojej piłki, ułożył ją w odpowiedniej pozycji i lekko uderzył. Niemal dotknęła skraju dołka, ale zaraz potoczyła się łukiem z powrotem, dwie stopy w kierunku Bellmona.

- Poddajesz się? - zapytał Bellmon.

MacMillan pokręcił przecząco głową.

- Nie.

Bellmon wzruszył ramionami, po czym lekko pchnął piłeczkę. Następnie major i pułkownik wsunęli kije do wózków na dwóch kołach i pociągnęli je w kierunku dwunastego dołka.

W małej altance znajdował się automat z colą. MacMillan wrzucił do niego kilka dziesięciocentówek, podał jedną puszkę Bellmonowi i oparł się o jeden ze słupów, podtrzymujących dach.

- Lecieliśmy tam non stop bombowcem - powiedział MacMillan. - Z bazy Sił Powietrznych Andrews pod Waszyngtonem.

- Non stop? - zdziwił się Bellmon.

- Dwukrotnie tankowaliśmy w powietrzu - odparł MacMillan. - Pierwszy raz nad Zachodnim Wybrzeżem, a drugi raz nad Hawajami. Cholernie się bałem. Samolot, który ma tankować, musi lecieć dokładnie pod tankowcem, wtedy tankowiec wysuwa rurę, która ma na końcu małe skrzydełka do kierowania i musi się dokładnie zazębić z sondą z przodu bombowca. I to wszystko przy prędkości sześćset mil na godzinę. Włos się jeży na głowie.

- I właściwie dokąd leciałeś? - zapytał Bellmon.

- Do Seulu. K16. Tam mieli już dla nas transport cywilny. Wiesz, z Tajwanu. DC-4. Wszyscy już tam byli, w cywilnych ubraniach. Dowodził E. Z. Black. Był tam też jakiś generał brygadier lotnictwa. Zrobił bardzo nieszczęśliwą minę, kiedy Felter powiedział mu, że mamy lecieć do Dien Bień Phu. Ale Felter miał odręczne pismo Eisenhowera. To go uciszyło.

- Mówiłeś chyba, że to generał Black dowodził?

- Ludzie Blacka mieli powiedziane, żeby od Dien Bień Phu trzymali się z daleka i żeby przez cały czas mieli na sobie cywilne ciuchy. Jezu, ale to było zabawne.

- Zabawne? - zdziwił się pułkownik Bellmon. - Jak bardzo?

- Cała ta operacja prowadzona była w cholernym sekrecie. Nikt nic nie miał wiedzieć. Na miłość boską, tego DC-4 schowali nawet w hangarze w Seulu, żeby nikt go nie widział. Przylecieliśmy więc do Hanoi. Tylko Felter i ja mieliśmy mundury, wszyscy inni byli po cywilnemu. A tu wita nas połowa armii francuskiej, mówię ci, Bob, co najmniej batalion piechoty i orkiestra dęta. Cymbały, trąbki ozdobione chorągwiemi i wielkie bębny. Widziałem nawet kilka kozłów z rogami wymalowanymi na złoty kolor. Jak najbardziej oficjalne przyjęcie, z pełnym ceremoniałem. Żabojady w wyjściowych mundurach. Nasze ważniaki w wymiętych marynarkach sprawiały wrażenie, jakby ostatnią noc przespały w ciuchach. W miarę prezentowali się tylko podoficerowie. Pamiętasz tego wielkiego czarnego ordynansa Blacka?

- Sierżanta Wesleya?

- Tak. Waży chyba ze trzysta funtów. Black wziął go ze sobą. I tego dzieciaka, który dla niego pracuje, faceta o nazwisku Greer. On mi trochę przypomina Craiga Lowella z dawnych czasów, tyle że chłopak zwykle wie, co robi. Black wysłał go razem z nami, żeby miał na nas oko. Zachował się równie subtelnie jak burdelmamy z Honolulu. Cóż, pierwszą rzeczą, jaką nam powiedzieli żabojady, było to, że nie możemy lądować, lecz musimy skoczyć. A chłopak, okazuje się, nigdy wcześniej nie skakał. Ale był zdecydowany polecieć z nami, nawet gdyby miał oddać pierwszy w życiu skok. I poleciał.

- Tak przy okazji - wtrącił Bellmon zdawkowym tonem - Lowell właśnie ukończył szkołę pilotów. On i Parker.

Major Craig W. Lowell i kapitan Philip Sheridan Parker IV byli dla podpułkownika Roberta W. Bellmona źródłem bezustannych kłopotów. Bellmon był jednak wobec siebie na tyle uczciwy, by przyznawać, że nie lubi obu prawdopodobnie dlatego, iż nie może wyrzucić ich z wojska jako pary przemądrzałych dupków. Parker miał nazwisko i wpływy, był

czwartym żołnierzem w rodzinie, w kolejnym pokoleniu. Pierwszy Philip Sheridan Parker był synem starszego sierżanta, który w walkach z Indianami bił się u boku generała Philipa Sheridana. Jego syn, pułkownik Philip Sheridan Parker junior, był najwyższym stopniem „kolorowym” oficerem służącym w wojskach pancernych podczas pierwszej wojny światowej. Pułkownik Philip Sheridan Parker III, z dywizji pancernej Piekielny Cyrk generała Porky'ego Waterforda, dowodził oddziałem, który ocalił Bellmona przed niecnymi planami Rosjan, którzy „wyzwolili” około dwustu amerykańskich jeńców wojennych. Być może mieli zostać natychmiast przewiezieni w głąb Związku Radzieckiego.

Lowell, chociaż nie miał w rodzinie takich tradycji, również nie wypadł sroce spod ogona. Pochodził z majątnej rodziny, ale do armii wstąpił jako rekrut po tym, jak wyleciał z Harvardu. Pojawił się w życiu Bellmona, kiedy MacMillan, służący z rekomendacji Bellmona jako adiutant generała Waterforda, otrzymał rozkaz zebrania wśród Amerykanów, którzy służyli w okupowanych Niemczech, drużyny polo. A Craig W. Lowell był doskonałym graczem, wśród Amerykanów w Niemczech - bezsprzecznie najlepszym.

Idea, by stworzyć jak najlepszą drużynę polo, była obsesją generała Waterforda. Był on absolwentem francuskiej szkoły kawalerii w Saumur z 1937 roku i chciał wygrywać w polo z Francuzami. Bellmon był pewien, że kierowała nim nie tylko chęć podniesienia prestiżu armii amerykańskiej, ale też względy osobiste. Lecz jeśli miał wygrać, u jego boku po prostu musiał grać starszy szeregowy Craig Lowell.

Tylko że francuscy oficerowie nie grywali razem z rekrutami.

Zatem generał Waterford poprosił o rozwiązanie problemu kapitana MacMillana. A MacMillan sprawił, że Lowell został czasowo awansowany na stopień podporucznika.

Miał grać w polo i, ku uldze wszystkich zainteresowanych, został zwolniony ze wszystkich innych obowiązków służbowych.

Ale pewnego dnia, podczas meczu przeciwko Francuzom, Porky Waterford dostał ataku serca i umarł tak, jak z pewnością chciał: w siodle, w galopie, niemal w chwili, kiedy strzelał przeciwnikom kolejnego gola.

Wtedy powstał poważny problem: co zrobić z podporucznikiem Craigiem W. Lowellem. Nie zwolniono go z wojska, ale jako problem został po prostu zamieciony pod dywan.

Wysłano go do Grecji, gdzie, gdyby nawet nie zginął, to przynajmniej nikomu ważnemu nie mógł się rzucić w oczy.

Znalazłszy się w sytuacji bez wyjścia, Craig W. Lowell zaczął się zachowywać tak, jakby urodził się tylko po to, żeby zostać żołnierzem. Do domu wrócił z Grecji z nadanym

przez rodzinę królewską medalem za męstwo drugiego stopnia. Medal pierwszego stopnia zarezerwowany był wyłącznie dla Greków. Bellmon dowiedział się od Reda Hanrahana, że Lowell przejął dowództwo jednej z kompanii Greckiej Dywizji Górskiej po tym, jak wszyscy jej oficerowie zostali zabici, i mimo że był kilkakrotnie ranny, odparł atak komunistów, osobiście zabijając co najmniej dziesięciu wrogów.

Po tym wszystkim Lowell wystąpił z armii i zamieszkał w nowym domu w Washington Mews z żoną Ilse, dziewczyną którą poznał w Niemczech. Lecz wojsko wezwało go na wojnę do Korei. W Korei dowodził Grupą Bojową Lowell, która nacierała jako pierwsza w czasie wyłamania wojsk z worka pusańskiego. Otrzymał za to Distinguished Service Cross oraz awans na stopień majora. Ale w chwili jego największej chwały dotarła do niego wiadomość, że w Niemczech zginęła w wypadku jego żona.

Postanowiwszy pozostać w wojsku, Lowell miał szanse na zrobienie wielkiej kariery. Wszystko to jednak przepadło w ciągu roku. Najpierw zabawił się z odwiedzającą jednostkę gwiazdą filmową w taki sposób, jaki nie przystoi oficerowi i dżentelmenowi, a potem wystąpił w obronie Philipa Sheridana Parkera IV, który stanął przed sądem wojskowym za to, że zastrzelił oficera własnej armii na polu walki. Oficer ten pod ogniem nieprzyjaciela zupełnie stracił nad sobą kontrolę.

Bellmon był szczerze przekonany, że zarówno Phil Parker, jak i Craig Lowell powinni byli odejść ze służby. A jednak nie odeszli. Niespodziewanie zgłosili się na ochotnika do szkoły pilotów, których Bellmon (jak zresztą większość establishmentu w wojsku) uważał za partaczy, nigdy niepotrafiących wesprzeć wojsk lądowych tak jak należy.

- Słyszałem o tym - powiedział MacMillan. - Dokąd ich posłali?

- Lowell udał się do Niemiec, a Parker na Alaskę. Ale opowiadaj dalej o Hanoi.

- Tak, już mówię. Ten sierżant, co wygląda jak dzieciak, to cwany gość. Tuż przed naszym przylotem wrócił z urlopu w Hongkongu, gdzie kupił sobie cywilne ubranie.

Miał więc na sobie marynarkę w szkocką kratę i zamszową kamizelkę. Co więcej, zaopatrzył w ubranie także Wesleya. Kupił mu dwurzędowy garnitur w prążki. Facet sprawiał w nim wrażenie, że jest w naszej ekipie bardzo ważnym Murzynem. Kiedy więc wysiedliśmy z samolotu, przed Francuzami stanął kolorowy ordynans Blacka i również pracujący dla niego chłopaczek, obaj jak wyjęci z reklam w „Esquire”ze”, a oprócz nich wojskowe szuchy wyglądające jak zgraja oberwańców. Kiedy grali nam Marsylianę i Gwiazdzisty Sztandar, Black był czerwony na twarzy.

Wreszcie podstawili nam limuzyny, rolls-royce'a dla Blacka i stare packardy oraz cadillaki sprzed drugiej wojny dla wszystkich innych. Z wyciem syren, w konwoju, zawieźli nas do miasta.

- Jeśli Ho Chi Minh nie wiedział wcześniej, że do Hanoi przybywają Amerykanie, wtedy, dzięki zabojadom, z pewnością się dowiedział. Black został ulokowany, razem z Carsonem Newburghiem, we francuskiej willi dla VIP-ów, a inni generałowie rozkwaterowani zostali na kwaterach francuskich generałów, po prostu dokwaterowano ich do nich. Resztę spośród nas zawieziono do Cercie Sportif, czegoś w rodzaju klubu golfowego, gdzie zabojady dodatkowo skaczą na koniach przez płoty. Jak to się nazywa?

- Chyba gonitwa z przeszkodami?

- Myślę, że jakoś inaczej, ale chodzi właśnie o coś w tym rodzaju. W każdym razie miejsce jest pierwsza klasa. Zapowiedzieli nam koktajl na piątą, a później kolację. I wtedy zabojady się zorientowali, że Wesley i dzieciak, który pracuje dla Blacka, oraz pozostali spece, ludzie od map czy szyfranci, są w większości podoficerami, a niektórzy wręcz szeregowcami. I granat trafił w szambo. Co najmniej piętnastu zabojadów zaczęło biegać w tę i z powrotem, wymachiwać łapskami i wrzeszczeć jak kurwy podczas nalotu żandarmerii na burdel. Szeregowcy w Cercie Sportif! Napoleon przewróci się w grobie!

- Mówiłeś chyba, że wszyscy byli w cywilnych ubraniach - zauważył Bellmon.

- Bo byli. I byli też doskonałymi żołnierzami, a nie facetami, którzy daliby sobą pomiatać. W końcu jednak sprawa dotarła do Blacka. Wkurzył się na Francuzów, jednak pozwolił, żeby przenieśli wszystkich nieoficerów do hotelu w mieście. Musieli im załatwić transport i przez cały czas wozić ich w tę i z powrotem.

- Powiedz mi coś o samej naradzie - poprosił Bellmon.

- Nie chodziłem na posiedzenia - odparł MacMillan. Już pierwszego poranka Felter zaciągnął mnie na lotnisko. Mieliśmy polecieć do Dien BienPhu. Polecieliśmy. Tyle że nie wylądowaliśmy.

- Nie było tam pasa?

- Był. Ale pod ogniem zaporowym. Francuzi lądują tam tylko wtedy, kiedy muszą ewakuować ludzi. Całe zaopatrzenie wyrzucają po prostu z samolotów. Nawet nie wysuwają podwozi. Słyszałeś o Air America?

- Co nieco.

- Zatrudniająbyłych pilotów wojskowych, którzy latają na Dakotach i dostarczają zaopatrzenie. Jeśli trzeba dowieźć żołnierzy, ci muszą wyskakiwać ze spadochronem. Tak jest bezpieczniej.

- A was żółtki trafili?

- Mają na wzgórzach półcalówki na podstawach przeciwlotniczych. Myślę, że również trochę dwudziestomilimetrowych działek. Ale my z pewnością dostaliśmy z półcalówki. Samolot nie eksplodował, ale silnik natychmiast się zapalił.

- I co, od razu wyskoczyłeś?

- Przede mną stał facet z Legii Cudzoziemskiej, żabojad, co samo w sobie jest niezwykle. Natychmiast go wypchnąłem, potem wyrzuciłem chłopaka od Blacka i wreszcie sam skoczyłem.

- A gdzie był wtedy Felter?

- Znasz Feltera - odparł MacMillan. - Potrafi pilnować własnego dupska. Sam wyskoczył z samolotu jak z katapuły.

- Nikt inny już nie skoczył?

- Gdybyśmy nie stali przy samych drzwiach, nawet my nie mielibyśmy szansy. To była dosłownie kwestia sekund.

- Co było dalej?

- Wszyscy zawiśliśmy na drzewach. Cholera, rozwaliłem sobie wtedy zegarek. Jakoś udało mi się zeskoczyć na ziemię i zacząłem szukać pozostałych. No i co znalazłem? Trzech żółtków złapało i przywiązało do drzewa naszego żabojada i, przysięgam, Bob, właśnie zamierzali odciąć mu fiuta i go nim nakarmić. Własnym fiutem, wyobrażasz to sobie? A więc zastrzeliłem jednego z nich...

- Z czego? Zdaje się, że mieliście wyraźny rozkaz, żeby nie zabierać ze sobą broni palnej.

- Z Colta .32, którego dałeś mi w stalagu - powiedział MacMillan. - Cholera, zrządzenie losu, że go jednak miałem. Potem schowałem się za drzewem i właściwie żegnałem się z życiem, bo dwóch żółtków, których nie zdołałem ustrzelić, miało chińskie pistolety maszynowe. A tu nagle dwa razy huknęło!

- Co to było?

- To strzelał ten cały Greer. Miał ze sobą Winchestera model 12, z upiłowaną lufą. Musiał przeładowywać broń po każdym strzale, a i tak jednemu z żółtków odstrzelił łeb, a drugiemu rozwalił brzuch. Dosłownie zrobił w nim dziurę. Można tam było wsadzić pięść.

- A gdzie był Felter?

- Już po wszystkim jak gdyby nigdy nic wyszedł sobie po prostu z dżungli. Powiedział mi wcześniej, że nie mam zabierać ze sobą broni, ale on sam, jak zwykle, miał swoją cholerną czterdziestkę piątkę.

- Rozumiem, że potem poszliście do Dien BienPhu?

- „Poszliście” to niewłaściwe słowo. Wlekliśmy się cztery dni. Czołgaliśmy się. Biegliśmy. Wspinaliśmy się na drzewa. Zwykłego marszu było w tym wszystkim bardzo mało. Legionista, który trochę znał okolice, bo był już tam wcześniej, kazał nam przez cały dzień pozostawać w ukryciu i poruszać się dopiero nocą. Było cholernie niebezpiecznie. W puszczy było pełno żółtych drani, którzy przez cały czas nas szukali. Kryliśmy się na drzewach. Robale żarły nas żywcem. Lecz w końcu, i to był najtrudniejszy moment, dotarliśmy do Dien BienPhu. Żabojady mają tam dużą bazę i kilka wysuniętych posterunków znajdujących się w sporych odległościach. Nie dziwię im się, że każdego osobnika, który wychodzi z dżungli, traktują jak potencjalnego wroga. W ogóle, jeśli tylko zobaczą, że coś w gęszczy się rusza, od razu walą w tym kierunku z czego popadnie.

- Ale daliście sobie radę?

- Taak.

- Francuzi nie widzieli, żeby ktokolwiek wydostał się z Dakoty. Dlatego wysłali telegramy z informacją o ofiarach - powiedział Bellmon.

- W każdym razie dotarliśmy na miejsce. Bob, to jest coś niewiarygodnego. Francja musiała tak wyglądać w czasie pierwszej wojny. Wszystko mają pochowane pod ziemią. Żółtki ostrzeliwujących przez cały czas, dwadzieścia cztery godziny na dobę, jedynie z krótkimi przerwami. To sprawia, że wszyscy oficerowie przez cały czas są lekko podpićci, a żołnierze po prostu pijani.

- Utrzymają tę placówkę?

- W żadnym razie - odparł MacMillan. - Po tym, jak uratowaliśmy żabojada przed odcięciem mu fiuta, wiele nam opowiedział. Nie wiem, jak te komuchy to robią, ale wciąż przepychają po wzgórzach haubice kalibru 105... Nasze haubice, te, które 1. Dywizja Kawalerii straciła w Korei. Mają do nich od cholery amunicji. Nie ma najmniejszej szansy, żeby żabojady mogli utrzymać Dien BienPhu. Legionista powiedział mi, że każdego dnia żółtki mają więcej dział. Zwyciężą wcześniej czy później i po francuskim Dien Bień Phu pozostanie tylko wspomnienie.

- W Hanoi w ogóle nie chodziłeś na narady?

- Nie, nie chodziłem, ale Sandy otrzymał dokładny raport od generała Blacka. Byłem przy ich rozmowie.

- No i co?

- Żabojady powariowali. Oczywiście, żądają od nas 1. Dywizji Kawalerii, 187. Pułkowej Grupy Bojowej także natychmiast, ale życzą sobie również, żeby oba oddziały

walczyły pod francuskim dowództwem. Jednym słowem, chcą przez cały czas grać pierwsze skrzypce.

- Jak się wydostaliście z Dien BienPhu? - zapytał pułkownik Bellmon, częściowo ze zwykłej ciekawości, a częściowo dlatego, że chciał rozważyć w myślach konsekwencje ostatniej uwagi MacMillana.

- Samolotem sanitarnym - odparł MacMillan. - Kiedy ktoś znajdzie się już w Dien BienPhu, nie ma wielkiej szansy, żeby się stamtąd szybko wydostać. To dlatego Francuzi nie посыłają tam kobiet. Jedynym środkiem transportu z Dien BienPhu są w zasadzie tylko ich samoloty sanitarne. A i tak czerwone krzyże na samolotach żółtki traktują jak tarcze strzelnicze.

- Powiedziałeś, że generał Black poinformował Feltera, iż Francuzi chcą dowodzić amerykańskimi oddziałami?

- Tak właśnie mówił - odparł MacMillan. - Kiedy padło takie żądanie, zaczął z nimi rozmawiać po francusku. Oświadczył, że nie ma absolutnie żadnej możliwości, aby naród amerykański spokojnie przyjął oddanie swoich żołnierzy pod dowództwo francuskie, jeżeli w ogóle, w co generał także wątpił, naród spokojnie przyjąłby wysłanie wojsk amerykańskich do Indochin.

- A ich reakcja?

- Prędzej daliby sobie z godnością poodcinać kutasy, niż przyznaliby, że Amerykanie po raz kolejny muszą ratować im dupy.

- Co więc teraz nastąpi, Mac? - zapytał Bellmon.

- Dien BienPhu padnie - odpowiedział MacMillan. Gdybyśmy posłali tam kilka dywizji, być może, tylko być może, byśmy je obronili. W przeciwnym wypadku nie widzę najmniejszych szans.

- Nie widzisz szans? Dla kogo?

- Dla całej tej cholernej francuskiej kolonii.

Bellmon przez długą chwilę milczał.

- Zagramy jeszcze w golfa, Mac? - zapytał wreszcie.

- Jeszcze jedno...

- Co takiego?

- Dzięki, że nie pobiegłeś od razu do Roxie, kiedy przyszedł telegram.

- Przypuszczałem, że gdzieś wypłyniesz - odparł Bellmon. - Bóg opiekuje się głupcami i pijakami, a ty kwalifikujesz się do obu tych kategorii.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Mówisz więc, że Lowell przebrnął przez szkołę pilotów? - zapytał MacMillan, zamykając ostatni temat.

- Tak między nami mówiąc, nie bez trudności - powiedział Bellmon. - Z pewnością nie jest urodzonym pilotem.

- Księżę zasadniczo wynajmuje ludzi do takich brudnych robótek. Pewnie posłali go do 7. Armii, co?

- Tak, na rok. Na podstawowe przeszkolenie praktyczne. Przez najbliższy rok major Lowell będzie musiał słuchać poleceń wydawanych przez poruczników i kapitanów.

- Przynajmniej będą starsi od niego - zauważył MacMillan, po czym wyszedł z altany i wcisnął w ziemię kołek do piłki.

IV

1

Broadlawns

Glen Cove, Long Island, Nowy Jork

12 kwietnia 1954

Tylko kilka kominów, i to wyłącznie wówczas, gdy się ich szukało wzrokiem, można było wypatrzeć, stojąc za płotem otaczającym Broadlawns. Płot, który otaczał teren o powierzchni mniej więcej 640 akrów (około jednej mili kwadratowej, wytyczony z taką dokładnością, o jaką dbano w 1768 roku), rozpoczynał się i kończył na niskim brzegu cieśniny Long Island, biegnąc po skałach i głazach, po terenie płaskim i pofałdowanym. Jego ciągłość przerwana była tylko w jednym miejscu, szeroką bramą.

Płot wykonano z ceglanych słupów, wysokich na osiem stóp, pomiędzy którymi zawieszono były dwa stalowe pasy. Co osiem cali pasy przecinały stalowe pręty o ostrych zakończeniach. Płot i bramę oraz stróżówkę zbudowano w wielkim pośpiechu na początku wojny secesyjnej, kiedy jedna z właściolelek Broadlawns doszła do niepokojącego wniosku, że zamieszki w Nowym Jorku, oddalonym zaledwie o piętnaście mil, mogą się rozlać na cały kraj. Była wówczas przy nadziei i należało dogadzać jej zachciankom.

Przy bramie znajdował się słup, do którego była przybita mosiężna tablica z napisem: BROADLAWNS. Po drugiej stronie bramy stała stróżówka, zbudowana z granitowych bloków, wystarczająco obszerna, żeby mogło mieszkać w niej i jadać posiłki od dziesięciu do dwunastu ludzi. Mieliby tam zamieszkać, gdyby mała prywatna policja okazała się niezbędną do bronienia tego sielskiego zakątka. Taka sytuacja mogłaby zaistnieć, gdyby nowojorskie zamieszki wymknęły się władzom spod kontroli.

Obecnie w stróżówce mieszkał jeden prywatny policjant.

Wychował się w niej, ponieważ przez wiele lat za posterunek przy bramie odpowiadał jego ojciec. Chłopak dorastał tutaj, poszedł do szkoły średniej, a potem na dwa lata do Fordham University. Wreszcie został nowojorskim policjantem stanowym i w ciągu dwudziestu ośmiu lat służby awansował na stopień sierżanta. Teraz był na emeryturze, pilnował bramy Broadlawns, a jego syn był już porucznikiem policji stanowej.

Kiedy umarł ogrodnik, emerytowany sierżant policji stanowej przejął także jego obowiązki. Nadzorował mężczyzn, którzy dbali o porządek, i mechaników, którzy odpowiadali za sprawność kosiarek do trawy i innego sprzętu.

Właściwie odpowiadał za wszystko, co znajdowało się na terenie posiadłości. Nie podlegała mu tylko główna rezydencja. Tam pierwsze skrzypce grał kamerdyner.

Emerytowany policjant stanowy i jego syn pomagali, jak mogli, obecnemu właścicielowi posiadłości, kiedy ten był młodym chłopakiem i dysponował samochodami, które z łatwością przekraczały limity prędkości określone dla stanu Nowy Jork. Zatrzymany został w areszcie tylko jeden raz, kiedy z prędkością 105 mil na godzinę uciekał przed siedmioma ścigającymi go samochodami policyjnymi. Trafił do aresztu tylko dlatego, że w jego samochodzie pękła opona i dachował, bo w przeciwnym wypadku po prostu uciekłby pogoni. Po tak spektakularnej akcji sierżant nie mógł mu pomóc. Istniała pewna granica jego wpływów.

Dom widoczny był z cieśniny Long Island, jednak znajdował się tak daleko od brzegu, za szerokimi trawnikami, że z wody zdawał się o wiele mniejszy, niż był w rzeczywistości. Nawet z bliska, kiedy ktoś patrzył na dom z podjazdu, nie wyglądał imponująco. Dopiero kiedy się weszło do środka, rozmiary i złożoność tego budynku stawały się oczywiste. Początkowo został postawiony jako zwyczajny wiejski dom, ale później otrzymał jeszcze mnóstwo przybudówek, ostatnią w 1919 roku. Obecnie było tu dziewięć sypialni, biblioteka, salon przedpołudniowy, pracownia malarska, salon główny, bar, mała jadalnia, duża jadalnia i pokój śniadaniowy.

Wielu ludzi było przekonanych, że Broadlawns jest prywatnym szpitalem psychiatrycznym, inni z kolei uważali, że należy do Nowojorskiej Archidiecezji Rzymskokatolickiej i zamieszkują w nim w odosobnieniu duchowni, którzy mają problemy z alkoholem czy jakieś inne kłopoty.

Przez lata wiele firm poszukujących działek, na których mogłyby stawiać kolejne budynki, często łakomym okiem spoglądało na ogrodzoną posiadłość rozciągającą się na przestrzeni pół, a może nawet trzech czwartych hektara, na której terenie można by zbudować naprawdę luksusowe osiedle. Posiadłość jednak nie była na sprzedaż. Najbardziej upartym, przekonanym, że wszystko ma swoją cenę, a nie do końca zorientowanym, z kim mają do czynienia, bankierzy tłumaczyli, że niepotrzebnie robią z siebie idiotów. Ludzie, którzy od 1768 roku byli właścicielami Broadlawns, nie życzyli sobie, żeby ktokolwiek ich nachodził, a ponieważ należeli do największych graczy na nowojorskim rynku nieruchomości, siłą rzeczy nie zwracali najmniejszej uwagi na drobnych jego uczestników.

Większość budynków wokół Wall Street, nienależąca do Episkopalnego Kościoła Trójcy Świętej, znajdowała się w rękach ludzi, którzy byli właścicielami Broadlawns.

I którzy mieli w rękach dużo więcej nieruchomości.

Kamerdyner z Broadlawns pochodził z Indii Zachodnich, był wysokim, śniadym mężczyzną o ostrych rysach twarzy i siwiejących włosach. Nosił szarą wełnianą marynarkę i szare spodnie w paski. Kiedy wszedł do baru, żeby poinformować o telefonie do majora Craiga W. Lowella, odezwał się z perfekcyjnym oksfordzkim akcentem brzmiącym w jego ustach cokolwiek śmiesznie.

- Przepraszam, majorze. Firma na linii. Chcą, żeby komuś umożliwił rozmowę z panem majorem. Czy jest pan w domu?

Major Craig W. Lowell, który był trochę pijany, popatrzył na niego z rozdrażnieniem.

- A konkretnie kto chce ze mną rozmawiać? - zapytał.

- Nie poinformowano mnie.

- Cholera jasna.

Major Lowell był potężnie zbudowanym mężczyzną.

Miał krótko ścięte jasne włosy i przyjemne niebieskie oczy, które jednak stawały się lodowato zimne, kiedy major się denerwował. W takich chwilach wyglądał na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości. A miał dokładnie dwadzieścia sześć lat.

Niechętnie podniósł się ze skózanego fotela, w którym od dłuższego czasu tkwił, bezmyślnie wpatrując się w okno, z nogami ułożonymi na skózanym podnóżku, z kieliszkiem koniaku w dłoni. Podszedł do telefonu znajdującego się na barze. Kamerdyner najpierw wcisnął na aparacie właściwy przycisk, po czym podniósł słuchawkę i podał ją majorowi.

- Dziękuję - powiedział Lowell, po czym rzucił do słuchawki: - Major Lowell przy telefonie.

- Majorze, na linii czeka major Felter. - Lowell rozpoznał głos sekretarki jego kuzyna Portera Craiga. - Czy mogę go z panem połączyć?

- Bezwzględnie tak - odparł.

Po chwili usłyszał, jak sekretarka mówi: „Chwileczkę, majorze Felter, łączę z majorem Lowellem”.

- Myszowaty, ty stary draniu! - zawołał Lowell.

- Jestem na LaGuardii - odezwał się Felter. - A ty gdzie?

- Do diabła, a co ty robisz na LaGuardii?

- Przyleciałem, żeby się z tobą pożegnać.

- Chwileczkę. - Major Lowell zakrył dłonią mikrofon słuchawki, po czym odwrócił się i popatrzył na drugiego mężczyznę znajdującego się w pomieszczeniu, swego ojczyzna Andre Pretiera. - Czy będę mógł skorzystać z twojego samochodu?

- Tak, oczywiście.

- Podejdz do stanowiska Pan American i podaj im moje nazwisko - powiedział Lowell do Feltera. - Powiedz im, że za chwilę po ciebie przyjadę.

- Przecież tu są taksówki.

- Podejdz do tego cholernego stanowiska - powtórzył Lowell. - Będę tam za dwadzieścia minut. - Odłożył słuchawkę, zanim Felter zdążył ponownie zaprotestować.

- To ten facet, o którym myśleli, że już nie żyje? - zapytał Andre Pretier.

- Aha. Przyleciał, żeby się ze mną pożegnać.

- Dopilnuj, żebyśmy mogli właściwie podjąć gościa majora - powiedział Andre Pretier do kamerdynera.

Kamerdyner skłonił głowę i w milczeniu wyszedł z pomieszczenia.

- Napijesz się jeszcze, Andre? - zapytał Lowell i wyciągnął w kierunku ojczyzna butelkę koniaku.

Ten jednak tylko potrząsnął przecząco głową.

- Ale ty się nie krępuj - powiedział i zaraz dodał: - Przepraszam, Craig, ciągle zapominam, że to jest twój dom.

- Cholera jasna - mruknął Lowell, ale zaraz zachichotał. - Teraz ja przepraszam, Andre. Ja z kolei nie pamiętam, że w tak zacnym towarzystwie nie wypada używać słów „cholera jasna”.

Andre Pretier uśmiechnął się i unióś kieliszek w udawanym toaście.

- Mógłbym coś zasugerować? - zapytał.

- Tak, oczywiście.

- Dostyc duzo już wypileś. - Wymownie popatrzył na butelkę. - Na pewno dasz radę prowadzić samochód?

Niebieskie oczy w jednej chwili zrobiły się lodowato zimne. Ale po kilku sekundach major Lowell powiedział:

- Nie, oczywiście że nie.

Nacisnął przycisk na barze, przywołując kamerdynera.

Ten zjawił się niemal natychmiast.

- Poproś Thomasa, żeby podjechał do salonu VIP-ów przy stanowisku Pan American na LaGuardii - powiedział do niego Andre Pretier - i przywiózł tutaj...

- Majora Stanforda T. Feltera - uzupełnił Lowell.

- Tak, proszę pana - odparł kamerdyner.

Kamerdyner zjawił się ponownie po czterdziestu minutach.

- Major Felter do majora Lowella - zaanonsował.

Do pomieszczenia wkroczył Felter, ubrany w obwisłą, źle skrojoną marynarkę. Lowell zerwał się z krzesła, przez chwilę jakby się wahał, ale wreszcie poddał się emocjom.

Szybko podszedł do szczupłego mężczyzny, objął go i uniósł nad podłogę.

- Na miłość boską, Craig! - zaprotestował Felter.

Lowell postawił go z powrotem.

- Cieszę się, że cię widzę, mały draniu - powiedział. Już myślałem, że wążasz kwiatki od spodu.

Andre Pretier także powstał.

- Myszowaty, to jest mój ojczym - przedstawił go Lowell. - Andre, poznaj Sandy'ego Feltera.

- Jest mi niezmiernie miło, majorze Felter.

- Dzień dobry panu. - Felter potrząsnął dłonią Pretiera.

- Czego się napijesz? - zapytał Lowell.

- Może coli? A masz piwo imbirowe?

- Andre, wyobrażasz sobie tego małego wstrętnego abstynenta skaczącego z samolotu nad Dien BienPhu?

- Na miłość boską, Craig! - znów zaprotestował Felter.

- On jest szpiegiem, Andre. Widzi radzieckich szpiegów za każdą zasłoną okienną.

- Co takiego świętujecie? - zapytał Felter chłodnym tonem. Zdążył się zorientować, że Lowell jest pijany.

- Craig był w Hartford - odparł Andre Pretier. - W odwiedzinach u matki.

- Co u niej?

- Rekonwalescencja przebiega „powoli, ale bez komplikacji”. Tak mówią.

- Miło to słyszeć - powiedział Felter uprzejmie.

- To znaczy tylko tyle, że na razie jej się nie pogorszyło i nie znajduje się ani o jeden krok bliżej grobu - stwierdził Lowell i popatrzył na Andre Pretiera. - Andre, przed Myszowatym nie mam żadnych sekretów. Ale jeśli to ostatnie było nie na miejscu, bardzo cię przepraszam.

- Nic się nie stało. Widzi pan, majorze, staramy się mojej żonie, a matce Craiga, zapewnić jak najlepszą pomoc. Niestety, postępy w leczeniu nie są takie, jakich byśmy pragnęli.

- Bardzo mi przykro - powiedział Felter.

- Ale żeby pozostawić na boku nieprzyjemny temat, co cię sprowadza do Sodomy nad rzeką Hudson? - zapytał Lowell.

- Chciałem się z tobą pożegnać - odparł Felter. - Chciałem ci podziękować za wizytę u Sharon.

- Cholera jasna - zareagował Lowell. Natychmiast posłał Andre Pretierowi pijacki uśmiech. - Znowu mi się wyrwało. Jaka ta moja gęba jest niewyparzona.

- Sharon powiedziała mi, co zrobiłeś, Craig.

- Chryste, miałem nadzieję, że tego nie zrobi. To znaczy, powiedziała ci, że się jej oświadczyłem?

Felter z rezygnacją pokiwał głową.

- Kiedy wylatujesz? - zapytał.

- O wpół do jedenastej. Pan American ma nocny lot do Paryża. Potem złapię Main-Seiner do Frankfurtu.

- Cieszę się więc, że dzisiaj cię odwiedziłem. Gdybym czekał do jutra, pewnie wyleciałbyś ze Stanów i nawet byś do mnie nie zatelefonował. Tak jak wyszedłeś z domu na godzinę przed moim powrotem.

- Cóż, skoro jednak żyłeś, zdałem sobie sprawę, że Sharon za mnie nie wyjdzie - powiedział Lowell. - Nie było więc sensu, żebym czekał na twoje radosne: „Kochanie, jestem znów w domu, wyrwałem się śmierci spod łopaty”.

- Jak się dowiedziałeś, Craig? - zapytał Felter. - Sharon powiedziała mi, że byłeś u niej pół godziny po ekipie z armii.

- Właściwie to po jakichś dwóch godzinach - poprawił go Lowell. - Miałem pewne problemy ze znalezieniem taksówki powietrznej.

- I nie powiesz mi, od kogo się dowiedziałeś?

- Żebyś potem ukarał człowieka za niedotrzymanie tajemnicy? Nie ma mowy, Myszowaty.

- Dobrze, dajmy sobie z tym spokój - zgodził się Felter. - Opowiedz mi o szkole pilotów.

- Cóż, nagle znalazłem się na wysokości dziesięciu tysięcy stóp i pomiędzy mną a ziemią nie było nic, tylko chuda blond...

- Ile musiałeś wypić? - zapytał Felter.
- Mnóstwo - odparł Lowell. - Nie byłem przygotowany na Hartford.
- Próbowałem mu wbić do głowy, majorze, że ona go prawdopodobnie nie rozpozna - wtrącił się Andre Pretier - ale się uparł.

- Opowiedz mi lepiej o Dien BienPhu - zażądał Lowell. - Przede wszystkim, co tam robiłeś razem z MacMillanem?

- I tak wiesz już na ten temat więcej, niż powinieneś, Craig.

- Chcę się dowiedzieć, jak razem z MacMillanem biegaliście po dżungli - nalegał Lowell. - Po wyskoczeniu z samolotu płonącego niczym pochodnia.

- Zaczynam podejrzewać, że wiem, z kim rozmawiałeś - stwierdził Felter.

- Co się stało, na miłość boską?

- Przepraszam - powiedział Andre Pretier. - Być może będzie lepiej, jeśli zostawię panów samych.

Felter patrzył na niego przez chwilę.

- Nie ma potrzeby...

- Panowie wybaczą - powiedział Andre Pretier.

Wstał i po chwili zniknął za drzwiami.

- Nie wolno mi o tym rozmawiać - powiedział Felter. Doskonale o tym wiesz. Fatalnie się czuję, zmuszając go do opuszczenia własnego salonu.

- To jest bar, a nie salon - zauważył Lowell. - I należy do mnie, a nie do niego.

- Boże, jesteś niemożliwy. Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

- Do dupy z tym wszystkim - westchnął Lowell. - Jeśli nie możesz ze mną rozmawiać o Dien BienPhu, to z kim w ogóle możesz o tym rozmawiać?

- Może się jednak napiję - stwierdził Felter. - Mogę ci zaufać, że będziesz trzymał gębę na kłódkę? - Zaraz sam odpowiedział na swoje pytanie. - Nie, oczywiście że nie mogę. Ale każdy szpieg ma jakąś słabość. Moją słabością jesteś ty.

Opowiedział Lowellowi, co się wydarzyło w Dien Bień Phu, przedstawiając siebie jako zestrachanego tyłowego gryzpiórka holowanego w bezpieczne miejsce przez dżunglę Indochin przez kaprala Legii Cudzoziemskiej oraz dziewiętnastoletniego sierżanta dzierżącego w dłoniach obrzyna załadowanego grubym śrutem.

Lowell automatycznie zmieniał w myślach ten obraz.

W jego opinii major Stanford Felter był równie dobry w walce jak MacMillan i wielu innych żołnierzy, których Lowell spotkał podczas służby. Widział go już w akcji. W gruncie

rzeczy zawdzięczał mu życie. To Felter zastrzelił oficera, który sprzeciwił się wysłaniu posiłków na ratunek Lowellowi podczas operacji mającej na celu stłumienie rewolty w Grecji.

Lowell dokładnie wyobraził sobie Feltera w Indochinach, w wyjściowym mundurze tropikalnym, z Coltem Ab, z którym nigdy się nie rozstawał, trzymanym oburącz i gotowym do strzału. Felter był zbyt drobny, a jego nadgarstki zbyt słabe, by mógł strzelać z czterdziestki piątki, trzymając broń w jednej dłoni. Kiedy jednak trzymał ją w dwóch, strzelając powoli i dokładnie mierząc, rzadko chybiał. Dosłownie każdy jego strzał był śmiertelny.

- Tak więc, z właściwą pompą i ceremoniałem - zakończył Felter - pod ostrzałem haubic kaliber 105 milimetrów, pozyskanych przez żołtków dzięki uprzejmości Pierwszej Kawalerii, zostaliśmy formalnie wpisani na listę członków honorowych 3'śme Regiment Parachutiste Legii Cudzoziemskiej.

- Chryste - westchnął Lowell. - Żałuję, że mnie tam nie było.

Przez chwilę zastanawiał się, czy naprawdę jest szczery.

Wiedział, że jego słowa ucieszyły Feltera, ponieważ Felter od dawna uważał go (Lowell był skłonny uznawać, że bezpodstawnie) za urodzonego żołnierza, wręcz stworzonego do walki w najtrudniejszych warunkach.

- Próbowali odznaczyć nas swoim Croix de Guerre - powiedział Felter. - Oczywiście, ponieważ zasadniczo w ogóle nikt nie miał wiedzieć o naszym pobycie u nich, nie ma nawet mowy, żebyśmy otrzymali zgodę na przyjęcie tego krzyża.

- Cholera, a ja tymczasem za niebotyczne pieniądze uczę się pilotowania wiatraka.

- Opowiedz mi o tym.

- Nie ma nic do opowiadania - odparł Lowell. - Nie ma nic bardziej idiotycznego jak widok majora pilotującego helikopter. To tak, jakby ktoś mi kazał usiąść za kierownicą jeepa i wozić młodszych stopniem. Czuję się jak głupek, kiedy na koniec szkolenia zagrała orkiestra, łopotały flagi, a mnie przypinali do munduru skrzydełka pilota.

- Bzdury opowiadasz - powiedział Felter stanowczo.

- Sam nie wiem - mruknął Lowell, nagle poważny w pijackim upojeniu. - Chyba co jakiś czas muszę przepierać sobie mózg. Moja wiara w samego siebie to słabnie, to znów jest mocniejsza.

Felter wyjrzał przez okno i zobaczył Andre Pretiera, który szedł przez trawnik rozciągający się od domu aż po brzeg morza. Otworzył podwójne drzwi prowadzące na parterowy taras i wyszedł w jego kierunku.

- Zdaje się, że niechcący skłoniłem pana do pośpiesznego opuszczenia własnego domu - powiedział. - Ale już skończyłem opowiadać o tym, o czym nie powinienem. Jeśli więc zechciałby pan wrócić...

- Rozumiem - odpowiedział Pretier.

Felter wprowadził go z powrotem do domu.

- Rozmawiamy właśnie o tym, jakie znaczenie dla armii ma lotnictwo transportowe - poinformował go Felter. - Obawiam się, że nie jest to interesujące pana zagadnienie.

- Nawet nie potrafiłbym zabrać głosu w takiej rozmowie. Szczerze mówiąc, Craig nie opowiada mi wiele o swojej pracy.

- Właśnie został pilotem wojskowym - powiedział Felter.

- Cóż, moja ignorancja jest totalna - odparł Pretier. Nawet nie wiedziałem, że w armii służą piloci.

- Kiedy wojska lotnicze stały się autonomicznym rodzajem broni - zaczął Felter i Andre Pretier odniósł wrażenie, że z ulgą znalazł bezpieczny przedmiot rozmowy - większość ich wysiłków i uwagi skupiła się na bombowcach, szybkich myśliwcach i na raketach. Nad polem bitwy armia potrzebuje wielu lekkich samolotów. Ponieważ wojska lotnicze nie były w stanie ich dostarczać, armia uzyskała pozwolenie na rozwinięcie własnego lotnictwa. Craig właśnie rozpoczyna w nim służbę.

- W naszej armii jest kilku szalonych dowódców, którzy oczyma wyobraźni widzą całe dywizje transportowane na pokładach helikopterów - powiedział Lowell z przekąsem.

- Rozumiem. A ty widzisz w tej teorii wystarczająco dużo sensu, aby zrezygnować z czołgów? Chyba tak jak Guderian, który jako pułkownik dostrzegł z kolei możliwość prowadzenia wojny błyskawicznej dzięki pułkom pancernym i wprowadził swoje przemyślenia w życie?

- Chciałbym, żebyś miał rację - mruknął. - Natomiast bezlitosna rzeczywistość jest taka, Andre, że wykonując moje ostatnie zadanie w Korei, okazałem się tak nieporadny, iż pozostał mi tylko jeden wybór: albo pójdę do lotnictwa, albo raz na zawsze zrzucę mundur.

Pretier popatrzył z zaskoczeniem na Feltera, dostrzegł na jego twarzy cień bolesnego wspomnienia i wiedział już, że Lowell powiedział prawdę.

- Nie było aż tak źle, Craig - odezwał się Felter.

- Wiesz, że to nieprawda, więc przestań pieprzyć.

- Ale przecież byłeś w Korei odznaczany - zauważył Pretier, szczerze zdziwiony. - 1 to kilkakrotnie. Poza tym awansowałeś.

- To było jeszcze, zanim dałem dupy - powiedział Lowell i nalał sobie do kieliszka kolejną porcję koniaku.

- Co takiego zrobiłeś?

- Patrzysz, Andre, na jednego z niewielu, a być może na jedyne go żołnierza z Korei, który wywołał skandal seksualny poprzez związek z białą kobietą. - Lowell uklonił się przed nim nieporadnie.

- Nie jestem zdziwiony - powiedział Pretier, chcąc obrócić wyznanie Lowella w żart.

- Nasi dowódcy byli tym tak samo wstrząśnięci jak wtedy, kiedy stałem przed sądem wojskowym i oświadczałem, że są sytuacje w walce, kiedy jeden oficer ma prawo zastrzelić drugiego oficera własnej armii, który nie wykonuje swoich obowiązków.

Andre Pretier znowu popatrzył na Stanforda Feltera.

I znowu bolesny wyraz twarzy majora podpowiedział mu, że Lowell mówi prawdę.

- Co to była za kobieta? - zapytał Pretier, wybierając, jak mu się zdawało, delikatniejszy z dwóch tematów.

- Georgia Paige.

- Aktorka? Ta, która...

- Chodzi bez biustonosza - uzupełnił Lowell. - Tak, naprawdę, to była właśnie ta Georgia Paige.

- I to dlatego, kiedy pierwszy raz wróciłeś z Korei, natychmiast poleciałeś do Los Angeles?

- Cóż, to jednak nie trwało długo - odpowiedział Lowell gorzko. - Wkrótce Georgia i ja doszliśmy do bolesnego wniosku, że, jak by to wyrazić, jesteśmy statkami, które po prostu minęły się w środku nocy.

- Co się stało, Craig? - zapytał Felter i zabrzmiało to jak kategoryczne żądanie informacji, któremu przyjaciel nie mógł odmówić.

Lowell nie odpowiedział jednak natychmiast. Felter pomyślał, że albo zastanawia się nad odpowiedzią, albo postanowił nie odpowiadać w ogóle.

- W Korei było nam doskonale - powiedział Lowell.

- Jak ją zdobyłeś? W Korei oczywiście - zapytał Felter.

- Najwyraźniej podziałała na nią wizerunek męznego żołnierza. Pokazałem jej mój czołg i to ją chyba bardzo podnieciło.

- Daj spokój!

- Słowo skauta, Myszowaty. Właśnie w czołgu po raz pierwszy... W raporcie napisali, że jestem „niedojrzały emocjonalnie”; chodzi o to, że zabrałem ją w czołgu na pierwszą linię ognia i jeszcze przebrałem ją w mój stary mundur.

- Bo to było szczeniackie - zauważył Felter. - I głupie.

- Jakkolwiek by to nazwać, bardzo damę podnieciło. Rozgorzała pomiędzy nami prawdziwa wielka namiętność. Kiedy wróciliśmy do koszar, byłem pełen młodzieńczych marzeń. Że spotkam się z nią w Los Angeles i polecimy na romantyczną wyprawę do Niemiec, gdzie natychmiast polubi mojego syna. A potem zaczniemy szukać niewielkiego domu przy drodze, rozpoczniemy szczęśliwe życie i będziemy robić dzieci, jedno po drugim.

- A co się stało naprawdę?

- Po pierwsze, kręciła film i przez sześć tygodni nigdzie nie mogła się ruszyć, a kiedy wreszcie zacząłem z nią rozmawiać o Peterze-Paulu, powiedziała: „Ach, tak. Twoje dziecko. Zupełnie o tym zapomniałam”.

- Cóż... - Sandy Felter westchnął ze współczuciem.

- Zacząłem się zastanawiać, czy Georgia rzeczywiście mogłaby być tak dobra w roli kochającej macochy, jak ją widziałem w marzeniach. Zresztą, cholera, to już nie ma znaczenia.

- Wiedziała, że jesteś bogaty? - zapytał Felter.

- My, bogaci, mówimy „majętny” - zauważył Lowell. Felter pomyślał, że nie usłyszał tej poprawki bez przyczyny.

- Pewnie koniecznie chciała, żebyś się zwolnił z wojska, ale ty się nie zgodziłeś? - zapytał.

- Tak daleko nie zabrnęliśmy.

- Ale wiedziała, że jesteś „majętny”?

- Sam już nie wiem. Wiedziała, oczywiście, że mam pewne wpływy w przemyśle filmowym. To my, dzięki interesującemu zbiegowi okoliczności, finansowaliśmy jej najnowszy film. Gdyby nie to, nie sądzę, by Georgia dopuszczała mnie do siebie bliżej niż na odległość kilku kroków. I tak musiałem się nieźle starać, żeby się z nią spotykać. Nieważne. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że byłem cholernym głupcem i krótki płomienny romans wzięłem za wielką miłość.

- Przykro mi, Craig - powiedział Felter.

- Pewnego dnia pomyślałem, że wszystkie problemy mam jednak za sobą. Było to tego dnia, kiedy wezwał mnie Bellmon i powiedział mi, że zginąłeś jak bohater w dalekich

Indochinach. Stwierdziłem wtedy, że trochę odczekam i po stosownym okresie żałoby poślubię Sharon. Wówczas będę naprawdę szczęśliwy.

- Przykro mi, że cię zawiodłem.

- Następnym razem nie niszczyć moich nadziei. Jak ogłoszą cię martwym, pozostaniesz martwy.

- Któregoś dnia natrafisz na właściwą kobietę, Craig. Poza tym, że jesteś głęboko niemoralny, mimo wszystko jesteś idealną partią dla każdej panny w tym kraju, która marzy o zamążpójściu.

- Wiem, wiem. Ale zawsze czuję się zakłopotany, kiedy damulki padają przede mną na kolana i zaczynają całować mnie po rękach.

- On ma rację, Craig - wtrącił się Andre Pretier. - Jeszcze sobie kogoś znajdziesz, zobaczysz.

- Nie wiem, czy jeszcze tego chcę - powiedział Lowell. Nagle dorzucił: - Na miłość boską, dość już tego. Zaczniemy wreszcie opowiadać sobie jakieś świńskie kawały, co wy na to?

2

Oddział Lotnictwa

przy Dowództwie 7. Armii Stanów Zjednoczonych

Augsburg, Niemcy

15 kwietnia 1954

Podpułkownik Ford W. Davis, dowódca Oddziału Lotnictwa przy Dowództwie 7. Armii, przebywał akurat w sekretariacie, kiedy do pomieszczenia wszedł cywil. Davisa to zdziwiło i zirytowało, a to, co zobaczył, wcale mu się nie spodobało.

Cywil był ubrany w wygniecioną sportową marynarkę i szare flanelowe spodnie, a na ramiona miał swobodnie narzucony nieprzemakalny płaszcz. Jedwabny szal nieelegancko zwisał mu z szyi, a kołnierzyk jego białej koszuli był rozpięty.

Pewnie dziennikarz, ocenił szybko pułkownik Davis.

Prawdopodobnie Amerykanin, prawdopodobnie z „Munich American”, tabloidu wydawanego przez przemądrzałych byłych żołnierzy, bandę cholernych szkodników, którzy

zawsze szukają tematów stawiających armię, a korpus oficerski w szczególności, w jak najgorszym świetle.

Pułkownik Davis odłożył dokumenty, które właśnie czytał, na szafę z aktami, po czym zbliżył się do cywila, który właśnie zaczynał rozmowę z sierżantem.

- O co chodzi? - zapytał.

- Ten oficer przyjechał do nas trochę za wcześnie z urlopu, sir.

Davis popatrzył na mężczyznę w cywilu. Wysocy i przystojni mężczyźni zawsze wzbudzali jego podejrzenia, szczególnie tacy z rozpiętymi kołnierzykami i w jedwabnych szalach. Tymczasem oficer wyprostował się i stał teraz przed pułkownikiem niemal w postawie na baczność.

- W rzeczy samej, sir - odezwał się przystojny młody człowiek podobny do filmowego amanta - nie wracam z urlopu. Miałem nadzieję, że mogę już otrzymać kartę zaopatrzenia.

- A kiedy powinniśmy się pana spodziewać w jednostce?

- Mam rozkaz, żeby się stawić w Camp Kilmer 20 kwietnia, sir.

- Więc co pan tu robi tak wcześnie?

- Byłem żonaty z Niemką, sir. Mam tutaj syna.

- Jak się pan dostał do Niemiec?

- Cywilnymi środkami komunikacji, sir.

Davisowi wszystko zaczęło się układać. Generalna zasada była taka, że za Amerykanów wychodziły tylko niemieckie kurwy. Oficerowie nie żenili się z kurwami a przynajmniej nie żenili się z nimi oficerowie rozsądni. Ten młody byczek poślubił jednak szwabską kurwę, ale był na tyle inteligentny, aby zdawać sobie sprawę, że tym samym jego kariera w wojsku legła w gruzach. Oficerowie, którzy zawalali sobie kariery w swoich rodzajach broni, zgłaszali się do szkół pilotów.

Pułkownik Davis robił przepisową karierę. Pochodził z Teksasu i szkolił się w A&M na artylerzystę. Do szkoły pilotów zgłosił się jako artylerzysta w czasie drugiej wojny, kiedy podstawową funkcją lotnictwa, przypisanego do oddziałów lądowych, było kierowanie ogniem artyleryjskim przy użyciu samolotów Piper Cub jako wysuniętych powietrznych posterunków obserwacyjnych. W tamtych dniach skrzydełka pilotów dodatkowo ozdabiano literką L, żeby można ich było odróżnić - pilotów pomocniczych, latających na Piper Cubach - od „prawdziwych pilotów”.

Pułkownik Davis był wówczas pilotem pomocniczym.

I pozostał pilotem wojsk lądowych, nie dlatego że był kiepski, ale dlatego, że wraz z małą grupą innych widział przed lekkimi samolotami w armii dużą przyszłość. Siły

powietrzne, kiedy stały się odrębnym rodzajem sił zbrojnych, dawały jasno do zrozumienia, że nie zamierzają świadczyć wojskom lądowym usług lotniczych. W czasie następnej wojny siły powietrzne miały zrzucić bomby jądrowe z wysokości czterdziestu tysięcy stóp, posługiwać się myśliwcami latającymi z prędkością dwukrotnie większą od prędkości dźwięku, strzelać raketami, i to - na miłość boską - z przestrzeni kosmicznej. Nie mogły marnować swego bezcennego czasu, usługując facetom zagrzebanym w błocie po uszy.

Wojska Lądowe musiały więc powołać do życia własne lotnictwo, i to z zadaniami polegającymi nie tylko na kierowaniu ogniem artyleryjskim i przenoszeniu wiadomości, ale też na ewakuowaniu rannych (prawdopodobnie helikopterami; Korea potwierdziła to założenie) i zwiększeniu możliwości transportowych w pasie pięćdziesięciu mil od linii frontu. Armia potrzebowała własnego transportu powietrznego i przy tym własnego nowego samolotu latającego w miarę powoli i blisko ziemi. Do jego skonstruowania wiodła jeszcze daleka droga, ale pułkownik Davis wierzył, że taki samolot w końcu powstanie. Właśnie ta wiara sprawiła, że pozostał w lotnictwie armii.

A ponieważ był zawodowym żołnierzem, bezustannie szukał w tym lotnictwie słabości i je znajdował. Uważał, że jeśli się nie zna własnych słabości, nie można im zaradzić.

Obecnie był pewien, że znalazł już największą słabość lotnictwa armii, jednak nie miał pojęcia, jak jej zaradzić.

Tę słabość można było opisać w prosty sposób: korpus oficerski lotnictwa armijnego w 99,44 procent składał się z okazowych nieudaczników, malkontentów, popaprańców i łazęgów. Wszystkich nieudaczników bowiem, zamiast wyrzucać z wojska na zbity pysk, kierowano do szkół pilotów. Davis nie miał wątpliwości, patrząc na Przystojnego Harry'ego, który stał przed nim z jedwabnym szalem na szyi i starał się wyglądać jak Errol Flynn, że przysłano mu kolejnego nieudacznika, którego nikt w armii nie chce, a przy tym oficera tak durnowatego, że zdążył już poślubić szwabską kurwę.

- Nie wiem, czego pan się tutaj spodziewa - powiedział pułkownik Davis lodowatym tonem. - Ale to jest organizacja militarna i spodziewamy się, że oficer, świeżo przydzielony do jednostki, będzie postępował i wyglądał tak, jak tego wymaga regulamin. To jest, że zgłosi się do służby w mundurze.

- Tak jest - odparł Przystojny Harry.

- Obecny tu sierżant zarejestruje pańskie przybycie. I zakwateruje pana w budynku dla oficerów, którzy są kawalerami. Chyba usłyszałem, że odnosząc się do swojego małżeństwa, użył pan czasu przeszłego?

- Tak, sir.

- Następnie stawi się pan tutaj w mundurze i zgłosi do służby. Jasne?

- Tak, sir.

- Czy przekazał pan sierżantowi egzemplarz swoich rozkazów?

- Tak, sir.

- Kiedy z nimi skończysz, Morgan, przynieś mi je do gabinetu - powiedział pułkownik Davis, po czym odwrócił się i zniknął za drzwiami.

Zamykając je, usłyszał, jak Przystojny Harry mówi z rozbawieniem:

- Oto, sierżancie, wzorcowy przykład tego, co nazywamy kiepskim początkiem.

Przemądrzały dupek chyba uważał, że to było zabawne, ale Davis miał zamiar wyprowadzić go z błędu.

Pierwsza okazja, by pułkownik Davis mógł uznać, że zapewne popełnił błąd w swojej pobieżnej ocenie Przystojnego Harry'ego, nastąpiła, kiedy sierżant kilka minut później wszedł do jego gabinetu i położył mu na biurku noszący ślady zużycia egzemplarz rozkazów Przystojnego Harry'ego.

Pułkownik Davis szybko rzucił okiem na papiery, ale po chwili zaczął się im przyglądać z większą uwagą.

- Major? - zdziwił się. - Zawodowy major? Przecież wygląda zbyt młodo nawet na kapitana, prawda?

- Rzeczywiście - zgodził się sierżant. - Wygląda młodo.

- Dysponujemy zapisem jego przebiegu służby?

- Nie, sir. Musi być w drodze. Miał się zgłosić w Camp Kilmer dopiero 20 kwietnia.

Pułkownik Davis znowu się zajął rozkazami Przystojnego Harry'ego. Czytał je uważnie, chcąc lepiej się dowiedzieć, z kim ma do czynienia.

DOWÓDZTWO

SZKOŁY ARTYLERII ARMII USA

PORT SILL, OKLAHOMA

ROZKAZY SPECJALNE:

NUMER 87= 20 marca 1954

WYCIĄG

31. MAJOR Craig W. LOWELL, 0439067, oficer wojak pancernych, odkomenderowany do Wydziału Lotnictwa w Szkole Artylerii, po ukończeniu pełnego

programu Kursu Pilotów Helikopterowych 54-6, w Szkole Artylerii, mianowany został z dniem 20 marca 1954 pilotem lotnictwa wojskowego. (Tylko na maszynach H-13 i H-23.)

32. MAJOR Craig W. LOWELL, 0439067, oficer wojsk pancernych, otrzymał z dniem 20 marca 1954 Pierwszy Stopień Wojskowej Specjalizacji Zawodowej, SWSZ 1707 (Pilot Lotnictwa Wojskowego, uprawniony wyłącznie do pilotowania helikopterów).

33. MAJOR Craig W. Lowell, 0439067, oficer wojsk pancernych, SWSZ 1707, odkomenderowany do Wydziału Lotnictwa w Szkole Artylerii, zostaje przeniesiony do Dowództwa 7. Armii, APO 709 c/o Postmaster, NJ, NJ w celu przydzielenia stanowiska w Sektorze Lotnictwa 7. ARMII jako pilot helikopterów. Wymieniony oficer zgłosi się w umundurowaniu służbowym nie później niż o godz. 23.30 dnia 20 kwietnia 1954 w Biurze Personalnym w Camp Kilmer w celu odbycia dalszej podróży na przydzielone stanowisko na terenie Europy wojskowymi środkami transportu.

Oficer ma prawo do trzydziestodniowego urlopu. Kontakt w tym czasie Broadlawns, Glen Clove, Long Island, NJ. Oficerowi przysługuje prawo do przewiezienia prywatnego wyposażenia kwatery i dóbr osobistych na koszt rządu. Długotrwała zmiana miejsca stacjonowania, począwszy od dnia 20 kwietnia 1954.

Koszty podróży i transportu wyposażenia i dóbr osobistych opłaca rząd na podstawie S-99-999-9999.

WYCIĄG

NA PODSTAWIE ROZKAZU GENERAŁA MAJORA YEAGERA:

Peter O. Romano Jerome T. Waller

kapitan pułkownik

pomocnik adiutanta adiutant generała

Wszystkie te rozkazy powiedziały podpułkownikowi Davisowi, że Lowell jest świeżo mianowanym pilotem helikopterów. Jednak pomiędzy wierszami Davis przeczytał także, iż ma do czynienia z żołnierzem przegrany. Majorowie nie przechodzili do lotnictwa armii, jeżeli czegoś w czasie wcześniejszej służby nie spieprzyli, i to na potęgę. A jednak stopień nowo przybyłego i fakt, że Lowell był wcześniej żołnierzem armii, intrygowały Davisa. Był stanowczo za młody na majora, no i Davis postawiłby orzechy przeciwko dolarom, że nie szkolił się w West Point ani w żadnej z innych szkół oficerskich: A&M, Cytadeli czy VMI.

Może w Norwich? Tak, prawdopodobnie był absolwentem Norwich. Był pancernikiem, a Norwich wypuszczało mnóstwo czołgistów.

Dwie godziny później sierżant zaanonsował podpułkownikowi majora Lowella.

- Niech wejdzie - powiedział Davis.

Major Lowell wszedł do gabinetu podpułkownika Davisa. Zatrzymał się w odległości trzech stóp od jego biurka, uniósł rękę w energicznym salucie i oznajmił:

- Major C. W. Lowell melduje się do służby, sir.

Podpułkownik Davis także zsalutował.

- Spocznij - powiedział do Lowella.

Lowell przyjął pozycję bliższą „paradnemu spocznij” niż „spocznij”. Napotkał spojrzeniem wzrok Davisa. Gdyby stał w przepisowej pozycji „paradne spocznij”, musiałby patrzeć jakieś sześć cali nad jego głową.

Ubrany był w mundur wyjściowy, który, jak zauważył Davis, nie pochodził z wieszaka w sklepie dla oficerów.

Leżał na nim jak ulał i bez wątpienia został uszyty na miarę. Bez wątpienia też był bardzo drogi. Najbardziej jednak zaskoczyły Davisa i zaimponowały mu odznaczenia. Było ich mnóstwo i łącznie składały się na wielobarwną „sałatkę owocową”, jak często z przekąsem mówiono o nich w wojsku.

Nad kieszenią kurtki mundurowej widoczna była Bojowa Odznaka Piechoty, srebrny karabin skałkowy na błękitnym tle, otoczony wieńcem. Gwiazda pomiędzy otwartymi końcami wieńca wskazywała, że została nadana dwa razy.

Major Lowell dwukrotnie uczestniczył w wojnie. Davis uznał więc, że jest znacznie starszy, niż na to wygląda, a z wyglądu można by mu dać dwadzieścia cztery czy dwadzieścia pięć lat. Do ramienia jego bluzy mundurowej przszyto emblemat Szkoły Artylerii. Na drugim ramieniu miał trójkątną naszywkę Sił Pancernych z numerem 73.

Nie istniała dywizja pancerna z tak wysokim numerem, zatem musiał służyć w jednym z wydzielonych batalionów.

Davis pamiętał, że wydzielony batalion pancerny prowadził siły wychodzące z okrążenia pod Pusan w czasie wojny koreańskiej.

To nawet pasowało do następnych składników sałatki owocowej: Medalu za Służbę dla Narodów Zjednoczonych, Medalu za Służbę w Korei (z trzema gwiazdkami oznaczającymi kompanie bojowe) oraz koreańskiego (a także amerykańskiego) Presidential Unit Citation nad drugą kieszenią kurtki mundurowej.

Bezpośrednio pod Bojową Odznaką Piechoty przypięte były skrzydełka pilota, najnowsze w zestawie dekoracji.

Niżej zaś baretki: DSC - drugiego pod względem znaczenia odznaczenia za męstwo w akcji, Distinguished Service Medal, Gwiazda z liśćmi dębowymi, co oznaczało dwukrotne nadanie. I Brązowa Gwiazda z literą V, oznaczająca, że została przyznana za waleczność. Na niej znajdowały się dwa brązowe liście. Czy to znaczyło, że Lowell otrzymał Brązową Gwiazdę trzy czy cztery razy? Davis nie był pewien, czy drugie V dodawano za powtórne przyznanie odznaczenia. Poza tym major miał Purpurowe Serce z trzema okuciami. Czterokrotnie ranny. Następnie na mundurze widniały wstążki symbolizujące zagraniczne odznaczenia - dokładnie cztery, Medal Zwycięstwa w II Wojnie Światowej (co wcale nie oznaczało, że Lowell rzeczywiście walczył w drugiej wojnie światowej: nadawano go do końca 1946 roku i jeśli się wtedy pełniło służbę, otrzymywało się medal) oraz Medal Armii Okupacyjnej (Niemcy).

- Nie mogę rozpoznać kilku pańskich odznaczeń, majorze - powiedział podpułkownik Davis.

Major Lowell milczał.

- Cóż to za zagraniczne odznaczenia? - zapytał Davis z pewną groźbą w głosie. - Koreańskie?

- Trzy spośród nich, panie pułkowniku.

- Niech mi pan o nich opowie.

Lowell opuścił głowę i zaczął wskazywać palcem na medale.

- To jest Order Świętego Jerzego i Świętego Andrzeja - powiedział.

- Koreański? - zapytał podpułkownik Davis wyzywająco.

- Grecki, sir. A to jest koreański Krzyż za Wybitną Służbę, potem też koreańskie: Medal Wojskowy i Tae Guk, odpowiadający naszemu DSM.

- Jeśli miał pan zamiar, majorze, olśnić mnie swoją sałatką owocową, to się panu udało.

- Regulamin wymaga, żeby, zgłaszając się do służby w garnizonie, przypiąć do munduru wszystkie medale, sir.

- Nie wiedziałem o tym - odparł Davis chłodnym tonem.

Lowell milczał.

- Majorze - zapytał Davis - jak pan się będzie tłumaczył, kiedy Camp Kilmer uzna pańską nieobecność od 20 kwietnia za nieusprawiedliwioną?

- Rozmawiałem z szefem kadr, pułkownikiem Grayem, sir, który mnie poinformował, że zaświadczenie stąd całkowicie wyjaśni sprawę.

- I spodziewa się pan, że otrzyma zwrot kosztów za przybycie tutaj cywilnymi środkami transportu?

- Nie, sir.

- Zamierza pan dokończyć urlop tutaj, w Niemczech, czy dobrze rozumiem?

- Tak, sir.

- Zgłaszając się do nas, popełnił pan błąd, majorze. Bardzo mi brakuje pilotów do helikopterów, nawet świeżo po szkole. Zapręgę pana natychmiast do roboty.

- Tak jest - odpowiedział natychmiast major.

Było to pierwsze zachowanie majora Lowella, które podpułkownik Davis był skłonny zaaprobować. Spodziewał się po nim chociaż krótkiego zawahania, chwili zastanowienia, a w najgorszym wypadku stwierdzenia, że możliwość planowego dokończenia urlopu jest jak najbardziej mu należnym przywilejem i zwyczajną koniecznością. Tymczasem Lowell nawet nie mrugnął okiem.

- W Korei był pan w 73. Pancerniej? - zapytał Davis.

- W 73. Wzmocnionym Batalionie Czołgów Ciężkich odparł Lowell, poprawiając go.

- Zdaje się, że braliście udział w przerwaniu okrążenia w okolicach Pusan?

- Tak, sir.

- Brał pan udział w tych walkach?

- Tak, sir.

- Proszę mi coś powiedzieć, majorze - odezwał się podpułkownik Davis, podejrzanie niewinnym głosem. - Dlaczego zawodowy major armii lądowej, z sałatką owocową niemal taką, jaką miał George Patton, postanowił zostać pilotem helikoptera?

Lowell napotkał jego wzrok. Zanim zaczął odpowiadać, przez chwilę się wahał.

- Doszedłem do wniosku, że moja dalsza przyszłość jako oficera wojsk pancernych da mi zapewne mniej satysfakcji, niżbym tego pragnął, sir.

- Coś pan spieprzył, prawda? Dał pan dupy, majorze?

- Tak, sir.

- A to znalazło swoje natychmiastowe odzwierciedlenie w raporcie o pańskiej dalszej przydatności do służby?

- Tak, sir.

- I pozostał panu wybór: albo lotnictwo armii, albo koniec z armią?

- Prawie dokładnie tak.

- Ile lat służby ma pan za sobą? Kiedy minie panu dwadzieścia lat?

- Wykonuję swoje obowiązki w służbie czynnej od pięciu lat i kilku miesięcy.

- W ciągu pięciu lat został pan majorem? - zapytał Davis z niedowierzaniem.

- Przez dwa lata nie było mnie w wojsku, sir. Od 1948 do 1950. Zostałem ponownie powołany do służby na wojnę koreańską.

- Ile pan ma lat, Lowell?

- Dwadzieścia sześć.

- I do dwudziestego szóstego roku życia zdążył pan zostać majorem i z kretesem podpaść przełożonym?

- Można tak powiedzieć, sir.

- Mówił pan, że ma syna.

- Tak, sir.

- Mieszka tutaj, w Niemczech, z matką?

- Jego matka nie żyje. Chłopiec mieszka z jej rodziną.

- Nie boi się pan, że obowiązki względem syna mogą negatywnie wpłynąć na przebieg pańskiej służby?

- Nie, sir.

- Miejmy nadzieję. Jestem jednym z tych oficerów starej daty, którzy uważają, że pierwszym obowiązkiem oficera jest jego służba. Ci z osobistymi problemami, które przeszkadzają w służbie, powinni się zwalniać z wojska.

- Tak jest, sir.

- Czy rozumie pan, jaka jest pańska obecna sytuacja, majorze? - zapytał Davis, ale zaraz kontynuował wywód, nie czekając na odpowiedź. - Będzie pan pełnił służbę szkoleniową. Jej podstawowym celem jest to, aby jak najwięcej czasu spędzał pan w powietrzu. Przede wszystkim będzie pan traktowany tak, jakby był pan chorążym bądź podporucznikiem. Pański stopień podczas okresu służby szkoleniowej nie gwarantuje żadnych przywilejów. Rozumie pan to?

- Rozumiem, sir.

- Wyślę pana do podpułkownika Withersa, który dowodzi Eskadrą Helikopterów Specjalnego Przeznaczenia. Czytaj: dla VIP-ów.

- Tak jest, sir.

- Pułkownik Withers najpierw będzie pana dodatkowo szkolił - mówił Davis. - Po jakimś czasie pozwoli panu latać z pasażerami. Mało ważnymi. Nie szychami, lecz co najwyżej z ich adiutantami.

Lowell uśmiechnął się i powiedział:

- Rozumiem, sir.

- Wszyscy, którzy zjawiają się w lotnictwie armii, bo w poprzedniej służbie w jakiś sposób nawalili, zyskują tu jedną bardzo ważną rzecz. Czystą kartę. Jeśli o mnie chodzi, majorze Lowell, pańskie grzechy z przeszłości nie istnieją. Ale z drugiej strony bardzo nie lubię ludzi, którzy zgłaszają się do lotnictwa, ponieważ to jest ich ostatnia szansa.

- Tak jest, sir.

- Z pewnością będziemy się widywać, Lowell. - Davis wstał, wyciągnął do majora rękę i powiedział uroczyście: - Może się pan uważać za oficjalnie przyjętego do służby w Grupie Lotniczej 7. Armii.

- Tak jest. Dziękuję bardzo, sir.

- Jest pan wolny, majorze.

Lowell popatrzył na podpułkownika z niemym pytaniem na twarzy.

- O co chodzi?

- Byłbym wdzięczny za informację, gdzie znajdę pułkownika Whiltersa.

Davis zapomniał o swojej opowieści sprzed kilku minut, iż tak bardzo potrzebuje pilotów helikopterów, że Lowell nie może dokończyć urlopu.

- Ile czasu, oby jak najmniej, potrzebuje pan, żeby załatwić swoje sprawy osobiste? - zapytał.

- Mój syn jest w Marburgu, panie pułkowniku. Czyli potrzebny mi jeden dzień tam, jeden dzień na podróż do Marburga i jeden dzień na podróż powrotną. Razem trzy dni.

- Niech pan pojedzie na przepustkę - powiedział Davis. - Nie doliczymy tego do należnego urlopu. Kiedy pana nie będzie, porozmawiam z pułkownikiem Withersem.

- Dziękuję, sir - odparł Lowell.

Zasalutował, odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu.

Davis przez chwilę zastanawiał się, co też takiego zrobił Lowell, że zrujnował sobie karierę, ale zaraz o nim zapomniał. Uznał, że powróci do jego osoby i zdecyduje, czy był dupkiem i straceńcem klasy A (nie do uratowania), klasy B (kolejną miernotą z kiepską opinią o przydatności do służby), czy też klasy C (do uratowania i potencjalnego wykorzystania w lotnictwie wojskowym w przyszłości), dopiero wtedy, kiedy przeczyta przebieg jego służby i sam spróbuje się o nim dowiedzieć kilku dodatkowych rzeczy.

Jednak do tego ostatniego pułkownik Davis nie musiał się zabierać. Dzień po zgłoszeniu się majora Loweila do służby pułkownik otrzymał list od mężczyzny, którego mała grupa żołnierzy zawodowych, służących w lotnictwie armii, uznawała za swojego prezesa.

Niewielki rdzeń pilotów armii, zainteresowanych czymś więcej niż tylko odslużeniem dwudziestu lat do emerytury, zasadniczo traktowany był przez pozostałych z pogardą.

Nazywano ich Klubem Lotniczym z Cincinnati, co stanowiło obraźliwe odniesienie do Stowarzyszenia Cincinnati, w którym członkostwo było ograniczone wyłącznie do potomków oficerów służących pod rozkazami George'a Washingtona w czasie rewolucji. Podpułkownik William R. Roberts, służący w Lotnictwie US Army od 1940 roku, był absolwentem pierwszego kursu pilotów łącznikowych kiedykolwiek wyszkolonych w Stanach Zjednoczonych.

Uważany za klasę samą dla siebie Roberts nazywany był, z atencją lub z lekceważeniem - zależnie od tego, kto o nim mówił - „Prezesem Klubu Lotniczego z Cincinnati”.

Skrzynka pocztowa 334

Fort Sili, Oklahoma

20 marca 1954

Drogi Fordzie,

Przypilnowałem, aby przysłano do Ciebie niejakiego majora Craiga W. Loweila, który w dniu dzisiejszym z trudem ukończył (nie jest urodzonym pilotem) kurs pilotów helikopterów 54-6. Osobiście go nie lubię, jednak w Twojej aktualnej sytuacji kadrowej, a także z powodu poważnych nacisków, jakie wywierał na mnie między innymi Bob Bellmon, uznałem, że warto dla faceta zaryzykować.

W pierwszych dniach wojny koreańskiej Lowell, wówczas kapitan Gwardii Narodowej, dowodził akcją uwalniającą nasze oddziały z okrążenia pod Pusan, po inwazji na Inchon. To właśnie ten Lowell. Za ten wyczyn otrzymał w wieku dwudziestu dwóch lat stopień majora, a potem nadal okrywał się chwałą i zdobywał medale podczas przegrupowania nad Yalu i wycofania wojsk spod Hamhung. Paul Jiggs, który dowodził 73. Batalionem i w ubiegłym tygodniu otrzymał pierwszą gwiazdkę, gotów jest przysiąc, że Lowell to doskonały dowódca oraz najlepszy taktyk i oficer operacyjny, jakiego kiedykolwiek znał.

Wielki problem polega jednak na tym, że jego ocena o przydatności do służby jest, jak informuje mnie Bellmon, najgorsza, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Zyskał opinię człowieka nienadającego się na dowódcę oraz niepotrafiącego prawidłowo oceniać sytuacji na polu walki.

Pierwszą sprawą, jaka ściągnęła na niego kłopoty, było stanięcie przed sądem wojskowym na miejscu dla świadków i oświadczenie, że nie widzi nic złego w tym, że jeden oficer zabija na miejscu drugiego, nieradzącego sobie z sytuacją w czasie walki. Oskarżonym w procesie był młody czarnoskóry kapitan, absolwent Norwich, na którym ciążył zarzut o zamordowanie oficera, który stchórzył w obliczu wroga pod Pusan. Powiązanie Lowella z oskarżonym jest takie, że on także ukończył Norwich, a z kolei ojciec oskarżonego, emerytowany pułkownik Philip Sheridan Parker III, dowodził oddziałem specjalnym Piekielny Cyrk Porkyego Waterforda, który wyrwał Bellmona z łap Rosjan w ostatnich dniach drugiej wojny światowej.

Młody Parker przypadkowo postanowił zostać lotnikiem tego samego dnia, w którym uczynił to Lowell, i obaj razem ukończyli szkolenie. Otrzymał przydział do służby na Alasce; bardziej już ich rozdzielić nie mogłem.

Drugą sprawą, przez którą podpadł Lowell, jest skandal, jaki wywołał, zabierając Georgię Paige (aktorkę, która nie nosi biustonosza) na linię frontu, kiedy dziewczyna przyjechała do Korei z grupą artystów mających umilać czas naszym żołnierzom. Ktoś zrobił im zdjęcia, a kto słuchał plotek, mógł się dowiedzieć, że Lowell pieprzył się z Georgią, kiedy tylko udało im się znaleźć jakieś w miarę płaskie, poziome miejsce.

W każdym razie Lowell został wykładowcą w Bordentown Military School, a Parker dostał przydział do kwatermistrzostwa w Fort Deuens. Oto ludzie, spośród których musimy rekrutować przyszłych lotników.

Jeszcze jedna uwaga na temat Lowella: dzięki odziedziczonemu spadkowi jest nieprzyzwoicie bogaty i posiada istotne wpływy w Kongresie.

Dalsze ciekawe powiązania: Bellmon jest przekonany, że powód, dla którego nie znajduje się na liście zaginionych na Syberii, wynika z przyzwoitego zachowania, związanego nawet z poważnym ryzykiem osobistym, dowódcy jego stalagu. Nasz Lowell, będąc pierwszy raz w Niemczech, ożenił się z pewną niemiecką damą, która okazała się córką pułkownika, hrabiego Petera-Paula von Greiffenberga, który wówczas jeszcze ścinał drzewa na Syberii na chwałę Związku Radzieckiego.

Rosjanie zwolnili hrabiego w 1950 roku, w samą porę, by ten mógł poznać Lowella tuż przed jego wyjazdem do Korei. Lowell przebywał w Korei od czterech miesięcy, gdy pewien pijany major służby kwatermistrzowskiej (Amerykanin) wjechał w samochód jego żony i zabił ją na miejscu. Syn Lowella wychowywany jest odtąd przez dziadka. Dziadek, von

Greiffenberg, jest obecnie generalmajorem i służy w Bundeswehrze. Jest zastępcą szefa wywiadu.

Wszystkie te szczegóły, Ford, otrzymujesz po to, żebyś miał świadomość, jakim osobnikiem jest Lowell (i w mniejszym stopniu Parker). Obaj predestynowani są do wielkich czynów, ale mogą być źródłem zagrożenia i szkód. Doświadczenie podpowiada mi, że jeśli ostatnie przejścia niczego go nie nauczyły, będziemy musieli pozbyć się go szybko i raz na zawsze, nawet jeśli takie posunięcie wprawi we wściekłość najważniejszych dowódców wojsk pancernych. Spadł więc na Twoje barki wielki ciężar, przykro mi, ale widocznie tak musi być.

Mniej więcej w przyszłym tygodniu armia ogłosi, że reaktywowana zostanie działalność Camp Rucker w Alabamie, a obóz zostanie przeznaczony na Szkołę Pilotów Wojskowych. Byłem tam. Obiekt dysponuje jednym ziemnym pasem startowym, ostatnio używanym przez lotnictwo w czasie drugiej wojny światowej jako lotnisko zapasowe. Cokolwiek będzie nam potrzebne, będziemy musieli wybudować własnymi rękami, co będzie oznaczało konieczność błagania o środki finansowe. Ale przynajmniej będziemy posiadali własną bazę.

Wciągu najbliższych kilku lat będziemy tam potrzebowali wielu doświadczonych ludzi. Bardzo się staram, ale jeszcze nie potrafię sobie wyobrazić, jak ich zbiorę.

Helen przesyła pozdrowienia dla Ciebie i dla Betty.

Zawsze Twój,

Bill

PS Jeśli nie zauważyłeś, zająłem 34. pozycję (spośród 36) na ostatniej liście pułkowników. Myślę, że w związku z tym (w ciągu ośmiu lub dziewięciu miesięcy) otrzymam propozycję stanięcia na czele Zarządu Lotnictwa, czyli jednej z pierwszych instytucji, jakie zostaną otwarte w Camp Rucker.

Podpułkownik Davis rzeczywiście zauważył nazwisko podpułkownika Williama Robertsa na liście osób mających wkrótce otrzymać promocję na stopień pułkownika. Dziwne, ale jego własnego nazwiska tam nie było. Fakt, że znalazł się na niej Bill Roberts, mógł być znaczący. Ale mógł też nic nie znaczyć. Roberts był absolwentem West Point.

Jego promocja mogła być efektem starań stowarzyszenia samopomocy West Point, które bardzo dbało o swoich, nawet narwańców z lotnictwa armii. Ale też mogła wynikać

stąd, że ktoś w Pentagonie docenił to, co Roberts robił w przeszłości i co mógłby jeszcze zrobić w przyszłości.

Davis zaczął żałować, że nie miał informacji o Lowellu, zanim przydzielił go do Withersa. Withers był uważany za wyjątkowego bałwana, jeszcze zanim odkrył, w wieku trzydziestu czterech lat, że Jezus Chrystus jest jego osobistym zbawcą. Obecnie był fanatykiem religijnym. Byłoby lepiej trzymać Lowella bliżej i uważnie go obserwować, a przy okazji może nawet czegoś nauczyć. Teraz groziło mu tylko nawrócenie na Jedyną Prawdziwą Wiarę. Ale było już za późno. A może Lowell potrzebował właśnie dowódcy, który obmył się w krwi Baranka?

3

Marburg nad rzeką Lahn

Niemcy Zachodnie

15 kwietnia 1954

Majordomus w Schloss Greiffenberg (była to już raczej okazała willa niż zamek, wybudowana w 1818 roku, stopniowo wyposażana w kolejne luksusowe urządzenia i pozbawiona murów obronnych oraz fosy z wodą, uznanych za przestarzałe; jednak graf nie mieszka w willi, lecz w zamku) był nowy i nie znał Lowella. Kiedy ten mu powiedział, kim jest, bynajmniej nie wywarło to na nim wrażenia. Musiał pozostać na zewnątrz, a drzwi zostały mu zatrzaśnięte przed nosem, czemu towarzyszyła informacja majordomusa, że „się dowie”.

Po chwili drzwi otworzyła kobieta. Atrakcyjna, przedwcześnie posiwiiała kobieta, która uśmiechnęła się, wyciągnęła do Lowella rękę i odezwała się po angielsku:

- Drogi majorze Lowell, będzie pan nam musiał wybaczyć. Majordomus powiedział jedynie, że „za drzwiami stoi Amerykanin”. Proszę, niech pan wejdzie.

- Dziękuję.

- Peter-Paul spodziewał się pana dopiero w przyszłym miesiącu - powiedziała i zaraz zawołała po niemiecku: Kochanie, przyjechał twój tata!

Barwa jej głosu zmieniła się na znacznie mniej przyjemną, kiedy odezwała się do majordomusa:

- Zanieś rzeczy majora Lowella do pokoju sąsiadującego z pokojem dziecka i następnym razem nie bądź takim głupim dupkiem. Ten Amerykanin jest ojcem dziecka.

Najwyraźniej nie wiedziała, że Lowell zna niemiecki.

Uznał, że to może być ciekawe albo nawet zabawne.

Chłopiec nie pojawiał się, musieli więc go znaleźć. Zaraz jednak schował się w fałdach spódnicy kobiety.

- Nie jest do pana przyzwyczajony - powiedziała.

Peter-Paul Lowell urodził się w roku 1947. Miał więc już siedem lat i zdaniem ojca nie powinien się tak zachowywać.

- Co u ciebie, Squirt?

Nie odpowiedział.

- Jeśli wolno mi coś zasugerować - odezwała się kobieta - najlepiej byłoby go teraz zostawić samego. Jest uparty jak każdy von Greiffenberg.

- Ale chyba jest też w nim trochę Lowella. Ale cóż, do diabła z tym. Jeśli nie chce rewolwerów, po prostu dam je komuś innemu.

- Jakich rewolwerów? - zapytał chłopiec.

- No i proszę, dziecko potrafi mówić - zauważył Lowell. - Rewolwerów z brązowej torby. Służący zabrał je do mojego pokoju.

Chłopaka wręcz wymiotło z pokoju.

- Majorze - odezwała się kobieta. - Proszę mi wybaczyć, że jeszcze niczego panu nie zaproponowałam. Czego się pan napije?

- Poproszę szkocką.

- Chyba nam jeszcze trochę zostało. Peter-Paul czeka na pana między innymi po to, żeby w sklepie dla amerykańskich żołnierzy uzupełnił pan jego zapasy trunków.

- Nie pomyślałem, żeby przywieźć ze sobą alkohol przyznał Lowell. - A pani chyba zapomniała mi się przedstawić.

- Och, jestem jeszcze jedną z wysiedlonych krewnych, przygarniętych przez Petera-Paula - odparła kobieta. - Pochodzę z Pomorza. Nazywam się Elizabeth von Heuffinger-Lodz. Hrabina i moja matka były siostrami.

Nawet trochę podobna, pomyślał Lowell.

- Jak już pani wiadomo, ja jestem ojcem chłopca - powiedział. - A na imię mam Craig.

Kobieta znowu potrząsnęła jego ręką.

Chciałbym ją bzyknąć, pomyślał, ale niemal natychmiast zaczął się zastanawiać, dlaczego właśnie coś takiego przyszło mu do głowy. Kochanie się z nią byłoby

niewybaczalnym kretyństwem, nawet gdyby była tym zainteresowana, a przecież nie miał żadnej podstawy, aby przypuszczać, że byłaby.

Peter-Paul Lowell wszedł do pokoju, kiedy podawała mu drinka. Miał na sobie kapelusz kowbojski, kamizelkę, parę skórzanych ochraniaczy na spodnie, założonych odwrotnie niż należało, pas z olstrami i dwa wielkie rewolwery na kapiszony.

- Ochraniacze założyłeś odwrotnie - powiedział Craig.

- Słucham?

Europejski akcent i europejskie zachowanie chłopca sprawiły, że jego ojciec posmutniał. Upił spory łyk słabego drinka, po czym uklęknął, żeby pokazać synowi, w jaki sposób kowboj powinien nosić ochraniacze na spodnie.

Kiedy podniósł głowę, stwierdził, że kobieta uważnie mu się przypatruje. Odniósł wrażenie, iż z niewiadomego powodu stanowi dla niej zaskoczenie i niespodziankę. Pomyślał, że prawdopodobnie spodziewała się, iż przyjedzie do syna ubrany w szorty, podkolanówki i bez przerwy będzie żuł gumę.

V

1

Pentagon

Waszyngton

15 maja 1954

Major Rudolph G. MacMillan, ubrany w mundur wyjściowy, ze wszystkimi baretkami medalowymi; a także naszywkami Centrum Wojsk Pancernych (gdzie obecnie służył) i 82. Dywizji Powietrznodesantowej (jego najważniejszego przydziału podczas drugiej wojny światowej) na rękawach, bardzo ostrożnie otworzył drzwi boksu w męskiej toalecie i wyrzał na zewnątrz. Niemal natychmiast równie ostrożnie zamknął drzwi i zasunął skobel. Do toalety wszedł jakiś pułkownik, którego major nie znał i na którego bynajmniej nie czekał.

Major MacMillan przebywał na terenie dla niego zakazanym. Toaleta, w której się znajdował z podciągniętymi spodniami, była przeznaczona dla najwyższych rangą oficerów, od pułkownika wzwyż. Podpułkownicy i inni oficerowie, aż do stopnia podporucznika, mieli osobne toalety, przeznaczone tylko dla nich. Podobnie podoficerowie i chorążowie.

MacMillan nienawidził Pentagonu, a żołnierze tu pracujący nienawidzili takich osobników jak MacMillan, tak jak pisarze kompanijni nienawidzą kaprali. Ale kaprale mogą spotykać się z pisarzami kompanijnymi chociażby na piwie albo ewentualnie wyluszczać im swoje racje w ustronnych zaułkach, kiedy na przykład dochodzą do wniosku, że jakiś pisarzyna skorzystał w niewłaściwy sposób z przydzielonej mu maszyny do pisania.

Kapral Rudolph G. MacMillan zbił kiedyś na kwaśne jabłko pisarza kompanijnego w Ford Benning. Było to w 1941 roku, a chodziło o „czeski błąd” w rozkazie, który spowodował, że MacMillan nie otrzymał wtedy pierwszego awansu na stopień sierżanta. Pisarz powiedział o pobiciu sierżantowi sztabowemu i tenże postawił go na dywaniku u dowódcy kompanii. Obaj, i pisarz, i sierżant sztabowy, liczyli, że MacMillan wyjdzie z gabinetu dowódcy kompanii zdegradowany do stopnia szeregowego, a jeśli dobrze pójdzie, to nawet zostanie aresztowany i stanie przed sądem.

Ale MacMillan wszystkie fakty i argumenty przedstawił dowódcy spokojnie i logicznie i w końcu wyszedł z jego gabinetu jako sierżant.

Dowódca kompanii podjął decyzję, jaką - zdaniem kaprała MacMillana - powinien był podjąć. Nie była to decyzja najbardziej sprawiedliwa, ale była najlepsza dla całej kompanii. Liczyło się bowiem przede wszystkim to, że MacMillan był w niej dotąd najlepszym kapralem.

Obecnie major MacMillan gotów był kłaść na szali własne życie, żeby udowodnić swój stanowczy pogląd, iż Pentagon nie jest niczym więcej, jak tylko wielką kancelarią z nadmiarem etatów. Majorowie i podpułkownicy byli pisarzami, którzy używali swoich maszyn do pisania w znacznie subtelniejszy sposób, kiedy chcieli kogoś utracić, niż pisarze kompanijni, którzy używali ich do swoich małych celów. A takich drani nie można było po prostu szarpać za mundur czy rozkwaszać im nosów. Dobry żołnierz mógł jednak przedstawić budzące niezgodę fakty swojemu dowódcy i jeśli zaprezentował je jasno, a jego propozycja była dobra dla armii, przełożony zazwyczaj podejmował właściwą decyzję, niezależnie od swojego stopnia wojskowego.

Znów syknął mechanizm hydrauliczny automatu i MacMillan ponownie uchylił drzwi swojego boks. Do ubikacji wszedł generał porucznik i skierował się do pisuarów. Jedną ręką rozgarniał poły munduru, a drugą zaczynał rozpinać zamek błyskawiczny spodni.

Major MacMillan szeroko otworzył drzwi swojego boks i po chwili stanął przed pisuarem obok generała. Generał popatrzył na niego bez zainteresowania, odwrócił wzrok, po czym spojrzał na niego ponownie.

- Cholera jasna - zawołał zastępca szefa sztabu do spraw operacyjnych Armii Stanów Zjednoczonych. Szybko dokończył oddawanie moczu, strząsnął kilka ostatnich kropli do pisuaru i zapiął spodnie. - MacMillan! Do diabła, jak się masz, Mac?

- Jestem trochę zdenerwowany, sir - odparł MacMillan.

- A to dlaczego?

Podali sobie ręce.

- Po prostu dlatego, że dałem w ryj pewnemu pisarzowi, sir.

Generał się roześmiał.

- To było dawno temu, Mac. Boże, jak dawno temu.

- Chodzi o innego pisarczyka, sir - powiedział MacMillan. - Jest pułkownikiem.

- Masz kłopoty, Mac? - zapytał generał, teraz już poważnie.

- To będzie zależało od pana, sir.

- Chyba nie przyłożyłeś nikomu? - zapytał znów generał. Ponieważ stał przed nim Mac, pytanie było jak najbardziej uzasadnione, nie tylko dlatego, że kiedy generał po raz pierwszy w życiu spotkał kaprała MacMillana, ten trenował boks.

- Tylko, w przenośni, sir - odparł Mac. - Major może znokautować pułkownika chociażby poprzez czekanie w latrynie na generała po tym, jak pułkownik dał jasno do zrozumienia, że podjął decyzję i nie chce już słyszeć żadnych dyskusji na temat. Tym bardziej że pułkownik wydał rozkaz, aby nie zawracać generałowi głowy tą sprawą.

- Mac, jeśli chcesz ze mną rozmawiać, możesz telefonować do mnie do domu, kiedy tylko chcesz.

- Nie przybyłem tutaj jako pański przyjaciel, sir. Jestem tutaj jako oficer.

Twarz generała niespodziewanie przybrała surowy wyraz.

- Gdybyśmy nie byli przyjaciółmi, Mac, zapytałbym cię, co, do diabła, robisz w sraczu dla wyższych oficerów?

- Panie generale, major prosi o poświęcenie mu piętnastu minut generalskiego czasu.

- Słyszałem, że otrzymałeś jakiś przydział - powiedział generał. - Do diabła, to ja do tego doprowadziłem, Mac. Nie podoba ci się przydział, o to chodzi? Chyba nie chcesz...

- Jestem żołnierzem, sir. Zawsze udaję się tam, dokąd prowadzi mnie rozkaz, i zawsze staram się wykonywać moje zadania jak najlepiej.

- A więc o co chodzi? Myślałem, że się cieszysz, że nie musisz pracować w tym miejscu.

- Panie generale, moim zdaniem popełnił pan błąd, ustalając całą operację rozwoju lotnictwa w taki sposób, w jaki zaczyna być realizowana - powiedział major MacMillan.

- Majorze - odparł generał. - Wracam do biura. Poinformuję adiutanta, że wyznaczyłem panu - urwał i popatrzył na zegarek - piętnastominutowe spotkanie o godzinie jedenastej trzydzieści. Wysłucham pańskich argumentów. Ponieważ przy podejmowaniu decyzji posiłkowałem się radami pułkownika Gregory'ego, poproszę go, żeby do nas dołączył.

- Tak jest, sir. Dziękuję, sir.

- Albo, po uzmysłowieniu ci, że pułkownik Gregory będzie twoim oficerem oceniającym, co niniejszym czynię, od razu po prostu zapomnę o naszej rozmowie.

- Będę w pańskim gabinecie o wpół do dwunastej, sir.

O jedenastej dwadzieścia osiem major MacMillan wszedł do sekretariatu biura zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych i powiedział adiutantowi, że za dwie minuty ma wyznaczone spotkanie z samym generałem.

Mówi się, że zastępca szefa sztabu do spraw operacyjnych to człowiek, który faktycznie rządzi armią. Teoretycznie ma taką samą pozycję jak inni zastępcy szefa sztabu: do spraw personalnych, logistycznych czy wywiadu, jednak w praktyce to on podpowiada szefowi sztabu (podpowiedzi rzadko są odrzucane), gdzie, kiedy i jak armia powinna walczyć.

Wywiad przekazuje szefowi sztabu informacje na temat wroga, personalny mówi, jakimi dysponuje siłami osobowymi, a logistyk przekazuje informacje na temat stanu zaopatrzenia i zapasów. Szef sztabu sumuje uzyskane informacje i decyduje, biorąc pod uwagę prawdopodobne zamiary i możliwości wroga, dokąd posłać wojska wraz z zapleczem logistycznym.

W czasie pokoju zastępca operacyjny decyduje, czy armia potrzebuje więcej czołgów czy artylerii, więcej samochodów czy czołgów, a ostatnio - czy potrzebuje więcej szybkiego transportu lotniczego niż czołgów, dział i karabinów, o które bezustannie wołają pancerniacy, artylerzyści oraz piechota.

Kiedy major Rudolph G. MacMillan został wprowadzony do gabinetu, byli tam już zarówno pułkownik Arthur Gregory, szef lotnictwa przy zastępcy operacyjnym, jak i generał brygady Howard Kellogg, asystent zastępcy operacyjnego. Siedzieli na czerwonej skórzanej kanapie, ustawionej pod ścianą.

- Panie generale - zaczął recytować major MacMillan, przyjmując postawę zasadniczą
- major R. G. MacMillan melduje się na rozkaz.

Gospodarz odpowiedział jedynie niedbałym machnięciem ręki.

- Proszę spocząć, majorze - powiedział. - Myślę, że zna pan tych dwóch dżentelmenów. Ma pan piętnaście minut.

- Za pozwoleniem, sir - odparł MacMillan i podszedł do stolika ustawionego przed kanapą.

W ręce miał aktówkę. Do tej pory zachowywał się tak sztywno i regulaminowo, że trzech oficerowie zauważyli ją dopiero, kiedy postawił teczkę na podłodze, po czym wydobyl z niej kartki, które starannie porozkładał w małe sterty na stoliku.

Dwaj pozostali goście zauważyli, że zwrócił się wyłącznie do najwyższego przełożonego, rezygnując ze zwrotu „panowie oficerowie” w liczbie mnogiej. MacMillan wyraźnie zamierzał kierować swoje słowa do zastępcy operacyjnego, a nie do nich. Było to naruszeniem regulaminu, jednak gospodarz przeszedł nad tym do porządku dziennego.

Sprawa, którą major zamierzał poruszyć, miała się rozegrać pomiędzy nim a operacyjnym i szefem lotnictwa przy zastępcy operacyjnym, a sam gospodarz miał, w jego mniemaniu, kwestię rozsądzić. Była to niesłychana bezczelność, nawet jak na MacMillana.

- Panie generale - powtórzył MacMillan - otrzymałem rozkaz, aby stawić się u przewodniczącego Zarządu Wojsk Powietrznodesantowych w Fort Benning w Georgii do służby na stanowisku łącznika pomiędzy Sekcją Lotnictwa Zarządu Wojsk Powietrznodesantowych a zastępcą szefa sztabu do spraw operacyjnych.

- Wiemy o tym, MacMillan - powiedział asystent zastępcy operacyjnego.

MacMillan zachowywał się tak, jakby jego słów nie usłyszał.

- W bardzo krótkim czasie - kontynuował - Sekcja Lotnictwa Zarządu Wojsk Powietrznodesantowych stanie się Zarządem Lotnictwa, niedługo po reaktywowaniu Fort Rucker w Alabamie. Wszelkie sprawozdania i informacje o rozwoju lotnictwa będą wówczas kierowane bezpośrednio do pana, sir, bez pośrednictwa Zarządu Wojsk Powietrznodesantowych czy Artylerii.

- Wszyscy o tym wiemy - znów wtrącił się asystent. Nie rozumiem jednak, dlaczego mamy o tym z panem dyskutować.

- Poza tym chodzi o Camp Rucker, MacMillan - zauważył szef lotnictwa. - Odnoszę wrażenie, że cała ta sprawa jest utajniona. Skąd pan o tym wszystkim wie?

- Pozwól mu mówić - mruknął zastępca operacyjny.

- W takiej sytuacji stanę się oficerem łącznikowym pomiędzy Zarządem Lotnictwa Armii a zastępcą szefa sztabu do spraw operacyjnych - powiedział MacMillan. - Inaczej mówiąc, pomiędzy lotnictwem armii a armią.

- Lotnictwo armii jest tylko pewnym pojęciem, a nie rodzajem broni, majorze - odezwał się asystent.

- Tak jest - odparł MacMillan. - Tak właśnie to widzę.

- W takim razie - stwierdził z sarkazmem szef lotnictwa - nie wiem, do czego pan zmierza.

- Wysłuchajmy go - powiedział zastępca operacyjny cokolwiek lodowatym tonem.

- Raport na temat efektywności moich działań napisze przewodniczący Zarządu Lotnictwa, a zatwierdzi go pułkownik Gregory. Wszelkie informacje, które dotrą do pana generała, pochodzić będą od przewodniczącego Zarządu Lotnictwa za pośrednictwem pułkownika Gregory'ego, sir.

- A ma pan jakiś lepszy pomysł? - zapytał Gregory z sarkazmem.

- A co widzisz w tym złego, Mac? - zapytał gospodarz.

MacMillan nie robił na nim wrażenia wybitnym intelektem, ale wiedział, jak wiele major zaryzykował, pojawiając się tutaj bez zapowiedzi. MacMillan spełnił swoją powinność jako żołnierz, był wielokrotnie odznaczany, dlatego - zanim miałby ponieść konsekwencje swojego nierozważnego pojawienia się w Pentagonie - należało mu się rzetelne wysłuchanie tego, co miał do powiedzenia.

Zastępca operacyjny zdał już sobie sprawę, że MacMillan nie może nadal służyć w Zarządzie Lotnictwa; ten most już za sobą spalił.

- Zarówno Bill Roberts, jak i pułkownik Gregory są członkami Klubu Pilotów z Cincinnati - wypalił MacMillan.

- Rozumiem, że chodzi panu o pułkownika Williama Roberta - odezwał się pułkownik Gregory z furią w głosie.

- Klub Pilotów z Cincinnati? - zdziwił się gospodarz. Co to takiego?

- Weterani, wpływowi weterani. Uważają, że całe lotnictwo armii należy wyłącznie do nich.

- Sprecyzuj, co rozumiesz pod pojęciem „wływowi” zaproponował spokojnie zastępca szefa sztabu do spraw operacyjnych.

- Oficerowie zawodowi, którzy mają największe szanse na awanse generalskie - powiedział MacMillan. - Ludzie z ochronki West Point i tym podobni.

W całej armii oficerowie, którzy nie mieli szczęścia uczęszczać do West Point, powszechnie nazywali Stowarzyszenie Absolwentów i Byłych Kadetów Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych w West Point „ochronką”. Członkowie tego stowarzyszenia nie znosili tego określenia.

- Nie podoba mi się to, majorze - powiedział pułkownik Gregory. - Bardzo mi się to nie podoba.

- Zmierzaj do sedna, Mac - zażądał gospodarz.

W tej chwili bardzo żałował, że zrobił sobie przerwę na sikanie w pułkownikowskiej toalecie. Przy swoim gabinecie miał prywatne WC i powinien był z niego skorzystać. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy pytanie, jak długo MacMillan na niego czekał. Zapewne przez cały poranek. A może przez tydzień?

- Jedyne informacje, jakie pan otrzyma, sir - powiedział MacMillan - będą takie, jakie Klub Pilotów z Cincinnati uzna za stosowne panu przekazać.

- To jest pomówienie i obelga! - wybuchnął pułkownik Gregory.

- Mam przestać, sir? - zapytał MacMillan.

- Nie, kontynuuj, Mac. Już i tak wykopałeś sobie grób. Równie dobrze możesz więc także do niego wskoczyć.

- Popelni pan błąd, przekazując lotnictwo wojskowe w ręce Klubu Pilotów z Cincinnati, sir.

- MacMillan, usłyszałem już wszystko, czego zamierzałem wysłuchać na temat tak zwanego Klubu Pilotów z Cincinnati - powiedział pułkownik Gregory, ale MacMillan znowu go zignorował.

- Potrzebna tam panu będzie osobna jednostka, generale - powiedział. - Niezależna od Zarządu Lotnictwa, niezależna od Klubu Pilotów. W przeciwnym razie Klub Pilotów dopilnuje, żeby jego ludzie objęli wszystkie stanowiska dowódcze, żeby ich projekty uzyskiwały pieniądze i żeby ich pomysły, w jaki sposób wykorzystywać samoloty do wspierania wojsk lądowych, stały się doktryną i były drukowane w regulaminach walki.

W gabinecie zapadła długa cisza. Gospodarz doskonale zdawał sobie sprawę, że ani Gregory, ani jego własny asystent nie puszczą tego oskarżenia płazem. Zaczął się zastanawiać, jaką formę przyjmie ich zemsta.

- Chodzi o specjalną jednostkę, dowodzoną, niewątpliwie, przez pana? - odezwał się asystent z sarkazmem.

Zastępca operacyjny miał przez moment nadzieję, że MacMillan zignoruje pytanie lub zacznie ironizować - wtedy miałby jeszcze szanse. Mac naturalnie nie zrobił ani jednego, ani drugiego.

- Przez Boba Bellmona - odparł MacMillan. - Albo kogoś takiego jak on. Kogoś, kto nie jest artylerzystą. Kto nie jest członkiem Klubu Pilotów. Ale też kogoś, kto należy do ochrony.

- Przecież Bob Bellmon nie jest nawet lotnikiem - powiedział asystent z odrazą w głosie. - I wypraszam sobie, majorze, to bezustanne przekąśliwe stosowanie określenia „ochronka”.

- Mógłbym go, i zresztą każdego innego, nauczyć latania w ciągu miesiąca - powiedział MacMillan. - Pilotowanie samolotu wcale nie jest takim tajemniczym i trudnym zajęciem, jak sobie wyobraża większość ludzi.

- Mac - odezwał się zastępca operacyjny. - Przesadzasz. Chyba tego dostatecznie nie przemyślałeś.

- Wręcz przeciwnie, sir, przemyślałem. Potrzebuję jedynie wsparcia zastępcy do spraw operacyjnych w postaci zgody na jednostkę Klasy II Aktywności, być może pod nazwą „Rozwój Środków Bojowych”. I to wszystko. Klasa II Aktywności to w armii jednostka stacjonująca w obiekcie wojskowym, niepodlegająca komendantowi tego obiektu, ale innemu, zazwyczaj wyższemu, dowództwu. Na przykład szpitale „należą” do naczelnego lekarza, a nie do generała, dowodzącego obiektem, na którego terenie szpital jest ulokowany.

MacMillan podał gospodarzowi gruby plik papierów starannie spiętych metalowym spinaczem.

- Tutaj znajduje się moja propozycja w zakresie organizacji i wyposażenia. W największym skrócie taka jednostka składałaby się z dowódcy, zastępcy dowódcy, logistyków,

saperów oraz oficera łącznikowego. Plus, oczywiście, z niezbędnych podoficerów technicznych.

Zastępca operacyjny odebrał materiał od MacMillana i zaczął go czytać. Niemal natychmiast stało się dla niego jasne, że dokumenty te miał już w rękach ktoś poza MacMillanem. Odzwierciedlały od początku do końca kawał bardzo porządnej roboty sztabowej, tymczasem o MacMillanie można było powiedzieć wiele, że był na przykład doskonały na polu walki, jednak nie było w nim ani odrobiny sztabowca. Ktokolwiek wykonał tę robotę dla niego, musiał być fachowcem.

Przez chwilę się nad tym zastanawiał, a potem się zirytował.

- Mac, kto ci to napisał?

- Słucham?

- Cholera jasna, przecież sam tego nie zrobiłeś.

Był już zdecydowany, że powiesi za jaja sukinsyna, który - bojąc się ujawnić własne nazwisko i stopień - przysłał do niego z tym projektem biednego Maca.

- To są moje pomysły, sir - powiedział MacMillan. Jedynie pewien mój przyjaciel pomógł mi przelać je na papier.

- Co to za przyjaciel?

- Nie mogę panu powiedzieć, sir.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ ten przyjaciel powiedział mi, że przychodząc z tym do pana, popełniam samobójstwo, a on nie chce, żeby go z tym samobójstwem łączono.

- Jak on się nazywa, Mac? - nie ustępował operacyjny.

- Dałem słowo, jako oficer i dżentelmen, że w żadnym wypadku nie ujawnię jego personaliów, sir.

Zastępca uznał, że MacMillan i tak mu nic nie powie.

Był prostym oficerem, niczym dziewica w pentagońskim burdelu, i rzeczywiście wierzył w coś takiego jak słowo honoru oficera i dżentelmena.

- To nie jest pytanie, Mac. To rozkaz.

- Przepraszam, sir, ale nie rozumiem. - MacMillan stanął na baczność.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Potem zastępca wstał i rzucił dokumenty na kolana swojego asystenta.

- Przejrzyj to szybko - powiedział do niego, a na MacMillana wskazał palcem. - A ty chodź ze mną.

Poprowadził go do małej sali konferencyjnej.

- Mac, muszę wiedzieć, kto cię w to wrobił - powiedział.

- Nikt mnie nie wrobił, sir.

- Dobrze więc, powiedz mi, kto ci w tym „pomagał”. Daję ci moje słowo, jako oficer i dżentelmen, że nic temu człowiekowi nie zrobię, ani teraz, ani w przyszłości. Muszę jednak wiedzieć.

- Dlaczego?

- Ponieważ to, co zrobiłeś, jest faktycznie sugestią, że ktoś w służbie, ktoś oprócz ciebie, ktoś na raczej wysokim stanowisku, sądząc po robocie, jaką wykonał, stoi na stanowisku, że pułkownik Gregory i mój asystent popełnili poważne błędy w ocenie sytuacji. Albo, mówiąc mniej elegancko, że chcą mi podłożyć świnie.

- Do diabła, nie przesadzajmy. Aż tak wysoko ten ktoś nie sięga - powiedział MacMillan i roześmiał się.

- Kto to jest, Mac? - zastępca ponowił pytanie, a nie usłyszawszy odpowiedzi, poczuł się trochę głupio, więc powtórzył: - Daję ci moje słowo, Mac, jako oficer i jako dżentelmen, że nic temu oficerowi nie zrobię.

- Nazywa się Lowell - powiedział MacMillan.

- Poproszę o jego stopień. I imię.

- Jest majorem. Craig W. Właśnie skończył szkołę pilotów.

- Lowell? To ten młody byczek, który w Korei pieprzył gwiazdkę filmową?

- Tak, sir.

- A potem chyba wplątał się w proces sądowy tego młodzieńca od Phila Sheridana Parkera?

- Zgadza się, sir.

- Teraz się już nie dziwię, że nie chciał ujawnić nazwiska. Dupę ma i tak umoczoną już tak głęboko, jak tylko można.

Świadomość, że poznał nazwisko autora projektu, przyniosła mu pewną ulgę. Ale ogarnęło go też duże zdziwienie, że młody Lowell - przecież chłopak miał dopiero dwadzieścia sześć lat - zdolny był do wykonania tak dobrej sztabowej roboty. Szkoda, że tak dokładnie spieprzył sobie karierę. Armia miała dobrych oficerów sztabowych, posiadała też oficerów doskonałych na polu walki, jednak od czasów Valley Forge było niewielu takich, którzy łączyli obie umiejętności. Młody Lowell dał się już poznać jako doskonały w boju. Skoro był równie dobry w robocie sztabowej, powinien był zająć bardzo wysoko, i to w krótkim czasie.

- Nikt więcej się o tym nie dowie, Mac. Masz na to moje słowo honoru.

- Dziękuję, sir.

Razem wrócili do gabinetu. Zastępca operacyjny popatrzył na swojego asystenta i uniósł pytająco brwi. Nie zdziwił się, że i on, i Gregory, gotowi byli z odpowiedzią, która miała pograć MacMillana.

- Nie potrzebujemy pod naszym bokiem jakiegoś imperium, sir - odezwał się asystent.

- Gregory jest w stanie doskonale sobie poradzić ze wszystkim, co się wiąże z Rucker. Wysłanie tam majora MacMillana miało na celu wyłącznie łagodzenie ewentualnych napięć, a nie wzbudzanie nowych niepokoju. Wielu ludzi wpadnie we wściekłość, jeśli spróbujemy wepchnąć im do gardeł coś takiego. Wojska pancerne nie wymagają specjalnych jednostek w celu rozwoju środków bojowych. Nie wymaga ich piechota. Dlaczego więc miałyby one być potrzebne lotnictwu?

- Co pan na to, majorze? - zapytał zastępca.

- Pułkownicy i majorowie w Knox i Benning, którzy przygotowują plany na następną wojnę, podczas ostatniej wojny dowodzili kompaniami, batalionami i pułkami - odparł MacMillan. - Natomiast w lotnictwie nie ma nikogo, powtarzam, nikogo, kto miałby doświadczenie w dowodzeniu w warunkach bojowych.

Zastępca szefa sztabu musiał mu w duchu przyznać rację.

- To byłby przecież policzek dla oficerów, mnie nie wyłączając, którzy od dawna ciężko pracowali na to, żeby lotnictwo wojskowe uzyskało obecną pozycję. Sugestia majora, szczerze mówiąc, mnie złości - powiedział Gregory.

- Z całym szacunkiem, ale pułkownik Gregory chyba doskonale zrozumiał mój punkt widzenia - stwierdził MacMillan. - Członkowie Klubu Pilotów wpadną we wściekłość, jeśli nie będą mogli wydać wszystkich pieniędzy, które armia zamierza przekazać na swoje lotnictwo, w taki sposób, w jaki oni sobie życzą. Być może mają dobre intencje, panie generale, ale mają też niewielkie pojęcie o walce lądowej.

- To wszystko, majorze? - zapytał zastępca operacyjny.

Widział na twarzy pułkownika Gregory'ego wściekłość, której ten nawet nie starał się ukrywać.

- Tak jest, sir - odparł MacMillan i stanął na baczność.

- Dokładnie zapoznam się z pańską propozycją, majorze. I poproszę obecnych tu dżentelmenów, żeby uczynili to samo i przedstawili mi swoje opinie.

- Dziękuję bardzo, sir. Proszę o pozwolenie odejścia.

- Możesz odejść, Mac.

MacMillan zasalutował, przybrał obojętny wyraz twarzy i wymaszerował z gabinetu. Mijając stolik, na którym leżała jego aktówka, pochylił się sztywno i zabrał ją, nie myląc kroku.

Po jego wyjściu przez chwilę panowała cisza. Przerwał ją dopiero chichot asystenta, który przeglądał dokument zawierający zaproponowaną przez MacMillana strukturę organizacyjną i wyposażenie dodatkowej jednostki.

- Ma facet tupet, muszę mu to przyznać - powiedział. Wymyślił zapotrzebowanie na pułkownika, podpułkownika, dwóch majorów, czterech kapitanów i tuzin poruczników. Oraz na jedenaście maszyn.

- Jedenaście maszyn? - zdziwił się oficer lotnictwa i roześmiał gorzko. - Tylko jedenaście?

- Tak jest. Według niego potrzebny jest dwusilnikowy Beech, dwa Beavery, trzy Cessny L-19, dwa H-19, jeden H-34 i dwa H-13 - odparł asystent, ciągle przeglądając dokument, który pozostawił MacMillan. - To razem daje jedenaście.

- Mac to miły facet - powiedział pułkownik Gregory (zdaniem przełożonego przyjął taką taktykę, by ośmieszyć propozycję, a być może zostanie zapomniana). - Niezbyt lotny na umyśle, ale miły. Może od razu dajmy mu jeszcze B-29, dywizjon P-51 i może jeszcze C-54. - Razem z asystentem głośno zarechotali.

- Właśnie miałem polecić wykonanie dwóch fotokopii tego studium sztabowego - powiedział generał. - Ale zmieniłem zdanie. Mamy tylko jeden egzemplarz i jeśli przecieknie, będziemy od razu znali źródło przecieku. Pułkownik Gregory przestudiuje go jako pierwszy i spisze swoje zastrzeżenia, po czym przekaże materiał mnie za pośrednictwem generała Kellogga.

- Czy pan generał naprawdę zamierza nadać tej sprawie formalny bieg i przepuścić ją przez całą procedurę oceniającą? - zapytał pułkownik Gregory z niedowierzaniem w głosie.

- Generał tak właśnie zamierza. A pan i generał Kellogg do tych zamiarów się dostosujecie. Proszę uważnie przestudiować materiał i w ciągu tygodnia zwrócić go na moje biurko razem z wnioskami.

- Tak jest, sir. Czy coś jeszcze?

- Tak. Niezależnie od tego, jaką podejmę decyzję, MacMillan miał rację w kwestii raportu o przydatności do służby. Przygotuj taki raport, Greg, a ja go zatwierdzę. Być może nie podaruję mu imperium, ale posyłam go na konkretne stanowisko po to, żeby pracował dla mnie, a nie dla Zarządu Lotnictwa. A tym bardziej dla, jak to powiedział, Klubu Pilotów z Cincinnati.

Marburg nad rzeką Lahn

Niemcy Zachodnie

23 grudnia 1954

Późne nawrócenie podpułkownika Edgara R. Withersa na wiarę w Pana Naszego Jezusa Chrystusa pod pewnym względem działało na korzyść majora Craiga W. Lowella.

Pułkownik Withers zaprosił Lowella do swojego gabinetu na prywatną rozmowę i powiedział mu, jak mężczyzna mężczyźnie, iż wierzy, że tragiczna śmierć Ilse była środkiem, jaki Pan zastosował, żeby sprawdzić, czy Lowell potrafi podołać podwójnej chrześcijańskiej odpowiedzialności, zarówno jako ojciec, jak i jako matka „biednego chłopca”.

Withers oznajmił też, że w taki sposób ułoży plan służb Lowella, by ten mógł często odwiedzać Marburg. Wyraził nawet „rozumienie”, kiedy Lowell podjął kroki, aby samo przemieszczanie się w tę i z powrotem trwało jak najkrócej.

Poprzez londyńskie biura firmy Craig, Powell, Kenyon i Dawes Lowell zdołał załatwić sobie zakup jaguara z opuszczanym dachem „poza systemem sprzedaży”, inaczej mówiąc, bez konieczności czekania na samochód w długiej kolejce. Jaguar dotarł do Niemiec w ciągu dwóch tygodni od złożenia zamówienia. Przyłynął na statku, który zacumował w Bremie, i Lowell pojechał po niego wojskowym pociągiem, który transportował personel do portu wojskowego w Bremerhaven.

Kiedy tylko wyjechał samochodem na autostradę Frankfurt-Monachium, z jego lewej strony tylko śmignął mercedes pędzący z prędkością co najmniej dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Lowell przypomniał sobie, że słyszał, iż na niemieckich autostradach nie ma żadnych ograniczeń prędkości, więc do oporu przycisnął pedał gazu.

Żandarmeria wojskowa zatrzymała go niedaleko Hersfeld. Brak ograniczenia prędkości nie miał zastosowania wobec amerykańskich oficerów. Odnosił się jedynie do Niemców. Wkrótce Lowell musiał napisać do generała dowodzącego 7. Armią pismo z wyjaśnieniem, dlaczego przekroczył obowiązujący go zakaz poruszania się z prędkością większą niż sześćdziesiąt mil na godzinę, jadąc prywatnym samochodem autostradą niedaleko Hersfeld ponad sto dziesięć mil na godzinę.

Withers otrzymał polecenie, żeby go ukarać. Podpułkownik mógł mu obciąć miesięczną pensję o jedną trzydziestą i wpiąć do jego akt naprawdę nieprzyjemną nagane.

Wybrał jednak „ustną reprimendę”, najmniej surową z przewidywanych kar, a na reprimendę składała się przede wszystkim uwaga, że Lowell mógł się przecież zabić na autostradzie i uczynić „chłopca” zupełnym sierotą.

Choć technicznie było to prawdą, to nawet gdyby z jego ojca została na autostradzie krwawa miazga, Peter-Paul Lowell i tak nie zostałby sam na tym świecie.

Teraz bowiem, gdy graf von Greiffenberg powrócił „ze Wschodu” - jak brzmiał niewinny eufemizm dla określenia zsyłki na Syberię - Schloss Greiffenberg był pełen jego pruskich, turyńskich, pomorskich i meklemburskich krewnych. Wszyscy oni byli na tyle przewidujący, że zdołali wywieźć z Niemiec Wschodnich skarby rodowe, zanim nadeszli Rosjanie, albo otworzyć konta bankowe w Zurychu.

Opłakując stratę swych posiadłości na rzecz bolszewików, żyli tymczasem tak samo jak przez ostatnie stulecia, w zamku, obsługiwani przez służących, a ich umysłów nie zaprzętały w zasadzie żadne inne problemy ponad to, jak najlepiej inwestować posiadany kapitał. Przy okazji opiekowali się małym chłopcem.

Elizabeth, pomorska baronowa von Heuffinger-Lodz jak się dowiedział Lowell - była wśród krewnych jego niemieckiej żony pierwszą wśród równych. Wkrótce po powrocie „ze Wschodu”, niedługo po śmierci Ilse, teściowi Lowella zaoferowano stanowisko w nowej niemieckiej armii, Bundeswehrze. Przeżyło niewielu byłych pułkowników, których opozycyjna postawa wobec Hitlera była udokumentowana i którzy mogli dzięki temu dowodzić nową armią Niemiec.

Pułkownik von Greiffenberg nie zastanawiał się nad przyjęciem stanowiska ani przez chwilę. Był to jego obowiązek wobec das Vaterland, równie oczywisty jak patriotyczna postawa jego przodków w ciągu ostatnich siedmiuset lat. Obecnie teść Lowella był generałem majorem, zastępcą szefa wywiadu wojskowego.

W sytuacji gdy jego córka nie żyła, a jego amerykański zięć walczył na wojnie w Korei, wydawało mu się zupełnie oczywiste i logiczne, że wychowaniem wnuka powinna się zajmować jego owdowiała krewna. Tak się działo w rodzinie od setek lat. A kiedy Craig Lowell się nad tym zastanowił, on również uznał takie rozwiązanie za logiczne. Chłopiec z pewnością miał w Niemczech lepiej, niż miałby „w domu” w Stanach Zjednoczonych, z babcią w szpitalu psychiatrycznym i w sytuacji, gdy jedynym „logicznym” sposobem na jego wychowanie w tym kraju mogło być powierzenie go kuzynowi Craiga Porterowi i jego żonie. Lowell uznał, że nadejdzie jeszcze czas, by uświadomić chłopakowi jego amerykańskie dziedzictwo. W tej chwili jego ojciec był zbyt zajęty, starając się ze wszystkich sił ocalić swoją karierę wojskową.

Herr Generalmajor (zwracano się do niego albo tak, albo Herr Graf, jakby w ogóle nie miał imienia) zdawał się niezbyt zadowolony ze statusu Craiga jako pilota wojskowego. Wehrmacht w swoim czasie dysponował dwumiejscowymi samolotami Feisler Storch, jednak pilotowali je ludzie nie godni szerszej wzmianki. Takie zajęcie nie było godne ani oficera, ani dżentelmena.

Lowell nie opowiedział teściowi o swoich kłopotach w armii. Bynajmniej nie wstydził się tego, co zrobił; miał przecież moralny obowiązek wstawić się za Philem Parkerem, kiedy wojsko próbowało go skrzywdzić, a kiedy związał się z GeorgiąPaige, Ilse od dawna już nie żyła, obawiał się jednak tego, że teść - do którego czuł wielki szacunek - uzna jego postępowanie za niegodne oficera i arystokraty.

Poza tym głupio by mu było przyznać, że znalazł się na czarnej liście czy nawet że w ogóle popadł w jakiegokolwiek kłopoty. W rezultacie Lowell wyrażał się przed teściem o lotnictwie wojskowym z o wiele większą estymą, niż sam odczuwał.

Herr Generalmajor niezbyt entuzjastycznie odbierał argumenty Craiga i bardzo często pytał go, jakie będzie jego kolejne „stanowisko dowódcze”. Lowell wiedział, że nie będzie już żadnego „stanowiska dowódczego” w wojskach pancernych, a w chwilach ogarniającej go depresji powątpiewał nawet, czy chociażby w lotnictwie armii będzie mógł dowodzić czymś więcej niż pojedynczym samolotem. Był jednak zdeterminowany, żeby przebywać możliwie blisko syna, co oznaczało częste odwiedziny, mimo że krewni Ilse traktowali go czasami jak niemiłe wspomnienie nieszczęśliwego związku, o którym najlepiej byłoby zapomnieć. Jedynie teść i Elizabeth von Heuffinger-Lodz zdawali się go akceptować jako członka rodziny.

Aby rozwiązać problemy zięcia z przejazdami, graf przekazał mu wspaniałego mercedesa sedana ze specjalnymi tablicami rejestracyjnymi, wydawanymi jedynie dla najważniejszych oficerów Bundeswehry. Tablice trzymały niemiecką policję na właściwy dystans, a amerykańska Żandarmeria Wojskowa nie dysponowała władzą, która umożliwiałaby kontrolowanie na autostradzie niemieckich samochodów. Lowell wynajął garaż w Augsburgu. Kiedy był na służbie, trzymał w nim mercedesa, a kiedy jechał do Marburga, garażował w nim jaguar.

Jego życie prywatne w społeczności żołnierskiej w Augsburgu było byle jakie, jednak niczego więcej się nie spodziewał i specjalnie go to nie martwiło. Postanowił nie wynajmować mieszkania, mimo że teść oferował mu pomoc w jego znalezieniu. I tak nie zamierzał spędzać wolnego czasu w Augsburgu, a nie chciał niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi.

Mieszkał w kwaterze razem z innymi nieżonatymi oficerami. Mimo że pilotów odbywających „staż przygotowawczy” kwaterowano, nie zwracając uwagi na ich stopień i dotychczasowe osiągnięcia w innych rodzajach służby, szanowano fakt, że Lowell był de jure i de facto majorem, który awansował na polu walki. Nie zmieniało to faktu, że obecnie był zaledwie kimś w rodzaju kierowcy jeepa w stopniu oficerskim. Obowiązywała generalna zasada, że niepiloci nie lubią pilotów. Nie tylko traktowali ich po prostu jak kierowców z dystynkcjami oficerskimi. Rozdźwięki powodowały również różnice w płacach. Piloci otrzymywali takie same pieniądze, jakie należały się kapitanom pełniącym służbę na ziemi.

Piloci starej szkoły, ci, którzy obsługiwali Wydział Lotniczy 7. Armii, i ci, którzy rozkazywali majorowi Lowellowi, dokąd i kiedy ma latać, musieli okazywać mu taką zawodową grzeczność, jaką kapitanowie i porucznicy obowiązani byli okazywać majorom. Mieszkali w prostych jednoosobowych kwaterach kompanijnych, w części dla oficerów kawalerów, podczas gdy „młodemu majorowi Lowellowi” (do diabła, jakim cudem został majorem?) przydzielono dwupokojowy apartament, należny oficerom - uczestnikom działań wojennych. Mogli sobie być jego egzaminatorami i instruktorami w czasie lotów helikopterowych, ale musieli pełnić służby oficerów dyżurnych i dbać o zaopatrzenie podręcznych magazynów. Majorom takie czynności nie przystały.

Oczywiście Lowell znalazł wśród pilotów kilku przyjaciół. Nie wszyscy byli w końcu kretykami albo głupcami w stopniach oficerów. Lowell w dużej części rozumiał niechęć „starych” wobec nowych. W miarę jak stawało się coraz bardziej oczywiste, że lotnictwo armii będzie się rozrastało, dla „starych” stawało się oczywiste również to[^] że po wykonaniu przez nich czarnej roboty nowi zaczną spijać całą śmietankę.

List od MacMillana, o długości ośmiu wierszy i z sześcioma błędami ortograficznymi, obwieścił mu, że w Camp Rucker powstało Biuro Rozwoju Broni, podporządkowane bezpośrednio zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych.

Lowellowi nie za bardzo się to spodobało, ponieważ wkrótce o tym samym napisał do niego Bill Roberts, informując z goryczą, że jest to pierwszy krok ku przejściu lotnictwa przez establishment wojskowy. Lowell byłby w kłopotcie, gdyby Bill Roberts się dowiedział, że to właśnie on przełożył przemyślenia MacMillana na język usystematyzowanej prezentacji. Zrobił to dla MacMillana przede wszystkim dlatego, że Mac wrócił właśnie z eskapady do Indochin, a poza tym czuł, że musi jakoś mu się zrewanżować za opiekę nad Sandym.

Mac naprawdę zrobiłby z siebie durnia, gdyby swoje pomysły przedstawił przełożonym w takiej formie, w jakiej się znajdowały, kiedy pokazywał je Lowellowi. Ale Mac miał rację: armia po prostu nie mogła sobie pozwolić na przekazanie szeroko

rozbudowanego programu rozwoju swego lotnictwa w ręce Klubu Pilotów z Cincinnati. Nie dlatego, że członkowie Klubu byli niekompetentni, bo w sumie byli jedynymi oficerami znającymi zagadnienie, ale też po prostu było ich za mało. Kiedy członków Klubu okaże się zbyt mało, by mogli objąć wszystkie odpowiedzialne stanowiska, i tak będzie trzeba szukać ludzi poza kręgiem lotników, ponieważ zasadnicza część pilotów miała do ich objęcia byt niskie kwalifikacje.

Zagadnienie niskich kwalifikacji oficerów lotnictwa jako problem personalny na przyszłość było tematem kilku długich listów Lowella, skierowanych do Billa Robertsa.

Roberts był obecnie pełnym pułkownikiem w Camp Rucker i prezesem Zarządu Lotnictwa Armii. Lowell sugerował pewne rozwiązania, łącznie z okresowym przesuwaniem oficerów do ich zasadniczych rodzajów broni, aby potrafili coś jeszcze oprócz latania. Roberts sprzeciwiał się jednak, argumentując, że armia potrzebuje całkowicie wydzielonego korpusu lotniczego, coś jakby Korpusu Powietrznego Armii nr 2. Lowell doszedł do wniosku, że Roberts się myli, a MacMillan ma rację.

Po jakimś czasie Lowell w końcu stał się doświadczonym pilotem, dzięki temu, że latał, kiedy tylko miał okazję; wykorzystując swój stopień wojskowy, otrzymywał co bardziej interesujące loty (na przykład oblatywał z różnymi ważniakami tereny manewrów). Wreszcie opuściły go wątpliwości, czy jest kompetentnym pilotem, jednak nie oznaczało to, że uznał się za pilota dobrego. Uważał, że wciąż musi nad sobą pracować. Nadal nie potrafił nurkować i wznosić się w górę jak prawdziwi lotnicy, którzy latali, jakby urodzili się z tymi umiejętnościami.

To podczas jednego z przelotów niedaleko Bad Tolz, z ważnymi oficerami na pokładzie, odzyskał wiarę, jednak nie w Pana i Zbawcę podpułkownika Edgara R. Whitera, lecz w lotnictwo armii.

Najważniejszym z transportowanych oficerów był generał brygadier, zastępca kwatermistrza w Dowództwie Europejskim. Jak większość oficerów służb pomocniczych generał bardzo serio traktował własną rolę w ustalonym porządku rzeczy. Wsiadł bladym świtem, w stalowym hełmie, z pełnym wyposażeniem polowym i zażądał, żeby Lowell woził go pomiędzy jednym punktem zaopatrzeniowym a drugim, potem kolejnym i tak dalej.

Większość punktów, w których generał się zatrzymywał, aby podnieść na duchu żołnierzy, to były składy Klasy IV, tak zwane POS-y, w których przechowywano paliwa, oleje i smary. W jednym z nich odbywało się akurat tankowanie batalionu czołgów.

Kiedy Lowell zaczął podchodzić do lądowania na lotnisku przy drodze, od razu zauważył kardynalny błąd. M48 zajmowały stanowiska zbyt blisko siebie. Gdyby

zaatakowały je wrogie czołgi albo samoloty, albo gdyby wybuchł pożar, jeden eksplodujący czołg spowodowałby eksplozję następnych. Dowódcy kompanii nie zdawali sobie sprawy z tego, co robią, nie zdawał sobie z tego sprawy także dowódca batalionu, bo w przeciwnym razie natychmiast by zareagowali.

Ale ten dowódca batalionu, szybko przypomniał sobie Lowell, miał batalion. A major Craig W. Lowell, choć dowodził w przeszłości oddziałem wydzielonym w sile batalionu i walczył tak dobrze, że wspomniano o tym obecnie nawet w podręcznikach, w przyszłości już nigdy takiego dowództwa nie otrzyma.

Kiedy przygotowywał H-13 do lądowania, przyszła mu do głowy kolejna myśl.

Gdyby tylko miał zamontowane ze dwie wyrzutnie rakiet 3,5-calowych, rozpieprzyłby ze dwa czołgi i odleciał, zanimby się zorientowali, że ktoś ich zaatakował!

Równie szybko, jak o tym pomyślał, odrzucił tę myśl.

W helikopterach nie instalowano bowiem wyrzutni rakiet, a nawet gdyby, nie sposób byłoby z nich celować. Ale niemal natychmiast przyszło mu do głowy rozwiązanie kwestii celowania. Wyrzutnie rakiet nie miały przecież odrzutu!

Używane na ziemi, wzbijały w górę mnóstwo kurzu, jednak nie miały odrzutu. Wyrzutnie były na końcu otwarte i ładunek miotający rozpraszał odrzut w powietrzu. Można było więc strzelać rakietami z helikoptera, naprowadzając je na cel po prostu poprzez zwykłe ustawienie maszyny.

Helikopter jest przecież w stanie poruszać się we wszystkich kierunkach.

Podczas gdy zastępca kwatermistrza potrząsał dłońmi żołnierzy, Lowell zaczął się zastanawiać nad możliwymi sposobami prowadzenia skutecznego ognia raketowego.

Zdjął z nosa lotnicze okulary przeciwsłoneczne w metalowych oprawkach i wyciągnął z nich soczewki. Następnie wygiął je na kształt litery U. Wreszcie znalazł pod fotelem swoją osobistą rolkę papieru toaletowego - podczas manewrów, kiedy załatwiano się, gdzie i kiedy popadnie, każdy żołnierz miał coś takiego na wyposażeniu. Rozwinął teraz całą rolkę, pozostawiając sobie jedynie tekturową rurkę, na którą nawinięty był papier, i przymocował ją do oprawek okularów. W końcu oprawki położył na desce rozdzielczej, postarawszy się, żeby rurka znajdowała się na środku i równoległe do osi wzdłużnej maszyny.

Kiedy zastępca kwatermistrza wrócił do helikoptera i zażądał przetransportowania na kolejną placówkę swojego imperium logistycznego, Lowell wykonał w powietrzu udawany atak na stojące czołgi.

Atak byłby udany, nawet gdyby się celowało przez tekturową tubkę po papierze toaletowym!

- Majorze! - zdziwił się generał. - Co, do diabła, miał znaczyć ten dziwny manewr? Sprawdza pan moc silnika?

Lovellowi nie przyszła do głowy żadna odpowiedź, która zabrzmiałaby dla generała sensownie, więc milczał.

- Niech pan nigdy więcej tego nie robi - usłyszał.

- Tak jest.

- I niech pan ściągnie z deski rozdzielczej tę dziwną konstrukcję, cokolwiek to jest. W helikopterze wojskowym nie ma miejsca na takie niewojskowe dziwactwa.

Niewojskowe czy wojskowe, wyrzucając na zewnątrz zniszczone okulary i pozostałość po rolce papieru toaletowego, Lowell był pewien, że może niszczyć czołgi skuteczniej niż 3,5-calowe rakiety wystrzeliwane z ziemi.

Helikopter za 75 tysięcy dolarów będzie w stanie niszczyć czołgi wroga, z których każdy był wart 500 tysięcy. Czysty zysk, nawet gdyby wróg od czasu do czasu zestrzelił jakiś helikopter. Ale zanim nieprzyjaciel uniesie lufę półcalowego karabinu maszynowego zamontowanego na wieżycze czołgu i zacznie strzelać, helikopter zdąży odpalić rakiety.

A w najgorszym wypadku armia i tak zawsze chętnie przehandluje helikoptery za czołgi w stosunku 1:1.

Tej nocy zaczął przelewać swoje odkrycie na papier.

W jego umyśle powstało mniej więcej tysiąc pytań, na każde musiał znaleźć odpowiedź, więc ich szukał. Postanowił, że zanim opowie o wszystkim Billowi Robertowski, zdobędzie ten tysiąc odpowiedzi i być może, jeśli uda mu się to zaaranżować, będzie miał za sobą pierwsze strzelanie z płóz helikoptera.

Lowell napisał szybko o wszystkim do kapitana Phila Parkera, kazać mu jednak zachować całkowite milczenie.

Zaczął widzieć helikoptery odpalające rakiety jako sposób na swoje oczyszczenie. Nie chciał, żeby jakiś sukinsyn z Klubu Pilotów z Cincinnati podchwycił pomysł i przedstawił go jako własny.

Kiedy Phil mu odpowiedział, w jego liście nie było ani słowa o pomysle Lowella. Napisał, że uzyskał Specjalne Zezwolenie Techniczne, co znaczyło, że sam może podejmować decyzje w takich sprawach jak przedstawiona przez Lowella. Mógł więc latać, gdy tylko uznał, że to bezpieczne. Lowell zaś zaczął już oswajać się z myślą, że weteran go zastąpi, kiedy na horyzoncie pojawią się ciemne chmury.

Początkowo problemem było, że Phil latał na samolotach, a te mogły latać, wyłącznie opierając się na przyrządach, bez widoczności ziemi. Helikoptery nie miały odpowiedniego

wyposażenia. W sumie było to bez znaczenia, ale potem doszedł do wniosku, że ma znaczenie: gdyby bowiem helikopter mógł latać według przyrządów, byłby lepszą platformą do wystrzeliwania rakiet niż zwykły samolot.

Także to przypuszczenie musiał sprawdzić.

Spędzając w kabinie helikoptera tyle czasu, ile tylko mógł, jednocześnie długie godziny poświęcając swojemu pomysłowi uzbrojenia helikoptera w rakiety, a także małemu synkowi, major Craig W. Lowell bynajmniej nie wiódł życia klasztornego. Miał dwadzieścia sześć lat i był w doskonałej kondycji fizycznej. Krew wręcz się w nim gotowała. Wokół Augsburga przebywało mnóstwo samotnych amerykańskich kobiet, hostess z klubów żołnierskich, cywilnych sekretarek czy różnego typu specjalistek pełniących służbę w Dowództwie 7. Armii, Lowell zatem spotykał się z nimi, niektóre zaciągając do łóżka, a od innych z góry dostając kosza, żadnej z nich jednak nie traktował poważnie.

Nie czuł potrzeby, aby się ponownie ożenić. Jakoś nie spotkał kobiety, przy której pomysł na wspólne życie nabrałby dla niego zachęcających kształtów. Nie było jednak prawdą - wbrew plotce powtarzanej w klubie oficerskim - że sprawdza pod tym kątem dosłownie każdą kobietę w 7. Armii. Na tak wiele kobiet w jego życiu po prostu nie było czasu, nawet jeśli ich krótka rola w tym życiu miałyby się ograniczać do wspólnie spędzonego czasu w klubie oficerskim 7. Armii i ewentualnie szybkiego seksu.

Po jakimś czasie rozeszła się wśród amerykańskich kobiet sprawdzona informacja, że majorowi lotnictwa chodzi tylko o to, żeby od czasu do czasu z którąś z nich się przespać, a małżeństwo to ostatnia myśl, jaka mu przy takich okazjach przychodzi do głowy. Epizod z majorem Lowellem stawiał je wobec innych potencjalnych amantów (nawet jeśli byli to żołnierze, którzy nie awansowali za zasługi na polu walki i nie jeździli czerwonym jaguarem) w roli dziewcząt, które zostały już wypróbowane i uznane za uległe albo też nieprzystępne.

Jego płynny niemiecki, bez obcego akcentu, nabyty od jednej z wielu guwernantek, które starały się zastępować mu chorą matkę, i wyszlifowany przy Ilse, szybko doprowadził go do dwóch kolejnych źródeł kobiet: dziewcząt, które bezustannie kręciły się wokół baz wojskowych (nie były to, wbrew ich reputacji, zwyczajne prostytutki, gotowe oddać się za bon na jedzenie, ale w wielu wypadkach młode kobiety, które po prostu uważały Amerykanów za bardziej atrakcyjnych mężczyzn od ich niemieckich równoletków), oraz do Niemek z wyższych warstw społecznych z Augsburga i Monachium, znających Lowella jako owdowiałego zięcia Generalmajora grafa von Greiffenberga.

Mimo iż przygód miał znacznie mniej, niż głosiły szeptane opowieści, było ich jednak wystarczająco dużo, aby reputacja kobieciarza go nie opuszczała. Jeśli któregoś wtorku

pokazał się z jakąś rudowłosą piękną podczas Standing Rib Special w kasynie oficerskim, można było przyjmować zakłady, że następnego tygodnia będzie go można spotkać z blondynką lub brunetką.

Nikt nie wiedział, gdzie Lowell spędza każdy wolny weekend. Ogólnie jednak panowała zgoda, że wykorzystuje je na uwodzenie zamężnych kobiet, których sytuacja wymaga, aby spotkania odbywały się w odległości przynajmniej stu mil od bazy. Powszechnie wiadomo, że sukinsyn ma gdzieś ukrytego w mieście mercedesa 280 ze szwabskimi tablicami rejestracyjnymi.

Jego podejrzane zachowanie zwróciło uwagę Służby Kontrwywiadu. Jednak pewien cokolwiek rozczarowany agent tej służby, który już miał nadzieję, że złapał sukinsyna pracującego dla Moskwy albo co najmniej dla Niemiec Wschodnich, musiał przyznać w raporcie, że samochód, o którym mowa, stanowi własność Generalmajora grafa von Greiffenberga z Bundeswehry i że dokładniejsze czynności sprawdzające pozwoliły ustalić, iż generalmajor graf von Greiffenberg jest teściem obserwowanego oficera i jedynym opiekunem jego jedyne dziecko, ustanowionym na wypadek śmierci oficera.

Jedynie kontrwywiad wiedział, że Lowell spędza weekendy i trzydniowe urlopy z synem i baronową Elizabeth von Heuffinger-Lodz, która jest faktycznie zastępczą matką dla jego syna, P. R, nieumocowaną jednak prawnie. Wszyscy inni, z wyjątkiem podpułkownika Edgara R. Withersa, woleli sądzić, że poświęca je po prostu zmysłowemu randkom z wiarołomnymi żonami albo żądnymi seksu sekretarkami, albo jeszcze innymi kobietami, spragnionymi ekstatycznych doznań w łóżku. A że kontrwywiad bynajmniej nie ujawnia posiadanych informacji, Lowell szybko zyskał reputację kobieciarza pierwszej klasy.

Myśl o tym, że coś mogłoby się między nimi zdarzyć, zaświtała w głowie zarówno Lowellowi, jak i Elizabeth.

Oboje zmierzli się z nią i w ostatecznym rachunku uznali ją za absurdalną. Pozostali natomiast przyjaciółmi.

Mimo że za każdym razem, jadąc do Marburga i z powrotem, mijał na autostradzie drogowskazy do Bad Nauheim, Lowell nigdy nie skręcił, żeby popatrzeć na miasto, w którym po raz pierwszy spotkał Ilse, w którym z nią mieszkał, w którym ją zapłodnił. Nie miał, sam to przed sobą przyznawał, na to odwagi.

To Elizabeth von Heuffinger-Lodz sprawiła, że w końcu tam przyjechał. Kiedy pojawił się w Schloss Greiffenberg na święta Bożego Narodzenia, Elizabeth powiedziała, że słyszała, iż teatr wojskowy w Bad Nauheim przygotowuje dla dzieci specjalny świąteczny pokaz Fantazji Walta Disneya, i zapytała go, czy mógłby zabrać ją i Petera-Paula na

przedstawienie. Stwierdziła też, że mogliby przy okazji odwiedzić sklep dla żołnierzy i kupić Peterowi-Paulowi rzeczy niedostępne dla Niemców za żadne pieniądze.

Nie mógł odmówić. Wmówił sobie, że jego strach przed Bad Nauheim jest po prostu głupi. Przecież to wszystko działo się tak dawno temu. Czasami, szczególnie w obecności Elizabeth, której delikatna biała skóra i długie, kształtne nogi robiły na nim pewne wrażenie, miewał trudności, żeby sobie przypomnieć, jak wyglądała Ilse.

Kiedy Elizabeth poprosiła o samochód, kierowca nie zrozumiał sytuacji i wkrótce czekał na podjeździe, gotowy otworzyć tylne drzwi mercedesa 280 dla Frau Baroness, Herr Major i den siissen kleinen Peter-Paul. Łatwiej było się zgodzić, żeby to on prowadził, niż urządzać niepotrzebną scenę.

Kierowca postanowił pojechać do Bad Nauheim przez Bayerischer Hof.

Był jasny, mroźny zimowy dzień, a tymczasem mercedes mijał park, gdzie Ilse spędziła tę pierwszą noc. Minał go powoli jakiś jeep jadący z naprzeciwka. Po chwili wyskoczyła z niego dziewczyna i błyskając białymi nogami pod spódniczką, wbiegła do hotelu.

Serce Lowella zabiło szybciej. W jednej chwili dziwił się widokiem dziewczyny, w drugiej przed oczyma stanął mu obraz Ilse, leżącej pod nim nago, kiedy zabierał jej dziewictwo. Zaufała mu, oddała mu swoje ciało, dała mu P. R, a przecież w tym czasie nie miała dla siebie nawet porządnej ubikacji. I w tej chwili on jedzie sobie razem z P. P. mercedesem, prowadzonym przez pieprzonego szofera, a ona tymczasem gnije w grobie. Co za cholerna niesprawiedliwość!

Łzy napłynęły mu do oczu bez ostrzeżenia, serce niemal stanęło i z trudem powstrzymał głośny szloch. Odwrócił głowę. Jego wzrok spoczął na P. E, klęczącym na tylnym siedzeniu samochodu i wyglądającym przez okno. Z trudem zapanował nad sobą i powoli uspokoił oddech.

- Ona była tu z tobą, prawda? - zapytała Elizabeth.

- Tak, w hotelu - odparł i napotkał jej wzrok. Nie dbał o to, że może dostrzec jego łzy.

- I bardzo ją kochałeś?

- Tak - odparł Lowell, zaskoczony mocą swojego wyznania. - Bardzo.

- Kogo kochałeś, papo? - zapytał P. P.

- Twoją mamę, P. P.

P. P. nie interesowała matka, którą pamiętał bardzo słabo.

- A teraz kochasz Tante Elizabeth? - zapytał.

- Dokładnie tak, głuptasku - odparł Lowell.

- Dokładnie? - zdziwił się P. P.

Elizabeth ujęła dłoń Lowella w swoją dłoń w rękawiczce i mocno ją ścisnęła.

Gdy już obejrzeliby z P. P. program bożonarodzeniowy i zrobili zakupy w sklepie żołnierskim - Lowell odniósł wrażenie, że w dziale z zabawkami kupili przynajmniej po jednej z każdego rodzaju - poszli na obiad do ogólnie dostępnej mesy oficerskiej. Elizabeth chciała się upewnić, czy naprawdę tylko Amerykanie potrafią przyrządzać prawdziwe steki. O żadnych innych poważnych osiągnięciach Amerykanów nie chciała jednak nawet słyszeć.

Po drodze do Marburga Lowell, przekonany że w pełni już panuje nad swoimi emocjami, nakazał kierowcy, żeby pojechał na farmę, gdzie kiedyś mieszkał z Ilse.

- Co my tutaj robimy? - zapytał P. P., patrząc na mały budynek mieszkalny.

- Stąd pochodzisz, malutki - odparł Lowell.

- Och, nie, wcale nie!

- Właśnie tutaj ja i twoja mama postanowiliśmy, że będziemy cię mieli.

- To musiało być dawno temu - stwierdził P. P. - Możemy wejść do środka?

- Chyba nie. Teraz mieszka tam ktoś inny. - Lowell gestem nakazał szoferowi, żeby ruszył.

Na drugorzędnej drodze do Marburga P. P. zasnął, ukołyszany ruchem wielkiego samochodu. Elizabeth ułożyła go wygodnie w rogu, po czym przysunęła się do Lowella.

Znowu ujęła jego dłoń.

- Do tej pory bardzo współczułam Ilse - powiedziała. - Teraz jestem trochę zazdrosna.

- A to dlaczego?

- Kochałeś ją - odpowiedziała. - A to o wiele więcej niż było pomiędzy mną a Kurtem.

Właściwie nie zdając sobie sprawy, że naprawdę to robi, Lowell otoczył ją ramieniem i mocno, wkładając w ten gest mnóstwo uczucia, przycisnął do siebie. Potem, o niczym nie myśląc, pocałował ją. Najpierw był to pocałunek delikatny, przyjacielski, jakby zdawkowy. Lecz po chwili stracił całą niewinność i choć nadal był delikatny, stał się bardzo czuły i bardzo podniecający.

- To niebezpieczne - powiedział.

- Czy jedna noc może wyrządzić jakieś zło? - wyszeptła Elizabeth.

Znowu ją pocałował i wcale nie był zdziwiony, kiedy jej język wsunął się najpierw nieśmiało, a potem gwałtownie, do jego ust. Po kilku sekundach przytuliła się do niego całym ciałem, jej piersi mocno naparły na jego klatkę piersiową i po chwili jej dłoń opadła na jego krocze.

Spędzili ze sobą tylko tę jedną noc. Podczas całego świątecznego urlopu Elizabeth nie przysłała do jego pokoju, a kiedy trzy tygodnie później znowu przyjechał do Marburga, od razu dała mu do zrozumienia, że to, co wydarzyło się pomiędzy nimi, było jedynie wybrykiem i już nigdy się nie powtórzy.

Pozostali jednak przyjaciółmi. Inni krewni opowiadali sobie o nich, że są jak brat i siostra, i dodawali, jakie to szczęście, że Amerykanin od Ilse zdaje się rozumieć, iż dla Petera-Paula jest najlepiej, gdy opiekuje się nim Elizabeth, i że to raczej szkoda, że ona i on nie mają się bardziej ku sobie.

Lowell był osobiście rozczarowany, kiedy jego staż dobiegł końca i trafił do Wydzielonej Grupy Lotniczej Dowództwa 7. Armii. Miał nadzieję, że otrzyma przydział do jednej z dywizji, gdzie jego stopień wojskowy dałby mu mocną pozycję w sztabie. Ale właśnie zamiar uniknięcia takiej sytuacji był przyczyną, dla której pozostał w oddziale jako zwykły pilot; nikt nie zamierzał powierzać mu żadnej odpowiedzialnej funkcji.

Wykorzystał jednak swój stopień, by sprawdzić się na nowym, przewożącym czternastu pasażerów helikopterze Sikorsky H-34 Chocktaw, i był pierwszym z nowego naboru pilotów w 7. Armii, któremu pozwolono dowodzić tą maszyną. Przywileju tego na pewno by nie uzyskał, gdyby szef lotnictwa 7. Armii podczas krótkiego wyjazdu służbowego do Stanów nie dowiedział się o majorze Lowellu wielu dobrych rzeczy od samego pułkownika Billa Robertsa.

Swój stopień wykorzystał także po to, by uzyskać skierowanie na dziesięć tygodni do Sonthofen, na wszechstronny kurs pilotowania samolotów. Obecnie miał, jak to nazywano, podwójną specjalizację, i przesłał kopię swoich rozkazów Philowi Parkerowi na Alaskę. Ta podwójna specjalizacja sprawiała, że ich sytuacja trochę się wyrównała; Lowell doganiał Phila, mimo że ten miał upragnione Specjalne Zezwolenie Techniczne. Parker w odpowiedzi wysłał mu kserokopię swojej książki pokładowej. Niewiarygodne, ale mógł pilotować C-119 Flying Boxcars sił powietrznych oraz C-47, wyposażone w płozy. Parker przysłał mu też fotografię, na której całował wypchanego niedźwiedzia polarnego. Lowell z kolei wysłał mu fotografię, na której wysuwał swoją głowę z kartonowej sylwetki marszałka polnego Rommla w pełnym umundurowaniu. Elizabeth dodała jakiś miły upominek, przeznaczony dla pierwszego dziecka kapitana Parkera i pani Parker - dziewczynki.

VI

1

Clayhatchee Springs, Alabama

17 stycznia 1955

Darlene Heatter posprzątała w kuchni, kiedy tylko John poszedł do pracy: umyła talerze, wytarła stół, a nawet przetrła mopem podłogę. Następnie zaścieliła łóżko i odkurzyła salon, po czym ubrała dzieci. Wreszcie sama się ubrała w ładną sukienkę, nie taką odświętną, niedzielną, lecz mimo wszystko elegancką. Nie lubiła wchodzić do kościoła, nawet jeśli akurat nie było mszy, jeśli nie wyglądała elegancko.

Darlene była atrakcyjną kobietą, chociaż niewiele brakowało, by można ją było uważać za pulchną. Miała brązowe włosy i brązowe oczy, ale od czasu do czasu przychodziło jej do głowy, żeby rozjaśnić fryzurę. Jako dziecko była blondynką, ale kiedy zaczęła chodzić do szkoły średniej, jej włosy znacznie pociemniały.

Aby pozostać blondynką, rozjaśniała włosy wodą utlenioną, lecz kiedyś złapała ją na tym matka i powiedziała, że tak robią tylko włóczędzy i kobiety, które wystają pod budkami z piwem. „Jeśli chcesz tak wyglądać - oznajmiła w złości - musisz poczekać, aż wyjdiesz za mąż i opuścisz dom rodzinny. Dopóki żyjesz pod moim dachem, nie będziesz rozjaśniać włosów ani w ogóle robić niczego, co nadałoby ci wygląd taniej dziwki”.

Przypomniała sobie o tej sprzeczce wiele lat później, kiedy była już zamężna i mogła robić z włosami, co tylko chciała - nie rozjaśniła ich jednak. Powiedziała sobie, że jest teraz zamężną chrześcijanką i nie ma większego prawa, by wyglądać jak włóczęga, niż wtedy, kiedy była uczennicą w pierwszej klasie szkoły średniej.

Darlene zawołała dzieci i wpuściła je do starego pick-upa. Był to czerwony ford z czterdziestego siódmego roku, bez tylnej szyby i z pękniętą przednią, z mocno zardzewiałym przedziałem ładunkowym; nawozy sztuczne, które w nim wożono, niemal pożarły metal. Nowy pick-up był tej samej marki. W gruncie rzeczy nie był zupełnie nowy, jednak wcześniej należał do nadzorca Hestia Peanut Mili, który tak naprawę nie używał go do prac rolniczych, zatem przynajmniej wyglądał jak nowy. Nie był ani zużyty, ani pordzewiały, ani nic z tych rzeczy.

Namówiła Johna, żeby go kupił, ale nie sprzedawał starego forda. Powiedziała mu, że i tak nie dostanie za niego dużo pieniędzy (była to prawda, nie mieli szansy dostać tyle, ile był wart, jeśli wziąć pod uwagę czas, pracę i środki, jakie John włożył w jego naprawy i przeróbki), a poza tym powinien mieć na wszelki wypadek jakieś zapasowe auto.

Nie wiadomo, kiedy może okazać się potrzebne, mówiła. John pracował w Rucker, i to, dzięki Bogu, nie jako zwykły strażak, ale jako operator kołowego sprzętu przeciwpożarowego. Nie był to wielki awans, jeśli wziąć pod uwagę jego wysokie kwalifikacje, doświadczenie i staż pracy. Jednak oficjalnie nie wrócił do starej pracy, lecz złożył podanie o przyjęcie do nowej.

Opowiadał Darlene, że to trochę zabawne, ponieważ obecnie pełnił funkcję operatora kołowego sprzętu przeciwpożarowego, choć na miejscu żadnego takiego sprzętu nie było. Przynajmniej sprzętu z prawdziwego zdarzenia. Kiedy ośrodek miał zostać zamknięty na dobre, wyprzedano wszystkie wozy strażackie (jakiś facet z Chicago dał bardzo dobrą cenę i przejechał kawał drogi, żeby je osobiście odebrać). Nowy sprzęt jeszcze nie nadszedł, chociaż armia ogłosiła już na niego przetarg i pewnie w jakiejś fabryce mozolnie go składano. Straż pożarna na placówce miała - dopóki nie nadejdzie nowy sprzęt - gasić pożary, korzystając z kilku zwyczajnych ciężarówek z zamontowanymi pompami wodnymi i kilku prostych polewaczek należących do wojska. John i kilku innych strażaków pojechali do Georgii, do Fort Benning, żeby je odebrać. Wtedy po raz pierwszy John poleciał samolotem.

Kiedy przyjechała do Clayhatchee Springs Church of God, białego budynku posadowionego na ceglanej podmurówce, w środku nikogo nie było. W gruncie rzeczy nikogo się nie spodziewała i raczej byłaby rozczarowana i trochę zakłopotana, gdyby kogoś zastała. Otworzyła drzwi kluczem i wprowadziła dzieci do dużego salonu, niemal błagalnym tonem poprosiwszy je, żeby niczego nie zniszczyły.

Następnie przeszła do kościelnego biura.

Gdy stanęła przed drzwiami, po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że przecież mogli zamknąć biuro na klucz. Dysponowała kluczami do kościoła, a nawet do kuchennych kredensów z jedzeniem (ponieważ była członkinią Komitetu Gościnności i Stowarzyszenia Kobiet Ołtarza), jeśli jednak drzwi do biura zastałaby zamknięte, szczęście by ją opuściło. Nie miała do nich kluczy, ponieważ nie było żadnej przyczyny, dla których mogłaby nimi dysponować.

Drzwi były na szczęście otwarte. A na biurku pastora, na samym środku, stała maszyna do pisania starannie przykryta ceratą.

Miesiąc wcześniej, zaraz po powrocie Johna do pracy, Darlene pojechała na pocztę, żeby odesłać do Sears and Roebuck sztruksowe ogrodniczki, za duże na Johnniego.

Wtedy zobaczyła na tablicy ogłoszenie o naborze cywilnych pracowników. Wisiało tuż obok plakatów FBI z dziesięcioma najbardziej poszukiwanymi przestępcami.

Fort Rucker poszukiwał do pracy maszynistek, sekretarek, stenografek, warunkując przyjęcie na posadę zdaniem egzaminów. Podanie można było złożyć na piśmie albo po prostu zatelefonować na numer, który ktoś zapisał u dołu plakatu jaskrawym pisakiem. Wolne miejsca pracy były od stanowisk GS-1, przez GS-5, aż po stenotypistki.

Darlene zatelefonowała więc i jakaś kobieta z biura personalnego powiedziała jej, że aby zostać maszynistką na stanowisku GS-1 lub GS-2, wystarczy potrafić pisać na maszynie. Jeśli potrafiło się pisać dwadzieścia pięć słów na minutę, można było zostać zatrudnionym jako GS-1. Ale już jeśli pisało się trzydzieści pięć słów na minutę, można było uzyskać stanowisko GS-2. Już po podjęciu pracy można było się nauczyć wielu innych niezbędnych rzeczy.

Darlene długo się nad tym zastanawiała. Przed zamknięciem ośrodka John zarabiał tyle pieniędzy, że obojgu im wystarczyło. Gdyby zatrudniła się jako GS-1, zarabialiby oboje tyle, ile wynosiłyby ich dochody, gdyby oboje mieli stanowiska GS-2. Czyli mnóstwo pieniędzy.

Jedyny problem polegał na tym, że John prawdopodobnie nie chciałby, żeby pracowała. Zapewne powie, że jej miejsce jest w domu, przy dzieciach. Poza tym nie potrafiła pisać na maszynie, co było kolejnym drobnym problemem.

Darlene Heatter usiadła przy biurku pastora i ściągnęła z maszyny ceratowe przykrycie. Następnie wyciągnęła z torby celofanową paczkę z papierem do maszyny, za który zapłaciła w Piggly Wiggly Superette dwadzieścia dziewięć centów, oraz podniszczoną książkę owiniętą w szary papier, którą pożyczyła w obwoźnej regionalnej bibliotece Choctawhatchee: Maszynopisanie od A do Z.

Wkręciła papier w maszynę i starannie ustawiła linię.

Zdażyła w domu przeczytać pierwszą część książki i wiedziała, co powinna robić.

Zawiesiła dłonie nad klawiaturą i bardzo powoli, lecz pewnymi, miarowymi uderzeniami zaczęła pisać: aaa 111 aaa 111 alal alal alal lala lala la.

Szkoła Ogólna Wojsk Lądowych

Fort Riley, Kansas

23 lutego 1955

ZWYKŁY

DOW WOJSK LĄD WASZ DC

0905 21 LUTEGO 1955

DO, D-CA NAZ SZK OG WOJSK LAL I PT RILEY W KANS

1. ZASTĘPCA SZEFA SZTABU WOJSK LĄDOWYCH ZŁOŻY NIEFORMALNĄ WIZYTĘ W SZK OG & W PT RILEY W KANS 26-27 LUT 1955. 2. GENERAL E. Z. BLACK Z WOJSK LĄDOWYCH I TOWARZYSZĄCE MU OSOBY, W TYM JEDEN VIP CYW, DWÓCH OPIĆ I DWÓCH PODOPIC PRZYBĘDĄ PRYWATNYM SAMOLOTEM CYW OKOŁO GOLZ 11.00 CZASU PT RILEY 24 LUT 55 I ODLECĄ Z PT RILEY PRYWATNYM SAMOLOTEM CYW OK GODZ 09.00 CZASU PT RILEY 25 LUT 55.

3. GENERAL BLACK PORAGNIE PODKREŚLIĆ ŻE JEGO WIZYTA JEST NIEFORMALNA. NIE NALEŻY POWT NIE NALEŻY WITAĆ GO ZE ZWYKŁYMI HONORAMI. GEN ŻYCZY SOBIE ABY NORMALNA DZIAŁALNOŚĆ W PT RILEY PRZEBIEGAŁA W TYM CZASIE BEZ ŻADNYCH ZAKŁÓCEŃ. ZARAZEM Z-CA SZ SZT WYRAŻA GOTOWOŚĆ, JEŻELI TAKIE BĘDZIE ŻYCZENIE D-CY SZK OG WOJSK LĄD I PT RILEY I JEŻELI NIE ZAKŁÓCI TO ISTNIEJĄCYCH PLANÓW, UCZESTNICZENIA W UROCZYSTOŚCIACH PROMOCYJNYCH KAND NA CHOR Z GR SZKOL PIL HELIKOPT ROCZNIKA 54 DNIA 24 LUT 55.

4. Z-CA SZ SZT ŻYCZY SOBIE ABY ZAPEWNIĆ JEMU I TOWARZYSZĄCYM MU OSOBOM TYMCZASOWE KWATERY NA JEDEN NOCLEG. POŁOWE KWATERY PRZEJŚCIOWE I TRANSPORT NAZIEMNY WYMAGANE DLA TRZECH (3) CYW CZŁONKÓW ZAŁOGI SAMOL CYW.

5. ZGODNOŚĆ Z PAR 3.(B)1 POPRZEZ PAR 3.(B)16 W ZWIĄZKU Z PROCEDURĄ OPERACYJNĄ NR 1.3 ZOSTANIE ZACHOWANA.

Z ROZKAZU SZEFA SZTABU:

EDWIN W. BITTER, GENERAL MAJOR WOJSK LĄDOWYCH
SEKRETARZ, SZTAB GEN WOJSK LĄDOWYCH

Telegram postawił przed generałem majorem Evanem D. Virgilem, dowódcą Szkoły Ogólnej Wojsk Lądowych oraz Fort Riley w stanie Kansas, kilka pytań, spośród których pierwsze i najpoważniejsze brzmiało: „Czego, do kurwy nędzy, chce tutaj szukać Black?”

Szef sztabu wojsk lądowych poświęca większość czasu Szefom Połączonych Sztabów (jest członkiem tego gremium) oraz prezydentowi Stanów Zjednoczonych, prezydenckiemu gabinetowi i Kongresowi. Zastępca szefa sztabu, który także jest czterogwiazdkowym generałem, poświęca swój czas armii.

W ustalonym porządku rzeczy wścibia jednak nos w szczegóły zarządzania w rzadkich nadzwyczajnych wypadkach. Kiedy już taki wypadek następuje, wiadomo jest, że będą ofiary, i to nie tylko na niższych stanowiskach rządowych, ale także w Kongresie i w Departamencie Obrony.

Od człowieka, który ma prawo nacisnąć guzik atomowy, władza biegnie w dół, poprzez wiceprezydenta i przewodniczącego Izby Reprezentantów, a dopiero na samym końcu tego łańcuszka są wojskowi.

W praktyce wygodnie przyjęto, że jeśli prezydent nie będzie mógł osobiście doprowadzić do wybuchu grzyba atomowego, wtedy rozkaz naciśnięcia guzika, wydany przez czterogwiazdkowego generała lub admirała, będzie musiał wystarczyć, aby przekonać inteligentnych młodych ludzi pełniących służbę na podziemnych stanowiskach bojowych, że mogą i powinni zrezygnować z Procedury Operacyjnej dla Użycia Zastrzeżonej Broni i natychmiast użyć broni nuklearnej, chemicznej lub biologicznej.

Zgodzono się, że taki rozkaz powinien zostać wydany przez najważniejszego rangą czterogwiazdkowego generała lub admirała, który będzie w stanie realizować swoje zadania. Powinien on przekazać rozkaz przez czerwony telefon, łączący dowództwo z tajnymi stanowiskami ogniowymi.

Pierwszą rzeczą, jaką generał zrobił po otrzymaniu telegramu, było wezwanie oficera łączności i poinstruowanie go, aby natychmiast zainstalował w dwóch miejscach - domu gościnnym dla VIP-ów i tajnym bunkrze betonowym - urządzenia do łączności radiotelefonicznej wraz z przyrządami uniemożliwiającymi podsłuch oraz by każde oddzielne łącze dawało możliwość komunikowania się z każdym z siedmiu miejsc, których listę generał mu podał.

Następnie zatelefonował do swoich adiutantów i sierżanta i pogonił ich do pracy. Młodszemu adiutantowi polecił zająć się transportem i kwaterami dla załogi samolotu cywilnego. Sierżant miał przypilnować, żeby dom dla VIP-ów dokładnie przygotowano na przyjęcie zastępcy szefa sztabu wojsk lądowych. Starszego adiutanta uczynił odpowiedzialnym za wydrukowanie programów ćwiczeń promocyjnych dla kandydatów na chorążych z Grupy Szkoleniowej Pilotów Helikopterów 54-6. Nazwisko generała E. Z. Blacka, zastępcy szefa sztabu wojsk lądowych, miało zostać na nich zapisane jako nazwisko honorowego dowódcy ćwiczeń. Przed ich rozpoczęciem dowódca Szkoły Ogólnej Wojsk Lądowych i Fort Riley w stanie Kansas przedstawi zastępcę szefa sztabu wszystkim zgromadzonym.

- I chcę, żeby wszyscy byli na miejscu, odpowiednio przygotowani. Nie życzę sobie bandy przygarbionych klaunów, jak to było ostatnio - rozkazywał dowódca placówki. - Podium ma być ozdobione flagą z czterema gwiazdkami. Nie obchodzi mnie, skąd ją weźmiecie, ma tam być. Wszyscy wystąpią w wyjściowych mundurach, z medalami. Żadnych baretek. Chcę widzieć medale.' Życzę sobie na trybunie wszystkich generałów ze sztabu i powiedz im, że się spodziewam, że przyjdą z żonami.

- Tak jest, panie generale. Rozumiem, o co chodzi.

- I skontaktuj się z tą, jak ona się nazywa, szefową klubu żon oficerów...

- Pani Talley, sir.

- Powiedz pani Talley, co się dzieje, i każ, żeby przypilnowała, aby członkinie jej klubu rzeczywiście wyglądały jak oficerskie żony. Mają się porządnie ubrać. Żadnych byle jakich kiecek. Jeśli to możliwe, niech wystąpią w kapeluszach i rękawiczkach.

- Tak jest, sir.

- No to do roboty, nie mamy zbyt dużo czasu.

O godzinie 10.30 dowódca, jego zastępca i ich żony przybyli na lotnisko Fort Riley. Przejechali wzdłuż długiego rzędu Cessn L-19, używanych do szkolenia pilotów samolotów, oraz wzdłuż długiego rzędu helikopterów Bell H-13, używanych do szkolenia pilotów helikopterów. Młodszy adiutant generała i sierżant byli już na miejscu, kierując ruchem oliwkowych chevroletów sztabowych. Młodszy adiutant sprowadził także jeepa z radiostacją pracującą na częstotliwości wieży kontrolnej lotniska.

O godzinie 10.50 radio w samochodzie ożyło.

- Fort Riley, tu Martin Trzy Zero Siedem. Jestem w odległości trzech minut. Generał Black i osoby towarzyszące na pokładzie. Proszę o zezwolenie na podejście i lądowanie.

- Do diabła, co to za Martin? - zapytał dowódca swojego zastępcę.

Ten jedynie wzruszył ramionami.

- Martin Trzy Zero Siedem, tutaj Fort Riley - odpowiedziała wieża. - Masz zgodę i pierwszeństwo do lądowania na pasie cztery pięć. Wiatr optymalny. Wysokość dwa dziewięć dziewięć. Zamelduj się na podejściu.

- Zrozumiałem, pierwszeństwo na pasie cztery pięć potwierdził pilot samolotu.

Niespodziewanie przy linii samolotów sztabowych przystanął lśniący czarny cadillac. Wysiadł z niego wysoki, sztywno wyprostowany czarnoskóry mężczyzna w szarej marynarce.

- Zobaczcie, kto to jest, do diabła - zarządził generał Virgil.

- Panie generale, to zapewne emerytowany pułkownik Parker - odparł adiutant.

- Ach, rzeczywiście. Czego więc, do diabła, tutaj chce?

Mężczyzna oparł się o zderzak lśniącego czarnego cadillaca, osłonił oczy i popatrzył w niebo.

Wkrótce ukazał się na nim samolot; leciał bardzo nisko i zbliżał się do lotniska z zaskakująco dużą szybkością.

W odległości mili przed pasem startowym zaczął ostro schodzić w dół.

- Riley, tu Zero siedem. Ląduję - dotarło z radia.

- Jezu, to jest przecież B-26 - westchnął zastępca dowódcy.

Samolot, Martin B-26 Invader, dwusilnikowy bombowiec z drugiej wojny światowej, zbliżał się do pasa. Klapy i podwozie miał wypuszczone. Kiedy jego koła dotknęły ziemi, rozległ się głośny pisk i niemal natychmiast ogłuszający huk - to pilot otworzył przepustnice na pełną moc, jednocześnie przestawiając silniki na ciąg wsteczny. B-26 gwałtownie zwolnił i zaczął wykonywać zakręt.

- Riley, Zero Siedem na ziemi, minutę przed pełną godziną. Poproszę o instrukcje kołowania.

- Zero Siedem, pilot jest już w drodze.

W kierunku B-26 wyruszył z dużą prędkością jeep z zamontowanym na dachu napisem FOLLOW ME. Znalazłszy się przed jego nosem, zawrócił, po czym poprowadził eksbombowiec w kierunku linii samochodów sztabowych.

Teraz można było dostrzec napis na jego stateczniku pionowym: TEN NEWBURGH CORPORATION. Obok namalowana była wieża wiertnicza.

Pilot poprowadził samolot na wskazane miejsce i wyłączył silniki. Generał Virgil poprowadził małą procesję ku drzwiom w boku maszyny, które wkrótce się otworzyły.

Zdołał jeszcze zajrzeć do środka, ale niemal natychmiast w luku stanął potężnie zbudowany czarnoskóry sierżant. Jak na swoją tuszę całkiem zgrabnie zszedł po trapie, niedbale zsalutował dwom generałom i powiedział:

- Dzień dobry, panowie.

Następnie otworzył drzwi luku bagażowego i zaczął wyciągać pakunki. Gdy się nachylił, jego bluza mundurowa zadarła się do góry i generał Virgil dostrzegł, że sierżant ma w kaburze za paskiem na plecach Colta model 1911A1.

Wreszcie z samolotu wysiadł generał E. Z. Black. Na głowie miał zwykły beret zamiast czapki noszonej zazwyczaj przez najwyższych oficerów. Beret był lekko przekrzywiony na lewą stronę, zgodnie z tradycją wojsk pancernych.

Generał Virgil zsalutował sztywno, a Black odpowiedział podobnym, lecz bardzo niestarannym, jakby leniwym ruchem.

- Dobrze, że cię widzę, Virgil - powiedział. - Nie musiałeś jednak wyjeżdżać mi na spotkanie. - Uśmiechnął się i skinął w kierunku oficerskich żon. - Witam panie.

Z samolotu wysiedli za nim pułkownik i podpułkownik, a następnie wysoki cywil z siwymi wąsami i wreszcie na końcu młody sierżant z neserem. Także pod jego kurtką mundurową wyraźnie odcinał się kształt pistoletu.

- Generale, czy zna pan generała Younga? - zapytał generał Virgil.

- Tak, oczywiście - odparł Black. - Jak się masz, Young?

W tym momencie coś przyciągnęło jego uwagę. Szybko podszedł do wysokiego, sztywno wyprostowanego czarnoskórego mężczyzny.

- Popatrz tylko, Carson - rzucił przez ramię - wyszedł nam na spotkanie lokalny przedsiębiorca pogrzebowy.

Emerytowany pułkownik Philip Sheridan Parker III wyciągnął rękę na powitanie zastępcy szefa sztabu wojsk lądowych. Zamiast potrząsnąć jego dłonią, Black objął go w niedźwiedzim uścisku.

- Słats, Boże, jak to dobrze znów cię widzieć! - zawołał.

Wąsaty cywil potrząsnął dłonią Parkera.

- Twój samolot napawa mnie trwogą, Carson - powiedział pułkownik Parker. - Kiedy ostatnim razem widziałem taką maszynę, akurat zrzucała na mnie bomby. Powiedzieli, że to przez pomyłkę.

- Byłem tam wtedy z tobą, Phil - odparł Carson Newburgh. - Na przedmieściach Bizerte. Ale teraz nie musisz się bać tego samolotu. Należy do firmy.

Generał Virgil zanotował w myślach - do późniejszego wykorzystania - fakt, że jakiś tam emerytowany czarnoskóry pułkownik ma przyjaciół na bardzo wysokich stanowiskach.

Pułkownik, który nosił insygnia (cztery gwiazdki na klapach kurtki mundurowej i złoty akselbant) adiutanta, podszedł do generała Virgila.

- Generał pragnie wziąć udział w ceremonii promocji chorążych rocznika 54-6 - powiedział. - Chce jednak zjawić się na miejscu dokładnie na początku uroczystości.

- Pozwoliłem sobie, pułkowniku, umieścić w programie ceremonii jego przemówienie do absolwentów.

- Nie sądzę, by generałowi o to chodziło - odparł adiutant. Podszedł do generała Blacka. - Zaplanowano dla pana wystąpienie do absolwentów.

Black zmarszczył czoło, po czym wzruszył ramionami.

- Do diabła - powiedział. - Słats, chcesz, żebym wygłosił przemówienie?

- Wystąpienia pana generała są zwykle bardzo ciekawe.

- Virgil, zamierzam zjawić się w szkole dopiero na samym rozpoczęciu promocji - oznajmił generał Black. Popatrzył na zegarek. - Mamy jeszcze pięćdziesiąt kilka minut. Gdzie się mogę schować do tego czasu? Albo lepiej, gdzie mógłbym się czegoś napić?

- U mnie, sir. Będę zaszczycony - zaproponował zapytany.

- A zatem do baru. Pojadę razem z pułkownikiem Parkerem, jego samochodem. Z resztą spotkam się na miejscu.

Przygotowania do odjazdu zakłócił potężnej postury starszy sierżant, który zdecydowanie utorował sobie drogę do Parkera, nie łamiąc przy tym marszowego kroku. Podszedł do niego, zaszalutował - sztywno, poprawnie, zupełnie inaczej niż dowódcy szkoły - i wyrecytował:

- Panie pułkowniku Parker! Czy pan pułkownik pamięta sierżanta?

Wysoki, wyprostowany mężczyzna oddał pozdrowienie, chociaż z pewnością wiedział, że nie powinien tego czynić w cywilnym ubraniu. Zaraz też wyciągnął rękę do sierżanta.

- Oczywiście, że pamiętam, Tiny. Ale jestem zdumiony, że nie wysłali cię jeszcze na zieloną trawkę.

- Och, cały czas próbują, sir. Ale mam po swojej stronie zastępcę szefa sztabu i jeszcze trochę utrzymam się w grze.

- Wsiadaj z nami, Wes - zaproponował generał Black. Razem wypijemy jednego głębszego na poprawienie krążenia.

- Nie, dziękuję, sir - odparł starszy sierżant Wesley. Później wypiję za zdrowie pana i pułkownika. Na razie muszę spotkać się z Greerem.

- Nie powinien wiedzieć, że tu jesteśmy - zauważył generał Black.

- Do diabła, sir, dobrze pan wie, jak to jest. Cokolwiek się tutaj dzieje, Greer wie o wszystkim, a już na pewno wie, jak na tym zarobić.

- Dobra, dobra, sierżancie. Niech pan robi, co panu poleciłem.

Starszy sierżant Wesley usiadł więc za kierownicą cadillaca.

- Proszę zająć miejsce z tyłu - powiedział do pułkownika Parkera. - Będzie jak za dawnych czasów, kiedy pana woziłem.

Starszy sierżant z neseserem i z czterdziestką piątką w podramiennej kaburze zajął miejsce obok starszego sierżanta Wesleya. Generał Black, pułkownik Parker i wąsaty cywil Carson Newburgh zajęli miejsca z tyłu samochodu. Cadillac odjechał.

- Skontaktujcie się z klubem - polecił generał Virgil swoim ludziom. - Do cholery, ma być otwarty, kiedy Black tam przyjedzie.

- Już przekazałem informację - odparł jego adiutant.

Generał Virgil niecierpliwie odczekał, aż jego żona wsiądzie do samochodu sztabowego, po czym jego auto ruszyło w pościgu za zastępcą szefa sztabu US Army.

Dziesięć minut po dziewiątej następnego ranka, pięć minut po obejrzeniu startu B-26, Virgil zatelefonował do swojego kumpla z tego samego rocznika United States Military Academy, obecnie pełniącego funkcję asystenta zastępcy szefa sztabu do spraw personalnych.

- Howard, właśnie miałem u siebie nadzwyczaj ciekawego gościa.

- Słyszałem, że się tam wybierał. A po co właściwie?

- Słyszałeś kiedyś o emerytowanym pułkowniku Philipie Sheridanie Parkerze III?

- Jasne. Chcesz powiedzieć, że ty go nie znasz?

- Wiem, że jest na emeryturze.

- Jego prapradziadek miał już emeryturę wojskową, kiedy Riley walczył na czele kawalerii z Indianami. Parkerowie od bardzo dawna zasilają szeregi armii.

- Wygląda na to, że pozostaje z generałem Blackiem w bliskich stosunkach.

- I to od bardzo dawna. Parker dowodził w Europie batalionem niszczycieli czołgów należącym do Piekielnego Cyrku Porky'ego Waterforda. Black zajmował wtedy jedno ze stanowisk dowódczych. Ale o co ci chodzi? Chcesz wysłuchiwać jakichś historii wojennych?

- Nie. Black przyleciał do mnie z zawołaną aluzją, że chce wygłosić przemówienie do KCPH 56-4.

- Do diabła, co to takiego?

- Sierzanci, których uczymy latać i awansujemy na chorążych.

- Aha. Miał jakiś szczególny powód?

- Nad wyraz zainteresował się jednym z nich, chłopakiem o nazwisku Greer. Zaprosił go na kolację do klubu, a potem przez całą noc imprezowali w domu gościnnym dla VIP-ów, razem z sierżantami Blacka, tym potężnym ordynansem i facetem z pistoletem i teczką. Jakaś bardzo intymna sprawa.

- Bardzo interesujące - powiedział asystent. - Dowiem się, kto to taki.

- Cóż, uznałem, że sprawa może cię zainteresować.

- Dzięki, Evan.

- Pamiętaj czasami o mnie.

Asystent zastępcy szefa sztabu do spraw personalnych poprosił o rejestr przebiegu służby młodszego chorążego Edwarda C. Greera. To, co znalazł w aktach, bardzo go zainteresowało. Chłopak miał zaledwie dwadzieścia lat. Aby mógł zacząć szkolenie w szkole pilotów, potrzebował, ze względu na młody wiek, specjalnej zgody. Aplikując do Programu Kandydatów na Chorążych, był starszym sierżantem. Takich sierżantów w wieku dwiętnastu lat również było niewielu, co samo w sobie stanowiło interesujące zagadnienie. Nie było też wielu starszych sierżantów, którym rząd francuski zamierzałby przyznać Croix de Guerre. Departament Stanu nie wyraził zgody na przyjęcie przez Greera tego odznaczenia, jednak prośba Francuzów pozostawała w jego aktach.

Wyczytał dalej, że młodszy chorąży Greer został przydzielony na staż do kompanii helikopterów w Korpusie Transportowym.

Zatelefonował do pułkownika Williama Robertsa w Fort Rucker w Alabamie i zapytał go, czy mógłby przyjąć do siebie raczej niezwyklego chorążego, bezpośrednio po szkole pilotów helikopterów. Roberts odpowiedział, że nie mógłby.

Podpowiedział mu jednak, że młodzieńcem mogłaby być zainteresowana Agencja Rozwoju Lotnictwa Wojskowego.

Ta nazwa zagrała w umyśle asystenta znajomym akordem. Odłożył teczkę i zaraz sobie przypomniał, kiedy ostatnio miał do czynienia z Agencją. Otóż Agencja zupełnie niedawno posłała podpułkownika (miał wkrótce awansować) Roberta F. Bellmona na trochę spóźniony kurs pilotów helikopterów, przeznaczony dla starszych oficerów.

Kurs odbywał się w fabryce Bella.

Samo w sobie było to niezwykle. Ale niezwykle był też Bob Bellmon. Był zięciem Porky'ego Waterforda. Był jeńcem wojennym w Niemczech. Teraz wszystkie powiązania zaczynały się krystalizować. Poleciał więc swojej sekretarce, aby anulowała wszystkie rozkazy

Greera i wystawiła nowe, przydzielając go do Agencji Rozwoju Lotnictwa w Fort Rucker w Alabamie, na podstawie jego osobistej decyzji.

Był zadowolony. Mógł teraz wysłać generałowi Blackowi, zastępcy szefa sztabu, osobistą notatkę, w której zamierzał wyrazić przypuszczenie, że generał będzie zadowolony z nowego przydziału dla młodszego chorążego Greera.

Generał Black rzeczywiście okazał zadowolenie. Z jego punktu widzenia po prostu jeden z dupków, którzy pierdzieli w stołki w dziale personalnym, wreszcie podjął sensowną decyzję, poznał się na możliwościach chłopaka i - może nawet jako rekompensatę za Croix de Guerre, którego nie pozwolono mu przyjąć - umieścił go na właściwym stanowisku.

Zadowolony był też młodszy chorąży Greer. Od przydziału do kompanii helikopterów w Korpusie Transportowym lepsze było dosłownie wszystko.

No i zadowolony był pułkownik William Roberts. Jeśli przyszły pułkownik Bob Bellmon czegoś nie potrzebował, sam ledwo co przed dwoma tygodniami ukończywszy szkołę pilotów helikopterów, to był to właśnie pilot zbyt młody, żeby uczestniczyć w wyborach, pilot, który nauczył się latać jeszcze później niż on sam.

Pułkownik Roberts uważał, że jest jeszcze wiele interesujących rzeczy, które będzie mógł w przyszłości zrobić dla Boba Bellmona. Wysłanie niekompetentnego żółtodzioba, by pracował dla innego niekompetentnego żółtodzioba, było zaledwie przygrywką.

3

Pierwsze słowa, jakie wypowiedziała Barbara Bellmon w restauracji hotelu Dothan do swojego męża, kiedy spotkała się tam z nim po obejrzeniu okolicy pod kątem możliwości zamieszkania w jakimś wygodnym domu, brzmiały:

- Teraz wiem, jak musiała się czuć babka Sage, kiedy przyjechała do Fort Dodge.
- Co ci się tutaj nie podoba?
- Brakuje tylko wrogo nastawionych Indian - odpowiedziała Barbara.

Babka Sage była właściwie jej praprababcią. Była wysoką, chudą, zylastą i łykowatą kobietą, która dożyła siedemdziesięciu dziewięciu lat. Karmiła swoje wnuki opowieściami o tym, jak się żyło na świecie, kiedy była młodą żoną oficera kawalerii w czasach wojen z Indianami. Część jej opowieści zawierała nawet prawdę.

- No i co robimy? - zapytał Bellmon.

Znaczyło to „co postanowiłaś?”, podział obowiązków pomiędzy nimi oddawał jej bowiem całkowite prawo do samodzielnego decydowania w kwestiach mieszkaniowych.

Miała zresztą do tego smykałkę i Bellmon nie narzekał.

- Myślałam o przyczepach campingowych.

- O Jezu! -jęknął Bellmon, za co otrzymał pełne potępienia spojrzenie kelnerki, która zjawiała się przy ich stoliku, żeby przyjąć zamówienie. - Jest aż tak źle? - Skierował swoją uwagę na kelnerkę. - Napijesz się jeszcze? - zapytał jednak żonę, a gdy ta potrząsnęła przecząco głową, zamówił: - Gin z tonikiem i z podwójną goryczką.

- Z czym? - zdumiała się kelnerka.

- Chodzi mi o podwójny dodatek goryczy - wyjaśnił. Lubię gin z tonikiem o takim smaku.

- Sprawdzę, co się da zrobić. Ale wątpię, żebyśmy mieli coś takiego.

- Jeśli nie macie, to trudno.

- Witamy w pipidówce - powiedziała Barbara cicho, kiedy kelnerka nie mogła już jej usłyszeć.

- Chyba nie mówiłaś poważnie o przyczepie campingowej, co? - zapytał Bellmon.

- Już sama nie wiem, co tutaj jest poważne. Jestem naprawdę przerażona. Tutaj naprawdę nie ma żadnych możliwości, żeby normalnie zamieszkać, i kropka.

- Ale przyczepa?

- Przyczepy - poprawiła Barbara. - W liczbie mnogiej. Potrzebujemy dwóch.

- Nie, to niepoważne. Naprawdę sugerujesz, żebyśmy wynajęli dwie przyczepy campingowe?

- Lepiej kupmy. Kosztują po dziesięć tysięcy sztuka, przynajmniej te najporządniejsze. A my potrzebujemy dwóch, wydamy więc około dwudziestu tysięcy.

- Dlaczego dwóch?

- Bo mamy dzieci. A może już o nich zapomniałeś? I jeżeli nie chcesz, żeby któreś, albo oboje, spali razem z nami w łóżku, potrzebne są nam dwie przyczepy.

- Myślałem, że produkują takie duże...

- Mam właśnie na myśli duże. Małe są dla par świeżo po ślubie.

- I nie ma tutaj żadnych domów?

- Chodzi o to, że wszyscy w okolicy chcą doić pieniądze z żołnierzy. Domy, które byłyby tu dostępne, są albo byle jakie, albo niemiłosiernie drogie, albo i to, i to.

- A jakiego domu potrzebujemy?

- Z czterema sypialniami.

- Dick i Billy mogliby mieszkać razem.

- Dobrze, mogą być trzy sypialnie, jeżeli chcesz, żeby nasze dzieci się znienawidziły.

- Chcę - westchnął Bellmon. - Możesz mi wskazać taki dom?

- A co powiesz o domu z sześcioma sypialniami? Natrafiłam na dom sprzed wojny secesyjnej, który moglibyśmy wynająć za sześćset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Ma sześć sypialni. Nie ma klimatyzacji. Sądzę, że dawno temu to kolorowi wachlowali pana i panią.

- Sześćset pięćdziesiąt dolarów za miesiąc? - zapytał Bellmon. - To jest cholernie dużo pieniędzy!

- Też tak uważam - stwierdziła jego żona z sarkazmem. - Ale wolałam, żebyś ty to potwierdził.

- Gdzie to jest?

- Przy Broad Street. W Ozark.

- Pozwól, że dopiję mój gin, a potem pojedziemy zobaczyć ten dom.

- Bardzo rzuca się w oczy, Bob. Wygląda jak Tara z Przemineło z wiatrem. I będzie robił wielkie wrażenie na żonach oficerów.

- Niby dlaczego?

- „Gdybym uważała, że znajdę kogoś, kto kupi dzieci, jestem wystarczająco zdesperowana, żeby płacić sześćset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie za rezydencję” - zacytowała Barbara.

- Och - westchnął Bellmon i przez dobrą minutę rozmyślał w milczeniu. - Do diabła, kochanie, jestem pułkownikiem, albo będę nim w przyszłym tygodniu, i pewnie jeśli wynajmiemy ten dom, będą o nas tyle samo gadać, jeśli byśmy wynajęli albo kupili dwie przyczepy campingowe.

- Boże, cieszę się, że to usłyszałam.

- Dlaczego?

- Ponieważ teraz mogę ci powiedzieć, że dałam pewnemu człowiekowi... a ten człowiek jest burmistrzem Ozark i prawnikiem, i pośrednikiem sprzedaży nieruchomości... dałam mu już zaliczkę.

Niechęć Bellmonów, aby wynająć starą rezydencję za sześćset pięćdziesiąt dolarów na miesiąc, wcale nie wynikała z ceny, chociaż kwota ta niemal trzykrotnie przekraczała to, co pułkownik Bellmon otrzymywał jako dodatek mieszkaniowy. Bellmonowie uważali siebie za ludzi „wygodnych”. Większość ich znajomych, gdyby miała pojęcie o ich nieruchomościach i inwestycjach, uważałaby ich za majątnych. Stwarzałoby to niezręczną sytuację w wojsku,

gdzie oficerowie żyli od jednej wypłaty do drugiej, dlatego Bellmonowie bardzo się starali, żeby nikogo nie kłuć w oczy bogactwem.

W drodze do Ozark (jechali buickiem Barbary; podpułkownik Bellmon dojeżdżał do pracy volkswagenem) opowiedział jej o chorążym Greerze.

- Przydzielono mi dzisiaj nowego pilota helikopterów.

- Naprawdę?

- Za sprawą interesującego zbiegu okoliczności jest to ten sam sierżant, były sierżant, który był z MacMillanem i Sandym Felterem w Dien BienPhu.

- Jak do tego doprowadziłeś?

- Nic w tej sprawie nie robiłem. To robota Billa Roberts'a.

- To bardzo miło z jego strony - zauważyła Barbara.

- To żadna przysługa. Raczej otwarta drwina.

- Wyjaśnij mi to.

- Poprosiłem o doświadczonego pilota helikoptera, chorążego, kogoś przynajmniej z doświadczeniem z Korei. Ja potrzebuję eksperta, kochanie, a nie dzieciaka, który właśnie ukończył szkołę pilotażu.

- Aha. - Barbara zrozumiała.

- To jest pierwszy strzał w Fort Sumer. Wkrótce wybuchnie otwarta wojna.

- Dlaczego?

- Ponieważ Roberts wie, jakie zagrożenie stanowią dla establishmentu lotnictwa. A jest wystarczająco dobrym żołnierzem, by wiedzieć, że najlepszą obroną jest atak.

- Myślałam, że mimo wszystko jesteście przyjaciółmi.

- Byliśmy, kiedy byłem czołgistą i Robert próbował sprzedać lotnictwo wojskom pancernym, jako bardzo potrzebne im narzędzie. Kiedy tylko przypiąłem skrzydełka, stałem się zagrożeniem, poważnym rywalem w walce o kontrolę nad lotnictwem, a tego on nie może tolerować.

- Nie rozumiem tej rywalizacji.

- Roberts mnóstwo czytał na temat rewolucji. Rozumie, że po zwycięskiej rewolucji stawia się jej przywódców pod ścianami i rozstrzeliwuje.

- To chyba trochę za mocno powiedziane, nie uważasz?

- Każdy oficer pragnie przede wszystkim władzy. Roberts boi się, że po całej robocie, jaką włożył w przekonanie przełożonych, że lotnictwo jest armii niezbędne, dowódcy postawią na nowych ludzi. Na przykład na mnie.

- Ma rację?

- Obecnie Zarząd Lotnictwa robi furorę. Ma mnóstwo pieniędzy, mnóstwo ludzi i wkrótce kupi dużo nowych samolotów oraz wszystkiego tego, co łączy się z takim zakupem. Zdjęcia tych ludzi są w gazetach. Ale, i Bill Roberts jest na tyle inteligentny, że sobie z tego zdaje sprawę, ja mam pewne wpływy. To raczej ja będę decydował, co lotnictwo zrobi ze sprzętem, a potrafię postawić na swoim. Roberts wie, inaczej mówiąc, że w chwili obecnej jego rola została już ograniczona do pobocznej, pomocniczej.

- Jakim cudem stałeś się taki ważny? - zapytała Barbara z lekkim sarkazmem.

- Dowodziłem batalionem - odparł jej mąż. - A wysocy przełożeni ufają ludziom, którzy dowodzili dużymi jednostkami. Nie ufają natomiast lotnikom. Nie traktują ich poważnie.

- Czy to jest sprawiedliwe?

- Sprawiedliwe? Po prostu tak jest. Klub Pilotów z Cincinnati ma tylko jedną szansę, aby utrzymać kontrolę nad lotnictwem i zachować jak najwięcej z dotychczasowego stanu posiadania: zdyskredytowanie mnie i ludzi takich jak ja. Spróbuje przekonać przełożonych, że nie można przekazać uprawnień decyzyjnych w ręce zupełnie świeżych lotników, ponieważ tak na dobre nie wiemy jeszcze, co właściwie powinniśmy robić.

- A kto ma rację?

- To właśnie jest zagadka, Barbaro. Obaj mamy rację. Nie sądzę, żeby piloci wiedzieli, czego potrzeba wojskom walczącym na ziemi i jakie środki są niezbędne, żeby mógł funkcjonować batalion, ponieważ nigdy ich tam nie było. I ci sami ludzie nie sądzą, żebyśmy my wiedzieli, czym są samoloty i co one potrafią, ponieważ nigdy nas tam nie było.

- I co się stanie?

- Kłania się Darwin. Przetrwają najsilniejsi. Po długiej, wyniszczającej wojnie.

- A więc ty wygrasz - powiedziała Barbara z przekonaniem.

- Nie jestem tego do końca pewien. Właściwie nie jestem do końca pewien, że powinienem wygrać.

- Weź przykład z Maca. Zaufaj jego instynktowi.

- Co to niby ma znaczyć?

- Mac jest legionistą w falandze. Wojownikiem z natury. Nigdy nie stawia sobie żadnych filozoficznych pytań. Po prostu zawsze uparcie podąża za tym oficerem, który pozwala mu przetrwać i zwyciężyć w walce, do której został posłany. A jest przecież przydzielony do twojej armii.

- Być może.

- Pamiętam, byłam już wystarczająco dorosła, kiedy tato, I. D. White i Creighton Abrams zostali przeniesieni z kawalerii do wojsk pancernych - powiedziała Barbara. - Wszyscy twierdzili, że ich kariery praktycznie się skończyły. A teraz ty tak myślisz. Oni nie mogli walczyć w ostatniej wojnie na koniach, a w następnej prawdopodobnie nie będzie można walczyć w czołgach albo wysyłać do boju spadochroniarzy. Odpowiedzią na wyzwania współczesnej wojny jest lotnictwo i ty doskonale o tym wiesz, a przy okazji wiesz także, że właśnie ty jesteś facetem, który ma kwalifikacje, by sobie wyobrazić, jak się należy do takiej wojny przygotować. W przeciwnym wypadku nie otrzymałbyś obecnego stanowiska.

- Zastanawiałaś się kiedyś nad karierą w WAC*?

- Wolę jednak stać z boku, w kapeluszu z wielkim rondem i z różą w zębach - odparła Barbara.

Wskazała mężowi, gdzie ma zaparkować - przed biurem Howarda Duttona na Courthouse Square w Ozark - dokładnie naprzeciwko pomnika konfederatów, tyle że po drugiej stronie jezdni. Następnie oboje weszli do biura Duttona, gdzie spotkali jego córkę Melody i wypili po filiżance kawy. Następnie przeszli na Broad Street, gdzie Howard Dutton pokazał pułkownikowi Bellmonowi stary budynek Fordham, pusty od pięciu lat, który zamierzał teraz wynająć Bellmonowi za sześćset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

* WAC - Women's Army Corps, kobiece jednostki pomocnicze US Army (przyp. tłum.).

VII

1

Frankfurt nad Menem, Niemcy

17 kwietnia 1955

Zgodnie z przepisami major Craig W. Lowell po zakończeniu rocznego stażu został oceniony w specjalnym raporcie na temat swej przydatności do służby w lotnictwie. Nie był to entuzjastyczny raport i nie mógł mu przynieść wiele dobrego. Głosił on, że Lowell wykonywał ciężące na nim obowiązki wzorowo i w znacznym stopniu podniósł swoje umiejętności i wiedzę lotniczą. Piloci podczas stażu mieli obowiązek „w znacznym stopniu podnosić swoje obowiązki i wiedzę lotniczą”. Większość z nich bardzo się starała.

W raporcie napisano ponadto: „W zakresie, w jakim przedmiotowy oficer wykonywał zadania w okresie stażowym, nie wymagano od niego pełnienia funkcji dowódczych. W związku z powyższym oceniany oficer nie był w stanie zwiększyć swoich umiejętności dowódczych ani dać podstaw do żadnych opinii, które odnosiłyby się do potencjalnych umiejętności przedmiotowego oficera dowodzenia w walce, zarówno na obecnym, jak i wyższym stanowisku”.

W gruncie rzeczy raport o przydatności do służby głosił, że Lowell może pełnić służbę przez kolejny rok i najprawdopodobniej ani się w helikopterze nie zabije, ani nie wpadnie w kłopoty.

Major Craig Lowell doszedł do wniosku, że stał się taksówkarzem dla wyższych dowódców. Nie zbliżył się ani na krok do możliwości wykonywania jakichś naprawdę poważnych zadań. Nie istniał żaden powód, dla którego nawet podporucznik, chociażby sześć miesięcy po ukończeniu szkoły pilotów, nie mógł wykonywać takich zadań, jakie stawiano przed nim obecnie.

Dowódcy raczej unikali latania z podporucznikami. Co ważniejsi z nich dawali to nawet jasno do zrozumienia. Czuli się bardziej komfortowo, gdy transportowali ich doświadczeni kapitanowie i majorowie, a nawet podpułkownicy.

Z kolei Lowell był przekonany, że pilot im jest młodszy, tym lepszy. Przygotował studium sztabowe (do podpisania przez Billa Roberta; jego własny podpis uczyniłby

dokument bezwartościowym) z propozycją, aby pięćdziesięciu podoficerów, nie starszych niż osiemnastoletni, spełniających podstawowe wymogi OCS w zakresie potencjału fizycznego i umysłowego, zostało posłanych do szkoły pilotów w celu wyszkolenia ich na chorążych - pilotów helikopterów. Obecna praktyka polegała na tym, że do szkoły pilotów wysyłano podoficerów mających za sobą długą i pełną poświęceń służbę, wyłącznie sierżantów, zasadniczo w wieku dwudziestu ośmiu, trzydziestu lat.

Przebieg służby pięćdziesięciu młodziutkich pilotów mógł teorię Lowella potwierdzić lub ją podważyć.

Roberts odpowiedział mu, że studium sztabowe spowodowało w Pentagonie niemal powszechny szal, szczególnie w Korpusie Transportowym, którego najważniejszy oficer, szef transportu, zupełnie niedawno wygrał wielką zażartą potyczkę o to, by do transportowych kompanii samolotowych i lotniczych dołączyć Beauery L-20 i Chocktawy H-34, wzmacniając je podobnie jak kompanie transportu kołowego, i otwarcie oznajmił, że nie chce, by zgraja nastoletnich chorążych latała sobie jego maszynami. Studium sztabowego oficjalnie jednak nie odrzucono. Przez cały czas „było analizowane”. Plotka głosiła, że studiuje je osobiście sekretarz obrony.

„Kiedy nieuchronnie sprawisz, że zostaniemy zestrzeleni i zginiemy w płomieniach, Lowell - pisał do niego Roberts - będzie to bardzo spektakularne zestrzelenie”.

Dzisiaj, dowodząc lotem ośmiu Belli H-13, Lowell przeleciał nad autostradą z Heidelbergu do lotniska Rhine-Main niedaleko Frankfurtu, gdzie miało nastąpić tankowanie.

Zaraz po tankowaniu helikoptery przecięły Frankfurt, przeleciały nad głównym dworcem kolejowym i skierowały się wzdłuż Erschenheimer-Landstrasse ku rozległej zielonej przestrzeni przed wielką zaokrągloną fasadą dawnego budynku I. G. Farben, a obecnie Dowództwa Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych w Europejskim Teatrze Działań.

Siedem helikopterów Bell H-13 leciało kolejno za Lowellem, tworząc na niebie kształt litery V. Każdy z nich leciał dwieście stóp za i sto stóp ponad helikopterem poprzedzającym. Zamierzali specjalnie dać pokaz sprawności, niespodziewanie i dosłownie równocześnie spadając z nieba, aby zabrać na pokłady wizytującego kwaterę jednogwiazdkowego generała i całą watahę pułkowników oraz niższej rangi przydupasów, żeby ich przewieźć do Heidelbergu, do Dowództwa Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych w Europie.

- Dobra nasza - powiedział major Lowell do mikrofonu - a teraz tylko zrobmy to porządnie.

Wykonał ostry skręt w lewo, mając wzrok utkwiony w białą literę H na lądowisku. Wyprostował maszynę, przez chwilę opadał niemal jak kamień, po czym dał sygnał świetlny i

niespodziewanie łagodnie dotknął ziemi. Popatrzył dookoła przez pleksiglasową obudowę kabiny. Sześć z siedmiu helikopterów było już na ziemi. Siódmy zbliżał się do niej bardzo powoli, jak człowiek, który chciałby się wykapać, ale musi sprawdzić temperaturę wody w basenie.

Zawsze jakiś sukinsyn musi się spóźnić, pomyślał Lowell i przystąpił do wyłączania silników maszyny.

W kierunku jego helikoptera natychmiast ruszył biegiem wysoki, całkiem przystojny oficer, z lśniąca gwiazdą przypiętą do czapki starego modelu. Nie widywało się ich już wiele; generałowie nosili teraz nowe oliwkowozielone mundury, których czapki miały na górnej powierzchni złotą „jajecznicę”, czyli oznaki stopnia. Naturalnie wyglądały bardziej „generalsko”.

Lowell nie spodziewał się pasażerów przynajmniej w ciągu najbliższych pięciu minut. Ale natychmiast wypiął się z pasów, wyskoczył z helikoptera, przebiegł pod wciąż obracającymi się łopatami wirnika i jedną ręką przytrzymał przed młodym generałem drzwi pasażera, podczas gdy drugą zsalutował.

Generał zmierzył go wzrokiem i wsiadł do helikoptera.

Zanim Lowell wrócił do kabiny, zdążył już znaleźć i włożyć na głowę słuchawki z mikrofonem.

- Jestem major Lowell, sir - powiedział. - Czy przypadkiem się spóźniliśmy?

- Nie. Przylecieliście trzydzieści sekund wcześniej. Ten numer z nurkującymi gołębiami był bardzo spektakularny. Zawsze w taki sposób lądujecie czy tylko wtedy, kiedy chcecie robić wrażenie na pasażerach?

- Cały czas to trenujemy, sir. Po to, żeby robić wrażenie na pasażerach.

- Ale jeden z gołębi się spóźnił - zauważył generał. - Zauważył pan?

Pozostali piloci zgłaszali się do Lowella, podając swoje numery i gotowość do ponownego wzbicia się w powietrze:

Pięć. Dwa. Siedem. Cztery. Trzy. Sześć.

Wszyscy byli na miejscu. Lowell więc wystartował i zatoczywszy niewielkie koło, znowu był wysoko w powietrzu.

W lusterku dostrzegł, że pozostałe helikoptery wystartowały natychmiast po nim. Doskonale. Doskonale. Generał oczywiście tego nie zobaczył. Jedyne tego drania, który się spóźnił.

- Uśmiecha się pan - powiedział generał. - Zapewne znaczy to, że reszta pańskich ptaszków podniosła się z ziemi we właściwej chwili i we właściwej kolejności.

- Tak jest.

- Spóźnialski też?

- Tak, sir.

- A teraz, skoro już jesteśmy w powietrzu, nie sądzi pan, że dobrze byłoby mnie spytać, dokąd chcę lecieć? - zapytał generał.

- Poinformowano mnie, że miejscem przeznaczenia jest Heidelberg, sir.

- Nastąpiła zmiana planów. Chcę lecieć do Bad Godesberg. Dotrze pan tam bezpośrednio czy będziemy musieli po drodze tankować?

- Mamy dość paliwa do Bad Godesberg i jeszcze rezerwę na trzydzieści minut lotu - odparł Lowell.

Nacisnął przycisk mikrofonu i poinformował kontrolę lotów w Rhine-Main o zmianie planu lotu.

- Ten numer z nurkującym gołębiem robi wrażenie - powiedział generał, kiedy Lowell skończył. - Czy to mogłoby mieć wojskowe zastosowanie, czy jest wyłącznie układem na pokaz?

- Jeśli może pan sobie wyobrazić, że każda z tych maszyn może zabrać ośmiu w pełni uzbrojonych żołnierzy piechoty, sir, prawdopodobnie także wyobrazi pan sobie, że potrafimy wysadzić na ziemię pluton żołnierzy z podstawowym zapasem amunicji mniej więcej w czasie, w którym załadowali się pańscy ludzie, sir.

- I stwierdzi pan jeszcze, że każdą z tych maszyn mógłby pilotować nastoletni chłopak, tak?

Te słowa zaskoczyły Lowella tak bardzo, że popatrzył na generała.

- Tak, sir, myślę, że mógłby.

- A zatem jest pan jednym z akolitów Billa Robertsa? - zapytał generał.

- Nie uważam siebie za akolitę, sir, przynajmniej nie bardziej niż ksiądz uważa się za akolitę swojego biskupa.

Generał się roześmiał.

- A zatem słyszał pan o nastoletnich pilotach, co?

- Udało mi się pomóc biskupowi w skonstrowaniu apelu do niebios, sir.

- To sugeruje, że pan jest jego autorem - zauważył generał. Lowell milczał. - Napisał pan to czy nie? - zapytał generał. - Proszę odpowiedzieć.

- Napisałem, sir.

- A zatem musi pan być jednym z tych świeżych rekrutów, którzy przez ruch w powietrzu chcą zapewnić pokój na ziemi. Kolejnym młodym, inteligentnym oficerem, który rzuca na szalę całą swoją karierę, poszukując Świętego Graala.

Lowell nie ufał sobie na tyle, by teraz zdobyć się na odpowiedź.

- No i co, naszły pana jakieś wątpliwości? - zapytał generał.

- Nie, sir - odparł Lowell i zaraz pomyślał: Pieprzyć to, ten facet i tak nienawidzi lotnictwa armii. - Jestem w lotnictwie armii, ponieważ i tak nie mam przed sobą kariery, którą mógłbym rzucać na szalę. Po drugie, sir, uważam, że jeszcze wielu ludzi całkowicie zmieni nieprzychylną opinię na temat pułkownika Roberta. To on ma rację, a myli się większość jego krytyków.

- Pańska lojalność jest godna najwyższego uznania powiedział kwaśno generał.

Lowell już wiedział, że cokolwiek powie, generał i tak nie przyzna mu racji. Zamilkł więc.

- To było bardzo obrazowe zdanie, prawda? „Kolejny młody, inteligentny oficer, który rzuca na szalę całą swoją karierę, poszukując Świętego Graala” - odezwał się generał po chwili.

Odpowiedź padła, zanim Lowell zdołał się powstrzymać.

- Nie myślałem o tym, sir.

- Ale przyzna pan, że to było obrazowe? Chodzi mi o to, że w tym zdaniu jest więcej klasy niż na przykład w: „Pieprz się, tępaku”. Przyzna mi pan rację?

Lowell musiał się roześmiać.

- Ma pan rację, sir.

- Generał Simmons zawsze miał dar do ubierania myśli w słowa - powiedział generał.

- Zaskoczył mnie powiedzeniem o Świętym Graalu, kiedy mu powiedziałem, że odrzuciłem kandydaturę szefa sztabu 2. Dywizji Pancерnej na stanowisko dowódcy Centrum Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Kiedy Lowell popatrzył na niego z zaskoczeniem, generał się uśmiechnął.

- Jeśli pan jest księdzem, majorze, a Bill Roberts biskupem, ja pewnie muszę być w tym układzie papieżem. - Generał wykonał znak krzyża. - Błogosławię cię, synu - powiedział.
- Idź i nie grzesz więcej.

Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego. Po chwili odezwał się znowu:

- Mam jeszcze dwa pytania, majorze.

- Tak, sir.

- Słyszałem o Lowellu, który z pewnym oddziałem przełamał okrążenie pod Pusan. To był pan, prawda?

- Tak, sir.

- Okay, a więc to mielibyśmy wyjaśnione. Słyszałem już o panu. Następne pytanie. Jak były dowódca czołgu byłego dowódcę czołgu chciałbym zapytać, czy trudno pilotować helikopter?

- Generale, to ciężka robota - odparł Lowell.

- Obawiałem się, że tak właśnie pan odpowie. Zatem w myśl pańskiej tezy im młodszy kandydat na pilota, tym łatwiej będzie go wyszkolić?

- Łatwiej go szkolić, jest w lepszej kondycji psychicznej, ma szybszy refleks i będzie wykonywał swoje obowiązki przez dłuższy czas, co w konsekwencji zmniejszy koszty szkolenia.

- Ostatnie pytanie - powiedział generał. - Chciałbym, żeby znalazł pan trochę czasu i opisał, w jaki sposób można błyskawicznie wysadzić z helikopterów duży pododdział żołnierzy gotów do walki na lądzie. Proszę to przesłać do Rucker, to jest gdzieś w Alabamie, nigdy o tym miejscu nie słyszałem. Proszę napisać na kopercie: „Sprawa osobista”.

- Tak jest, sir.

- Nazywam się Laird - powiedział generał. Przyjaciele mówią do mnie „Scotty”. - Urwał na chwilę. - Może pan do mnie mówić „generale”.

Lowell uśmiechnął się z szacunkiem do generała Lairda. Ten był najwyraźniej zadowolony z własnej elokwencji.

Ktoś już kiedyś powiedział do Lowella: „Może pan do mnie mówić generale”. Nagle przypomniał sobie gdzie i kiedy.

Było to wówczas, gdy po raz pierwszy zobaczył z bliska generała, na boisku do polo w Bad Nauheim. Dawno temu. Jeszcze zanim został oficerem, jeszcze zanim spotkał Ilse. Tym generałem był generał major Peterson K. Porkey Waterford, wówczas dowódca Amerykańskiej Żandarmerii Wojskowej w Niemczech. Z podobnym tekstem zwracał się do innych członków właśnie powstającego zespołu polo, który składał się z generała, dwóch pułkowników i starszego szeregowego Craiga W. Lowella, wkrótce awansowanego z pozycji rekruta na podporucznika, ponieważ „mówcie do mnie «generale»” Waterford chciał koniecznie pokonać w polo Francuzów. Francuzi dopuszczali do rozgrywek jedynie oficerów, a starszy szeregowy Lowell był wówczas najlepszym graczem wśród wojskowych Amerykanów.

W ciągu następnych trzech tygodni Lowell spędzał długie godziny na pisaniu i przepisywaniu swego memoriału Transport plutonu piechoty na pokładach helikopterów.

Nie było to coś, co mógłby wymyślić w pośpiechu. Pomysł ten przyszedł mu do głowy dawno temu (i nie tylko jemu, co gotów był przyznać). Różnica między nim a innymi pomysłodawcami polegała jednak na tym, że Lowell nie tylko o tym myślał. Zachęcony reakcją Billa Roberta na inne swoje pomysły, rozważał problem jako realny i palący, jakby jego realizacja miała nastąpić już jutro. Jedynym teoretycznym elementem w jego propozycji był sam helikopter.

Armia zaczynała właśnie odbierać pierwsze Chocktawy Sikorsky H-34, które mogły - w idealnych warunkach rzeczywiście transportować w przedziale bojowym ośmiu w pełni uzbrojonych żołnierzy.

Jeszcze niezaprojektowany, a tym bardziej niezbudowany helikopter opisany w memoriale Transport plutonu piechoty na pokładach helikopterów zdolny był do przenoszenia w sprzyjających warunkach dwunastu żołnierzy w pełnym uzbrojeniu i dodatkowo pięciuset funtów zaopatrzenia, a maszyna miała wyglądać tak, że żołnierze mogliby ją opuszczać przez drzwi po obu stronach kadłuba.

Lowell grał rolę adwokata diabła, próbując ze wszystkich sił znaleźć w swoim pomysle i projekcie jego realizacji jakiś błąd. W końcu jednak uznał swój memoriał za gotowy. Osobiście przepisał go na maszynie, w pięciu egzemplarzach, tak porządnie (uważał), jak tylko zrobiłaby to prawdziwa maszynistka zachęcona wątpliwymi propozycjami seksualnymi. Do każdego egzemplarza dodał kartonową okładkę i każdy starannie spiął spinaczem do papieru.

Napisanie adresu odbiorcy było dla niego najbardziej emocjonujące i sprawiało mu wręcz rozkosz.

Generał Brygadier Angus C. Laird
Dowódca
Centrum Lotnictwa Wojsk Lądowych
Port Rucker, Alataua 36362
SPRAWA OSOBISTA

W końcu o coś takiego generał brygadier „Scotty” Laird osobiście go poprosił.
Jeden egzemplarz wysłał do Phila Parkera na Alaskę.

Właściwie wysłał mu kserokopię; przypomniał sobie o nim dopiero w połowie przepisywania. Sześć tygodni później otrzymał kserokopię memorandum Transportowanie plutonu piechoty (narciarze) w warunkach arktycznych samolotem U1A Otter, wyposażonym w płozy.

Phil zaadaptował jego pomysł do warunków arktycznych i opisał działania z wykorzystaniem wyimaginowanego samolotu, rodzaju Super Beaver, na bazie czternastomiejscowego DeHauillanda, jednosilnikowego samolotu nieznajdującego się jeszcze na wyposażeniu armii.

Była to jedyna odpowiedź, jaką Lowell kiedykolwiek otrzymał na swoją propozycję. Pułkownik Bill Roberts potwierdził jej otrzymanie, jednak jej nie skomentował.

Generał Laird nie przysłał żadnego potwierdzenia. Po kilku miesiącach Lowell doszedł do wniosku, że Laird po prostu zabawił się jego kosztem, dając młodemu oficerowi nadzieję i skłaniając go do przelania na papier pomysłu, którego nigdy nie miał zamiaru poważnie rozważać. Był gorzko rozczarowany.

Od tego czasu nie robił nic ważnego. Wciąż funkcjonował w Lotnictwie Dowództwa 7. Armii. Otrzymał głupi tytuł „Zastępcy Szefa Specjalnego Działu Misji Helikopterowej”, jednak boleśnie zdawał sobie sprawę, że jest jedynie wykwalifikowanym kierowcą jepepa, transportującym ludzi od jednego punktu do drugiego na pokładzie latającego środka transportu.

2

Dothan, Alabama

10 lipca 1955

Rhonda Wilson Hyde z przyjemnością obejrzała swoje odbicie w lustrze przymierzalni Marinette's Finer Ladies Wear w Dothan. Miała na sobie komplet: biustonosz, majtki i półhalkę, wszystko w czarnym kolorze. Półhalka miała koronki, od brzegu niemal po samą talię. Majtki były prawie całe koronkowe, tak delikatne i przezrzyste, jak to tylko było możliwe. Biustonosz zaś, mimo że wyglądał na równie delikatny jak majtki, był naprawdę mocny, by dobrze podtrzymywać piersi. Mimo to był zaskakująco wygodny, a przy okazji zaskakująco drogi, nawet jak na Martinette's Finer Ladies Wear.

Kiedy rozpakowała bieliznę z zapieczętowanego pudełka - co oznaczało, że musi ją kupić - gotowa była przyjmować zakłady, że cienkie ramiączka będą się boleśnie wpijały w ramiona. Pomyślała też, że plastik, czy cokolwiek to było, który wypychał półmisco (ich góry były otwarte; każdy, kto spojrzałby na jej sukienkę z góry, mógłby zobaczyć brodawki piersi), będzie się boleśnie wrzynał w ciało pod biustem. Tak jednak nie było. Biustonosz był wygodny jak żaden z tych, które dotąd nosiła. I bardzo seksowny!

Lecz jeśli Tom się zaraz nie zjawi, jak zapłaci za tę bieliznę? Doc się wścieknie, jeśli dostanie z Martinette rachunek na siedemdziesiąt dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów plus podatek. Znowu powie, że dentyści nie mają maszyn do drukowania pieniędzy.

Odwróciła się i tym razem zerknęła w lustro ponad ramieniem. Czarny pasek biustonosza na jej białym ciele był rzeczywiście bardzo seksowny.

Niespodziewanie ktoś zapukał do drzwi przymierzalni i natychmiast nacisnął na klamkę. Drzwi były jednak zamknięte na zasuwkę.

- Pani Hyde, telefon - powiedziała sprzedawczyni. Chyba pani mąż.

Dobry Boże, żeby to jednak nie był Doc. Powinna być w tej chwili z matką, a matka miała podobno jakieś nieokreślone kłopoty z plecami. Odsunęła zasuwę i w szparze między framugą a drzwiami ukazała się dłoń ze słuchawką.

- Halo? - odezwała się Rhonda Wilson Hyde, przyłożywszy słuchawkę do ucha, wolną ręką z powrotem zamykając drzwi.

- Możesz rozmawiać? - zapytał Tommy Z. Waters.

- Cześć, kochanie - odparła. - Już prawie skończyłam. Powinnam być w domu mniej więcej za godzinę.

- Jestem w motelu niedaleko - powiedział Tommy Z. Waters.

- Interesujące! Pośpieszę się.

Już bez zbędnych słów Tommy Z. Waters odłożył słuchawkę.

- Do widzenia, kochanie - powiedziała Rhonda Wilson Hyde do głuchego telefonu, a potem uchyliła drzwi przebieralni na tyle, by wysunąć na zewnątrz rękę ze słuchawką.

Kiedy sprzedawczyni odebrała aparat, Rhonda ponownie zasunęła zasuwę, żeby ta nie mogła „przypadkowo” wejść do środka. Zamierzała wyjść ze sklepu w czarnej bieliznie i nie chciała, żeby sprzedawczyni o tym wiedziała. Schowała własny biustonosz i majtki do pudełka, a za zakup pośpiesznie zapłaciła w kasie gotówką.

Właścicielem Downtowner Motel, położonego niedaleko sklepu, była Korporacja Downtowner, w której udziały mieli trzej lekarze, prawnik (Howard Dutton) oraz biznesmen Tommy Z. Waters.

Po pięciu minutach od chwili, kiedy odłożyła słuchawkę, Rhonda Wilson Hyde przestąpiła przez próg pokoju w motelu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Zawsze się boję, że ktoś zobaczy, jak tutaj wchodzę powiedziała, opierając się o drzwi.

Nie odpowiedział. Przejście przez parking należący do Downtowner Motel było skrótem prowadzącym na parking miejski, położony przy ulicy za motelem. Jeśli ktoś, kogo nie chciało się spotkać, akurat przebywał na parkingu przy motelu albo przez niego przechodził, wystarczyło, nie zwalniając kroku, iść dalej na parking miejski (gdzie wcześniej zostawiło się własny samochód) albo na South Main Street, gdzie znajdowały się sklepy.

Rhonda oderwała się od drzwi i podeszła do lodówki.

Otworzyła zamrażalnik i wyciągnęła z niego schłodzoną szklankę. Wrzuciła do niej dwie kostki lodu, a potem podeszła do komody, na której stało pięć butelek z alkoholem.

Nalała sobie ginu, dodała oliwy z karafki i wymieszała napój palcem.

- Och, tego mi było potrzeba - powiedziała. - Chcesz?

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie.

- Tommy, kochanie, masz przy sobie pieniądze? Nie wzięłam z domu ani centa.

Ale to cię bynajmniej nie powstrzymało przed zrobieniem zakupów, pomyślał. Miała ze sobą trzy pakunki.

Wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów, rozłożył je i wyciągnął w jej kierunku. W wachlarzyku, który przed nią trzymał, było jakieś czterysta dolarów. Pięćdziesiątki, dwudziestki i dziesiątki. Opanowawszy pokusę, żeby zabrać wszystko, Rhonda wyciągnęła dwie pięćdziesiątki.

Bielizna kosztowała prawie tyle samo. To, że płacił za nią Tommy, było absolutnie usprawiedliwione. W końcu nosiła ją dla niego. Doc przecież w ogóle jej nie zobaczy. No, może półhalkę, ale biustonosz i majtki będzie musiała przed nim schować. Jeszcze dostałby jakiegoś ataku! Rhonda była przyzwoitą zameżną kobietą, a przyzwoite zameżne kobiety nie nosiły przecież ani wyzywających biustonoszy, ani przejrzystych majtek, przez które wszystko było widać.

Podziękowała, wsunęła dwie pięćdziesiątki do torebki, po czym powiedziała:

- Muszę skorzystać z łazienki.

Kiedy wyszła, miała na sobie tylko biustonosz i majtki.

Tommy leżał już w łóżku, nagi, z rękami pod głową.

- Podoba ci się? - zapytała. - Właśnie to kupiłam.

- Jezu - powiedział Tommy. - Jezu Chryste!

Podobała jej się jego reakcja i to, co potem nastąpiło. Jego kutas był sztywny. Boże, co za wspaniały kutas! Rhonda usiadła na łóżku, a potem pochyliła się nad Tommym, żeby mógł dosięgnąć językiem jej brodawek.

Później jak zawsze pierwsza poszła do łazienki, ale tym razem, kiedy wróciła do pokoju, była już ubrana.

- Skąd ten pośpiech? - zapytał Tommy.

Rhonda pomyślała, że tak naprawdę znaczy to: „Tylko raz?”

Aż do poprzedniego spotkania Rhonda nigdy nie śpieszyła się bardziej niż on, chyba że była już gdzieś spóźniona.

W gruncie rzeczy to Tommy ją rozczarowywał, uciekając z pokoju, kiedy tylko wyskoczył z łóżka. Trzask, prask, bardzo pani dziękuję. Dokładnie jak Doc.

- Będę chciała iść do pracy w obozie - powiedziała, ostatni raz sprawdzając w lustrze, czy jej makijaż jest w porządku. - Chyba dadzą mi jakieś zajęcie.

- Jakie zajęcie?

- Chcę studiować dietetykę na uniwersytecie - odparła. - Wkrótce otwarcie.

- A co Doc o tym sądzi? - zapytał Tommy Z. Waters.

- Jeszcze mu nie powiedziałam.

Usiadła na łóżku i pocałowała Tommy'ego, dotykając go językiem, żeby nie rozmazać szminki na wargach. Jeszcze dla zabawy pociągnęła go za członek, po czym szybko wyszła z pokoju. Na zewnątrz rozejrzała się, czy nikt jej nie widzi, i poszła do swojego samochodu.

Postanowiła, że jeśli dostanie pracę, skończy z tymi spotkaniami w motelu. I tak zresztą była już nimi zmęczona. Robienie tego z Tommym stawało się już równie nudne, jak robienie tego samego z własnym mężem.

Kiedy zatelefonowali do niej z biura personelu cywilnego w obozie z pytaniem, czy mogłaby jeszcze tego popołudnia stawić się na rozmowę w sprawie pracy, pomyślała, że naprawdę ma szansę ją dostać.

O możliwości pracy po raz pierwszy usłyszała na zabawie noworocznej w klubie oficerskim. Wojskowi lekarze i dentyści wprost przechodzili samych siebie, żeby być miłymi dla swych cywilnych odpowiedników. A samo zaproszenie ludzi, którzy mieszkali w hrabstwie pozbawionym alkoholu, na noworoczne przyjęcie, podczas którego kwaśny burbon z Kentucky sprzedawano po czterdzieści pięć centów za drinka, było jeszcze miłszym gestem. Jeden z oficerów, którzy siedzieli przy stoliku Rhondy, służący w Korpusie Służby

Medycznej, z trudem odrywał oczy od jej cycków. Po południu wypła kilka drinków, co dało jej dość odwagi, by włożyć na zabawę mocno wydekoltowaną suknię.

Doc albo był na tyle tępy, że niczego nie zobaczył, albo po prostu nic go to nie obchodziło, ponieważ - mimo że się zamartwiała, jaka będzie jego reakcja - nie powiedział na temat jej stroju ani słowa. Tymczasem major z Korpusu Służby Medycznej poinformował ją w pewnej chwili, że szpital poszukuje dietetyczek. Rhonda zapamiętała to.

Miała już licencjat z gospodarstwa domowego, zdobyty na University of Alabama, a za sobą mnóstwo kursów z dietyki i żywienia oraz podobnych zagadnień.

Major powiedział, że to nie zależy od niego - gdyby zależało, Rhonda natychmiast otrzymałaby posadę - ale od ludzi z biura personelu cywilnego. To tam przeglądano dokumenty i tam decydowano, czy osoby zgłaszające się do pracy spełniają stawiane przed nimi wymagania formalne.

Rhonda wypełniła więc kwestionariusz (mój Boże, liczył całe sześć stron, a pytano w nim nawet o to, czy miało się konflikt z prawem albo czy było się członkiem jakiejś organizacji politycznej popierającej skrajne ruchy rewolucyjne mające na celu obalenie rządu Stanów Zjednoczonych) i wysłała go pocztą. A pięć tygodni później zatelefonowano do niej.

Funkcjonariuszem biura personelu cywilnego okazała się kobieta, i to chuda kobieta o płaskim biuście, a nie oficer, co w pewnym stopniu Rhondę rozczarowało. Kobiety nie interesują się dobrze ubranymi przedstawicielkami własnej płci; raczej stają się przy nich zazdrosne. Funkcjonariuszka do spraw personelu cywilnego, pani Cawthorn, powiedziała Rhondzie, że stanowisko dietetyczki jest już zajęte, a poza tym Rhonda i tak nie ma odpowiednich kwalifikacji. Rhonda już miała jej odpowiedzieć, że mogła jej to przekazać przez telefon, co zaoszczędziłoby jej niepotrzebnej podróży, ale pani Cawthorn oznajmiła, że miałyby dla niej inną propozycję.

Jednostka zwana Agencją Rozwoju Lotnictwa Wojsk Lądowych szukała urzędnika na stanowisko administracyjne. Rhonda również na to stanowisko nie miała odpowiednich kwalifikacji, ale skoro była absolwentką college'u, mogła się ubiegać o udział w programie stażowym; tak rząd określał program szkolenia absolwentów college'ów bez doświadczenia zawodowego. Mogła rozpocząć pracę jako nie w pełni wykwalifikowana i jeśli po roku próby zostałyby uznana za osobę odpowiednią na stanowisko, awansowałaby na właściwy etat. Pani Cawthorn dodała, że sama nie może zaoferować jej zatrudnienia. Mogła natomiast umówić ją na wywiad z właściwym oficerem, niejakim majorem MacMillanem. Być może w efekcie rozmowy otrzyma swoją szansę.

Pani Cawthorn bezzwłocznie podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła do majora. Major odparł, że może porozmawiać z Rhonda, jeżeli ta zechce się stawić w jego biurze w ciągu piętnastu minut.

Miała trochę problemów z jego znalezieniem - znajdowało się w baraku zaadaptowanym na cele administracyjne - a gdy już znalazła się w środku, sekretarka majora, pani Heatter, potraktowała ją, jakby Rhonda zbierała pieniądze na pomoc humanitarną dla Rosjan albo na coś w tym rodzaju.

- Jest pani umówiona? - zapytała.

- Major na mnie czeka - odparła Rhonda. - Personel do spraw cywilnych przysłał mnie tutaj w sprawie zatrudnienia na stanowisku administracyjnym.

Rhonda musiałaby być ślepa, żeby nie zauważyć, iż te słowa wstrząsnęły panią Heatter.

- Może go pani poinformuje, że tutaj jestem? - zasugerowała Rhonda, posyłając jej szeroki uśmiech.

Pani Heatter podniosła słuchawkę telefonu (wyglądał zabawnie; Rhonda nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego) i wykręciła tylko jedną cyferkę.

- Majorze, jest tutaj niejaka pani Hyde, która twierdzi, że pan jej oczekuje. - Po chwili pani Heatter wstała i wprowadziła Rhondę do następnego pomieszczenia. - Pani Hyde, major MacMillan.

Po tych wszystkich formalnych ceregielach Rhonda spodziewała się ujrzeć przynajmniej oficera w wyjściowym mundurze. Tymczasem mężczyzna, który powiedział: „Proszę wejść, pani Hyde”, ubrany był w coś, co przypominało kostium do gry w baseball, i to w kiepskiej lidze. Miało krzyczący pomarańczowy odcień, na piersiach wyhaftowanego węża, a ponad nim wyszyty napis:: MOCCASIN.

Major potrząsnął ręką Rhondy, odebrał od niej papiery i zaproponował, żeby usiadła. W tej chwili żałowała wielkiego nacisku, jaki w tych dokumentach kładła na swoje doświadczenie w kwestiach układania diet i przygotowywania posiłków. W tym świetle wyglądała jak kucharka z baru szybkiej obsługi.

- Moje dokumenty nie wykazują, majorze - odezwała się, posyłając mu szeroki uśmiech i pochylając się tak, żeby, gdyby tylko chciał, mógł zajrzeć w jej dekolt - że od pierwszych dni małżeństwa prowadzę kancelarię mojego męża. Krótko mówiąc, wykonuję wszelkie prace administracyjne.

- A czy pisze pani na maszynie?

- Nie - odparła. - A przynajmniej niezbyt dobrze.

Odniosła wrażenie, że nie będzie to miało większego znaczenia.

Major popatrzył tam, gdzie się spodziewała. Był normalnym mężczyzną.

- To musi pani zapewne utrudniać pracę w biurze męża - powiedział. W jego głosie brzmiał sarkazm, jednak nie kontynuował tematu. - Proszę, oto egzemplarz charakterystyki stanowiska pracy. Proszę się z nim zapoznać i powiedzieć, czy, według pani, da pani radę wykonywać tę pracę.

Rhonda wyprostowała się i przeczytała charakterystykę z miną, która - miała nadzieję - wyglądała przynajmniej na inteligentne zainteresowanie. Kiedy poczuła, że major MacMillan znowu kieruje wzrok ku jej cyckom, pochyliła się nieznacznie, wciąż z oczyma wbitymi w dokument, żeby mógł łatwiej się im przyglądać. Wiedziała, że cycki są jej jedynym atutem, z charakterystyki stanowiska pracy nie rozumiała bowiem ani słowa. Była jednak przekonana, że biuro jest biurem i kiedy tylko dostanie pracę, doskonale się zorientuje, na czym polegają jej obowiązki. Naprawdę chciała dostać tę pracę. Major MacMillan sprawiał wrażenie interesującego mężczyzny, a poza tym spodziewała się spotkać w wojsku jeszcze wielu innych interesujących mężczyzn.

- Jestem pewna, że kiedy tylko rozpocznę, dam sobie z tym wszystkim radę - powiedziała w końcu, posyłając majorowi rozbijający uśmiech. - Muszę jednak panu powiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu nie miałam szansy współpracować ze starszymi rangą oficerami.

- Wie pani, co to jest Multilith? - zapytał major MacMillan.

- Tak, panie majorze. Mamy coś takiego w kościele.

Rhonda wiedziała tylko tyle, że Multilith to brudna maszyna stojąca w gabinecie pastora.

- Potrafi pani coś takiego obsługiwać? Albo nadzorować ludzi, którzy to obsługują?

- Och, z pewnością.

- Muszę pani powiedzieć, pani Hyde, że nie rozmawiamy o pracy od ósmej do piątej. Czasami będziemy żądali, żeby przychodziła pani do pracy bardzo wcześnie rano i pracowała do późnej nocy, nawet w weekendy. Jeśli szuka pani pracy od ósmej do piątej, to źle pani trafiła.

- W pełni niezależnie dysponuję swoim czasem - odparła Rhonda.

- Jak zareaguje pani mąż? Dzieci?

- Kiedy gospodyni nie ma w domu, dziećmi zajmuje się moja matka.

- Nie chcę, żeby teraz pochopnie się pani na coś zgadzała, a za dwa miesiące przyszła do mnie i powiedziała, że nie odpowiadają pani godziny pracy.

- Nic takiego nie nastąpi, panie majorze.

- Może pani przyjść do pracy jutro rano?

- Tak, panie majorze.

- Około siódmej. Czasami zaczynamy bardzo wcześnie.

Nietrudno było zgadnąć, dlaczego to mówi. Po prostu chciał się przekonać, czy Rhonda mówiła prawdę, zapewniając o swojej gotowości do przychodzenia do pracy bardzo wcześnie.

- Tak, panie majorze.

Mogły z tym być kłopoty. Doc zapewne wpadnie w furję, jeśli nie przygotuje mu śniadania. Cholera jasna. Miała pracę z fascynującą perspektywą. Cóż, Doc będzie musiał się przyzwyczaić do samodzielnego przygotowywania sobie śniadań. A w końcu, do diabła, za to, co Rhonda tutaj zarobi, będą mogli zatrudnić kucharkę.

3

Fort Rucker, Alabama

16 sierpnia 1955

Mundur lotniczy chorążego Edwarda C. Greera był przesiąknięty potem i miał wyraźnie widoczne białe plamy soli w miejscach, gdzie jego ciało pocilo się najmocniej. Pod lewą pachą niósł wciśnięty biały plastikowy hełm. Zapukał we framugę otwartych drzwi, które prowadziły do gabinetu dyrektora Agencji Rozwoju Lotnictwa Wojsk Ldowych.

- Wejdz, Greer - zaprosił go pułkownik Robert F. Bellmon.

Chłopak wyglądał na cholernie zmęczonego i Bellmon czuł, że nienawidzi samego siebie za to, co będzie musiał za chwilę zrobić, czyli porządnie go opieprzyć.

Greer zaszalutował, niezbyt sztywno, ale - pomyślał Bellmon - z klasą oddającą wszystko to, co salut powinien ze sobą nieść. Było to powitanie zawodowego żołnierza, a niejak przypuszczała większość ludzi - symboliczny gest poddania żołnierza młodszego stopniem wobec starszego.

- Chciał mnie pan widzieć, sir? - zapytał Greer, było to jednak bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Na zewnątrz jest trochę gorąco, prawda? - zapytał z kolei pułkownik Bellmon.

- Umieściłem termometr na tablicy przyrządów - powiedział Greer. - Wskazał sto dwadzieścia pięć stopni. Bellmon zauważył, że ta wypowiedź także jest jedynie stwierdzeniem faktu, a nie narzekaniem.

Dobry chłopak, pomyślał. A po chwili: Pieprzyć to. Dopiero później zrabuję mu dupę.

- Uznałem, że to cię zainteresuje - powiedział pułkownik Bellmon i wręczył młodemu pilotowi złączony spinaczem plik korespondencji.

DOWÓDZTWO

AGENCJI ROZWOJU LOTNICTWA

WOJSK LĄDOWYCH USA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

PORT RUCKER, ALABAMA

20 lipca 1955

PRZEDMIOT. Proste o Szkolenie Pilotażu, w tym, w wymiarze 250 godzin w powietrzu, na helikopterze YH-40.

DO. Prezesa Zarządu Lotnictwa Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych
Fort Rucker, Alameda

1. Biorąc pod uwagę zakres, w jakim Agencja Rozwoju Lotnictwa jest obciążona wyznaczeniem przyszłej roli helikoptera YH-40, obecnie przechodzącego testy lotnicze, prowadzone przez Zarząd Lotnictwa w oddziałach polowych, uważa się za absolutnie niezbędne, aby Agencja jak najszybciej otrzymała dostęp do helikoptera YH-40.

2. Równocześnie uprasza się, aby następujący personel Agencji miał możliwość jak najszybszego uczestnictwa w lotach szkoleniowych na samolotach YH-40, przydzielonych do Zarządu. Chociaż szkolenie poniższego personelu Agencji przez personel Zarządu byłoby jak najbardziej wskazane, ze względu na możliwość wystąpienia niepożądanych zakłóceń w misji Zarządu, Agencja prosi o przeszkolenie majora R. G. MacMillana do stopnia kwalifikującego go jako pilota instruktora, tak aby mógł zakończyć pomyślnie szkolenie pozostałego personelu Agencji, zajmującego się YH-40, to jest chorążego Edwarda C. Greera i niżej podpisanego.

3. Agencja przedstawi program szkoleniowy, spełniający wymogi Zarządu Lotnictwa.

Rosert P. Beilmon
pułkownik wojsk pancernych
Dyrektor Agencji Rozwoju Lotnictwa

Załącznik nr 1

Dowództwo Zarządu Lotnictwa Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych, Ft Rucker,
Ala,

23 lipca 1955

Do: Dyrektor Agencji Rozwoju Lotnictwa, Ft Rucker, Ala

1. Zarząd Lotnictwa otrzymał przydział trzech (3) helikopterów IH-40. Żadna dodatkowa jednostka TH-40 nie zostanie przydzielona w dającej się przewidzieć przyszłości.

2. W celu zapewnienia, że przydzielone helikoptery spełnią wymogi testowe nałożone na Zarząd przez zastępcę szefa sztafca do spraw operacyjnych, Zarząd postuluje, aby wyłącznie piloci helikopterów o wysokim doświadczeniu czyli przydzielani do lotów na 7H-40. Ustalone kryteria zawierają wymogi siedmiu (7) lat doświadczenia w samodzielnych lotach, 2500 godzin w powietrzu, 1000 godzin na helikopterach.

3. Ponadto misja szkoleniowa nałożona na Zarząd przez zastępcę szefa sztafu do spraw operacyjnych całkowicie wypełnia plan szkolenia w powietrzu na przydzielonych helikopterach do dnia 31 grudnia 1955.

4. Co za tym idzie, prośba o podstawową komunikację musi zostać odrzucona.

5. Jeżeli Agencja życzy sobie uzupełnić szczegółowy program szkoleniowy Zarządu konkretnymi dodatkowymi elementami, Zarząd podejmie wszelkie wysiłki, aby szkolenie przeprowadził jego personel, już zapoznany z helikopterami IH-40. Zarząd wyraża przekonanie, że rozwiązanie takie będzie najbardziej ekonomiczne pod każdym względem.

William R. Roserts
pułkownik artylerii
prezes

Załącznik nr 2

Dowództwo Agencji Rozwoju Lotnictwa, Ft Rucker, Ala,

24 lipca 1955

Do: Zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych, Dowództwo Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych, Waszyngton 25, DC

Za pośrednictwem* szefa Żarz. Lotu. przy zastępcy szefa do spraw operacyjnych,

Dow. WWL,

Waszyngton 25, DC.

1. Zwraca się uwagę na podstawową komunikację i pierwszy załącznik.
2. Jeżeli personel Agencji nie zostanie przeszkolony na helikopterze IH-40 i helikopter YH-40 nie zostanie udostępniony na minimum 250 godzin lotów szkoleniowych, Agencja nie sędzię w stanie zesrać danych o zaohowaniu maszyny i innych danych do przedstawienia rekomendacji w kwestii wykorzystania YH-40 na polu walki.
3. Prosimy o dalsze wskazówki.

Robert Bellmon

pułkownik lotnictwa

dyrektor

Załącznik nr 3

Wydział Lotnictwa przy zastępcy szefa'sztabu do spraw operacyjnych, Dow., WWL, Waszyngton, DC, 5 sierpnia 1955

Do: Zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych, Dow., WWL,

Waszyngton 25. DC

1. Sytuacja opisana w pierwszym i drugim załączniku została zbadana przez niżej podpisanego, który niniejszym przedstawia następujące wnioski:

a. Trzy maszyny IH-40, przydzielone Zarządowi do testowania, z trudem wystarczają do tych celów, a produkcja dodatkowej jednostki w przewidywalnej przyszłości będzie skierowana do Sił Powietrznych w celu przeprowadzenia badań wytrzymałości konstrukcji i innych testów oraz do Korpusu Transportu w celu określenia wymogów utrzymania maszyn i produkcji części zamiennych.

b. Program testów Zarządu Lotnictwa został poważnie ograniczony przez jakiegokolwiek ograniczenia czasu przebywania YH-40 w powietrzu, zarówno poprzez oddanie YH-40 innej agencji, jak również z powodu wypadku lotniczego.

c. Roztropność wymaga, aby dostępne jednostki YH-40, ze względu na swe rozmiary i moc oraz ze względu na to, że nie są znane charakterystyki ich funkcjonowania w powietrzu, były oblatywane wyłącznie przez doświadczonych pilotów w celu zmniejszenia do absolutnego minimum możliwości ich utracenia ze względu na błąd lub niedoświadczenie pilota.

d. Z wyjątkiem majora MacMillana piloci Agencji, wobec których poproszono o zgodę na naukę pilotażu na YH-40, są świeżymi absolwentami szkół pilotów. W szczególności założenie AR 1-670, mówiące o wymaganiu jednego (1) roku służby na stanowisku stażowym, musiałoby zostać zniesione zarówno wobec płk. Bellmona, jak i chorążego Grreera, aby mogli taką zgodę otrzymać.

e. Przegląd programów testowych Agencji (proponowanych) przez niżej podpisanego wskazuje, że ogromna większość testów może zostać zintegrowana z obecnymi programami testowymi Zarządu.

2. Rekomenduje się zatem, aby Agencja wdrożyła w życie taką współpracę z Zarządem, jaka jest konieczna w celu włączenia tych spośród własnych programów testowych, które uważają za niezbędne, do obecnych programów Zarządu.

Zapewni to bardziej efektywne wykorzystanie dostępnych środków, a jednocześnie zredukuje, poprzez wykorzystanie pilotów o długim doświadczeniu, ryzyko, jakie stanowiłaby zgoda na pilotowanie przez pilotów Agencji eksperymentalnej jednostki powietrznej.

Arthur D. Gregory
pułkownik artylerii
szef Wydziału Lotnictwa

Załącznik nr 4

Biuro zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych, Dowództwo. Wydział Wojsk Lądowych, Waszyngton 25, DC, 11 sierpnia 1955

Do: Generała Dowódcy Szkoły Lotniczej Wojsk Lądowych i Port Rucker, Ala.

Szefa Wydziału Lotnictwa przy ZSSDSOF, Dow., WWL,

Waszyngton 25, DC

Prezesa Zarządu Lotnictwa Wojskowego, Port Rucker, Ala

Dyrektora Agencji Rozwoju Lotnictwa Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych, Port Rucker, Ala.

1. Zastępca szefa sztabu do spraw operacyjnych życzy sobie przypomnieć wszystkim zainteresowanym, że Agencja Rozwoju Lotnictwa została umiejscowiona w Port Rucker dla kilku powodów.

a. W celu umożliwienia zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych korzystania z pracy niezależnej agencji, zdolnej do formułowania rekomendacji dotyczących przyszłości lotnictwa armii, na podstawie własnych niezależnych osądów.

b. W celu fizycznego umożliwienia formułowania informacji, jakie wsparcie logistyczne i transportowe jest wymagane zarówno przez Zarząd Lotnictwa Armii, jak i przez Szkołę Pilotów oraz Centrum Wyszkozenia Armii Stanów Zjednoczonych.

2. Zastępca szefa sztabu do spraw operacyjnych jest przekonany, że bardzo niewiele istotnych danych, dotyczących pilotowania YH-40 przez personel o niewielkim doświadczeniu - biorąc pod uwagę sytuację mobilizacji - można uzyskać poprzez stosowanie programów testowych, w których wszyscy piloci mają siedem (7) lat doświadczenia, w tym 2500 godzin lotu ogółem i 1000 godzin lotu na helikopterach.

3. Zastępca szefa sztabu do spraw operacyjnych uzyskał zgodę od wiceszefa sztabu na przeniesienie dwudziestu (20) absolwentów kolejnych dwóch (2) roczników kursu chorążych - pilotów helikopterów na okres po sześć miesięcy do Żarz. Lotnictwa w celu odbycia stażu na helikopterach YH-40, podlegających testom. Piloci o wielkim doświadczeniu, obecnie przypisani do Żarz. Lotnictwa, otrzymają zadania monitorowania rzeczonych testów, jednak w normalnych okolicznościach nie będą uczestniczyć w testach w powietrzu. Nie ulega wątpliwości, że grupa pilotów, posiadających siedem (7) lat doświadczenia i wiele tysięcy

wylatanych godzin, nie będzie odpowiednio liczna, aby stawić czoło zadaniom bojowym w przeszłości, a w związku z tym należy przeszkolić dużą liczbę niedoświadczonych pilotów.

4. Prezes Zarządu Lotnictwa powinien jak najszybciej wyszkolić oficerów wymienianych obecnie jako potencjalni piloci YH-40 i udostępnić Agencji helikopter YH-40 na programowe testy w wymiarze co najmniej 250 godzin.

5. Zastępca szefa sztabu pragnie - uznawszy niniejszą korespondencję za interesującą - wyrazić przekonanie, iż nie będzie już musiał poświęcać swojego czasu na roztrząsanie problemów, które nigdy nie powinny powstać.

Z rozkazu zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych.

Howard Gr. Kellogg

generał brygadier Wojsk Ląd.

asyst. zast. sz. szt. d/s oper.

- Jezu! - zawołał chorąży Greer. - Wygrał pan wielką bitwę, sir.

- Pułkownik Roberts posunął się odrobinę za daleko - stwierdził Bellmon. - Zbyt otwarcie pisał głupstwa i zbyt wyraźnie dążył do rozszerzenia swojej władzy. Przegrał tę walkę, ale jest bystry i inteligentny i kiedy nastąpi kolejne starcie, nie powtórzy tych samych błędów. Nawet ta sprawa, jeśli ją starannie przemyśleć, Greer, to nie jest jedynie bicie piany. W tej chwili znalazłem się na czarnej liście - w ostatniej chwili powstrzymałem się, żeby nie zakląć siarczyście - Klubu Pilotów.

- Pieprzyć ich - powiedział z uczuciem chorąży Greer.

- Niech pan nie rzuca mięsem, Greer. - Pułkownik Bellmon odezwał się bardzo ostro, a kiedy Greer popatrzył na niego z zaskoczeniem, dodał: -1 proszę stanąć na baczność.

Greer stanął na baczność. W momencie gdy przyjął regulaminową postawę, wyraz konsternacji opuścił jego twarz.

Pułkownik Bellmon włączył interkom.

- Majorze MacMillan!

- Tak jest, sir.

- Proszę natychmiast się u mnie zameldować.

- Już ruszam - odparł MacMillan ochoczo.

Wszedł do gabinetu chwilę później, niczym Groucho Marx, szeroko uśmiechnięty, ściągając z głowy hełm przeznaczony do walki w warunkach tropikalnych.

- Popatrz, co znalazłem w magazynie z ubraniami - zawołał radośnie.

Tego było dla pułkownika Bellmona za wiele. Z dziwnym hełmem w ręce i w krótkich spodniach khaki MacMillan wyglądał jak komik z jakiejś burleski.

- Prosiłem, żeby się pan u mnie zameldował - powiedział Bellmon lodowatym tonem.

MacMillan popatrzył na niego z zaskoczeniem i po chwili pojął, że Bellmon jest śmiertelnie poważny. Pośpiesznie wyniósł hełm za drzwi, wrócił, stanął na baczność i zasałutował.

- Major MacMillan melduje się na rozkaz, sir.

Bellmon pomyślał, że MacMillan wcale nie wygląda starzej niż dziesięć lat wcześniej, kiedy, jako sierżant MacMillan, przebywał razem z nim w stalagu.

- Poprosiłem panów do siebie - zaczął Bellmon - dlatego że doszło do mnie, iż zachowanie panów stało się niegodne oficerów i dżentelmenów.

MacMillan i Greer szybko wymienili zaskoczone spojrzenia.

- A stoicie przede mną na baczność, dlatego że mam zamiar wam uzmysłwić, iż sprawę uważam za bardzo poważną.

- Czy mógłbym się dowiedzieć, co pan ma konkretnie na myśli, sir? - zapytał MacMillan, wciąż w przepisowej postawie.

- Twoje wulgarnie słownictwo, Mac - odparł Bellmon. I pańskie, panie Greer.

Obaj żołnierze sprawiali wrażenie bardzo zmieszanych.

Bellmon pozwolił, żeby przez minutę się zastanawiali, po czym kontynuował:

- Była tutaj pani Heatter. Cała we łzach. Płakała. Powiedziała, że będzie musiała się przenieść.

- Nie bardzo rozumiem, sir - odezwał się MacMillan. - Z jakiego powodu płakała?

- Powiedziała mi, że lubi swoją pracę, ale jest chrześcijanką i nie może nadal pracować w takich warunkach.

- W jakich warunkach, sir? - zapytał Greer.

Bellmonowi przyszło do głowy, że chłopak wygląda najwyżej na szesnaście lat.

- Chodzi o pańskie przekłete wulgarnie słownictwo, Greer - powiedział Bellmon. - Pańskie bezustanne bluźnierstwa i obsceniczne wyrażenia.

- Tak jest - przytaknął regulaminowo Greer.

- Chodzi jedynie o bluźnierstwa i obsceniczne wyrażenia Greera, sir? - zapytał MacMillan, trochę zbyt niewinnym tonem. - Czy o moje także?

Bellmon popatrzył na niego z niedowierzaniem. Czyżby ten naprawdę ośmielał się z niego drwić?

Ale zaraz przypomniał sobie własne słowa.

- Cholera - powiedział i wszyscy trzej się roześmieli.

Bellmon jednak natychmiast nad sobą zapanował.

- Och, stańcie już na spocznij - powiedział. - Ale posłuchajcie mnie uważnie, obaj. Sprawa jest poważna. Pani Heatter była u mnie naprawdę. Naprawdę płakała i naprawdę była bardzo przybita. Mam dość kłopotów z cywilnym personelem bez jej skarg na was dwóch.

- Do diabła, nie wiem, o czym ona mówiła - powiedział Greer poważnie. - Wiem, jaka ona jest. Nosi w torebce Biblię i studiuje ją w czasie lunchu. Chyba nie sądzicie, że z nią flirtuję, czy coś w tym rodzaju?

Taka myśl nawet nie przyszła Bellmonowi do głowy.

- To jest taka kobieta, która uważa, że „do diabła” to bardzo brzydkie przekleństwo, Greer - powiedział Bellmon. - Nie używaj więc tych słów.

- Myślałem, że się kontroluję. Nie pozostaje mi nic innego, sir, jak kontrolować się jeszcze bardziej.

- Wszyscy po trochu jesteśmy winni - stwierdził Bellmon. - Ale pani Heatter szczególnie narzekała na ciebie.

- A nie na mnie? - zdziwił się MacMillan.

- Powiedziała, że w ogóle nie zdajesz sobie sprawy, że przeklinasz. Zatem ty uważaj na Greera, a on będzie uważał na ciebie. Zrozumiano?

- Tak, sir.

- Teraz popatrz na to, Mac - powiedział Bellmon i wręczył mu korespondencję dotyczącą YH-40.

- Jezu! - zawołał MacMillan po chwili. - Kiedy Gregory i Roberts to zobaczyli, chyba ich nagła krew załała. Już to widzę. Musiało to wyglądać tak, jakby granat trafił w szambo.

Greer zauważył, że Bellmon go nie poprawił. Zapewne dlatego, że musiałby go po prostu opieprzyć. A może dlatego, że zgadzał się z oceną MacMillana i w tej sytuacji jego plugawy język nic go nie obchodził?

- A więc będziemy mogli się pobawić YH-40? - zapytał MacMillan.

Był to jeszcze jeden z klasycznych przykładów wypowiedzenia przez MacMillana poprawnych myśli w niepoprawny sposób. Przecież wcale nie mieli „się pobawić” YH-40. MacMillan wiedział o tym równie dobrze jak Greer. YH-40 był dziewięciomiejscowym helikopterem, napędzanym przez silnik turbinowy o mocy 1100 koni mechanicznych. W zamyśle miał zastąpić Sikorsky'ego H-19 i H-34, z silnikiem tłokowym - niezbyt wydajnego i niezbyt bezpiecznego w operacjach helikopterowych. YH-40 był szybszy, mniejszy i mógł

przewozić tyle samo pasażerów (dziewięciu, bez wyposażenia) ile H-34. Bez wątpienia miał to być helikopter wojskowy lat sześćdziesiątych.

Litera Y w nazwie oznaczała, że chodzi o prototyp, i wskazywała, że helikoptery produkowane seryjnie (H-40) w szczegółach będą się różniły od YH-40. Zmianie ulegną te elementy, które zostaną wskazane w wyniku testów. Zadaniem Bellmona jako dyrektora Agencji Rozwoju Lotnictwa było przetestowanie maszyny w celu sprawdzenia jej parametrów i przystosowania jej do celów tego, co zaczynało przybierać nazwę „Latającej Armii”. Po testach Bellmon poprosi o dokonanie przeróbek w celu lepszego przystosowania jej do projektowanych zadań.

Zarówno zastosowanie zmian, jak i sprawdzenie, czy zmodyfikowana maszyna będzie w stanie realizować zadania, które będą przed nią stawiane, było funkcją Zarządu Lotnictwa. Zarząd bez powodzenia spróbował - stawiając się w pozycji jedyne go organu eksperckiego - uzurpować sobie władzę i zakres odpowiedzialności Bellmona. Zmagania osiągnęły pułap samego zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych, który rzucił Klub Pilotów z Cincinnati na kolana.

Jednak przyjęcie YH-40 na 250 godzin było tylko początkiem walki. Bellmon mógł się spodziewać, że Klub Pilotów z Cincinnati zakwestionuje każdą konkluzję, do której dojdą jego ludzie, jeżeli tylko będzie ona sprzeczna z którymś z ich własnych wniosków. Będzie więc musiał dokładnie udowodnić każdą z nich.

A zatem, wbrew temu, co powiedział MacMillan, wcale nie chodziło o „pobawienie się YH-40”.

Ale Bellmon go nie poprawił. Wiedział, że walka z pułkownikiem Billem Robertsem jeszcze się nie skończyła.

Czuł się wobec tej perspektywy bardzo samotny, i to samotny w taki sposób, o jakim ani MacMillan, ani Greer nie mogli mieć pojęcia. Obecnie byli oni jedynymi osobami, na które tak naprawdę mógł liczyć. W tej sytuacji poprawianie Maca, a co za tym idzie, ranienie jego uczuć nie miało więc w tym momencie sensu.

VIII

1

Kantyna oficerska

Fort Rucker, Alabama

22 sierpnia 1955

- Pani Hyde? Nazywam się Barbara Bellmon - powiedziała kobieta, pewnym krokiem podchodząc do Rhondy. Wyciągnęła do niej rękę z uśmiechem na twarzy. - Cieszę się, że pani przyszła.

- To bardzo miło, że mnie pani zaprosiła - odparła Rhonda Wilson Hyde, urzędniczka administracji (na okresie próbnym) Agencji Rozwoju Lotnictwa, do żony dyrektora Agencji.

- Pomyślałam, że powinnyśmy się poznać.

Barbara Bellmon poprowadziła Rhondę do sali barowej kantyny oficerskiej i gestem wskazała jej, żeby usiadła przy stoliku. Przy paniach natychmiast pojawił się kelner w stopniu szeregowego.

- Co mam podać, pani Bellmon? - zapytał.

- Och, chyba się napiję waszego koktajlu na martini.

- Rozumiem, proszę pani. - Kelner popatrzył na Rhondę.

- Poproszę to samo - powiedziała.

Podobało jej się tutaj. Stateczne zameżne kobiety z hrabstw Dale i Houston nie chadzały same do barów, żeby zamawiać koktajle z martini w porze lunchu.

- Lubię się napić martini przed lunchem - powiedziała Barbara Bellmon. - Głupio mi jednak, kiedy piję w domu.

- Doskonale panią rozumiem, pani Bellmon.

- Och, proszę mówić do mnie Barbara, bardzo proszę.

- A ty mów do mnie Rhonda - zaproponowała Rhonda, zadowolona z takiego przebiegu sytuacji.

- Powinnyśmy wcześniej zjeść razem lunch - powiedziała Barbara Bellmon - ale nie było mnie tutaj.

- Ach tak?

- Wesele. Syn siostry Scotty'ego Lairda ożenił się z córką Teda, mojego kuzyna. To chyba trochę skomplikowane, co? Ale jeśli ktoś jest związany z armią od niepamiętnych czasów, tak jak ja, to zakłada, że wszyscy wiedzą, o kim się opowiada.

- Scotty Laird? To ten generał, który wkrótce do nas przyjedzie?

- Tak - odparła Barbara. - Razem dorastaliśmy, bawiliśmy się na podwórku. I popatrz, nasi krewni łączą się w pary.

- To rzeczywiście bardzo miłe.

Rhonda uznała za interesujący fakt, że pani Bellmon jest przyjaciółką przyszłego dowódcy obozu. Hmm... Zaczynała się obracać we właściwych kręgach.

Kelner przyniósł martini.

- Twoje zdrowie. I za twoją nową pracę - powiedziała Barbara, wznosząc kieliszek.

- Dzięki - odparła Rhonda i upiła łyk naprawdę zimnego, naprawdę wytrawnego martini.

- Podoba ci się ta praca?

- Dopiero się uczę - wyznała Rhonda. - Ale jestem nią zafascynowana. W ciągu ostatnich dwóch tygodni przeprowadziłam więcej międzymiastowych rozmów telefonicznych niż przez całe życie.

- Cóż, to z pewnością wielka odmiana w stosunku do tego, do czego byłaś przyzwyczajona.

W tonie Barbary było coś, co Rhondzie się nie spodobało, jednak trudno jej było to określić.

- Z pewnością - odpowiedziała, na wszelki wypadek z uśmiechem.

- Szybko się nauczysz, że armia to taki mały, zamknięty świat. Wszyscy tu wszystkich znają.

- Twój mąż... - zaczęła Rhonda, jednak zaraz się poprawiła. - Pułkownik Bellmon i major MacMillan to starzy przyjaciele, o tym już wiem.

- Poznali się w obozie jenieckim. W czasie drugiej wojny światowej.

- To musiał być dla ciebie trudny czas - powiedziała Rhonda ze współczuciem.

- Mam przyjaciela, majora Craiga Lowella. Myślę, że go polubisz. Niech to będzie dowodem na moją teorię, że armia to odrębny mały świat. Komendantem stalagu był pułkownik von Greiffenberg. On i mój ojciec studiowali razem we francuskiej szkole kawalerii w Saumur.

- Twój ojciec też był żołnierzem? - zapytała Rhonda.

- Moje nazwisko panięskie brzmi Waterford.

Musiała minąć sekunda lub dwie, żeby Rhonda skojarzyła.

- Od generała Waterforda? Tego od czołgów?

- Właśnie.

- Mój Boże, jestem pod wrażeniem.

- Niepotrzebnie. Przyjaciele mówili na niego Porky.

- Wiesz, jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś woła do generała „Porky”^{*}.

- Tylko inni generałowie tak do niego mówili - powiedziała Barbara.

Rhonda zaczęła się zastanawiać, po co to wszystko, dlaczego Barbara stara się wyrzucić na niej wrażenie swoimi koneksjami w armii. Ale zaraz zdała sobie sprawę, że gdyby sama była córką sławnego generała wojsk pancernych, znajomą Eisenhowera, Pattona albo kogoś takiego, z pewnością ona także chciałaby, żeby ludzie o tym wiedzieli.

- Naprawdę, jestem pod wrażeniem - powiedziała szczerze.

- Cóż, opowiadam ci po prostu, jaki to mały świat kontynuowała Barbara. - Po wojnie mój ojciec natrafił na młodego żołnierza, który wywarł na nim wielkie wrażenie, i ojciec sprawił, że ten żołnierz został awansowany na oficera.

Tak, to prawda, ale nie cała prawda i nie tylko prawda.

Ale tego akurat Barbara nie zamierzała ujawniać. Wielkie wrażenie na jej ojcu wywarło bowiem tylko to, że szeregowiec Craig W. Lowell doskonale grał w polo.

- Generałowie mogą tak robić? To znaczy awansować szeregowców na oficerów?

Barbara Bellmon dała znać kelnerowi, żeby podał drugą kolejkę martini.

- Generałowie mogą praktycznie robić wszystko to, co im się podoba. Właśnie dlatego każdy żołnierz chce być generałem.

Roześmiały się.

- Opowiadałam ci o Craigu Lowellu - kontynuowała Barbara. - Craig ożenił się z Niemką, a to było coś, czego młodzi oficerowie po prostu nie robią. To jest tak samo niedopuszczalne jak podrywanie córki dowódcy. Albo jego żony.

- Rozumiem.

- No i jak myślisz, kim się okazała ta dziewczyna?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparła Rhonda.

- Córka pułkownika, a obecnie generała majora von Greiffenberga - oznajmiła Barbara. - Nadali dziecku imię generała, który wówczas był zesłany na Syberię. Wypuścili go dopiero w 1950 roku.

^{*} Porky (ang.) - „Spaślak” (przyp. tłum.).

- I potem wszyscy żyli długo i szczęśliwie? Co za urzekająca historia.'

- Nic z tego. Kiedy Craig był w Korei, jego żona zginęła w wypadku samochodowym.

- Och, to straszne!

- Rzeczywiście. Co gorsza, człowiek, który ją zabił, był także żołnierzem, majorem służb kwatermistrzowskich. Oczywiście zapłacił za swój czyn, jednak to nie przywróciło żonie Craiga życia.

- Co się stało z dzieckiem?

- Wychowuje je rodzina matki.

- Więc wszyscy jesteście jedną wielką rodziną, prawda?

- Tak - przyznała Barbara, a potem zwróciła się do kelnera: - Ale jesteś szybki!

Kelner postawił na stoliku następną kolejkę martini.

- Cieszę się, że mi o tym wszystkim powiedziałaś. Rhonda westchnęła. - To wyjaśnia wiele spraw.

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą musisz zrozumieć.

- Mianowicie?

- Żony oficerów nie lubią się z nikim dzielić swoimi mężami.

Przez dłuższą chwilę Rhonda nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

- To oczywiste - powiedziała wreszcie. - Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Starła się, aby jej głos brzmiał jak najbardziej obojętnie. Prawda, uważała pułkownika Bellmona za atrakcyjnego mężczyznę i, żeby być przed sobą absolutnie szczerą, czasami zastanawiała się, jak by jej z nim było, ale to były tylko fantazje. Nie miała najmniejszego zamiaru wplątywać się w romans z szefem. Tym bardziej że ten nie wykazywał nią absolutnie żadnego zainteresowania.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi - stwierdziła Barbara.

- Nie wiem...

- Nie jesteś w typie Boba. Ale, z drugiej strony, każdy mężczyzna, wystawiany wystarczająco długo na pokusę, w końcu jej ulegnie.

- Nie, naprawdę nie wiem... - zaprotestowała Rhonda.

- MacMillan - kontynuowała Barbara - to całkiem inna para kaloszy. Nie jest takim kobieciarzem jak Craig Lowell, ale wiadomo, że czasami zdarza mu się zbłądzić. Kiedy to się stanie, Roxy MacMillan jest bardzo, bardzo nieszczęśliwa. A kiedy Roxy MacMillan, jedna z moich najlepszych przyjaciółek, jest nieszczęśliwa, wtedy ja także jestem nieszczęśliwa. A kiedy ja jestem nieszczęśliwa, potrafię być bardzo nieprzyjemna, Rhonda.

- Nie masz prawa tak do mnie mówić!

- Mam prawo. Nazywają mnie tutaj pułkownikową. I to nie dlatego, że jestem żoną pułkownika, Rhonda. Chciałabym, żebyś to zrozumiała.

Rhonda nie wiedziała już, jak reagować.

- Chcę cię po prostu ostrzec, żebyś trzymała się z dala od żonatych mężczyzn, oficerów i podoficerów - mówiła Barbara. - Jeżeli w domu nie dostajesz tego, czego potrzebujesz, i nie potrafisz tego znaleźć poza bramą Fort Rucker, przynajmniej trzymaj się na odległość od żonatych mężczyzn.

- Nie muszę tutaj siedzieć i wysłuchiwać tych obelg! zawołała Rhonda.

- Jeśli chcesz z dobrym wynikiem ukończyć okres stażu, to musisz. Wierz mi, trzymam w ręce wszystkie sznurki. Kiedy ojciec uczył mnie grać w pokera, uczył mnie też, że w żadnej grze nie powinnam okazywać litości.

Spojrzała Rhondzie w oczy i przez chwilę nie odrywała od nich wzroku.

- Zainteresuj się młodym Greerem - powiedziała po chwili. - Wolalabym, żeby związał się z kimś takim jak ty, niż żeby miała go usidlić jakaś miejscowa piękność.

Nie zastanawiając się, Rhonda wypaliła:

- Greer to dzieciak.

- Wystarczająco duży dzieciak. A mężczyźni są przecież najlepsi, kiedy są młodzi. Pamiętaj jednak, że Greer też jest częścią rodziny. Takim małym braciszkiem.

- Chyba cię nie rozumiem.

- Weź MacMillana na spytki, niech czasem coś ci o nim opowie. Ostatnio odbyli razem ekscytującą eskapadę do Indochin.

Znów pojawił się kelner.

- Pani stolik już czeka, pani Bellmon - powiedział, wręczając jej rachunek. Barbara podpisała go.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że kiedy zakończysz okres próbny, będziesz pełnoprawnym członkiem klubu oficerów. - Barbara znowu popatrzyła Rhondzie w oczy. - Zjemy razem lunch? - zapytała.

- Umieram z głodu.

- To pewnie z powodu martini - powiedziała Barbara i poprowadziła Rhondę do sali jadalnej.

Augsburg, Niemcy Zachodnie

26 września 1955

26 września 1955 roku major Craig W. Lowell spędził większość poranka (od 9.50 do 12.15) w Hersfeld Kaserne, w kawiarence 24. Pułku Kawalerii Pancerniej, popijając słabą kawę z porcelanowej filiżanki i przeglądając „The Stars and Stripes”, „Cavalier” oraz „True”.

Major Lowell przetransportował do Hersfeld pułkownika z Sekcji Uzbrojenia z Dowództwa 7. Armii, który bał się latać z młodymi oficerami i który osobiście poprosił, żeby jego pilotem w tym dniu był właśnie Lowell. A kiedy znaleźli się w Hersfeld, pułkownik stwierdził, że skoro Lowell nie jest oficerem do spraw uzbrojenia, a jedynie pilotem, to nie pomoże mu w sprawach, które miał do załatwienia z dowódcami i oficerami uzbrojenia 24. Pułku. Powiedział mu, żeby poszedł gdzieś na kawę, a on zawiadomi go, kiedy będzie potrzebny.

O godzinie 12.15 major Lowell został wezwany przez pułkownika z kawiarenki do kantyny oficerskiej; pułkownik uznał, że jego obowiązkiem jest dopilnowanie, aby jego pilot został nakarmiony. W końcu, mimo że był jedynie podniebnym kierowcą, był jednak majorem, który szlify zdobył na polu walki. Zwykła oficerska grzeczność nakazywała zaprosić go do stołu.

Oficjalny lunch w kantynie 24. Pułku Kawalerii Pancerniej nie zapisał się miło w pamięci Lowella. Pułkownik dowodzący 24. Pułkiem Kawalerii Pancerniej był gospodarzem, a towarzyszyli mu szef sztabu i jego zastępcy: do spraw planowania, do spraw operacyjnych, do spraw zaopatrzenia oraz dowódca kompanii A, B i D. Wszyscy ci oficerowie byli oczywiście pancerniakami i większość z nich popatrzyła na majora Lowella z wyraźnym zaciekawieniem, kiedy pułkownik uzbrojenia przedstawił go słowami „mój pilot”.

Major Lowell miał przypiętą oznakę wojsk pancernych, a na niej skrzyżowane szable kawalerii, Bojową Oznakę Piechoty i skrzydełka pilota. Wbrew przepisom nie miał żadnej baretki.

Lowell dzielił oficerów wojsk pancernych na dwie klasy: tych, którzy wiedzieli o jego wyczynie z Korei, i tych, którzy o tym nie wiedzieli. Spośród tych, którzy wiedzieli i mieli świadomość, że był dowódcą Grupy Bojowej Lowell, osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu procent uważało, że zarówno reputacja, jak i promocja oraz odznaczenie jego dowódcy

stanowiło mocną przesadę. Ci raczej cieszyli się, że armia wreszcie poznała się na nim i wyrzuciła go z grona pancerniaków na zbity pysk. Spotkania z innymi oficerami wojsk pancernych (w tym także, choć rzadko, z tymi, którzy byli wtedy pod jego dowództwem), którzy uważali, że przeprowadzona przez niego operacja była jedną z lepszych podczas tej pieprzonej wojny i że ich dowódca w pełni zasługiwał na DSC, również nie były przyjemne. Z pewnym zakłopotaniem spoglądali na człowieka, który poprowadził czterdzieści cztery czołgi M46 szybciej i dalej niż ktokolwiek inny, sprowadzonego teraz do roli pilota jakiegoś tam helikoptera.

Te dwie grupy stanowiły mniej więcej dziesięć procent wszystkich oficerów wojsk pancernych. Pozostałe dziewięćdziesiąt procent nigdy nie słyszało o rajdzie Lowella czy o samym majorze Craigu Lowellu. Byli kawalerzystami, którzy stacjonowali w forcie przy granicy wroga i byli gotowi w każdej chwili podążyć za dźwiękiem trąbki w bój.

Dla majora wojsk pancernych, który przyleciał jako pilot helikoptera, mieli tyle samo poważania, ile by go mieli sto lat wcześniej, gdyby major kawalerii przyjechał do Fort Riley z zaopatrzeniem, dowodząc zaprzęgiem konnym. Żaden kawalerzysta, który podjąłby się czegoś tak poniżającego, nie mógł być kawalerzysta ani przez chwilę dłużej.

W uroczystym lunchu nie uczestniczył nikt, kto służył pod nim w Korei, ale był pewien, że w kantine znaleźli się przynajmniej dwaj oficerowie, którzy łączyli jego nazwisko z rajdem i którzy w związku z tym skomentują jego pojawienie się w Hersfeld, kiedy już stamtąd odleci. Dowódca 24. Pułku Kawalerii Pancерnej był jednym z nich.

- Czy nie pracował pan kiedyś dla generała Paula Jiggsa, majorze?

Generał brygadier, wtedy podpułkownik, Paul Jiggs, był dowódcą 73. Wzmocnionego Batalionu Czołgów Ciężkich, z którego wyłoniona została Grupa Bojowa.

- Tak, pracowałem.

- Tak myślałem - skomentował pułkownik.

Nie kontynuował już tematu. Ustalił, kim jest Lowell, i to, czy uważał go za znakomitego pancerniaka dowódcę czy za wyjątkowego straceńca, nie miało znaczenia. Lowell albo zasługiwał na coś lepszego niż powożenie pieprzonym helikopterem, albo był rzeczywiście kiepski. Jednak i w jednym, i w drugim wypadku jego obecność musiała powodować zakłopotanie innych.

Po lunchu major Lowell powrócił do kawiarenki i rozsiadł się wśród żołnierzy, którzy nie pełnili akurat służby, i znudzonych żon. Dopiero o 15.15 przyszedł po niego jakiś sierżant. Pułkownik uzbrojenia życzył sobie polecieć z powrotem do Augsburga.

Lowell uznał, że nie jest to dla niego dobry dzień. Byłby zresztą równie nieprzyjemny, gdyby jego pułkownik zapragnął pozostać na noc w Hersfeld, bo w takim wypadku Lowell musiałby spędzić wieczór w klubie oficerskim 24. Pułku Kawalerii Pancерnej. Z drugiej strony, skoro pułkownik nie uznał za wskazane pozostać na noc przy granicy z Niemcami Wschodnimi, Lowell, niestety, miał przed sobą perspektywę powrotu do Augsburga wystarczająco wcześnie, żeby wziąć udział w comiesięcznej oficjalnej zabawie tanecznej, gdzie się go - naturalnie - spodziewano.

Lowell nie lubił takich imprez. Nudziły go niesłychanie, dlatego w dni, kiedy je organizowano, starał się przeważnie o dwudniowe loty. Tym razem, nadzorując tankowanie Bella H-13, doszedł do wniosku, że nie miał szansy uniknąć tych tańców.

Na tych oficjalnych zabawach mężczyźni powinni się pojawiać w mundurach galowych lub wieczorowych. Zasadniczo dopuszczalne były mundury wyjściowe z czarnym krawatem, jednak nie wymagano ich. Dobry mundur wieczorowy czy galowy kosztował małą fortunę, a dowódcy niechętnie patrzyli, jak młodzi oficerowie niepotrzebnie wydają pieniądze.

Komuś z 7. Armii przyszło jednak do głowy, że lotnicy zarabiają znacznie więcej pieniędzy niż równi im stopniem oficerowie, którzy nie latają, a zatem, czy mogą lepiej spożytkować swoje pieniądze, niż kupując mundury wyjściowe lub wieczorowe? A kiedy już wszyscy piloci będą w nich paradować, to czy inni oficerowie - chociażby ze wstydu - nie pójną za ich przykładem?

Major Lowell wiedział, że powinien przyjść na zabawę w mundurze wyjściowym. Nie był żonaty. Samotni oficerowie, na dodatek majorowie, mogli, a może musieli, sobie pozwalać na takie umundurowanie. Lowell wybrał więc na ten wieczór bardzo drogi mundur. Nie był pewien, czy chciał przez to sumiennie wykonać ciężący na nim obowiązek, czy zrobił to po prostu dla siebie. Być może chciał przypomnieć samemu sobie - po zainkasowaniu tylu pogardliwych spojrzeń pancerniaków w Hersfeld - że kiedyś sam był pancernikiem i poważanym żołnierzem, a jego obecna sytuacja jest tylko efektem niekorzystnych zdarzeń.

Wzdłuż szwów galowych spodni pancerniaka biegną żółte pasy kawalerii, po kawaleryjsku żółte są również klapy kurtki mundurowej. Na każdym rękawie wyhaftowany jest wyszukany wzór - u podporuczników pojedynczy, u poruczników podwójny, a u majorów poczwórny. Całości dopełnia szeroki złoty pas z materiału.

Do prawej klapy przypiął trzy rzędy miniaturowych medali. Na szyi, na purpurowej wstędze o szerokości trzech cali, powiesił Order Świętego Jerzego i Świętego Andrzeja, nadany mu przez króla Grecji.

Wychodząc na zabawę, pomyślał, że wygląda jak postać z operetki Siegmunda Romberga.

Kolację zjadł z kapelanami: baptystą, który wyraźnie czuł się niekomfortowo w miejscu, gdzie alkohol lał się strumieniami, oraz księdzem rzymskokatolickim, którego Lowell w duchu podejrzewał o to, że jest pedziem. Kiedy tylko mógł ich zostawić, nie narazając się na zarzut nieuprzejmości, zrobił to i przeniósł się do baru.

Chociaż podpułkownik Withers, narodziwszy się po raz drugi, całkowicie odstawił alkohol, wciąż wierzył w sens organizowania oficjalnych zabaw tanecznych, ponieważ były imprezami integracyjnymi i rodzinnymi. Withers podszedł więc do Lowella stojącego przy skraju kontuaru barowego i - w przekonaniu, że upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu - zasugerował mu, żeby tańczył z żonami oficerów.

Pierwsze trzy tańce były bezbarwne. Czwarta dama, żona niedawno awansowanego kapitana, mocno przycisnęła do Lowella piersi i wypukły brzuch. Kiedy spowodowało to u Lowella mimowolną reakcję części ciała odpowiedzialnej za reprodukcję, uczynił bohaterski wysiłek, by wycofać się z jakiegokolwiek kontaktu fizycznego z tą kobietą. Wysiłek okazał się jednak bezskuteczny. Podbrzusze damy przylegało do jego podbrzusza, a jej palce zaczęły błędzić przy jego uchu. Kiedy taniec dobiegł końca, kobieta poprowadziła go do swojego stolika. A gdy dziękował jej za taniec, grzecznie skinąwszy jej mężowi i innym kapitanom i ich żonom, puściła jego rękę i pomacała go po udzie.

Był niezmiernie wdzięczny podpułkownikowi Withersowi za to, że zaraz po tym tańcu dosiadł się do niego przy barze. Lowell wciąż, przynajmniej w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, panował nad swoim zdrowym rozsądkiem i pojmował, w jak niebezpiecznej znalazł się sytuacji. Resztę wieczoru spędził przy wodzie sodowej, wysłuchując, jak podpułkownik Withers wychwala zalety członkostwa w Klubie Chrześcijańskim dla Mężczyzn przy placówce wojskowej w Augsburgu.

Przez następny tydzień jadał posiłki w stołówkach oficerskich, do których osoby towarzyszące nie miały wstępu, albo przyrządzał je sam, unikając w ten sposób klubu i możliwości spotkania żony kapitana.

Dowiedział się, że jej mąż, kapitan Suites, przydzielony został do Wydziału Specjalnych Misji Helikopterowych.

Kapitan Suites był lotnikiem starej daty, który uważał za swój *raison d'être* pilotowanie jednostek powietrznych. Był też przyjaźnie nastawionym do świata kretynem. Miał charakterystyczny piskliwy śmiech. Lowell zapomniał o nim natychmiast po tym, jak odbył z nim lot sprawdzający i poinformował głównego instruktora lotów (następnego sympatycznego kretyna, podpułkownika, który gustował w noszeniu wypolerowanych oficerek i którego rzadko widywano bez okularów lotniczych na nosie), że kapitan Suites może przewozić ludzi helikopterem H-13.

W tym tygodniu Lowell miał zaplanowane dwie dłuższe misje w poniedziałek, wtorek i środę oraz cztery trzygodzinne loty sprawdzające. Następnego dnia, czwartek, miał spędzić przy biurku. Podpułkownik Withers spostrzegł, że Lowell radzi sobie z dokumentami, i zaczął spychać na niego tak dużo papierkowej roboty, jak się tylko dało. Ponieważ nie miał lotów także następnego dnia, mógł sobie pozwolić w czwartek na wypicie kilku drinków.

(Wieczorem przed dniem za sterami piloci oficjalnie mogli wypijać tylko jedno piwo. Lowell jednak nigdy nie wypijał nawet tego jednego dozwolonego. Oficjalna opinia przełożonych na temat jego umiejętności jako pilota była znacznie wyższa niż jego własna. Tym bardziej nie miał więc najmniejszego zamiaru latać z przytępienymi przez alkohol zmysłami czy osłabioną koordynacją. Pił zatem tylko wtedy, gdy następnego dnia nie miał w planie lotów.)

Oparł się jednak pokusie picia w klubie. Mógł tam przecież spotkać damę, która pomacała go po udzie. Zamiast się napić, poszedł więc do kina, jednak film, na który trafił, okazał się niewiarygodną chałgą. Starał się, ale nie dotrwał do końca; po godzinie męczarni wstał i wyszedł.

Uznał, że przeznaczenie każe mu jednak się napić. Aby mimo wszystko nie iść do klubu oficerskiego, pojechał jaguarem do centrum miasta i wszedł do Cafe Klug, przybytku przeznaczonego dla bogatszych Niemców. Przybywających tu Amerykanów zniechęcały zarówno wysokie ceny, jak i wyjątkowo nieprzyjemny *maitre d'hôtel*, który z widoczną przyjemnością dawał im do zrozumienia, że lepiej by było, gdyby sobie poszli gdzie indziej.

Wyjątek czynił jednak dla majora Lowella. Niezwykły Amerykaner nie tylko nigdy nie przychodził tutaj w mundurze, ale - jak niosła fama - był blisko związany z pewnymi ważnymi ludźmi. Tę plotkę potwierdzał fakt, że major nienagannie mówił po niemiecku, i to z akcentem z wyższych sfer.

Znalazłszy się w środku, Herr Oberst natychmiast został dostrzeżony. *Maitre d'hôtel* skinął mu uprzejmie, witając w swoich włościach. Lowell poszedł więc do baru i zamówił potrójną porcję Johnny'ego Walkera Black Label. (Potrójna whisky w Cafe Klug, kosztująca

w markach niemieckich równowartość czterech i pół dolara, zawierała mniej więcej tyle alkoholu, ile było go w pojedynczej dawce w klubie oficerskim, która kosztowała trzydzieści pięć centów.)

Lowell usiadł, jednym uchem słuchając orkiestry, ledwo zdając sobie sprawę z zachęcających uśmiechów, które posyłało mu kilka kobiet spędzających samotnie czas przy barze. Myślami zagłębił się w rozważaniach, które sam uważał za pseudofilozoficzne:

Orkiestra zagrała Wojna skończona; Żołnierze i psy, szanujcie zielen! W myślach przerabiał ten tekst tak długo, aż wreszcie doszedł do zachęcającej konkluzji: „Kiedy wojna się skończy, wojownicy przeszkadzają w spokojnym działaniu pokojowej armii”.

Myślał też:

„Ambitny oficer jest jak bezwstydna prostytutka. Zwyczajni ludzie czują się przy nim nieswojo”.

„Jeśli mężczyźni jeżdżą na motocyklach ze względu na symboliczną moc, jaką uzyskują wtedy między nogami, helikoptery są najdoskonalszymi motocyklami; każdy debil potrafi je wznieść”.

„Prostym problemom można zaradzić w wojsku, jeżeli ich rozwiązania są odpowiednio skomplikowane. Proste rozwiązania skomplikowanych problemów nie są tolerowane”.

Zamówił właśnie piątego drinka i powiedział sobie, że to już ostatni, kiedy maitre d'hôtel dyskretnie kaszlnął za jego plecami. Tonem, który wskazywał, że sam nie wierzy w to, co mówi, poinformował go, że „dama” przy drzwiach powiedziała mu, że przyszła tutaj do Herr Oberst.

- Myślałam, że zatelefonujesz - oznajmiła pani Suites z pewnym bólem w głosie.

Nie uznał za stosowne odpowiedzieć.

- To ty wysłałeś dzisiaj Kena na całonocny lot, prawda? - To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Wcisnęła się na stołek barowy i popatrzyła ponad ramieniem, po czym posłała Lowellowi konspiracyjny uśmiech, odwróciła się w jego kierunku i przycisnęła kolano do jego krocza.

- Nie postawisz mi drinka? - zapytała.

Właściwie nie myśląc, co robi, major Lowell dał znak barmanowi, żeby przyniósł jej coś do picia.

- Dotychczas odwracałem wzrok i milczałem, Lowell - mówił podpułkownik Edgar R. Withers - kiedy donoszono mi o twoich eskapadach, ale tym razem posunąłeś się za daleko.

Lowell wiedział, że nie istnieje żaden sposób, żeby wytłumaczyć się temu człowiekowi, że to Phyllis Suites rzuciła się na niego. Withers nie był po prostu w stanie tego pojąć. Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Nawet gdyby zrozumiał, że Phyllis jest po prostu napaloną dziwką,

Lowell i tak złamał XI i XII przykazanie żołnierskie: NIGDY NIE DOBIERAJ SIĘ DO ŻONY SWEGO BRATA OFICERA oraz PRZENIGDY, PRZENIGDY, PRZENIGDY NIE WPYCHAJ KUTASA W ŻONĘ PODKOMENDNEGO.

Phyllis spełniała oba warunki: była żoną brata oficera i zarazem żoną podwładnego. Lowell powiedział więc to, co teraz czuł:

- Jestem głęboko zawstydzony, sir.

- I słusznie, Lowell. Na miłość boską, o czym ty wtedy myślałeś?

Na to pytanie nie znalazł już odpowiedzi. Nic mu nie przychodziło do głowy. Przecież nie mógł powiedzieć pułkownikowi, który był prezesem Klubu Chrześcijańskiego dla Mężczyzn przy placówce wojskowej w Augsburgu, że Phyllis Suites okazała się mocniejsza od jego najbardziej rozpaczliwych wysiłków, by jej uniknąć, i przyskrzypiła go w Cafe Klug. Albo że kiedy go znalazła, był już zdrowo podpity i że w tej sytuacji zwracał mniejszą uwagę niż zwykle na wymagania etyczne, jakie słusznie stawiane są przed oficerami i dżentelmenami. Albo że cierpiał już wtedy z powodu blisko sześciotygodniowego celibatu, który sam sobie narzucił, i przez to stanowił łatwą ofiarę dla grzesznych żądz ciała.

Że nie myślał o Phyllis Suites jako o żonie i matce, kiedy łąpała go za fiuta, lecz o tym, że skoro jest nim tak bardzo zainteresowana, z pewnością doskonale go obciągnie. Co zresztą okazało się przypuszczeniem słusznym.

- Myślałem, że się spalę ze wstydu - kontynuował pułkownik -kiedy przyszedł do mnie kapitan Suites i poprosił o pomoc.

Lowell jęknął w duchu. Było gorzej, niż sądził.

- Jest mi naprawdę bardzo przykro, że został pan w to wciągnięty, sir.

- Odbieram to jako przeprosiny wobec mnie, że muszę się tym zajmować, a nie jako skruczę człowieka, który został przyłapany na niecznym uczynku.

- Tak jest, sir.

- Powiem panu szczerze, Lowell, że w pierwszej chwili zamierzałem postawić pana przed sądem. Jeśli dotąd jeszcze nie miałem do czynienia z ewidentnym złamaniem zasad obowiązujących oficera i dżentelmena, to teraz właśnie mam. Zszargał pan swoją opinię i splamił dobre imię całego korpusu oficerskiego.

Zamiast wkurzyć się na przemądrzałego, bezczelnego drania Lowell, ku swemu zdumieniu, słuchał go uważnie, czując, że na to zasłużył. Nie dość, że okazał się gnojkiem, to na dodatek idiotą, bo wiedział, jaki z Suitesa bezradny dureń, który nie ma wpływu na to, że jego żona puszcza się na prawo i lewo. Chociażby z tego powodu powinien był trzymać się od tej baby z daleka, nawet gdyby po jej wejściu do Cafe Klug miał wyskoczyć stamtąd przez okno.

- Ze względu jednak na dobro kapitana Suitesa i jego małżonki, a także ich dzieci, proszę mi wierzyć, że chodzi mi o ich interes, nie o pański, postanowiłem, że kwestii przewinienia, którego pan jest sprawcą, nie zostanie nadany oficjalny bieg.

- Tak jest, sir.

- Wiem, że niezbyt poważa pan wierzących w Jezusa Chrystusa Pana, naszego Zbawcę, Lowell - ciągnął pułkownik. - Ale przemawiają za tobą słowa Biblii: „Nie sądziecie, abyście nie byli sądzeni”. Zdaję sobie sprawę, że stracił pan żonę i że ta strata wywołała w panu zgorzknienie. Zatem postanowiłem znaleźć chrześcijańskie rozwiązanie powstałego problemu. - Nastąpiła cisza, która trwała przez sześćdziesiąt sekund. W tym czasie pułkownik wpatrywał się w Lowella z mieszaniną bólu i współczucia. - Zobowiązano nas do wyznaczenia pilota helikoptera do obsługi attache wojskowego w Konsulacie Generalnym Stanów Zjednoczonych w Algierii. Wystarczyłby tam podporucznik, ale uzyskałem zgodę, żeby wysłać tam pana. Misja będzie trwać sześć miesięcy. Wyjedzie pan za dwa dni. Nie pozostaje panu wiele czasu na załatwienie swoich spraw, zdaję sobie sprawę, ale w obliczu pańskiego postępu jest to nieuniknione. Zabraniam panu, powtarzam, absolutnie zabraniam, jakiegokolwiek kontaktu z panią Suites przed wyjazdem i uważam, że byłoby właściwe, gdyby nie jadał pan posiłków w kantine oficerskiej.

- Tak jest - odparł Lowell. - Chciałbym panu podziękować, sir.

- Kiedy przeczyta pan raport na temat swojej służby, nie będzie mi pan już dziękował. Może pan być jedynie wdzięczny, że nie stanie pan przed sądem. Dla pańskiego prowadzenia się nie ma żadnego usprawiedliwienia.

Ozark, Alabama

22 grudnia 1955

Melody Dutton zjawiała się w biurze ojca w czasie przerwy na lunch. Chciała wziąć forda, żeby pojechać autostradą do Brundidge. Zamierzała kupić coś dla matki na urodziny.

- Tato, gdybym miała własne auto - powiedziała - nie musiałabym zabierać twojego, a ty nie musiałbyś wracać z pracy pieszo.

- Kochanie, jesteś jeszcze małą dziewczynką i uczennicą - odparł Howard Dutton.

- Och, tato - westchnęła z irytacją, uśmiechnęła się jednak do niego.

Bo wcale nie była już małą dziewczynką. Była studentką pierwszego roku na uniwersytecie. Miała osiemnaście lat i niewiele brakowało jej do dziewiętnastu. Ubrana była w obcisłą spódnicę i luźny sweter, zgodnie z najnowszą modą, i można było zobaczyć - każdy mógł to zobaczyć - że Melody ma ciało młodej kobiety. Młodzi mężczyźni już się dookoła niej kręcili.

Howard nie wiedział jeszcze, jak to zniesie, kiedy Melody zwiąże się z jakimś chłopakiem, kiedy się zakocha, kiedy młody człowiek zajmie w jej sercu miejsce ojca.

Howard Dutton kochał swoją Melody od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył w kołyszce - była różowitka i tak ładnie pachniała. Nie żeby nie kochał też Howarda juniora (który miał szesnaście lat) i Marcii (czternastoletniej). Owszem, oni także byli cudownymi dziećmi, ale do Melody wiele im brakowało. Musiał bardzo się pilnować, żeby wobec swojego potomstwa postępować sprawiedliwie i przyzwoicie i żeby nie pokazywać po sobie, że kocha Melody o wiele mocniej niż pozostałą dwójkę.

Melody była wysoką, gibką, jasnowłosą, delikatną, nieśmiałą, uroczą istotą. Dla Howarda nie było w życiu bardziej szczęśliwych chwil niż te, kiedy siadał w fotelu w salonie i słuchał, jak gra coś ładnego - na przykład Chopina - na fortepianie. Kiedy kupił córce Steinwaya, Prissy powiedziała mu, że chyba stracił rozum. Melody nie była ani muzycznym geniuszem, ani jakimś nadzwyczajnym talentem; miała wówczas trzynaście lat, zaledwie od trzech lat brała lekcje muzyki i nie potrzebowała aż takiego instrumentu.

Oprócz tego, co zamierzał zrobić dla niej dzisiaj, musiał jeszcze przypilnować, żeby szczęśliwie przebrnęła przez college, a potem dobrze wyszła za męża. Problem polegał jednak

na tym, że kiedy naprawdę zaczynał myśleć o tym ostatnim, przypominało mu się, że kiedy wyda Melody za jakiegoś chłopaka, naprawdę i bezpowrotnie ją utraci.

Był jednak świadom tego, że taka jest kolejność losów ustalona przez Boga. Bóg sprawił, że nastoletnie dziewczęta są piękne, po to by przyciągały mężczyzn, rodziły dzieci i rozpoczynały od nowa cały cykl życia, dzięki któremu trwa świat. Kiedyś Howard był gotów oddać połowę tego, co posiadał lub co kiedyś będzie posiadał, za to, żeby czas się zatrzymał chociaż na rok, żeby Melody się nie zmieniała, żeby nic się nie zmieniało. Było to wtedy, kiedy miała trzynaście lat, kiedy zdjęto jej z zębów aparat korekcyjny, kiedy przeistaczała się w młodą kobietę, a jednak była jeszcze dość mała, by siadać ojcu na kolana, tulić się do niego i pozwalać, żeby czule całował ją w czoło.

To było pięć lat temu. A za pięć lat Melody prawdopodobnie będzie sadzała na kolanach własne dziecko. Howard będzie dziadkiem, a Melody matką. Była to całkiem miła perspektywa, ale Howard starał się jeszcze o tym nie myśleć.

- Raczej nie jest zajęty, Tommy - usłyszał głos Prissy. - Zresztą zajrzyj i sam zobacz.

A przecież powinna nacisnąć guzik interkomu i zapytać Howarda, czy ma czas. Powinna powiedzieć: „Jest tutaj pan Waters”, a nie nazywać Tommy'ego po imieniu. Ale przecież nie była prawdziwą sekretarką, była jego żoną i postępowała w biurze tak, jak jej się podobało, a nie tak, jak powinny postępować sekretarki.

- Wejdz, Tom - zawołał Howard Dutton.

Tom Z. Waters ubrany był w płócienną sportową koszulę, rozpiętą pod szyją i wiatrówkę na zamek błyskawiczny, białe lewisy oraz w lśniące brązowe buty z mosiężnymi okuciami; nie były to buty leśniczego, lecz raczej takie, jakie noszą inżynierowie i rzeczoznawcy budowlani. Wygląda jak praktykant w tym zawodzie, pomyślał Howard. Przed uznawaniem Toma Z. Watersa za miłego człowieka - takiego, któremu chciałoby się pomóc w karierze - powstrzymywała Howarda świadomość tego, jak niewielkie dokonania ma do tej pory na swoim koncie, oraz tego, co znajduje się w sejfie na górze, w Zoghby's Emporium.

- Jesteś już gotowy, Howard? - zapytał Tommy.

Howard pokiwał głową, obszedł biurko i skierował się ku drzwiom.

- Wyjeżdżam z Tommym do Woody Dells - powiedział do żony.

- Zamierzacie tam zostać przez resztę popołudnia?

- Mamy sporo do obejrzenia - odparł Howard.

Kiedy w nowym banku będzie już miał sekretarkę z prawdziwego zdarzenia, ta, do cholery, nie będzie mu zadawać takich pytań. Będzie mogła sobie pozwalać jedynie na: „Tak, panie Dutton” i nie będzie go pytać, czy wyjeżdża z biura na całe popołudnie.

Terenowy GM Tommy'ego parkował pod pewnym kątem do krawężnika. Nie zamierzali jechać do Woody Dells na długo, a już na pewno nie mieli w planach żadnego intensywnego jeżdżenia po trudnych wertepach, nie potrzebowali więc samochodu terenowego. Ktoś inny mógł przyjechać po Howarda, jednak gdyby nie zabrali na ten wyjazd samochodu terenowego, wzbudziłoby to niepotrzebne zainteresowanie Prissy.

Ruszyli North Broad Street, wyjechali z miasta, przecięli autostradę i ujechali jeszcze dwie mile. Potem skręcili w lewo i ruszyli w górę stromego wzgórza. Na wzgórzu stała tablica o wymiarach regularnego billboardu. Wielkimi literami wypisano na niej: „WOODYDELLS. Wspaniałe miejsce do zamieszkania. Domy od 19 550 dolarów. Federalna Administracja Mieszkaniowa, Administracja Wojskowa i zwykłe hipoteki. Miller County Construction Company, spółka akcyjna”.

Rosły tu kiedyś drzewa, sosny posadzone dla celów przemysłowych w ramach programu rekultywacji terenów wiejskich prowadzonego na dużych obszarach. W tym wypadku chodziło o pola wyjałowione z powodu wieloletniej uprawy bawełny.

Niedaleko bramy wjazdowej (dwa filary z cegieł, od których w obie strony na długości pięćdziesięciu jardów rozciągał się druciany płot na sosnowych palach) stały dwa wzorcowe domy. Przed każdym na trawniku wbito tabliczkę: „UMEBLOWANE WZORY. O szczegóły pytać przedstawicieli handlowych”. Nieopodal wznosił się szkielet trzeciego budynku. Po ukończeniu on także miał być wzorem.

Za wzorcowymi domami biegła trzypasmowa asfaltowa aleja, ograniczona betonowymi krawężnikami, a tabliczki z nazwami głosiły, że jest to Broad Vista Avenue. Poszczególne domy oddzielały od siebie węższe ulice, dwupasmowe, również z nawierzchnią z asfaltu. Wszędzie widać było, że praca wre. Buldożery wyciągały z ziemi sosnowe pniaki razem z korzeniami, wyrównywały powierzchnię, wytyczały ulice, a ciężarówki bez przerwy wywoziły wyrwane pnie do wytwórni papieru w Mobile. Zespoły mężczyzn układały betonowe płyty, zespoły stolarzy wycinały drewniane elementy nowych domów.

- Chcesz mi pokazać coś konkretnego? - zapytał Tommy.

- Nie - odparł Howard. - Po prostu chodziło mi o to, żeby powiedzieć Prissy nazwę miejsca, do którego jedziemy.

- Tak myślałem.

Tommy przejechał do końca utwardzonej drogi, niemal zatrzymał samochód, po czym powoli z niej zjechał. Silnik GM wył na niskim biegu, sunąc gruntową drogą gotową do asfaltowania, ale po chwili auto zjechało na nierówny teren i sunęło powoli za ciężarówkami z drewnem.

- Do diabła, dokąd mnie wieziesz? - zapytał Howard.

- Kiedyś strzelałem tutaj do przepiórek - odparł Tommy. - Zdziwisz się, jak blisko jest stąd do autostrady.

W tym samym momencie Howard ją zobaczył. Gotów byłby przysiąc, że autostrada powinna się znajdować przynajmniej milę dalej; przecież przemierzał te wzgórza na piechotę od najmłodszych lat. Teraz przez niemal ćwierć mili Tommy jechał wzdłuż autostrady po nierównym terenie, aż wreszcie znalazł miejsce, w którym dał radę wjechać na nią stromym wzniesieniem.

Trzydzieści minut później Tommy wjechał samochodem terenowym na teren stacji sprzedaży Dothan Ford and Mercury i zaparkował.

Wymarzone auto stało na eksponowanym miejscu, gdzie każdy odwiedzający mógł je zobaczyć. Miało krzykliwy czerwony kolor, jak wozy straży pożarnej, i jaskrawo lśniło w blasku słońca. Jego dach był opuszczony. Koła miały białe felgi, białe też były winylowe siedzenia samochodu.

Całość robiła wielkie wrażenie.

- I co pan o tym sądzi, burmistrzu Dutton? - zapytał właściciel Dothan Ford i Mercury, potrząsając jego ręką. Potrzebujesz akurat takiego auta, prawda, Tommy? - dodał, zwracając się do Tommy'ego Z. Watersa.

- Szkoda, że nie mogę sobie na nie pozwolić - odparł Tommy.

- Poproszę o papiery - powiedział Howard Dutton. - Ja wypiszę czek. Tommy zaprowadzi samochód do mojego domu.

Doniczki z roślinami i kolorowe kanapy zostały usunięte z drogi, po czym otwarto podwójne szklane drzwi salonu. Tommy bardzo ostrożnie wyjechał kabrioletem na zewnątrz. Kiedy obracał kierownicą, opony cicho piszczały na wypolerowanym linoleum, a odgłos pracującego silnika przypominał płynącą motorówkę.

- Panie burmistrzu - powiedział Tommy. Zawsze nazywał go w podobnych sytuacjach burmistrzem, w ten sposób podkreślając swój szacunek. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, ja już pojedę.

- Bądź ostrożny.

- Przyjadę dokładnie o wpół do ósmej.

- Tylko nie nawal.

Nie obchodziło go, cholera, zupełnie go nie obchodziło, co będzie miała do powiedzenia Prissy. No i kiedy Tommy przyjechał dokładnie o wpół do ósmej wieczorem, rzeczywiście gadała jak najęta. A przecież tak naprawdę to liczyło się tylko to, że do końca życia Melody będzie pamiętała, że gdy miała osiemnaście lat, jej ojciec podarował jej ognisty kabriolet marki Ford, z białymi siedzeniami i wszelkimi bajerami, jakie Ford wówczas montował, łącznie z klimatyzacją i poduszkami powietrznymi. To właśnie będzie pamiętała ukochana córeczka tatusia, wspaniały gwiazdkowy prezent, jaki od niego otrzymała.

A Prissy? Do diabła z Prissy.

IX

1

Fort Rucker, Alabama

22 grudnia 1955

Generał major Angus Laird wyszedł ze swojego gabinetu i opuściwszy głównymi drzwiami budynek dowództwa Fort Rucker, skierował się ku dwumiejscowemu helikopterowi Bell H-13D Sioux. Był to specjalny H-13D. Chociaż żadnymi mechanizmami nie różnił się od innych H-13D należących do Centrum Lotnictwa, pomalowany był na białą. (Inne maszyny malowano na kolor khaki.) Jego fotele były obite białą skórą, a po obu stronach kabiny umieszczone były czerwone tabliczki o wymiarach osiem na dziesięć cali, z dwiema srebrnymi gwiazdami generała majora (drugą gwiazdkę Scotty Laird otrzymał w ubiegłym miesiącu).

Generałowi Lairdowi często przychodziła do głowy myśl, że ten helikopter jest latającym następcą jeepa generała Pattona. Patrząc na niego, nie można było mieć wątpliwości, do kogo należy. Było to jasne jak słońce.

Generał Laird, podobnie jak generał Patton, wierzył, że generałowie powinni zdecydowanie wyróżniać się na tle oddziałów, którymi dowodzą.

Obszedł maszynę, dokonując wzrokowej inspekcji przedstartowej. Potem zasiadł w fotelu pilota i zapiął pasy bezpieczeństwa. Na czapkę z dwiema srebrnymi gwiazdkami założył słuchawki z mikrofonem. Nacisnął na tablicy rozdzielczej przycisk głównego włącznika i poczuł, jak zaczynają wirować żyroskopy sztucznego horyzontu. Częstotliwość radia nastawił na stanowisko kontroli Lotniska Wojskowego w Ozark. Następnie przekręcił przełącznik uruchamiający silnik. Starter zaszumiał, silnik przez chwilę kaszlał niebieskim dymem, po czym zaczął pracować.

Uruchomienie helikoptera jest o wiele trudniejsze niż uruchomienie jeepa, jednak gra była warta świeczki. Jeepem jechałby do Hanchey, gdzie właśnie rozpoczynano przeobrażanie 3500 akrów zalesionej gliny i piasku w największe na świecie lotnisko, przeznaczone wyłącznie dla helikopterów, przynajmniej pół godziny. Helikopterem dotrze tam najpóźniej za dziesięć minut.

Strzałki wskaźników pracy silnika i temperatury oleju osiągnęły na okrągłych tarczach zielone pola, dając sygnał, że maszyna jest gotowa do lotu.

Wirnik nad głową generała pracował w regularnym rytmie. Laird włączył mikrofon.

- Kontrola Ozark, tu Centrum Sześć.

- Słyszę cię, Centrum Sześć.

- Centrum Sześć, jestem na ziemi przed budynkiem dowództwa. Proszę o zgodę na lot na niskiej wysokości w kierunku Hanchey - powiedział generał.

- Kontrola Ozark zezwala Centrum Sześć na lot w kierunku Hanchey. Proszę uważać na inne maszyny w powietrzu. Miłego lotu, generale.

- Dziękuję. Centrum Sześć, startuję.

Generał uniósł helikopter w powietrze, przeszedł na lot poziomy, opuścił nos maszyny i zaczął przyśpieszać nad placem apelowym. Co za wspaniałe uczucie. Czuł się, jakby był ptakiem. Wzniósł maszynę sto stóp wyżej, przeleciał nad rzędem baraków, po czym, dalej się wznosząc, skręcił w lewo.

Wznoszenie się było najlepszą częścią lotu, niemal jak wspaniałe sen. Pociągając za drążki, można się było czuć jak w osobistej windzie.

Generał Laird lubił to uczucie. Ustawił drążki na odpowiednich pozycjach i patrzył na wskaźniki obrotów wirnika i silnika; oba znajdowały się na tym samym zegarze. Igły wskaźników powinny nakładać się na siebie. Jeśli pilot zwiększał obroty, próbował wycisnąć z silnika więcej mocy, niż ten był w stanie osiągnąć, zwykle popadał w kłopoty. Generał nie zamierzał jednak ryzykować. Nie był głupcem. W powietrzu zawsze był bardzo rozważny i latał bezpiecznie.

Znalazł się właśnie nad sosnowym lasem otaczającym Hanchey.

Jego wzrok spoczął na wysokościomierzu. W rzeczywistości urządzenie zawsze wskazywało wysokość sprzed kilku sekund. Teraz wysokościomierz wskazywał 1000 stóp, co oznaczało, że helikopter leci na wysokości 1200, może 1300. Wystarczająco, jak na ten lot.

Generał zaczął właśnie zmniejszać wysokość, kiedy silnik za jego plecami jakby zakaszłał. Po chwili dźwięk się powtórzył. I nagle silnik umilkł. Strzałki wskazujące obroty wirnika i silnika rozdzieliły się. Ta od silnika, poruszywszy się w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, natychmiast opadła na zero. Strzałka miernika obrotów ruszyła w drugim kierunku, wolniej, lecz nieuchronnie. Generał przytrzymał drążki kolanami i sięgnął ku włącznikowi silnika. Usłyszał wycie i odniósł wrażenie, że silnik kaszlnął.

W ciągu ostatnich kilku sekund, zanim biały H-13D zetknął się z koronami sosen, generał major Laird zrozumiał, co się stało.

Oblodzenie gaźnika! Oblodzenie gaźnika! Jeśli chcesz się wznosić tak szybko, musisz włączyć ogrzewanie gaźnika. W przeciwnym wypadku gaźnik, wciągając powietrze, traci temperaturę w takim tempie, że zamarza wilgoć zawarta we wciągany powietrze i w efekcie ustaje przepływ paliwa.

Helikopter opadał. Generał nacisnął jeszcze główny przełącznik, wyłączając wszystkie systemy.

Sioux, którym leciał generał major Laird, uderzył w ziemię pod kątem trzydziestu stopni, przy prędkości dziewięćdziesięciu węzłów. Helikopter zerwał korony z pierwszych dwóch drzew, z którymi się zetknął, po czym centralnie uderzył w następne drzewo. Pień przebił pleksiglasową obudowę i tablicę rozdzielczą, przyciskając ciało generała do fotela. Ułamek sekundy później silnik, wyrwany z ramy, uderzył w tył fotela. Generał prawdopodobnie nie żył już, kiedy paliwo zaczęło wylewać się z potrzaskanych zbiorników i wsiąkać w jego kombinezon.

Młodszy chorąży Edward C. Greer znajdował się w tym momencie za sterami H-19 w odległości jakichś dwóch mil. Wracał z Montgomery w Alabamie, z Air War College. Załatwił tam jakąś sprawę dla pułkownika Bellmona i teraz ćwiczył lot na niskiej wysokości. Zgodnie z procedurami obowiązującymi w Centrum Lotnictwa Wojsk Lądowych dowódcy maszyn, którzy zamierzali opuścić obszar kontroli Centrum lub ćwiczyć lot na niskiej wysokości, powinni każdorazowo uzyskiwać zgodę oficera operacyjnego Lotniska Wojskowego w Ozark.

Kiedy jakaś jednostka opuszczała obszar kontroli, zwykle chodziło o podwiezienie jakiegoś oficera, do Montgomery albo do Atlanty, ponieważ cywilne połączenia z Dothan były po prostu kiepskie. W wypadku ćwiczeń lotów na niskich wysokościach oficer zasadniczo kierował jednostką nad te obszary nad obozem, które były płaskie.

Młodzi chorążowie nie mogli odmawiać lotów w celu przewiezienia starszych oficerów ani protestować, że jedynym celem ćwiczeń lotów na niskich wysokościach jest nauka latania pomiędzy wzgórzami i górami albo przelatywania pod liniami wysokiego napięcia.

Polityka Agencji Rozwoju Lotnictwa Wojskowego Stanów Zjednoczonych, nieoficjalnie oczywiście, polegała po prostu na ignorowaniu procedur Centrum Lotnictwa Wojsk Lądowych i na stosowaniu własnych. Greer zameldował się przez radio operatorowi z Centrum, startując z Lotniska Wojskowego w Ozark, po czym zrobił to samo natychmiast po wylądowaniu w Bazie Sił Powietrznych Maxwell, informując, że jego lot zakończył się bezpiecznym lądowaniem.

Połączył się też z panią Heatter na krótko przed startem z Maxwell. Już miał sięgnąć po mikrofon, by zameldować swój powrót nad Rezerwat Rucker, kiedy zobaczył, że z nieba spada Sioux.

Natychmiast przełączył się na częstotliwość 121,5 megacykla i zawołał:

- MAYDAY! MAYDAY!

Wykonał ostry skręt ku miejscu katastrofy, równocześnie gwałtownie wytracając wysokość.

- Jednostka nadająca MAYDAY, mów!

- H-13 spadł w połowie drogi pomiędzy Hanchey a obozem - poinformował Greer. - Nie ma śladu ognia. Ląduję.

- Rozbił się?

- Spadł mniej więcej z wysokości sześciuset stóp. Więc chyba się rozbił.

Greer uniósł nos Chocktawa, żeby zmniejszyć prędkość, i po chwili wylądował na ziemi, tak blisko wraku H-13, jak tylko się dało. Wypiął się z pasów i wyskoczył z kabiny. Nogą nie trafił na sprężynowy schodek w burcie, więc odepchnął się, by skoczyć jak najdalej od helikoptera. Upadł boleśnie na plecy i na moment stracił oddech. Zanim doszedł do siebie, minęło kilka sekund.

Zerwał się i ruszył biegiem pomiędzy sosnami w kierunku rozbitego helikoptera. Dopiero kiedy znalazł się na tyle blisko niego, by poczuć zapach paliwa lotniczego, rozpoznał białą maszynę komendanta obozu. Zobaczył potrzaskaną kabinę, a w niej ciało spoczywające w nienaturalnej pozycji.

Znów poczuł zapach paliwa.

Sukinsyn mógł w każdej chwili wybuchnąć.

Gdyby nastąpił wybuch, z ciała pilota nie pozostałoby nawet tyle, żeby wypełnić zwykłe wiadro.

Greer podbiegł do maszyny, zadrżał i natychmiast zwymiotował, zobaczywszy zdeformowane ciało generała. Zaraz jednak nad sobą zapanował, sięgnął do kabiny i podjął próbę wydostania zwłok na zewnątrz. Automat zwalnający pasy bezpieczeństwa był potrzaskany. Greer sięgnął więc po nóż, który nosił w kieszeni na łydce kombinezonu. Nóż ten wyprodukowano jako bagnet do karabinu M1.

Sierżant Ed Greer skrócił go o połowę, zanim opuścił 223.

Pułk Piechoty, przechodząc do XIX Korpusu. Był bardzo ostry i właściwie został użyty tylko raz (podczas przeprawy przez zasraną indochińską dżunglę z MacMillanem i Felterem), udowadniając, że można nim cicho i szybko zabić człowieka. Był o wiele lepszy

niż sztylet, znajdujący się na wyposażeniu angielskich komandosów, uważany przez wielu za wart więcej niż czterdzieści pięć dolców, które trzeba było za niego zapłacić.

Greer przeciął pasy na klatce piersiowej i na udach generała, po czym wytaszczył zwłoki z helikoptera. Złapał je pod pachami i zdołał odejść na odległość dwudziestu jardów, kiedy maszyna eksplodowała.

A potem ciało zaczęło się palić. I on sam też: popatrzył na swój kombinezon i stwierdził, że pali mu się na piersiach. Po chwili płonęły rękawy, nogawki, a nawet skórzane lotnicze rękawiczki. Błyskawicznie zerwał je z dłoni i zaczął ciągnąć za długi suwak zamka błyskawicznego znajdującego się z przodu. Błądził palcami po omacku, coraz bardziej przerażony. Na moment zdołał się uspokoić, złapał kombinezon oburącz na piersiach i rozerwał. Wyskoczył z płonącego kombinezonu i zaczął sypać piasek na płonące zwłoki.

Kiedy kilka minut później na miejscu pojawił się helikopter medyczny, Greer miał na sobie jedynie buty i majtki. Siedział na ziemi obok zwłok, które wyciągnął z rozbitego helikoptera, i próbował wymiotować, tylko nie bardzo miał czym.

2

Fort Rucker, Alabama

23 grudnia 1955

DOWÓDZTWO

PORT RUCKER I CENTRUM LOTNICTWA WOJSK LĄDOWYCH

PORT RUCKER, ALABAMA

23 grudnia 1955

Temat: Obchody świąt Bożego Narodzenia

Adresaci: Wszystkie Jednostki podległe CLWL

Do wiadomości: Zarząd Lotnictwa Wojsk Lądowych USA

Agencja Rozwoju Lotnictwa Wojsk Lądowych USA

Jednostki Testowe i Pomocnicze Lotnictwa Wojsk Lądowych USA

1. Pani Angusowa Laird poinformowała niżej podpisanego, że ona sama oraz inni członkowie rodziny zmarłego generała majora Angusa Lairda, doceniając przekazywane im wyrazy współczucia, nie chcą, aby śmierć generała Lairda w jakikolwiek sposób zakłóciła obchody świąt Bożego Narodzenia i powitania Nowego Roku, uprzednio zaplanowane w Fort Rucker.

2. Nie należy zatem odwoływać żadnych uroczystości uświetniających Boże Narodzenie oraz nadejście Nowego Roku.

3. Uroczystość żałobna ku czci generała majora Angusa Lairda odbędzie się na Placu Paradnym nr 2 w dniu 26 grudnia 1955 o godzinie 8.15. Spodziewane jest uczestnictwo wszystkich podległych jednostek.

4. Generał major Angus Laird zostanie pochowany na cmentarzu Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych w West Point w dniu 26 grudnia 1955 o godz. 16.00.

William P. Adair

pułkownik, Korpus Inżynieryjny

pełniący obowiązki dowódcy

Jeśli chodzi o protokół, armia nie ma pojęcia, w jaki sposób odnosić się do cywilnych dygnitarzy. Jest taka tendencja, by zrównywać cywilnych przedstawicieli okolicznych społeczności z wojskowymi.

Prissy (pani Howardowa) Dutton słabo знаła Jeannie (panią Angusową) Laird, ale kiedy razem ze swoją córką Melody pojawiła się w kwaterze generalskiej, żeby złożyć wyrazy współczucia wdowie, obie natychmiast zostały wprowadzone do pokoju (do wczoraj gabinetu Scotty'ego), gdzie wdowę otaczały żony najstarszych oficerów z Fort Rucker. Prissy Dutton była żoną burmistrza, a zatem kobietą równą pozycją w stosunku do Jeannie Laird.

Zobaczywszy ją, Jeannie Laird ucieszyła się, i to nie ze względu na spodziewane zwyczajowe kondolencje, ale ze względu na naturalną ofertę pomocy, która - rzecz jasna - im towarzyszyła.

- Tak, rzeczywiście, mogłaby mi pani pomóc.

- Zrobię wszystko, co tylko będę mogła - odparła Prissy.

- Przyjechała pani samochodem? - zapytała Jeannie Laird.

- Przyjechałyśmy samochodem córki.

- Chciałabym się dostać do szpitala - powiedziała Jeannie Laird. -1 to jak najszybciej. Mogłabym pożyczyć wasz samochód? A może Melody mogłaby mnie podwieźć?

- Oczywiście - natychmiast zgodziła się Prissy. - Czy chce pani, abym jechała z wami?

- Nie. Ale chciałabym, żeby Melody podjechała samochodem pod drzwi kuchenne. Wybiegnę i szybko wskoczę do środka, żeby mnie nikt nie zobaczył. To nie potrwa długo. To dla mnie bardzo ważne.

W kabriolecie, w drodze do szpitala, Jeannie Laird powiedziała Melody, że wypadek jej męża widział pilot innego helikoptera. Pilot ten natychmiast wylądował i pośpieszył z pomocą. Wyciągnął z wraku zwłoki generała, jednak sam został ciężko poparzony.

- Myślę, że go odznaczą - mówiła Jeannie Laird. Chciałabym jednak podziękować mu osobiście.

Kiedy podjechały pod szpital, Jeannie posłała Melody do środka, żeby zapytała, w którym budynku i w której sali leży chorąży Edward C. Greer. Kiedy Melody wróciła, Jeannie wskazała jej drogę w labiryncie zabudowań szpitalnych.

- Jest pani doskonale zorientowana - zauważyła Melody.

- Pracowałam tutaj przez trzy popołudnia w tygodniu. Dwa razy w tygodniu pchałam wózek z książkami z biblioteki, a raz w tygodniu na oddziale położniczym uczyłam młode matki, jak mają myć swoje dzieci. - Urwała. - Chyba będzie mi tego brakowało.

Pokazała Melody, gdzie ma zaparkować samochód, tuż obok dwóch budynków połączonych wewnętrznym korytarzem, po czym przeprowadziła ją przez drzwi, nad którymi widniała tabliczka: WYJŚCIE AWARYJNE. WSTĘP WZBRONIONY.

Melody podążyła za nią wyłożonym lśniącym linoleum korytarzem w kierunku oddziału oparzeń. Nie wiedziała, co powinna teraz robić. Nie chciała oglądać poparzonych ludzi, jednak nie mogła się wycofać.

Jeannie Laird zapukała do kolejnych drewnianych drzwi, które mijali, i nie czekając, weszła do sali chorych.

Na łóżku leżał młody mężczyzna. Obie dłonie miał owinięte bandażami. Kolejne bandaże spowijały jego nagą klatkę piersiową i prawą nogę.

Oprócz tego miał na sobie jedynie luźne spodnie od pidżamy. Prawa nogawka była przycięta nad kolaniem.

W rozchyłonym rozporku Melody zobaczyła włosy łonowe żołnierza. Zarumieniła się i odwróciła wzrok. Mężczyzna w ogóle nie miał brwi. Tam, gdzie powinny się znajdować, skóra pokryta była różową maścią. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że jego brwi się spaliły. Wyglądał zbyt młodo, aby mógł zrobić to, co według pani Laird zrobił.

- Drogie panie, przykro mi to mówić, ale chyba trafiłyście w niewłaściwe miejsce - odezwał się.

- Chyba nie. Jestem Jeannie Laird.

- Jezu! - zawołał Greer i zaraz dodał: - Przepraszam. - A to jest Melody Dutton. Była tak uprzejma, że mnie tutaj podwiozła.

- Cześć - powiedziała Melody.

Greer popatrzył na nią i tylko lekko skinął głową.

- Chciałam panu podziękować, panie Greer. Za to, co pan zrobił dla Scotty'ego.

- Nie ma za co dziękować.

- Wszyscy mi mówią, że odszedł z tego świata szybko, że nie cierpiał - mówiła Jeannie Laird. Greer pokiwał głową. - Jeśli to prawda, chciałabym ją usłyszeć od pana. Tylko pan to wszystko widział, nikt inny.

- Odszedł szybko.

- Czy kiedy pan tam dotarł, on już nie żył?

- Tak - odparł Greer. - Zginął w momencie uderzenia helikoptera w ziemię.

- Dlaczego więc... Dlaczego pan podejmował takie ryzyko? Dlaczego...

Greer patrzył przez chwilę na Jeannie, po czym wzruszył ramionami.

- Zrobił pan to bardziej dla mnie niż dla mojego męża, prawda? - zapytała Jeannie.

Dopiero po chwili Melody zdała sobie sprawę, że pani Laird pyta, dlaczego Greer zaryzykował własne życie, wyciągając zwłoki z wraku helikoptera. Ale zaraz przysła jej do głowy odpowiedź: ponieważ w przeciwnym razie ciało generała całkowicie by spłonęło.

- Zrobiłem to, ponieważ chciałbym, żeby ktoś inny zrobił coś takiego, gdyby chodziło o moje zwłoki.

- ' Jeśli będzie to dla pana miało jakieś znaczenie, powiem panu, że Scotty zrobiłby to samo dla pana, gdyby sytuacja była odwrotna. Jestem tego pewna - powiedziała Jeannie Laird. Jej głos załamał się i przez chwilę się wydawało, że zaraz się rozplacze. Jednak zapanowała nad sobą. - Przyniosłam panu coś, panie Greer - dodała. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej lekko sfatygowaną srebrną piersiówkę.

- Nie chcę tego - powiedział Greer niepewnie.

- Gdyby nie pan, spłonęłaby.

- Jezu! - westchnął Greer.

- Jestem pewna, że Scotty chciałby, żebym to zrobiła. - Jeannie położyła butelkę na łóżku.

Greer niezgrabnie podniósł piersiówkę zabandażowanymi rękami. Melody dostrzegła, że w jego oczach lśnią łzy.

- W środku coś jest - zauważył.

- Chyba więc powinniśmy to wypić - powiedziała Jeannie. - Nie sądzi pan?

- Dlaczego nie? - Głos Greera drżał.

Jeannie wzięła piersiówkę, otworzyła ją i przechyliła.

- Dobra brandy - powiedziała. - Była lekarstwem Scotty'ego na wszystko.

Wyciągnęła rękę, chcąc mu ją podać, gdy dotarło do niej, że z obandażowanymi dłońmi jest praktycznie bezradny.

Przytknęła mu ją więc do ust. Żołnierz pociągnął duży łyk brandy. Następnie Jeannie podała butelkę Melody. Dziewczyna nie chciała pić alkoholu prosto z piersiówki, a już tym bardziej takiej, która należała do zmarłego człowieka. Zdała sobie jednak sprawę, że w tej chwili nie powinna odmawiać.

Poczuła płomień w gardle i natychmiast zaczęła kaszleć.

- Pani przyjaciółka nie jest chyba przyzwyczajona do alkoholu - powiedział Greer.

Otworzyły się drzwi. Bob i Barbara Bellmon chcieli wejść do sali, ale na chwilę zatrzymali się w progu, ujrawszy, że Greer ma gości. Rozpoznali jednak obie kobiety i zaraz weszli.

- Jak się czujesz, Jeannie? - zapytał pułkownik Bellmon.

- Właśnie wypiliśmy po łyku - odparła kobieta. - Poznajesz to, Bob?

- Bez wątpienia.

- Scotty woził ją przez dwadzieścia lat. A nawet dłużej.

- Najlepiej będzie, jeśli pani ją zatrzyma - odezwał się Greer. - Ale bardzo dziękuję za poczęstunek.

- Powiedziałam panu Greerowi, że Scotty chciałby, aby ją zatrzymał. Mam rację? - zapytała Jeannie.

- Całkowitą-odparła Barbara Bellmon. - Całkowitą. Pułkownik Bellmon wziął piersiówkę do ręki, potrząsnął nią, a potem otworzył.

- Twoje zdrowie, Scotty - powiedział. Upił duży łyk, po czym podał butelkę swojej żonie.

Barbara Bellmon wypila łyk w milczeniu.

Przez dłuższą chwilę, piersiówka krążyła pomiędzy osobami zgromadzonymi przy łóżku Greera, Melody nie wyłączając. Jeannie Laird i Barbara Bellmon na zmianę przytykały ją do ust Greera.

- No i wszystko wypiliśmy - stwierdziła Jeannie. Chociaż pewnie nie oddaliśmy panu Greerowi największej przysługi.

- Rozmawiałem przed chwilą z lekarzem - powiedział pułkownik Bellmon. - Jutro już zdejmą mu niemal wszystkie bandaże, z wyjątkiem tych na dłoniach. Chłopak wygląda gorzej, niż wskazuje na to jego stan.

- Cholera, a miałem nadzieję na trzydziestodniowy urlop rekonwalescencyjny - mruknął Greer.

- Masz go jak w banku.

- Żartowałem, sir.

- A ja nie - odparł Bellmon. - Z mocy władzy, nadanej mi przez Boga i moich przełożonych, po konsultacji z komendantem szpitala i lekarzem pilotów przyznałem ci, poczynszy od północy dnia dzisiejszego, trzydziestodniowy urlop na dojście do zdrowia.

- Dziękuję, sir.

- Czy będę mogła pomóc panu w powrocie do domu? zapytała Jeannie Laird. Zwróciła się do Bellmona: - Chyba możemy załatwić mu przelot do domu, prawda, Bob?

- Będzie mógł polecieć, dokądkolwiek zechce - odparł pułkownik Bellmon.

W tej odpowiedzi zabrzmiała jakaś nieczysta nuta, którą Melody natychmiast podchwyciła.

- Muszę wracać do domu - powiedziała Jeannie Laird. Podeszła do łóżka, chwyciła rękę Greera nad bandażami i potrząsnęła nią. - Jeszcze raz panu dziękuję, panie Greer.

- Bardzo pani współczuję, panie Laird.

- Jeśli znalazłoby się dla mnie miejsce w samochodzie, chętnie wrócę razem z tobą - odezwała się Barbara. - Bob mógłby mnie później odebrać od ciebie.

W samochodzie pani Laird powiedziała:

- Wspaniały młody człowiek. A przecież to jeszcze dzieciak. Zwykle wyobrażam sobie chorążych jako łysiejących facetów w średnim wieku.

- Jest jeszcze za młody, żeby brać udział w wyborach - zauważyła Barbara Bellmon. - Albo pić alkohol. Ale pewnie słyszałaś o jego wyczynach z MacMillanem w Indochinach?

Jeannie Laird nie słyszała, więc Barbara jej opowiedziała. A Melody Dutton, zafascynowana opowieścią, słuchała jej z podziwem. Potem, ponieważ trzeba było rozmawiać o kimś innym niż Scotty Laird, Barbara opowiedziała Jeannie, co jeszcze wiedziała na temat młodszego chorążego Edwarda C. Greera.

- Bob musiał uzyskać na jego temat wszelkie informacje ze źródeł wywiadowczych i FBI, kiedy występował dla niego o prawo dostępu do informacji niejawnych - mówiła. -

Czyta się to jak jakąś tanią powieść. Wychowywał się w wesołym miasteczku. Jego ojciec prowadził gabinet osobliwości. Matka, która nie raczyła wcześniej wyjść za jego ojca, uciekła od nich, kiedy chłopak miał cztery miesiące. Wychowywały go więc kobiety, z którymi akurat bywał ojciec, zależnie od swoich kaprysów.

- To straszne - westchnęła Jeannie Laird.

- Później zajęła się nim pewna protokolantka sądowa z Indiany - kontynuowała Barbara. - Zlitowała się nad nim i zabrała go do siebie do domu, kiedy jego ojciec poszedł do więzienia. Nauczyła go używać jednej z tych małych maszynek...

- Do stenografowania?

- Właśnie. Ale Greer uciekł od niej i wstąpił do armii. Pracował dla E. Z. Blacka i Black posłał go do szkoły pilotów.

- A więc chłopak nie ma rodziny? - zapytała Jeannie Laird.

- Ojca, ale ten ciągle jest w więzieniu.

- Zatem gdzie spędzi ten leczniczy urlop?

- Pewnie tu, na miejscu, w swojej kwaterze. Och, zaprosiliśmy go na Boże Narodzenie, oczywiście. To samo zrobiła Roxy MacMillan. Mac zawdzięcza Greerowi życie, a Roxy potrafi postawić na swoim, kiedy chce, więc Greer pewnie jej nie odmówi. Chyba nie lubi życia rodzinnego.

Melody Dutton powtórzyła tę historię jeszcze tego samego wieczoru przy kolacji, nie podając jednak szczegółów, które - wiedziała - mogłyby doprowadzić ojca i matkę do szału. W jej wersji młodszy chorąży Greer był sierotą, który nie miał się gdzie podziać w czasie świąt.

Tak jak przypuszczała, jej matkę rozczuliła opowieść o sierocie, który nie miał z kim zjeść kolacji w wieczór wigilijny. Następnego dnia zatelefonowała więc do młodszego chorążego Greera na jego kwaterę. Greer grzecznie jej jednak podziękował i dodał, że już wcześniej umówił się na ten wieczór z kimś innym.

Po raz kolejny Melody zobaczyła go w czasie uroczystości ku czci generała Lairda na Placu Paradnym nr 2. Pani Laird dopilnowała, żeby zapewniono mu miejsce w sektorze dla VIP-ów, w sekcji przeznaczony dla „przyjaciół rodziny”.

Melody stwierdziła, że ktoś musiał go ubrać w mundur wyjściowy, ponieważ jego dłonie nadal były opatulone bandażami. Zobaczyła, że zastępca szefa sztabu wojsk lądowych, generał E. Z. Black, wyraźnie znudzony, kiedy go przedstawiano jej ojcu, ujrzawszy Greera, mocno go uściskał.

Usłyszała też, co do niego powiedział, nie do końca zdolny do zapanowania nad swoimi emocjami.

- Cholera, Greer, cieszę się, że cię widzę.

- Niech to szlag, szefie - odparł Greer, po czym i on, i zastępca szefa sztabu roześmieli się.

Potem podeszła do niego matka Melody i powiedziała do niego:

- Panie Greer, zaprosiliśmy kilka osób na skromny poczęstunek po uroczystości. Chcielibyśmy, żeby pan także przyszedł. Oczywiście zawieziemy pana i odwieziemy.

Kiedy matka z nim rozmawiała, Greer patrzył na Melody. To spowodowało, że poczuła dziwne ukłucie w podbrzuszu, a kiedy zobaczyła, że Greer kiwa potakująco głową, przyjmując zaproszenie, poczuła, że jej serce bije trochę szybciej.

Po zakończeniu uroczystości zwłoki generała Lairda w trumnie owiniętej flagą narodową przetransportowano z czołgu M-48, na którym dotychczas spoczywały, do helikoptera H-34, który miał je przewieźć na Lotnisko Wojskowe w Ozark. Tam czekał już samolot sił powietrznych, który miał z nimi polecieć do West Point. Na jego pokładzie mieli też się znaleźć generałowie, którzy przybyli na uroczystość.

Tymczasem matka Melody podeszła do Greera, ujęła go pod rękę i poprowadziła do rodzinnego mercury'ego.

Jechał na przednim siedzeniu obok ojca i przez całą drogę do Ozark nie odezwał się ani słowem. Melody dostrzegła, że ma na szyi szramę. Zaciekawilo ją, czy ranę odniósł jako dziecko, na przykład skacząc przez płot, czy już jako żołnierz.

W domu Duttonów tak się starał nikomu nie rzucać w oczy, jak tylko mógł. Melody znalazła go w końcu w gabinecie swojego ojca. Bez wielkiego powodzenia próbował zabandażowanymi rękami przerzucać kartki jakiegoś kolorowego czasopisma.

Przyniosła mu talerz pełen smakołyków z bufetu i zaczęła go karmić. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, znowu poczuła słabe ukłucie w podbrzuszu.

- Chyba nie czuje się pan tu zbyt dobrze, prawda? - zapytała.

Tylko popatrzył na nią w milczeniu.

- No dobrze. Zawiozę pana do Fort Rucker.

- Dziękuję.

Po drodze zapytała go znowu:

- Gdzie pan zamierza spędzić wieczór sylwestrowy?

- Prawdopodobnie w klubie. Nie w głównym klubie. W przybudówce.

- A kto będzie panu podawał drinki?

- Czego pani ode mnie chce?
- Liczę na zaproszenie.
- A niby dlaczego? Niech mi pani nie mówi, że nikt jeszcze pani nie zaprosił.
- Zaprosi mnie pan czy nie?
- Chyba niezbyt pani do mnie pasuje.
- Tego się nie dowiemy, jeśli się lepiej nie poznamy - zauważyła Melody.
- Nie będzie pani chciała spędzić wieczoru w przybudówce.
- Chcę go spędzić z panem w głównym klubie. Przyjadę po pana. W końcu nie może pan prowadzić samochodu, prawda?
- Prowadziłem na plac - odpowiedział. - Nie ma problemu.

Zinterpretowała to jako zgodę. Podwiózłszy go do jego samochodu, wróciła do domu i zadzwoniła do chłopaka, z którym była umówiona w Ozark Country Club. Powiedziała mu, że jest jej bardzo przykro, ale nie będzie mogła się wyrwać do miasta.

W ciągu następnych kilku dni próbowała trzykrotnie dodzwonić się do Greera, ale ani razu nie podniósł słuchawki. W sylwestra już o wpół do siódmej ubrała się w wieczorową sukienkę na wąskich ramiączkach. Jeszcze raz do niego zadzwoniła. Tym razem jego telefon był zajęty.

Próbowała wielokrotnie, ciągle z takim samym skutkiem, uznała więc, że Greer zdjął słuchawkę z aparatu, albo przypadkowo, albo celowo.

Kiedy nie pojawił się u niej do wpół do ósmej, zaczęła się zastanawiać, czy właściwie ma odwagę, żeby pojechać do niego. Bała się, że go wystraszyła. Kiedy nadszedł czas, by rodzice wyszli na zabawę do Fort Rucker, a Greera nadal nie było, okłamała ich. Powiedziała, że chłopaka coś zatrzymało i trochę się spóźni. W związku z tym dołączyła trochę później.

Gdy zrobiło się wpół do dziewiątej, a Greer nadal się nie pojawiał, wyszła z domu, wsiadła do forda i płacząc, wmawiała sobie, że musi przynajmniej pojechać na jego kwaterę i powiedzieć mu, co o nim myśli. Skoro nie chciał jej zabrać na zabawę, powinien przynajmniej jej o tym powiedzieć.

Przecież czekała na niego w wieczorowej sukience przez cały wieczór, a on się po prostu nie pojawił.

Kiedy dojechała do Fort Rucker, zdała sobie sprawę, że nawet nie wie, gdzie Greer mieszka. Zawróciła i podjechała do posterunku żandarmerii przy bramie. Uprzejmy żołnierz, który nie pozostawił wątpliwości, że ma przed sobą przepiękną kobietę, wyszukał nazwisko młodszego chorążego Greera w wewnętrznej książce telefonicznej. Okazało się, że ma kwaterę w budynku T-108, tuż za halą sportową.

Melody bez problemów znalazła T-108, jeden spośród trzech identycznych piętrowych budynków stojących w długim rzędzie. Samochód Greera - jako jedyny - stał na parkingu.

Jego nazwisko wypisane było na małej kartonowej tabliczce przyklejonej do drzwi na pierwszym piętrze.

Zapukała.

- Odpierdol się ode mnie! - zawołał Greer przez drzwi.

Melody zaczerwieniła się i odwróciła na pięcie, żeby odejść. Ale zaraz zdała sobie sprawę, że Greer przecież nie mógł wiedzieć, że to właśnie ona przyszła do niego.

Wróciła pod drzwi i uniosła rękę, żeby zapukać raz jeszcze. Ale nagle zmieniła zdanie i po prostu otworzyła drzwi.

Greer siedział na tapicerowanym krześle. Na kolanach miał jakieś kolorowe czasopismo, a na stoliku obok stała butelka whisky i jedna szklanka.

Kiedy zobaczył Melody, odwrócił wzrok. Następnie wstał i wyjrzał przez okno. Melody zobaczyła, że chłopak ubrany jest jedynie w fioletowy szlafrok i białe spodnie od pidżamy.

Przed krzesłem stały białe szpitalne kapcie. Pomyślała, że wszystko to ukradł. A potem przyszło jej do głowy, że przecież gdyby wiedziała, że chłopak nie ma własnego szlafroka ani pidżamy, kupiłaby mu je w prezencie na Boże Narodzenie.

- Co ci strzeliło do głowy? - zapytał, stojąc tyłem do Melody. - Dlaczego przyszłaś na kawalerską kwatere?

- Zdaje mi się, że byliśmy umówieni - odparła.

- Rzeczywiście, zdaje ci się. Ja się z tobą nie umawiałem.

- Puściłam kantem innego chłopaka, żeby się z tobą spotkać.

- Jezu!

Melody zaczęła płakać.

- Na miłość boską! - zawołał Greer. - O co ci właściwie chodzi?

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? - zapytała Melody przez łzy. - Mogłeś przynajmniej zadzwonić.

- Myślałem, że dostałaś wiadomość. Właściwie czego ode mnie chcesz?

- W taki sposób zamierzasz spędzić sylwestra? Sam? Upijając się w samotności? Właściwie dlaczego?

- Posłuchaj, Melody, czy jak ci tam na imię...

- Cholernie dobrze wiesz, jak mi na imię!

- Posłuchaj, kochanie... Przecież nie możesz się wiązać z kimś takim jak ja.

- Dlaczego nie?

- Bo jestem pieprzonym żołnierzem, oto dlaczego. I jest coś jeszcze... - dodał ponuro.

- Twój ojciec jest w więzieniu. O to ci chodzi?

- Do diabła, kto ci o tym powiedział? - zapytał Greer, autentycznie zaskoczony. - Tak, o to mi chodzi. Między innymi.

- Nie boję się ciebie. I nie obchodzi mnie twój ojciec - powiedziała Melody.

- Tak, ale poczekaj, aż jego wielmożność burmistrz się dowie...

- I tylko to cię gnębi?

- Na początek.

- Gdzie jest twój mundur? Powiedziałam ojcu i matce, że się z nimi spotkamy w klubie. I tak właśnie się stanie.

- I co będzie ze mną, kiedy on się dowie? - zapytał Greer. - O moim ojcu, oczywiście. A przede wszystkim nie powiesz mi, że będzie zadowolony, że się spotykasz z żołnierzem.

- Gdzie jest twój mundur? - powtórzyła Melody.

Nie usłyszawszy odpowiedzi (ale przynajmniej nie powiedział jej, żeby się wynosiła), zaczęła go szukać. Zorientowała się, że jego kwatera składa się z dwóch pomieszczeń: czegoś w rodzaju salonu, gdzie się znajdowali, oraz sypialni.

W sypialni stała garderoba bez drzwi, zasłonięta jedynie bawełnianą kotarą. Odsunęła ją i zobaczyła, że w środku znajduje się mnóstwo mundurów.

- Który? - zapytała.

Popatrzyła za siebie ponad ramieniem. Greer stał w progu.

- Co, zamierzasz mnie ubrać?

Popatrzyła mu w oczy.

- Tak - odparła. - Przecież sam się nie ubierzesz.

- Ten niebieski - powiedział.

Melody odwróciła się i wydobyła z garderoby niebieską bluzę mundurową oraz spodnie.

- Połóż to po prostu na łóżku - jęknął Greer.

Położyła kurtkę.

- Wyciągnij z szuflady komody białą koszulę. - Kiedy wysuwała po kolei szuflady w poszukiwaniu właściwej, Greer dodał: - Chryste, przecież będziesz musiała włożyć mi skarpetki.

- Usiądź, to to zrobię.

Greer usiadł na łóżku. W jednej z szuflad Melody znalazła skarpetki, a potem przypomniała sobie o bieliźnie.

W kolejnej szufladzie natrafiła na bokserki i podkoszulek. Pomyślała o krawacie. Nie potrafiła wiązać krawatów. Co na to poradzić?

Podeszła do chłopaka. Unikał jej wzroku. Melody ukucnęła przed nim, zmusiła się do śmiechu i powiedziała:

- Nie mam w tym wielkiego doświadczenia.

Naciągnęła mu na stopę pierwszą skarpetkę. Po chwili podniosła wzrok, z widocznym zadowoleniem.

- No, jedną już mamy. Jeszcze jedna.

- Cholera jasna! - krzyknął Greer, jakby go coś bolało.

Przekręcił się na łóżku, próbując wstać. Kiedy stanął na nogach, zobaczyła jego twarde, sterczący członek, wystający z rozporoka pidżamy.

Pomyślała, że to dlatego, że przez dłuższy czas patrzył na jej sukienkę i dekolot.

- Dlaczego sobie stąd nie pójdziesz? - zapytał.

- Najwyraźniej dlatego - Melody usłyszała własne słowa - że nie mam na to ochoty.

- Nie kuś mnie - jęknął Greer. - Do jasnej cholery, nie kuś mnie.

- Wcale nie zamierzam cię kusić.

- Czy wiesz, co się stanie z twoją małą szkolną dupcią, kiedy natychmiast stąd nie wyjdiesz?

Melody Dutton jak we śnie wyprostowała się, wygięła całe ciało i sięgnęła ręką za plecy, ku zamkowi błyskawicznemu wieczorowej sukienki. Sukienka miała wszyty biustonosz, dlatego, kiedy z niej wyszła, miała na sobie tylko skąpe majtki. Popatrzyła Greerowi w oczy i ściągnęła także majtki. Podeszła do niego i rozwiązała sznurek przy jego spodniach. Następnie położyła się na łóżku.

- Ty mała głupia gówniario - powiedział do niej Ed Greer kilka minut później. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo chciałam.

- Nigdy dotąd nie bzykałam dziewicy.

- No i jak było? - zapytała Melody ze złością, świadoma, że jest bliska łez.

- Jezu - odparł Greer. Przytulił ją i już wszystko było w porządku.

- Bolały cię ręce? - znowu zapytała Melody. Usiadła i delikatnie ujęła jego zabandażowane dłonie.

- To bez znaczenia.

Melody uśmiechnęła się do niego.

- Wcale tak mocno nie bolało - powiedziała. - Jeśli o tym myślisz.

- Ale bolało?

- Tylko chwilkę.

- Jesteś pewna? Mam nadzieję, że nie zrobiłem ci krzywdy.

Melody pochyliła się nad nini i pocałowała go.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedziała.

- Twoi rodzice! - przypomniał sobie Greer. - Są w klubie.

W tej samej chwili, w której zobaczył Melody i żołnierza z poparzonymi rękami zmierzających przez parkiet w kierunku jego stolika, Howard Dutton wszystko zrozumiał.

W oczach Melody zobaczył coś (bynajmniej nie poczucie winy), czego nigdy do tej pory nie widział. Później dostrzegł jeszcze inne dowody, na przykład rumieniec na twarzy córki i sposób, w jaki młodzi na siebie patrzyli.

Prissy niczego nie zauważyła. Tego się należało spodziewać. Prissy była zbyt głupia. Widziała w tym chłopaku jedynie sierotę, który potrzebował rodziny.

Ale Howard Dutton wiedział. Kiedy chłopak poszedł do toalety, powiedział do Melody, że to nadzwyczajny młody człowiek.

- Chcę za niego wyjść, tatusiu - odparła, a on wcale nie był tą odpowiedzią zdziwiony.

Ponieważ Howard wiedział, że nie jest w stanie nic poradzić, powiedział spokojnie:

- Porozmawiamy o tym, kochanie.

Postanowił, że po pierwsze wydostanie chłopaka z wojska. Nie chciał, żeby Melody jeździła za nim po całym świecie jak markietanka. Chciał, żeby życie spędziła tutaj, w Ozark. A dla jej chłopaka też znajdzie się tu miejsce. Jeśli nie w banku, to w jednej z wielu firm.

X

1

Konsulat Generalny Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej

Algier, Republika Francuska

22 czerwca 1956

Major Craig W. Lowell i sierżant William H. Franklin, siedzący w fotelu obok niego, lecieli Hillerem H-23 Ravenem nad pustynią, zmierzając od Atlasu w kierunku północnym, dopóki nie dotarli do Morza Śródziemnego. Wtedy skręcili w prawo i lecąc nisko nad morzem, kilkaset jardów od linii brzegu, wzdłuż plaż i nadmorskiej szosy, dotarli do Algieru. Wtedy Lowell wznosił helikopter na wysokość tysiąca stóp i przeleciał nad miastem, prosto do portu lotniczego.

Szef załóg wyszedł ku nim, jeszcze zanim wyłączyli silnik. Poinformował majora Lowella, że attache wojskowy - sztywny i nieprzyjemny pułkownik piechoty - chce go natychmiast widzieć.

Po chwili szef dodał z wielkim zdumieniem:

- Jezu! Widzieliście to?

Wskazał na część ogonową Hillera, podziurawioną przez kule przynajmniej w pięciu miejscach.

- Tak - odparł sierżant Franklin z ponurym sarkazmem. Był wysokim czarnoskórym chłopakiem o przyjemnej twarzy. Miał dwadzieścia jeden lat. - Przypadkowo byłem w maszynie, kiedy to się stało.

- Bill, dokładnie to obejrzyj i zrób zdjęcia - polecił mu major Lowell. - Najpierw z wierzchu, a potem zdejmij pokrycie i zobacz, czy nie ma jakichś uszkodzeń wewnętrznych.

- Cholera, majorze! - zawołał po chwili sierżant Franklin. Uważnie oglądał szkody wyrządzone przez kule. W spodniach i koszuli koloru khaki wyglądał jak postać z obrazu Normana Rockwella. - Mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu.

- Te maszyny są jednak znacznie wytrzymalsze, niż się wydaje - powiedział Lowell. - Nie było tak źle. Do roboty.

- Jeszcze chwilę, niech tylko przestanę robić w gacie.

Sierżant Franklin otworzył kasetę szesnastomilimetrowej kamery marki Paillard Bolex, wyciągnął z niej naświetlony film i załadował następny. Lowell kupił tę drogą szwajcarską kamerę, kiedy się okazało, że obsługa kamery enemo sprawia sierżantowi Franklinowi poważne kłopoty.

- Jak mi się ręce nie przestaną trząść, to zdjęcia będą niewyraźne - dodał.

Lowell poklepał go po ramieniu.

- Jestem pewien, że zrobisz dobrą robotę, jak zwykle - powiedział.

- Pewnie, majorze. Wszystko dla pana majora - burknął Franklin, idealnie naśladowując tępego Murzyna z Południa.

Lowell niemal czule klepnął go w bark, wysiadł z helikoptera i poszedł do swojego jaguara. Ruszył w kierunku konsulatu, zastanawiając się po drodze, czy iść do attache tak jak stoi - to znaczy w rozchełstanej, przepoconej tropikalnej koszuli z krótkim rękawem i równie przepoconych spodniach - czy też zatrzymać się na chwilę w swoim apartamencie w Hotel d'Angleterre przy alei Focha i przebrać się w coś, co by lepiej współgrało z formalną atmosferą Konsulatu Generalnego. W końcu uznał, że się przebierze. Attache wojskowy był przecież sztywnym starym draniem; a Lowell nie potrzebował na koniec równie kiepskiego raportu o przydatności do służby jak ten, który otrzymał od podpułkownika Whitera.

Przebrany zaparkował jaguara za elegancką barokową willą, w której mieścił się konsulat, i wszedł do środka tylnymi drzwiami, przepuszczony bez słowa przez pilnującego ich Marineę. Kiedy zobaczył, że attache wojskowy ma na sobie tego dnia biały mundur, ucieszył się, że przebrał się w świeżą wełnianą tropikalną kurtkę mundurową i spodnie. Rozpoczął spotkanie od rytuału:

- Panie pułkowniku, major Lowell melduje się na rozkaz.

Stał na baczność tak długo, dopóki attache wojskowy nie dał mu łaskawego sygnału, żeby przyjął postawę „spocznij”. Wydawało się to cokolwiek idiotyczne w barokowym splendorze willi, wyczuwał jednak, że pułkownik właśnie takiego zachowania oczekuje.

- Spocznij, Lowell. Napije się pan czegoś, żeby przepłukać gardło?

- Będę niezmiernie wdzięczny za wódkę z tonikiem, sir.

- Ale nie pogardzi pan także odrobiną porządnej szkockiej?

- Przyjmę ją z równą wdzięcznością, sir.

- No i jak poszło? - zapytał attache.

Z szuflady ogromnego mahoniowego biurka wyciągnął butelkę szkockiej i dwie eleganckie kryształowe szklaneczki.

- Wysadzili półtorej kompanii: kompanię plus pół plutonu wsparcia z ciężką bronią i sekcję łączności w ciągu mniej więcej pięciu minut. Wszystko to pod ogniem z broni automatycznej, który oceniłbym jako średni, chwilami przechodzący w ciężki - odparł Lowell.

- Z czego strzelano?

- Chyba z niemieckich M6 i amerykańskich trzydziestek. Sądzę, że również z paru półcalówek.

- I żaden helikopter nie został zestrzelony?

- Wszystkie szczęśliwie wylądowały. Kilka z nich trzeba będzie albo naprawić na miejscu, albo zniszczyć. W takim stanie, jak są teraz, nie polecą.

- I ma pan to wszystko na taśmie filmowej?

- Tak, sir.

- Naprawdę jestem zaskoczony - przyznał pułkownik. - Postawiłbym duże pieniądze na to, że sprawny żołnierz z karabinem maszynowym Browning jest w stanie zestrzelić taką maszynę z nieba jak rzutkę.

- H-21 są bardzo wytrzymałe. Zresztą wszystkie helikoptery z tej serii. Ja sam otrzymałem kilka kul w kadłub Ravena i nie miałem o tym pojęcia, dopóki nie wylądowałem.

- Z sierżantem Franklinem wszystko w porządku?

- Tak. Możemy mu zapłacić dodatek za służbę z narażeniem życia?

- Niestety, nie dysponuję takimi środkami. Zostały zlikwidowane. Nawet nie mogę dać mu dodatku za służbę w powietrzu. Ale mogę mu zwiększyć dodatek mieszkaniowy. Płaci za to Departament Stanu, i to bez większych oporów. Jeśli chodzi o kwoty, Franklin wyjdzie na tym lepiej, niż gdyby dostał pieniądze za narażenie życia i za służbę w powietrzu. niesprawiedliwe to; powinien mieć płacone za to, że naraża własną dupę, jednak chociaż tyle mogę dla niego zrobić.

- Dziękuję, sir. Doceniam pańskie wysiłki.

- Chyba nie wywiera pan na niego presji, Lowell? To znaczy, na pewno jest ochotnikiem?

- Tak jest, sir.

- Nie lubię, jak się żołnierzy do czegoś przymusza - powiedział pułkownik i na tym samym oddechu dorzucił: - Co ma pan zamiar zrobić ze swoim raportem o przydatności do służby?

- Słucham?

- Czekam na pańskie „Uwagi do oceny i zarzutów”.

- Wszystkie zarzuty są słuszne, sir.

- Gówno prawda. Jest pan winien zamoczenia fiuta, a nie „prowadzenia się sugerującego brak wysokich standardów moralnych, wymaganych od oficera”. Nigdy pan nie awansuje, jeśli nie zrobi pan nic, żeby usunąć to ze swoich akt.

- Po prostu nie wiem, co mógłbym w tym celu zrobić, sir - przyznał Lowell.

Pułkownik wyciągnął z szuflady kartkę i przypięte do niej kopie różnych pism. Rzucił dokumenty na biurko.

BIURO ATTACHE WOJSKOWEGO
KONSULAT GENERALNY STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI
PÓŁNOCNEJ

ALGIER, ALGERIA

APO 303, C/O POSTMASTER, NOWY JORK, N. J.

201-LOWELL, Craig W., major 0439067

21 czerwca 1956

PRZEDMIOT: Poprawki do raportu o przydatności do służby z 30 listopada 19% oraz dołączonych zarzutów

DLA. Sekretarza do spraw Wojsk Lądowych

Departament Wojsk Lądowych

Waszyngton 25

W związku z trakiem konkretnych i udokumentowanych zarzutów, które dotyczyłyby moralności niżej podpisanego, niżej podpisany protestuje niniejszym wobec tonu i wymowy przedmiotowego raportu o przydatności do służby, a także wobec załączonych niekonkretnych zarzutów i wnosi o wymazanie ich z jego akt

Craig W. Lowell

major artylerii

asystent attachtf wojskowego

Załącznik nr 1

Biuro Attachtf Wojskowego
Konsulat Generalny Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej
Algier, Algieria, Francja
DLA. Szefa Sztabu Armii Lądowej Stanów Zjednoczonych
Waszyngton

1. Rekomenduję wyrażenie zgody.

2. W okresie, w którym niniejszy oficer pełnił służbę w Biurze Attachtf Wojskowego przy Konsulacie Generalnym USA w Algierze, pozostawał pod ścisłym a osobistym nadzorem i obserwacją ze strony niżej podpisanego. Nie tylko zademonstrował najwyższe osobiste standardy, jakich należy się spodziewać po oficerze, ale niemalże codziennie ryzykował życie, obserwując akcje armii francuskiej przeciwko algierskim buntownikom.

3. Dowodem na to, że sposób jego postępowania rzuca znakomite światło zarówno na Stany Zjednoczone, jak i na Armię Stanów Zjednoczonych, jest list rekomendujący Konsulatu Generalnemu (w załączeniu) oraz pochwała towarzysząca przyznaniu niniejszemu oficerowi przez generalnego gubernatora Algierii, w imieniu Republiki Francuskiej, Orderu Kawalerskiego Orderu Legii Honorowej. (Tłumaczenie listu pochwalnego zostaje również załączone. Medal i list pochwalny zostały przesłane, kanałami Departamentu Stanu, do Biura Łączności z Kongresem, z prośbą o zgodę Kongresu na wyróżnienie zagranicznym odznaczeniem oficera pełniącego służbę w czasie pokoju.)

4. Dla niżej podpisanego jest jaane, na podatawie dwudziestu dziewięciu lat służby oficerskiej, że oficer ten został niesprawiedliwie osądzony w wyniku czyjejś osobistej zemsty, najprawdopodobniej spowodowanej zazdrością. Oficer ten nie tylko uzyskał promocję na obecny stopień na długo przed innymi żołnierzami o identycznym stażu służby, lecz bez wątplenia predestynowany jest, jeżeli zaniecha się dalszych drobnych szykan przeciwko niemu, do uzyskania wyższego stanowiska i znacznie większego zakresu odpowiedzialności.

5. Niżej podpisany został upoważniony do stwierdzenia, że konsul generalny w pełni zgadza się z tym stanowiskiem.

Ralph G. Iemes
pułkownik piechoty
attaché wojskowy

Załącznik był już podpisany.

- Nie wiem, co powiedzieć, sir - wydukał Lowell.

- Niech pan przede wszystkim nie wierzy w te górnolotne dyplomatyczne sformułowania. I, na miłość boską, niech pan od teraz trzyma ptaka w spodniach:

- Nie musiał pan tego robić, sir - zauważył Lowell.

- Nie. Nie musiałem.

Minęły dwa miesiące, zanim nadeszła odpowiedź.

KWATERA GŁÓWNA

DEPARTAMENT WOJSK LĄDOWYCH

WASZYNGTON

26 października 1956

Major Craig W. Lowell

Biuro Attachtf Wojskowego

Konsulat Generalny Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej

Algier, Algieria, Francja

(Poczta dyplomatyczną)

Drogi majorze Lowell.

Niniejsze pismo stanowi odpowiedź na pański list z dnia 21 czerwca 1956, dotyczący poprawek do raportu o przydatności do służby, oraz w związku z załącznikiem, w kwestii pańskiej służby w Oddziale Lotnictwa przy Dowództwie 7. Armii Stanów Zjednoczonych.

Dotyżący pana raport o przydatności do służby i dołączone do niego wnioski zostały starannie przeanalizowane i ustalono, co następuje.

Będąc przydzielonym do Oddziału Lotnictwa przy Dowództwie 7. Armii Stanów Zjednoczonych, major Lowell w sposób satysfakcjonujący wykonywał wszystkie obowiązki, jakie przed nim stawiano.

Dlatego też z przebiegu służby usunięty zostaje poprzedni raport o przydatności do służby, a na jego miejsce umieszczony zostaje nowy następującej treści.

..Podczas przydziału do Oddziału Lotnictwa przy Dowództwie 7. Armii Stanów Zjednoczonych major Lowell w pełni satysfakcjonująco wykonywał wszystkie zleczone obowiązki. Ponieważ okoliczności uniemożliwiają weryfikację, że ocena prywatnych zachowań majora Lowella jest taka sama jak; w czasie przydziału do Biura Attache

Wojskowego Konsulatu Generalnego Stanów Zjednoczonych w Algierii, sekretarz do spraw Wojsk Lądowych wyraża przekonanie, że sędzię to sprawiedliwe rozwiązanie prokleau., i prosi anie, aty przekazać paAU najlepsze życzenia pomyślnej kariery".

Z poważaniem,
Ellwood P. Doudt
generał aa jor
asystent specjalny sekretarza Arai

Z tych dwóch faktów: pieprzenia żony podkomendnego i zmuszenia poprzedniego dowódcy, by wycofał raport, jeśli nie chce publicznie ogłosić, czyja to była żona, Lowell bardziej wstydził się drugiego. To przecież naprawdę było postępowanie niegodne oficera i dżentelmena.

Zawstydziło go to jeszcze bardziej, ponieważ bezwzględnie był winny i obawiał się, że Whitters nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Jeśli kiedykolwiek w przyszłości otrzyma przydział, na którego podstawie będzie mu podlegał - a nawet jeśli będzie służył na stanowisku równoległym - otrzyma zapewne fatalny raport o przydatności do służby i nie będzie mógł wyrazić nawet słówka protestu.

Jego rozkazy przyszły po miesiącu, a przysłał je asystent specjalny sekretarza Armii:

DOW. WIDZ. WOJSK LĄDOWYCH 16 GRU 1956
ATTACHE WOJSKOWY
KONSULAT GENERALNY USA
ALGIER, ALGERIA

MAJOR ARTYLERII CRAIG W. LOWELL 0439067, ODBYW. SŁUŻBĘ W BIURZE ATTACHE WOJSKOWEGO W KONSULACIE GENERALNYM USA W ALGIERZE, ALGERIA, ODBĘDZIE PODRÓŻ POWIETRZNYMI ŚRODKAMI TRANSPORTU WOJSKOWEGO LUB CYWILNEGO DO PORT LEAYENWORTH, ST. KANSAS, GDZIE ZGŁOSI SIĘ NAJPÓŹNIEJ DO GODZ. 24.00 W DNIU 6 STYCZ 1957, W CELU PRZYSTĄPIENIA DO KURSU NR 57-1 W KOLEGIUM SZTABU GENERALNEGO. W TRAKCIE PODRÓŻY WW. STAWI SIĘ NAJPÓŹNIEJ DO GODZ. 12.00 DNIA 29 GRU 1956 W BIURZE ŁĄCZNOŚCI WOJSK. W PENTAGONIE,

WASZYNGTON D. C. OPICER UPRAWNIONY JEST DO PRZETRANSPORTOWANIA
PRYWATNEGO SAMOOHO. ORAZ RZECZY OSOBISTYCH. NIE DOPUSZCZA SIĘ
MOŻLIWOŚCI OPÓZNIENÍ, ZE WZGLĘDU NA NAGŁĄCE TERMINY.

ZA ADIUTANTA GENERALNEGO

STANLEY G. MILLER

PULKOWNIK ARTYLERII

To było więcej, niż mógł się spodziewać nawet w najśmielszych przypuszczeniach. Roczny „długi” kurs w Kolegium Sztabu Generalnego. Jeśli jeszcze kiedyś miał otrzymać awans, zanim komisja promocyjna dwukrotnie by go pominęła, co mogło oznaczać tylko wyrzucenie z wojska, lub jeśli kiedykolwiek jeszcze miałby objąć jakiekolwiek poważne stanowisko dowódcze czy chociażby odpowiedzialne stanowisko w sztabie, musiał odbyć ten kurs. Teraz, skoro został na niego skierowany, zdał sobie sprawę, jak długo unikał wszelkiej myśli o swoich szansach na poważną karierę w wojsku. Praktycznie żył z dnia na dzień.

Zastanawiał się, dlaczego skierowanie na ten kurs przyszło akurat teraz. Podejrzał, że miało to coś wspólnego z protestowaniem jego raportu o przydatności do służby.

Może zaczęto o niego pytać, ktoś do kogoś' zadzwonił w jego sprawie i tak dalej. Uznał, że prawdopodobnie chodzi właśnie o to i że telefony kierowano do ludzi, na przykład do Paula Jiggsa, którzy gotowi byłiby postawić na niego ostatnie pieniądze.

Nie miał najmniejszego pojęcia, czym było „BIURO ŁĄCZNOŚCI WOJSK.”, w którym miał się zgłosić. Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszał.

Pułkownik Lemes zapytał go, co zamierza zrobić z jaguarem. Pod wpływem impulsu Lowell zaproponował, że sprzeda mu samochód, i wymienił kwotę, która - jak później stwierdził - była znacznie niższa od wartości rynkowej auta. Pułkownik z miejsca na nią przystał. Później jeszcze Lowell kilkakrotnie się zastanawiał, czy pułkownik po prostu skorzystał z nadarzającej się okazji, czy też - na zasadzie „coś za coś” - uznał możliwość zakupu jaguara po znacznie zaniżonej cenie za wyraz wdzięczności ze strony Lowella za uratowanie kariery.

Waszyngton

29 grudnia 1956

Lowell wrócił do domu przez Paryż, po raz pierwszy w życiu odbywając międzykontynentalną podróż odrzutowcem. Noc spędził w Broadlawns, w Glen Cove, i rano złapał pierwszy samolot do Waszyngtonu. Z zamiarem wywołania pewnego zamętu zatelefonował do swojego kuzyna Portera i powiedział mu, że po rozmowach w Waszyngtonie na temat swojego przyszłego przydziału zamierza podjąć decyzję, czy pozostać w wojsku, czy odejść. Zaraz jednak sprawę przemyślał i obawiając się, że Porter z kolei zatelefonuje do senatora, szybko zadzwonił do niego ponownie i odwołał swoje słowa.

BIURO ŁĄCZNOŚCI WOJSK, okazało się małym, trzypokojowym oddziałem w drugim od środka spośród pięciu kręgów biur Pentagonu. Czekano tam na niego i niemal natychmiast lśniący samochód sztabowy przewiózł go przez Potomac do centrum Waszyngtonu. Samochód wjechał do podziemnego garażu w wielkim budynku. Tam powitał go młody człowiek w nieskazitelnie czystym i odprasowanym cywilnym ubraniu. Przedstawiał się jako kapitan Jakiś-tam i natychmiast wprowadził go do windy, która dotarła bezpośrednio do pokoju konferencyjnego na piątym piętrze.

Jak wyjaśnił kapitan, major Lowell został zaproszony w celu przedłożenia „rutynowego sprawozdania”.

Nieskazitelny kapitan miał przy sobie notes z wpinanymi kartkami. Kiedy dołączyła do nich sekretarka z maszyną do stenopisania, jaką widuje się w sądach, kapitan otworzył notes i zaczął zadawać pytania. Lowell był autentycznie zdumiony zasobem informacji zawartym w samych tylko pytaniach. Kapitan nie tylko znał nazwiska większości francuskich oficerów, z którymi kontaktował się Lowell, ale miał na ich temat mnóstwo wiadomości.

Kiedy padły już wszystkie pytania i odpowiedzi, przyciemniono światła i ktoś włączył projektor slajdów. Slajdy wyodrębniono z wielu mil taśmy filmowej, którą nakręcił sierżant Bill Franklin na temat działań Armii Francuskiej (głównie Legii Cudzoziemskiej i spadochroniarzy) przeciwko algierskim buntownikom. Każdy slajd stanowił pytanie, na które film nie udzielił odpowiedzi.

W trakcie prezentacji do pokoju wszedł ktoś jeszcze; usiadł przy drzwiach i bez słowa obserwował pokaz. Kiedy w końcu ponownie włączono światła, Lowell odwrócił się i zobaczył, że nowo przybyły to Sandy Felter. Miał na sobie cywilne ubranie.

- Skończył pan, kapitanie? - zapytał Felter.

- Tak.

W tonie głosu kapitana było coś, co podpowiedziało Lowellowi, że darzy Sandy'ego Feltera czymś znacznie głębszym niż zwyczajowy respekt podwładnego wobec przełożonego.

- A więc zabiorę go teraz do domu i nakarmię - stwierdził Sandy. Podszedł do Lowella i wyciągnął rękę.

- Nie wiedziałem, że zna pan majora.

- Och, znam, znam. Major Lowell i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

W volkswagenie Sandy'ego, w drodze na dalekie przedmieścia Alexandrii, Sandy powiedział:

- Jakby co, to moi sąsiedzi nie wiedzą, że jestem wojskowym.

- Bo chyba jesteś teraz superszpiegiem, co?

- Nic z tych rzeczy - odparł Sandy. Zaraz zmienił temat i zaczął pytać Lowella o P. P.

Sharon wydała obiad, co oznaczało, że Sandy wcześniej wiedział, iż Lowell przyjedzie. Do diabła, co tu było grane?

- Skąd zdobyłeś mój film? - zapytał. - Wysłałem go do Billa Robertsa.

- Poprosiliśmy Robertsa o ten film i go skopiowaliśmy - odparł Sandy.

Taka odpowiedź właściwie niczego nie wyjaśniała, niosła jedynie nowe pytania.

Sandy i Sharon mieli teraz dwójkę dzieci, a Sharon była w zaawansowanej ciąży. Wysłuchawszy opowieści o Elizabeth, stwierdziła, że Lowell dobrze zrobił, pozostawiając P. P. w Niemczech pod jej opieką.

Noc spędził u Feltera na kanapie, która po rozłożeniu stała się wygodnym łóżkiem. Nad ranem Sandy odwiózł go do hotelu, gdzie przebrał się w świeży mundur, po czym obaj powrócili do ponurego budynku. Sandy zaparkował volkswagena w wydzielonym, zarezerwowanym sektorze niedaleko windy.

Lowell zdał sobie sprawę, że Sandy jest tutaj ważną figurą. Zaraz roześmiał się w głębi ducha. Sam stawał się szpiegiem, odnotowując w myślach drobne detale i wyciągając z nich wnioski.

Tym razem nie spędził tutaj dużo czasu. W czasie jego nieobecności wszystko, co zanotowała stenotypistka, zostało przepisane. Poproszono go, żeby przejrzał tekst i upewnił się, że wszystkie jego odpowiedzi zostały poprawnie zapisane. Kiedy skończył, pojawił się Felter i przeprosił, że nie może go odwiedzić na lotnisko. Powiedział, że kiedy tylko Lowell zjawi się w Leavenworth, powinien od razu zaplanować przyjazd do Waszyngtonu, żeby spędzić trochę czasu z nim i z Sharon.

Na zakończenie, właściwie zdawkowo, Felter zapytał Lowella, czy miałby jakieś sugestie, kto mógłby go zastąpić w Algierii.

Lowell był zaskoczony pytaniem. Jaki związek mógł mieć Felter z nominacjami oficerów?

- Myślałem, że jest jakaś szkoła dla attache - odparł.

- Nie chodzi mi o nikogo takiego. Chciałbym mieć tam kogoś takiego jak ty, kto nie potraktuje dwuletniego kontraktu jako okazji do dobrej zabawy. Potrzebuję kogoś, kto będzie przysyłał rzetelne raporty o tym, w jaki sposób Francuzi prowadzą tam wojnę. Bo wkrótce będziemy mieli własną i tym będziemy musieli się martwić.

- Odpowiedziałeś sobie na własne pytanie, Myszowaty - powiedział Lowell. - Potrzebujesz tam faceta, który potrafi latać helikopterem i nie boi się zestrzelenia. Kto mówi po francusku. I, co więcej, kogo nikt nigdzie indziej nie potrzebuje.'

Felter uśmiechnął się do niego.

- A właściwie czym się teraz zajmujesz? - zapytał Lowell.

- A jaki masz interes, żeby wiedzieć, czym się zajmuję? - odpowiedział pytaniem Felter. Jego twarzy nie opuszczał uśmiech.

- Pieprz się, Myszowaty - zaproponował Lowell pieszczotliwie.

Następnie uściskał go i wsiadł do zwykłego (lecz bez wątplenia rządowego) chevroleta, którego kierowca zawiózł go na lotnisko.

Sandy Felter wrócił do biura.

Lowellowi poszło z Francuzami tak dobrze, dlatego że był typem walecznego żołnierza, który na dodatek mówił płynnie po francusku. Felter znał jeszcze jednego takiego żołnierza, który także latał na helikopterach i mówił po francusku. I był honorowym członkiem 3idme Regiment Parachutiste de la Legion etrangere.

Nie wiedział, czy żołnierz ten uzyska prawo dostępu do tajnych informacji, a był to tylko chorąży, co sprawy nie ułatwiało. Na szczęście szybkie awansowanie go na stopień oficerski raczej nie stanowiło problemu.

Zatelefonował do biura Łączności Wojskowej w Pentagonie i powiedział, że chce mieć na biurku teczkę chorążego Edwarda C. Greera, i to w ciągu godziny.

Kansas City, Missouri

15 stycznia 1957

Szef sprzedaży z Twin City Aviation, firmy obsługującej Kansas City w stanie Missouri i bliźniacze Kansas City w stanie Kansas, był w trzech czwartych przekonany, że traci czas, zajmując się przypadkowym klientem, który dopytywał się o możliwość wynajęcia albo kupienia samolotu.

Klient pojawił się pod drzwiami o wpół dziewiątej rano, trzydzieści minut przed godziną otwarcia Twin City Aviation. Był, cóż, dość krzykliwie ubrany (niewielu ludzi pozwalało sobie na noszenie jedwabnych fularów w rozpiętych kołnierzykach koszul) i oświadczył, że ponieważ będzie przebywał w okolicy mniej więcej przez dziesięć miesięcy, zastanawia się nad wynajęciem albo kupnem samolotu, żeby „być mobilnym”.

Sprzedawca powiedział mu, że z pewnością znalazł się we właściwym miejscu, po czym zapytał, jaki rodzaj samolotu by go interesował.

Facet w fularze i tweedowej marynarce ze skórzanymi łatami na łokciach odparł, że nie jest pewien i że cały pomysł z kupnem lub wynajęciem samolotu przyszedł mu do głowy właściwie dzisiaj rano.

- Jest pan pilotem, oczywiście?

- Tak - odparł.

Sprzedawca wyjrzał przez okno, żeby zobaczyć, jakim samochodem przyjechał klient. Był to czterodrzwiowy chevrolet. Nowy. Ale czy to mogło coś znaczyć?

Mogło znaczyć tyle, że mężczyzna jest potencjalnym klientem na Cessna 172, bardzo sympatyczny jednosilnikowy czteromiejscowy samolot, wyposażony w kompletny zestaw do nawigacji marki Narco. Samolot osiągał prędkość przelotową 120 węzłów i zużywał mniej więcej 6 galonów paliwa na godzinę lotu.

- Z przyjemnością zabiorę pana na małą przejażdżkę - powiedział sprzedawca. - Nie chciałbym pana na nic namawiać, jednak uważam, że jeśli będzie pan chciał latać regularnie, koszty wynajmu po prostu pana zjedzą. Sam pan rozumie, będziemy musieli liczyć koszty postoju, niezależnie od tego, gdzie będzie pan trzymał samolot, oprócz kosztów godzin w powietrzu, które przy długotrwałym regularnym wynajmie oscylować będą w granicach siedemnastu dolarów i pięćdziesięciu centów za godzinę.

- Nigdy nie latałem Cessna 172.

- To najłatwiejszy na świecie samolot do pilotowania zapewnił sprzedawca. - Jeśli popełni pan w powietrzu jakiś błąd, będzie pan miał jeszcze dziesięć minut, żeby go skorygować.

- No dobrze, wypróbujmy go więc.

Lecieli piętnaście minut w górę rzeki w kierunku Leavenworth i w czasie lotu sprzedawca się zorientował, że facet jest żołnierzem i odbywa służbę w szkole, którą armia prowadziła w Leavenworth dla ludzi, którzy mieli szansę awansować na pełnych pułkowników i generałów.

- Tutaj jest cała flota H-13 i L-19 - powiedział mężczyzna. - Służą do treningu. Ale ja jestem jeszcze młodym pilotem, co oznacza, że będę musiał latać w niedzielne poranki od trzeciej do szóstej.

- A więc jest pan żołnierzem?

- Majorem. Jednym z dwóch na kursie.

Sprzedawca pomyślał, że gość niczego nie kupi, bo major nie był w stanie nawet spłacić Cessny 172, nie wspominając o dodatkowych opłatach, w tym ubezpieczeniu i utrzymaniu samolotu. Na pewno nie z wojskowej pensji.

Zapewne zdecyduje się na wynajem na dziesięć godzin, a potem uzna, że lepiej będzie, jak sobie polata za darmo, nawet jeśli miałyby to oznaczać latanie, jak on to powiedział, „od trzeciej do szóstej w niedzielne poranki”.

- Dostyc na dzisiaj? - zapytał, jednocześnie wykonując skręt o sto osiemdziesiąt stopni i kierując samolot ku Kansas City.

- Tak. Chyba nic z tego.

- Niech pan posłucha. Mam kilka Piperów, których mógłby pan używać, jeśli podpisze pan umowę na, powiedzmy, pięćdziesiąt godzin lotów w ciągu sześciu miesięcy, w cenie dwanaście i pół dolara za godzinę. To są sympatyczne małe samoloty.

- Obawiam się, że to także nie będzie mi odpowiadać - odparł major.

Wylądowali i sprzedawca ustawił Cessnę 172 na miejscu postojowym. Ruszyli w kierunku biura.

- A co to jest? - zapytał mężczyzna, przyglądając się czemuś przez pleksiglasowe okno innego samolotu.

- Aero Commander - odpowiedział sprzedawca. - Właśnie go dostaliśmy.

- Przepiękny - stwierdził major Craig W. Lowell.

Nigdy dotąd nie widział takiej maszyny. Smukły lśniący kadłub o wysoko umieszczonych skrzydłach, dwa silniki.

Samolot wyglądał na bardzo szybki i pewnie był szybki.

Pomalowany był na białą z czerwonym wykończeniem.

- Jest cudowny - przytaknął sprzedawca. - To maszyna z klasą.

- Należy do was?

- Dopóki go nie sprzedamy, jest własnością naszą i First National Bank of Kansas City.

- Moglibyśmy się nim przelecieć?

Sprzedawcę zatchnęło - niektórzy ludzie bywają naprawdę bezczelni.

- Gdybym miał go wynajmować, czego na pewno nie zrobię, liczyłbym po sto dolarów za godzinę. Patrzy pan na maszynę wartą sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, majorze.

Major sięgnął do kieszeni, wyciągnął zwitek banknotów i oddzielił od niego jeden banknot studolarowy.

- Jeśli nie ma pan w tej chwili ważniejszych spraw, chętnie polecę tym samolotem - powiedział.

Sprzedawca dał się namówić - w ten sposób poranek nie będzie przynajmniej całkowicie stracony.

- Pójdę po kluczyki - powiedział i wsunął banknot do kieszeni.

- Odnoszę wrażenie,' że cholernie nudzi się panu na ziemi - powiedział major, kiedy byli już w powietrzu.

Nie prosił o możliwość przejęcia sterów, a sprzedawca mu tego nie zaoferował dopóty, dopóki zapłacona przez niego godzina lotu (właściwie czterdzieści pięć minut, kto by patrzył na zegarek?) niemal dobiegła końca.

Pozwolił majorowi wylądować. Oficer miał z tym trochę kłopotów, ponieważ kadłub Aero Commandera unosił się na kołach osiemnaście cali nad gruntem i żeby poprawnie wylądować, trzeba było mieć trochę wprawy. Podczas kilku pierwszych lądowań pilot zawsze zachowywał się tak, jakby chciał przelecieć nad całym pasem startowym.

Kiedy zatrzymali maszynę w rzędzie innych i wyłączyli silniki, sprzedawca zorientował się, że major bardzo niechętnie wysiada. Odwrócił się na miejscu drugiego pilota i rozejrzał po przedziale pasażerskim, wykończonym elegancką boazerią. Niemal z uwielbieniem przesunął palcami po najbliższym z czterech obitych skórą foteli.

- Bardzo piękny samolot - powiedział.

- Bez wątpienia.

- I, szczerze mówiąc, bardzo mi się podoba jego oprzyrządowanie - westchnął major, po czym odwrócił się do tablicy z przyrządami.

Samolot wyposażony był w najnowszy zestaw do łączności i nawigacji firmy Aircraft Radio Corporation.

Sprzedawca bez komentarza wstał z fotela pierwszego pilota i ruszył w kierunku wyjścia.

Major pozostał w środku jeszcze przez dwie minuty i dopiero wtedy wysiadł. Sprzedawcy wydawało się, że trwa to całą wieczność.

- Jak pan mówił, ile jest warte to cacko?

- Cena katalogowa z całym wyposażeniem wynosi sto dwadzieścia dziewięć tysięcy czterysta osiemdziesiąt dolarów.

- Ale przyjmie pan sto dwadzieścia pięć tysięcy gotówką? - zapytał major żartobliwym tonem.

- Zgadza się - powiedział sprzedawca z uśmiechem.

- A co pan powie na równe sto dwadzieścia tysięcy?

- Specjalnie dla pana gotów jestem sprzedać ten samolot za sto dwadzieścia tysięcy. Gotówką.

Sprzedawca czuł się doskonale. W końcu prawie godzinę polatał sobie Commanderem, a ten facet za to zapłacił.

Kiedy wrócili do biura i wzięli do ręki papier i ołówek, żeby wyliczyć koszty wynajęcia na pięćdziesiąt godzin Pipera, major zapytał go, czy może skorzystać z telefonu w celu przeprowadzenia rozmowy na koszt abonenta, z którym się połączy.

- Jasne. - Sprzedawca zgodził się bez problemów.

Major wykręcił numer w Nowym Jorku i zapowiedział rozmowę majora Craiga W. Lowella z Porterem Craigiem.

- Porter - powiedział, kiedy uzyskał połączenie. - Jestem teraz w Kansas City. Z kim tutaj prowadzimy jakieś interesy?

Zaraz przykrył mikrofon dłonią i zapytał sprzedawcę:

- Mówił pan, że waszym bankiem jest First National Bank of Kansas City, prawda?

- Zgadza się. Tak mówiłem.

- Za chwilę wypiszę bardzo poważny czek, Porter - powiedział major. - Konkretnie, czek na sto dwadzieścia tysięcy dolarów. I nie chcę czekać na jego potwierdzenie. Czy mógłbyś zadzwonić do tutejszego First National Bank i zrobić, co trzeba?

Sprzedawca patrzył na niego z zaskoczeniem i niedowierzaniem.

- Kupuję samolot, Porter, oto, co robię - mówił major. - Niech bank zatelefonuje do pana Sewilla z Twin City Aviation i poinformuje go, że mój czek ma pokrycie, dobrze?

Skończywszy rozmowę, poprosił o blankiet czeku i wypisał go. Na równe sto dwadzieścia tysięcy. W miejscu, gdzie należało wpisać nazwę banku, napisał: Craig, Powell, Kenyon i Dawes, Nowy Jork.

- Co to jest tutaj zamiast nazwy banku? - zapytał sprzedawca.

- To jest właśnie bank. A raczej grupa banków inwestycyjnych - wyjaśnił Lowell.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Bo w ogóle niewiele osób o nas słyszało. Niech pan posłucha, potwierdzenie tego czeku to kwestia trzydziestu minut. Jestem akurat w drodze do Nowego Orleanu. Potrzebne mi są mapy, no i muszę obejrzeć mój nowy samolot. Czy zechciałby mi pan już teraz wydać kluczyki?

Major się mylił, kiedy mówił, że czek zostanie potwierdzony w ciągu trzydziestu minut. Pięć minut później wiceprezes First National Bank of Kansas zatelefonował do Twin City Aviation i oznajmił, że bank otrzymał pilną telefoniczną wiadomość od prezesa Craig, Powell, Kenyon i Dawes z Nowego Jorku i że wolno mu przyjąć każdy czek wystawiony na Twin City Aviation przez majora Craiga W. Lowella do wysokości ćwierć miliona dolarów.

4

Fort Benning, Georgia

15 stycznia 1957

Podpułkownik J. Peter Hawkins, zastępca dowódcy Wydziału Taktyki Plutonu w Oddziale Taktycznym w Szkole Piechoty Armii Stanów Zjednoczonych, przed sześcioma miesiącami przedłożył (na warunkach AR 615-301 i Instrukcji Personalnej Departamentu Wojsk Lądowych 615-15) podanie o rozważenie jego kandydatury na stanowisko attache wojskowego.

Wkrótce potem dotarło do niego, że stał się obiektem dokładnej i wszechstronnej weryfikacji, prowadzonej wśród wojskowych przez funkcjonariuszy kontrwywiadu wojskowego, a na obszarach cywilnych przez Federalne Biuro Śledcze. Podpułkownik

Hawkins całkiem niedawno został poddany dokładnemu sprawdzeniu i został dopuszczony do dokumentów z klauzulą „ściśle tajne”. Widocznie to było jeszcze za mało.

Dwa miesiące wcześniej otrzymał rozkaz stawienia się do służby w 2. Dywizji Piechoty w Korei. Chociaż zakładał, że ten przydział oznacza odrzucenie jego starań o stanowisko attache wojskowego, nikt oficjalnie mu tego nie powiedział. Przygotowywał się więc do wyjazdu do Korei, co oznaczało, że zwalniając mieszkanie służbowe, musi znaleźć jakieś lokum dla żony i dzieci. Rodzin do Korei bowiem się nie zabierało, a rząd zapewniał tam kwatery tylko dla personelu skierowanego do służby.

Kupił czteropokojowy dom z dwiema łazienkami na niewielkim osiedlu w Columbus w Georgii, przejmując hipotekę po majorze artylerii, którego przeniesiono do Redstone w stanie Alabama, do magazynów uzbrojenia artyleryjskiego.

I niespodziewanie jego rozkazy stawienia się w 2. Dywizji Piechoty zostały anulowane. Otrzymał też telefon z Pentagonu, z biura zastępcy szefa sztabu do spraw personalnych, że w najbliższej przyszłości powinien się spodziewać nowych rozkazów. Rozmówca nie udzielił podpułkownikowi Hawkinsowi żadnej wskazówki, jakie to mogą być rozkazy.

Cztery dni później przyszedł telegram:

DOW. LEPART. WOJSK LĄDOWYCH

DOW. PT BENNING & CENTKUM PIECH., GEORGIA

PRZEWIDUJE SIĘ, ŻE PPLK J. PETER HAWKINS, 0386567, ODBYW. SŁUŻBĘ W SZKOLE PIECHOTY, ZOSTANIE PRZENIESIONY W CIĄGU CZTERNASTU (14) DNI DO PEŁNIENIA SŁUŻBY ZA GRANICĄ. RODZINA, POWT. RODZINA BĘDZIE MOGŁA TOWARZYSZYĆ NINIEJSZEMU OFICEROWI. SPODZIEWANA PODRÓŻ ŚRODKAMI TRANSPORTU WOJSK. LUB/I CYWILNEGO. OPICER ZAPEWNI RODZINIE ODPOWIEDNIE PASZPORTY ORAZ PODDA JĄ SERII WŁAŚCIWYCH SZCZEPIEŃ OCHRONNYCH. W CHWILI OBECNEJ NIE PRZEWIDUJE SIĘ UDZIELENIA SZERSZYCH INFORMACJI, WSZELKIE PYTANIA SĄ NIEWSKAZANE I NIE BĘDĄ NA NIE UDZIELANE ODPOWIEDZI.

W IM. ZAST. SZEFA SZTABU DS. PERSONALNYCH

STEPHEN MASON

PODPULKOWNIK ARTYLERII

Poprzedniego wieczoru dowódca fortu miał telefon od adiutanta. Hawkins ma stawić się na lotnisku Fort Benning następnego dnia o godzinie dziesiątej rano. Ma włożyć wyjściowy mundur. Ma zabrać ze sobą tyle bielizny i dodatkowego umundurowania, by mógł spędzić poza Fort Benning trzy dni. Transport z Benning do miejsca przeznaczenia odbędzie się wojskowymi środkami transportu powietrznego.

Żadnych dodatkowych informacji adiutant nie podał.

Kiedy następnego ranka o godzinie dziewiątej piętnaście podpułkownik Hawkins stanął się w kontroli lotów, nie mieli dla niego żadnych nowych informacji. Po prostu nic nie wiedzieli.

O godzinie dziewiątej pięćdziesiąt pięć zobaczył, jak do budynku kołuje bardzo niezwykle samolot. Podpułkownik Hawkins nie miał pojęcia, żeby armia nabyła jakiegokolwiek Aero Commandera; były to drogie cywilne samoloty dyspozycyjne, używane przez najpotężniejszych biznesmenów, zbyt niecierpliwych, by latać samolotami rejsowymi. Oznaczenia na kadłubie nie pozostawiały wątpliwości, że to samolot wojskowy, pomalowany był bowiem na kolor używany przez wojsko. Podpułkownik Hawkins jednak nigdy nie widział samolotu pomalowanego tak jak ten.

Farba na kadłubie lśniła, nie była matowa, a większa część powierzchni kadłuba była biała, a nie w kolorze khaki.

Chociaż oznaczenia identyfikacyjne na kadłubie wyglądały na standardowe, miały jednak znacznie mniejsze rozmiary niż zazwyczaj. Jedyne napisy: US ARMY znajdował się wysoko na stateczniku pionowym i składał się z liter nie większych niż czterocalowe.

Bez wątplenia samolot dla VIP-ów. Jednak na kadłubie nie było nawet śladu insygniów generalskich.

Drzwi w kadłubie za wysoko umieszczonym skrzydłem otworzyły się i z samolotu wysiadł oficer. Ubrany był w wyjściowy mundur, a nie w kombinezon lotniczy. Do jego kurtki mundurowej przypięte były skrzydełka, można więc było logicznie zakładać, że jest pilotem, albo co najmniej drugim pilotem. W samolocie takim jak ten kombinezony lotnicze najwyraźniej nie były potrzebne.

Pilot, młody kapitan, noszący na naramiennikach insygnia Waszyngtońskiego Okręgu Wojskowego oraz pierścień z West Point, wszedł do budynku kontroli lotów. Krótce popatrzył na podpułkownika Hawkinsa i podszedł prosto do niego. Zasalutował.

- Pułkownik Hawkins?

- Tak, to ja - odparł.

- Dzień dobry, sir. Jest pan gotowy do podróży? Mogę zająć się pańskim bagażem?

- Dokąd polecimy? - zapytał podpułkownik Hawkins.

- Pozwoli pan, że wezmę tę torbę, sir - powiedział kapitan i otworzył drzwi prowadzące na płytę lotniska.

Kapitan umieścił torbę podpułkownika Hawkinsa w tylnej części kabiny i przeszedł do przodu.

- Dzień dobry, pułkowniku - odezwał się do niego mały, niepozorny Żyd w cywilnym ubraniu. - Nazywam się Stanford Felter.

- Dzień dobry - odparł Hawkins, zastanawiając się z kim, do diabła, ma do czynienia. W samolocie znajdowało się jeszcze dwóch pasażerów.

- Pozwoli pan, że przedstawię... generał de brigade des Fernauds - powiedział mały Żyd, po czym przeszedł na język francuski: - Mon generał, je vous presente le colonel Hawkins.

Hawkins dobrze władał tym językiem. Cztery lata nauki w West Point, a potem praktyka w Niemczech nie poszły na marne.

- Jestem zaszczycony, panie generale - powiedział po francusku.

- Jestem szczęśliwy, że mogę pana poznać, pułkowniku - powiedział Francuz po angielsku.

- Generał des Fernauds jest attache wojskowym - odezwał się mały Żyd.

Aero Commander powoli zaczynał kołować.

- Wszyscy z tyłu gotowi do startu? - zawołał pilot.

Podpułkownik Hawkins usiadł w przeznaczonym dla niego fotelu. Zdażył tylko zapiąć pasy, gdy samolot obrócił się, silniki zaryczały głośno i maszyna natychmiast pomknęła pasem startowym.

Podpułkownik Hawkins zdał sobie sprawę, że nadal nie wie, dokąd leci.

Trzydzieści minut później samolot wylądował w Fort Rucker w Alabamie.

Przez iluminator Hawkins zobaczył robotników umieszczających na budynku Centrum Operacji napis: LOTNISKO WOJSKOWE LAIRD. Przypomniał sobie, że słyszał niedawno o pomysłe uhonorowania Scotty'ego Lairda poprzez nadanie jego imienia lotnisku.

Kapitan, który odebrał go z Benning, ponownie przeszedł do przedziału pasażerskiego, jednak zanim dotarł do drzwi, ktoś je otworzył z zewnątrz i do samolotu wsunął głowę jakiś chorąży.

- Nie wiedziałem, że jakichś marnych cywilów wpuszczają na pokłady wojskowych samolotów - powiedział.

- Bonjour, monpet W. - zawołał mały Żyd, uśmiechając się szeroko.

Sprawiał wrażenie wielce rozradowanego.

Chorąży wszedł do samolotu. Za nim do kabiny wszedł major. Hawkins dojrzał, z zaskoczeniem, które przydarza się nawet starym żołnierzom, kiedy widzą coś takiego, ozdobioną niebieskimi gwiazdami baretkę Medalu Honoru, wyraźnie wyróżniającą się spośród innych odznaczeń majora.

- Przysięgałem, że już nigdy nie wsiądę z tobą do jednego samolotu - powiedział major do małego Żyda. Ostatnim razem, kiedy się na to zdecydowałem, nieomal odstrzelono mi jaja.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, majorze MacMillan powiedział mały Żyd z szerokim uśmiechem.

- Chciałbym się w końcu dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Bellmon wpadnie w furję, kiedy wróci i dowie się, że obaj z tobą uciekamy.

- Siadaj na dupie i zamknij się na chwilę. Spróbuj sobie przypomnieć, że jesteś oficerem i dżentelmenem.

Dopiero w tej chwili chorąży zobaczył francuskiego generała.

- Pardonnez-moi, mon generał - powiedział.

- Cześć, Greer - zareagował generał. - Cieszę się, że znów cię widzę, przyjacielu.

Chorąży zajął miejsce naprzeciwko podpułkownika Hawkinsa.

- Dzień dobry, sir - powitał go formalnie.

- Dzień dobry - odparł podpułkownik.

Aero Commander znów kołował, oddalając się od budynku kontroli lotów. Niecałe dwie godziny później wylądował w Nowym Orleanie na Lakę Front Airport. Po chwili zatrzymał się obok cywilnego Aero Commandera, obok którego stał wysoki blondyn z wąsami.

Felter pierwszy wyskoczył na płytę lotniska. Podpułkownik Hawkins wyskoczył zaraz za nim.

Felter podszedł do cywila i uścisnął mu dłoń.

- Można by pomyśleć, że latasz w jakiejś cywilnej linii - powiedział Felter. - Co cię tutaj sprowadza?

- Właśnie wylądowałem. Słyszałem, jak wasz pilot zgłasza się na dziesięć minut przed lądowaniem, i przyszło mi do głowy, że to jesteście wy.

- Czyżbyś wynajął samolot? - zapytał Felter, jakby z lekką nutką niesmaku w głosie. Nie było w nim jednak ani odrobiny niechęci.

- Właściwie to właśnie go kupiłem. Dzisiaj rano. Jak ci się podoba?

- Myślę, że jest bardziej ostentacyjny niż pistolety generała Pattona - ocenił Felter.

Wysoki mężczyzna potrząsnął dłonią majora z Medalem Kongresu.

- A ty co o tym myślisz, Mac? - zapytał.

- Dobrze słyszałem? Kupiłeś ten samolot?

- Tak. Co o nim sądzisz?

- A kto cię będzie nim woził? - zapytał MacMillan niewinnym głosem.

- Ty pewnie jesteś Greer - odezwał się Lowell, wyciągając jednocześnie rękę do chorążego. - Bob Bellmon mi mówił, że jesteś ostatnią deską ratunku dla MacMillana.

- A to co niby ma znaczyć? - zapytał MacMillan.

- Dwudziestoczworgodzinną obsługę, polegającą na czytaniu znaków drogowych i kart dań w restauracjach oraz inne tego typu sprawy - odparł Lowell.

Obaj się uśmiechali, jednak Hawkins wyczuł pomiędzy nimi autentyczną nienawiść, A może nawet pogardę.

- O co tu chodzi, Myszowaty? - zapytał Lowell. - Doceniam lipne usprawiedliwienie dla nauczyciela, byleby tylko wyrwać mnie ze szkoły i bylebym mógł przylecieć sobie tutaj moim nowym samolocikiem, jednak jestem trochę zaintrygowany.

- To jest podpułkownik Hawkins - powiedział Felter. - Zajmie twoje miejsce w Algierze.

- Och - wyrwało się Lowellowi. Wyciągnął rękę do Hawkinsa. - Jestem major Lowell, sir.

- Bardzo mi miło - odparł Hawkins.

Uznał, że niedokładnie usłyszał informację albo że major Lowell po prostu żartował, mówiąc, że właśnie kupił sobie cywilnego Aero Commandera. Majorowie po prostu nie mają takich pieniędzy.

- Mon generał - odezwał się Felter - pozwoli pan, że przedstawię majora Lowella.

- Mon generał - powiedział Lowell, niemal stając na baczność.

Zmienił postawę dopiero wtedy, gdy generał wyciągnął do niego rękę.

- Jestem szczęśliwy, że pana w końcu spotkałem, majorze - powiedział generał. - Szczególnie w takich okolicznościach.

- Czy major mógłby się dowiedzieć, jaka jest natura tych okoliczności, mon generał?

- Znowu zostałeś bohaterem, Craig - powiedział Felter. - I znowu chcę ci dać medal.

Hawkins zastanawiał się, kim, do diabła, może być ten mały Żyd. Zapewne szychą z Departamentu Stanu. Zdał sobie sprawę, że właśnie usłyszał nie tylko, że jego kandydatura na

stanowisko attache została rozpatrzona pozytywnie, ale też dowiedział się, dokąd zostanie wysłany. Do Algieru.

Pojechali do centrum Nowego Orleanu cadillakiem z tabliczką korpusu dyplomatycznego nad tablicą rejestracyjną. Przewieziono ich do rezydencji z przełomu wieków, stojącej przy Saint Charles Avenue. Mosiężna tablica przytwierdzona do ceglanego słupa przy ogrodzeniu informowała, że właśnie wkraczają na teren Le Consulat General de la Republique Francaise.

Poprowadzono ich do gabinetu konsula generalnego.

Przez podwójne drzwi prowadzące do kolejnego pomieszczenia Hawkins zobaczył, że na stołach wyłożono zimny bufet, a w wiaderkach z lodem stoi przynajmniej pół tuzina butelek szampana.

- Czy mógłbym zasugerować, monsieur le consul, abyśmy rozpoczęli od naszej małej ceremonii? A potem, rzecz jasna, moglibyśmy coś wypić - powiedział francuski generał.

Lowell zwrócił się do Feltera.

- Aż do tej chwili myślałem, że żartujesz.

Konsul podniósł z biurka niebieskie pudełko.

Felter lekko popchnął Greera i Lowella, tak że stanęli tuż przed konsulem.

- Au nom de la Republique Francaise! - obwieścił konsul dramatycznym tonem. Francuski generał stanął na baczność.

Konsul zaczął czytać pochwały. Za męstwo w akcji polegającej na przeprowadzeniu rozbitków z zestrzelonego samolotu przez linie wroga w okolicach Dien Bien Phu, w Indochinach francuskich, major US Army, Rudolph G. MacMillan odznaczony został Orderem Kawalerskim Orderu Legii Honorowej. Generał des Fernauds przypiął Legię Honorową do munduru MacMillana, a następnie ucałował go w oba policzki.

- Au nom de la Republique Francaise! - ponownie obwieścił konsul.

Za odwagę na polu bitwy, polegającą na co najmniej dwudziestokrotnym przedostaniu się helikopterem przez gęsty ogień broni maszynowej wroga w celu przetransportowania posiłków w miejsce rannych francuskich żołnierzy, biorących udział w tłumieniu buntu w Algierii, major Craig W. Lowell został kawalerem Orderu Legii Honorowej.

- Au nom de la Republique Francaise! - znowu obwieścił konsul, po raz trzeci i ostatni.

Majorowie MacMillan i Felter oraz chorąży Greer zostali odznaczeni Krzyżem za Dzielność w uznaniu ich bohaterskiego czynu polegającego na uratowaniu żołnierza Legii Cudzoziemskiej z rąk Viet Minhu.

Podano szampana, a generał des Fernauds wznosił toast.

- Za tych, którzy tam zostali - powiedział.

Wszyscy podnieśli kielichy i wypili. Generał upuścił kieliszek na dywan i wgniótł go obcasem. Lowell, MacMillan, Felter i Greer, jeden po drugim, też to zrobili. Podpułkownik Hawkins chciał uczynić to samo, wychodząc z założenia, że będąc w Rzymie, należy naśladować Rzymian, ale konsul powstrzymał jego rękę.

- Tylko ci, którzy tam byli - powiedział łagodnie.

Hawkinsa bardzo ujęła ta ceremonia, jednak wciąż się zastanawiał, dlaczego musiał polecieć aż tak daleko, żeby być jej świadkiem. Nagle przyszło olśnienie. Ktoś chciał, żeby się zorientował, czego przełożeni będą się po nim spodziewać, kiedy dotrze do Algieru, a tego, czego się po nim spodziewano w Algierze, na pewno nie nauczano w Szkole Piechoty czy w Kolegium Sztabu Generalnego. Po chwili oświeciła go jeszcze jedna myśl: Tym, który chciał, żeby zaczął się uczyć od zaraz, i który sprowadził go aż tutaj, był mały Żyd.

XI

1

Fort Rucker, Alabama

25 stycznia 1957

Rhonda Wilson Hyde „poprosiła” Darlene Heatter, aby przysłała w sobotę i do południa odbierała telefony, i Darlene nie mogła się od tego wykręcić.

Nie przeszkadzało jej bynajmniej to, że musi dodatkowo pracować. Za dodatkowy czas pracy płacono jej o połowę więcej niż normalnie. Nie lubiła jednak sposobu, w jaki Rhonda Wilson Hyde wiecznie jej rozkazywała. Nie mogła nic na to poradzić, a jedynie udawać, że zupełnie jej to nie przeszkadza. Rhonda była urzędnikiem administracyjnym i jej bezpośrednią przełożoną. Jediną osobą, do której mogła wnieść skargę na takie traktowanie, był pułkownik Bellmon. Chociaż Darlene wiedziała, że w zasadzie może uzyskać od niego wszystko, czego będzie chciała, wiedziała, że istnieje też coś takiego, jak nadużywanie czyjejś cierpliwości.

Darlene była pewna, że Rhondzie i tak wkrótce ktoś utrzyma nosa. W Biblii jednak napisano: „Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni”, dlatego Darlene starała się nikogo nie osądzać, mimo że nie mogła być obojętna na fakt, że Rhonda Wilson Hyde zachowuje się jak nie wiadomo kto. Jediną dobrą rzeczą, jaką można było o niej powiedzieć, to to, że Rhonda nie podrywała żonatych oficerów, a prawie wyłącznie kawalerów, i jedynie sporadycznie żonatych oficerów, którzy przyjeżdżali do Agencji Rozwoju Lotnictwa Wojskowego na tydzień lub na dziesięć dni, oczywiście bez żon.

Początkowo Darlene myślała, że Rhonda jest jedynie niewinną flirciarą, musiała jednak zmienić o niej zdanie w obliczu niezaprzeczalnych dowodów. Rhonda sypiała z nimi wszystkimi, bez dwóch zdań.

Darlene nie potrafiła zrozumieć, jak zamężna kobieta może tak postępować, to znaczy sypiać z kimś, kto nie jest jej mężem. Sypiać z kim popadnie, by zaspokoić grzeszne żądze ciała. To ostatecznie zdanie wyczytała w książeczce do nabożeństwa w Kościele episkopalnym, kiedy w gabinecie pastora uczyła się pisać na maszynie.

Do takiego zachowania kusił diabeł. I mogło to być w pewnym stopniu zaraźliwe jak choroba. Darlene już kilkakrotnie złapała się na tym, że zastanawia się, jak by to było, zrobić to z kimś innym niż John. Zanim zdała sobie sprawę, o czym rozmyśla, i zanim się powstrzymała, głównym bohaterem jej grzesznych myśli był MacMillan.

Wiedziała, co te myśli wywołało. Któregoś dnia MacMillan i jeszcze jeden oficer mijali się w drzwiach męskiej toalety. Jeden wchodził do środka, a drugi właśnie wychodził. MacMillan tak nieszczęśliwie wsunął rękę w szparę w drzwiach, że ten drugi mu ją przyciął. Na jego przegubie powstała brzydka krwawiąca rana, która trzeba było opatrzyć.

Pan Greer, kiedy się o tym dowiedział, roześmiał się głośno.

- I dobrze, że trafiło na Maca. Jest cholernie dobrze zbudowany, jak pieprzony czołg. Ktoś inny w tej sytuacji pewnie straciłby całą rękę.

Oficerowie często przeklinali i nawet niepoprawnie używali wielu słów. Jednak czy MacMillan naprawdę był zbudowany jak czołg? Darlene zaczęła się nad tym zastanawiać. Tak, MacMillana można było porównać do czołgu.

Był masywny i silny. Owszem, John też był niczego sobie mężczyzną. Jednak ręce MacMillana były tak grube jak nogi Johna, a kark MacMillan miał przynajmniej dwa razy tak potężny jak John. Było więc naturalne, że w jej głowie powstało pytanie, czy MacMillan wszystko ma dwa razy większe i mocniejsze niż John. I jak by to było, gdyby z nim...

Bardzo się zawstydzila, kiedy zdała sobie sprawę, o czym rozmyśla, i natychmiast odegnała od siebie wizję nagiego MacMillana. Ale grzeszne myśli powracały. A przecież Darlene była chrześcijańską żoną i matką i nie powinna mieć tak grzesznych i nieprzyzwoitych myśli.

Szatan kusił ją strasznie. Myślała o MacMillanie nawet wtedy, kiedy robiła to z Johnem. Kiedy o tym myślała, mimowolnie wyobrażała sobie, że to Mac leży na niej, i wtedy było jej z Johnem nawet lepiej. Doprowadzał ją do konwulsji. Albo jak tam to się nazywa.

Przekonywała siebie, że sprawia to magia munduru.

Mówiło się, że mundur mocno oddziałuje na kobiety, i pewnie coś w tym było. Tej soboty wszyscy prezentowali się w nich wspaniale.

Właśnie awansowali pana Greera na oficera. Otrzymał promocję z najniższego stopnia chorążego od razu na podporucznika. Darlene przypuszczała, że ma to jakiś związek z medalami, które on i Mac zdobyli w Indochinach.

Kiedy pułkownik Bellmon przebywał w Fort Benning, a major MacMillan pełnił obowiązki dowódcy, zadzwonił telefon od zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych, z

Pentagonu. Zastępca szefa sztabu powiedział MacMillanowi, że na Lotnisku Wojskowym Laird wkrótce wylądaje samolot i zabierze jego i Greera na dzień lub dwa.

Kiedy pułkownik Bellmon wrócił z Fort Benning i zorientował się, że obu ich nie ma na miejscu, wpadł we wściekłość i zatelefonował do zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych, żeby się dowiedzieć, o co chodzi. A ponieważ Darlene przypadkiem nie odłożyła słuchawki, kiedy go połączyła, usłyszała, jak generał powiedział mu, że sprawa dotyczy zarówno polityki, jak i wywiadu. Francuzi zamierzali obu żołnierzom wręczyć medale, a z całą sprawą związany jest pewien „Żyd, major, twój dobry przyjaciel, którego nazwiska przez telefon nie wymienię”. Generał powiedział też, że cały wypad dwóch ludzi Bellmona nie potrwa dłużej niż czterdzieści osiem godzin.

Niezależnie od tego, o co chodziło, tej nocy w hotelu Pontchartrain odbyło się wielkie przyjęcie, a jego bohaterowie zjawili się następnego dnia w pracy dopiero późnym popołudniem. Następnie była kwestia prywatnego samolotu. Darlene podsłuchiwała kolejną rozmowę, kiedy z wieży kontrolnej ktoś zatelefonował do pułkownika Bellmona i zapytał, czy spodziewa się lądowania cywilnego samolotu Aero Commander. Odparł, że nie, skądże, ale po kilku minutach znowu zatelefonowano z wieży i ktoś powiedział, że pilotem tego samolotu jest niejaki major Lowell i że na pokładzie znajdują się także major MacMillan i chorąży Greer. Wtedy pułkownik Bellmon powiedział, że owszem, mogą wylądować. Dodał, żeby przekazać majorowi MacMillanowi, aby natychmiast po wylądowaniu zjawił się w jego gabinecie.

Zarówno MacMillan, jak i Greer byli trochę pijani, albo przynajmniej na solidnym kacu. Powiedzieli, że Lowell wysadził ich w Rucker w drodze powrotnej do Leavenworth, a Felter zabrał jakiegoś pułkownika, o którym Darlene nigdy dotąd nie słyszała, do Waszyngtonu.

- Skąd Lowell ma Aero Commandera? - zapytał Bellmon.

- Kupił go - odparł MacMillan ze śmiechem. - A skąd by indziej?

- I lata, będąc w takim stanie jak wy?

- Nie. Przestał pić o północy. Aż taki głupi to on nie jest.

Wieczorem wpłynął telegram z informacją o promocji Greera:

DOWÓDZTWO WYDZ. WOJSK LĄDOWYCH, WASZYNGT., 22 STY 1957,
GODZ. 9.50

DYREKTOR AGENCJI ROZWOJU LOTNICTWA, PORT RUCKER, ALABAMA

NINIEJSZY TELEGRAM STANOWI POTW. BEZPOŚR. AWANSU CHOR. GREERA EDWARDA C, W727110, NA STOPIEŃ PORUCZNIKA WOJSK LĄD. WYMIENIONY OFICER NADAL PEŁNI SŁUŻBĘ W STRUKTURACH AGENCJI ROZW. LOTN. OFICER PRZYGOTUJE SIĘ DO WYJAZDU ZA GRANICĘ 26 STY 1957 NA PODST. ROZKAZU 201956.

Z ROZKAZU ZAST. SZEFA SZTABU DS. PERSONALNYCH
EDMUND T.DALEBY
PUŁKOWNIK ART.

Zazwyczaj podkomendni pułkownika Bellmona nie uczestniczyli w regularnych sobotnich porannych paradach na Placu Paradnym nr 2, jednak tym razem wysłał tam wszystkich. Uznał, że cała jednostka powinna oddać honory Greerowi w związku z jego awansem na pierwszy stopień oficerski. Później miała się odbyć nad jeziorem Tholocco wielka balanga na pożegnanie porucznika Greera.

Wszystkie osoby zatrudnione w Agencji, cywilów nie wyłączając, zostały zaproszone, jednak Darlene raczej nie nastawiała się na to, że tam pójdzie, mimo że pracę kończyła w południe i później już była wolna. Wiedziała, że poleje się mnóstwo alkoholu. Cekał już jeep z przyczepą po brzegi wypełnioną schłodzonym piwem, co oznaczało, że mnóstwo ludzi się tego dnia upije. Wierząc, że ciało jest świątynią Ducha Świętego i że picie alkoholu bruka tę świątynię,

Darlene uważała, że nie może uczestniczyć w podobnym bezeceństwie.

Jednak po paradzie do biura przyszedł pułkownik Bellmon i major MacMillan, razem z kilkoma innymi oficerami. Pułkownik Bellmon wydawał się zaskoczony, że Rhonda kazała Darlene przyjść tego dnia do pracy.

- Przecież mogliśmy po prostu uruchomić automatyczny przełącznik rozmów na stanowisko oficera dyżurnego - powiedział. Darlene ucieszyła się, że Rhonda Wilson została przyłapana na poważnym błędzie. - Jeśli chcesz tutaj zostawić samochód, Darlene - kontynuował - zabierzemy cię nad jezioro razem z nami.

Skoro pułkownik oczekiwał, że Darlene także pojedzie na imprezę, uznała, że nie powinna się sprzeciwiać, i nawet spodobała jej się perspektywa, że na oczach Rhondy Wilson Hyde pojawi się nad jeziorem razem z pułkownikiem.

Stwierdziła, że przecież nikt jej nie zmusi do picia alkoholu.

Na pewno będzie tam także cola i inne napoje bezalkoholowe, a może nawet poncz.

Kiedy zajechali na miejsce, Darlene stwierdziła, że impreza (wyjawszy jeepa z przyczepą pełną piwa) niewiele różni się od kościelnego pikniku. Może wydawała się trochę staranniej przygotowana. Na kościelnych piknikach królowały talerze z kanapkami, a tu steki przygotowywane na grillu węglowym, pieczone kartofle i pieczona fasola. To pani Bellmon i inne żony oficerów „przygotowały” jedzenie i picie (inaczej mówiąc, za nie zapłaciły), a żony podoficerów i żołnierzy pomagały im wszystko przygotowywać i podawać.

Darlene natychmiast dołączyła do nich i przez długą chwilę serwowała jedzenie, a potem, ponieważ czuła się już jak na kościelnym pikniku, podeszła do grupy szeregowców i techników, którzy bawili się we własnym gronie. Czuła się trochę nie na miejscu wśród żon i dzieci.

Wiedziała jednak, jak nawiązuje się w podobnych sytuacjach znajomości, i umiała znaleźć się w tym towarzystwie.

Wkrótce natrafiła na czarę z nierdzewnej stali, po brzegi wypełnioną ponczem owocowym. Ucieszyła się, widząc, że nie wszyscy piją alkohol. Żołnierze uśmiechnęli się do niej, kiedy zapytała, czy może spróbować trochę ponczu.

Zaczęła pić i zaraz uświadomiła sobie, jak bardzo jest spragniona i jak bardzo smakuje jej ten poncz. Wypiła cały papierowy kubek i natychmiast poprosiła, żeby napełniono go jej ponownie.

- Strasznie chce mi się pić - powiedziała.

2

Melody Dutton była wściekła na Eda Greera. Razem z matką różnymi sposobami próbowały włączyć go w przygotowania do ślubu, on jednak nic sobie z tego nie robił.

Powiedziała mu, że kobieta od cateringu przyjedzie z Dothan w sobotę o wpół do dziesiątej i że chce, żeby Greer pomógł jej wybrać menu.

Wiedziała, że pomysł z wielkim weselem raczej mu się nie podoba, jednak gruntownie to przedyskutowali. Musiało to być coś więcej niż zwyczajne przyjęcie, musiała to być okazja, by Greer poznał ludzi z całego stanu. Te znajomości mogą okazać się przydatne, kiedy Greer już wystąpi z wojska i podejmie pracę jako wiceprezes Dale County Builders sp. z. o.o.

Nie znał bowiem nawet połowy spośród ludzi, których powinien znać, kiedy już zacznie pracować, w związku z tym duże przyjęcie weselne miało dla niego znaczenie nie do przecenienia.

Greer nie tylko nie spotkał się -jak obiecał - z Melody po tej głupiej paradzie, ale nawet nie zadzwonił i nie powiedział jej, że jest zajęty. Niemniej jednak Melody nie miała cienia wątpliwości, gdzie się teraz znajduje. Najprawdopodobniej pił piwo w tym głupim małym barze Annex 1, tuż przy kawalerskich kwaterach oficerskich.

Kiedy w końcu się zjawi, już ona, Melody, postara się wybić mu piwo z głowy.

Kobieta od cateringu czekała tak długo, jak tylko mogła, ale w końcu wyjechała. Było w pół do trzeciej. Melody obiecała sobie, że kiedy tylko Greer się zjawi, już ona mu tego nie daruje!

Poszła do swojego pokoju, zdjęła sukienkę, włożyła krótkie spodenki i koszulkę. Matka namówiła ją, by na spotkanie z panią Angie Gell, kobietą od cateringu, włożyła sukienkę. Pani Gell pochodziła bowiem ze starej, szanowanej rodziny i miała swoje nienaruszalne zasady i standardy. W związku z tym Melody powinna się im podporządkować, to znaczy wyglądać dokładnie tak, jak powinna wyglądać młoda dziewczyna, która ma właśnie wyjść za mąż, a nie jak chłopczyca.

Melody wybrała numer centrali wojskowej. Kiedy zgłosiła się telefonistka, poprosiła o połączenie z barem Annex 1.

- Mogłabym rozmawiać z panem Greerem? - zapytała, kiedy słuchawkę podniósł jeden z jego zapijaczonych kumpli.

- Nie ma go tutaj, kochanie - wybełkotał w odpowiedzi żołnierz. - A może wystarczy ci samotny podporucznik?

Melody z trzaskiem odłożyła słuchawkę na widełki.

Ani myślała czekać, aż sam raczy przyjść. Zamierzała teraz, natychmiast, powiedzieć mu, co o nim myśli. Kiedy wyjeżdżała kabrioletem spod domu, głośno zapiszczały opony (jednym z ich ślubnych prezentów miał być nowy samochód; słyszała, jak ojciec rozmawia o tym przez telefon). Mieli też dostać w pełni umeblowany dom w Sunny Dale Acres. Melody przypomniała sobie ze złością, że Ed wcale nie wyrażał z tego powodu nadmiernego entuzjazmu, a ona sama musiała wybrać wszystkie meble.

Ed powiedział tylko, że niewiele wie na ten temat i w sumie wszystko mu jedno, jak ich wspólny dom będzie umeblowany. Mówił, że zgadza się na wszystko, pod warunkiem że stoły będą miały po cztery nogi, a kanapy będą odpowiednio miękkie.

Znacznie przekroczyła dopuszczalną prędkość (żaden zastępca szeryfa w hrabstwie Dale nie ośmieliłby się zatrzymać córki Howarda Duttona, jeśli tylko był przy zdrowych zmysłach) i po niedługim czasie dojechała do jednostki wojskowej. Musiała zwolnić do trzydziestu pięciu mil na godzinę, ponieważ żandarmi mogli wlepić jej mandat, a to już

stanowiło kłopot. Żaby go uregulować, należało jechać do budynku administracji federalnej w Dothan i zapłacić w sądzie.

Kiedy dotarła na miejsce, wyskoczyła z samochodu i weszła do środka. W barze znajdowało się mnóstwo młodych oficerów i zgraja dziewcząt, których Melody wolała nie znać, jednak Eda Greera tutaj nie było.

- Hej, Schatzie - zawołał do niej jeden z oficerów, kiedy już wychodziła.

Nienawidziła, kiedy wołano na nią „Schatzie”. Ed powiedział jej, że tym słowem żołnierze wołali swoje niemieckie przyjaciółki. Swoje panienki.

Odwróciła się, żeby popatrzeć gniewnie na żołnierza, który do niej zawołał.

- Właśnie sobie przypomniałem, że zorganizowali sobie piknik piwny nad jeziorem. Ed pewnie jest właśnie tam - powiedział młody chorąży.

- Dziękuję - mruknęła Melody.

Oto, jacy są żołnierze. Ed opowiedział jej, oczywiście, o piwnych piknikach. Raz w miesiącu oficerowie robili zrzutkę i karmili podkomendnych stekami oraz poili taką ilością piwa, jaką ci tylko dawali radę wypić. A więc tam właśnie był Ed. Zalewał się piwem, kiedy powinien organizować przyjęcie weselne, równie ważne dla niego jak dla niej. Wołał złopać piwo z kumplami, niż wywiązywać się ze zobowiązań, jakie miał wobec Melody.

Chwilami go nienawidziła!

Minęło dwadzieścia pięć minut, zanim odnalazła piknik. Nad jeziorem trwały już w najlepsze trzy inne podobne imprezy i przy każdej Melody musiała się zatrzymać, żeby się przekonać, że źle trafiła.

Kiedy wreszcie trafiła na właściwe miejsce, Ed był pijany. Odgadła to od razu po jego speszzonej minie i niepewnym wzroku, kiedy ją zobaczył. Siedział na masce jeepa.

Do samochodu doczepiona była przyczepa pełna wielkich skrzynek z lodem i piwem. Sucha trawa zaśmiecona była mnóstwem opróżnionych puszek.

Jakiś młody sierżant podszedł do Eda, zanim zdołała do niego dotrzeć Melody, i pokazał mu palcem grupę szeregowców skupionych wokół jakiejś kobiety. Ed się roześmiał, ale zaraz powiedział poważnie:

- Jeśli pułkownik się dowie, jutro na śniadanie zjesz własne jaja.

- Cześć-powiedziała do Eda. Teraz, kiedy go wreszcie znalazła, nie potrafiła się na niego złościć.

- Cześć - odpowiedział.

- Niby o czym nie ma się dowiedzieć ten pułkownik?

- Wojsko bez umiaru wlewa poncz w naszą świętą żonę swojego męża, przykładną matkę i wzorową sekretarkę odparł Ed i się roześmiał.

- I co w tym zabawnego?

- Wlaliśmy do tego ponczu trzy butelki wódki, a ona tego nie wyczuła. Darlene jest zalana w pestkę.

Melody popatrzyła ponad ramieniem Eda i zobaczyła Darlene Heater w gromadzie żołnierzy, z poczerwieniałą twarzą i zmierzwionymi włosami. Dwaj żołnierze obejmowali ją ramionami. Śpiewali coś i śmiali się jak idioci.

- Naprawdę uważasz, że to jest zabawne? - warknęła Melody.

- Oczywiście. Dopóki nie wydarzy się coś zabawniejszego.

- Dlaczego nie przyszedłeś na spotkanie w sprawie cateringu?

- Bardzo dobre pytanie - stwierdził Greer.

Melody zrozumiała, że naprawdę jest mocno pijany. Właściwie to jeszcze nigdy nie widziała go aż tak zalanego.

- Mogłeś przynajmniej zadzwonić i powiedzieć, że nie przyjdiesz;.

- Patrzysz na faceta, który nie ma dość jaj.

- Co to niby ma znaczyć?

- Nie miałem dość jaj, żeby do ciebie zadzwonić. Prawdę mówiąc, zanim się tutaj pojawiłaś, i to bez zaproszenia, chodziło mi po głowie, że muszę napisać do ciebie list.

- List? Jaki list?

- Taki list... Drogi Johnie... - powiedział Greer i popatrzył na nią lekko zamglonym wzrokiem. - A w tym wypadku: „Droga Melody”.

- I co chciałeś napisać w tym liście? - zapytała Melody.

Żołądek jakoś dziwnie podjechał jej aż do gardła.

- Chciałem napisać „Melody, najdroższa, słodka Melody, popełniliśmy cholerną pomyłkę”.

- Jesteś pijany.

- W rzeczy samej - zgodził się Greer. - W rzeczy samej.

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi.

- Armia wysyła mnie do Algierii.

- Armia... Co takiego?

- Do Algierii. Wysyłają mnie do Algierii. Jutro.

- Nie mogą! - zaprotestowała Melody. - Przecież przyjęli twoją rezygnację!

- Wycofałem rezygnację.

- Nie wierzę w to! To jakiś kretyński dowcip.

- Lepiej uwierz - powiedział ponuro Greer i Melody zrozumiała, że on nie kłamie.

- Ale dlaczego? - zapytała.

- Ponieważ, kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać, zdałem sobie sprawę, że wolę być podporucznikiem w wojsku niż wiceprezesem Dale County Builders, mimo wszystkich wspaniałych korzyści, jakie to ze sobą niesie.

- Zaoferowali ci stopień podporucznika za pozostanie w wojsku?

Greer położył rękę na kołnierzyku, wskazując Melody srebrne dystynkcje.

- Dlaczego nie porozmawiałeś o tym ze mną?

- Ponieważ prawdopodobnie odwiodłabyś mnie od mojej decyzji. A taka okazja mogłaby się nie zdarzyć po raz drugi.

- Jaka okazja?

- Algieria. Okazja zrobienia czegoś ważnego.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ja jestem nieważna?

Greer nie odpowiedział.

- Zdaje się, że jesteśmy w sobie zakochani - powiedziała Melody.

- Myślałem także o tym. Łączy nas tylko pożądanie. Oszukujemy siebie nawzajem.

- Jak ci się udało coś takiego wymyślić?

- Doskonale wiesz, o czym mówię - stwierdził Greer tajemniczym tonem.

- Przecież dziesiątego lutego mamy wziąć ślub. I co teraz będzie?

Greer jedynie popatrzył na dziewczynę i wzruszył ramionami.

- Stanę się pośmiewiskiem dla całej okolicy - jęknęła Melody.

- Przykro mi z tego powodu.

- Nigdy nie chciałeś się ze mną ożenić - powiedziała Melody oskarżycielskim tonem i po chwili zaczęła wrzeszczeć histerycznie. - Ty draniu, nigdy nie zamierzałeś się ze mną ożenić. Interesowała cię tylko moja dupa!

- Nie. To nieprawda. W końcu przestałem myśleć o pieprzeniu się z tobą i zacząłem się zastanawiać, jak to naprawdę jest pomiędzy nami. Nie mielibyśmy żadnej szansy, Melody. Ty jesteś ukochaną dziewczynką swojego tatusia, a ja jestem żołnierzem.

- Nienawidzę cię! - wrzasnęła Melody. Zupełnie nie dbała o to, że patrzy na nią mnóstwo ludzi. - Ty draniu! krzyknęła. Uderzyła Eda otwartą dłonią w twarz i popędziła do samochodu. W połowie drogi odwróciła się. Twarz miała zalaną łzami. Pogroziła pięścią Greerowi, a potem pokazała mu wyprostowany środkowy palec. - Pieprz się, gnoju! - krzyknęła.

Wsiadła do samochodu i jakimś cudem zdołała go odpalic oraz włączyć pierwszy bieg. Koła zabuksowały na trawie i auto szybko skoczyło do przodu.

Greer jeszcze przez dłuższą chwilę siedział na masce jeepa, aż wreszcie odrzucił za siebie puszkę z piwem.

Podszedł do stołu oficerów, na którym stało kilka butelek whiskey. Nalał sobie do kubka porcję szkockiej i dolał wody sodowej.

Podszedł do niego MacMillan. Przez chwilę stał w milczeniu, po czym zapytał:

- Czy to znaczy, że zaręczyny zostały zerwane? - zapytał niewinnym tonem.

- Tak, chyba tak - odparł Greer i zachichotał.

- No to dość głupot i nie uchłaj się do reszty - poprosił Mac. - Sandy Felter bardzo nie lubi skacowanych facetów. O której masz być w Waszyngtonie?

- Wylatuję z Dothan o ósmej dwadzieścia rano. W Waszyngtonie wyląduję około piętnastej.

- Chcesz, żebym leciał z tobą?

- Nie, dzięki, Mac.

- Może byś do nas wpadł wieczorem? - zaproponował MacMillan.

- Dzięki, ale muszę się do końca spakować.

- Cóż, pozdrów ode mnie Feltera. I od początku za bardzo nie zgrywaj bohatera.

Podali sobie ręce. Greer powoli ruszył w kierunku swojego samochodu. Zamierzał zostawić go na parkingu przy kwaterze. MacMillan miał dać ogłoszenie do codziennego biuletynu i sprzedać to auto. Major Lowell (co za facet miał własny samolot!) długo rozmawiał z Greerem o tym, czego powinien spodziewać się w Algierii, i podpowiedział mu, że najlepiej zrobi, jeśli kupi sobie tam nowego renaulta 4CV. Jako posiadacz dyplomatycznego paszportu będzie mógł go nabyć bez podatku.

Był już przy samochodzie, kiedy zobaczył Darlene Heatter. Niepewnym krokiem zmierzała w kierunku toalet. Po drodze musiała minąć stół, przy którym siedzieli oficerowie z żonami. Właściwie Darlene nic go nie obchodziła. Jak dla niego mogła paść na dupę przed samym Bellmonem. Ale wtedy Bellmon zorientowałby się, że żołnierze dolali do ponczu wódkę. Z pewnością nie uznałby tego za zabawne.

Podszedł do Darlene.

- Pani Heatter - powiedział. - Wracam do jednostki. Czy mogę panią podwieźć?

Przez chwilę patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby niczego nie rozumiała, ale zaraz się uśmiechnęła.

- Dlaczego nie? - odezwała się i złapała go za ramię.

Miał trochę kłopotów z wtaszczeniem jej do samochodu. Była naprawdę mocno pijana.

- Czuję się tak głupio - powiedziała Darlene, kiedy jechali znad jeziora do obozu.

- W ponczu, który pani piła, było mnóstwo wódki.

- Wiem. Zorientowałam się.

- Naprawdę?

- Tak. Domyśliłam się, kiedy zaczęłam się doskonale bawić.

- I spodobało się to pani?

- To jest takie inne... Ale jak ja się teraz dostanę do domu? - zachichotała.

Chryste, teraz się od niej nie odcepię, pomyślał Greer. Jeśli wróci do domu w takim stanie, jej mąż, świętojebliwy abstynent, urządzi jej piekło. Pod wpływem impulsu postanowił zabrać ją do baru i kupić przynajmniej filiżankę kawy. Zaraz jednak porzucił tę myśl. Przecież wszyscy zobaczą, że jest w sztok pijana.

- Jeśli pani chce, poczęstuję panią filiżanką kawy. U mnie - zaproponował.

Darlene przez chwilę się zastanawiała.

- Tylko o to panu chodzi? - zapytała wreszcie.

Greer roześmiał się.

- Słowo honoru. Wypije pani trochę kawy i od razu poczuje się znacznie lepiej.

- Dziękuję. Bardzo panu dziękuję. Gdyby mój mąż się dowiedział, co dzisiaj wyprawiałam, chybaby mnie zabił.

- Musimy więc zrobić wszystko, żeby się nigdy nie dowiedział.

Darlene chwiała się na nogach, kiedy szła po schodach do jego pokoju. Greer był zadowolony, że nie spotkali nikogo na korytarzu. Posadził ją w jednym z foteli i włączył czajnik. W lodówce miał jeszcze dwie butelki piwa i jedną sobie otworzył.

- Aż do dzisiaj nawet nie próbowałam alkoholu - powiedziała Darlene.

- Naprawdę?

- Piwa też nie.

- Nie sądzi pani, że na dzisiaj już dosyć?

- Chcę spróbować tego piwa.

Po chwili wahania Greer podał jej butelkę. Wypiła kilka łyków, oblizła usta i powiedziała, że jest bardzo dobre.

- Jeśli wypije pani tę butelkę do końca, kawa już nic nie pomoże.

- No i co z tego?

- A mąż?

- Skłamałam. Kiedy wrócę, nie będzie go w domu. Ma dzisiaj dyżur w straży. Czy wie pan, że mój mąż jest strażakiem?

- Tak, wiem.

- Wróci do domu dopiero jutro, o dziewiątej rano. A dzieci są u mojej matki, więc jeśli wypiję piwo, nikt się o tym nie dowie.

- Niech się więc pani częstuje.

- Dziękuję, skorzystam - powiedziała Darlene łobuzerskim tonem.

Greer wyjął z lodówki ostatnią butelkę i otworzył ją.

Kiedy się odwrócił, Darlene przeglądała „Playboya”.

- Nie rozumiem, jak te dziewczyny mogą pozować do takich zdjęć - powiedziała. - Przecież zobaczą je wszyscy znajomi.

- Sądzę, że robią to dla pieniędzy.

- Nie jestem pruderyjna - stwierdziła Darlene. - Wiem, że mężczyźni lubią patrzeć na nagie kobiety. - Roześmiała się. - I kobiety chyba także lubią patrzeć na nagich mężczyzn. Ktoś powinien zacząć wydawać czasopismo ze zdjęciami nagich mężczyzn. Ja bym je kupowała.

W głowie Greera zapaliło się ostrzegawcze światełko.

Pieprzyć kawę, pomyślał. Niech ona stąd spada.

- Darlene, da pani radę iść? - zapytał.

- Chce pan się mnie pozbyć, co?

- Moim zdaniem powinna pani pomyśleć o powrocie do domu.

- Założę się, że jeśli się rozbiore, będzie pan chciał, żebym została. Założę się.

Greer milczał.

Darlene wstała i zaczęła rozpinać bluzkę.

- Co pani najlepszego robi? - zapytał Greer.

Darlene do tej pory miała wzrok skupiony na guzikach, ale teraz popatrzyła na Greera.

- Tak sobie pomyślałam... - powiedziała. - Jutro rano pan wyjeżdża. Na zawsze.

- Tak - przytaknął Greer. - Wyjeżdżam.

- Nikt się więc nigdy nie dowie. - Darlene opuściła głowę. Popatrzyła na swoje palce na guzikach, jednak na chwilę przestała rozpinać bluzkę. - Chce pan czy nie? - zapytała.

Pieprzyć to, pomyślał Greer. Prawdopodobnie tego teraz najbardziej potrzebuję.

- Tak-odparł.

Pentagon

Waszyngton

1 czerwca 1957

Zastępca szefa sztabu US Army złapał szefa sztabu, akurat gdy ten wsiadał do swojego czarnego cadillaca.

- Jadę właśnie do prezydenta, E. Z. - powiedział szef sztabu.

- Pieprzyć go, niech poczeka - odparł E. Z. Black. - To jest naprawdę ważne.

Szef sztabu potrząsnął głową, uśmiechnął się i przyjął wyciągniętą w jego kierunku kartkę. Zapisane były na niej tylko trzy nazwiska. Jedno z nich było zaznaczone znakiem V.

- Uważasz, że to jest to? - zapytał szef sztabu.

- Tak jest. Taka jest moja rekomendacja.

- Ale się zagotuje z wściekłości - zauważył szef sztabu. - Będą wyć, że kogoś faworyzujemy, że to jest kumoterstwo i tak dalej. Ludzie zaczną interpretować tę nominację szerzej, niż się spodziewasz.

- Przy odrobinie szczęścia będę w stanie przypisać te glosy skandalicznej postawie zastępcy sekretarza obrony do spraw wewnętrznych armii.

Szef sztabu oparł się o dach limuzyny i złożył swój podpis w rogu kartki.

- Dziękuję - powiedział generał Black.

- Spalą za to moją kukłę - stwierdził szef sztabu.

- Prawdopodobnie ustawią twoje popiersie w Galerii Sław Wojsk Spadochronowych.

Chociaż mogą także wykorzystać podobiznę jako tarczę do rzutków.

- Powiedz mi tylko, czy naprawdę uważasz go za najlepszego człowieka? Czy też sądzisz, że lotnictwo armii to taka latająca kawaleria?

- I to, i to. Zawsze trochę się bałem rozważań na temat „akceptowalnych strat w akcji” wojsk spadochronowych. Takiego czołgistę od podporucznika uczy się przede wszystkim, jak dbać o własną dupę.

- Tak - mruknął szef sztabu. - Właśnie postanowiłem. To znaczy, w tej chwili. Że uważniej będę obserwował, co ci chodzi po głowie.

Szef sztabu wsiadał do limuzyny.

- Przekaż wyrazy mojego największego szacunku naczelnemu dowódcy - powiedział E. Z. Black.

- Zrobię to specjalnie dla ciebie, E. Z.

Ze względu na polityczny aspekt sprawy, wybór generała, który miałby zastąpić zmarłego generała Angus Lairda na stanowisku głównodowodzącego Centrum Lotnictwa Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych, okazał się cokolwiek trudniejszy niż mianowanie dowódcy innego rodzaju broni czy uczelni wojskowej.

Z jednej strony nie istniała prawnie wydzielona struktura lotnictwa wojsk lądowych, a zatem stanowisko nie było zarezerwowane dla generała piechoty, jak byłoby na przykład wtedy, gdyby nagle umarł generał dowodzący Fort Benning, czyli Centrum Piechoty. Albo gdyby umarł generał artylerii, dowódca Centrum Artylerii w Fort Sili. Albo gdyby umarł generał wojsk pancernych i nagle zwolniłoby się stanowisko dowódcy w Fort Knox.

W gruncie rzeczy od początku i raczej powszechnie wierzono, że nowy dowódca Fort Rucker nie będzie generałem wojsk pancernych. Scotty Laird był pancernikiem i, logicznie rzecz biorąc, nowy dowódca nie powinien nim być.

Normalnie w czynnej służbie funkcjonuje jednocześnie siedmiu czterogwiazdkowych generałów: szef sztabu, zastępca szefa sztabu, głównodowodzący w Europie i w Azji, dowódca Zarządu Armii Kontynentalnej oraz generałowie głównodowodzący siłami wojsk lądowych w Europie oraz na Dalekim Wschodzie.

Następni pod względem znaczenia są generałowie porucznicy (trzygwiazdkowi), którzy dowodzą ośmioma armiami, większymi korpusami i służą jako zastępcy generałów czterogwiazdkowych. Generałami porucznikami są zazwyczaj zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych, personalnych, logistyki oraz inni generałowie pełniący specjalne funkcje sztabowe.

W służbie jest też prawie dwustu generałów majorów (dwugwiazdkowych) oraz około trzystu generałów brygadierów (jednogwiazdkowych). Kandydat na stanowisko zwolnione przez Lairda powinien zostać wybrany właśnie z tego grona, niemal z definicji doskonale wykwalifikowanych oficerów, czyli spośród ponad pięciuset jednogwiazdkowych i dwugwiazdkowych generałów.

Liczyby jednak potrafią kłamać. Nie wszyscy spośród pięciuset generałów brygadierów i generałów majorów mogli być bowiem brani pod uwagę. Z punktu eliminowani byli generałowie służb technicznych. Oczywiście, Fort Rucker nie mógł dowodzić naczelnym lekarzem wojskowym i jego podwładni, jak również generałowie, którzy zrobili kariery w Korpusach Służb Finansowych, Służb Łączności, Uzbrojenia i Kwatermistrzowskich. Korpus Wojsk

Inżynieryjnych dał nieśmiało do zrozumienia, że można by sobie wyobrazić na tym stanowisku sapera, tym bardziej w obliczu wielkich projektów konstrukcyjnych w Alabamie.

Bardzo usilnie starał się o objęcie nowego stanowiska Korpus Transportu, który przygotował nawet bardzo obszerne studium sztabowe, mające dowodzić, że lotnictwo wojskowe to nic więcej jak tylko latające ciężarówki i jeepy.

Argumentowano, że armia powinna być mobilna przede wszystkim dzięki środkom transportu powietrznego, zatem zasadniczą większość „maszyn powietrznych” będą stanowiły latające ciężarówki.

A skoro tak, argumentował Korpus Transportu, jest po prostu logiczne, że to właśnie oni zajmą się szkoleniem załóg i służb technicznych środków transportu powietrznego, skoro odpowiadają już za sprzęt i personel środków transportu kołowego. Dysponują przecież sprawdzonym systemem szkolenia i kontroli, który, po oczywistych i prostych modyfikacjach, będzie mógł zostać zaadaptowany także na potrzeby lotnictwa wojskowego. I wreszcie, dowodzili, w armii nie ma lepszego miejsca dla tysięcy chorążych pilotów niż Korpus Transportu. Kiedy z jakiegoś powodu chorążowie piloci nie mogliby już latać, należałoby im znaleźć nowe zajęcie. Ci, którym nie zaproponowano by funkcji naziemnych związanych z lotnictwem, mogliby zostać zatrudnieni przez Korpus Transportu przy operacjach kolejowych, drogowych i wodnych.

Podnoszone argumenty były logiczne, obarczone jednak jedną podstawową wadą. Korpus Transportu był bowiem służbą techniczną, a nie rodzajem broni. Podczas gdy każdy oficer tego korpusu mógł w dowolne miejsce wysłać konwój ciężarówek, nawet pod ogień wroga, żaden z nich nie był w stanie, patrząc w oczy któremuś ze swoich poruczników, wysłać żołnierzy, żeby zdobyli w boju jakieś wzgórze. Albo prowadzić ognia artyleryjskiego na wprost. Albo rozkazać zepchnąć ciężarówki do rowu i walczyć jak piechota.

Istnieją trzy oficjalne rodzaje broni w wojskach lądowych: piechota, artyleria i wojska pancerne. Czwartym, nieoficjalnym, lecz równie wpływowym, złożonym z oficerów trzech poprzednich, szkolonych w technice i filozofii pionowego rozwijania ataku, są wojska powietrznodesantowe.

Wojska powietrznodesantowe zawsze potrzebowały lotnictwa i czuły, że logiczną kolejną rzeczą powinny je wchłonąć. Lotnictwo to nic innego jak tylko ewolucyjne rozwinięcie pionowego okrażenia. Tym samym helikopter to po prostu ulepszony i cholernie wydajny środek rozmieszczania facetów z karabinami na tyłach wroga.

Piechota, chociaż tylko niewielu generałów piechoty nie odbyło trzytygodniowego kursu spadochronowego w Fort Benning, a co za tym idzie, nie nosiło na mundurach odznaki

spadochroniarza, w zasadzie doszła do konsensusu, że wojska powietrznodesantowe to elitarny wybryk.

Według nich niewiele sensu miało wydawanie wielkich pieniędzy i marnowanie mnóstwa czasu na specjalne szkolenie spadochroniarzy tylko po to, żeby dwadzieścia pięć procent z nich stracić w nieszczęśliwych wypadkach, jeszcze zanim zdołają oddać chociaż jeden strzał w walce.

Wypadki polegały na nagminnym łamaniu przez skoczków nóg przy lądowaniu i śmiertelnym porażeniu prądem elektrycznym na liniach wysokiego napięcia. Grzech był jeszcze większy, gdy szefowie wojsk powietrznodesantowych nalegali, aby od szeregowców, służących w tych wojskach, wymagano osiągnięcia stu punktów w Ogólnym Wojskowym Teście Klasyfikacyjnym; było to tylko dziesięć punktów mniej, niż wymagano od kandydatów do szkół oficerskich.

Funkcją armii i zadaniem służących w niej żołnierzy, twierdzili niechętnie patrzący na wojska powietrznodesantowe, jest zabijanie wrogów, a nie samych siebie.

Artylerzyści z kolei, aspirując do stanowiska dowódcy Fort Rucker, odwoływali się do swoich tradycji. Lotnictwo armii wkroczyło przecież do walki na Piper Cubach w czasie drugiej wojny światowej, z funkcją wskazywania celów dla artylerii.

Jednak łącznościowcy zauważyli, że lotnictwo - kropka weszło w skład armii - kropka - właśnie poprzez Korpus Łączności. Pierwsza odznaka pilota przedstawiała bowiem orła ściskającego w szponach flagi sygnałowe. Dlatego nie istniał żaden powód, by Korpus Łączności nie wysłał jednego ze swoich generałów, aby dowodził Fort Rucker. Tego wniosku nikt jednak nie potraktował poważnie.

Pancerniacy uważali, że lotnictwo powinno należeć właśnie do nich. Dla tych, którzy naprawdę rozumieli historię wojskowości i właściwie odczytywali jej lekcje, było przecież jasne, że trzy podstawowe rodzaje broni to: piechota (człowiek z dzidą albo z łukiem i strzałą, albo z karabinem czy jakąś inną indywidualną bronią), artyleria (ludzie, którzy strzelali z katapult, z dział armatnich i wyrzutni rakiet) oraz kawaleria (ci, którzy błyskawicznie przemieszczają się w boju wokół piechoty i artylerii, dawniej na koniach, obecnie w czołgach, a w przyszłości bez wątpienia w urządzeniach zwanych helikopterami). Gotowi byli przyznać, że George S. Patton popełnił jeden błąd. Stał po stronie tych zbłąkanych, którzy chcieli zmienić imię kawalerii na wojska pancerne. Wskazywali, że generał I. D. White, który doprowadził 2. Dywizję Pancerną nad Łabę, kiedy generał Porky Waterford wciąż kręcił się wokół Kassel, wpadł po wojnie w jeden ze swoich słynnych ataków szału w gabinecie szefa

sztabu, w rezultacie czego kawaleryjskie szable dołączono do czołgu w insygniach wojsk pancernych.

Wszystkie sprzeczki i dyskusje doprowadziły do zredukowania liczby kandydatów na stanowisko opuszczone przez Scotty'ego Lairda z niemal pięciuset do około pięćdziesięciu. Proces selekcji przeniósł się do gabinetów w Pentagonie. Dalszych rekomendacji ani nie požądano, ani nie rozpatrywano.

W końcu lista okrojona została do trzech generałów.

Pierwszym był prostolinijny generał major piechoty, obecnie dowodzący 1. Dywizją Piechoty - „Wielką Czerwoną Jedyńką” - w Niemczech. Kolejnym - spadochroniarz, obecnie zastępca dowódcy XVIII Korpusu Powietrznodesantowego w Fort Bragg. Następnym był generał brygadier, o którym zarówno szef sztabu, jak i zastępca szefa sztabu (i mało kto poza nimi) wiedzieli, że został wyselekcjonowany do awansu na generała majora. Generał brygadier służył obecnie jako specjalny asystent zastępcy sekretarza obrony do spraw badań i rozwoju.

Jeszcze tego samego wieczoru o godzinie dwudziestej generał E. Z. Black, zastępca szefa sztabu US Army, znalazł się przy grillu węglowym, ustawionym w ogrodzie za budynkiem mieszkalnym numer 3 w Fort Meyer w Wirginii. Ordynans w białej kurtce piekł steki. Obserwował go drobny, sztywno trzymający się mężczyzna w cywilnym ubraniu.

- Lubisz być blisko ognia, Paul? - zapytał go E. Z. Black.

- Każdy kawalerzysta jest na tyle mądry, by zawsze być blisko jedzenia, generale - odparł generał brygadier Paul Jiggs.

- Jak się mają sprawy w badaniach i rozwoju?

- Mam ochotę zrezygnować z tego i ubiegać się o jakiś urząd publiczny - odparł generał Jiggs. - Jest rzeczą oczywistą, że politykom żyje się o wiele lepiej niż nam. Jedzą w jadalni, mają na stołach obrusy i w ogóle.

Black się roześmiał.

- Mam coś dla ciebie, Paul - powiedział E. Z. Black i wsunął Jiggsowi coś do ręki. - Tylko zachowaj to dla siebie, zanim nastąpi oficjalne ogłoszenie.

Jiggs popatrzył na małą srebrną odznakę, którą dał mu Black. Była to odznaka stopnia wojskowego: dwie złączone razem gwiazdki.

- Dziękuję, generale.

- To jest marchewka, Paul, ale jest też kij. Nic nie ma bowiem za darmo.

Jiggs popatrzył pytająco na Blacka.

- Rucker i Centrum Lotnictwa - powiedział Black.

- Nie sądziłem, że moja kandydatura jest w ogóle rozpatrywana - stwierdził Jiggs.
Black wyczuł, że Jiggs jest autentycznie zaskoczony.

XII

1

Fort Rucker, Alabama

12 czerwca 1957

DOWÓDZTWO

CENTRUM LOTNICTWA WOJSK LĄDOWYCH STANÓW ZJEDNOCZONYCH
AMERYKI PÓŁNOCNEJ

PORT RUCKER, ALABAMA

Niżej podpisany oświadczam, że niniejszym dowództwo nad Centrum Lotnictwa Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej oraz nad Port Rucker w stanie Alabama.

Paul T. Jiggs

generał major

dowódca

2

Trzeciego dnia w roli dowódcy Centrum Lotnictwa i Fort Rucker generał major Paul T. Jiggs wyszedł z budynku dowództwa tylnymi drzwiami i skierował się przez ulicę do kantyny oficerskiej. Po piętach deptali mu dwaj adiutanci (jednego z nich zabrał z Waszyngtonu, a drugiego właśnie dzisiaj mianował; ten drugi funkcjonował jako nieoficjalny adiutant pułkownika, który czasowo pełnił obowiązki dowódcy po śmierci generała Lairda) oraz podpułkownik z Departamentu Szkolenia Lotniczego, który wyznaczony został jako instruktor pilotażu generała Jiggsa.

Generał Jiggs stanął w kolejce w kantine jak wszyscy inni, zamiast przejść do sali jadalnej, gdzie zawsze czekał na dowódcę zarezerwowany stolik, a jedzenie podawali kelnerzy.

Położył na swojej tacy miseczkę z galaretką i kawałkami gruszki, następnie talerz z pieczenia wieprzową bez sosu i dał znak, żeby nie nakładano mu duszonych ziemniaków.

Dołożył jeszcze bułkę bez masła, szklankę wody i kubek kawy. Zapłacił kasjerowi należność i z trudem znalazł w zatłoczonej stołówce wolny stolik. Z trudem akceptował to, że wszyscy mu się uważnie przyglądają. Fakt, starali się na niego nie patrzeć, jednak zupełnie im to nie wychodziło.

Najwyraźniej Scotty Laird nie jadał posiłków z prostymi żołnierzami, a korzystał z przywilejów, które przysługiwały jego stanowisku. A jeśli chodzi o pułkownika, który przez kilka miesięcy pełnił obowiązki dowódcy, Jiggs zdążył się już zorientować, że ten dosłownie się rozkoszował należnymi mu przywilejami.

- Dzień dobry - powiedział generał Jiggs do podporuczników i poruczników siedzących przy sąsiednim stoliku.

W odpowiedzi chcieli zerwać się na równe nogi, ale w porę ich powstrzymał.

Do generała dołączyli jego współpracownicy. Zestawili naczynia ze swoich tac; młodszy adiutant odebrał je, odniósł do bufetu i dopiero wtedy zasiadł do stołu.

Współpracownicy generała od razu wyczuli, że coś w sali jadalnej przykuło jego uwagę. Przez długą chwilę wpatrywał się w jedno miejsce. Kiedy podążyli za jego wzrokiem, zorientowali się, że generał przypatruje się dwóm oficerom siedzącym razem przy stoliku. Jednym z nich był potężnie zbudowany czarnoskóry kapitan ubrany w świeżo odprasowany mundur polowy, na którym widniały insygnia Centrum Lotnictwa. Drugim był bardzo młodo wyglądający major w wyjściowym mundurze z wełny chesankowej, używanym głównie w tropikach. Jednym z pierwszych oficjalnych rozkazów Jiggsa jako dowódcy była zmiana w regulaminie noszenia umundurowania na terenie Centrum.

Zalecił, żeby nie nosić mundurów z wełny chesankowej w godzinach służbowych. Zmiana taka miała doprowadzić do zmniejszenia rachunków za pranie i czyszczenie tych mundurów. Czyszczenie i prasowanie mundurów khaki i polowych było o wiele tańsze niż pranie chemiczne mundurów z wełny chesankowej. W gorącym klimacie Alabamy mundury żołnierskie po jednym dniu używania bywały kompletnie przepecone.

- Kilkanaście stolików od nas siedzą dwaj oficerowie powiedział po chwili. - Major w mundurze tropikalnym i kapitan w polowym. Widzicie ich?

- Tak jest - odparli chórem jego współpracownicy.

- Powiecie majorowi, że jeśli nie stać go na kupienie dowódcy filiżanki kawy, generał skłonny jest mu pożyczyć pieniądze.

- Tak jest - odparł młodszy adiutant. Był zmieszany, głos miał niepewny, ale już wstawał od stolika.

- Poczekaj chwilę, jeszcze nie skończyłem. Kapitanowi zaś powiesz, że jeśli to on jest tym słodkim malutkim Philem Parkerem, generał kupi kawę także jemu.

- Tak jest - przytaknął adiutant i ruszył w kierunku wskazanego stolika. Wrócił niemal natychmiast, prowadząc za sobą majora i kapitana.

- Dzień dobry, sir - powiedzieli.

- Dawno cię nie widziałem, Lowell - stwierdził generał Jiggs.

- Tak jest. Rzeczywiście minęło trochę czasu.

- A pan, kapitanie, kiedyś był znany jako słodki mały Philip Sheridan Parker IV, mam rację? - zapytał generał Jiggs oficera, który miał sześć stóp i cztery cale wzrostu oraz dwieście trzydzieści pięć funtów żywej wagi.

- Tak jest, sir.

- Jestem starym dobrym kumplem pańskiego ojca.

- Wiem, sir.

- Odniosłem wrażenie, Lowell, że odbywasz właśnie kurs w Kolegium Sztabu Generalnego.

- Bo tak właśnie jest, sir.

- Ale do Leavenworth jest stąd bardzo daleko.

- Przyjechałem spotkać się z kapitanem Parkerem, sir.

- Ciągnie swój do swego, co?

- Tak jest.

- Co tutaj właściwie robisz, Parker? - zapytał generał Jiggs.

- Jestem instruktorem pilotażu na Zaawansowanym Helikopterowym, sir.

- Fascynujące. I jak ci idzie?

- Sądzę, że nie najgorzej, sir.

- Kiedy tutaj szedłem, przyszło mi do głowy, że korzystanie w nauce latania z usług podpułkownika, bez obrazy, pułkownika, który poświęca mi cały swój czas tylko wtedy, gdy nie jestem zajęty innymi sprawami, nie stanowi najbardziej wydajnego sposobu wykorzystania zasobów ludzkich. Czy istnieje jakiś powód, pułkownika, aby kapitan Parker nie mógł mnie uczyć latania, pozwalając tym samym panu powrócić do obowiązków bardziej adekwatnych dla starszego oficera?

- Musiałbym znać przebieg służby kapitana Parkera, sir - odparł podpułkownik.

- Czy kapitan Parker jest kompetentnym pilotem instruktorem czy nie? - zapytał generał Jiggs niespodziewanie zimnym tonem.

- Jestem pewien, że kapitan Parker posiada odpowiednie kwalifikacje, sir - stwierdził podpułkownik niepewnie. - Jednak jest sprawą oczywistą, że generałami zajmujemy się szczególnie starannie.

- Pieprzenie. Ojciec kapitana Parkera był moim instruktorem jeździectwa w Riley, kiedy jeszcze byłem podporucznikiem. Zawsze sobie mówiłem, że pewnego dnia mu się za to zrewanżuję. Niech pan to załatwi, pułkowniku.

- Tak jest, sir.

- Jak długo planuje pan przebywać poza Leavenworth, Lowell?

- Zamierzałem wrócić jutro rano, sir.

- Więc ma pan czas, żeby zjeść z nami kolację. Jadamy o siódmej. Od wpół do siódmej podawane są drinki.

- Tak jest, sir.

- Czy pani Parker będzie to odpowiadało?

- Będę musiał sprawdzić, sir - odparł kapitan Parker niepewnie.

- Żona Parkera jest lekarzem, sir. Ma kontrakt w naszym szpitalu.

- Jeśli pani doktor Parker znajdzie czas, żeby zjeść z nami kolację, będę zaszczycony jej towarzystwem - powiedział generał Jiggs. - A teraz wracajcie do swojego stolika i dokończcie lunch.

Generał wsunął do ust dwa kawałki pieczeni.

- To był kapitan Philip Sheridan Parker IV - powiedział. - Potomek w linii prostej jednego z pierwszych czarnoskórych żołnierzy w naszej armii. W ostatniej wielkiej wojnie, która miała zakończyć wszelkie wojny, ojciec tego chłopaka, pułkownik Parker III, wprowadził kolumnę wojsk pancernych do Niemiec Wschodnich i wyrwał Boba Bellmona oraz dwustu innych amerykańskich oficerów z łap Rosjan, którzy bezprawnie ich uwięzili.

Jego towarzysze milczeli.

- Drugi z oficerów nazywa się Lowell - kontynuował generał. - Czy ktoś kiedykolwiek słyszał o Grupie Bojowej Lowell?

Adiutant, którego odziedziczył i który bardzo chciał pozostać na tym stanowisku, wcześniej odrobił zadanie domowe. Jako podpułkownik, a potem pułkownik, generał Jiggs dowodził w Korei 73. Wzmocnionym Batalionem Czołgów Ciężkich. Grupa Bojowa Lowell, wydzielona z 73. Batalionu, wyrwała się z okrążenia pod Pusan i połączyła z X Korpusem generała Neda Almanda, po jego lądowaniu w Inchon. W książce, którą przeczytał porucznik,

opisano tę akcję jako „niemal klasyczny przykład wykorzystania kolumny pancernej zarówno do rozerwania okrążenia, jak i do sparaliżowania tyłów wroga”. Przeczytawszy o tym, porucznik przypomniał sobie, jak odtwarzano tę operację Grupy Bojowej Lowell w West Point. Ćwiczyli ten manewr dwukrotnie, raz na mapach w pracowni taktycznej i drugi raz na zajęciach z logistyki; chodziło o dostarczanie zaopatrzenia szybko poruszającej się kolumnie pancernej.

Należało takiej grupie dostarczyć niewyobrażalnych ilości paliwa, amunicji oraz innych materiałów i niezbędnych środków.

- Ja słyszałem - powiedział adiutant.

- To niech pan im opowie - zażądał generał Jiggs.

Tego popołudnia zaczęło wychodzić na jaw, że wszystkie plotki mogą być zgodne z prawdą. Pancerniacy zaczynają rządzić. W pierwszym przyjęciu, jakie wydał generał, wzięli udział wyłącznie pancerniacy. Jakiś czarny kapitan, którego ojciec uczył generała jeździć (cholera, na koniu, kiedy istniała jeszcze kawaleria). Pułkownik Bellmon, pancerniak, dyrektor Agencji Rozwoju Lotnictwa Wojskowego. Major MacMillan (facet z Medalem), jego zastępca, także pancerniak. I jakiś nadęty major z kursu w Kolegium Sztabu Generalnego, który wylądował na Lotnisku Wojskowym Laird biało-czerwonym cywilnym Aero Commanderem. Także pancerniak. Niektórzy zaczęli sądzić, że Stowarzyszenie Pancerniaków mogło się okazać dla lotnictwa armii czymś znacznie gorszym niż Klub Pilotów z Cincinnati i ochronka.

3

19 czerwca 1957

Oran, Algieria

Turyści, głównie członkowie Local 133, Międzynarodowego Bractwa Operatorów Maszyn, Producentów Narzędzi i Gwintowników oraz Związku Pracowników Przemysłu Samochodowego, ale także (aby wypełnić czterdziestoczwemiejscowy autokar, używany przez African Tours) trzy nauczycielki w średnim wieku, dwaj mocno wychudzeni dżentelmeni z New Hope w Pensylwanii, którym zdawało się, że miejscowa sztuka będzie dla nich źródłem nowych ważnych pomysłów w firmie zajmującej się dekoracją wnętrz, którą

prowadzili, i jeszcze trzy inne osoby, zgromadziły się o godzinie siódmej piętnaście nad ranem w holu Hotel de Normandie w Oranie.

Oczywiście panowało pewne zamieszanie, ktoś zaspał i dopiero kilka minut po ósmej (a nie punktualnie o siódmej trzydzieści) autokar zdołał odjechać sprzed hotelu. Po trzydziestu minutach wyjechał z Oranu, który w oczach większości Amerykanów niczym się nie różnił od miast europejskich. Właściwie jedyną różnicę stanowił widok Arabów w brudnych ubraniach.

Autokar - holenderski diesel o wielkich oknach i zaskakująco wygodnych i szerokich fotelach - kołysząc się niezbyt przyjemnie, zjeżdżał szosą, pozostawiając z tyłu zielen Oranu, którą powoli zastępował ponury brąz pustyni.

Pierwszym przystankiem na trasie miało być Sidi-bel-Abbes, legendarna siedziba Legii Cudzoziemskiej.. Miejsce okazało się pewnym rozczarowaniem. Muzeum było interesujące, jednak ile można zwiedzać muzeów? A przecież byli już w drodze od szesnastu dni i widzieli tyle muzeów, że wszystkie wychodziły im bokiem.

Legioniści, jeśli nie brać pod uwagę ich zabawnych czapek, byli rozczarowująco podobni do Amerykanów. Mieli amerykańskie mundury polowe, prowadzili jeepy, ciężarówki marki Dodge o ładowności trzech czwartych tony, a także sześciokołowe GMC. Niektóre z nich, producenci narzędzi i gwintownicy byli co do tego zgodni, na pewno zostały wyprodukowane w Detroit. Legioniści uzbrojeni byli w dobre stare amerykańskie karabiny M1 Garand oraz pistolety maszynowe Thompson i pistolety Colt model 1911A1.

W pewnym momencie wydarzyło się coś, co sprawiło, że turyści autentycznie znienawidzili przeklętą Legię Cudzoziemską. Zanim zdołali wydostać się z Sidi-bel-Abbes, ugrzęźli na drodze za konwojem Legii, który snuł się jak jakiś cholerny żółw.

- Wyprzedź skurwysynów! - krzyczeli operatorzy maszyn do kierowcy, ale ten jedynie wzruszał ramionami.

I wcale nie chodziło im o to, że się gdzieś śpieszą. Poza tym na wąskiej i krętej drodze i tak wcale nie jechaliby dużo szybciej. Wyprzedzanie było po prostu częścią ich kultury, a pojazd przed maską, poruszający się z prędkością chociażby o pięć mil na godzinę mniejszą, niż sami byli w stanie rozwijać, stanowił niemal zniewagę.

Nie można powiedzieć, że w klimatyzowanym autokarze było niewygodnie. Turyści dysponowali lodówką z napojami orzeźwiającymi (cola, jakiś miejscowy napój gazowany o smaku pomarańczowym, którego Amerykanie nie cierpieli, oraz algierskie piwo, równie ohydne w smaku). A jeśli ktoś lubił nagie skały, widoki za oknami były olśniewające.

Początkowo wszyscy wzdychali z zachwytu, później jednak monotony krajobraz ich znudził.

Przejechali z Tiemcen do Geryville. W Geryville, ku zadowoleniu wszystkich, zatrzymali się na lunch. Przystanek stanowił okazję do rozprostowania nóg, zrobienia zdjęć wielbłądom i wielkim grubym Arabom na małych osiołkach oraz, rzecz jasna, zjedzenia skromnego posiłku.

No i wreszcie mogli pozbyć się z pola widzenia konwoju Legii Cudzoziemskiej wznoszącego tumany kurzu przed przednią szybą ich autobusu. Niech jadą sobie teraz nawet do diabła. Kiedy jednak wyjechali z Geryville, wkrótce znowu natrafili na ten sam konwój. Dranie!

Ich celem było teraz Colomb Bechar, a trasa wiodła przez Ain Sefra. Czternaście mil w linii prostej i po trzydziestu sześciu milach jazdy krętą górską drogą za Ain Sefra pod autobusem wybuchły cztery 105-milimetrowe pociski artyleryjskie, dostarczone przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej jako pomoc wojskowa dla Republiki Francuskiej, lecz przejęte przez Armee Nationale pour la Liberation d'Algerie, ANLA.

Oryginalny plan był taki, żeby pociski wybuchły dokładnie w momencie, kiedy znajdzie się nad nimi cały autobus. Sous-chef ANLA, który miał wykonać zadanie, został dobrze wyszkolony w Armii Francuskiej, był jednak trochę zbyt nerwowy i nacisnął przycisk detonatora o pół sekundy za wcześnie.

W efekcie tylko jeden pocisk eksplodował pod silnikiem autokaru. Siła wybuchu była tak wielka, że wyrzuciła to, co zostało z silnika, pięćdziesiąt stóp w górę i rozszarpała karoserię autokaru za przedziałem silnikowym w drobny mak. Kierowca oraz państwo Czernikowie z Hamtramck w stanie Michigan, którzy podróżowali na siedzeniach najbardziej wysuniętych do przodu, zginęli w ułamku sekundy.

Tył pojazdu pchał jego roztrzaskany front jeszcze przez jakieś dziesięć metrów, aż wreszcie niemal wbił się w asfalt i stanął.

Bezpośrednio w wyniku eksplozji zginęło jeszcze sześć osób, wśród nich jeden z dekoratorów wnętrz z New Hope w Pensylwanii. Cztery inne, które jechały w przedniej części autokaru, odniosły rany, które okazały się śmiertelne.

Ponadto wiele osób miało obrażenia, niektórzy poważne, a inni lekkie.

Jednak plan, żeby zabić wszystkich podróżnych, nie powiódł się. Ci, którzy siedzieli z tyłu, albo w ogóle wyszli bez szwanku, albo mieli tylko lekkie zadrapania, albo byli tylko w szoku.

Kilka sekund po eksplozji legioniści z jeepa, który jechał bezpośrednio przed autobusem, zdołali otworzyć jego tylne drzwi. Zaczęli ewakuować na zewnątrz najpierw tych, którzy nie odnieśli żadnych ran, a potem rannych. Zwłok nie ruszano.

Tych, którzy przeżyli, poprowadzono na skraj szosy, a jeden z legionistów powiedział im z ciężkim niemieckim akcentem, żeby się nigdzie nie ruszali.

Zaraz rozległy się strzały, najpierw ostre trzaski karabinów i serie z karabinów maszynowych Browning .30, później cięższe, dudniące strzały z półcalowych Browningów, aż wreszcie przyszła pora na huk moździerzy. Wokół zniszczonego autobusu rozlegał się ogłuszający hałas.

Jeden z członków Local 133, ignorując wrzaski żony, wypełznął na drogę i odebrał Garanda oraz dwa magazynki legioniście, który leżał na drodze z rozwaloną głową. Turysta wrócił z karabinem na skraj drogi, sprawdził, czy broń jest naładowana, i zaczął strzelać.

Niczego nie widział, jednak opróżnił cały magazynek, celując w góry wznoszące się nad drogą, po czym załadował pełny magazynek. W pewnej chwili krzyknął do żony:

- Francine, na miłość boską, zamknij się, do ciężkiej cholery.

Strzelanina trwała jeszcze jakieś pięć minut. W powietrzu unosił się zapach spalonego prochu.

Wreszcie zapadła cisza.

W pewnej chwili rozległ się warkot helikopterów. Pierwsza usłyszała je gibka, wysportowana blondynka. A więc zbliżała się odsiecz. Kobieta położyła dłoń na kostce u nogi.

Miała ochotę wyć z bólu. Początkowo myślała, że kostka jest skręcona, wkrótce jednak pogodziła się z myślą, że jest złamana. Z każdą minutą coraz bardziej puchła i siniała. Warkot helikopterów narastał i wreszcie kobieta zobaczyła nad głową dwie maszyny. Przez odgłosy ich silników i obracających się śmigieł przebijał się huk wystrzałów z broni maszynowej. Blondynka nie mogła się doczekać, kiedy wylądują. W telewizji widziała niedawno helikoptery, których używano jako ambulansów medycznych. Jeśli mogły tu latać helikoptery z bronią maszynową, z pewnością latały także ambulanse.

Jednak helikoptery ambulanse się nie pojawiły, a te dwa, które nadleciały nad miejsce zamachu, wzniosły się wysoko w powietrze i latały w tę i z powrotem wzdłuż drogi. Strzały z ich broni pokładowej były coraz rzadsze.

Legioniści uformowali teraz kordon obronny wokół ocalałych turystów leżących na poboczu drogi. Legionista z zestawem pierwszej pomocy podszedł do blondynki, przez

chwilę patrzył na jej kostkę, po czym wyciągnął z zestawu strzykawkę do zastrzyków podskórnych. Uśmiechnął się do dziewczyny.

- Nie chcę tego - powiedziała.

Złamanie bardzo ją bolało, jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiego bólu, jednak nie zamierzała przyjmować zastrzyku przeciwbólowego. Nie chciała stracić orientacji i przytomności, koniecznie chciała natomiast wiedzieć, co się dookoła niej dzieje. Nie zamierzała tkwić w środku nicości i być świadoma tylko tego, że przed kilkoma minutami nieomal została zabita.

- Nie, non - dodała. Po chwili powiedziała jeszcze: Nein - przypomniawszy sobie, że podobno wielu legionistów to Niemcy.

Legionista boleśnie przycisnął jej rękę kolanem do ziemi i błyskawicznie, jedną ręką ją przytrzymując, drugą, przez rękaw bluzki, wbił igłę w jej ramię.

- Cholera jasna - powiedziała, a potem miała wrażenie, że gasną wszystkie światła i wokół zapada cisza. Straciła przytomność.

Kiedy ją odzyskała, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był zdezelowany wentylator sufitowy, który z hałasem obracał się nad jej głową. Skupiła na nim wzrok. Po chwili do jej nozdrzy dotarł zapach szpitala. Wyczuła odór środków dezynfekcyjnych i jakby chloroformu, mimo że wiedziała, że to jest niemożliwe.

W ustach miała sucho. Kiedy spróbowała oblizać wargi, zrozumiała, że na języku nie ma ani odrobiny wilgoci. Głowa jej pękała jak jeszcze nigdy w życiu. Bolały ją nawet gałki oczne, jakby coś wypychało je z czaszki.

Na małym stoliku przy łóżku stał dzbanek, prawdopodobnie z wodą, i plastikowy kubeczek. Spróbowała przekreślić się na bok, żeby się napić. Wtedy zdała sobie sprawę, że coś jest nie w porządku z jej nogą. Nie bolała, lecz była bardzo ciężka. Odrzuciła kołdrę.

Przede wszystkim stwierdziła, że ma na sobie byle jaką białą szpitalną koszulę bez guzików. W kilku miejscach koszula była powiązana tasiemkami, które je zastępowały.

Ktokolwiek zawiązał na niej tę koszulę, zbyt starannie tego nie zrobił. Od pasa w dół była naga. Dziewczyna pośpiesznie naciągnęła koszulę na uda.

Zaczęła się zastanawiać, gdzie się podziało jej ubranie, w pokoju bowiem nie dostrzegła żadnej szafy. Jej stopa i kostka oklejone były brudnym białym gipsem. Poruszyła nogą. Poczula tępy ból, jednak akurat nie to ją martwiło.

Zastanawiała się, gdzie jest. Rozejrzała się za jakimś dzwonkiem, żeby wezwać pielęgniarkę, lekarza albo w ogóle kogokolwiek. Zobaczyła go. Wisiał na sznurku, jednak

któs go podwiązał wysoko, poza zasięgiem jej ręki. Usiadła na łóżku i postanowiła jakoś się wspiąć, żeby dosięgnąć tego cholernego sznurka.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

Dziewczyna szybko wsunęła się z powrotem pod pościel i naciągnęła kołdrę niemal na głowę, by zakryć wstrętą koszulę, która znowu podjechała jej powyżej ud. Kołdra była cienka, właściwie półprzejrzysta, dlatego jeszcze pod nią obciągnęła koszulę wzdłuż ciała.

Pukanie rozległo się po raz drugi.

- Wejść! - zawołała i zaraz sobie przypomniała francuskie słówko, którego nauczyła się w szkole średniej. - Entrez!

W progu stanął oficer w maskującym mundurze spadochroniarza Legii Cudzoziemskiej. Był mocno opalony; jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak opalonego mężczyzny. Miał muskularne ręce, odsłonięte aż po bicepsy. Jego włosy były tak spalone przez słońce, że niemal białe. Oczy zakrywały mu okulary lotnicze w złotych oprawkach. Pomyślała, że jest najprzystojniejszym, najbardziej seksownym i najbardziej męskim osobnikiem, jakiego kiedykolwiek widziała.

Wszedł do pokoju bokiem, ponieważ kończył właśnie rozmowę z kimś na korytarzu.

- Dzień dobry - zaczął, sztucznie serdeczny wobec nieznajomej chorej, jak to w szpitalu. - Kłania się porucznik Edward C. Greer z armii... - urwał w pół zdania. - Cholera jasna! - zawołał.

Dziewczyna milczała. Czekwała, aż żołnierz odzyska mowę.

- ...amerykańskiej - wyrecytował. - Czasowo stacjonuję w Colomb Bechar w garnizonie Legii Cudzoziemskiej. Znajdujesz się w szpitalu Legii Cudzoziemskiej. Lekarze zapewnili mnie, że twój stan jest stabilny. Już podjęto kroki, aby wszyscy Amerykanie z wycieczki, którzy się tu znaleźli, mogli jak najszybciej odlecieć do kraju. Przygotowania potrwać jeszcze kilka godzin. Tymczasem, jeśli podasz mi nazwisko i adres kogoś, kogo chciałabyś powiadomić o wypadku, konsul amerykański w Algierze zatelefonuje do tej osoby i zapewni ją, że nic poważnego się nie stało.

Dziewczyna pokiwała głową.

- Tyle że ja doskonale znam twój adres - zauważył porucznik Greer.

- A ja już myślałam, że go zgubiłeś - powiedziała Melody.

- Jeśli dasz radę wsiąść na wózek, postaram się połączyć cię z domem przez radio. Będzie lepiej dla twoich rodziców, jeśli od ciebie usłyszą wiadomość, jak się czujesz, a nie od jakiegoś dupka z Departamentu Stanu.

- Czuję się doskonale, Ed. A ty?

- Do ciężkiej cholery, co ty tu właściwie robisz? Straciłaś rozum, czy co?
- Mnie tutaj nie ma. Dzisiaj jestem w Strasburgu albo w Kolonii, już zapomniałam, i oglądam jakąś katedrę.
- Przecież niemal odstrzelili ci dupę, zdajesz sobie z tego sprawę? - zapytał Greer ze złością.
- A ty doskonale wyglądasz. Jesteś cudownie opalony.
- Tylko mi nie mów, że przyjechałaś tu specjalnie dla mnie.
- Mam fioła na punkcie pustyni i afrykańskich gór.
- To, co było między nami, to już stare dzieje.
- Minęło sześć miesięcy. Myślałam, że przez ten czas coś się zmieniło.
- Na tych terenach bandyci grasowali jeszcze przed Chrystusem. Chociaż Francuzi robią wszystko, co w ich mocy, żeby sprawować tu kontrolę, raczej im to nie wychodzi.
- Nas nie napadli zwykli bandyci - stwierdziła Melody. - Tym ludziom zależało na tym, żeby nas zabić.
- No a Legia Cudzoziemska to w istocie nie jest policja, która łapie złodziei.
- A to co było? Ktoś ci napisał oficjalne oświadczenie?
- Osobiście jego ekscelencja zastępca konsula do spraw społecznych. Powiedziałem mu, że najlepiej będzie, jak wygłosi je osobiście, jednak uznał, że bardziej będzie potrzebny w Algierze, żeby opowiedzieć o tym „incydencie” dziennikarzom.
- Co ty tutaj robisz?
- Uczę się.
- Czego się uczysz?
- Chociażby tego, że eskortowanie cywilnego autokaru przez pluton żołnierzy nie zawsze oznacza, że ten autokar jest bezpieczny.
- Nic cię nie obchodzi, że cię kocham? - zapytała Melody.
- Gdyby ten pieprzony pocisk wybuchł sekundę później, to, co by z ciebie zostało, musielibyśmy odesłać do domu w worku.
- Byłeś tam?
- Byłem w jednym z helikopterów.
- Dlaczego nie wylądowaliście i nie pomogliście nam?
- Przecież o to właśnie chodziło napastnikom. Zdetonowali ładunek w takim miejscu, w którym jednocześnie mogły lądować dwa H-21.
- To są te z wirnikami na każdym końcu?

- Tak, to Piasecki. H-21 oficjalnie Workhorse albo Shawnee, ale i tak wszyscy mówią na niego Latający Banan. Daliśmy ich Francuzom pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt. Napastnicy się spodziewali, że kiedy usłyszą o zaatakowanym autokarze, spanikujemy i wylądujemy dwoma maszynami pełnymi medyków. Gdybyśmy tak postąpili, rozpieprzyliby nas w drobny mak.

- Przecież w autokarze byli tylko cywile - zauważyła Melody.

- Amerykanie czy Francuzi, to bez znaczenia. Rozpieprzenie jednego zabójca albo dwóch Amerykanów to gwarantowany bilet do nieba.

- Zmartwiłbyś się?

- Niby czym?

- Gdyby bomba rozerwała mnie na strzępy?

- W tej chwili żołnierze Legii Cudzoziemskiej przeczesują góry w pobliżu lotniska. Kiedy tylko uznają, że jest bezpiecznie, siły powietrzne przyślą z Maroka parę transporterów. Polecicie nimi do Algieru.

Melody zaczęła rozwiązywać sznurki, które zastępowały guziki przy jej koszuli.

- Do diabła, co robisz? - zapytał Greer.

- Oglądam się.

- Nic ci się nie stało. Nie zostałam ranna. Musiałaś wcisnąć stopę między siedzenia, albo w jakieś inne ciasne miejsce.

- Być może nie zostałam ranna. Ale to nie znaczy, że nic mi się nie stało.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał Greer, a w jego głosie brzmiała autentyczna troska.

Brodawki jej piersi sterczały. Ucieszyła się; wiedziała, że Greer to lubi.

- To ty mi powiedz - zażądała. - To ty ode mnie uciekasz.

- Hej, myślałem, że wszystko już wyjaśniliśmy. Za bardzo się różnimy. Ty należysz do jednego rodzaju ludzi, a ja do zupełnie innego. Zechcesz zawiązać tę cholerną koszulę? Na miłość boską, zakryj się, zanim ktoś tutaj wejdzie.

- Dużo dziewczyn miałeś, odkąd tutaj przyjechałeś?

- A jak myślisz?

- To ty mi powiedz.

- Mnóstwo.

- Mówiłeś mi kiedyś, że mam najładniejsze cycki na świecie. Znalazłeś dziewczynę z ładniejszymi cyckami, Ed?

- Jezu Chryste! Przecież wiesz, że nie ma ładniejszych niż moje.

- A ja spałam z sześcioma facetami.

- Zamknij się!

- Pieprzyłam się z sześcioma facetami, z niektórymi po dwa lub trzy razy, ale z żadnym nie było tak jak z tobą.

- Cholera, czy ty się wreszcie zamkniesz?

- Uznałam więc, że warto będzie przyjechać aż tutaj. Dość trudno było mi wyciągnąć pieniądze od ojca. Po tym, co przeżyłam z tobą, ojciec uznał, że potrzebuję opiekunki. Miałam spore trudności, żeby jej się pozbyć. Policja w Koblencji pewnie przeszukuje teraz rzekę w poszukiwaniu moich zwłok. - Melody podniosła wzrok i zmusiła się do uśmiechu. Ale kiedy zobaczyła jego zimne oczy i zaciśniętą szczękę, zrozumiała, że całą tę podróż odbyła nadaremno.

Jęknęła i położyła się na boku, tyłem do niego.

- Wyjdz stąd - zażądała. - Zostaw mnie samą.

Usłyszała kroki i uznała, że Greer wyszedł. Niespodziewanie jednak łóżko lekko się zapadło; zrozumiała, że Ed usiadł obok niej. Przez chwilę wstrzymywała oddech, a potem przewróciła się na drugi bok i wyciągnęła do niego ręce.

- Dziecino - powiedział. - Jezu, jak ja za tobą tęskniłem.

- To dlatego przysłałeś mi tyle listów, co? Nie dostałam od ciebie nawet marnej pocztówki!

Przybliżyła swoją twarz do twarzy Greera, znalazła jego usta. Wsunęła w nie język, a Greer zadrżał, jak zawsze. Po chwili utonęła w jego ramionach.

- Puść mnie! - zażądała.

Wykonał polecenie, zaskoczony.

- Co robisz? - zapytał po chwili.

- A jak myślisz? - Melody pozbywała się koszuli.

- Jezu, Melody, a co z twoją kostką?

- Pieprzyć kostkę. Zdejmuj te przeklęte ciuchy!

Fragment artykułu z „Southern Star” rocznik 87, numer 42

Ozark, Alabama

30 września 1957

OZARK, 30 września. Burmistrz Howard Dutton wraz z żoną Percy Dutton informują o ślubie swojej córki Melody Louise z porucznikiem Edwardem C. Greerem, żołnierzem US Army. Ślub odbył się w Algierze, w dniu 28 września.

Uroczystość ślubna, którą planowano już wcześniej, a która uległa opóźnieniu ze względu na niespodziewane przeniesienie porucznika Greera z Fort Rucker, odbyła się w angielskim Kościele episkopalnym w Algierze. Poprowadził ją wielebny Ronald I. Spiers, kapelan brytyjskiego Konsulatu Generalnego w Algierze.

Porucznik Greer jest asystentem attache wojskowego w Konsulacie Generalnym Stanów Zjednoczonych w Algierze, gdzie młoda para zamieszka.

XIII

1

Waszyngton

1 września 1957

Zakończywszy pierwszy dzień pracy na stanowisku zastępcy szefa Sekcji Planowania i Zaopatrzenia (Finanse) Lotnictwa przy biurze zastępcy szefa sztabu do spraw logistyki, major Craig W. Lowell złapał pod Pentagonem taksówkę i kazał się zawieźć do hotelu Park-Sheraton. Poprzedniego wieczoru przyleciał z Frankfurtu i miał teraz wiele spraw do załatwienia, poczynając od rozpakowania się, poprzez znalezienie mieszkania i kupno samochodu.

Jednak kiedy znalazł się w hotelu, najpierw wszedł do baru i zamówił wytrawne martini. Już po godzinie pracy na nowym stanowisku doszedł do wniosku, że w Pentagonie nie będzie mu się podobało. Mimo skomplikowanego tytułu służbowego miał być po prostu kolejnym zbędnym urzędnikiem, otoczonym przez dupków i włazidupków, od jego bezpośredniego przełożonego, podpułkownika Dillarda począwszy.

Szybko wysączył pierwsze martini i właśnie dopijał drugie, kiedy przyszła mu do głowy nieunikniona myśl: skoro ma spędzać czas na przesuwaniu papierów na biurku, z powodzeniem może to przecież robić w firmie Craig, Powell, Kenyon i Dawes, gdzie ma przynajmniej połowę udziałów.

Zdał sobie sprawę, że zarówno ta myśl, jak i martini są w tej chwili niebezpieczne. Odstawił alkohol, podpisał rachunek i wyszedł z baru do recepcji, gdzie poprosił o klucz.

Razem z kluczem recepcjonista podał mu kartkę z wiadomością: „Proszę zadzwonić do pułkownika Newburgha”.

Pod wiadomością zapisany był numer telefonu.

Nie znał pułkownika Newburgha i zastanawiał się; w jaki sposób pułkownik Newburgh, ktokolwiek to był, znalazł go w hotelu Park-Sheraton. Kusiło go, żeby zniszczyć kartkę i zapomnieć o wiadomości, jednak wiedział, że nie może sobie pozwolić na urażenie któregośkolwiek ze swoich nowych przełożonych. Poszedł do pokoju (nie było żadnego wolnego apartamentu, co poprzedniego dnia mocno go zdenerwowało), zdjął kurtkę mundurową, krawat i wykręcił numer telefonu zapisany na kartce.

- Burning Tree - usłyszał głos telefonistki.

Przez chwilę Lowell był przekonany, że wykręcił zły numer. Nazwą Burning Tree określano bowiem klub i pole golfowe prezydenta. Wśród jego członków było niewielu pułkowników.

- Poproszę z pułkownikiem Newburghiem - powiedział dla pewności.

- Czy mogę się dowiedzieć, kto dzwoni? - zapytała telefonistka.

- Major Lowell.

- Pułkownik Newburgh czeka na pański telefon. Jest właśnie w saunie. Zechce pan chwilę poczekać?

Po kilkunastu sekundach usłyszał głęboki, lekko ochrypły głos.

- Mówi Newburgh.

- Major Lowell przy telefonie. Odpowiadam na pana wiadomość.

- Cieszę się, że pana złapałem, Lowell. Zasadniczo chciałem wypić z panem kilka drinków i zjeść kolację. Mam nadzieję, że nie poczynił pan żadnych innych planów na dzisiejszy wieczór.

- Panie pułkowniku, czy ja pana znam?

- Już się kiedyś spotkaliśmy - odparł Newburgh. I mamy wielu wspólnych znajomych.

- Czy mogę zapytać kogo, sir?

- Na przykład Boba Bellmona. Albo Paula Jiggsa. Bob nawet zjadłby dzisiaj z nami.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie, sir. O której godzinie?

- Pewnie nie kupił pan jeszcze samochodu. Jeśli zatem wyśle po pana swój, będzie pan miał pół godziny, żeby się przygotować...

- Wezmę taksówkę, sir.

- Wie pan, dokąd jechać?

- Jestem pewien, że taksówkarz trafi.

- Każę zapisać pana nazwisko przy wejściu. Jeśli pan do niego doda moje, wpuszczą pana bez problemu.

- Dziękuję - powiedział Lowell i odłożył słuchawkę.

Wziął prysznic i przebrał się w cywilne ubranie: tweedową marynarkę, szare flanelowe spodnie, białą koszulę z apaszką pod rozpiętym kołnierzykiem i mokasyny. Następnie zamówił taksówkę i pojechał do Burning Tree Country Club.

- Major Lowell. Jestem gościem pułkownika Newburgha - powiedział portierowi.

Portier wyglądał na zaskoczonego. Sprawdził swoje zapiski, po czym oznajmił:

- Nic rni na ten temat nie wiadomo. Ale pułkownik zapewne jest w środku. Proszę na chwileczkę usiąść, a ja zaraz wszystko wyjaśnię.

- A co pan powie na to? - zapytał Lowell i podał portierowi wizytówkę.

Była to prywatna wizytówka urzędującego wiceprezesa Riggs National Bank, który był także przewodniczącym Zarządu Burning Tree House. Na odwrocie wizytówki było napisane: „Pan C. W. Lowell. Przysługują wszystkie przywileje członka zarządu”.

- Tak, proszę pana - powiedział portier. - Zostałem poinformowany, że pan przyjdzie. Proszę wejść. Jestem pewien, że kierownik opowie panu o wszystkim, czym dysponuje klub.

- Niech mi pan tylko wskaże bar - poprosił Lowell z uśmiechem.

- Bardzo proszę. Niech się pan uda na górę przez podwójne szklane drzwi.

- Dziękuję.

Po chwili Lowell bez trudu znalazł bar.

Można tu było zajmować miejsca albo przy długim kontuarze, albo w licznych skórzanych fotelach ustawionych wokół małych stolików. Niemal natychmiast zjawił się kelner w białej marynarce.

- Poproszę szkocką z odrobiną lodu i wodą - zamówił Lowell.

- Czy mam przyjemność z panem Lowellem? - zapytał go kelner.

- Zgadza się.

- To pański pierwszy wieczór u nas, jest pan więc naszym najmiłszym gościem. Kierownik prosił, aby panu przekazać, że w tej chwili jest bardzo zajęty, ale za kilka minut z przyjemnością zechce poznać pana osobiście.

- To bardzo miło z jego strony. Dziękuję.

Kiedy kelner przyniósł szkocką, miseczkę z lodem, mały dzbanek z wodą i talerzyk z solonymi migdałami, Lowell zapytał go, czy zna pułkownika Newburgha.

- Tak, proszę pana. To ten pułkownik, który siedzi na skraju kontuaru.

- Niech więc pan poda pułkownikowi jeszcze jedną porcję tego, co teraz pije, z moimi pozdrowieniami.

- Tak jest, panie Lowell. Uczynię to z radością.

Minutę później pułkownik Carson Newburgh, wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce, o rumianej twarzy, w szytym na miarę garniturze z tartanu, podszedł do stolika Lowella. Ten wstał.

- Okazał się pan lepszy ode mnie - powiedział pułkownik, podając mu rękę. - Cóż, sam się o to prosiłem.

- Co to była za zabawa przy drzwiach?

Newburgh usiadł i ruchem ręki wskazał Lowellowi, żeby uczynił to samo.

- Chciałem pana wypróbować - odparł. - Chodziło mi o to, że dla wielu ludzi nasze wysokie progi są po prostu niemal nie do przebycia. W jaki sposób pan je przekroczył?

- Miesiąc temu w Nowym Jorku jadłem lunch z przewodniczącym zarządu. Kiedy usłyszał, że przenoszę się do Waszyngtonu...

- Obiecał, że wystąpi o wpisanie pana na listę członków?

- Tak. Powiedział, że zarząd zbiera się raz na trzy miesiące.

- I postanawia, który z kandydatów czekających w kolejce przez dwa albo i trzy lata jest godzien wstąpienia do klubu.

- Pewne świnie, co zauważył już pan Orwell, są równiejsze od innych świń - stwierdził Lowell.

- To bardzo miło być bogatym, prawda, Lowell?

- Tak, to jest o wiele miłsze od wielu innych przyjemności, jakie niesie życie. Ale panu chyba także niczego nie brakuje, prawda, pułkowniku?

- Można tak powiedzieć - odparł z uśmiechem Newburgh.

- Bardzo jestem ciekaw, dlaczego mnie pan tutaj ściągnął. Do momentu tej przepychanki przy drzwiach myślałem, że jest w to zamieszany mój kuzyn, że chce, abym zaczął tutaj poznawać ważnych ludzi.

- Nie. Z Porterem skontaktowałem się tylko po to, żeby się dowiedzieć, gdzie pan mieszka. Właściwie to go w ogóle nie znam. Mamy jednak kilku wspólnych przyjaciół.

- My obaj także, jak pan powiedział.

- Wkrótce zjawi się tutaj Bob Bellmon. Spodziewam się go w każdej chwili. Jego samolot planowo powinien był wylądować za pięć szóstą.

- Niech pan tylko nie zapomni poinformować portiera.

- Nie muszę nikogo o niczym informować. Bellmon jest członkiem klubu. Był nim już zresztą jego dziadek.

- Będę musiał pamiętać, żeby być dla niego miłym. Przynajmniej do czasu, kiedy zostaną wpisani na listę członków.

- Barbara nie pozwoliłaby mu głosować przeciwko panu. Barbara pana lubi.

- Do diabła, kim pan właściwie jest, pułkowniku? I co się tutaj dzieje?

- Nazywam się Carson Newburgh. Myślę, że pan słyszał o Newburgh Corporation?

- No to rzeczywiście niczego panu w życiu nie brakuje.

- Kiedyś byłem porucznikiem Newburghiem. A po tym, jak w Korei doskonale się spisałem jako administrator E. Z. Blacka, jestem pułkownikiem.

- Teraz wiem, kim pan jest. Jasne.

- No a ja wiem, kim jest pan - stwierdził Newburgh i zachichotał. - Opisano mi pana jako konkursowego popaprańca komplikującego sobie życie.

- Ja też słyszałem podobne opinie.

- Ale też jako doskonałego dowódcę polowego, geniusza planowania i logistyki.

- To pewnie sprawka Barbary Bellmon.

- Paula Jiggsa, prawdę mówiąc.

- Bardzo chciałbym mu to zacytować i użyć jego autorytetu, żeby wynieść się z Pentagonu w diabły.

- I przechodzimy do sedna. Jeśli pan zechce, może pan więcej zrobić dla armii, siedząc na dupie w Pentagonie, niż zrobił pan, dowodząc Grupą Bojową Lowell.

Lowell uniósł brwi w ironicznym niedowierzaniu.

- Mówię to na wypadek, gdyby pan się zastanawiał, dlaczego zaaranżowałem to spotkanie.

Lowell roześmiał się i uniósł pustą szklanekę, dając sygnał kelnerowi, żeby przyniósł mu nową whisky.

- A co mam robić?

- Jedną rzecz, która prawdopodobnie pana rozbawi, ale będzie też źródłem satysfakcji, oraz mnóstwo innych rzeczy, które prawdopodobnie bardzo się panu nie spodobają. I to, i to będzie jednak równie ważne.

- Niech mi pan powie, co mnie rozbawi? - zapytał Lowell.

- W Fort Lewis w Waszyngtonie stoi rozbity H-19 Chocktaw. Niemal zupełny wrak. W funduszach, którymi dysponuje pan na inne cele, znajdzie pan dość pieniędzy, żeby wyremontować ten wrak, ale w taki sposób, żeby nikt o tym nie wiedział.

- A co się stanie z H-19, kiedy już to zrobię? Jakiś generał potrzebuje latającego stanowiska dowodzenia?

- MacMillan dostanie maszynę do testowania możliwości uzbrajania helikopterów w rakiety - odparł Newburgh. Kiedy zobaczył minę Lowella, dodał: - Mówiłem, że sprawi to panu satysfakcję.

- I to dlatego otrzymałem bezsensowną posadę przy przekładaniu papierów na biurku?

- Jest to jeden z powodów.

- To niech pan wyskoczy z drugim, pułkowniku.

- Z tego, co słyszałem o panu od Bellmonów, a także na podstawie własnej obserwacji wnoszę, że byłby pan marnym politykiem. Szkoda.

- Dlaczego pan to mówi?

- Ponieważ armia potrzebuje od pana właśnie politycznego wpływu.

- O naszym szacownym senatorze Porter mówi „nasz szacowny senator”.

- Ja również znam dobrze jednego, a właściwie nawet trzech ludzi na Kapitolu. Ale takie proste znajomości nie wystarczą.

- A dlaczego?

- Bo chodzi o utrzymanie przy życiu lotnictwa armii. Siły powietrzne będą z nami walczyły bezpardonowo.

- Rzeczywiście. Ale ja nie jestem w tym dobry.

- Będzie pan jednak nnusiał spróbować. Pomożemy panu.

- Do diabła, o czym pam właściwie mówi, pułkowniku?

- To miasto funkcjonuje na szwedzkich klopsikach i na szkockiej z lodem. Więcej załatwia się na przyjęciach niż na Kapitolu. Obrzydliwe, ale tak właśnie jest.

- Gdzie jest w tym wszystkim moje miejsce?

- Niech pan przypomni sobie chociażby, jak pan tu wszedł. Drobne utrudnienie miało być dla pana próbą. Wszedł pan z niej zwycięsko w sposób, który przeszedł wszelkie moje oczekiwania.

- Chyba pana nie rozumiem.

- Czy w czasie pobytu w Waszyngtonie planuje pan pograć trochę w golfa, majorze Lowell?

- Być może.

- Tutaj?

- Jeżeli nie znajdę wygodniejszego miejsca.

- Dookoła nas, majorze, w Chevy Chase, w Silver Spring i w całym Dystrykcie przebywa kilkuset kongresmanów i Bóg wie ilu członków ich sztabów. Chyba pan rozumie, Lowell, że ci ostatni bywają czasami potężniejsi od ludzi, dla których pracują. Ale żaden z nich nie przekona portiera, żeby ich wpuścił do tego klubu albo innego podobnego. Będą wdzięczni, Lowell, jeśli będzie pan ich zapraszał na golfa. Później nie zaryzykują pańskiej przyjaźni poprzez głosowanie po myśli sił powietrznych. Pojmuje pan to?

- Pojmuję i wcale mi się to nie podoba. To się raczej nie może udać.

- Uda się.

- Nie rozpoznałbym naszego senatora, gdyby teraz wszedł do środka.

- Ale on pana zna i kiedyś zaprosi pana na kolację. Pójdzie pan z nim, będzie się pan dobrze bawił, a przy okazji zabawił senatora. A w pewnej chwili koło senatora znajdzie się niezwykle czarujący pułkownik, który zacznie mu sączyć do ucha to, co dla nas ważne.

- Jezu!

- Nie chcę panu tutaj snuć jakichś przesadzonych wizji, ale jest to sprawa o największym znaczeniu, Lowell. A ponieważ, jak pan sam zauważył, jest pan majątny, chociażby z tego powodu podoła pan zadaniu.

Lowell wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Jak mam zacząć? - zapytał.

- Niech pan zatelefonuje do przyjaciela w Riggs Bank i powie mu, że potrzebny jest panu mały sympatyczny miejski domek w Georgetown. Niech pan się postara o dom z dużą kuchnią i dużą jadalnią. Nie chodzi o nic ostentacyjnego, ale niech robi pewne wrażenie. Przydadzą się dwie albo i trzy osoby do obsługi. Pojmuje pan?

- Dobrze wyposażony burdel. Pojmuję.

- Te zgryźliwe uwagi są niepotrzebne. Niech pan się zachowuje tak, jakby cały ten pomysł od początku do końca się panu podobał.

Lowell uniósł ręce w geście poddania.

- To pewnie będzie oznaczało picie wody sodowej z jakimś sokiem, żeby nadać jej trochę koloru. Natomiast goście będą mogli, i mam nadzieję, że skwapliwie wykorzystają każdą okazję, upijać się do woli. Pan musi być trzeźwy.

- Będę miał trochę odpoczynku pomiędzy bitwami?

- Jasne. Ale w towarzystwie kogoś wartościowego, cennego. Na przykład kongresman z Mobile W stanie Alabama lubi latać Aero Commanderami.

Newburgh uniósł szklankę, czekając na jej napełnienie.

Nagle spojrzął na drzwi i powiedział:

- Aha, już są.

Lowell popatrzył ponad ramieniem i zobaczył Boba Bellmona w mundurze wchodzącego do baru w towarzystwie wysokiego muskularnego mężczyzny w cywilnym ubraniu.

Jeszcze nigdy w życiu nie widział tego postawnego, siwowłosego mężczyzny bez munduru i minęła dłuższa chwila, zanim rozpoznał w nim generała E. Z. Blacka, zastępcę szefa sztabu US Army.

Lowellowi przyszło do głowy, że wszystko zostało rozegrane bardzo sprytnie. Już sama obecność Blacka dodawała jego nowej roli lobbysty wiarygodności i autorytetu.

(Niemal od razu wpadła mu do głowy zuchwała myśl, że Black ma szansę stać się męską odmianą Perle Mesty.) I ręce Blacka pozostaną bezdyskusyjnie czyste. Przecież to nie Black powiedział mu, żeby poił alkoholem kongresmanów z prowincji i jadał z nimi posiłki albo żeby wykorzystywał będące w jego gestii fundusze na cele, prawdopodobnie nielegalne, na jakie nie były przeznaczone. A remont wraku Chocktaw z pieniędzy przeznaczonych na coś innego, i potem jeszcze jego uzbrojenie - a więc pogwałcenie porozumienia z Key West z 1948 roku, które zakazywało armii uzbrajania swoich maszyn powietrznych - z całą pewnością były działaniami nielegalnymi.

Ale to nie dlatego generał Black zdecydował się na towarzyską rozmowę z mało znanym majorem.

Godzinę później generał oderwał wzrok od krakersa, na którym rozsmarowywał camembert.

- Chciałbym, żeby trzymał się pan z dala od Sanforda Feltera, Lowell - powiedział.

- Słucham?

- Słyszał pan, co powiedziałem.

- Czy mogę zapytać dlaczego?

- Felter to nasz człowiek w Białym Domu.

- Nie rozumiem, co to znaczy.

- Właściwie chciałem powiedzieć, że nie ma znaczenia, czy pan to rozumie czy nie.

Wydałem panu rozkaz i oczekuję, że zostanie on wykonany. Myślę jednak, że zasługuje pan na wyjaśnienie. Felter jest człowiekiem, który pełni funkcję łącznika prezydenta ze środowiskiem wywiadu. Ma to być wielki sekret, jednak powiem panu, że funkcjonuje jako doradca prezydenta. Nie chciałbym, aby ta jego rola została w jakikolwiek sposób zagrożona. Tym bardziej przez kogoś, kto połączyłby jego osobę z pańską aktywnością jako lobbysty, a tym bardziej z całą tą sprawą, której celem jest uzbrojenie helikoptera. Jasne?

- Tak jest. Ale jak ja to wytłumaczę Felterowi?

- Jest pan inteligentnym facetem, Lowell. Coś pan wymyśli.

Georgetown

Dystrykt Columbia

4 lipca 1958

Była niemal północ, kiedy eldorado Lowella skręciło w ulicę, na której mieszkał. Dojeżdżając do domu, Lowell nacisnął przełącznik na tablicy rozdzielczej auta i natychmiast rozsunięły się automatyczne drzwi do garażu. Wracał z małego przyjęcia, które wydał dla niewielkiej (trzydziestoosobowej) grupy na pokładzie wynajętego jachtu. Od wpół do szóstej pływali po Potomacu. Podawano koktajle, owoce morza i szampana, a później wszyscy obserwowali pokaz sztucznych ogni.

Większość dnia Lowell spędził w pracy w Pentagonie i popołudniowe przyjęcie pasowało mu jak pięść do nosa.

Znalazłszy się w domu, desperacko pragnął się czegoś napić. Wsiadł z wozu, zamknął drzwi garażu i wszedł do części mieszkalnej przez kuchnię. Służących już nie było, za to na kuchennym stole czekała na niego cała sterta rachunków.

Wyszedł z kuchni przez jadalnię i podszedł do barku w salonie, gdzie znalazł butelkę whisky. Zaniósł ją do kuchni, wymieszał mocnego drinka z niewielką ilością lodu, usiadł przy stole i zaczął wypisywać czeki. W trakcie pisania dwukrotnie dolewał szkoocką do szklanki.

Było gorąco i parno. Kiedy popatrzył na termostat, stwierdził, że jeden ze służących, który nie lubił klimatyzacji, ustawił temperaturę w mieszkaniu na dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Kiedy ruszył na górę do sypialni, odniósł wrażenie, że z każdym stopniem, który pokonuje, robi się coraz goręcej.

W tym upale nawet nie próbował zasnąć. Pod wpływem nagłego impulsu wziął z szafy kąpielówki i zszedł na dół. Przebrał się w salonie, rzucił ubranie na kanapę, wszedł do kuchni i spojrzał przez okno na basen.

- Do diabła - mruknął. - Dlaczego nie?

Włączył oświetlenie zewnętrzne i światła zamontowane pod wodą, po czym wyszedł na zewnątrz. Dziedziniec z basenem był otoczony ceglany murem. Lowell skierował się ku głębszej części basenu, postawił szklankę na stoliku z parasolem, po czym wziął rozbieg i skoczył do wody. Temperatura wody z pewnością przekraczała trzydzieści stopni. Miał

wrażenie, że wskoczył do wanny z ciepłą wodą. Przeplłynął połowę basenu, po czym wyszedł, żeby się napić.

- Cześć, sąsiedzie! - zawołała jakaś kobieta.

Zaklął w duchu, bo była to ostatnia rzecz, na którą miał ochotę.

Constance była jego sąsiadką. Była żoną bardzo ważnego senatora. Senator miał sześćdziesiąt osiem lat, ale wszystkim mówił, że ma pięćdziesiąt osiem. Constance miała lat trzydzieści kilka, ale udawała, że ma tylko dwadzieścia dwa. Miała krótkie czarne włosy, które czesała w taki sposób, że przylegały do głowy.

Lowell wziął szklankę ze stolika, uzbroidł twarz w sztuczny uśmiech i odwrócił się.

- Cześć, sąsiadko - powtórzył za nią. - Mam nadzieję, że światła cię nie obudziły.

- Nie mogłam spać - powiedziała. Po chwili dodała: - Nie odchodź.

Do ciężkiej cholery, co to ma znaczyć? - pomyślał Lowell.

Zaskoczyła go.

Ruszył z powrotem w kierunku domu. Po drodze zajrzał do altanki w poszukiwaniu ręcznika, jednak żadnego nie znalazł. Wszedł więc do kuchni i wytarł się ściereczką do naczyń. Miał nadzieję, że Constance tutaj nie wejdzie. Stał przez chwilę, mimo wszystko spodziewając się, że zabręczą dzwoneczki przy drzwiach wejściowych, jednak nie usłyszawszy ich przez kilkanaście sekund, stwierdził, że sąsiadka jednak nie przyjdzie. Poszedł do salonu, wychylił się przez okno i popatrzył na ulicę. Była pusta.

Mógł iść do łóżka. Temperatura w sypialni powinna już być niższa; mogło nawet być chłodno. Rano musiał znów iść do pracy i potrzebował jak najwięcej snu.

- Cześć!

Constance, w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym, pasującym raczej na kwitnącą nastolatkę niż na nią, weszła do salonu z kuchni.

- Jakim cudem przedostałaś się przez płot? - zapytał Lowell, zaskoczony.

- Miłość zawsze znajdzie drogę.

Uśmiechnął się. Był bezbrzeżnie zdumiony.

- Przy samym budynku w płocie są wykute takie małe stopnie.

- Nigdy ich nie zauważyłem.

- Wielu rzeczy nie zauważasz.

Lowell znów się uśmiechnął.

- Wolisz się cieszyć płynami z zewnątrz czy od wewnątrz? - zapytał. Uznał, że jest sprytny, oferując kobiecie wybór pomiędzy skokiem do wody a drinkiem.

Constance postanowiła udać, że nie zrozumiała.

- Widzę, że jesteś konkretny. Czy mogę się najpierw napić, czy od razu mam wskakiwać do łóżka?

- Oczywiście żartujesz - powiedział Lowell, koniecznie chcąc obrócić to pytanie w żart.

- Nie przeszkadzało mi, że mnie ignorujesz, kiedy myślałam, że jesteś homoseksualistą.

- Myślałaś, że jestem homoseksualistą?

- Jesteś tak piękny, że mógłbyś być.

- Jestem zdruzgotany.

- A potem zobaczyłam, jak zabawiasz się w basenie z tą dziennikarką. I przypadkowo zobaczyłam, że jej samochód stał na ulicy przez całą noc.

- Miała jakieś problemy z silnikiem.

- Akurat.

- Napijesz się?

- Nie muszę. Ale jeśli poczujesz się lepiej, jak mi nalejesz...

Lowell poszedł do kuchni, żeby nalać jej drinka. Poszła za nim. Po drodze przesunęła palcami po szramie na jego plecach, długiej na piętnaście cali.

- Kiedy to się stało?

- Dawno temu, w Grecji.

- Ta blizna tylko podkreśla perfekcję reszty ciała - powiedziała Constance.

- A czy ty napijesz się ze mną?

Sharon przez chwilę się zastanawiała, po czym skinęła głową.

- Tak. Chociażby po to, żeby coś uczcić.

- Rozumiem, że powinienem zapytać, co chcesz uczcić?

- Wizytę starego przyjaciela, który chociaż mieszka w Waszyngtonie, zachowuje się tak, jakby przebywał w Anchorage na Alasce albo jeszcze dalej, i w ogóle nas nie odwiedza.

- Stoję przed tobą - odpowiednio zawstydzony. - Ale wiesz, co by się stało, gdybym bywał tutaj często? Pijałbym z tobą alkohol i wciągnąłbym cię w grzeszne życie.

- Sądzisz, że w twoim grzesznym życiu znalazłoby się miejsce jeszcze dla mnie? Pamiętaj, że nie jesteś już taki młody.

- Touche, madame.

- Czego się napijesz? - zapytała Sharon.

- Szkockiej, bez lodu - odparł Lowell.

Zdziwił się, kiedy Sharon przygotowała sobie szkocką z lodem, i to naprawdę sporą porcję.

- Czyżby mężczyzna, z którym żyjesz, sprowadzał cię na złą drogę? - zapytał, wymownie wskazując na jej szklanke.

- Zalecenie lekarzy - odparła Sharon. Widząc zdziwienie Lowella, dodała: - Dla zdrowia.

- Chorujesz? - zapytał major Lowell. Trudno było nie usłyszeć w jego głosie zatroskania.

- Według lekarzy to nic takiego, czego nie mogłaby leczyć mała szkocka z lodem.

- Gra w półśłówka to nie moja specjalność. Twoja chyba też nie. Co się dzieje?

- Stres. Wysokie ciśnienie. Nerwy. I kobiece przypadłości.

- Z powodu jego pracy? - zapytał Lowell niemal ze złością.

- On teraz tylko pracuje. I to bardzo ciężko.

- Znowu bawi się szpiega? O to chodzi? I tylko nie mów wujkowi Craigowi, że nie wolno ci o tym rozmawiać.

- Po prostu ciężko pracuje.

- Nigdy nie zrozumiem, dlaczego się z tego nie wycofa.

Na ulicy rozległ się odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu i po chwili ktoś otworzył drzwi.

- Cześć, Craig - powiedział Sandy Felter, wchodząc do kuchni.

Miał na sobie luźną szarą marynarkę, jaką zwykle noszą urzędnicy. Nie wydawał się ani zaskoczony, ani specjalnie zadowolony z wizyty Lowella.

- Niech zgadnę - odparł Lowell. - W tym tygodniu chodzisz przebrany za biurokrate.

- Co cię do nas sprowadza?

- Dowiedziałem się, że wyjechałeś z miasta, i pomyślałem, że to najlepszy moment, żeby uwieść twoją żonę.

- Cóż, miałeś szansę. Dzieciaki są w Newark. Gdybyś przyjechał wcześniej, miałbyś Sharon dla siebie znacznie dłużej.

- Chyba nie jesteście zabawni - zauważyła Sharon.

- Tutaj się nauczyłem, że częsta wymiana żon to ostatni krzyk mody wśród biurokratów w Dystrykcie - powiedział Lowell.

- Jeśli ktokolwiek jest w stanie to sprawdzić, należysz do czołówki. Doszły mnie słuchy, że przez pewien dom w Georgetown przewinęło się już tyle kobiet, że gliniarze zaczęli coś podejrzewać. Mówią o nielegalnym domu schadzek albo czymś takim.

- Sandy! - zawołała Sharon.

- On jest zazdrosny, Sharon, to wszystko. Niektórzy z nas mają zwierzęcy magnetyzm, który przyciąga kobiety, a inni go nie mają.

- Ale niektórzy z nas są zbyt rozsądni, żeby się łądować w romanse z żonami senatorów - odgryzł się Felter.

Zdjął marynarkę i powiesił ją w szafie. Z kabiny umieszczonej na pasku na jego plecach wystawała kolba Colta model 1911A1.

- Ta armata powoduje, że twoja żona jest nerwowa, wiesz o tym? - zapytał Lowell, kiedy Felter wyjął pistolet z kabury i włożył do szuflady w komodzie. - Kiedy cię nie ma w domu, miewa czasami wizje, że spod drzwi Falls Church porywa cię NKWD. Pije z tego powodu.

- To chyba nie jest szczególnie zabawne.

- Bo też nie ma być zabawne. Zanim wróciłeś do domu w charakterze marnej podróbki Humplireya Bogarta, mówiłem twojej żonie, że już najwyższy czas, żebyś przestał bawić się w szpiega i z powrotem stał się żołnierzem.

- Żeby wszystko było jasne, Craig - powiedział Felter lodowatym tonem. - Jestem żołnierzem.

- W tej urzędniczej marynareczce? Nie dam się nabrać.

- Czemu właściwie zawdzięczamy twoją wizytę?

- Dosyć tego! - zażądała Sharon. - Co się z wami dzieje? Jesteście sobie bliżsi niż bracia, a zachowujecie się jak... Sama nie wiem jak.

- Jak bracia - powiedział Lowell niewinnym tonem.

Nastąpiła chwila ciszy i nagle Felter głośno się roześmiał.

- Sharon, nalej szkockiej mojemu bratu - poprosił Lowell. - Wygląda, jakby tego właśnie potrzebował.

- Sandy? - zapytała Sharon.

- Dlaczego nie? - odparł Felter.

Sharon zerwała się z krzesła i szybko poszła do kuchni, żeby nalać mężowi drinka.

- No to cyk! - powiedział po chwili Felter.

- Mazał tow - odparł Lowell.

Felter popatrzył na niego i potrząsnął głową.

- Jesteś niesamowity - powiedział. - Zaskakujesz mnie. To zabrzmiało antysemicko.
- Pieprz się. Chciałem po prostu być zabawny i czarujący.
- Jeśli starasz się być zabawny i czarujący, najwyraźniej czegoś chcesz - stwierdził

Felter.

- Zgadza się.
- No właśnie. O co chodzi?
- Miałem dziś do czynienia z jednym z twoich kumpli.
- Tak?
- Właśnie. Przyszedł do mojego biura, zajrzał pod biurko i do koszy na śmieci, żeby się upewnić, czy nas nie podsłuchują Rosjanie, i błysnął mi przed oczyma legitymacją.
- Jaką legitymacją? - zapytał Felter.
- CIC.
- Craig, ja nie mam nic wspólnego z CIC, przecież wiesz.
- Mały, podstępny drań zachłystujący się władzą- kontynuował Lowell. - Zaczął mnie wypytywać o jednego z moich przyjaciół.
- O kogo?
- Chcę wiedzieć, dlaczego zadawał te pytania - odparł Lowell. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej wyrwaną z notatnika kartkę. Pokazał ją Felterowi. - Tak brzmi jego nazwisko.

Felter przeczytał.

- I co niby mam z tym zrobić?
 - Dowiedz się, w jakie kłopoty wpadł mój przyjaciel, i co mogę zrobić, żeby mu pomóc.
 - Przecież wiesz, że to niemożliwe!
 - Nieprawda. Może nie chcesz mi pomóc, ale na pewno możesz.
 - Chyba nie przyszło ci do głowy, że mógłbym chociaż rozważyć coś takiego!
 - Podnieś słuchawkę telefonu i zadzwoń do kogoś - zażądał Lowell.
 - Wiesz, co zrobię? Pójdę teraz na górę i wezmę prysznic. I natychmiast zapomnę, że mnie o coś takiego prosiłeś.
 - Pocałuj mnie w dupę, Sandy.
- Craig wstał i odstawił szklaneczkę na stół.
- Chyba nie zamierzasz już iść! - powiedziała Sharon Felter.
- Zapadła nieprzyjemna cisza. Sandy zobaczył, że Sharon jest bliska łez.
- Nie, oczywiście, że nie - odparł Lowell po chwili.

- Należę ci jeszcze jednego drinka - powiedziała Sharon. Lowell zobaczył, że jej szklanka jest już pusta.

Sanford Felter poszedł na górę do sypialni. Sukinsyn Lowell nie miał prawa prosić go o taką przysługę. I nie miał prawa denerwować Sharon. Jeden Bóg wie, co ten lowelas jej nagadał, zanim on wrócił do domu. Felter także zauważył, jak szybko jego żona opróżniła szklanę whisky.

Cholera jasna!

Felter wysunął szufladę toaletki i opróżnił kieszenie.

Miał w nich kilka banknotów zwiniętych w rulonik, mniej więcej dolara w monetach, przepocony portfel, skórzane etui z odznaką służbową, plastikową kartę identyfikacyjną, według której pełnił funkcję zastępcy szeryfa należącego do Biura Pościgowego (to na wypadek, gdyby jakiś nadgorliwy gliniarz zainteresował się, dlaczego nosi broń) oraz identyfikator z trzema poprzecznymi czerwonymi paskami, zawierający jego fotografię, a także imię i nazwisko. Umożliwiał mu on wstęp o każdej porze na teren Pentagonu, Agencji Obronnej Wywiadu, Departamentu Stanu i CIA oraz dostęp do wszelkich informacji, o które by tam poprosił.

W tajnych aktach zastępcy szefa sztabu do spraw wywiadu, gdzie trzymana była jego teczka osobowa, znajdował się egzemplarz ogólnego rozkazu Departamentu Wojsk Lądowych, który tymczasowo kierował majora piechoty Sanforda T. Feltera (pełniącego służbę w Wywiadzie Wojskowym) z Agencji Obronnej Wywiadu do Białego Domu. W osobistych sejfach sekretarza obrony, sekretarza stanu, dyrektora FBI i dyrektora CIA znajdowała się krótka notka na papierze firmowym Białego Domu:

Na toalecie stała fotografia w ramce. Wykonano ją w Grecji, niedaleko granicy z Albanią. Przedstawiała dwóch młodych oficerów. Mieli na sobie amerykańskie koszule mundurowe. Pozostałe części ich uniformów były brytyjskie. Mniejszy z dwójki oficerów, porucznik Sanford T. Felter, dwudziestodwulatek, niczym gangster z okresu prohibicji trzymał przed sobą na ramionach pistolet maszynowy Thompson kaliber .45. Wyższy, dziewiętnastoletni podporucznik Craig W. Lowell, trzymał w zgięciu łokcia karabin M1 Garand jak myśliwskie trofeum. Do jego skózanego paska przyłączone były dwa zapasowe magazynki, każdy zawierający osiem naboju.

Felter bardzo dobrze pamiętał inne fotografie, które znajdowały się na tej samej rolce filmu. W akcie nieopisanej głupoty przesłał ten film do domu, do Sharon, żeby go wywołała i zrobiła odbitki. I kiedy odebrała film oraz odbitki z zakładu fotograficznego mieszczącego się w sklepie na rogu Aldine Street i Lyons Avenue, o jedną przecznicę od piekarni Felterów,

Sharon, jego żona od ośmiu miesięcy, zobaczyła, jak jej mąż żyje w Grecji, jak wygląda jego grecki pies przybłąda i jak wygląda jego nowy przyjaciel Craig Lowell. Dwie spośród tych fotografii powiedziały Sharon znacznie więcej o tym, co robił w Grecji, niż chciałby, żeby wiedziała. Dwie fotografie prezentowały Craiga Lowella w tradycyjnej pozie zwycięskiego myśliwego, szeroko uśmiechniętego, ściskającego w dłoniach karabin, dumnie pozującego przy owocach swojego polowania. Tymi owocami były zwłoki trzech mężczyzn, rzucone na stertę. Jeden z martwych mężczyzn wpatrywał się niewidzącym wzrokiem prosto w obiektyw aparatu. Na jego wąsatej twarzy widniał wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Na środku czoła miał małą dziurkę po pocisku kaliber .30. Tył jego głowy został odstrzelony.

Sharon przetrzymała odbitki i negatywy, dopóki Felter nie wrócił do domu, i wtedy bez słowa mu je oddała. On, również bez słowa, prawie wszystkie je spalił. Teraz patrzył na starą fotografię, na której był on i Lowell, i w końcu z ogromnym trudem zmusił się do oderwania od niej wzroku. Wszedł do łazienki i wziął prysznic.

Przyjaźń nie upoważnia do wszystkiego, myślał. Craig naprawdę oczekiwał po nim zbyt wiele.

Nacierając łysinę damskim szamponem Sharon (kiedy używał mydła albo męskiego szamponu, skóra na jego głowie pękała), przypomniał sobie, jak Craig W. Lowell rozwiązał problem, dotyczący tego, co on, Felter, powinien powiedzieć Sharon, swoim rodzicom oraz teściom o swoim pobycie w szpitalu na Hawajach. Kiedy zapadła decyzja o przetransportowaniu go z okrętu szpitalnego, stojącego w koreańskim porcie Pusan, na Hawaje, inwestorzy bankowi Craig, Porter, Kenyon i Dawes przysłali do Piekarni Warszawskiej Feltera pewnego miłego młodego człowieka.

Ten miły młody człowiek miał limuzynę i osobiście polecił z jego rodziną na Hawaje, na wypadek gdyby ktoś w linii lotniczej zapomniał, że rodziny Felterów i Lavinskych są przyjaciółmi właściciela połowy firmy, która właśnie pożyczyła linii lotniczej tyle milionów dolarów, ile było trzeba na zaliczkę za flotę międzykontynentalnych samolotów transportowych.

Gdy wniesiono go na noszach do izby szpitalnej, wszyscy już tam byli. Sharon wyciskała go z płaczem i nikt nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Wyjątkiem była tylko jego matka.

- Sanford - mówiła - nie uwierzysz, w jakim hotelu mieszkamy. Uwierzysz, że dostaliśmy dwa apartamenty? Tuż przy plaży. Z werandy widać hawajskich schwartzes pływających na falach na tych swoich deskach. Hotel nazywa się The Royal Hawaiian.

Przypomniał sobie też, co powiedziała Sharon, kiedy wrócił z Dien BienPhu. Że Craig W. Lowell siedział na krześle, na którym siedział teraz on sam, pił whisky jak wodę i płakał jak dziecko.

- W pewnym sensie to było zabawne, Sandy - powiedziała Sharon dużo później. - Wdowa i sieroty po tobie robiły wszystko, co się tylko dało, żeby wujek Craig przestał płakać.

- Cholera jasna! - warknął Felter.

Wyszedł spod prysznica, owinął biodra ręcznikiem, wyszedł do sypialni i usiadł na łóżku. Z nocnego stolika wyciągnął czarny telefon z kilkoma dodatkowymi przyciskami.

Wystukał numer.

- Liberty 7-1936 - usłyszał po chwili męski głos.

- Scramble Cztery Victor Dwadzieścia Trzy - powiedział.

- Potwierdzam Cztery Victor Dwa Trzy - odpowiedział mu po chwili głos. - Możesz kontynuować.

Felter nacisnął kilka dodatkowych przycisków.

- Tu Felter - powiedział po chwili. - Skontaktuj się z kimś w G-2 albo w DIA i dowiedz się dwóch rzeczy. Po pierwsze, dlaczego CIC zajmuje się człowiekiem o nazwisku Franklin, William B., a po drugie, jakie są dotychczasowe wyniki śledztwa.

- Zechce pan powtórzyć nazwisko?

- Franklin.

Nazwisko niby coś mu mówiło, ale nie potrafił go z niczym skojarzyć.

- Rozumiem.

- Jestem w domu. Oddzwoń tu do mnie.

- Tak.

Nie mówiąc już nic więcej, Felter odłożył słuchawkę na widelki. Następnie wstał, wrócił do łazienki i wrzucił ręcznik do kosza z brudną bielizną.

To, co teraz zrobił, było absolutnym nadużyciem władzy, jaką dysponował. Inaczej nie można było na to patrzeć.

Z drugiej strony, bez wątpienia nic mu nie groziło. Odpowiadał przecież tylko przed prezydentem, przed nikim więcej. Nawet gdyby dyrektorzy FBI albo CIA jakimś cudem się o tym dowiedzieli, nikt nie będzie przecież zadawał żadnych pytań. Już od dawna był jedną z nielicznych osób, którym nikt pod żadnym pozorem nie patrzył na ręce.

Włożył sportową koszulę i luźne spodnie i zszedł na dół.

Craig siedział w kuchni z Sharon. Sharon przygotowywała sałatkę. Craig nacierał steki grubo mielonym pieprzem.

- Jak się mają sprawy w Niemczech? - zapytał Felter. Jest jeszcze trochę whisky czy już wszystko wypiliście?

- Skąd wiesz, że byłem w Niemczech?

- Wczoraj rozmawiałem z twoim teściem.

Felter wziął do ręki butelkę i nalał sobie drinka. W butelce nie pozostało już nic, a był pewien, że zanim poszedł na górę, były w niej jeszcze ze cztery cale alkoholu. Zobaczył, że jego żona i Lowell mają pełne szklaneczki.

- Po raz pierwszy wzięliśmy Petera na polowanie - powiedział Lowell.

- Craig, to niemożliwe! - zawołała Sharon. - Mój Boże, przecież on ma dopiero dziewięć lat.

- To prawdziwy Szwab. Bardzo mu się spodobało.

- Przecież w połowie jest Amerykaninem.

- I odrobinę go to drażni.

- Och, Craig!

Felter odsunął zasłonkę w drzwiach kuchni, żeby zobaczyć, jak się pali w piecu.

- Nie rozpałaś ognia - powiedział oskarżycielskim tonem do żony.

Lowell strzelił palcami.

- Wiedziałem, że powinienem był zająć się czymś jeszcze poza tym głupim pieprzem.

Nie było to zabawne, ale Sharon i Craig byli przeciwnego zdania.

Minęło czterdzieści minut, zanim ogień rozpałał się na dobre. W tym czasie wypili jeszcze po dwa drinki. Felter pomyślał, że Sharon jutro będzie chora po takiej dawce alkoholu. Zaraz jednak porzucił tę myśl, zastępując ją inną: whiskey uspokajała jego żonę.

Lowell się uparł, żeby do posiłku pić czerwone wino. A to już musiało skończyć się dla Sharon ciężkim kacem.

Właśnie kończyli jeść, kiedy zagrał dzwonek u drzwi.

Felter dopił wino do dna i poszedł otworzyć. W progu stał krępy siwowłosy mężczyzna w marynarce. W ręce trzymał neseser. Na podjeździe Felter zobaczył czarnego czterodrzwiowego chevrolata, stojącego za samochodem Lowella. Ktoś siedział za kierownicą. Felter otworzył drzwi.

- Dzień dobry panu - powiedział siwowłosy mężczyzna.

- Niech pan wejdzie, pułkowniku.

Felter wprowadził gościa do jadalni.

- Oczywiście zna pan panią Felter?
- Dzień dobry pani - powiedział pułkownik.
- Witam pana - odparła Sharon.
- To jest major Lowell - przedstawił Felter.
- Dzień dobry panu.

Lowell i pułkownik podali sobie ręce. Nowo przybyły nie podał swojego nazwiska, a Felter też go nie wymienił.

- Czy wypije pan kieliszek wina, pułkowniku? A może ma pan ochotę na coś mocniejszego? - zapytał Felter..

- Dziękuję, nie. Jestem na służbie.
- Zapewne ma pan już dla mnie odpowiedzi - powiedział Felter.

Pułkownik miał niepewną minę.

- Raczej wątpię, by moja żona albo major Lowell zamierzali popędzić do najbliższej budki telefonicznej i poinformować o tej rozmowie rosyjską ambasadę - zauważył Felter.

- Oczywiście - odparł pułkownik. - Proszę pana, nie miałem zbyt wiele czasu na opracowanie zagadnienia, uznałem więc, że najlepiej będzie, jeżeli po prostu osobiście przywiozę interesujące pana materiały.

- Przykro mi, że musiał pan jechać taki kawał drogi.

- Otóż śledztwem objętych jest w chwili obecnej trzech Williamów Franklinów - powiedział pułkownik. Usiadł przy stole i otworzył neseser. - Dwie sprawy są rutynowe. Mam tutaj ich podsumowania. Jeśli chodzi o trzecią osobę, podpułkownika Franklina, który, jak mi nie mam, jest obiektem pańskiego zainteresowania, został on skompromitowany, chodzi o jego życie seksualne, w Jokohamie, w Japonii. Nie jesteśmy do końca pewni, przez kogo.

Położył na stole trzy teczki.

- Teczka pułkownika Franklina to ta najgrubsza.

Felter pokiwał głową. Przejrzał dwie cienkie teczki, po czym pchnął je w kierunku Lowella. Ich spojrzenia się spotkały. Lowell wybrał jedną z dwóch teczek i szybko przejrzał jej zawartość. Tymczasem Felter zaczął czytać akta dotyczące podpułkownika Franklina, który - wszystko na to wskazywało - w wieku trzydziestu sześciu lat odkrył w sobie zainteresowanie młodymi chłopcami, najlepiej bez owłosienia łonowego.

- Pułkowniku - powiedział Felter. - Kiedy skończymy, proszę dopilnować, żebym dostał na biurko kopię tej teczki i był na bieżąco informowany o wszystkich faktach, jakie się w związku z tą sprawą pojawiają.

- Rozumiem. Czy coś szczególnie pana interesuje?

- Nic, czym pańscy ludzie by się już wszechstronnie nie zajęli. Obawiam się, że w całej tej sprawie jest tylko mnóstwo hałasu o nic.

- Nigdy nie zaszkodzi się upewnić, prawda?

- Ale czasami bywa to niewygodne. Lowell, masz jakieś pytania do pułkownika?

- Nie - odparł Lowell z kamienną twarzą. - Ludzie pana pułkownika najwyraźniej panują nad sytuacją.

Na twarzy pułkownika pojawił się lekki uśmiech zadowolenia.

- Naprawdę jest mi przykro, że musiał się pan tutaj fatygować, tym bardziej że, jak się okazuje, nie mamy do czynienia z żadnym poważnym problemem - stwierdził Felter. - Na pewno nie napije się pan z nami, pułkowniku? A może zjadłby pan coś?

- Bardzo dziękuję, ale mam jeszcze dzisiaj mnóstwo obowiązków.

Pułkownik zebrał tekturowe teczki z powrotem do neseseru i Felter odprowadził go do drzwi.

- Jeszcze raz panu dziękuję - powiedział. - Jestem pod wrażeniem pańskiego poczucia obowiązku.

- To ja dziękuję - odparł pułkownik.

Felter zamknął drzwi, wrócił do kuchni i nalał dwa drinki. Wrócił do jadalni i postawił jedną szklankę przed Lowellem. Następnie usiadł i popatrzył na niego. Ich spojrzenia znowu się spotkały. Przez długą chwilę żaden z nich nie odwracał głowy. Wreszcie obaj zaczęli chichotać, a po chwili rzeli w głos, niemal histerycznie.

- Czy to jest jakiś męski żart? - zapytała Sharon, zadowolona, że mężczyźni się śmieją.

- Zachciało ci się sprawdzać CIC, stary draniu - powiedział Felter, wciąż się śmiejąc.

- Od teraz ten biedny świr z Jokohamy nie będzie w stanie nawet się wyszczać, żeby nie podglądało go trzech szpiegów z CIC z włączonymi stoperami.

- Powiecie mi, o co chodzi? - zażądała Sharon.

- Właściwie nie wiem, dlaczego, do diabła, się śmieję powiedział Felter, w końcu się uspokoiwszy. - To naprawdę nie było zabawne.

- Ktoś w tej sprawie trochę przesadził, nie sądzisz? zapytał Lowell, chichocząc.

- Sandy, bo naprawdę oszaleję. O co chodzi? - zapytała Sharon.

- Kiedy ten oto donżuan przebywał w Algierii - zaczął wyjaśniać Felter-jego podwładnym był fotograf z Korpusu Łączności o nazwisku William Franklin. Chłopak odsłużył swoje, opuścił armię i wrócił do Canton w Ohio. Po kilku miesiącach stwierdził, że nie chce tam spędzić reszty życia, robiąc ludziom zdjęcia weselne. Wrócił do wojska i zapisał się na szkolenie chorążych, kandydatów na pilotów helikopterów. Zanim został chorążym,

dokładnie go prześwietlono. Oczywiście chłopak wymienił Craiga jako jedną z osób, które mogłyby zaświadczyć o nienagannym przebiegu jego dotychczasowej służby. Chłopakowi się zdawało, że dobra opinia oficera polowego o tak wspaniałej reputacji może mu bardzo pomóc.

- No i?

- No i przysłano jakiegoś sierżanta w cywilnym ubraniu, żeby zapytał majora Lowella, czy rzeczywiście znał Williama B. Franklina i czy byłby skłonny rekomendować go na stanowisko, które może sprawować jedynie osoba odpowiedzialna i ciesząca się wielkim zaufaniem.

- Cóż, mógł później wpaść w kłopoty - zauważył Lowell. - Jak miałbym się o tym dowiedzieć?

- Jeśli to twój przyjaciel, mogłeś być niemal pewien, że ma jakieś kłopoty.

- Wciąż nie rozumiem - powiedziała Sharon.

- Stało się to, kochanie - odparł Felter - że donżuan znowu zrobił coś głupiego. Przed chwilą postawiłem środowisko wywiadu w stan najwyższej gotowości. Sam zastępca szefa Kontrwywiadu Wojskowego przyjechał tutaj ze świętym przekonaniem, że ma do zreferowania sprawę o najwyższym priorytecie dla bezpieczeństwa państwa. Gdyby wiedział, o co naprawdę chodziło...

- Do diabła, Sandy, zrobiłeś mu wielką frajdę. Jutro od siódmej rano będzie czekał na swojego szefa, żeby mu powiedzieć, że sam superszpieg był pod wrażeniem szybkości, z jaką zareagował w tej sprawie.

- Nie wiem, dlaczego się śmieję. Cholera jasna, Craig, ty jesteś niebezpieczny.

- Podaj mi telefon, Sharon, dobrze? - poprosił Lowell.

- Ani się waż! - zaprotestował Felter. - Bóg jeden wie, dokąd on chce dzwonić.

- Po prostu do Franklina.

- W żadnym wypadku.

- Dlaczego nie?

- Chociażby dlatego, że jesteś pijany. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje ten dzieciak na dwa miesiące przed promocją, jest połączenie telefoniczne z pijanym oficerem.

- Ja jestem pijany? - zdziwił się Lowell. - To tobie płacze się język.

- Nie dzwoń do niego, Craig. Wpędzisz go w kłopoty.

- Craig chce się tylko dowiedzieć, czy ten chłopak czegoś nie potrzebuje - powiedziała Sharon trochę ochryplym głosem, broniąc Craiga.

- No właśnie. Co w tym złego?

- Sprawisz, że chłopak zwróci na siebie powszechną uwagę. A tego wcale mu teraz nie potrzeba.

- Zadzwoń więc do Phila Parkera. On też tam jest.

- Do nikogo nie dzwoń. Zrezygnuj z tego, dopóki jeszcze niczego nie nabroileś.

Lowell potarł kciukiem nos w geście lekceważenia i sięgnął po aparat telefoniczny.

Felter był zadowolony, gdy okazało się, że Lowell nie może się połączyć z kapitanem Philipem Sheridanem Parkerem IV. Odbył jedynie krótką, cikliwą rozmowę z panią doktor Antoinette Parker.

Antoinette zapewniła go, że dopilnuje, żeby Phil sprawdził, czego -jeśli w ogóle - potrzebuje kandydat na chorążego Franklin, a potem poprosiła Lowella, żeby przekazał słuchawkę Sharon.

Kiedy kobiety rozmawiały, Lowell przeniósł się na fotel w salonie i zasnął. To, zdaniem Feltera, rozwiązywało kolejny problem. Lowell był bez wątpienia zbyt pijany, żeby prowadzić samochód z powrotem do Waszyngtonu. Policja w Wirginii nie miała pobłażania dla pijanych kierowców.

Szczęśliwie fotel, na którym zasnął Lowell, był rozkładany. Felter ułożył przyjaciela niemal w pozycji poziomej, poluźnił mu krawat i pas, zdjął buty i przykrył go kocem.

Kiedy skończył, Sharon nadal rozmawiała z Antoinette.

Pomachał jej, poszedł na górę i położył się do łóżka.

Po dziesięciu minutach usłyszał, że Sharon wchodzi do sypialni. Słuchał, jak się rozbiera, a następnie poczuł, że usiadła na łóżku.

- Śpisz? - zapytała.

- Jeszcze nie.

- Antoinette zaprasza nas na sylwestra.

Felter milczał.

- Chciałabym pojechać, Sandy.

- Przecież to dobre tysiąc mil. Naprawdę chcesz jechać tysiąc mil, żeby spędzić sylwestra w klubie pełnym pijaków w mundurach wojskowych?

- Tak.

- Co powiedziałaś?

- Chcę tam pojechać - powtórzyła Sharon. - Chcę się bawić w tym klubie oficerskim razem z tobą i chcę, żebyś był w mundurze. Chcę mieć na palcu mój pierścień z West Point i chcę, żebyś ty miał wtedy swój. Chcę, żebyś był ubrany w mundur ze wszystkimi baretkami i

odznakami. Już mi trochę zbrzydło udawanie, że mężczyzna, za którego wyszłam, jest analitykiem ekonomicznym cholernej pieprzonej CIA.

Sanford Felter zdał sobie sprawę, że jego żona naprawdę jest pijana. Sharon bardzo rzadko przeklinała.

To przypuszczenie potwierdziło się, kiedy obrócił się w jej kierunku, aby objąć ją ramieniem, i stwierdził, że Sharon jest naga.

- Niespodzianka, niespodzianka - powiedziała.

- Nie mówię, że mi to przeszkadza, ale dlaczego?

- Bardzo się podnieciłam, Sandy - powiedziała Sharon poważnie - kiedy był tutaj ten pułkownik Jak-mu-tam. - Jej dłoń powędrowała w stronę krocza męża. - Silni mężczyźni działają na kobiety podniecająco. - Sharon zachichotała, kiedy wyczuła, że penis Sandy'ego zaczyna sztywnieć. - O kurczę.

Położył dłoń na jej piersi. Była twarda, a sutka sterczała.

- Byłeś najsilniejszym mężczyzną w pokoju - mówiła Sharon. - Silniejszym niż pułkownik. Silniejszym niż Craig.

Sanford zdał sobie sprawę, że jego duma została mile polechtana. Mimo że jego żona była pijana. In vino ueritas, pomyślał.

- Nigdy jednak nie dajesz mi szansy, żeby pokazać, jak sobie cenię to, że jestem żoną silnego oficera. A to dla kobiety jest ważne. Ty jesteś mężczyzną i tego nie rozumiesz.

- Jeśli naprawdę chcesz jechać do Rucker, pojedziemy tam - powiedział Sanford.

Było mu wstyd - wyjazd do Rucker był pomysłem niedorzecznym. Ale on chciał teraz tylko pieprzyć Sharon, a sztywny kutas nie ma sumienia.

Sharon była dobrą, rozsądną kobietą. Dzisiaj po raz trzeci w życiu Sanford wiedział z całą pewnością, że jest pijana. Upiła się, kiedy pochowano żonę Craiga, i upiła się, kiedy umarł jej ojciec. Kiedy teraz sobie to przypomniał, dostrzegł w jej dzisiejszym pijaństwie coś, co wyprowadzało go z równowagi. Czyżby jej problemy na tle nerwowym były aż tak poważne?

Odpędził od siebie tę myśl. W jej pijaństwie i chęci pieprzenia się akurat w tym momencie dostrzegł złośliwość.

Ale spodobało mu się to. Nad ranem Sharon będzie trochę zakłopotana swoim pijaństwem i tym, co robi teraz. I zda sobie sprawę, że wyjazd do Rucker to absurdalny pomysł. Oderwała się od niego.

- Co robisz? - zapytał Sandy.

Zapaliła się nocna lampka.

- Chcę widzieć - powiedziała Sharon. - Chcę patrzeć.

- Ty mała jędzo - syknął Sandy i ukląkł pomiędzy jej nogami.

Swoje podniecenie czuł w piersiach. Pomyślał, że dzieciaki wrócą z Newark dopiero za cztery dni. Postanowił, że zanim wróca, chociaż raz przyjedzie z pracy do domu z butelką.

- Pieprz mnie, Sandy - wyszeptła Sharon do jego ucha. - Pieprz mnie mocno, porządnie.

Co też uczynił.

Kiedy rano Sanford Felter zszedł do kuchni, Sharon przygotowywała dla Craiga jajecznicę, mimo jego protestów, że wystarczy mu filiżanka kawy.

Przez cały czas unikała wzroku męża. Rozbiła jeszcze kilka jajek, usmażyła i postawiła przed nim talerz. Dodała tost, galaretkę winogronową i sok grejpfrutowy. Następnie usiadła przy stole i zaczęła mieszać łyżeczką w swojej filiżance z kawą.

- Craig - odezwała się. - Jeśli Sandy dostanie wolne, zawieziesz nas swoim samolotem na sylwestra do Rucker? Antoinette nas zaprosiła.

Lowell był zaskoczony. Zawahał się. Sandy wiedział, że Craig nie chce spędzać sylwestra w klubie oficerskim w Fort Rucker tak samo jak on.

- Madame - odparł jednak Lowell. - Lowell Airlines są do pani dyspozycji.

Sharon popatrzyła na Sandy'ego i napotkała jego wzrok.

- Dzieciaki będą mogły zostać z babcią Felter - powiedziała.

XIV

1

Fort Rucker, Alabama

11 listopada 1958

PYTANIE: Kto to jest kandydat na chorążego?

ODPOWIEDŹ. Kandydat na chorążego to taki ktoś, kto sam nie wie, kim jest.

W sztabie Batalionu Kandydatów na Chorążych Szkoły Lotniczej Armii i wśród samych kandydatów na chorążych rozeszła się plotka, że z okazji Święta Dziękczynienia generał ogłosi amnestię. Generał major Paul T. Jiggs, dowódca Fort Rucker, który zdołał już zyskać opinię sztywnego drania, zdawał się czerpać perwersyjną przyjemność z uwalniania kandydatów na chorążych od restrykcji nakładanych na nich przez oficerów sztabowych przy byle okazji i pod byle pretekstem. Święto Dziękczynienia zarówno dla ograniczających, jak i dla ograniczanych zdawało się wymówką dla zaspokojenia tej zachcianki generała.

Spośród 254 kandydatów na chorążych, służących w kompaniach od A do D, aż 32 podlegało restrykcjom różnego stopnia. Ci chorążowie, których oceny były poniżej akceptowalnych standardów, a którzy nie byli winni żadnych innych wykroczeń przeciwko ustalonym zasadom i regulaminom, mogli się poruszać tylko po terenie kompanii, wolno im było jednak, po wypisaniu się u podoficera dyżurnego, wychodzić na zewnątrz i przebywać na całym terenie Fort Rucker, a nawet chodzić do teatru wojskowego. Nie wolno im było wchodzić do obozowej kawiarni.

Kandydaci na chorążych winni innych przewinień mieli nałożone odpowiednio większe ograniczenia, pozostające w proporcji do popełnionych przez nich wykroczeń przeciwko regulaminom. Największym ograniczeniem (oprócz kary polegającej na wykluczeniu ze szkolenia) był wymóg, aby kandydat w godzinach od szóstej rano do dwudziestej drugiej w nocy pozostawał w swoim pokoju. W tym okresie ukarany kandydat, ubrany w wyjściowy mundur, musiał albo stać, albo siedzieć przy swoim biurku. Nie było mu wolno palić papierosów. Poza trzydziestominutową przerwą, w trakcie której mógł przejrzeć codzienną gazetę, mógł i musiał czytać wyłącznie oficjalne dokumenty i podręczniki

wojskowe. Używanie w celach rozrywkowych radia, telewizji i innych urządzeń elektronicznych było surowo zakazane.

Najczęstszym wykroczeniem, za które karano kandydatów na chorążych, było „prowadzenie niegodne chorążego i dżentelmena”. Najczęstszą przyczyną kar nakładanych z tego paragrafu było „używanie wulgarnego/obscenicznego/bluźnierczego języka”.

Dziewięćdziesiąt procent grupy kandydatów na chorążych, której członkiem był William B. Franklin, stanowili podoficerowie zawodowi w wieku od dwudziestu lat i sześciu miesięcy do dwudziestu sześciu lat i sześciu miesięcy, głównie sierżanci różnych specjalności - dowódcy czołgów, kartografowie, ekonomiści, dowódcy plutonów piechoty i technicy medyczni obsługujący aparaty rentgenowskie.

Nie brakowało także mechaników samolotowych, techników awioniki, fotografów, wykwalifikowanych rusznikarzy, a znalazł się nawet jeden kowal, który przybył do szkoły lotniczej z Fort Meyers w Wirginii, gdzie odpowiadał za konie używane w czasie uroczystych pogrzebów wojskowych, których odbywało się na Narodowym Cmentarzu w Arlington po pół tuzina dziennie.

Oprócz ogólnie doskonałej kondycji fizycznej, przeciętnie sześciu lat i siedmiu miesięcy służby oraz 123,6 punkta w Wojskowym Teście Klasyfikacyjnym (wyniku 110 punktów w WTK wymaga się od kandydatów na oficerów) łączyło ich pragnienie zostania zarówno pilotami helikopterów, jak i chorążymi.

Byli starymi, doświadczonymi żołnierzami. Wiedzieli, że pobory chorążych są niemal równie wysokie jak pobory oficerów, poczynając od stopnia podporucznika, a na majorze kończąc. Gotowi więc byli brać za dobrą monetę wszystko, co armia z nimi wyprawiała podczas sześciu miesięcy szkolenia, byleby tylko uzyskać upragniony stopień i kwalifikacje.

Właściwie nie mieli z tym problemów. Nie byli przecież zgrają pieprzonych rekrutów. Znali armię od podszewki, wiedzieli, co jest tutaj grane, i umieli w tej grze się znaleźć. Trzeba było pilnować własnej dupy, buty mieć zawsze wypastowane na błysk, nosić wyprasowane spodnie, mieć starannie przycięte włosy i gębę zamkniętą na kłódkę.

Armia nie mogła się pieprzyć za zgrają starych żołnierzy jak z dzieciakami.

Rozkazy, które kierowały ich do Centrum Lotnictwa Wojsk Lądowych w Fort Rucker w Alabamie, w szczególności zakazywały im prowadzenia prywatnych samochodów i mówiły jasno, że ze względu na to, iż przez sześć pierwszych tygodni szkolenia kandydaci na chorążych będą skoszarowani w barakach, „nie zachęca się ich do zmiany miejsca pobytu razem z rodzinami”.

Ale pieprzyć to! Przecież to żona mogłaby siedzieć za kierownicą samochodu, a potem wynająć w okolicy pokój w motelu albo jakieś tanie mieszkanie i wtedy wystarczałoby w nocy przeskoczyć przez płot, żeby regularnie dzielić z nią małżeńskie łóżko.

Te same rozkazy wyraźnie nakazywały im zgłosić się w Fort Rucker nie wcześniej niż o godzinie dwudziestej i nie później niż o dwudziestej drugiej w wyjściowym mundurze.

Ubrania cywilne i inny dobytek osobisty należało przed wyjazdem z macierzystej jednostki złożyć w magazynie służby kwatermistrzowskiej.

Sierżant Franklin znalazł pewien garaż w Daleville, niedaleko głównej bramy obozu, i tam mógł zostawić swój samochód oraz cywilne ubranie. Podjechał jednak autem prawie pod samą bramę, żeby zobaczyć, co się będzie działo. Zobaczył mniej więcej to, czego oczekiwał. Poczynając od godziny dwudziestej zero pięć pod bramę, przez którą przepuszczano kandydatów za chorążych, zaczęły zajeżdżać cywilne auta prowadzone przez ich kobiety. Poważni podoficerowie, po raz pierwszy od dawna zmuszeni do dźwigania standardowych worków żołnierskich, wysiadali z samochodów, symbolicznie całowali swoje żony i maszerowali do punktu przyjęć.

Tam witała ich kadra: kaprale i sierżanci. Następnie wszystko przebiegało zgodnie z utrwaloną rutyną. Ustalano harmonogram dyżurów. Sprawdzano nazwiska. Podpisywali się. Przydzielano ich do kwater żołnierskich i informowano, że wolno im przebywać wyłącznie na terenie własnych kompanii.

Podobnie jak Franklin byli zadowoleni z tego, co zastawali na początku. Przede wszystkim każdy otrzymywał własną kwaterę. Regulaminową oficerską kwaterę z pokojem dziennym, w którym stało biurko, a na nim nawet lampka. W sypialni stało prawdziwe łóżko, z prawdziwym materacem, a nie byle jakie żołnierskie wyro. Z facetem mieszkającym na kwaterze obok dzieliło się tylko prysznic i ubikację. Zakwaterowanie raczej nie przypominało sierżantowi Franklinowi tego, jakie miał w Hotel d'Angleterre w Algierze, jednak było o wiele wygodniejsze i bardziej przestronne, niż się spodziewał.

Jego sąsiedzi go zaskoczyli. Byli to młodzi żołnierze, którzy dopiero niedawno podpisali kontrakty, świeżo po przeszkoleniu podstawowym w Dix albo Bragg, wciąż z manierami szeregowców, o identycznych fryzurach, jakich dorobili się pierwszego dnia w armii. Miłe dzieciaki, niebieskookie, inteligentne, ale nowicjusze. Pojęcia nie miał, co ich skłoniło, żeby się tu zjawić, i postanowił się tego dowiedzieć.

O szóstej nad ranem ktoś puścił przez głośniki cokolwiek zdartą płytę z pobudką. Po sygnale rozległ się komunikat, powtórzony dwa razy, że tego dnia obowiązuje mundur wyjściowy z baretkami i oznakami specjalności. Śniadanie zostanie podane w kantine

wydzielonej dla kandydatów na chorążych. Kandydaci powinni zebrać się o godzinie szóstej dwadzieścia pięć przed koszarami. Powinni także wyłonić ze swojego grona podoficera najwyższego stopniem, który ma ustawić kompanię w dwuszeregu. Ktoś z kadry pokieruje marszem kompanii do kantyny' dla kandydatów na chorążych.

Pięciu starszych sierżantów przechadzało się przed głównym budynkiem zgrupowania już o godzinie szóstej dwadzieścia. Mieli na sobie doskonale wyprasowane mundury ze wszystkimi wymaganymi insygniami. Sztywno zaszalutowali liczącemu pięć stóp i trzy cale wzrostu podporucznikowi, który stanął przed budynkiem i radośnie wykrzyczeli:

- Dzień dobry, sir!

Porucznik odpowiedział regulaminowo na ich pozdrowienie, nieznacznie się uśmiechnął i przyglądał im się z rękami założonymi na piersiach.

Sierżanci porównali swoje dane i okazało się, że najwyższy rangą jest wśród nich starszy sierżant Kenneth G. Spencer, jeszcze przed trzema dniami służący w Kompanii D w 508. Pułku Piecioty Spadochronowej 82. Dywizji Powietrznodesantowej.

- Każdy z was obejmie pluton - powiedział do trzech swoich kolegów. - A ty - zwrócił się do czwartego sierżanta - pójdiesz na czele kolumny.

Mimo że minęło już trochę czasu, odkąd któryś z nich maszerował w kolumnie, wiedzieli, co mają robić. Kiedy przed budynkiem kompanii zjawiała się reszta kandydatów na chorążych, szybko uformowali ich w trzy plutony.

Następnie jakiś podporucznik (który wyglądał, jakby zaledwie przed tygodniem ukończył West Point) skinął na kaprała z kadry, żeby podał sierżantowi Spencerowi kartkę z listą uczestników kursu.

Odczytano listę obecności.

Starszy sierżant Spencer z nieprzeniknionym wyrazem twarzy podniósł prawą rękę do prawej brwi w nienagannym salucie i zameldował głośno:

- Panie poruczniku, obecność sprawdzona, wszyscy obecni.

Porucznik również zaszalutował.

- Bardzo dobrze. Proszę zaprowadzić ludzi do kantyny, sierżancie.

- Tak jest, sir!

Kantyna była kolejnym przyjemnym zaskoczeniem.

Większość podobnych miejsc znajdowała się zwykle w opłakanym stanie, a ta nie. Stały tu czteroosobowe stoły, każdy przykryty czystym obrusem. Na stołach znajdowały się stojaki z serwetkami, a nawet wazoniki z kwiatkami. Były też na nich dzbanki z mlekiem i pojemniki z przyprawami. Bardziej przypominało to mesę oficerską niż kantynę.

Jedzenie także było dobre. Każdy mógł wybrać jajka przyrządzone tak, jak lubił, wziąć tyle chrupiących bułeczek, ile chciał. Pierwsza klasa.

Nikt nie powiedział niczego o tym, że na drogę powrotną również należy uformować kolumnę marszową, ale starszy sierżant Spencer najwyraźniej uznał, że nie zaszkodzi ostrożność i postępowanie zgodnie z regulaminem, bo kiedy Franklin wychodził z kantyny, Spencer był już gotowy, żeby sformować oddział w kolumnę marszową.

Kiedy wszyscy się zebrali, wydał rozkaz do wymarszu na teren kompanii. Kapral i podporucznik już tam na nich czekali. Sierżant Spencer miał rację: oczekiwali, że oddział kandydatów na chorążych wróci ze śniadania pod jego dowództwem w zwartym szyku.

Ustawił kompanię plutonami, wykonał przepisowy w tył zwrot i zasalutował.

- Kompania sformowana, sir! - warknął przepisowo.

- Proszę przygotować kompanię do inspekcji w szeregach - zarządził podporucznik.

Spencer odsalutował, wykonał w tył zwrot, stanął w postawie zasadniczej i ryknął:

- Kompania w szeregach zbiórka!

Pierwszy szereg wykonał dwa długie kroki do przodu, drugi wykonał jeden krok. Trzeci szereg stał w miejscu.

- Kompania, równaj w prawo!

Ruszył za podporucznikiem wzdłuż szeregów. Oficer stawał przed każdym żołnierzem i lustrował go wzrokiem od czapki po czubki butów. Sierżant William B. Franklin odniósł wrażenie, że porucznik bardzo lubi takie kretyńskie inspekcje.

Wreszcie skończył i stanął przed frontem kompanii.

Sięgnął do kieszeni munduru i wyciągnął z niej coś, czego starszy sierżant Spencer jeszcze w życiu nie widział. Był to zbiór baretek i insygniów kwalifikacyjnych przypiętych do podkładu w kolorze munduru. A sierżant Franklin od razu się zorientował, że podporucznik wcale nie jest takim żółtodziobem świeżo po West Point, jak by się mogło zdawać. Miał Bojową Odznakę Piechoty, skrzydełka, podwójną linię baretek (osiem sztuk) i odznakę spadochronową.

Wśród baretek były Srebrna Gwiazda i Purpurowe Serce.

Franklin znał jeszcze tylko jednego oficera, który miał tak wiele odznaczeń i który dbał o to, by łatwo można je było przypinać i odpinać od munduru. Był to oficer wielkiej klasy: major Craig W. Lowell.

- Panowie - powiedział oficer - nazywam się Oppenheimer i jestem waszym oficerem taktycznym. Obecnie dziesięć procent spośród was, ci, którzy przyłączyli się do nas prosto po szkoleniu podstawowym, prawdopodobnie zaakceptuje to bez stawiania pytań. Pozostałe

dziewięćdziesiąt procent, czyli podoficerów, kręgosłup armii, bez wątplenia nurtują pewne pytania. Praktycznie przedmiotem powszechnej wiary w korpusie podoficerów jest to, że podporucznicy są tyle wari co gumowa laska dla kulawego albo Gwiazdka w maju. Sam byłem o tym przekonany, panowie, kiedy, zanim zyskałem możliwość kształcenia się w Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych w West Point, służyłem jako sierżant w plutonie wchodzącym w skład 140. Batalionu Czołgów. Dziewięćdziesiąt procent podoficerów, z którymi będziecie mieli styczność podczas pobytu tutaj, podobnie, oczywiście, jak sto procent chorążych, służyło na stanowiskach podoficerskich w oddziałach bojowych. Chciałbym zatem udzielić wam przyjacielskiej rady. Porzućcie od razu wszelkie myśli, że którykolwiek z was jest w stanie naruszyć zastany tutaj system, ponieważ macie rozległe, wszechstronne doświadczenie jako żołnierze na rozmaitych stanowiskach, na jakich ostatnio odbywaliście służbę praktycznie na całej planecie, i przyjmijcie do wiadomości, że są to jedynie pobożne życzenia. Kiedy tutaj będziecie, nauczymy was dwóch rzeczy. Nauczymy was pilotować helikoptery. Ponieważ wszyscy cieszycie się znakomitą kondycją fizyczną i takim poziomem inteligencji, jakiego wymagamy co najmniej od kandydatów na oficerów, i ponieważ latanie, szczerze mówiąc, nie jest aż tak skomplikowanym zajęciem, ta faza waszego szkolenia raczej nie będzie stanowiła problemu. Podejmiemy także mężny wysiłek, aby wychować was na dżentelmenów i potencjalnych oficerów. Oficer to ktoś, kto jest obarczony odpowiedzialnością za życie innych ludzi. Ludzkiej istoty większą odpowiedzialnością obarzyć nie można. Dżentelmen to ktoś, kto dzięki swoim cechom charakteru potrafi szanować osoby równe sobie oraz podkomendnych. Każde jego słowo jest jak przysięga. Wydaje rozkazy i egzekwuje ich realizację bez osobistych uprzedzeń. Nie będziemy sprawdzać, czy ścielicie swoje łóżka. Nie będzie strażników pilnujących, abyście nie wychodzili za bramę i nie spędzali nocy z żonami w Daleville Motel, czy gdziekolwiek je w okolicy zakwaterowaliście. Rozkaz, żebyście pozostawali w swoich kwaterach, będzie oznaczał, że spodziewamy się, że naprawdę tam przebywacie. Sama wasza obecność tutaj oznacza, że dalsze słowo, iż dokładnie i bez zastrzeżeń będziecie wykonywać rozkazy. Innymi słowy, nikt was nie będzie karał za samowolne oddalenia. Karą za takie wykroczenie będzie natychmiastowe usuwanie winnych ze szkolenia, jako nienadających się na oficerów i dżentelmenów, ponieważ słowu danemu przez nich nie można ufać. Nie tolerujemy tutaj koleśiostwa. Jeśli ktoś będzie krył dupę koledze, będzie to robił na własne ryzyko. Dżentelmen to nie skarżypyta, który biega do przełożonych z donosami o złym zachowaniu swoich kolegów. Z drugiej strony, miejcie na uwadze, że jeśli ktoś nie stawia się na miejsce zbiórki pododdziału, nie pojawi się na wyznaczonym spotkaniu, w wyznaczonym miejscu, we

właściwym mundurze, ktokolwiek, kto akurat będzie dowodził pododdziałem i będzie tego kogoś krył, zostanie usunięty ze szkolenia tak samo jak i winowajca. To już wszystkie wstępne informacje, jakie powinniście teraz poznać. Nie usłyszeliście jeszcze tylko jednego. W tej chwili pomaszerujecie do magazynu służb kwatermistrzowskich, gdzie otrzymacie komplet umundurowania, od podkoszulków i gaci, po kombinezony lotnicze. Wraz z mundurami dostaniecie także insygnia właściwe kandydatom na chorążych, a poza tym nie musicie nosić żadnych, powtarzam, żadnych innych insygniów, baretek, emblematów czy odznak. Niemożliwe będzie odróżnienie na podstawie munduru byłego sierżanta piechoty spadochronowej od byłego technika medycznego czy zwykłego rekruta. Panowie, to ma swój cel. Od chwili, w której włożycie nowe mundury, aż do momentu ukończenia szkolenia czy też usunięcia z Fort Rucker, możecie zapomnieć, że jesteście podoficerami, których łaskawy rząd zechciał w przeszłości wyposażyć we władzę i zewnętrzne jej atrybuty. Aby wam to ułatwić, pozbawieni będziecie także wszelkich symboli służb i specjalności, jakie posiadaliście, służąc w armii w przeszłości. Odtąd wszyscy jesteście równi. Panowie, wszyscy jesteście w tej chwili kandydatami na chorążych. A kandydat na chorążego to taki ktoś, kto sam nie wie, kim jest.

Sierżant Franklin musiał przyznać, że nie było to typowe przemówienie powitalne.

2

W dniu 21 listopada 1958 roku, kiedy to kapitan Philip Sheridan Parker IV wkraczał na teren Kompanii D batalionu kandydatów na chorążych, Oppenheimer miał już za sobą osiemnaście miesięcy nienagannej służby i automatycznie otrzymał awans na porucznika. Jego podopieczni przeszli właściwie wszystkie etapy szkolenia naziemnego oraz fazy od pierwszej do czwartej szkolenia w powietrzu. Szkolenie mieli ukończyć tuż przed Bożym Narodzeniem, po ukończeniu piątej fazy szkolenia powietrznego (pilotaż lekkich i średnich helikopterów transportowych w warunkach polowych).

Podporucznik zobaczył chevroleta ze sztabu z anteną VHF sterczącą wysoko ponad dach samochodu i wysnuł poprawny wniosek, że przyjechał do niego posłaniec z samej góry. Nie było to zresztą trudne, ponieważ w antenę VHF i radio pracujące na tych częstotliwościach wyposażony był tylko samochód sztabowy dowódcy. Przybywał do niego zapewne oficer ze sztabu dowódcy z wieścią o amnestii dla kandydatów na chorążych, którzy mieli na sumieniu przewinienia przeciwko regulaminowi.

Czekał w swoim gabinecie. Wiedział, że ten cyrk musi się odbyć.

Kiedy posłaniec generała wchodził do budynku, kandydat na chorążego pełniący służbę podoficera dyżurnego krzyknął „Baczność!” Chwilę później, gdy posłaniec wchodził do kancelarii kompanii, rozkaz został powtórzony.

Podoficer dyżurny zameldował regulaminowo:

- Kandydat na chorążego Steward, podoficer dyżurny...

- Spocznij - przerwał mu posłaniec od generała. - Zechciej przekazać moje pozdrowienia oficerowi taktycznemu i poinformować go, że chciałbym zamienić z nim kilka słów na osobności. Nazywam się Parker.

Podoficer dyżurny (funkcję tę codziennie sprawował inny kandydat na chorążego) zapukał do otwartych drzwi porucznika Oppenheimera. Usłyszał, że ma wejść, wszedł, zasalutował i zameldował wyprężony jak struna:

- Kapitan Parker przekazuje panu pozdrowienia, sir, i mówi, że chciałby porozmawiać z panem porucznikiem.

- Poproś kapitana, żeby do mnie wszedł - powiedział zza biurka Oppenheimer i zaczął się podnosić z krzesła.

- Tak jest, sir. Kapitan Parker, sir.

- Porucznik Oppenheimer - przedstawił się porucznik i zasalutował.

- Dzień dobry, poruczniku - powiedział kapitan Parker.

On także zasalutował. Następnie popatrzył na podoficera dyżurnego.

- Proszę zamknąć za sobą drzwi, kiedy będzie pan wychodził - powiedział.

Podoficer dyżurny wykonał polecenie.

- Życzeniem generała jest - zaczął - żeby wszystkim pańskim grzesznikom zostały wybaczone grzechy.

- Tak jest, sir. Spodziewałem się, że właśnie to jest celem pańskiej wizyty, sir.

- Życzę sobie, aby ogłoszenie wspaniałego gestu generała zostało wstrzymane, dopóki nie porozmawiam z jednym spośród nich - powiedział Parker z naciskiem. - Z facetem, który, jak rozumiem, jest autentycznym cwaniakiem.

- Kto to taki, sir?

- Kandydat na chorążego o nazwisku William B. Franklin.

Oppenheimer zrobił niewyraźną minę.

- Czy mogę coś powiedzieć, sir?

- Oczywiście.

- Nie zamierzam go bronić za to, co zrobił. Popełnił błąd. Wszyscy wiemy, że popełnił błąd, on także. Ale...

- Ale?

- Ale to dobry chłopak, sir. Solidny. I jest lepszym pilotem niż przeciętny absolwent szkoły pilotów po stu trzydziestu pięciu godzinach w powietrzu, jeśli pan kapitan rozumie, o co mi chodzi.

- Pańska lojalność wobec podwładnych jest godna najwyższego uznania, poruczniku - powiedział kapitan Parker beznamiętnym głosem. -1 zostanie właściwie odnotowana.

- Tak jest. Mam posłać po niego, sir?

- Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie mogę go teraz znaleźć. Zamierzam zamienić z nim słówko właśnie tam, a potem wywiozę go z kompanii w celu przeprowadzenia dłuższej rozmowy. Może pan ogłosić amnestię natychmiast, kiedy się oddalimy.

- Tak jest, sir - potwierdził Oppenheimer.

Odwrócił się w stronę planu wiszącego na ścianie i wskazał kapitanowi miejsce zakwaterowania Franklina.

Kapitan Philip Sheridan Parker IV tylko raz zapukał we framugę drzwi prowadzących do kwatery kandydata na chorążego Franklina i wszedł do środka. Franklin, który siedział przy biurku, zerwał się na równe nogi.

- Kandydat na chorążego Franklin, W. B., sir! - zameldował przepisowo.

- Spocznij - rozkazał kapitan Parker.

Franklin przyjął postawę „paradne spocznij”.

- Nazywam się Parker - powiedział kapitan. - Oprócz innych obowiązków sprawuję także obowiązki oficera odpowiedzialnego za to, aby wszyscy kursanci na każdym etapie szkolenia mieli równe szanse oraz aby żaden z nich nie był dyskryminowany.

- Tak jest.

- Doszło do mojej wiadomości, że został pan oskarżony i ukarany za dość poważne naruszenie przepisów bezpieczeństwa w ruchu lotniczym.

- Tak jest, sir.

- Armia w ogóle, a generał Jiggs w szczególności, bardzo starannie pilnuje, aby nie dochodziło do absolutnie żadnych aktów dyskryminacji na tle rasowym, wyznaniowym, religijnym ani etnicznym.

- Tak jest, sir.

- Jestem tutaj, panie Franklin, aby przekonać się, czy jest pan winien tego, o co pana oskarżono, czy też chodzi o incydent, w związku z którym oskarżono pana ze względu na kolor pańskiej skóry.

- Tak jest, sir.

- Słucham pana.

- Jestem winien tego, o co mnie oskarżono, sir. Nie ma to nic wspólnego z tym, że jestem kolorowy.

- Kolorowy? - zapytał kapitan Parker głosem pełnym niedowierzania. - Odnoszę wrażenie, że ostatnio zapanowała moda na określanie Murzynów „czarnymi” albo „Afroamerykanami”. Już dawno nie słyszałem w odniesieniu do nich słowa „kolorowy”.

Franklin wyraźnie się zmieszał. Musiało minąć kilka sekund, zanim przysła mu do głowy odpowiedź.

- To nie miało nic wspólnego z moją rasą, sir.

- Jak już pana poinformowałem, Franklin, odpowiadam za to, aby wszyscy mieli tutaj w każdej dziedzinie równe szanse i aby nikogo nie dyskryminowano - odparł Parker. - To moja rola, a nie pańska, żeby określić, czy oskarżenie, iż pan „lekkomyślnie naraził na niebezpieczeństwo maszynę latającą”, znajduje potwierdzenie w faktach, czy też jest raczej odbiciem uprzedzeń rasowych wobec ludzi, których zechciał pan określić mianem „kolorowych”.

- Tak jest, sir.

- Żeby zakończyć teraz tę rozmowę... Panie Franklin, przyjechałem, żeby zaprosić pana na niezaplanowany lot sprawdzający.

- Tak jest, sir - powiedział Franklin, wyraźnie zdziwiony.

- Proszę zabrać hełm i kombinezon lotniczy, panie Franklin. Zaczekam na pana w limuzynie, która stoi przed tym budynkiem.

Kapitan Parker obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Kandydat na chorążego Franklin otworzył szafę, po czym wyciągnął z niej kombinezon pilota i hełm. Przez chwilę zastanawiał się, czy założyć go teraz czy dopiero tam, dokąd zostanie zawieszony przez Parkera. Zdecydował, że lepiej będzie, jeśli nie kaze kapitanowi czekać. Zwinął kombinezon i wsunął go pod ramię, hełm włożył na głowę i pobiegł korytarzem w kierunku schodów.

Parker siedział na tylnym siedzeniu chevroleta. Franklin zobaczył antenę na dachu samochodu i jęknął w duchu:

To był samochód generała!

Zajął miejsce obok kierowcy.

- Wiesz, dokąd mamy jechać - powiedział kapitan Parker do kierowcy.

Kierowca chevroleta był sierżantem. Sierżanci zazwyczaj nie kierują samochodami sztabowymi, chyba że są osobistymi kierowcami generałów.

Franklin zaczął się zastanawiać, co się wyprawia.

Tymczasem kierowca energicznie skinął głową.

- Tak jest, sir - powiedział do Parkera.

Samochód ruszył w kierunku budynków dowództwa Fort Rucker. Przed głównym budynkiem, na lądowisku stał pomalowany na biało H-13H generała. Chevrolet zatrzymał się na zarezerwowanym parkingu i kierowca natychmiast wyskoczył z auta, żeby otworzyć drzwiczki kapitanowi Parkerowi.

- Dziękuję, sierżancie.

Wysiadłszy, Parker skinął na Franklina, żeby poszedł razem z nim w kierunku generalskiego Siouksa.

Franklin ruszył truchtem za kapitanem.

- Generał - odezwał się kapitan Parker - na dowód swej głębokiej troski o to, aby kolorowi nie byli pod żadnym względem dyskryminowani, wspaniałomyślnie oddał swój osobisty helikopter na potrzeby pańskiego lotu kontrolnego.

Franklin był teraz strasznie zakłopotany.

- Generał - kontynuował Parker - będąc młodym oficerem, pobierał nauki jazdy konnej u kolorowego żołnierza. To doświadczenie raz na zawsze wpłynęło na myślenie generała o kolorowych. Trudno mu zaakceptować fakt, że niektórzy kolorowi od czasu do czasu robią naprawdę głupie rzeczy. - Parker urwał na chwilę. - Poinformowano mnie, panie Franklin, że potrafi pan przeprowadzić przedstartową inspekcję takiej maszyny jak ta. Zatem proszę rozpocząć inspekcję.

Franklin wykonał polecenie. Po chwili kapitan Parker wszedł do helikoptera, zajął miejsce dla pasażera i przypiął się pasami.

- Odpalamy, panie Franklin - polecił.

Franklin włączył silnik. Z kolei Parker wcisnął na mikrofonie przycisk nadawania.

- Wieża kontrolna Laird, tu Helikopter Jeden na lądowisku przed budynkiem dowództwa. Zgłaszam przelot lokalny do Hanchey. Szósty nie znajduje się na pokładzie.

- Tu wieża kontrolna Laird. Helikopter Jeden, masz zgodę na lokalny lot do Hanchey.

- Czy wiadomo panu, panie Franklin - odezwał się kapitan Parker, korzystając z interkomu - że generał major Angus Laird wystartował do swojego ostatniego lotu właśnie z

tego lądowiska i że zupełnie wypadło mu z głowy, że musi włączyć odladanie gaźnika? Identyczną maszyną jak ta spadł prosto do lasu.

Franklin popatrzył na Parkera. Ten wyciągnął przed siebie ręce i wykonał ruch mający oznaczać wznoszenie, a następnie niedbałym gestem wskazał mniej więcej kierunek lotniska w Hanchey.

Franklin zobaczył, że strzałki na zegarach kontrolnych znajdują się na zielonych polach i może bezpiecznie wystartować.

- Wieża kontrolna Laird. Helikopter Jeden w powietrzu - rozległ się głos Parkera w słuchawkach wbudowanych w hełm.

Po dziesięciu minutach Parker odezwał się ponownie.

- Dobrze, pokazał pan, że potrafi unieść maszynę w powietrze. Sprawdźmy teraz, czy pamięta pan, jak się ląduje.

Wskazał na prześwit w sosnowym lesie. Centrum prześwitu zajmowało białe koło, w jego środku widniała wysoka na piętnaście stóp litera H.

Franklin wykonał manewr, który uznał za jedno ze swoich lepszych lądowań.

Kiedy helikopter osiadł na ziemi, Parker wykonał palcem gest, jakby podcinał sobie gardło. Oznaczało to, że Franklin ma wyłączyć silnik. Ten wykonał polecenie i wirnik zaczął zwalniać obroty. '

- Niech mi pan powie prawdę, Franklin - odezwał się znowu Parker. - Tutaj, gdzie nikt nie może nas usłyszeć, jak afroamerykański wojownik do afroamerykańskiego wojownika, ile czasu spędził pan za sterami helikoptera nielegalnie?

- Około sześciuset godzin, sir.

- Cholera, jak to się panu udało?

Franklin nie odpowiedział.

- Zarzuty wobec pana, które dotyczą nieprzestrzegania zasad bezpieczeństwa w powietrzu i które mogą spowodować, że pańska czarna dupa z hukiem wyleci ze szkoły kandydatów na chorążych, dotyczą nietrzymania rąk na sterach podczas lotu, a puścił pan je tylko po to, żeby sobie popstrykać zdjęcia z powietrza.

- Tak jest, sir.

- Co to znaczy? „Tak jest, sir, o to mnie oskarżają”. A może: „Tak jest, sir, takie właśnie przewinienie popełniłem”.

- Robiłem zdjęcia, panie kapitanie. Byłem kiedyś fotografem.

- Tyle to wiem - powiedział Parker oschle. - Ale może zechciałby pan zaspokoić moją osobistą ciekawość i powiedzieć mi, w jaki sposób wykonywał pan te swoje sztuczki w powietrzu?

Franklin patrzył na niego przez chwilę, jakby podejmował decyzję. W końcu ciężko westchnął.

- Wystarczy unieruchomić dźwignię pod kolanem. W taki sposób.

Zademonstrował, w jaki sposób można lewą nogą unieruchomić dźwignię kontrolującą nachylenia łopat i ilość paliwa dostarczaną do silnika.

- Wtedy trzeba tylko utrzymywać stałą wysokość - wyjaśnił Franklin. - No i kontrolować drążek lewą stopą i prawym kolanem.

- O kurwa! - Parker był pod wrażeniem. - I ktoś zobaczył, jak pan to robi?

- Tak, sir.

- Wie pan co? Prawdopodobnie nie wyrzucili pana stąd na zbity pysk tylko dlatego, że nikt nie uwierzył, że coś takiego jest możliwe.

- Zostanę wyrzucony, panie kapitanie? Po to jest ta cała rozmowa?

- Nie. Ukończy pan szkołę. Raport o „incydencie” gdzieś przepadł.

- Miło mi to słyszeć.

- Bardzo chce pan latać, co?

- Tak jest, sir. Bardzo.

- Z pewnością nauczył pana tej sztuczki jakiś doświadczony pilot, z którym miał pan kontakt wcześniej?

- Tak, sir.

- I który uczył pana łamania regulaminu lotów?

- Tak, sir.

- I który pewnie sam wymyślił sposób na pilotowanie helikoptera bez używania rąk?

- Po tym, jak mnie nauczył latać - odparł Franklin - zaczęliśmy ćwiczenia na wysokości trzech i pół tysiąca stóp. On próbował, a ja miałem za zadanie szybko przejmować stery, jeśli coś nie wychodziło.

- Inaczej mówiąc, doskonały pilot?

- Zgadza się, sir.

- Myślę, że ten pański nielegalny instruktor, kiedy nie stara się w powietrzu naśladować Johna Wayne'a, poświęca się rozważaniom, która z atrakcyjnych dam, zawsze lgnących do niego jak ćmy do ognia, zazna honoru bycia przez niego zerżniętą następnego

wieczoru. Myślę, że ten instruktor to potężnie zbudowany jegomość o nazwisku Craig W. Lowell, major.

- Zna pan majora, sir? - zapytał Franklin.

- Nie mówię o tym każdemu, panie Franklin, lecz ja nie tylko znam tego drania. On jest moim najlepszym przyjacielem.

Mężczyźni wymienili szerokie uśmiechy.

- Co teraz będzie, sir?

- Zaproszę pana do domu na kolację, oto, co się stanie - odparł Parker.

Zaczął obracać w powietrzu palcem wskazującym, co dla Franklina było sygnałem, żeby włączył silnik. Szybko wykonał polecenie.

- Mówiłem już panu o kolorowym facecie, który uczył generała jeździć konno - usłyszał w słuchawkach głos Parkera.

- Mówił pan, sir.

- Ten facet to był mój ojciec. - W słuchawkach rozległ się krótki trzask, kiedy Parker zmieniał kanał. - Laird, tu Helikopter Jeden. Jestem nad Hanchey. Proszę o zgodę na lot na niskim pułapie. Lądowanie na lądowisku numer jeden.

Popatrzył na Franklina i ruchem rąk potwierdził to, co powiedział do dyżurnego kontroli lotów. Lot powrotny miał się odbyć nisko nad ziemią.

- Tylko używaj obu rąk, Bill - dodał.

XV

1

Kwatera numer 3

Fort Meyers, Wirginia

11 grudnia 1958

Mniej więcej co tydzień szef sztabu US Army „odbywał spotkanie” z zastępcą szefa sztabu US Army. Były to spotkania towarzyskie i nieoficjalne. W kalendarzach ich prac, które skrzętnie prowadzili adiutanci, czas przeznaczony na te spotkania symbolizował trzyliterowy skrót „SWK”.

Sami w kwaterze.

Bardzo rzadko mogli rozmawiać tylko we dwóch i tylko czasami odbywali swoje spotkania w kwaterach oficerskich. Oczywiście nigdy nie byli sami. W pobliżu zawsze znajdował się jakiś sierżant lub chorąży z czterdziestką piątką za pasem albo z M2 schowanym w torbie na kije golfowe. Młodszy adiutanci także czuwali, odbierając telefony.

W pogotowiu byli także kierowcy i wielu oficerów, którzy w każdej chwili mogli się przydać (na przykład lekarze, żandarmi, kryptografowie, specjaliści od public relations i tak dalej).

„SWK”, sami w kwaterze, nie oznaczało bynajmniej, że „Piąty” i „Szósty” oficjalnie lub półoficjalnie dobrze się bawią, w szerokim lub wąskim gronie. „Sami” oznaczało, że to, o czym rozmawiają, nie opuści ścian pokoju, w którym odbywa się rozmowa. I to nie dlatego, że każdorazowo miejsce spotkania uważnie sprawdzano w poszukiwaniu ewentualnych urządzeń podsłuchowych (choć takie poszukiwania oczywiście się odbywały), ale dlatego, że obaj panowie mieli do siebie bezgraniczne zaufanie.

O godzinie 18.40 szef sztabu US Army powiedział do swojej żony i starszego adiutanta:

- Idę do E. Z. Blacka. Wrócę za jakiś czas.

Kiedy tylko „Szósty” wyszedł za drzwi, starszy adiutant wykonał kilka telefonów. Przekazał informację, gdzie będzie „Szósty” i gdzie będzie w ciągu najbliższych godzin on

sam, po czym pojechał do domu. Z doświadczenia wiedział, że „Szósty” zostanie u Blacka przynajmniej przez pięć albo sześć godzin.

O godzinie 18.43 „Szósty” wszedł kuchennymi drzwiami do Kwatery numer 3, czyli do mieszkania zajmowanego przez generała E. Z. Blacka. Zastał tam sierżanta Wesleya, który pracował dla Blacka od czasu, gdy spotkali się kiedyś na konnej przejażdżce (jeszcze teraz spędzali mnóstwo czasu na końskich grzbietach), Fultona J. Oswalda, senatora z Karoliny Południowej, członka Komisji Spraw Wojskowych, Carsona W. Newburgha, prezesa i dyrektora Newburgh Corporation, oraz oczywiście „Piątego”, czyli gospodarza.

- Czego się pan napije, sir? - zapytał sierżant Wesley.

Wszyscy zgromadzeni skinęli nowo przybyłemu uprzejmie, jednak żaden nie odezwał się ani słowem, nikt też się nie podniósł, żeby podać mu rękę.

- Czy zostało jeszcze trochę tej dobrej szkockiej, Wes? zapytał szef sztabu.

- Tak. To dwudziestoczteroletni trunek, tak doskonały, że wprost rozplywa się w ustach - odparł sierżant Wesley.

Poszedł do kuchni, skąd po chwili wrócił z butelką.

- Carson przywiózł zarcie - poinformował go Black. Masz do wyboru stek albo bażanta. Wes twierdzi, że na przygotowanie bażanta potrzebuje około godziny.

- Zadowolę się więc stekiem.

- Czy generał lubi stek mocno wysmażony? - zapytał sierżant Wesley. - A może niemal surowy, jak pułkownik Newburgh i senator.

- Stek po tatarsku? - zdziwił się szef sztabu i zachichotał. - Może być, dlaczego nie?

- Surowy stek gwarantuje wspaniałą wzwód, generale - stwierdził senator.

- Do wspaniałego wzwodu potrzeba mi znacznie więcej niż siekana wołowina i żółtko, senatorze - odparł szef sztabu.

Sierżant Wesley podał mu szklankę z ciemnobursztynowym płynem rozcieńczonym odrobiną wody.

- Panowie, jeśli zechcecie przejść do gabinetu, zacznę przygotowywać kolację - powiedział sierżant Wesley.

- Jasne, Wes. Daj nam pół godziny - powiedział generał Black. - I nalej jeszcze po jednym.

- Czy ktoś jeszcze ma do nas dołączyć? - zapytał szef sztabu, kiedy wszyscy, z wyjątkiem sierżanta Wesleya, znaleźli się w gabinecie. W pomieszczeniu stał okrągły stół przykryty kocem wojskowym. W każdej chwili mogli usiąść dookoła niego i zacząć grać w pokera.

- Właśnie. - E. Z. Black pokiwał głową. - Miałem zapytać o to samo.

- Niech pan powie E. Z. to samo, co pan powiedział mnie, senatorze - poprosił szef sztabu.

- Siły powietrzne wiedzą o waszych helikopterach uzbrajanych w rakiety - odpowiedział senator. - Wiem o tym z najpewniejszego źródła, od szanownego senatora seniora z Rhode Island.

- Chodzi o helikopter - zauważył generał Black. - Liczba pojedyncza. Jeden helikopter.

- Jeden helikopter to o jeden więcej, niż dotychczas wiedziałem, E. Z. - powiedział szef sztabu.

- Czy siły powietrzne przypuszczają, że mamy takie helikoptery, czy już wiedzą, że je mamy? - Black zaraz się poprawił. - Że mamy jeden taki helikopter.

- Mają fotografie i filmy - odpowiedział mu senator.

- Cholerne dranie, musieli umieścić gdzieś szpiega - powiedział generał Black ze złością w głosie.

- Może ja powinienem zrobić coś takiego? - zapytał głośno szef sztabu. - Zamiast polegać na twoim zapewnieniu, że będziesz na bieżąco informować mnie o najbardziej interesujących drobiazgach z życia wojsk lądowych?

- Staram się nie zawracać ci głowy drobiazgami - odparł E. Z. Black. - Musisz się koncentrować na sprawach najważniejszych i na polityce.

- Jeżeli to nie jest sprawa polityczna, to co to jest, do diabła?

- Na przykład dziś po południu - kontynuował E. Z. Black - spędziłem całą godzinę, próbując zadecydować, co zrobić z pewnym podpułkownikiem artylerii, który także występuje na filmach, ale nakręconych w Japonii. Facet wie wszystko o naszych taktycznych pociskach jądrowych.

- Co to za filmy?

- Filmy dla panów. Dla panów homoseksualistów. Podpułkownik jest ich gwiazdą - stwierdził E. Z. Black. - Zamierzałem przekazać ci szczegóły i poprosić o decyzję.

- Jezu! - zawołał senator.

- Istnieje w tej sprawie kilka opcji - mówił E. Z. Black. Niektórzy chcą go natychmiast usunąć z wojska i postawić przed sądem albo przynajmniej zdegradować. Kto inny chce, żeby zabawa trwała dalej; wtedy dowiedzielibyśmy się, kto nakręcił filmy, z kim mamy do czynienia.

- A ci inni to kto?

- CIA. I Felter.

- A ty zgadzasz się ze stanowiskiem Feltera, prawda? - zapytał szef sztabu.

- Taka jest moja rekomendacja.

- Wróćmy może do twoich uzbrojonych helikopterów. Obaj wiemy, że Felter i tak w końcu postawi na swoim. Prezydent uważa go za cholernego geniusza.

- A nie jest? - zapytał senator.

- Jest cholernym majorem armii Stanów Zjednoczonych - powiedział szef sztabu. - I nikim więcej.

Senator się roześmiał.

- A gówno! - zawołał. - Jest majorem, który codziennie szepcze do ucha prezydentowi, co tylko chce.

- Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby Felter zrezygnował z tego i po prostu... - zaczął szef sztabu, ale Black mu przerwał.

- Wrócił z tarczą do armii? - odezwał się. - Felter uważa się za żołnierza i to świadczy o nim najlepiej.

- Pytanie tylko, czy naprawdę. Naprawdę uważa się jeszcze za żołnierza?

- Tak uważa - odparł Black stanowczo.

Szef sztabu przez moment przypatrywał się swojemu zastępcy. W sumie obaj niespecjalnie się lubili. Szef sztabu był absolwentem West Point i żołnierzem piechoty spadochronowej. Zastępca był z kolei pancernikiem, absolwentem Norwich. Panowała między nimi zła chemia. Poznali się już ćwierć wieku temu i od razu nie spodobali sobie nawzajem. Jednak w miarę jak równoległe kariery wiodły obu ku szczytom władzy, nabierali do siebie wzajemnego szacunku. Obecnie bardzo się szanowali, jednak nie byli przyjaciółmi.

Sierżant Wesley przyniósł tacę ze świeżymi drinkami oraz koreczki z cheddarem. Szef sztabu od razu wsunął kostkę sera na wykałaczce do ust.

- Opowiedz mi o tych twoich uzbrojonych helikopterach.

- To naturalny pomysł. Chodził mi po głowie od czasów wojny w Korei. Kiedy dowodziłem Fort Polk, MacMillan przymocował trzyipółcalową Bazookę do płozy starego H-23 i pokazał mi, co mógłby zrobić z pancierzami M3 i M4.

- Mac jest w to zaangażowany? - zapytał szef sztabu.

Jako dowódca pułku w 82. Dywizji Powietrznodesantowej szef sztabu rekomendował, aby sierżant Rudolph G. MacMillan z Plutonu Zwiadu został bezpośrednio awansowany na stopień podporucznika. Zanim zdołano go awansować, MacMillan dostał się do niewoli (myślano wówczas, że zginął) w takich okolicznościach, że został przedstawiony do odznaczenia Medalem Honoru.

- Mac i Bob Bellmon - powiedział E. Z. Black.

- Zdajesz sobie sprawę, że Bellmon może przez to stracić szansę na gwiazdkę generalską?

- Jestem pewien, że pułkownik Bellmon zdaje sobie sprawę z ryzyka, jakie nieodłącznie towarzyszy każdej karierze wojskowej.

- Kogoś jeszcze w to zaangażowałeś? - zapytał szef sztabu. - E. Z., trochę mnie wkurza wyciąganie z ciebie szczegółów niczym wrywanie zęba ze szczęki.

- Łańcuch odpowiedzialności rozpoczyna się na mnie i biegnie poprzez Bellmona do MacMillana. W sprawę zaangażowanych jest jeszcze dwóch innych oficerów. Jeden z nich to młody porucznik o nazwisku Greer, który współdziałał z żołnierzami Legii Cudzoziemskiej w Algierii. Jak wiesz, oni regularnie uzbrajają swoje helikoptery. Obecnie przebywa w Fort Hood z helikopterem i dwoma mechanikami oraz chorążym z Korpusu Uzbrojenia, którego pożyczyłem od Teda Davisa.

- Inaczej mówiąc, generał Davis także jest w to zaangażowany?

- Nie. Generał Davis będzie mógł z czystym sumieniem odpowiadać, jeśli go ktoś o to zapyta, że nie miał najmniejszego pojęcia, co to za historia. Poprosiłem go jedynie o przydzielenie mi kompetentnego człowieka, specjalisty od wyrzutni raketowych. O nic nie pytał, a ja sam z siebie nie uznałem za stosowne udzielić mu żadnych dodatkowych informacji.

- W porządku.

- Ale jest jeszcze jeden człowiek, oficer podlegający zastępcy szefa sztabu do spraw logistyki.

- Jaka jest jego funkcja?

- Nasze próby trochę kosztują. A ten facet jest dobry w przekierowywaniu dla nas forsy z innych działów. Był także w Afryce Północnej i wie, o co w tej grze chodzi.

- Czy on ma jakieś nazwisko?

- Tak. Lowell. Major C. W. Lowell.

- Powtórz jeszcze raz, E. Z. - poprosił senator.

- Lowell. Major Craig Lowell.

- O cholera! - Senator z trudem stłumił śmiech. - Cóż, to kieruje nas ku drugiemu punktowi porządku dziennego.

- Słucham? - zapytał generał Black, lekko zdezorientowany.

- E. Z. - powiedział senator. - Z prawdziwą przykrością muszę cię zapytać, czy wiesz, w co jeszcze wplątał się ten twój major Lowell?

- Nie rozumiem.

E. Z. pomyślał z pewną troską, że senator powie mu zaraz, iż trochę za dużo mówi się już w mieście o przyjęciach i imprezach organizowanych przez Lowella.

- Lowell wplątał się w romans z żoną pewnego senatora - wybuchł szef sztabu.

- Prawdopodobnie to nie jego wina - mówił senator. Ale sam rozumiesz, że to nieprzyjemna sytuacja.

- Nie bardzo rozumiem, co w takim wypadku znaczy „prawdopodobnie to nie jego wina”? - zdziwił się szef sztabu.

- Senator jest stary i bogaty. Żona senatora jest młoda i stanowi okaz zdrowia. Major jest młody i w dodatku jest kawalerem.

- W rzeczy samej wdowcem - zauważył Carson Newburgh.

- Znasz go, Carson? - zapytał szef sztabu.

- Tak, znam go. I to dość dobrze. Ale o tej ostatniej sprawie nic nie wiedziałem. Jak na imię tej damie?

- Constance - odparł senator.

- I kto jeszcze o tym wie?

- Prawdopodobnie mnóstwo ludzi, poza jej mężem. Ale nie jestem tego pewien.

- Jezu - jęknął szef sztabu. - E. Z., ty naprawdę potrafisz dobierać sobie ludzi.

- Nie wiedziałem o tym.

- Bo nie mieszkasz w Georgetown - stwierdził Carson Newburgh. - A wszystkie najbardziej interesujące rzeczy dzieją się właśnie tam.

- Lowell mieszka w Georgetown? - zapytał szef sztabu.

- Jest sąsiadem senatora, o którego żonie właśnie rozmawiamy.

- Jakim cudem może sobie na to pozwolić?

- Lowell jest bardzo bogaty - odparł Carson Newburgh. - Cholernie bogaty.

- Skąd ma tę forszę?

- Słyszałeś o firmie Craig, Powell, Kenyon i Dawes?

- Maklerzy giełdowi?

- Także, ale głównie inwestorzy bankowi. Firma ma dwóch głównych udziałowców. Jednym z nich jest Porter Craig, prezes zarządu i dyrektor. Ma połowę udziałów. Druga połowa należy do jego kuzyna, majora Lowella.

- I co taki bogacz robi w armii?

- Nie wiedziałem, że ubóstwo jest cnotą żołnierza - powiedział Carson Newburgh lodowatym tonem.

- Georgie Patton był bogaty - zauważył E. Z. Black. I był dobrym żołnierzem. Jak Carson. I jak Lowell, żeby daleko nie szukać. Grupa Bojowa Lowell przerwała pierścień okrążenia pod Pusan.

- Tak, tak. - Szef sztabu pokiwał głową. - Słyszałem o nim. To przemądrzały dupek, który później zeznawał przed sądem, że nie widzi nic złego w strzelaniu do oficerów, którzy w czasie bitwy biegną w złą stronę. Wiedziałem, że facet papla, co mu ślina na język przyniesie, ale nie wiedziałem, że jest tak cholernie bogaty. - Zamilkł na chwilę i dodał: - Carson, cholera jasna, przecież nie chciałem cię urazić.

- Panowie, powiedzcie, kiedy będziecie gotowi do kolacji - odezwał się sierżant Wesley, stanąwszy w drzwiach gabinetu.

- Za piętnaście minut, Wes - odparł generał Black.

- George Patton nie posuwał senatorskich żon na prawo i lewo - warknął szef sztabu.

Black zobaczył, że szef jest coraz bardziej wściekły. Nie mógł odgadnąć, z jakiego powodu.

- Tę sprawę można kontrolować - zauważył senator. Uznałem jednak, że powinienem o niej napomknąć.

- Tak ci się tylko zdaje - prychnął szef sztabu. - Wyślemy sukinsyna na Grenlandię i niech tam sobie pieprzy niedźwiedzie polarne.

- Daj spokój - jęknął senator. - Major nie jest w końcu pierwszym żołnierzem, który posuwa nie swoją żonę. Taki MacArthur, będąc szefem sztabu, miał azjatycką kochankę i skutecznie przez długi czas ukrywał ją w apartamencie. Wątpliwości wzbudza nawet rzekoma świętość i czystość deklarowana przez Eisenhowera w czasie wojny.

- Nie wierz tanim plotkom - rzucił szef sztabu. - Przypominam ci, że mówisz o prezydencie.

- Oczywiście, że w nie wierzę w plotki - odparł senator. Był trochę rozżłoszczony, w jego głosie pobrzmiwał sarkazm. - Ale ja przy tym byłem. Jestem przekonany, że awansował cycatą pannę Limey na stopień oficerski tylko dlatego, że doskonale sobie radziła jako kierowca jego jeepa. A poza tym wierzę w dobre wróżki i garbate aniołki.

Szef sztabu zmierzył go wściekłym wzrokiem.

- Przypomniało mi się coś jeszcze na temat tego twojego Lowella - powiedział do Blacka.

- Co takiego?

- Pamiętasz panikę, kiedy „Life” zamieścił artykuł ilustrowany fotografiami M48 z napisem „Blueballs” na wieżycze i fotografią tej aktorki, która nie nosi bielizny, wśród

załogi? Nazywa się Georgia Paige, prawda? Pamiętam, że jakiś popieprzony młody oficer zabrał ją niemal na samą linię frontu i potem pieprzył ją wszędzie, gdzie tylko znalazł kawałek płaskiego miejsca. Właśnie przypomniało mi się jego nazwisko. To był ten twój Lowell, prawda?

- Zapewne tak. I co z tego?

- Facet chyba uwielbia bzykać, co? - roześmiał się senator.

- To nie jest zabawne - stwierdził szef sztabu ze złością.

- Jestem pewien, że pamiętasz, co powiedział Phil Sheridan o żołnierzach, którzy nie pieprzą kobiet? - zapytał Black.

- Mówił o żołnierzach, a nie o oficerach z korpusu Sztabu Generalnego - odparł szef sztabu z taką furią, że aż się opluł.

- A niech sobie ten Lowell pieprzy nawet orangutany. - Black wzruszył ramionami. - Dopóki dobrze wykonuje swoje obowiązki, ma prawo zachowywać się tak jak każdy zdrowy, młody, niezonaty oficer. A on doskonale wykonuje swoje obowiązki.

- Hej, hej, panowie! - wtrącił się senator. - Uspokójcie się, proszę.

Szef sztabu przez chwilę mierzył go wzrokiem, potem spojrzął na E. Z. Blacka. Kiedy znów się odezwał, doskonale panował nad swoim głosem.

- Podsumowując nasze rozważania - powiedział lodowatym tonem - mamy tu do czynienia z oczywistym i bezczelnym naruszeniem porozumienia z Key West z 1948 roku, w myśl którego wojska lądowe pod żadnym pozorem, powtarzam, pod żadnym pozorem, nie mają prawa uzbrajać swoich statków powietrznych. Obawiam się, że możemy pozostać po tej historii z gołymi dupami na wietrze. I żeby tego jeszcze było mało, jeden spośród oficerów i dżentelmenów zaangażowanych w to wykroczenie prowadzi się z żoną senatora.

- Najbardziej zaangażowany w to wszystko jestem ja - odezwał się Black. - A jeśli chodzi o żonę senatora, bardzo proszę, używaj odtąd czasu przeszłego. Dopilnuję, żeby to się skończyło.

- Pozostajemy jednak z tymi cholernymi uzbrojonymi helikopterami. Nie mam cienia wątpliwości, że Siły Powietrzne dopilnują, żeby ta sprawa jak najszybciej przedostała się do „Washington Post”.

- Zastanawiałem się nad helikopterami - powiedział senator. - Uważam, że powinieneś sam wszystko ujawnić. Zwołaj konferencję prasową. Ogłoś o próbach całemu światu. Jeśli odniesiemy sukces, całe te siły powietrzne pozostaną z ręką w nocniku.

- Odniesiemy sukces. - E. Z. Black pokiwał głową. A wtedy zacniemy wymieniać czołgi na helikoptery w całej armii.

Szef sztabu długo mu się przypatrywał.

- Chyba nie mamy innego wyjścia z bałaganu, w który wpackował nas mój zastępca - powiedział wreszcie.

- Generale - odezwał się senator. - Nasze będzie na wierzchu, zanim siły powietrzne na dobre się zorientują.

- Wesley! - zawołał szef sztabu.

W drzwiach stanął sierżant Wesley.

- Słucham, sir?

- Posadź kogoś przy telefonie i niech natychmiast znajdzie szefa informacji. Niech go spróbuje zaprosić do nas na drinka. Jeśli będzie nieosiągalny, proszę ściągnąć jego zastępcę.

- Tak jest, sir - odparł sierżant Wesley.

2

Ozark, Alabama

12 grudnia 1958

- Biuro pana Duttona - wyszczebiotała do słuchawki prywatna sekretarka Howarda Duttona.

- Mam do połączenia rozmowę na koszt wzywanego abonenta. Telefonuje pani Greer z San Antonio - oznajmiła lekko nosowym głosem telefonistka.

- Biuro pana Duttona - powtórzyła sekretarka Howarda Duttona.

- Mam do połączenia rozmowę na koszt wzywanego abonenta. Telefonuje pani Greer z San Antonio - powtórzyła z kolei telefonistka.

- Jedną chwileczkę - powiedziała sekretarka Howarda Duttona.

Odłożyła słuchawkę na biurko i weszła do gabinetu szefa.

- Panie Dutton, niejaka pani Greer łączy się z nami na nasz koszt - poinformowała go.
- Co mam jej powiedzieć?

- Dobry Boże! - zawołał Howard Dutton.

Okręcił się w obrotowym fotelu w kierunku zestawu telefonów na bocznym stoliku. Znajdowały się na nim dwa aparaty. Na obu znajdowały się przyciski odpowiadające poszczególnym liniom, które świeciły, kiedy dana linia była zajęta. Każdy telefon

wyposażony był w cztery przyciski. Spośród ośmiu przycisków cztery były teraz oświetlone. Howard Dutton natrafił na linię z telefonistką z San Antonio za trzecim razem.

- Proszę łączyć, łączyć - powiedział niecierpliwie do trochę zaskoczonej kobiety.

Kobieta zareagowała dopiero po chwili:

- Proszę mówić.

- Tatuś?

- Jak się masz, moje dziecko? - zapytał Howard Dutton. - Wszystko u ciebie w porządku?

- Tato, mogę przyjechać na Boże Narodzenie trochę wcześniej?

- Kochanie, możesz przyjechać do domu, kiedy tylko zechcesz. Coś się stało, najdroższa?

Howard usłyszał w słuchawce płacz dziecka i zaczął się zastanawiać, co ten drań znów zrobił jego Melody?

- On znowu rzyga, co za chłopak - powiedziała Melody. - Obrzygał mi całą sukienkę.

- Uspokój się, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

- Mogę przyjechać dziś po południu? A raczej późno wieczorem? Mam samolot z Atlanty o dwudziestej trzydzieści dwa.

- Dwudziesta trzydzieści dwa - powtórzył Howard Dutton. Odwrócił się do biurka, zaczął szukać ołówka, ale zobaczył sekretarkę. - Zapisz to - powiedział niecierpliwie. - Dwudziesta trzydzieści dwa z Atlanty. - Zdjął dłoń z mikrofonu w słuchawce i znów mówił do córki. - Będę czekał, kochanie. Zobaczysz mnie, kiedy tylko wysiądziesz z samolotu.

Przypomniał sobie, że rozmowa odbywa się na jego koszt. Czyżby dziewczyna nie miała pieniędzy? Dlaczego ona nie ma pieniędzy?

- Powiedz mi teraz, co się stało. Twój tatuś zaraz wszystkim się zajmie.

- Nic się nie stało, tato.

- Gdzie jest twój mąż?

- Mój mąż- powtórzyła Melody z przekąsem - siedzi teraz w swoim wielkim wstrętnym helikopterze, którego oni nazywają Wielkim Złym Ptakiem, i jest w połowie drogi do Rucker. Dziś rano otrzymał rozkaz, żeby natychmiast się tam stawił, razem z tym swoim przeklętym helikopterem.

- Co to niby znaczy? - zapytał Howard Dutton niepewnym głosem.

- Oni zrobili z tego Wielkiego Złego Ptaka helikopter bojowy. I natychmiast chcą go mieć w Rucker. Z rozkazu wynika, że mój mąż zostanie tam co najmniej przez trzydzieści dni. Więc ja też chcę stąd wyjechać.

- Masz dość pieniędzy? Jeśli nie, to zadzwonię do banku i wypłacę ci tyle, ile będziesz potrzebowała.

- Dwudziesta trzydzieści dwa, tato - powiedziała Melody i przerwała połączenie.

Howard Dutton odłożył słuchawkę na widełki. Sekretarka wciąż stała przed biurkiem, z ołówkiem i notatnikiem w rękach. Przekłeta głupia baba. Howard czasami niemal pragnął, żeby Prissy wróciła do pracy.

- Będę w domu - powiedział do niej i wyszedł z gabinetu.

Kiedy wszedł do kuchni, Prissy piła ze służącą kawę.

- A co ty robisz w domu o tej porze? - zapytała.

- Melody przyleci dziś z małym. O dwudziestej trzydzieści dwa wylatuje z Atlanty.

Kiedy wypowiedział te słowa, z nieznanego powodu zachciało mu się płakać.

- A gdzie jest Ed? Przyleci razem z nią? - zapytała Prissy.

- On leci sobie sam.

- A dlaczego nie lecą razem?

Głupia przekłeta baba.

- Myślę, że przepisy zakazują przewożenia niemowląt w helikopterach wojskowych - odparł Howard z sarkazmem.

- Mogłeś od razu powiedzieć, że Ed leci maszyną wojskową. Cóż, musimy się przygotować na ich przyjęcie.

- Melody powiedziała, że spędzą tutaj przynajmniej trzydzieści dni.

- Dwudziesta trzydzieści dwa? Mamy jeszcze dużo czasu. Nie musiałeś od razu przyjeżdżać do domu. Mogłeś zadzwonić do mnie z biura.

Howard wrócił do biura, otworzył szufladę i wyciągnął z niej półlitrową butelkę Jacka Daniels'a. Wypił spory łyk prosto z gwinta.

Głupia baba w domu i głupia baba w biurze; to cud, że jeszcze nie oszalał. Usiadł przy biurku i przestawił na nim ramkę z dwiema fotografiami, żeby je lepiej widzieć.

Lewa fotografia przedstawiała Melody w dniu, w którym ukończyła szkołę. Na prawej fotografii uwieczniona była Melody z dzieckiem. Zdaniem Howarda Duttona wyglądała na niej jak Madonna. Nie potrafił znaleźć lepszego słowa, kiedy na nią patrzył.

Znowu pociągnął łyk z butelki i popatrzył na zegarek.

Była dziewiąta czterdzieści. Melody będzie w domu mniej więcej za dwanaście godzin.

Agencja Rozwoju Lotnictwa Wojsk Lądowych USA

Fort Rucker, Alabama

12 grudnia 1958

- Jestem pewien, pułkowniku, że pan to rozumie. Otrzymałem jedynie krótkie i lakoniczne polecenie. Z rozkazu, który dostałem od generała, wynikało tylko to, że mam natychmiast zająć się sprawą.

Słowa te wypowiedział pułkownik Tim. F. Brandon, szef Oddziału Specjalnego w Wydziale Łączności z Mediami Biura Szefa Informacji przy Departamencie Wojsk Lądowych.

- Od którego generała? - zapytał pułkownik Robert F. Bellmon niewinnym tonem.

- Od szefa informacji.

- Tak, oczywiście.

Zdażył się już zorientować po baretkach odznaczeń na mundurze pułkownika Brandona, że zdołał on awansować na stopień pułkownika piechoty, nigdy w życiu nie usłysawszy nawet jednego strzału w warunkach bojowych.

- Cóż, ta nasza mała operacja zyskała wysoki priorytet - powiedział pułkownik Brandon.

- Rzeczywiście.

O dwudziestej trzeciej trzydzięci otrzymał telefoniczną wiadomość od zastępcy szefa sztabu US Army z informacją, że odwiedzi go kilku dupków od szefa informacji. Zapadła decyzja, aby opinię publiczną jak najszerszej poinformować o próbach z uzbrajaniem helikopterów.

Sam Wielki Zły Ptak został już wezwany z Hood do Rucker. Miał jak najszybciej przylecieć z technikami i sprzętem.

- Jestem pewien, że dasz sobie radę z tymi facetami, Bob. Jeśli jednak będziesz mnie potrzebował, dzwoń bez wahania.

- Tak jest, sir - powiedział Bellmon i na tym skończyła się rozmowa z zastępcą szefa sztabu.

Ktoś zapukał do drzwi. Bellmon podniósł wzrok i kiedy w progu zobaczył MacMillana, ruchem głowy nakazał mu wejść do środka. Mac był w kombinezonie pilota.

Właśnie wrócił z nadzorowania, i to sądząc po gościu, jaki pokazał Bellmonowi, udanego, rozstawiania przenośnego hangaru dla helikoptera bojowego. Hangar usytuowano niedaleko Hanchey, za to daleko od wścibskich oczu.

- Pułkownikowi Brandon - powiedział Bellmon - to jest major MacMillan. Majorze MacMillan, oto oficer, z którym będzie pan współpracował.

- Mam nadzieję, że i my będziemy pracowali, jak to mówią, razem - odezwał się pułkownik Brandon.

- Major MacMillan wie o Wielkim Złym Ptaku więcej ode mnie - odparł pułkownik Bellmon.

- Rozumiem.

- Wiesz mniej więcej, o której przyleci, Mac? - zapytał Bellmon.

- Greer był w Dallas jakieś pół godziny temu. Powiedział, że ma przed sobą jeszcze godzinę lotu. Jeśli od tego czasu się nie łączył, jest teraz gdzieś nad Love Field.

- To bardzo nieszczęśliwa nazwa - powiedział pułkownik Brandon.

- Słucham?

- „Wielki Zły Ptak”. Potrzebujemy czegoś mocniejszego. Na przykład „Tygrys”.

- „Tygrys” to niemiecki czołg - zauważył MacMillan.

- Dobrze, później będziemy się nad tym zastanawiać. „Wielki Zły Ptak”... Teraz nazwa nie ma wielkiego znaczenia. A co z tym facetem z Medalem? Jak on wygląda?

MacMillan popatrzył na pułkownika Brandona z niedowierzaniem, a ten szeroko się uśmiechnął.

- Powiedziano mi, że jeden z waszych oficerów ma Medal Honorowy Kongresu. Mam nadzieję na dwie rzeczy. Po pierwsze, że jest związany z tym projektem, a po drugie, że jest fotogeniczny i potrafi się wysławiać.

- Powiedz coś dla pułkownika, Mac - poprosił Bellmon.

- Przepraszam, majorze, oczywiście, nie zamierzałem nikogo urazić - zastrzegł pułkownik Brandon. Chodziło mi po prostu o to, że mam nadzieję, iż okaże się pan facetem, którego można postawić przed kamerą. Widzę, że mogę się po panu spodziewać znacznie więcej, niż sądziłem.

Bellmon nacisnął przycisk interkomu.

- Darlene, poproś, żeby ktoś przyniósł nam kawę, dobrze? A jeśli pani Hyde przebywa na terenie budynku, odszukaj ją i poproś do nas, bardzo proszę.

- Dobrze, skoro problem gadającej głowy mamy rozwiązany - znowu odezwał się pułkownik Brandon - możemy się teraz zastanowić nad nową nazwą dla tego helikoptera. Prawdę mówiąc, za dobrze nie wiem, jak taka maszyna wygląda. Macie tu gdzieś fotografię?

- Wszystkie są ściśle tajne - odparł pułkownik Bellmon. - Nikt mnie nie informował, że ma pan prawo dostępu do tajnych materiałów, pułkowniku.

Do drzwi zapukała Rhonda Wilson Hyde. Weszła do środka bez zaproszenia.

- Pułkowniku - powiedział Bellmon. - To jest pani Hyde, szefowa naszej administracji. Rhonda, przedstawiam ci pułkownika Brandona z Biura Szefa Informacji.

Pułkownik Brandon i pani Hyde posłali sobie nawzajem lekkie uśmiechy. Major MacMillan popatrzył na pułkownika i wypowiedział tylko jedno słowo:

- Geronimo.

- Pani Hyde dopilnuje, żeby trafił pan wszędzie tam, gdzie powinien pan trafić - kontynuował Bellmon. - Dopilnuje też, żeby czuł się pan tutaj jak najlepiej. A teraz, jeśli państwo pozwolą, muszę w cztery oczy przedyskutować pewne sprawy z naszą gadającą głową.

4

McLean, Wirginia

15 grudnia 1958

Poranna narada, jak to czasami bywało, przerodziła się w naradę popołudniową i w Sali Konferencyjnej numer III trzeba było zaciągnąć dla zaciemnienia grube zasłony. Sanford T. Felter został jeszcze w sali, czekając, aż ją opuszczą oficerowie referujący i analitycy.

- Zostajesz w mieście na święta? - rzucił pytanie, kiedy niemal wszyscy już wyszli.

- Tak - odparł dyrektor. - Masz jakiś powód, żeby o to pytać?

- Jeśli to możliwe, chciałbym wyjechać na krótki urlop. Powiedzmy na dziesięć dni, od dwudziestego pierwszego.

- Przecież nie musisz mnie prosić o urlop, Felter.

- Chciałbym, żebyś to ty przedłożył moją prośbę szefowi.

- Jasne. Dokąd wyjedziesz?

- Do Fort Rucker.

- Do diabła, co się tam dzieje? - zapytał dyrektor. Felter popatrzył na niego z zainteresowaniem, a tymczasem dyrektor kontynuował: - Natknąłem się na notatkę, że E. Z. Black także będzie wypoczywał podczas świąt w Rucker.

- Ja nie jadę z nim - wyjaśnił Felter. - Chcę odwiedzić jedynie kilku starych kumpli.

- Przynajmniej łączność będzie łatwiejsza, a armia za to zapłaci. Każę im, żeby założyli ze dwie bezpieczne linie.

Ciekawość wzięła w Felterze górę. Podeszedł do telefonu i wybrał dwucyfrowy numer.

- Biuro łączności - usłyszał po chwili. - Pułkownik Ford.

- Sanford Felter, pułkowniku. Dlaczego generał Black wyjeżdża na święta do Fort Rucker?

- Panie majorze, armia lądowa zamierza upublicznić informacje o helikopterze bojowym. Zjedzie się tam mnóstwo dziennikarzy na darmową imprezę. Generał sam złoży oświadczenie dla prasy.

- Dziękuję - powiedział Felter i odłożył słuchawkę.

Dyrektor popatrzył na niego z zainteresowaniem.

- Wygląda na to, że siły powietrzne są bliskie złapania wojsk lądowych na uzbrajaniu własnych helikopterów - zauważył Felter. - A armia uznała, że najlepszą obroną jest dobry atak. Black osobiście puści w eter tę informację.

- Chryste - jęknął dyrektor. - Cóż, dobrze że przynajmniej my nie jesteśmy w to zamieszani.

- Nie jesteśmy.

- Jak myślisz, kto ma tutaj rację? - zapytał dyrektor.

- Armia. Takiej odpowiedzi się po mnie spodziewałeś?

- Jesteś pewien, że wszechstronnie przeanalizowałeś cały problem, a nie mówisz tak tylko dlatego, że pochodzisz z piechoty.

- Przekazaliśmy siłom powietrznym materiał, który zebraliśmy w Algierii - powiedział Felter. - Nic z tym nie zrobili. A tymczasem zbrojenie helikopterów to pomysł, który należy jak najszybciej zrealizować. Koniecznie. Armia przejęła inicjatywę i po prostu wypełniła niebezpieczną próżnię.

- Lotnictwo zacznie wrzeszczeć, że to przekroczenie kompetencji.

- Lotnictwo wciąż jest przekonane, że dzięki swoim bombowcom samo wygrało wojnę w Europie.

- Oto zgryźliwy głos żołnierza piechoty - stwierdził dyrektor z uśmiechem.

Felter się zmieszał.

- Ja tylko żartowałem, Sandy - uspokoił go dyrektor. - Tylko żartowałem.

XVI

1

Agencja Rozwoju Lotnictwa Wojsk Lądowych USA

Fort Rucker, Alabama

16 grudnia 1958

Pułkownik Bellmon nacisnął przycisk interkomu.

- Darlene, nie mogę złapać Maca. Czy jest w budynku?

- Nie, proszę pana. Pojechał do Hanchey.

- A pani Hyde?

- Ona także tam jest. Z pułkownikiem Brandonem i ekipą telewizyjną.

- Wejdz do mnie na chwilę, Darlene, bardzo proszę.

Kiedy weszła do jego gabinetu, powiedział jej, żeby wzięła samochód sztabowy z kierowcą i pojechała na Lotnisko Wojskowe Laird.

- Poznałaś już kiedyś majora Lowella, prawda?

- Tak, panie pułkowniku.

- Major Lowell wkrótce wyląduje na Laird cywilnym samolotem. Chcę, żebyś na niego czekała. Powiesz mu, że wysłałem cię, żebyś go przywiozła bezpośrednio do mnie. Mogą go witać również inni ludzie, ale ty musisz sprawić, że zrozumie, że zanim zacnie robić cokolwiek innego, musi spotkać się ze mną. Dasz sobie z tym radę?

- Tak, panie majorze. Jestem pewna, że dam sobie radę - odparła Darlene Heater.

Czekała w Centrum Operacyjnym przy Lotnisku Wojskowym Laird, kiedy lśniący, smukły Aero Commander wylądował i pokołował na wyznaczone miejsce postoju.

Kiedy otworzyła przeszklone drzwi i chciała pójść w kierunku samolotu, prawie zderzyła się z czarnoskórą kobietą.

Przyjrząwszy się jej bliżej, rozpoznała w niej lekarzkę ze szpitala wojskowego, kobietę, która wzbudzała mnóstwo zainteresowania i była tematem wielu dyskusji.

- Pani pierwsza - powiedziała Darlene, dumna, iż demonstruje w ten sposób brak uprzedzeń rasowych.

- Dziękuję - odparła czarnoskóra lekarka. Wyszła z budynku i skierowała się ku Aero Commanderowi.

Otworzyły się drzwi z tyłu samolotu. Wsiadł z niego major Lowell i od razu energicznie się przeciągnął. Następnie wsunął głowę do samolotu i po chwili wyciągnął kurtkę mundurową. Włożył ją i wtedy zobaczył czarnoskórą kobietę.

- No nie mogę! - zawołał. - Moja ulubiona specjalistka od chorób wenerycznych!

Wycałował ją, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Nie była to jedyna rzecz, jaką Darlene widziała w Fort Rucker i w jaką z trudem mogła uwierzyć.

- Phil wyjechał. Znowu ma jakąś sprawę dotyczącą uprzedzeń rasowych - powiedziała lekarka. - Na razie musisz się więc zadowolić mną.

- Majorze Lowell - odezwała się Darlene. - Czy pan mnie pamięta?

Popatrzył na nią.

- Obawiam się, że nie - odpowiedział po chwili.

- Jestem sekretarką pułkownika Bellmona. Wysłał mnie, żebym pana do niego zawiozła.

- Dziękuję, dam sobie radę.

- Pułkownik Bellmon polecił mi, żebym zawiozła pana do niego, zanim pan zacznie robić coś innego. Tak powiedział. Przyjechałam z kierowcą, jego samochodem.

- To brzmi jak rozkaz - odezwała się lekarka. - Bo na pewno nie jak zaproszenie od przyjaciela.

- No właśnie. W tej sytuacji zobaczę, czego on ode mnie chce, a potem przyjadę do ciebie do szpitala.

- Mam dyżur do wpół do piątej. Ale nasza służąca wie, że na ciebie czekamy, możesz więc jechać od razu do domu. A Phil, jestem pewna, urwie się tak szybko, jak tylko będzie mógł.

- Przykro mi z powodu tej sytuacji...

- Nie bądź głuptasem - powiedziała lekarka i pocałowała Lowella w policzek.

Lowell jeszcze raz wszedł do Aero Commandera i wyniósł kilka sztuk bagażu: dwie torby na garderobę, dwie walizki i neseser o dziwnym kształcie, w którym Darlene rozpoznała futerał na broń. Kierowca zobaczył tę scenę z daleka i podbiegł, żeby Lowellowi pomóc.

Po drodze z lotniska przez Daleville do Fort Rucker Darlene Heatter zastanawiała się, jak to by było, zrobić „to” z majorem Lowellem. Mimo że pozwalał sobie całować się z

czarną kobietą. Może to prawda, co się mówi, że Murzyni są w tych sprawach naprawdę dobrzy. Może murzyńskie kobiety są równie dobre jak mężczyźni?

Lowell zapukał do gabinetu pułkownika Roberta F. Bellmona.

- Wejść! - usłyszał.

Lowell wszedł do środka, zsalutował i stanął na baczność.

- Major Lowell melduje się na rozkaz, sir.

- Obawiam się, że nie do końca chodziło o rozkaz - odparł Bellmon.

Wyszedł zza biurka i zamknął drzwi. Dalszej części rozmowy Darlene nie mogła już usłyszeć.

- Och, siadaj, Craig. - Bob Bellmon wskazał mu krzesło. - Napij się kawy?

- Nie, dziękuję. Dzisiaj od rana wypilem już mnóstwo kawy.

- Jeśli dobrze zrozumiałem twoje rozkazy, miałeś tu przylecieć na pokładzie pierwszego samolotu liniowego, na jaki się dostaniesz. Zrozumiałem także, że na lotnisku Washington National pewien oficer przypomniał ci, jak brzmi rozkaz.

Lowell milczał.

- Co powiesz? - zapytał Bellmon.

- Cholera, nie widziałem sensu w zostawianiu mojego samolotu w Waszyngtonie - odparł Lowell. - I w końcu jaka to różnica, czym tutaj przyleciałem?

- Na tym zawsze polegał twój kłopot, Craig - stwierdził Bellmon. - Pytasz siebie samego, jaka jest różnica, i natychmiast odpowiadasz „żadna”. I to ci pasuje. Ale, szczerze mówiąc, w tej sprawie akurat masz rację.

- Jeśli postawiłem cię w trudnym położeniu, Bob, naprawdę bardzo cię przepraszam.

- Do diabła, rzeczywiście postawiłeś mnie w trudnym położeniu.

- Przepraszam.

- A ty sam nie masz pojęcia, w jakie wpadłeś tarapaty, co?

- Mam przeczucie, że zdenerwowałem kogoś, kto jest postawiony bardzo wysoko - odparł Lowell. - Ale nie bardzo wiem kogo.

- Może ja od razu przejdę do sedna, co? Mam nadzieję, że żona senatora jest dobra w łóżku?

- Och, więc o to chodzi?

- Tylko ta satysfakcja ci pozostaje, ponieważ ten kawał dupy zmiecie cię z powierzchni ziemi. Jesteś skończony, Craig. Mam nieprzyjemny obowiązek uświadomienia ci tego.

- Ostatecznie skończony?

- Zostałeś tutaj oddelegowany czasowo, na trzydzieści dni. Jeśli w tym czasie nie zrezygnujesz ze służby, a panuje powszechna nadzieja, że stanie się to już dzisiaj, zostaniesz przeniesiony do jednego z naszych garnizonów na Karaibach. I to nie w charakterze pilota. Zanim zostanie wymyślony jakiś inteligentny sposób przyspieszenia procesu usunięcia cię ze służby jako do niej niezdolnego, prawdopodobnie będziesz służył jako szef kwater rodzin żołnierskich albo asystent specjalny kierownika służby utrzymania czystości.

- Mów dalej, Bob. Przyjmij jednak do wiadomości, że nie mam ochoty i nie zamierzam dać się wyrzucić z armii z powodu jakiejś napalonej baby.

- Ta napalona baba to kropla, która przelała czarę.

- Jakie jeszcze popełniłem przestępstwa?

- Siły powietrzne wiedzą o Wielkim Złym Ptaku.

- O tym to pewnie dowiedziałem się przed tobą.

- Potrzebujemy więc ofiary - powiedział Bellmon. - Ty nią jesteś.

- To jednak wymaga wyjaśnienia.

- Mam nowy scenariusz, którego raczej nie znasz, ponieważ usłyszałem go przez telefon niecałe dwie godziny temu.

- Od kogo?

- Znasz Dana Brackmayera?

- To ten pies łańcuchowy szefa sztabu?

- Pułkownik Brackmayer jest asystentem specjalnym szefa sztabu.

- Wiem, kim jest.

- Posłuchaj więc, co się stanie, Craig. Przyznamy się do wszystkiego.

- Co to znaczy?

- Szef sztabu przyzna, że uzbrajając helikopter, naruszyliśmy porozumienie z Key West z 1948 roku. Odpowiedzialny jest za to nadmiernie ambitny oficer, czyli ty.

- No i?

- Rzecz najważniejsza: skoro już mamy taki helikopter, głupio by było zrezygnować z niego i z dalszych prób. Ponieważ jednak zawsze należy wykonywać rozkazy, oficer, który dopuścił się niesubordynacji, musi zostać ukarany. On jednak zrezygnuje ze służby, aby oszczędzić armii i sobie upokorzenia w czasie prawdopodobnego procesu sądowego.

- Inaczej mówiąc, mam dostać po mordzie za wszystko i za wszystkich? Ochronka West Point ustawia barykady przeciwko Indianom?

- Proponowałem, że to ja wezmę na siebie całą odpowiedzialność,

- Dziwne, ale ci wierzę.

- Dzięki. Dziwne, ale to, co teraz powiedziałaś, jest dla mnie bardzo ważne.
- Gdzie w tym wszystkim jest E. Z. Black?
- Zastępca szefa sztabu dał słowo szefowi sztabu, że zrezygnujesz ze służby.
- Facet wygląda na bardzo pewnego siebie - zauważył Lowell.
- On także był na ciebie wściekły. W tym wypadku jednak kroplą, która przelała czarę, nie była żona senatora.

- A co?

- Powiedział ci, żebyś się trzymał z dala od Feltera. Słyszałem to od niego. Powiedział, że masz się trzymać z dala od Feltera, i powiedział ci, dlaczego. A ty go nie posłuchałeś.

- Kilka razy zawiozłem Sharon i jej dzieci do tego domu schadzek, który założyłem na polecenie Blacka. Dzięki temu dzieciaki mogły się wykąpać w basenie.

- Miałeś się nie zbliżać do Feltera. Taki był rozkaz, a ty go nie posłuchałeś. Kropka.

- Pieprzyć go!

Bellmon nie zareagował.

- Wszystkim jakby się wydawało, że w milczeniu przyjmę rolę kozła ofiarnego. A czy nikomu nie przyszło do głowy, że ja po prostu otworzę szafę, wyciągnę z niej wszystkie szkielety i podrzucę siłom powietrznym?

- Zadano mi pytanie na ten temat - odparł Bellmon. Powiedziałem, że takie ryzyko w ogóle nie istnieje. Nie jestem pewien, czy uwierzył w to szef sztabu, ale wszyscy twoi przyjaciele uwierzyli.

- Czuję się mile połączony. Tylko dlaczego?

- Ponieważ jesteś żołnierzem.

- Jestem żołnierzem, ale mam natychmiast wypierdalać z armii.

- Teraz nie ty się liczysz, ale Wielki Zły Ptak, Craig.

- Cholera jasna - jęknął Lowell. - Nie spisuj mnie jeszcze na straty, Bob.

- Nie spisuję cię na straty - powiedział Bellmon. I zaraz się poprawił. - Owszem, spisuję cię na straty. I co na to poradzisz?

- Chcesz posłuchać kilku słów o tej damulce? - zapytał Lowell. Kontynuował, nie czekając na odpowiedź. - Wspięła się przez ogrodzenie na moje podwórko. Przelazła przez pierdolony mur. I zaczęła mnie obmacywać. W moim domu. A kiedy jej powiedziałem, że to może być dla nas trochę ryzykowne, odpowiedziała, że bardziej ryzykowne będzie, i to jedynie dla mnie, jeśli wróci do swojego starego i powie mu, jakie to jej czyniłem nieprzystojne propozycje.

- Dziwne, ale w to także wierzę.

- Co więc mam teraz robić ze swoim życiem? Przecież znam się tylko na wojsku. Nie potrafię niczego innego, umiem tylko być żołnierzem.

- Cóż, bez wątpienia nadal będziesz żył na wysokim poziomie. Ta pewność była jednym z czynników naszego równania.

- Mógłbym pewnie pojechać do Niemiec. Bóg jeden wie, że nie chcę pracować w tej pieprzonej firmie.

- Kup więc sobie linię lotniczą.

- A co powiem mojemu teściowi?

- Prawdę. On zrozumie.

- W jego armii wręczano oficerowi Lugera z jedną kulą i pozwalali honorowo wybrnąć z sytuacji. Gdzieś mam takiego Lugera, jeśli o to chodzi.

- Nie bądź melodramatyczny. Nie mówisz tego poważnie.

- Nie miałbym odwagi. Kiedy byłem w Grecji z Felterem, tego samego dnia, kiedy przyjechaliśmy, pewien oficer, nasz sąsiad, włożył sobie Colta w usta i pociągnął za spust. Strasznie nabałaganił. - Lowell popatrzył na Bellmona i uśmiechnął się. - Przeraziłeś się? Nie bój się, moje dobrowolne poświęcenie nie doprowadzi mnie do takiego stanu.

- Jeżeli kiedyś mógłbym coś dla ciebie... - zaczął Bellmon.

Lowell przerwał mu, unosząc do góry rękę.

- Jasne, Bob. Jednak moja rezygnacja ze służby w dniu dzisiejszym absolutnie nie wchodzi w grę.

Bellmon zrobił zdziwioną minę.

- Dlaczego?

- Z kilku powodów. Po pierwsze, będę musiał... nie, to ty będziesz musiał znaleźć kogoś zaufanego, komu będę mógł przekazać pewne sekrety. Na przykład, skąd ukradłem pieniądze na finansowanie Wielkiego Złego Ptaka. Jeśli sprawa nie ma się rypnąć, pieniądze, które jeszcze nie zostały wydane, muszą wrócić na miejsce.

- Kolejny powód?

- Są właśnie wakacje, święta. I jest Tydzień Pobratania. Przyjedzie tutaj Sandy Felter z Sharon. Ponieważ facet został szpiegiem, dziewczyna jest na skraju załamania nerwowego. Postanowiła, że na zabawie sylwestrowej znowu będzie kobietą oficera. A ja chcę jej to umożliwić.

- Nikt już nie będzie słuchał, czego ty chcesz.

- Podnieś słuchawkę, Bob. Zadzwoń do Brackmayera i powiedz mu, że po cichu i dyskretnie odsunę się od wszystkiego pierwszego stycznia 1959. Ani jednego dnia wcześniej. A przynajmniej nie dyskretnie.

- Dobrze - odparł Bellmon po chwili zastanowienia. Zadzwonię do Brackmayera. Powiem mu, że rozumiesz, jaka jest sytuacja, i uczynisz to, czego on się po tobie spodziewa. Powiem, że musisz powiązać pewne luźne nitki związane z Wielkim Złym Ptakiem. I jeszcze raz mu powiem, że z żadnej szafy nie wypadną żadne szkielety.

- Pieprzyć go. Przedstaw mu wszystko dokładnie odwrotnie. Niech nie sypia zbyt dobrze.

- Dopóki nie zapadnie ostateczna decyzja, majorze Lowell - powiedział pułkownik Bellmon formalnym tonem zamieszka pan w kawalerskiej kwaterze oficerskiej i tylko tam, ewentualnie w klubie oficerskim, będzie pan przebywał. Nie wolno panu opuszczać terenu Fort Rucker.

- Zamieszkam u Parkerów.

Bellmon pokiwał głową.

- Dobrze, Lowell. Mam jednak nadzieję, że mnie rozumiesz. Muszę cię trzymać na łańcuchu.

- Rozumiem. To wszystko, Bob?

Bellmon pokiwał głową.

Lowell wstał, zasalutował i wyszedł z gabinetu.

2

Lotnisko zapasowe numer 3

Lctańsko Wojskowe Hattctasy

Fort Rucker, Alabama

22 grudnia 1958

Hangar skonstruowany był z gumowanego materiału i wyglądał jak odwrócony nadmuchany ponton. Wzniesiono go w ciągu piętnastu minut. Pierwsze cztery podpory wbito w ziemię w precyzyjnie odmierzonych odległościach.

Następnie rozłożono na nich materiał, który przypominał brezent maskujący do namiotu. Każdy róg materiału został przymocowany do jednej podpory.

Wtedy uruchomiono generator benzynowy o mocy pięciu koni mechanicznych. Jego silnik dał napęd motorowi elektrycznemu, a motor elektryczny dał moc kompresorowi powietrza. Maskujący brezent najpierw jakby osiadł, a następnie zaczął rytmicznie rosnąć i się zapadać, rosnąć i zapadać, aż niespodziewanie osiągnął ostateczny kształt.

Miał dziewięćdziesiąt stóp długości, czterdzieści stóp szerokości i piętnaście stóp wysokości na środku.

Kiedy tylko ciśnienie powietrza w jego nadmuchiwanym ścianach opadało poniżej 7,5 funta na cal kwadratowy, generator automatycznie się włączał. Drzwi hangaru skonstruowane były podobnie. Jeszcze jeden generator, większy, dieslowski, zamontowany na przyczepie jeepa, produkował energię elektryczną, ciepło i sprężone powietrze potrzebne do obsługi helikoptera.

Zestaw zawierał także maszty i liny oraz siatkę maskującą. Kiedy całość została postawiona i nadmuchana oraz przykryta siatką, trudno go było dostrzec z powietrza czy z ziemi, nawet jeśli się wiedziało, gdzie hangar stoi. Wielki Zły Ptak stał w balonie, jak nieuchronnie nazwano hangar, a śmigła jego wirnika o średnicy pięćdziesięciu stóp ustawione były równoległe do kadłuba.

Wielki Zły Ptak był jedną z pierwszych maszyn typu Sikorsky H-19 Chicksaw, jaką nabyło wojsko lądowe. Rozpoczął służbę w wojnie koreańskiej, a później przydzielono go do transportowej kompanii helikopterowej w Fort Lewis w stanie Waszyngton. Przetrwiał trzy drobne i dwa poważne wypadki. Po drugim poważnym wypadku znalazł się na stałe w hangarze w Fort Lewis. Utracił wtedy większość spośród części, które były w dobrym stanie i które można było wymontować oraz użyć jako części zapasowych do nowszych, lepszych H-19.

Ale ponad rok temu opuścił Fort Lewis na skrzyni ładunkowej ciężarówce i został wypisany z ksiąg inwentarzowych Fort Lewis. Przejął go Wydział Planowania i Rekrutacji w Sekcji Utrzymania Lotnictwa podlegającej zastępcy szefa sztabu do spraw logistyki. W Fort Lewis logicznie uznano, że helikopter o numerze rejestracyjnym 50-3003 zostanie pocięty i sprzedany na złom albo może będzie jeszcze służył na poligonie jako cel dla czołgów, czy coś w tym rodzaju. Zgoda panowała co do jednego: już nigdy nie wzniesie się w powietrze.

Baza lotnictwa armii w Anchorage na Alasce miała w tym roku otrzymać dwa nowe wozy strażackie i trzy naziemne generatory prądotwórcze. Dostała tylko po jednym egzemplarzu. Lotnisko Wojsk Lądowych w Fort Sili w Oklahomie, które miało otrzymać dwa

wozy strażackie, nie otrzymało żadnego. Żadnego wozu strażackiego nie posłano też do Kitzigen w Niemczech ani do Dowództwa w Panamie.

Walla Walla Flying Service, operator lotniczy z Waszyngtonu, który latał cywilnymi egzemplarzami Chicksawów przy wycince drzew, otrzymał polecenie z Wydziału Planowania i Rekrutacji w Sekcji Utrzymania Lotnictwa, poparte odpowiednimi środkami finansowymi, aby wykonać niezbędne naprawy w celu zapewnienia maszynie o numerze 50-3003 minimalnego standardu bezpieczeństwa lotu. Walla Walla Flying Service otrzymało pieniądze, pierwotnie przeznaczone na kupno wozów strażackich i naziemnych generatorów prądotwórczych.

3003, Wielki Zły Ptak, nie był tym, czego ktoś mógł się spodziewać po helikopterze wojskowym mającym po remoncie pełnić funkcje cywilne. Został on bowiem zmodyfikowany zupełnie pod innym kątem.

Miał nowy (a właściwie naprawiony) silnik, nowy dyferencjał, nowy wirnik i łopaty. W Fort Hood zmodyfikowano także jego kadłub.

Standardowy H-19 ma jedne drzwi do przedziału ładunkowego, po prawej stronie. Wielki Zły Ptak miał po lewej stronie kadłuba wycięty jeszcze jeden otwór. Wnętrze przedziału pasażerskiego zostało wzmocnione. Usunięto z niego fotele, zastępując je ławkami i wstawiając pojemnik na amunicję.

Wzmocniono także podpory podwozia i z obu stron kadłuba umieszczono cylindry. Każdy z nich zawierał trzy rakiety z trzyipółcalowymi głowicami wypełnionymi materiałem wybuchowym. Cylindry funkcjonowały mniej więcej tak jak w rewolwerze. Kiedy cylinder obracał się, rakietą była odpalana; podobnie odpalane są pociski rewolwerowe, kiedy zostają ustawione w jednej linii z lufą. (Oczywiście w cylindrach z raketami nie było luf.) Od każdego pojemnika biegła do kadłuba prowadnica łącząca go z pojemnikiem zamontowanym w przedziale ładunkowym.

W momencie uaktywnienia systemu odpalającego rakiety (poprzez zmianę pozycji przełącznika na drążku pilota) - włączał się silnik elektryczny i uaktywniony zostawał obwód elektryczny służący do odpalania. Cylinder obracał się o 120 stopni i ustawiał raketę w pozycji ogniowej, z której zostawała odpalona. Potem cylinder obracał się o kolejne 120° i z prowadnicy wpadała doń następna rakietą, a z magazynu wsuwała się w prowadnicę kolejna. Łącznie helikopter był uzbrojony w pięćdziesiąt cztery rakiety, po dwadzieścia siedem na każdą stronę. Wszystkie je można było odpalić w ciągu piętnastu sekund.

Wywiad wojskowy nie wiedział o istnieniu czołgu o wystarczająco grubym pancerzu, by wytrzymał on bezpośrednie trafienie trzyipółcalowej rakiety w „najskuteczniejszej” fazie

jej lotu. A to oznaczało, że czołg był bezbronny, gdy znajdował się w odległości od 50 do 350 jardów od miejsca, z którego celnie odpalono w jego kierunku rakiety. Rakieta potrzebowała 50 jardów, żeby набrać prędkości, a po pokonaniu 350 jardów zaczynała zwalniać. Jednak w odległości pomiędzy 50 a 350 jardów, znanej jako „najskuteczniejsza faza lotu”, rakieta przebijała pancerz każdego znanego czołgu na świecie jak kulka roztopionego żelaza kostkę masła. A zaraz potem eksplodowała.

Testy, którym został teraz poddany Wielki Zły Ptak, miały niewiele wspólnego z praktycznym zastosowaniem wojskowym, do jakiego był przewidziany. Przygotowano go do czegoś, co ludzie związani z projektem uznali za stosowne nazwać „próbą ekranową”.

Pułkownik Tim F. Brandon nie był specjalnie zachwycony tą postawą, jednak żył już na świecie wystarczająco długo, by rozumieć, że żołnierze biorący udział w akcji rzadko (jeżeli w ogóle) mają pojęcie, jak ważną rzeczą dla armii jako całości jest jej postrzeganie przez opinię publiczną. Rozumiał także, że nie ma żadnej szansy, żeby taką postawę żołnierzy kiedykolwiek zmienić. Musiał się po prostu z tym pogodzić i tymczasem jak najlepiej wykonywać swoją pracę.

A jego przekonanie, że jest w stanie robić dobrą robotę, było jak najbardziej słuszne.

Debiut Viper (bo tak pułkownik Brandon postanowił nazwać Wielkiego Złego Ptaka) odbył się wcześniej rano dnia 27 grudnia 1958. Wszystkie trzy sieci telewizyjne przysłały na miejsce ekipy z kamerami, a ekipa wojskowa kręciła film, żeby później przekazać go także innym zainteresowanym odbiorcom. Wzniesiono nawet specjalną platformę dla kamer. Dodatkowo przygotowane zostały trzy stanowiska osłonięte workami z piaskiem wzdłuż trasy czołgu; ustawiono na nich trzy zdalnie sterowane kamery.

Dzięki tym kamerom możliwe było filmowanie z najbliższej odległości momentu trafienia rakiet w cel.

Pułkownik Tim. F. Brandon, znów słusznie, uważał, że same tylko czołgi udowodnią, że on, pułkownik, doskonale zna się na swojej robocie.

Z różnych źródeł w ręce amerykańców wpadło jedenaście rosyjskich czołgów T34/85. Przebadane zostały bardzo uważnie przez ekspertów do spraw taktyki i techniki wojsk pancernych i służby uzbrojenia, a potem przekazane do Fort Riley w stanie Kansas (z wyjątkiem jednego czołgu, który pojechał do Muzeum Uzbrojenia w Aberdeen Proving Ground, i jeszcze jednego, który znalazł się w Muzeum George'a S. Pattona w Fort Knox w stanie Kentucky). Fort Riley miał oddział szkolony w taktyce sowieckich wojsk i on właśnie korzystał z czołgów. Możliwość korzystania z autentycznych T34/85 Armii Czerwonej

nadawała manewrom aurę autentyczności, której w żaden inny sposób nie można było osiągnąć.

Pewien telegram sprawił jednak, że w Fort Riley ktoś wpadł we wściekłość.

DOWÓDZTWO, DEPARTAMENT WOJSK LĄDOWYCH
WASZYNGTON, 17 GRU 58

TELEGRAM POTWIERDŹ. ROZMOWĘ D-CY PT RILEY Z Z-CA SZEFA SZT. DS. OPERAC. Z GODZ. 9.00 DN. 17 GRU 1958. D-CA NATYCHMIAST PODEJMIE KROKI W CELU PRZEKAZANIA TRZECH (5) SPRAWNYCH T34/85, OBECNIE NA WYPOSAŻENIU GRUPY MANEWROWEJ ARMII W PT RILEY, NA RZECZ AGENCJI ROZWOJU LOTNICTWA WOJSK LĄDOWYCH USA W PT RUCKER, ALABAMA. WAGA OPERACJI W PORT RUCKER WYMAGA, ŻEBY CZOŁGI ZNALAZŁY SIĘ W PORT RUCKER, W PEŁNI SPRAWNE, NIE PÓŹNIEJ NIŻ 0 GODZINIE 24.00 DNIA 20 GRU 59. W CELU ZREALIZOWANIA POWYŻSZEGO DOWÓDCA PT RILEY ZAPEWNI WŁAŚCIWY I NIEZBĘDNY PERSONEL, SPRZĘT ORAZ ŚRODKI TRANSPORTU. ZAST. SZ. SZT. D/S OPER. ŻYCY SOBIE, ŻEBY DO PORT RTICKER WYSŁANO TE CZOŁGI T34/85, KTÓRE SIĘ ZNAJDUJĄ W NAJLEPSZYM, POWTARZAM, NAJLEPSZYM STANIE.

Z ROZKAZU ZAST. SZ. SZT. D/S OPER.

WALTER HAGEMAN,

GENERAL BRYGADIER WOJSK LĄD.

Kiedy przybył konwój z Riley, załogi czołgów wykazały stosunek ambiwalentny wobec tego, co pułkownik Tim F. Brandon zamierzał zrobić z ich wozami. Z jednej strony czyścili je i osobiście dopieszczali przez dobrych kilka lat - co było trudną robotą, dającą jednak z uzasadnioną satysfakcją - i cholerną głupotą wydawało im się rozpieprzenie ich w drobny mak.

Z drugiej strony, ich T34/85 były cholernymi krowami, trudnymi w prowadzeniu i utrzymaniu. Jeśli zostaną zniszczone, armia da im na stan nowe M46 lub M48. Praca przy nich będzie już zdecydowanie łatwiejsza. Na przykład jeśli potrzebna była gąsienica do

Pattona, ściągano ją z firmy Chrysler, a nie trzeba było robić jej samodzielnie. Poza tym w Fort Rucker zanosilo się na naprawę ciekawe widowisko.

Więcej niż jeden sierżant z załóg czołgów, zorientowawszy się, co się wkrótce będzie działo, zmienił swoją opinię, która w największym skrócie wyrażała się przekonaniem, że program szkolenia kandydatów na chorążych to jedna wielka brednia.

Szczególne wrażenie wywarł na nich świeżo upieczony chorąży William B. Franklin. Opowiedział im, że jest absolwentem szkolenia kandydatów na chorążych i że dostał przydział do Agencji Rozwoju Lotnictwa, dlatego że wcześniej służył jako żołnierz kontraktowy w Algierii.

Pilotowanie czegoś takiego jak Ptak wydawało się o wiele przyjemniejszym zajęciem niż przeprowadzanie T34/85, lub chociażby M48, przez błoto. Porucznik Greer, pilot Wielkiego Złego Ptaka, kiedyś także był tylko podoficerem, bardzo szybko jednak przystąpił do szkolenia kandydatów na oficerów. A już zupełnie niedawno otrzymał awans na pierwszy stopień oficerski.

W głowach kołatała im jednak taka myśl, że jeśli Ptak zrobi to, czego się po nim spodziewano - czyli rozwali czołgi - Rosjanie prędzej czy później dowiedzą się, jak to robić, a oni sami, siedząc w Pattonach, staną się obiektem ataków radzieckich helikopterów, które zaczną rozwalać ich wozy trzyipółcalowymi rakietami.

A jeden z nich, facet, który walczył w Korei od początku wojny, zdziwił się, kiedy natrafił w Fort Rucker na swego dowódcę z tamtych czasów.

- Zobaczyłem na ramieniu człowieka przepaskę 73. Batalionu Czołgów Ciężkich i klepnąłem go w plecy. Nie wiedziałem, czy to jest oficer, ale okazało się, że tak i że to jest nawet pieprzony generał, dowódca Fort Rucker. Ale pamiętał mnie z Korei, więc się nie obraził. Nawet pamiętał moje nazwisko i powiedział mi, że jeśli chciałbym przystąpić do szkolenia kandydatów na chorążych, zrobi wszystko, co będzie mógł, żeby mi pomóc.

- Powiem wam, kogo jeszcze tu widziałem. Jestem pewien, że to był on. „Książę”. Tak na niego wołali. Uwierzycie, że kiedy został majorem, miał dwadzieścia cztery lata? Nie bujam. Był pieprzonym dwudziestoczterolatkiem. Dowodził Grupą Bojową Lowell, czyli czterdziestoma ośmioma czołgami i kilkunastoma ciężarówkami uzbrojonymi w półcalówki. To on przerwał okrążenie. Widząc tutaj takich ludzi, dochodzę do wniosku, że nie każdy w lotnictwie armii jest dupkiem, który nie potrafi się wyszczac na stojąco. Już mnie trochę nudzi jeżdżenie tym ruskim czołgiem i udawanie Rosjanina na manewrach. Bardzo poważnie myślę o spróbowaniu sił w lotnictwie. W końcu, co mam do stracenia?

Pułkownik Tim F. Brandon wierzył zarówno w to, że „trening czyni mistrza”, jak i w prawa Murphy'ego.

Pragnąc, żeby absolutnie nic nie zakłóciło zaplanowanego przebiegu wydarzeń przewidzianych na 27 grudnia 1958, nie tylko zarządził próbę generalną, ale również kilka prób generalnych próby generalnej.

Istniał tylko jeden Viper i pułkownik nie miał zamiaru narażać go na ryzyko awarii czy zniszczenia, jeżeli nie byłoby to absolutnie konieczne. Po wykonaniu zadania (czyli zniszczeniu poruszającego się T34/85 jedną lub kilkoma rakietami) helikopter powinien natychmiast wylądować na obszarze „A”, gdzie posłuży jako tło dla oświadczenia generała E. Z. Blacka na temat ostatnich osiągnięć wojska, mających zagwarantować zachowanie pokoju. Będzie tam także major MacMillan z Medalem Honorowym Kongresu na piersi. Za nimi, aby pokazać, że armia to głównie młodzi ludzie i że oferuje także czarnoskórym stanowiska odpowiadające wyłącznie ich umiejętnościom, będzie stał „kolorowy” chorąży i porucznik Greer. To Greer będzie oczywiście pilotował Viperą w czasie pokazu, jednak z przekazu będzie wynikało, że pilotem był żołnierz/bohater MacMillan. Greer wyglądał zbyt młodo, aby pokazywać go jako pilota odpowiadającego za przeprowadzenie poważnego testu. Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że armia nie ma dość rozumu, żeby osobą odpowiedzialną za coś tak poważnego jak Viper uczynić kogoś dojrzałego.

Helikopter przemalowano i teraz Viper miał zęby jadowe. Pułkownik Brandon skopiował ten pomysł z P40, na których latała Amerykańska Grupa Ochotnicza w Chinach w czasie drugiej wojny światowej. Pułkownik Brandon wiedział, co ludzie zajmujący się Wielkim Złym Ptakiem sądzą o jego nowej nazwie i zębach wymalowanych na kadłubie, i nawet nie próbował przekonać ich do swojego toku rozumowania. Swoją cenny czas poświęcał na sprawy o wiele ważniejsze.

W dniu demonstracji oczywiście nikogo nie będzie w poruszającym się, bona fide rosyjskim, czołgu. Raz uruchomiony wóz pojedzie sam, a jego system kierowania zostanie zablokowany. Wystarczy do tego jeden czołgista z Riley, który potem z niego wyskoczy i szybko odjedzie w oczekującym na niego jeepie. Będzie miał dziewięćdziesiąt sekund - mnóstwo czasu - żeby zwać z obszaru ćwiczebnego, zanim zostanie odpalona pierwsza rakietka.

W próbie generalnej próby generalnej, przeprowadzonej na Obszarze Ćwiczebnym „B”, wykorzystano seryjny nieuzbrojony H-19B z floty helikopterów Fort Rucker. Próba generalna próby generalnej zarządzona została po to, żeby dokładnie obliczyć czas, jaki będzie potrzebny na przeprowadzenie demonstracji. Dnia 26 grudnia nastąpić miała generalna

„próba kostiumowa”, identyczna jak rzeczywista demonstracja, ale wyłącznie z udziałem osób ją przeprowadzających. Wówczas miał już latać Viper i poruszać się T-34/85 z zablokowanym systemem kierowania. Viper powinien przelecieć na tyle blisko platformy z kamerami, aby wojskowy kamerzysta mógł dobrze ująć zęby jadowe i wyrzutnie rakiet, po czym powinien zniszczyć jeden z czołgów.

Postanowiono, że film z tego wydarzenia zostanie w nocy wywołany w Atlancie (przygotowano L-23 z załogą, żeby go przetransportować), a jego kopie będą gotowe dla sieci telewizyjnych następnego dnia, natychmiast po demonstracji - w razie czego, gdyby nastąpiły jakieś nieprzewidziane trudności podczas filmowania prawdziwego pokazu. Viper zostanie więc wykorzystany podczas prób tylko jeden raz. Pułkownik F. Brandon czuł, że jest to ryzyko, które musi podjąć.

Pułkownik Brandon wcale nie był zaskoczony, kiedy zobaczył, jak pomalowany na biało H-13H dowódcy Fort Rucker zbliża się do nadmuchanego hangaru. Szef informacji powiedział mu już rano przez telefon, że osobiście zadzwoni do generała Jiggsa, aby mu uświadomić, jak ważne jest, żeby 27 grudnia cała demonstracja przebiegła gładko i bez zakłóceń, i zarazem zapewnić sobie jego całkowitą współpracę.

Zobaczywszy, że generał znajduje się sam w swoim helikopterze, pułkownik Brandon pomyślał: latający generałowie! Taki widok byłby wart jakichś dziewięćdziesięciu sekund w wiadomościach o osiemnastej. Może uda się go nakręcić jeszcze w dniu demonstracji? Zapamiętał to, jednak uznał, że musi jeszcze to przemyśleć.

Pułkownik Brandon podszedł do H-13H. Kilku ludzi od Wielkiego Złego Ptaka chciało postąpić tak samo, jednak kiedy zobaczyli pułkownika, zatrzymali się.

Przed otwarciem pleksiglasowych drzwi kabiny generał Jiggs nałożył na głowę czapkę. Byłoby z tego dobre ujęcie, pomyślał pułkownik Brandon. Właśnie w tym momencie widz przed telewizorem zdałby sobie sprawę, że nie patrzy na zwykłego kapitana czy majora. Zobaczyłby na czapce dwie gwiazdki generalskie.

Pułkownik Brandon zasalutował.

- Dzień dobry, sir - powiedział. - Jestem pułkownik Brandon.

- Przed chwilą o panu rozmawiałem - odparł generał Jiggs.

- Naprawdę?

- Zatelefonował do mnie pański szef. Chciał wiedzieć, czy sprawia mi pan jakieś kłopoty. Odpowiedziałem mu, że o ile wiem, zachowuje się pan nienagannie i robi wszystko, żeby w niczym nie zakłócać normalnego toku funkcjonowania fortu.

Pułkownik Brandon nie wiedział, jak to odebrać. Milczał.

- Rozumiem, że jest tutaj major Lowell - powiedział generał Jiggs.

- Tak jest. Pracuje przy uzbrojeniu Viper.

- Czym uzbrojeniu?

- Mam wstępną zgodę na używanie słowa Viper jako półoficjalnej roboczej nazwy tego helikoptera, sir.

- Fascynujące. Czy Lowell jest w tym namiocie?

- Zaraz go zawołam.

- Sam go znajdę - postanowił generał Jiggs. Kiedy pułkownik Brandon zrobił mu przejście, dodał: - Chcę z nim rozmawiać w cztery oczy, pułkowniku.

Major Lowell i porucznik Greer oraz chorążowie Franklin i Cramer (pięćdziesięcioletni, siwowłosy, mocno opalony chorąży starej daty) pracowali przy mechanizmie wprowadzającym rakiety do wyrzutni.

Cramer pierwszy zobaczył zbliżającego się generała. Generał skinął mu głową i dał znak, żeby nie robił zamieszania stawianiem całej ekipy na baczność. Pozostali jeszcze przez chwilę nie przerwali więc pracy. Franklin wyglądał jednak na trochę zmieszanego, jakby zastanawiał się, czy to nie on, jako najmłodszy stopniem i wiekiem w tym gronie, powinien oznajmić pozostałym o przybyciu generała.

- W porządku, panowie - powiedział generał Jiggs z lekkim sarkazmem. - Spocznij, spocznij.

Żołnierze, pochyleni dotąd nad wyrzutnią raket, wyprostowali się.

- Cześć, Dutch - powiedział generał po chwili do Cramera. - Dawno cię nie widziałem.

- Miło znowu pana widzieć, sir.

- Gdybyś przechodził niedaleko mojego biura, Dutch kontynuował generał - weź pod uwagę, że moi adiutanci mają rozkaz rzucać kamieniami tylko w niektórych ludzi. Ciebie nie ma na liście. - Popatrzył z kolei na Franklina i wyciągnął do niego rękę. - A pan to ten facet, który natychmiast po ukończeniu szkolenia kandydatów na chorążych okazał się doświadczonym ekspertem, tak?

Franklin się zmieszał.

- Jak pan myśli, panie Franklin, czy to zadziała? - zapytał generał.

- Tak jest. Francuzi mieli problem z celowaniem. Jeśli nie ma się szczęścia, trzeba odpalić dwie, trzy rakiety, zanim cel zostanie trafiony...

- A w ile raket jest uzbrojony helikopter?

- Dwadzieścia siedem po każdej stronie. Przy odrobinie szczęścia z każdej strony można zniszczyć pięć celów.

Generał Jiggs ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Gdzie jest MacMillan? - zapytał. - Znany także jako „gadająca głowa”.

- Myślałem, że pan wie, panie generale - odparł Lowell. Generał zaprzeczył. - Razem z Philem Parkerem wzięli mój samolot i polecili po Felterów. Kapitan Parker wyartykułował prośbę tak, że myślałem, iż chodzi mu o kilka godzin wolnego. W mojej niewinności wyobraziłem sobie, że chce sobie ćwiczyć starty i lądowania na Laird. Powinni wrócić za kilka godzin, sir.

- Masz chwilę, Lowell?

- Oczywiście.

Generał ujął Lowella pod rękę i poprowadził go pod ścianę hangaru, gdzie mogli swobodnie porozmawiać.

- Nie mam złych i dobrych wiadomości - powiedział. Wszystkie są złe. Chciałem się za tobą wstawić u Blacka. Zdołałem jedynie wypowiedzieć twoje nazwisko.

- Nie spodziewałem się niczego więcej, sir. Cóż, bardzo dziękuję.

- Żona senatora! Do diabła, o czym ty myślałeś?

Lowell roześmiał się.

- To chyba jednak nie jest zabawne. Do cholery, to wcale nie jest zabawne!

- Chodzi nie tylko o żonę senatora. I nie sądzę, żeby nawet generał Black mógł mnie wypłatać z kłopotów, nawet gdyby nie wiadomo jak bardzo chciał. Nie ma takiej władzy.

- W armii nie ma wielu majorów - zauważył Jiggs - którzy potrafiliby osobiście wkurzyć szefa sztabu.

- Czy możemy o tym nie rozmawiać do Nowego Roku? - zapytał Lowell. - Czy wszyscy muszą się o tym dowiedzieć już teraz?

- Nie wiem. Bellmon na pewno będzie milczał.

- Bellmon jest w porządku. Będzie dobrym generałem.

- A ty? Kim będziesz? Co zamierzasz?

- Myślę, że na jakiś czas wyjadę do Niemiec. Na kilka miesięcy, może na rok. Dam sobie szansę, żeby spędzić trochę czasu z synem.

- Przykro mi, Craig - powiedział generał Jiggs. - Naprawdę.

- Doceniam to. - Nie chcę, żebyś źle myślał o Fort Rucker. Rozumiesz, co mówię?

Lowell uśmiechnął się do generała.

- W Nowym Roku niech się dzieje, co chce - powiedział. - Ale do tego czasu nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, szczególnie kobiety. Mój ostatni bal musi być udany.

- Zrobię, co w mojej mocy. Ale to chyba jedynie pobożne życzenie. To mężczyźni roznoszą plotki, a nie kobiety.

Lowell pokiwał głową i wzruszył ramionami.

- Spotkamy się jeszcze - powiedział Jiggs.

- Z pewnością.

Generał Jiggs skinął mu głową. Następnie odwrócił się, wyszedł z hangaru i szybkim krokiem skierował się do swojego H-13H.

Lowell wrócił do pracy przy wyrzutni rakiet.

- Próbowałem się wstawić za tobą u Blacka, ale w jakiej sprawie? - zapytał Greer.

Lowell popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Te półkoliste sufity mają to do siebie - poinformował go Greer - że jak ktoś mówi coś do kogoś z jednej strony, ktoś po drugiej stronie może wszystko słyszeć.

- Jeśli nawet zdaje ci się, że coś usłyszałeś, mimo wszystko trzymaj gębę na kłódkę.

- Usłyszałem, że pierwszego stycznia wyrzucacie z armii.

- Skąd to wiesz?

- Moja żona dowiedziała się tego od swojej matki.

- Nie znam ani twojej żony, ani twojej teściowej.

- Nie znasz także żadnego z poruczników i chorążych z Aneksu 1 - powiedział Franklin, dołączając do rozmowy. - A oni jednak wiedzą wszystko o majorze, który pracował w Waszyngtonie i tam sobie strasznie nagrabił.

- Cholera, naprawdę? - zapytał Lowell.

- Obawiam się, że tak - odparł Franklin.

- Cóż, panowie, wierzę, że wy nikomu nic nie powiecie. To już jest postanowione. Sam szef sztabu zarządził, żebym zniknął z wojska. Ale nie chcę, żeby ten mój problem komukolwiek popsuł świąteczny wypoczynek.

- Wie o tym MacMillan - zauważył porucznik Ed Greer. Wie, dlaczego poprosiłeś go, żeby poleciał po Feltera. Założę się, że zanim doleczą do Waszyngtonu, Parker także się wszystkiego dowie.

- Pozostaje mi nadzieja, że nie będą o tym gadali z nikim innym.

- No pewnie - mruknął Greer.

Waszyngton, Narodowy Port Lotniczy

Dystrykt Columbia

22 grudnia 1958

Kiedy MacMillan wygramolił się z Aero Commandera na stanowisku Butler Aviation w Narodowym Porcie Lotniczym w Waszyngtonie, Sanford Felter odciągnął go na bok i opowiedział mu historię, którą cokolwiek zgryźliwie nazwał „ostatnim rozdziałem sagi seksualnej Lowella”.

- Poszedłem do Blacka - powiedział Felter.

- No i?

- Oznajmił mi, że tym razem muszę pamiętać, że jestem jedynie majorem wojsk lądowych.

- Cholera jasna.

- Cóż, na razie musimy udawać, że nikt o niczym nie wie - mówił Felter. - Chociaż tyle możemy dla niego jeszcze zrobić.

- Tępy sukinsyn - westchnął MacMillan. - Odkąd go znam, jego kutas bezustannie sprowadza na niego kłopoty. A znam go już cholernie długo.

Podeszła do nich Sharon.

- Rozumiem, że Sandy ci powiedział? - zapytała.

- Wiedziałem już - odparł MacMillan.

- A więc, Roxy wie także - stwierdziła Sharon.

- Roxy jest wściekła na Craiga - powiedział MacMillan. - A Barbara z kolei jest wściekła na Bellmona za to, że za słabo się starał, żeby wykręcić Craiga sianem.

- Bellmon nie mógł dla niego nic zrobić - odezwał się Felter. - Nikt nie mógł nic zrobić. Szef sztabu pragnie skalpu Craiga, a Black najwyraźniej postanowił, że poda mu ten skalp na tacy.

- Zatem najlepsze, co możemy teraz zrobić, to udawać przed Craigiem, że o niczym nie wiemy - powiedziała Sharon.

- Tak. - MacMillan pokiwał głową.

- Nienawidzę tych cholernych bab! - zawołała Sharon i zaraz się zaczerwieniła.

MacMillan pochylił się i pocałował ją w policzek.

XVII

1

Lotnisko zapasowe numer 3
Lotnisko Wojskowe Hanchey
Fort Rucker, Alabama
26 grudnia 1958

Musieli wytaczać z hangaru Wielkiego Złego Ptaka (znanego także jako Viper) dwukrotnie. Kiedy wytoczyli go po raz pierwszy, pułkownikowi Timowi F. Brandonowi przyszło do głowy, że na taśmie filmowej lepiej będzie wyglądać, jeśli będą go wytaczać wyłącznie podoficerowie niż mieszanka, którą nagrał: jednego sierżanta, trzech chorążych i dwóch oficerów.

Wytoczony więc został po raz drugi, a pułkownik Brandon reżyserował już kolejne ujęcie: major MacMillan i porucznik Greer najpierw oglądają mapę, a potem obchodzą helikopter dookoła, ostatni raz sprawdzając wyrzutnie rakiet.

- Nagrał pan już dosyć tych pieprzonych obrazków, pułkowniku? - nie wytrzymał w końcu MacMillan. - Możemy już teraz startować tym cholerstwem?

Jego ton świadczył o całkowitym braku szacunku i niesubordynacji, ale pułkownik Brandon przełknął tę zniewagę.

- Dajcie mi tylko pięć minut, żebym mógł sprawdzić, czy na placu ćwiczebnym wszystko jest w porządku - powiedział, wskoczył do jeepa i odjechał.

- Obszczymurek - mruknął MacMillan, patrząc, jak jeep się oddala.

Chorąży Dutch Cramer sprawdził podajniki i wyrzutnie po raz ostatni, po czym skinął głową na znak, że wszystko jest w porządku.

Porucznik Greer wszedł do kabiny pilotów i przypiął się pasami do fotela.

- No to ruszamy w siną dal - mruknął, po czym sięgnął ku włącznikowi silnika.

Jego oczy spoczęły na majorze Lowellu i ich spojrzenia na moment się spotkały. Lowell mrugnął. Greer zasalutował mu drwiąco lecz przyjaźnie, po czym skupił wzrok na tablicy kontrolnej. Silnik helikoptera zaczął pracować.

Mówił sobie, że najgorsze już minęło. Wszyscy przetrwali Boże Narodzenie, nawet słowem nie wspominając o tym, co ma się stać z Lowellem pierwszego stycznia. Kobiety zdecydowały, że Wigilię i poranek Bożego Narodzenia wszyscy spędzą w rodzinach (co oznaczało, że Lowell pozostanie z Parkerami), po czym spotkają się na wspólnym obiedzie. Początkowo Barbara Bellmon nalegała, żeby obiad odbył się u niej, jednak uległa doktor Parker, która przekonywała, że jej mieszkanie służbowe w szpitalu (jej, jako lekarza na kontrakcie z przywilejami pułkownika, a nie kapitana Parkera) jest o wiele większe i wygodniejsze na takie spotkanie.

Antoinette Parker podała wielkiego indyka, doskonale żeberka wołowe, szynkę i mnóstwo alkoholu. Greer mógł jednak wypić tylko kieliszek szampana, chociaż wszyscy już do obiadu wypili po lampce wina. Przecież tego dnia miał latać Wielkim Złym Ptakiem.

Wszyscy inni dobrze sobie popili. U Parkerów pojawił się nawet - niezaproszony - generał Jiggs z żoną.

- Czy może do państwa dołączyć stary kawalerzysta? zapytał, wszedłszy do środka. - Czy jednak umiejętność czytania i pisania mnie dyskwalifikuje?

Nikt nie wspomniał, co ma się stać z Lowellem, jednak Jiggs był tego bliski, kiedy wręczał mu prezent zawinięty w świąteczne opakowanie.

- Co to jest, do diabła? - zapytał zakłopotany Lowell. Wcześniej ustalono, że żadnych prezentów nie będzie.

- Logicznie można założyć, że to twój prezent na Boże Narodzenie - odparł generał Jiggs. - Otwórz.

W srebrną folię, na której wydrukowano Bożonarodzeniowe sceny z Anglii, zawinięty był proporzyczek batalionowy z numerem jednostki. Takie proporzycyki używane były na polach bitew, zanim weszły do użytku radio i radiotelefony. Dzięki nim żołnierze wiedzieli, w którym kierunku się poruszać. Obecnie nowoczesna armia używała ich tylko w jednym wypadku. Powiewały one na antenach radiowych czołgów, wskazując dowódcom oddziałów ich położenie.

Proporzycyk, który generał Jiggs wręczył majorowi Lowellowi, był postrzępiony i poplamiony. Nosił oznaczenia 73. Wzmocnionego Batalionu Czołgów Ciężkich. Ktoś niezgrabnie napisał na nim: LOWELL

- Pomyślałem, że powinienes to mieć - powiedział generał Jiggs.

Major Craig W. Lowell sprawiał wrażenie, jakby się miał zaraz rozplakać.

- Paul - powiedziała szybko pani Jiggs. - Opowiedz wszystkim, co on odpowiedział pułkownikowi z X Korpusu. To cudowna historia.

- Rzeczywiście - przytaknął generał. - Usłyszałem o tym od jednego z sierżantów. Otóż Lowell z czterdziestoma czołgami ruszył wzdłuż Półwyspu Koreańskiego, żeby się połączyć z X Korpusem, który jedenaście dni wcześniej wylądował w Inchon. Znany ze skromności i powściągliwości trochę zmodyfikował proporczyk zawieszony na antenie swojego czołgu. Właśnie ten. Zapewne chodziło mu o to, że skoro ma się znaleźć w podręcznikach historii, musi dopilnować, żeby każdy potrafił poprawnie zapisać jego nazwisko, prawda? No i cóż, jechał trochę szybciej i zajechał trochę dalej, niż miał to wyznaczone w rozkazie operacyjnym. Z trudem znalazłem go z powietrza, latając starym zwiadowczym L-4. Znajdował się sto mil dalej, niż powinien; pozycję tę miał osiągnąć dopiero za trzydzieści sześć godzin, rozumiecie? X Korpus kręcił się więc w miejscu, na południe od Suwon, kiedy zupełnie niespodziewanie, ni z gruszki, ni z pietruszki, wypadło zza zakrętu z pół tuzina gnających na złamanie karku ciężarówek z wystawionymi na wszystkie strony Browningami obu kalibrów, a za nimi pojawił się pierwszy czołg. Załogi pojazdów strzelały po drodze do wszystkiego, co się ruszało, albo wyglądało tak, jakby mogło się ruszyć, a więc także do żołnierzy z X Korpusu. Ci pomachali więc kilkoma flagami i Grupa Bojowa Lowell przerwała ogień. Lowell przejechał pomiędzy swoimi pojazdami i znalazł się wśród żołnierzy X Korpusu. W tym momencie od dwóch godzin był majorem. Pułkownik z X Korpusu sprawdził jego rozkaz operacyjny i oznajmił: „Nie powinno pana tutaj być, majorze, i to jeszcze przez trzydzieści sześć godzin”. I wiecie, jak zareagował nasz Książę? Zapytał: „To mam wracać, sir?”

Wszyscy znali już tę historię, jednak roześmiali się, dzięki czemu napięcie trochę opadło. Wtedy pani Jiggs wręczyła Lowellowi jakby tubę zawiniętą w świąteczny papier. Lowell otworzył pakunek, popatrzył, co jest w środku, i zaczął zawijać go z powrotem.

- Pokaż to wszystkim, Książę - poprosiła pani Jiggs. Przecież niektórzy tego jeszcze nie widzieli.

- Do diabła - mruknął Lowell.

Podał jednak swój prezent Melody. Greer popatrzył na podarunek ponad jej ramieniem. Była to fotografia z pierwszej strony „Chicago Tribune”, zalana plastikiem. Bez wątplenia było to dzieło jakiegoś laboratorium fotograficznego, i to zupełnie niedawno wykonane.

RAPORT Z KOREI: Żołnierze

Autor: John E. Moran

korespondent wojenny United Press

SEUL, KOREA POŁUDNIOWA (UP), 26 września.

Świat dowiedział się właśnie, że 8. Armia generała porucznika Waltona Walkera, dotąd operująca na obrzeżach Pusan, po efektownej inwazji z morza na Inchon połączyła się z X Korpusem generała porucznika Neda Almonda.

Jednak to nie bezimienna armia dokonała połączenia niedaleko koreańskiego miasta o nazwie Osan położonego pięćdziesiąt kilka mil na południe od Seulu. Dokonali tego żołnierze z krwi i kości, którym towarzyszył wasz korespondent.

Przebywałem wśród żołnierzy 31. Pułku Piechoty poruszającego się w kierunku południowym. Zmierzaliśmy od Seulu dwupasmową drogą asfaltową, kiedy po raz pierwszy usłyszeliśmy charakterystyczne, znajome odgłosy dziewięćdziesięciomilimetrowych dział czołgowych. Byliśmy zaskoczeni, ponieważ, według naszych informacji, w promieniu pięćdziesięciu mil na południe od naszych pozycji nie powinno być żadnych amerykańskich żołnierzy.

Dowódca naszego pułku sądził, że słyszymy strzały z działa amerykańskiego czołgu zdobytego przez wroga. W początkowym okresie tej wojny wróg odebrał nam mnóstwo sprzętu. Dowódca uznał więc za rozsądne przyjęcie pozycji obronnych, co też uczyniliśmy.

I wtedy na drodze, jakieś tysiąc jardów przed nami, ukazały się dziwnie wyglądające pojazdy. Były to ciężarówki o skrzyniach osłoniętych workami z piaskiem. Nasi ludzie otrzymali rozkaz, żeby nie strzelać bez wyraźnego rozkazu. Byli dobrymi, doświadczonymi żołnierzami, zatem nie rozpoczęli ognia.

Dziwne pojazdy wytoczyły się na drogę, zajmując spory jej odcinek, i nagle z przerażeniem zdaliśmy sobie sprawę, że do nas strzelają. Prowadziły ogień praktycznie do wszystkich i do wszystkiego, co się ruszało.

„To Amerykanie”, powiedział nasz pułkownik i rozkazał, żeby na pierwszej linii zaczęto powiewać flagą amerykańską.

Teraz zobaczyliśmy za ciężarówkami czołgi, Pattony M46. To powinno było nas uspokoić, jednak na naszej prawej flance jakiś podekscytowany żołnierz odpalił w kierunku ciężarówek i czołgów rakiety. Chybił. Kilka chwil później rozległ się huk działa czołgowego

kaliber 90 milimetrów. Celowniczy czołgu był znacznie lepszy od piechura, który odpalił raketę. Po chwili przed pozycje czołgów wyszedł człowiek z amerykańską flagą nad głową, energicznie machając nią na wszystkie strony. A nasz radiooperator jak szalony powtarzał do mikrofonu rozkaz: „Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień!”

Wszyscy go usłyszeli, bo nikt więcej nie strzelił - ani z naszych pozycji, ani ze zbliżającej się kolumny.

Pierwszymi pojazdami, które przekroczyły nasze linie, były ciężarówki o ładowności trzech czwartych tony. Były na nich zamontowane po dwa ciężkie karabiny maszynowe kaliber .50: jeden znajdował się w standardowym miejscu, nad kabiną kierowcy, a drugi na zaimprovizowanym stanowisku na skrzyni ładunkowej. Następnie zbliżyły się trzy czołgi M46. Na antenie pierwszego powiewał proporczyk, na którym napisano „Grupa Bojowa Lowell”. Na wieży czołgu wypisano imię „Ilse”. Dowódca zakręcił czołgiem w prawo i zatrzymał go w miejscu. Pozostał w wieży, dopóki przez nasze linie nie przejechała reszta kolumny.

A była to całkiem spora kolumna. Znajdowało się w niej jeszcze więcej M46 i kilka lekkich czołgów M24, cysterny z paliwem, samobieżne haubice kaliber 105 mm i normalne wojskowe ciężarówki. Mogliśmy odgadnąć, że mężczyzna w wieży jest oficerem, ponieważ mijając go, niektórzy dowódcy czołgów i kierowcy ciężarówek salutowali. Większość jednak tego nie czyniła. Większość unosiła jedynie kciuk, a wielu z nich uśmiechało się i wołało:

„Brawo, Książę!”

Kiedy po kolei mijały nas ciężarówki, zorientowaliśmy się, że „Książę” transportuje swoich rannych, a nawet zabitych. Kiedy mijały go ciężarówki z ofiarami, wtedy to „Książę” salutował.

Po przejechaniu ostatniej ciężarówki brudny młody człowiek wygramolił się z wieży, wyjął z czołgu Garanda i w końcu zeskoczył na ziemię.

Miał dwudniowy zarost i śmierział dziewięciodniową podróżą po zakurzonych drogach. Wyszukał wzrokiem naszego pułkownika i podszedł do niego. Dopiero kiedy znalazł się bardzo blisko, zobaczyliśmy na kołnierzu jego polowej kurtki mundurowej złote liście majora.

Zasalutował jakby od niechcienia, zupełnie inaczej niż wtedy, gdy go mijały ciężarówki z rannymi i martwymi żołnierzami.

„Major Lowell, sir”, przedstawił się. „Z częścią 73. Batalionu Pułku Czołgów Ciężkich”.

O Lowellu i jego Grupie Bojowej słyszeliśmy już wcześniej.

Wślawni się tym, że przebili się przez linie wroga i przez dziewięć dni siali zamęt na tyłach armii północnokoreańskiej. Myślę, że się spodziewaliśmy, iż nazwisko to nosi ktoś starszy, ktoś z siwymi włosami, zmęczony trudami wojny. Tymczasem przed nami stanął młody człowiek, fakt, niesłychanie brudny.

W tym momencie nasz pułkownik otrzymał informację, że młody żołnierz, który zignorował jego rozkaz niestrzelania, oraz dwaj inni, którzy znajdowali się w pobliżu, zginęli w chwili, kiedy ogniem odpowiedziała załoga jednego z czołgów Lowella. Śmierć każdego żołnierza jest ciosem dla oficera, dla naszego pułkownika ciosem były więc także te trzy ofiary.

„Gdyby znajdował się pan na pozycjach, na których powinien się obecnie znajdować, majorze, ten incydent nie miałby miejsca”, powiedział.

Młody major „Książę” Lowell przez chwilę patrzył na pułkownika, po czym powiedział:

„Chciałby pan, pułkowniku, żebyśmy zawrócili?”

Wkrótce potem nadeszła do majora „Księcia” Lowella wiadomość radiowa. Musiał zostawić swoją grupę specjalną w Osan. Otrzymał rozkaz wyjazdu do Tokio, gdzie generał Douglas MacArthur osobiście przypiął mu do piersi Distinguished Service Cross.

Greer zastanawiał się, co Lowell zrobi ze swoim proporczykiem. Pewnie odłoży go gdzieś w kącie i nigdy na niego nie spojrzy - mimo że sprawiał wrażenie wstrząśniętego, kiedy Jiggs mu go wręczał.

Kości zostały rzucone. Greer włączył mikrofon w swoim hełmofonie.

- Ptak gotowy do startu - powiedział.

Po chwili wznosił maszynę w powietrze. Opuścił nos helikoptera, żeby nabrać prędkości, po czym przeleciał nad koronami najbliższych sosn.

- Viper - usłyszał w słuchawce głos Brandona. - Tu Baza. Jak mnie słyszysz?

- Głośno i wyraźnie.

- W porządku, Viper. Obserwuję cię.

Pod wpływem napadu złośliwości Greer opuścił maszynę poniżej linii drzew, tak że dupek od propagandy nie mógł go teraz widzieć. Nagle, kiedy już był pewien, że Brandon z niepokojem go szuka, pociągnął drążek i wyskoczył pięćset stóp w górę.

- Viper - znowu odezwał się Brandon. - Chcę, żebyś przeleciał na małej wysokości i z niewielką prędkością przed platformą z kamerami.

Greer wykonał polecenie.

- W porządku, Viper, bardzo ładnie, dziękuję. A teraz najważniejsze. Zajmij pozycję.

Greer odleciał jakieś pół mili do tyłu. Na dole widział gotowy do akcji T34/85.

- Uruchomić T34 - rozkazał Brandon.

- T34 uruchomiony - padła natychmiastowa odpowiedź.

- T34, naprzód.

Początkowo Greer nie odnotował żadnego ruchu czołgu, zobaczył jednak, jak z włązu kierowcy wyskakuje żołnierz.

Przeskoczył nad lewą gąsienicą i potoczył się dalej. Wtedy dopiero Greer zobaczył, że czołg rusza do przodu. Zobaczył też, że żołnierz biegnie do jeepa, który ma go wywieźć poza obszar ćwiczenia.

- Viper - rozkazał pułkownik Brandon. - Utrzymuj pozycję.

Greer precyzyjnie wykonał rozkaz. Zawisł nieruchomo na wysokości pięciuset stóp nad ziemią. Był to dla pilota helikoptera najtrudniejszy manewr.

- Viper, uwaga...

Greer nie raczył odpowiedzieć Brandonowi.

Trzydzieści sekund później pułkownik Brandon wydał rozkaz:

- Dobra, Viper, wykończ go!

- No to jazda! - mruknął Greer do siebie.

Opuścił nos helikoptera, zwiększył prędkość i poczuł, jak lekkie przyspieszenie wciska go w fotel.

Kiedy znajdował się w odległości trzystu jardów od czołgu, nacisnął spust pierwszej wyrzutni rakiet po prawej stronie.

Pięćdziesiąt cztery rakiety wyprodukowano w Red River Arsenal w stanie Teksas. Dla wygody producenta lotki stabilizujące z tyłu rakiety wykonywano na ostatnim etapie procesu produkcji. Uznano, że będzie i łatwiej, i bezpieczniej zachować ten krok na koniec. A chodziło tu jedynie o umieszczenie trzech kawałków aluminium o kształcie klina - jak piór przy strzale do łuku - w otworach przygotowanych już w tylnej części obłej obudowy rakiety.

Każda lotka stabilizująca mocowana była do rakiety trzema nitami. Lotki, otwory i nity wykonano z aluminium, które nie iskrzy. Automatyczną maszynę nitującą napędzało sprężone powietrze. W trakcie procesu produkcji nie było więc także możliwości, aby pojawiła się iskra.

Robotnik, który instalował lotki stabilizujące, miał wyraźne zalecenie, aby uważnie obejrzeć każdy nit na każdej lotce. Automatyczna maszyna nitująca była wspianym

urządzeniem i zawodziła niezwykle rzadko. Nitownicy więc bez problemów wprowadzali nity na właściwe miejsca. Ale też, szczególnie pod koniec długiego dnia pracy, operatorzy maszyny niezbyt uważnie sprawdzali efekty jej pracy, mimo że mieli taki obowiązek.

Czwarta trzyipółcalowa rakieta na prawej burcie miała w jednej z lotek tylko jeden nit, ten umiejscowiony najbardziej z tyłu. W niemal perfekcyjnej maszynie nitującej na sam koniec dnia po prostu zabrakło nitów.

Jeden nit zupełnie wystarczał, żeby utrzymywać lotkę stabilizującą podczas transportu i ładowania rakiety do podajnika wyrzutni, kiedy chorąży Cramer uzbrajał helikopter.

Odrzut, jaki powstał, kiedy Greer odpalił pierwsze trzy rakiet, wystarczył jednak, żeby poluźnić lotkę stabilizującą. Ale jeden nit spowodował, że nie odpadła. Tyle że zmieniła położenie i praktycznie uniemożliwiła wystrzelenie rakiety. Poddając się prawom aerodynamiki, czwarta rakieta Eda Greera, zamiast wylecieć horyzontalnie w kierunku celu, uniosła nos niemal do pionu.

Zakładano, że w takim wypadku rakieta bez problemu przeleci pomiędzy łopatom wirnika, których było trzy, a każda miała szerokość zaledwie szesnastu cali. Ale złośliwość przedmiotów martwych sprzysięgła się przeciwko Edowi Greerowi i Ptakowi.

Jedna z łopat trafiła 0,75 sekundy później w zapalnik uderzeniowy rakiety, który zdetonował ładunek wybuchowy. Siła wybuchu zniszczyła trzy czwarte łopaty i pół sekundy później roztrzaskała przednią szybę helikoptera.

Maszyna natychmiast straciła właściwości lotne i jednocześnie, ponieważ silnik nadal obracał dwoma ocalałymi łopatom wirnika i kikutem trzeciej, została poddana nieskoordynowanym przeciążeniom.

Ptak uderzył w ziemię przednią częścią. Prędkość spadania, która wynosiła 105 mil na godzinę, wystarczyła, żeby w momencie upadku zdetonować rakietę pozostające w jego podajnikach. Było ich czterdzieści osiem lub czterdzieści dziewięć - nigdy tego dokładnie nie określono, bo z maszyny oraz z porucznika Edwarda C. Greera pozostało bardzo niewiele.

Kwatera numer 1

Fort Rucker, Alabama

26 grudnia 1958

Sierżant Wesley w podłym nastroju zapukał do drzwi pokoju gościnnego (właściwie dwóch pokoiów i łazienki) kwatery numer 1.

- Wejść - powiedział generał E. Z. Black.

- Jest tutaj ten pułkownik od propagandy.

- Dawaj tu sukinsyna, Wes.

Generał pochylał się nad łóżkiem, przymocowując do munduru baretki odznaczeń.

- Zeke! - zawołała pani Black. - To niczego nie zmieni.

Stała przed lustrem i przymierzała kapelusz.

Sierżant Wesley wyszedł do holu.

- Generał pana przyjmie, sir - powiedział.

Przytrzymał przed nim otwarte drzwi, po czym wszedł do pokoju generała zaraz za nim.

Kiedy generał Black się wyprostował, sierżant Wesley zajął się z kolei baretkami na generalskim mundurze.

- Posyłałem po pana godzinę temu - zaczął generał Black. - Nie jestem przyzwyczajony do czekania.

- Przez cały czas rozmawiałem z Waszyngtonem - odparł pułkownik Brandon.

- Zapewne z szefem sztabu?

- Nie, sir. Z szefem informacji. Staraliśmy się cokolwiek uratować z tego incydentu.

- Następnym razem, kiedy będę pana wzywał, rzuci pan wszystko i przyjdzie. Chyba że będzie pan rozmawiał z szefem sztabu.

- Tak jest, sir.

- Dla pańskiej ogólnej informacji, pułkowniku - kontynuował Black - to ja rozmawiałem z szefem sztabu. Dwie kwestie z tej rozmowy dotyczą pana.

- Sir.

- Po pierwsze, szef sztabu obarczył mnie obowiązkiem zapanowania nad sytuacją. Po drugie, szef sztabu postanowił bezzwłocznie nagrodzić pośmiertnie porucznika Greera Distinguished Flying Cross.

- To bardzo miłe, sir. Doskonale pasuje do tego, do czego doszliśmy z szefem informacji.

Generał zrobił minę, jakby chciał coś na to odpowiedzieć, jednak tok rozumowania zakłócił mu sierżant Wesley, który uniósł jego kurtkę mundurową. Była gotowa do ubrania. Generał wsunął ręce w rękawy.

- Pani Black, sierżant Wesley i ja zamierzamy właśnie złożyć wizytę pani Greer - powiedział generał Black. - Może pan pojechać z nami. Po drodze opowie mi pan, do jakich wniosków doszliście z szefem informacji.

Na podjeździe, dwoma kołami na trawie, stały cztery chevrolety, a przed nim samochód patrolowy żandarmerii wojskowej. Ująwszy żonę pod rękę, generał Black poprowadził ją prosto do samochodu stojącego zaraz za wozem żandarmerii.

- Ja prowadzę - powiedział Wesley do sierżanta, który otworzył drzwiczki.

Zajął miejsce kierowcy, a generał i pani Black usiedli na tylnym siedzeniu. Pułkownik Brandon zajął miejsce obok Wesleya.

Trzech spośród czterech adiutantów wsiadło do następnego auta, a w ostatnim znaleźli się czterej przysadziści mężczyźni w cywilnych ubraniach. Kierowca samochodu żandarmerii pierwszy włączył silnik.

- Co to za faceci po cywilnemu? - zapytał generał Black.

- Kontrwywiad, sir - odparł pułkownik Brandon. - Na wszelki wypadek.

- Nigdy więcej tego nie rób, Brandon - powiedział Black. - Czy mamy tu radio, Wes? Sierżant Wesley powiedział kilka słów do mikrofonu, po czym odezwał się do Blacka.

- Kontrwywiadu już nie ma, sir.

- Składam właśnie osobistą wizytę wdowie po moim przyjacielu, pułkownikowi Brandon - znowu odezwał się Black. - Dociera to do pana?

- Tam pewnie będzie prasa, sir.

- Pieprzyć tę zasraną prasę! - warknął Black.

- Zeke, na miłość boską, panuj nad sobą - odezwała się pani Black.

Generał głośno wypuścił powietrze.

- Niech w końcu zrozumie, co panu chodzi po głowie, pułkowniku - powiedział. - Panu i temu pańskiemu szefowi informacji. O czym rozmawialiście?

- Tak jest.

Pułkownik Brandon zaczął mówić spokojnie i przekonująco, mocnym, zdecydowanym głosem. Trwało to piętnaście minut, czyli przez całą drogę do Ozark i następnie do rezydencji burmistrza Howarda F. Duttona.

Tok rozumowania pułkownika przebiegał następująco:

(1) W mieście są przedstawiciele sieci telewizyjnych i z pewnością wieść o wypadku rozniesie się po całym kraju. Armia ma tylko jedno wyjście: dążyć do tego, żeby w zaistniałych okolicznościach relacje dziennikarzy były dla niej jak najmniej kłopotliwe.

(2) Siły powietrzne już zaczęły „strzelać” do lotnictwa wojskowego, a podstawą ich argumentacji jest twierdzenie, że „tragedia” by się nie wydarzyła, gdyby (a) armia poprosiła siły powietrzne o wykonanie ekspertyz rakiet powietrze-ziemia, a co za tym idzie, gdyby (b) armia dotrzymała postanowień porozumienia zawartego w 1948 roku w Key West i nie uzbrajała swoich helikopterów.

(3) Ogólnokrajowe sieci telewizyjne zażądać materiałów filmowych. Zdaniem pułkownika Brandona nie ma innego wyjścia, jak przekazać im materiały, które nakręciły ekipy wojskowe podczas próby generalnej.

Na pytanie generała Blacka „jak drastyczne są to zdjęcia?”, pułkownik Brandon odparł, że „w sumie to nie tyle drastyczne, ile zapierające dech w piersiach.

Ale sama eksplozja jest raczej „widowiskowa” niż „drastyczna”.

(4) Ponieważ załogi sieci telewizyjnych są na miejscu, będą zapewne chciały kręcić dodatkowy materiał. Pułkownik Brandon zasugerował, że „dobrze nagłośniony” przez media zostałby uroczysty pogrzeb wojskowy, nawet z przelotem samolotów nad grobem w momencie składania w nim tragicznie zmarłego żołnierza. Krzyż, przyznany mu pośmiertnie, „dobrze się wkomponuje w uroczystość”, szczególnie jeśli pani Greer otrzyma go z rąk samego generała Blacka.

(5) Armia tak naprawdę nie jest w stanie nic poradzić wobec faktu, że została złapana na gorącym uczynku, to jest na naruszeniu porozumienia z Key West z 1948 roku. Może jedynie z jakimś entuzjazmem upierać się, że uzbrajanie helikopterów ma przed sobą przyszłość.

Krótkie oświadczenie generała Blacka (pułkownik Brandon wręczył mu memoriał zatytułowany „Proponowane stanowisko w sprawie Vipera”) mogłoby armii bardzo pomóc. W największym skrócie, powinien powiedzieć, że pomysł uzbrajania helikopterów w rakiety jest dobry i zapewne - we wspólnej realizacji przez lotnictwo i wojska lądowe - uzbrojone helikoptery staną się ważną bronią w arsenale gwarantującym pokój na świecie. Do tej pory, wyjaśniał pułkownik Brandon, armia jedynie sprawdzała, czy pomysł ten jest wykonalny.

Teraz, przekonana, że odpowiedź brzmi twierdząco, armia - oczywiście, zgodnie z duchem porozumienia z Key West z 1948 roku - przekaże odpowiedzialność za wszelkie sprawy techniczne związane z projektem siłom powietrznym.

Podczas wypowiedzi pułkownika Brandona generał Black kilkakrotnie odchrząknął. W żaden inny sposób na jego słowa nie reagował.

Na chodniku przed stylizowaną rezydencją Howarda i Prissy Duttonow zebrał się tłum ludzi. Próbowano nad nim panować jakieś pół tuzina policjantów z Ozark, mniej więcej tylu zastępców szeryfa z hrabstwa Dale, a nawet dwaj policjanci stanowi z Alabamy. Do drzwi budynku mogły się zbliżyć jedynie te osoby, które były znane jako przyjaciele i najbliżsi znajomi Duttonow.

Policjanci stanowi dali znak małemu konwojowi, żeby zatrzymał się przy krawężniku.

- Bardzo proszę, niech pan zostanie w samochodzie, pułkowniku - powiedział generał Black. - Wkrótce poinformuję pana o mojej decyzji.

Pułkownik Brandon był zaskoczony, kiedy zobaczył, że sierżant Wesley maszeruje do domu Duttonow z generałem.

Powitała ich Prissy Dutton, sprawiająca wrażenie zamroczonej środkami uspokajającymi. Oznajmiła, że „burmistrz położył się do łóżka”.

Przesuwane drzwi pomiędzy salonem a jadalnią były rozsunięte. Na stole w jadalni wystawiono poczęstunek.

Z bufetu korzystało w tej chwili około trzydziestu osób, a drugie tyle stało pod ścianami salonu lub zajmowało miejsca na nielicznych krzesłach w obu pomieszczeniach. Wdowa po Edwardzie C. Greerze w czarnej sukience, ze skromnym sznurem pereł na szyi, siedziała na czerwonej pluszowej kanapie. Odpychała od siebie czarnoskórą kobietę, która starała się przejąć od niej dziecko, spokojnie śpiące w jej ramionach.

- Wes - odezwał się generał Black. - Zamknij drzwi i usuń wszystkich ludzi z tego pokoju.

Sierżant Wesley najpierw przymknął przesuwane drzwi, a potem zaczął usuwać ludzi z salonu. Pokój wyludnił się zaskakująco szybko. Wreszcie zostały w nim tylko trzy pary: pułkownik Bellmon z żoną, major MacMillan z żoną oraz major Sanford T. Felter z żoną.

- Powiedziałem: wszystkich, i to właśnie miałem na myśli - powiedział generał Black. - To dotyczy także ciebie i Wesa - dodał, zwracając się do swojej żony.

Po chwili popatrzył na Melody Dutton Greer.

- Bądź uprzejma i oddaj dziecko jednej z kobiet - poprosił.

- Czy to jest rozkaz, generale? - zapytała Melody.

Nie zamierzał jej drażnić. Uznał, że śpiące dziecko nie będzie przeszkadzać. Tymczasem poczekał, aż czarnoskóra kobieta pozwoli się wyprowadzić z pokoju. Uczyniła to niechętnie, sierżant Wesley był jednak nieugięty, chociaż delikatny. Po chwili zasunął za nią drzwi.

Sierżant podszedł do Melody i usiadł obok niej.

- Potrzymam go - powiedział. - Ręka ci ścierpnie.

- Dobrze - odparła Melody z goryczą w głosie i podała mu śpiącego niemowlaka.

Dziecko drgnęło, jednak się nie obudziło.

- Piłś coś?

- Jasne - odparła Melody.

- Chcesz jeszcze jednego drinka?

- Nie.

- Właśnie się dowiedziałem, że Ed otrzymał Distinguished Flying Cross - niespodziewanie powiedział generał.

- Wie pan, co pan sobie może zrobić z tym cholernym medalem?! - zawołała Melody. - I po to pan tu przyszedł? Zęby mi o tym powiedzieć?

- Nie. Przyszedłem, żeby powiedzieć, że bardzo ci współczuję.

- Dziękuję. Czy moi przyjaciele mogą już tu wrócić?

- Jeszcze nie.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ teraz chcesz rozmawiać ze mną.

- Naprawdę?

- Tak, ze mną.

- Nie wiem, o czym pan, do diabła, mówi. I niech mi pan wybaczy, generale, ale wcale mnie to nie obchodzi.

- Poza przekazaniem ci spodziewanych zwyczajowych wyrazów współczucia chcę cię poinformować, dlaczego my wszyscy bardzo cierpimy i czujemy się podle.

- Proszę, niech się pan nie krępuje - powiedziała Melody z sarkazmem.

- Felter czuje się winien, ponieważ Ed ocalił mu życie, kiedy razem wydostawali się z dżungli w Dien Bieñ Phu - oznajmił generał Black. - I dlatego, że gdyby nie załatwił Edowi wyjazdu z Algierii, nie skończyłby za sterami tej maszyny.

- Fascynujące.

- MacMillan czuje się winny, ponieważ to Ed pilotował, a nie on. No i ta sprawa z Indochin... chociaż w mniejszym stopniu. Przede wszystkim jednak dlatego, że potrafił pilotować, a jednak to nie on siedział za sterami w momencie katastrofy.

- Trochę mnie męczy ta rozmowa - stwierdziła Melody.

Wstała, podeszła do drzwi i przez moment sprawiała wrażeń, jakby zamierzała je otworzyć. W ostatniej chwili zmieniła zamiar, podeszła do stolika z butelkami i rozlała whiskey do dwóch szklanek. Podeszła do generała Blacka i podała mu jedną. Następnie usiadła, wypła whiskey ze swojej szklanki jednym łykiem, po czym rzuciła się plecami na oparcie kanapy i zadarła głowę tak wysoko, że jej oczy patrzyły prosto w sufit. Głośno westchnęła.

- Choleracholeracholera - powiedziała.

- Bob Bellmon - chciał kontynuować Black, ale nagle się powstrzymał. - Przy okazji, od dzisiaj generał brygadier Bellmon. Jeszcze o tym nie wie.

- Na zdrowie! - zawołała Melody Dutton Greer i energicznie podniosła szklankę.

- Poczucie winy generała Bellmona jest cokolwiek bardziej intelektualne. To on był tym człowiekiem, który przyszedł do mnie i poprosił o zgodę na uzbrojenie helikoptera. I to on musiał wydać twojemu mężowi rozkaz, żeby odbył strzelanie ćwiczebne.

- Niczego nie musiał Edowi rozkazywać - zaprzeczyła Melody. - Mój zmarły mąż był równie zwariowany jak wy wszyscy. Wieczny ochotnik!

- Ale oni wszyscy są w błędzie - powiedział Black. - To ja jestem tym sukinsynem, który jest za wszystko odpowiedzialny.

- Po co mi pan to mówi, generale? I co pan miał wspólnego ze śmiercią Eda?

- To ja go posłałem na szkolenie pilotów helikopterów. Nie popierałem tego, ale się zgodziłem, kiedy nalegał, i załatwiłem, że mógł zacząć szkolenie. Poza tym to ja podjąłem decyzję o rozpoczęciu testów. Statystycznie w zasadzie nie istniało zagrożenie, że ktoś zginie w czasie testu. A jeśli już... Mógł to być ktoś, kogo nie znałem, o kim nigdy nie słyszałem, ale nie Ed. To nie miało prawa się stać. Jeśli jednak szukasz kogoś, kogo mimo wszystko trzeba obwinie o jego śmierć, to tym kimś jestem ja.

Melody przez chwilę przypatrywała się generałowi, potrząsnęła głową, po czym znowu wbiła wzrok w sufit.

- Na czym więc stoimy?

- Czy był tu major Lowell? - zapytał generał Black.

- Nie. Odwiedziło mnie mnóstwo sukinsynów w mundurach, ale kondolencjami legendarnego majora Lowella nie zostałam zaszczycona.

- Lowell jest najpraktyczniejszym człowiekiem z nas wszystkich - stwierdził generał Black. - Rozumie, że kiedy nie ma nic do powiedzenia, najlepiej milczeć.

Melody ponownie na niego popatrzyła.

- Hej - jęknęła. - Doceniam to, że pan do mnie przyszedł. Naprawdę. - Przez krótką chwilę trzymała dłoń na ramieniu Blacka. - Jak by powiedział Ed, do tego potrzebne były twarde jaja.

Black nie zareagował.

- Ryzykując, że się powtarzam, na czym stoimy? - zapytała Melody.

- Co z nim? - zapytał z kolei generał Black, wskazując na dziecko.

- O niego niech się pan nie martwi. Mój ojciec, obecnie zresztą pijany w sztok, jest nie tylko bogatym człowiekiem, ale dziecko jest w tej chwili beneficjentem mnóstwa przywilejów oferowanych przez wdzięczny rząd z powodu śmierci jego ojca. Był już tu jeden facet, przedstawiał fakty i liczby...

- Nie będzie miał ojca - zauważył Black.

- Naprawdę? Jezu!

- Jesteś młodą, atrakcyjną kobietą. Zapewne znowu wyjdiesz za mąż i chłopiec będzie się wychowywał przy jakimś mężczyźnie. Jestem pewien, że Mac, Felter, Bellmon i inni przyjaciele twojego zmarłego męża będą się nim interesować. Ale chłopiec nigdy nie pozna swojego ojca.

- Do diabła, o co teraz panu chodzi? Chce pan, żebym się rozplakała? Mam wrzeszczeć, rozdrapywać sobie twarz i wrywać włosy z głowy? Czy to jest jakaś nowa terapia dla zrozpaczonych wdów?

- Nigdy się nie dowie, jakim człowiekiem był jego ojciec.

- Będzie się za to bawił tym pieprzonym medalem, o którym pan wspomniał na początku. Będzie na niego patrzył i mówił: „Mój tatuś był bohaterem. Ten oto posrebrzany medal, wartu dziesięć dolców, jest tego potwierdzeniem”.

- Jeśli będziesz chciała, twój syn będzie miał znacznie więcej.

- Nie mam pojęcia, do czego pan zmierza.

- W tych okolicznościach możemy Edowi urządzić wspaniały pogrzeb wojskowy.

- Niech pan sobie wsadzi swój wspaniały pogrzeb wojskowy tam, gdzie może pan sobie wsadzić ten medal.

- Orkiestry wojskowe, powiewające flagi, maszerujące pododdziały, następnie... jakkolwiek to się nazywa, kiedy nad głowami przelatują samoloty... i czterogwiazdkowy

generał, zastępca szefa sztabu armii, przypinający medal tragicznie zmarłego żołnierza do piersi jego żony.

- Może się trochę upiłam - powiedziała Melody - bo odnoszę wrażenie, że opowiada pan te brednie z wielką powagą.

- Dla ciebie to nic nie znaczy, ale dla dzieciaka, kiedy będzie zaczynał rozumieć świat, obejrzenie filmu o tym, w jaki sposób armia pochowała jego ojca, może być tym momentem, w którym pojmie, że ojciec był kimś nadzwyczajnym, kimś specjalnym.

Melody popatrzyła uważnie na Blacka.

- Bo Ed naprawdę był kimś bardzo specjalnym - powiedział generał Black ledwie słyszalnym głosem.

Po chwili Melody Dutton Greer powiedziała:

- Na miłość boską, jeszcze ktoś pana zobaczy! W końcu jest pan generałem. Niech pan przestanie płakać!

XVIII

1

Fort Rucker, Alabama

28 grudnia 1958

Główna kaplica w forcie była prowizorycznym budynkiem postawionym w 1941 roku w wielkim pośpiechu razem z innymi budynkami, które miały przetrwać sześć lat. Kiedy jednak Rucker otworzono po raz drugi, kaplica została przemalowana i po gruntownym remoncie ze środków Ordynariatu Polowego US Army wyposażona we wszystko, co niezbędne, poczynając od czerwonego dywanu w nawach po organy elektryczne i inne wyposażenie niezbędne w każdym kościele.

W tej chwili było w niej pełno ludzi. Wstęp do środka miały tylko osoby z zaproszeniami, jednak zaproszeń wystosowano więcej, niż w kaplicy było miejsc siedzących. Szczątki porucznika Edwarda C. Greera znajdowały się w dostarczonej przez rząd szarej stalowej trumnie przykrytej amerykańską flagą. Trumna stała w centrum głównej nawy na podwyższeniu okrytym czarnym kirem.

W kaplicy było trzech duchownych. Duchowny rodziny Duttonów był prezbiterianinem. Kapelan Fort Rucker baptystą. Był tu też kapelan 3. Armii. Ślubu Edowi i Melody udzielił kapłan anglikański, Melody więc poprosiła o to - była to jej jedyna prośba - aby pogrzeb odbył się zgodnie z obrządkiem Kościoła episkopalnego. Do Atlanty, do kwatery głównej 3. Armii, wysłano więc samolot L-23, żeby przywiózł do Fort Rucker kapelana Kościoła episkopalnego o odpowiedniej randze.

W pierwszej ławce po lewej stronie siedziała wdowa, trzymająca na kolanach Howarda Duttona Greera, jej rodzice (generał Paul Jiggs nie mógł wyjść z podziwu, jak udało się Howardowi Duttonowi wytrzeźwieć, i zastanawiał się, czy zdoła dotrzeć do końca uroczystości) oraz czarnoskóra kobieta, która wychowała Melody, a teraz zajmowała się jej dzieckiem.

W nawie stali żałobnicy, którzy mieli nieść trumnę.

Byli to ludzie związani z projektem uzbrojonego helikoptera oraz generał brygadier Robert F. Bellmon; brakowało jednak majora Craiga W. Lowella i chorążego Dutcha

Cramera. Major Lowell i Dutch Cramer odmówili przyjęcia zaszczytnych ról żałobników niosących trumnę. Jiggs doskonale wiedział, gdzie się w tej chwili znajdowali. Byli albo w Aneksie 1 mesy oficerskiej, albo w kwaterze Dutcha Cramera i oddawali ostatnie pokłony zmarłemu kumplowi, upijając się do nieprzytomności. Dutch Cramer bardzo osobiście i ciężko przeżył wypadek Greera. To on umieścił wszystkie rakiety w helikopterze.

Uroczystość pogrzebową filmowano. Kamery i urządzenie rejestrujące dźwięk obsługiwała ekipa wojskowa.

W ścianie między kaplicą a zakrystią wykuto dyskretne otwory dla kamer. Generał Black osobiście zakazał wstępu do kaplicy ekipom telewizyjnym. Armia sama zamierzała nakręcić film, który później miał im zostać udostępniony.

Ekipy telewizyjne znajdowały się więc poza kaplicą.

Sześciokołowa ciężarówka wojskowa miała wieżę tylko jedną ekipę filmową podczas procesji z kaplicy na Plac Paradny numer 2, aby cała procesja została sfilmowana, natomiast inne ekipy rozstawiły się wzdłuż trasy przemarszu żałobników.

Organizacja ostatniej drogi porucznika Greera była ogromnym przedsięwzięciem. Z akt wyciągnięto „Plan uroczystości pogrzebowych generała majora Angusa Lairda”, który stał się punktem wyjścia dla całej ceremonii.

Generał Jiggs był cokolwiek zaskoczony ugodową postawą generała Blacka wobec pułkownika Tima F. Brandona. Zaakceptował większość (co nie znaczy, że wszystkie) sugestii Brandona. Generał Jiggs był jeszcze bardziej zaskoczony gotowością generała Blacka do jak największego ułatwienia pracy ekipom telewizyjnym.

Przemarsz batalionu chorążych, wskazał pułkownik Brandon, tak naprawdę nie jest żadną wiadomością dla telewizji. Jednak inspekcja tego samego batalionu przeprowadzona przez zastępcę szefa sztabu wojsk lądowych to wiadomość warta czterdziestopięciosekundowej wzmianki w wiadomościach o osiemnastej. Generał więc jeździł po całym Fort Rucker, od Lotniska Wojskowego Laird po Zarząd Lotnictwa, gdziekolwiek tylko pułkownik Brandon sugerował mu jechać. Pozwolił generałowi Jiggsowi nawet (a to już naprawdę zdziwiło generała Jiggsa) zabrać się na przejażdżkę jego białym H-13H. Wylecieli jedynie na chwilę z lądowiska numer 1, zniknęli wszystkim z oczu i zaraz wrócili, jednak dzięki temu ekipy telewizyjne miały niecodzienny „materiał” z dwoma generałami lecącymi dokądś helikopterem.

W chaotycznych przygotowaniach do pogrzebu, jak to przeważnie bywa, kiedy wielka liczba ludzi zaangażuje się w coś bardzo poważnego, zdarzyły się też sytuacje bardzo zabawne.

Zadecydowano i zaakceptowano bez sprzeciwów, że trumna porucznika Greera zostanie przewieziona na czołgu od kaplicy na Plac Paradny numer 2, gdzie pani Greer odbierze przyznany mężowi Distinguished Flying Cross.

W Fort Rucker nie było ani jednego czołgu, zamówiono więc dwie sztuki w Fort Benning. Ktoś za późno się jednak zorientował, że - po pierwsze - nie otrzymawszy zamówienia na dostarczenia czołgów z załogami, Fort Benning załóg nie przysłał, i - po drugie - na czołgu właściwie nie ma żadnego miejsca, na którym można by położyć trumnę.

Oba problemy rozwiązali żołnierze z Fort Riley, na co dzień obsługujący rosyjskie T34/85. Byli wykwalifikowanymi czołgistami, bez problemu mogli więc jeździć także M48, a poza tym szybko zamontowali nad przedziałem silnikowym platformę, na której można było umieścić trumnę.

Właściwie to zamontowali platformy. Przygotowano bowiem oba czołgi, na wypadek gdyby jeden z nich niespodziewanie się popsuł. Sprowadzono sześć radzieckich czołgów, choć potrzebne były trzy, i przygotowano dwa M48, choć potrzebny był jeden. Na Placu Paradnym nr 2 zamontowano dwa systemy nagłaśniające, mimo że potrzebny był tylko jeden. Dosłownie wszystko przygotowywano w podwójnych ilościach. Przygotowano nawet osiem jeepów do przewiezienia kwiatów z kaplicy, mimo że potrzebne były tylko cztery.

Nie zapomniano oczywiście o koniu bez jeźdźca, z odwróconymi butami w strzemionach, który miał być prowadzony w procesji zaraz za czołgiem z trumną Greera.

W trakcie próby, kiedy koń po raz pierwszy usłyszał odgłos silnika czołgu, najpierw gwałtownie się zesrał, a potem wyrwał się prowadzącemu go żołnierzowi i pogalopował w siną dal. Gorączkowy pościg podjęło z konieczności z pół tuzina oficerów.

W ostatniej chwili zamieniono konia na innego, który nie bał się silnika czołgu.

W połowie gorączkowych przygotowań nastąpiła wielka kradzież. Skradziony został helikopter.

Mocno rozgoryczony dowódca Programu Szkolenia Pilotów Helikopterów wystarał się o audiencję u generała Jiggsa. Oznajmił, że brakuje jednego egzemplarza H-19C, a on jest przekonany, że maszyna została ukradziona. Chciał poinformować o wszystkim FBI, a także wydrukować informację w biuletynie rozsyłanym na wszystkie lotniska polowe znajdujące się w promieniu 350 mil od Rucker.

W informacji tej miała się znaleźć prośba o przekazywanie do Rucker wszelkich wiadomości o lądujących tam H-19C.

Generał Jiggs nie zamierzał jednak na to pozwolić. Nie wątpił, że zaginął Chicksaw, jednak pomysł, że ktoś go ukradł, uznał za absurdalny. Gdyby ktoś przedłożył mu raport o

zaginięciu H-34B albo H-37, albo któregoś z nowych YH-40, Jiggs byłby autentycznie zatroskany. Chocktawa mógł w końcu ktoś ukraść na części; tego typu helikoptery szeroko wykorzystywano bowiem w lotnictwie cywilnym.

Można było od biedy przyjąć - choć prawdopodobieństwo tego było małe - że to Rosjanie porwali YH-40, żeby dobrze maszynę przestudiować. Ale ukraść starego, niemal zabytkowego H-19C? Absurd!

Bo co właściwie można by było z nim zrobić? Komu sprzedać? Generał Jiggs w końcu doszedł do wniosku i taką też informację przekazał dowódcy Programu Szkolenia Pilotów Helikopterów, że z „ukradzionym” Chicksawem mogły się przydarzyć dwie rzeczy: (1) Po prostu nie znajduje się na swoim miejscu; to znaczy że ktoś zabrał do planowego lotu nie ten egzemplarz, który powinien był zabrać.

Należało więc, powiedział generał Jiggs, przeprowadzić inwentaryzację i sprawdzić, czy gdzieś nie stoi jakiś dodatkowy H-19C. Tak by właśnie było, gdyby ktoś zabrał na lot niewłaściwy egzemplarz. (2) W programie uczestniczy jakiś żartownis, ktoś, kto woli się śmiać, niż przejmować własną karierą. Ten ktoś poleciał zaginionym helikopterem do rezerwatu i zostawił go tam, doskonale wiedząc, że wkrótce nerwowe poszukiwania zaczną mnóstwo ludzi miotających się po omacku niczym kurczaki bez głów. Gdyby takie miało okazać się rozwiązanie zagadki, należało rozpocząć poszukiwania H-19C w takich miejscach, które najlepiej się nadają do ukrycia helikoptera.

Żaden jednak z tych problemów nie dotyczył bezpośrednio osób, które uczestniczyły w obrzędach w kaplicy. Po jej prawej stronie, zaraz za mężczyznami, którzy mieli nieść trumnę, miejsca w ławkach zajęli: generał E. Z. Black z małżonką, generał porucznik Richard D. Hoit z małżonką (generał Hoit dowodził 3. Armią, na której terenie znajdował się Fort Rucker. Nie znał osobiście porucznika Greera, jednak skoro w jego pogrzebie uczestniczył zastępca szefa sztabu, obecny na nim musiał być także on), generał major Paul Jiggs z małżonką oraz żona generała Bellmona.

Za rodziną (po lewej stronie) i najwyższej rangi oficerami (po prawej stronie) zasiadali najważniejsi goście i przyjaciele. Trawnik przed kaplicą został oddzielony dla szanownych gości i przyjaciół, którzy także mieli zaproszenia, dla których jednak nie wystarczyło miejsca w środku.

Uczestniczyli w ceremonii dzięki głośnikom rozstawionym na zewnątrz.

Kapelan 3. Armii pobłogosławił zebranych.

- Pokój Pański niech zawsze będzie z wami - powiedział.

Żałobnicy, którzy mieli nieść trumnę (generał brygadier Robert F. Bellmon, major Rudolph G. MacMillan, chorąży William B. Franklin, sierżant Wallace Horn, sierżant Jerry P. Davis i kapral Sampson P. Killian) wstali i zajęli miejsca wokół niej. Organy zaczęły grać Nearer My God to Thee. Po czwartym takcie do organów dołączyła 77. Orkiestra US Army.

Trumnę poniesiono wzdłuż nawy.

Ruszyła za nią wdowa z rodziną, a potem najwyżsi oficerowie. Kiedy wyszli na zewnątrz, trumnę umieszczono na platformie zamocowanej na M48. Poruszając się bardzo sprawnie, lecz bez widocznego pośpiechu, żołnierze przenieśli pamiątkowe wieńce i kwiaty z kaplicy do czekających jeepów. Wśród wieńców znajdował się jeden od rządu francuskiego, zamówiony przez konsula generalnego z Nowego Orleanu, który w ten sposób godnie żegnał kawalera Croix de Guerre. Decyzja o wysłaniu na pogrzeb konsula wynikała jednak raczej z tego, że spodziewano się na nim kamer telewizyjnych, niż z chęci uhonorowania służby Greera dla Francji, co jednak nie zmieniało faktu, że konsul w pogrzebie uczestniczył, a jego citroen z emblematami korpusu dyplomatycznego oraz purpurowa wstęga przysługująca jego urzędowi, którą miał przepasaną przez pierś, pozwoliła pułkownikowi Brandonowi wykonać kilka kolejnych efektownych ujęć.

Kiedy tylko wdowa z dzieckiem oraz czarnoskórą kobietą wsiedli do pierwszej z dwóch limuzyn, kierowca M48 włączył silnik czołgu. Nad samochodami i czekającymi przy nich ludźmi uniosła się chmura kwaśnego czarnego dymu.

W drugiej limuzynie jechać miał burmistrz i pani Dutton. Za nią w kolejności ustawiony był samochód sztabowy generała Blacka, a potem (zgodnie z wymogami protokołu, ponieważ konsul generalny zaprzyjaźnionego państwa ma rangę trzygwiazdkowego generała) citroen z tablicami dyplomatycznymi oraz samochody generała Hoita i generała Jiggsa. Pani Bellmon miała jechać z generałem Jiggsem i jego małżonką.

M48 poprzedzała jedna kompania z batalionu chorążych, poczet sztandarowy, samochód sztabowy z trzema duchownymi oraz cztery jeepy z kwiatami i wieńcami.

Za samochodem generała Jiggsa podążała 77. Orkiestra US Army, pododdziały z Centrum Lotnictwa, oficerowie i pracownicy z Agencji Rozwoju Lotnictwa Wojsk Lądowych USA, oficerowie i pracownicy Zarządu Lotnictwa Wojskowego oraz inni dystyngowani goście i przyjaciele.

Kondukt pogrzebowy poruszał się powoli. Wyruszywszy spod głównej kaplicy Fort Rucker, przeszedł ulicą biegnącą wzdłuż pola golfowego, Trzecią Aleją, aż wreszcie dotarł na Plac Paradny numer 2, gdzie znajdowały się stałe trybuny, które teraz zapełniły się ludźmi. Wydano rozkaz, aby na miejscu zgromadził się dosłownie cały stan osobowy Fort Rucker,

poza żołnierzami pełniącymi akurat warty i służby. Do uczestnictwa w pogrzebie namawiano także pracowników cywilnych.

Karawan i samochód z kwiatami, które po wręczeniu wdowie pośmiertnego odznaczenia dla jej męża miały pojechać z trumną z Fort Rucker do Ogrodów Pamięci w Ozark, już czekały na miejscu. Złożenie ciała do grobu miało być uroczystością całkowicie prywatną.

Kiedy generał Jiggs wysiadł z samochodu, zobaczył na niebie, w odległości około mili, samoloty, których przelot nad Placem Paradnym miał być ostatnim punktem oficjalnej uroczystości. Wszedłszy na trybunę dla VIP-ów, dostrzegł jednak coś, czego w ogóle nie było w przyjętym harmonogramie.

Na samym końcu placu, pod wzgórzem, które dawno temu służyło jako strzelnica artyleryjska, ustawione były rosyjskie T-34/85. Stały w jednym szeregu, w odległości dwudziestu jardów jeden od drugiego. Było ich sześć. Jiggs przypomniał sobie, że do Fort Rucker przyjechało ich pięć, jednak Greer, zanim zginął, zdażył jeden z nich rozstrzelać.

Przyszło mu do głowy pytanie, czy jest to kolejny z głupich pomysłów pułkownika Tima F. Brandona czy inicjatywa załóg tych czołgów, chcących chociaż w ten sposób oddać ostatni hołd Greerowi. Właściwie nie miało to jednak znaczenia. I tak było za późno, żeby coś z tym zrobić. Stały więc sobie rosyjskie czołgi, z czerwonymi gwiazdami na pancerzach, na oficjalnej amerykańskiej uroczystości wojskowej i nic nie można było na to poradzić.

Pododdziały i orkiestra sformowały szyk na placu. Orkiestra zagrała „odpowiednią muzykę”, jak to określano w scenariuszu uroczystości (w tym momencie For In Her Hair, She Wore a Yellow Ribbon w żałobnym tempie), a tymczasem gromadzący się ludzie zajmowali wyznaczone miejsca.

Czołg z trumną Greera zatrzymał się na wprost głównej trybuny, w równej odległości od niej i od oddziałów stojących na placu. Poczёт sztandarowy stanął obok, frontem do trybuny. Miał służyć za tło dla kamerzystów i reporterów podczas wręczania przez generała Blacka orderu wdowie po Edwardzie E. Greerze.

Kiedy już wszyscy, poza nielicznymi spóźnialskimi, zajęli miejsca, orkiestra zaczęła grać The Washington Post March. Oddziały przemaszerowały przed trybuną, po czym powróciły na miejsca.

Generał Black i towarzyszące mu osoby wyszli na plac.

Adiutant jednostki wojskowej zaczął czytać rozkaz nadający pośmiertnie porucznikowi Edwardowi C. Greerowi Distinguished Flying Cross. Następnie generał Black podszedł do wdowy i przypiął odznaczenie do jej sukni. Potem odwrócił się i zaczął

wyglaszać „ostateczne oświadczenie”, w którym miał wyrazić żal z powodu naruszenia porozumienia z Key West z 1948 roku. Następnie nad Placem Paradnym miały przelecieć samoloty. Żegnając zmarłego pilota, powinny utworzyć na niebie niepełną literę V - formację typową dla uroczystości żałobnych, bo jedno miejsce w szyku pozostawało niezajęte.

Na zakończenie ceremonii żałobnicy niosący trumnę powinni przetransportować ją z czołgu do karawanu i to już byłby naprawdę ostatni punkt uroczystości.

Przebieg uroczystości transmitowano przez radio na pokłady samolotów krążących w odległości mniej więcej mili od placu, dzięki czemu mogły przelecieć nad zgromadzonymi dokładnie w wymaganej chwili. Tylko dlatego miały szansę znaleźć się w odpowiednim momencie we właściwym miejscu. Osoby planujące uroczystość zdały sobie na szczęście sprawę, że nie można jej przeprowadzić według zegarka.

Jednak znalazł się sukinsyn, który sprawę pochrzanił.

Do ponurego dudnienia silników samolotów krążących mniej więcej w odległości mili dołączył warkot jednego helikoptera lecącego znacznie niżej i znacznie bliżej. Głowy wszystkich zgromadzonych skierowały się w tym kierunku, chcąc zlokalizować źródło hałasu.

Oficer kontroli naziemnej znajdujący się za trybunami zaczął nerwowo kręcić potencjometrem radia, pośpiesznie szukając częstotliwości, na której mógłby go słyszeć tępy duren pilotujący helikopter.

- Helikopter operujący w pobliżu Placu Paradnego numer 2 natychmiast stąd odleć. Helikopter operujący w pobliżu Placu Paradnego numer 2, powtarzam, natychmiast stąd odleć.

Pilot najwyraźniej nie słuchał komunikatów radiowych albo, co było zdaniem oficera kontroli naziemnej, bardziej prawdopodobne, słuchał po prostu adiutanta odczytującego rozkaz generała o nadaniu Greerowi Distinguished Flying Cross. Cokolwiek jednak robił, odgłos silników jego maszyny nie słabł, a kiedy rozkaz został odczytany do końca, stał się wprost nieznośnie głośny.

W chwili kiedy generał Black ruszył przez plac, żeby przypiąć odznaczenie do piersi Melody Dutton Greer, maszyna pokazała się w całej okazałości. Uniosła się nad rzędem baraków za stojącymi w szyku żołnierzami i po chwili zniknęła. Słysząc było jej silnik, jednak nikt jej nie widział. Po raz drugi wyskoczyła do góry za plecami ludzi na trybunach; mieli tylko tyle czasu, żeby poodwracać głowy i zauważyć, że jest to H-19C, po czym helikopter znowu znikł im z pola widzenia.

Oficer kontroli naziemnej przebiegł z przenośnym radiem do VIP-owskiej części trybun i znalazł się przed mikrofonem, do którego przed chwilą mówił generał Black.

Chwycił go w obie ręce.

- Helikopter operujący w pobliżu Placu Paradnego numer 2 natychmiast stąd odleć. Natychmiast stąd odleć. Jeśli ten tępy drań słuchał wcześniejszego przemówienia, z pewnością usłyszał ten rozkaz.

Helikopter pokazał się po raz trzeci, tym razem z lewej strony. Wskoczył w górę jak z katapulty, ale tym razem nie schował się tak szybko. Tym razem silnik nabrał pełnej mocy. Z nosem skierowanym niemal pionowo do góry helikopter wznosił się na wysokość 2500 stóp. Następnie nos zaczął opadać, a odgłos wirników zmienił barwę. Pilot helikoptera z pełną prędkością rozpoczął spadek w dół, kierując się ku centrum placu. Opadł tak nisko, że w ostatniej chwili uniknął zetknięcia z M48, udekorowanym flagą narodową, ze stojącą na niej trumną.

Jeden z kamerzystów, obracając się gwałtownie, żeby nie stracić helikoptera z pola widzenia obiektywu, potknął się i zaczął spadać z platformy. W desperackim odruchu, aby się na niej utrzymać, chwycił ciężką kamerę i poleciał razem z nią na ziemię.

Pułkownik Brandon pomyślał, że w tej sytuacji tylko dwie sieci telewizyjne nadadzą wygłupy tego idioty. Ale zaraz zdał sobie sprawę, że to jest tylko pobożne życzenie. Przecież dziennikarze lubią ze sobą współpracować, i to akurat wtedy, kiedy nikomu na tym nie zależy. Jeden z dwóch kamerzystów, którzy pozostali na platformie, z pewnością udostępni swój materiał nieszczęśnikowi, który z niej spadł. Cały incydent jak nic znajdzie się we wszystkich wiadomościach o osiemnastej, a przekaz z uroczystości będzie zupełnie inny, niż zaplanował pułkownik Brandon.

Kiedy pilot znalazł się nad czołgami, ustawił helikopter niemal poziomo na boku, po czym przeleciał nad żołnierzami stojącymi w szeregach. Wciąż w tej pozycji zawrócił nad plac, zwolnił, wyprostował maszynę, aż wreszcie zawisł nieruchomo nad M48, bardzo nisko.

Obracające się łopaty wirnika zaczęły unosić z ziemi tumany kurzu. Podmuchał z głów czapki i kapelusze.

Major MacMillan i chorąży Franklin wskoczyli na M48 i położyli się na trumnie, żeby nie sfrunęła z niej flaga. Helikopter widać było już teraz w całej okazałości. Jego kadłub pomalowany był na czarny kolor. Ale na czarnym tle można było zobaczyć biały rysunek złośliwie uśmiechniętego dziecięcia ciskającego butelkami po piwie. Nad nim widniał wyraźny napis: Wielki Zły Ptak II.

Do płóz helikoptera przymocowane były dziwne przedmioty; większość zgromadzonych widziała je po raz pierwszy. Dokładnie piętnaście sekund po tym, jak Wielki Zły Ptak II znalazł się nad M48 z trumną Eda Greera, helikopter stał się źródłem potężnego głuchego grzmotu. Z jego lewej wyrzutni wystrzelił strumień trzyipółcalowych rakiet - w sumie dwadzieścia siedem w ciągu siedmiu i pół sekundy. Po chwili w identycznym czasie wystrzeliło dwadzieścia siedem rakiet z prawej.

Pięćdziesiąt cztery rakiety w ciągu piętnastu sekund. W ciągu piętnastu sekund pięć w pełni sprawnych czołgów T34/85 zostało zamienionych w sterty poskręcane, bezużytecznego metalu.

Helikopter opuścił nos jeszcze niżej i powoli przeleciał nad placem. Przebił chmurę gęstego czarnego dymu unoszącą się nad zniszczonymi czołgami, aż wreszcie zniknął.

Kamerzyści kręcili jeszcze pretensjonalne ujęcia gęstego dymu, którego źródłem były wraki czołgów. Melody Dutton popatrzyła na generała E. Z. Blacka.

- To nad tym pracował Ed?

- Tak.

- I to dla mnie urządził pan to przedstawienie?

- Nie miałem z tym nic wspólnego, kochanie. To „legendarny major Lowell” przekazał ci swoje kondolencje.

Po chwili generał Black kontynuował końcową przemowę. Odszedł od przygotowanego tekstu. Ani słowem nie wspomniał o siłach powietrznych ani o porozumieniu z Key West z 1948 roku.

Generał major Paul Jiggs zorientował się, kto odpowiada za zakłócenie ustalonego harmonogramu, jeszcze zanim wpadł na to generał Black. Podejrzenia nasunęły mu się natychmiast, kiedy zobaczył, jak helikopter gwałtownie wznosi się do góry przed błyskawicznym przelotem nad placem. A kiedy zawisł nad trumną, generał Jiggs nie miał już wątpliwości. Nie mógł dostrzec pilota, jednak do szyby po prawej stronie maszyny było coś przyklejone: poplamiony i cokolwiek postrzępiony proporczyk, który kiedyś stanowił własność 73. Wzmocnionego Batalionu Czołgów Ciężkich.

Generał Jiggs odczytał nawet wypisane mazakiem litery, które układały się w napis: 6/5 LOW££4-

- Chcę natychmiast rozmawiać z majorem Craigiem W. Lowellem - powiedział do swojego adiutanta. - Prawdopodobnie za kilka minut będzie próbował wystartować cywilnym Aero Commanderem z Laird. Masz go znaleźć i doprowadzić do mnie.

Lotnisko Wojskowe Laird

Fort Rucker, Alabama

28 grudnia 1958

Generał E. Z. Black wszedł do salonu dla VIP-ów, gdzie zatrzymano majora Lowella. Kapitan żandarmerii i dowódca lotniska krzyknęli „baczość” niemal jak na komendę.

- Dziękuję, panowie - powiedział generał Black. - To wszystko.

Popatrzył na nich wymownie i poczekał, aż wyjdą z salonu, dopiero wtedy zaczął mówić.

- Fascynująca demonstracja, majorze.

- Uaudace, laudace, toujours l'audace, mon generał - odparł Lowell.

- Mimo wszystko tak naprawdę chciałbym wiedzieć, Lowell, czy była to zuchwałość czy głupota i, co więcej, czy w ogóle te dwie rzeczy rozróżniasz? - zapytał generał Black.

- Nie chciałem, żeby Wielki Zły Ptak spłynął z prądem w toalecie, generale.

- Aha. I tylko o to ci chodziło?

- Tak.

- Skąd wziąłeś nowy mechanizm do odpalania rakiet?

- Dublowanie, sir. Nauczyłem się wszystkiego o dublowaniu, kiedy byłem młodym oficerem.

- I wynająłeś Cramera do pomocy?

- Sam ponoszę wszelką odpowiedzialność, sir.

- Mówiąc prosto: „I tak nie stanę przed sądem wojskowym. Przecież wyrzucają mnie z armii, a sąd wojskowy w tej sytuacji byłby bardzo kłopotliwy”. Mam rację?

- Przyszło mi to do głowy, sir.

Generał podszedł do okna i odciągnął zasłonę. Na pasie lotniska czekał już na niego Grumman sił powietrznych, samolot komunikacyjny dla VIP-ów. Powinien się już zbierać.

- Masz interesującego sprzymierzeńca, majorze - powiedział. - Jak na ironię.

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiem, sir.

- Brandona. Ten dupek próbuje ratować twoją skórę. Bez większych ceregieli zaczął mi wyjaśniać, że wyrzucenie cię na zbity pysk nie leży bynajmniej w interesie armii.

- Tak, to dupek. Ale tacy ludzie też są potrzebni stwierdził Lowell.

- Armia potrzebuje najdziwniejszych ludzi, Lowell. Dupków jak Brandon i nawet takich szaleńców jak ty.

- Słucham?

- Powiem ci, co się stało, Lowell. Krew mnie zalała, kiedy ten dupek przyszedł do mnie, a właściwie wsiadł do mojego samochodu i powiedział mi, że powinniśmy twoją sprawę potraktować, jak to określił, „z wielką delikatnością”. Powiem wprost, chciałem mu skopać dupę. I to dosłownie. Już prawie otwierałem drzwiczki, żeby wykopać to jego tłuste dupsko na zewnątrz. - Popatrzył na Lowella, żeby się przekonać, czy ten mu wierzy. - Dawno temu nauczyłem się czegoś na temat samego siebie - kontynuował. - To może być także użyteczne dla ciebie, więc zapamiętaj. Kiedy naprawdę traci się nad sobą kontrolę, istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że podejmie się jakąś pochopną, niewłaściwą decyzję. - Generał znowu na chwilę zamilkł. - Mówiąc po prostu, kiedy pęka ci sznurowadło w butach, to twoja wina, że wcześniej nie zauważyłeś, że jest przetarte i należy je wymienić. Rozumiesz?

- Nie - przyznał zwięźle Lowell.

- To, czym mnie wkurzyłeś, Lowell, nie ma żadnego związku z pieprzeniem żony senatora. Wkurwiło mnie do białości to, że osobiście wydałem ci rozkaz, a ty ten rozkaz zlekceważyłeś.

- Chodzi o unikanie Feltera?

- Tak. Oto jakiś marny major o zasłużonej reputacji niepoprawnego jebaki otrzymuje rozkaz od zastępcy szefa sztabu i pozwala sobie tego rozkazu nie wykonać.

- Tego faktycznie jestem winien, sir.

- A ja jestem winien naruszenia podstawowej zasady dowodzenia, której się nauczyłem, kiedy byłem podporucznikiem. Brzmi ona: „Nigdy nie wydawaj rozkazu, o którym wiesz, że nie zostanie wykonany”.

- Miał pan jednak prawo oczekiwać, że wykonam pański rozkaz, sir.

- Pewnie, ale biorąc pod uwagę twoją osobowość, nie powinienem był się tego spodziewać.

Lowell patrzył na generała i milczał.

- Nie przemyślałem sprawy - ciągnął Black. - A przecież po prostu nie było możliwości, żadnej możliwości, żebyś zerwał związki z facetem, który ocalił ci dupę w Grecji, który pochował twoją żonę, kiedy byłeś na wojnie, i to tylko dlatego, że zażądał tego od ciebie jakiś stary pierdziel w generalskim mundurze.

- Nie myślę o panu w ten sposób, sir.

- Jasne. Powiedzmy to inaczej. Uznałeś, że mój rozkaz nie ma sensu, więc możesz go olać.

- Coś takiego przyszło mi do głowy.

- No właśnie. A teraz ci wyjaśnię drugie ważne zagadnienie niniejszego wykładu. Kiedy mnie olałeś, niewiele było trzeba, żeby zaczęło być jeszcze gorzej. Na przykład przez tę historię z żoną senatora, jak tam się ona nazywa... A potem znalazłem już prawdziwy wielki powód, żeby być na ciebie wściekłym.

- Co to było takiego?

- Dlaczego taki młody gnojek o wielkiej inteligencji i umiejętnościach, które udowodnił w boju, śmie beztrąsko niszczyć własną karierę? Już on mnie popamięta. Wyrzucę go za to z wojska na zbity pysk. Tak pomyślałem. - Generał umilkł, zapalił papierosa i popatrzył Lowellowi prosto w oczy. - Czy to, co mówię, dociera do ciebie?

- Rozumiem, co pan mówi, sir, i jestem wdzięczny za wyjaśnienie. Ale nie rozumiem, do czego pan zmierza?

- Ośmielam się mieć nadzieję, że ten krótki wykład filozoficzny stanie się dla ciebie wartościową wskazówką w dalszej karierze. Na przykład, kiedy przydarzy ci się, że stracisz do kogoś cierpliwość i podejmiesz złą decyzję.

- W bankach najważniejsze decyzje podejmują rady nadzorcze, i to po długich deliberacjach - wyjaśnił Lowell.

- Z mojego wykładu nie zrozumiałeś najważniejszej rzeczy, Lowell. Chyba muszę więc wyłożyć kawę na ławę.

- Słucham.

- Kiedy do człowieka dotrze, że popełnił błąd, powinien wypruć z siebie flaki, żeby go naprawić. Nawet gdyby musiał wdać się w cholerną awanturę z samym szefem sztabu.

- Nie chciałbym, żeby moje słowa zabrzmiały głupio powiedział Lowell - ale w tej chwili przychodzi mi do głowy tylko jedna interpretacja pańskich słów: zmienił pan swoją decyzję w sprawie wyrzucenia mnie z wojska na zbity pysk. Ale aż się boję mieć taką nadzieję.

- Z dniem pierwszego stycznia 1959 zostaniesz zwolniony ze stanowiska, na którym podlegałeś zastępcy szefa sztabu do spraw logistyki, i zaczniesz pełnić służbę tutaj, w Zarządzie Lotnictwa Wojsk Lądowych. Będziesz nadzorował projekt uzbrojenia helikopterów w rakiety.

- Dziękuję, sir.

- Tylko żebym nigdy tego nie żałował, majorze - powiedział Black twardo.

Znowu przez chwilę patrzył Lowellowi w oczy. Wreszcie bez słowa odwrócił się, pchnął szklane drzwi salonu dla VIP-ów i szybkim krokiem ruszył w kierunku czekającego na niego Grummana.

Lowell zdał sobie nagle sprawę, że żaden z nich nie zasalutował na pożegnanie. Czym prędzej ruszył za generałem na płytę lotniska. Drzwi Grummana były już zamknięte, a pilot właśnie zaczął uruchamiać lewy silnik. Po chwili rozpoczął kołowanie.

Major Lowell zasalutował do oddalającego się samolotu.

Z ręką przy daszku czapki stał długą chwilę bez ruchu, nie mając pojęcia, czy generał Black reaguje na jego pozdrowienie i czy go w ogóle widzi. Samolot skręcił na pas startowy i po chwili gwałtownie przyspieszył.